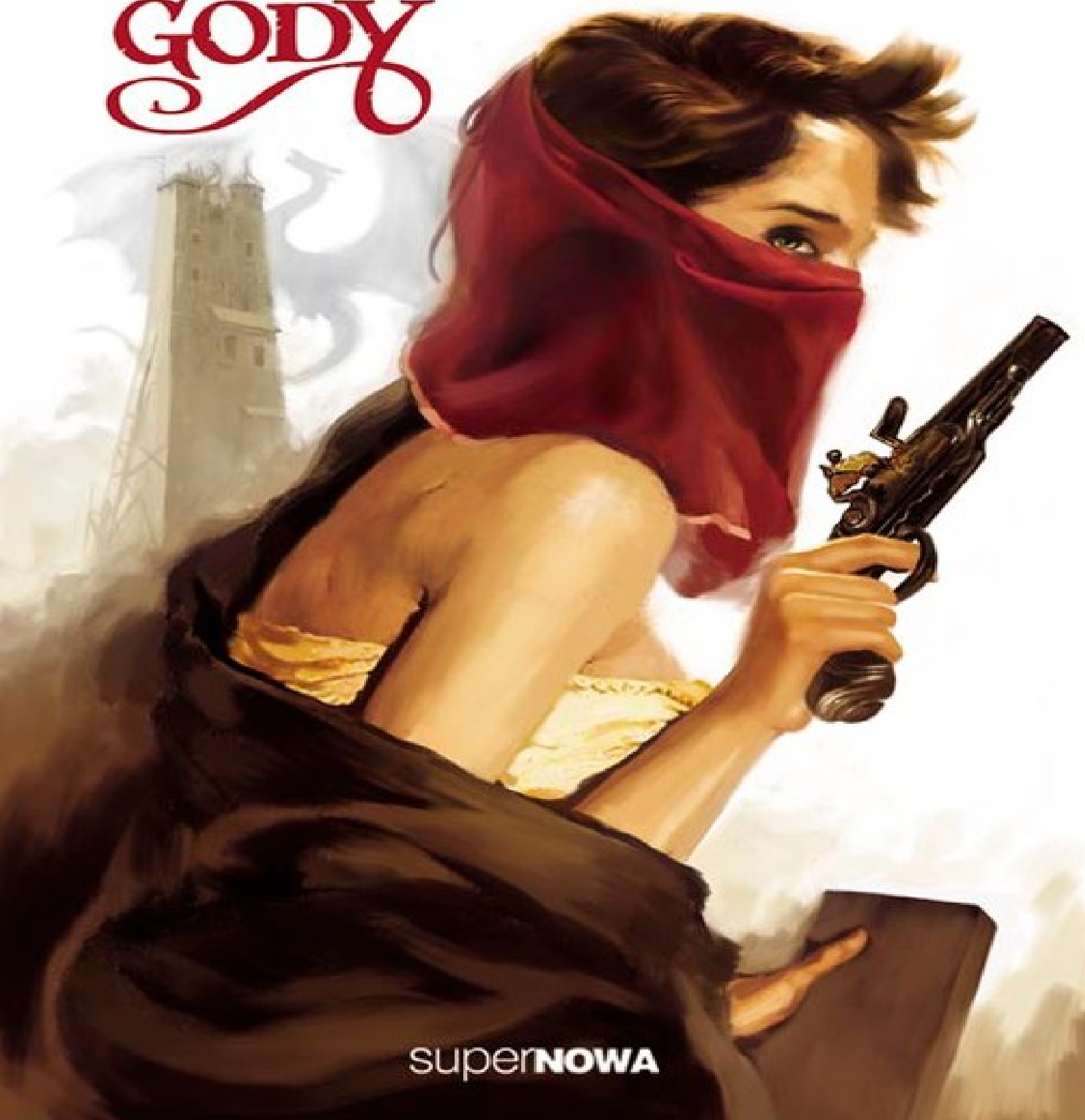


Artur

BANIEWICZ

GADZIE
GODY



superNOWA

ARTUR BANIEWICZ

GADZIE GODY



Saga o czarokrądcy (tom: 4)

supernowa

2014

czyli Sagi o czaroksiężcy prapoczątek,
opowieść o tym jak młody Debren
na praktykę magiczną do wrogiej krainy posłan
oko w oko ze smokiem staje
i utraconą cześć dziewiczą przywrócić musi

- **Z**arooobki dla dziewic! - przebił się przez uliczny gwar basowy okrzyk. - Goodziwe zarooobki!

Debren potknął się z wrażenia, a potem przyspieszył kroku. Wyobraźnia podsunęła wizję czerwonej latarni, a pod nią rajfura, który w biały dzień, korzystając z feudalnej anarchii, sterczy na ganku i przeprowadza nabór pracowników. Małe Trickleley w zachodnim Anvashu to oczywiście nie depholska Gaga, sławna całą ogromną dzielnicą zamtuzów - ale przecież był na Wschodzie! W świecie murowanych chałup, kramów zawałonych towarami, rycerzy jawnie noszących herby, niebywałego dostatku... no i dziewczek ulicznych.

W Lelonii, podobno nawet w jego rodzinnej Dumayce, też spotykało się dajki i stręczycieli. Tyle że nie na ulicy: władza demokratyczna prostytutkę, ma się rozumieć, zlikwidowała, jak całą resztę społecznego zła. Oficjalnie przynajmniej. Nieliczni rajfurzy i ladacznice kryli się więc po kątach drogich, nocnych karczem, tych z muzyką, wykidajłami i płatnymi konowiazami. Czyli gdzieś, gdzie Debren nie bywał. Siedemnastoletni żak, syn prowincjonalnego grotnika, uczciwego w dodatku, mógł co najwyżej pomarzyć o wizycie w przybytku, do którego wpuszczają wyłącznie w wyjściowych ciżmach - okutych, skórzanych i z cholewą - a za dzban piwa żądają srebra.

Teraz Debren też groszem nie śmierdział, ale popatrzeć na prawdziwy dom rozpusty, prawdziwego zamtuźnego, no i przede wszystkim kobiety, które pracują w takim miejscu - to chętnie by popatrzył. Chłopaki z Akademii będą słuchać z rozdziawionymi gębami.

Niestety, za rogiem czekało rozczarowanie: domniemany zamtuz okazał się ratuszem, zaś kuszący dziewice - heroldem.

Zatrudnionym najwyraźniej przez gród Trickle, bo noszącym taki sam jak miejska brama herb.

Herb przedstawiał smoka i góry. Względnie smoka i smocze odchody, jako że bestia zajmowała większą część tarczy i na krajobraz pozostała tylko odrobina miejsca, akurat pod zadartym ku niebu ogonem.

- I od podaaatku woolne! Spieszcie, ludzie, bo miejsca limitowane! - dokończył bez zapału herold. Po czym zwinął papier z odezwą i znikł w drzwiach ratusza.

Debren próbował pójść w jego ślady. Nie udało się.

- Dokąd? - warknął sterczący przed progiem halabardnik w barwach miejskiej draberii.

- Do burmistrza - rzucił buńczucznie Debren. Był w lepszym ze swych kaftanów, z różdżką dumnie sterczącą z pochewki i w stożkowej półmerlince. Czapka trzymała się kudłatej głowy głównie dzięki związanemu pod brodą rzemykowi i po prawdzie wyglądała idiotycznie, ale tu, w konserwatywnym Anvaszu, jednoznacznie kojarzyła się ze studentem magii. Czyli z osobą poważną. Grzbiet księgi, wychylony z celowo niedosznurowanej torby, też powinien robić wrażenie. - Umówiony jestem. Znaczący, mistrz Factorby mnie przysłał, gdyż sam zaniemógł nagle i...

- Burmistrz zajęty. - Drab przemyślał widać kwestię mistrza, czapki i całej reszty, bo dodał łagodniej: - Z rajcami radzi. Widzisz, co się dzieje.

Prawdę mówiąc, Debren, oszołomiony mnogością szyldów, kramów i sklepów w podcieniach oraz nieustannie przeliczający tutejsze ceny na lełońskie, na nic więcej nie zwrócił uwagi. No - póki nie usłyszał o dziewicach. Dopiero teraz dopatrzył się elementów w miejskim pejzażu nietypowych. Jak choćby furmanek, wypełniających wydzieloną linami połowę rynku; furmanek, które

wyładowano dobytkiem, ale z których nikt niczego nie sprzedawał. Albo wieśniaków, palących między nimi ogniska. Czy wreszcie - co najbardziej go zaskoczyło - łuczników i kuszników na dachach ratusza i pobliskich kamienic. Strzelcy, choć jakby znudzeni, spoglądali raczej w niebo niż w dół.

Rozruchy? Lelońskie kroniki, głównie rządowa „Mównica Ludu”, raz po raz donosiły z satysfakcją o głodowych rozruchach wschodniego proletariatu, ciemżonego ponad ludzką miarę przez zachłannych baronów. Ale po Akademii krążyły i drugoobiegowe ulotki opozycjonistów, z których wynikało, że rządowi kronikarze przesadnie szkalują feudalizm, łżą i uprawiają propagandę. Trochę się więc gubił w tym, jak jest naprawdę.

A może król przejazdem zabawi, a ci w górze to jakowys ochroniarze?

Zerknął niżej, wypatrując wtopionych w tłum agentów sekretnych służb. Nikogo takiego nie dostrzegł, za to wyłowił spojrzenie wymierzone... w niego? Nie był pewien. I nie był pewien, czyje właściwie: długowłosego mężczyzny w żółtych rajtuzach, stojącego w głębi ratuszowego przedsionka, czy sokoła, siedzącego tamtemu na ramieniu. Obaj, człowiek i jego ptak, kryli się w cieniu i na dobrą sprawę mogli patrzeć całkiem gdzie indziej. Poczul się jednak nieswojo i szybko odwrócił wzrok.

- W oberży poczekaj - poradził mu halabardnik. - O tam, w „Uciesznym Rogu”. Jakby co, zawołają.

Debren posłusznie pomaszerował w kierunku wskazanej uliczki. Po całonocnej podróży był głodny i senny. Factorby poskąpił na porządny przejazd i posłał go zaprzężonym w woły wozem dostawcy opału, powolnym i niewygodnym jak cholera, ale przynajmniej zadbał o wikt i kwaterę. Akredytywa Królewskiej Gildii Magów niosła obietnicę uczciwego posiłku. Mistrz niby też karmił uczciwie;

trudno powiedzieć, by Debren chodził głodny. Tyle że podstawą jego czeladniczej diety był glutowaty pudding, który, przyprawiony taką czy inną iluzją, miał udawać stek, chrupiącą bułę czy kołacz z rodzinami. W iluzjach kulinarnych Factorby był jednak kiepski, więc Debrenowi coraz częściej śniły się prawdziwe lełońskie kiełbasy, wędzone na czarno i suto przyprawione czosnkiem. Pewnie, że w anvaskiej gospodzie, serwującej tradycyjne tu ryby, frytki z rzepy i parówki robione chyba na bazie mielonego pergaminu, normalny Lelończyk rozkoszy nie zazna - lecz przynajmniej nie uraczą go kolejną papką.

W złej chwili pomyślał o tej papce.

- Poczwarą! - powitał go tuż za rogiem dziecięcy pisk. Coś miękko, wilgotnie plasnęło o udo. - Paskuda!

Grody, nawet te anvaskie, dobrze brukowane i częściej sprzątane, obfitują w rozmaite papkowate substancje, ale Debrenowi nie dopisało szczęście. Żadne tam błoto, koński bobek, ogryzek czy szczurze truchło. Oberwał tym, co najgorsze: grudą ludzkiego kału.

- Zezolka! - wrzasnął triumfalnie ośmiolatek, który moment wcześniej zręcznym unikiem zszedł z drogi nadlatującemu pociskowi. - Niema i ślepa w dodatku!

Przesadzał: kobieta, która mierzyła w niego, a trafiła w Debrena, ślepa zdecydowanie nie była. Oczy to właściwie wszystko, co dało się dostrzec z jej twarzy, z góry przesłoniętej kapturem, a od dołu chustą - lecz żadną miarą nie były to oczy niewidomej. Zbyt wiele blasku w nich płonęło. I chyba... Debren nie miał pewności, bo prawie od razu odwróciła się i umknęła... ale chyba za ładne były.

Jej plecami zdążył się lepiej przyjrzeć, nim znikła za najbliższym kramem. Była chuda, ubrana w bure, brudne szmaty. Oraz bosa, co w Anvashu oznaczało prawdziwą biedę. Jej przeciwnicy - pół tuzina chłopców i dziewczynek w wieku od lat pięciu do dziesięciu - choć

też na patrycjuszowskie dzieci nie wyglądali, bez wyjątku nosili drewniaki lub chodaki. Coś w rodzaju butów miała nawet siedząca przed drzwiami „Ucieszego Rogu” owrzodzona starucha, trudniąca się żebractwem.

- Wywłoka! - zaskrzeczała, odgrządzając się miską na datki. - Suka grzeszna! Ludziom zarobić nie daje! Apetyt gościom psuje! Ruch w oberży umniejsza! Bezbożnica! Wstydu nie masz!

Dzieciarnię wymiotło sprzed gospody. Czmychając, malcy przezornie wyrzucali grudy błota i końskiego nawozu: najwyraźniej pociski latały wcześniej w obie strony. Debren zastanawiał się przez chwilę, o co poszło i kim była uciekinierka. Dość szybko znalazł odpowiedź.

Zakryta twarz i bezbożność? Oczywiście: temmozanka! Anvash miał sporo zamorskich kolonii i faktorii handlowych w krainach zamieszkiwanych przez pogan. Kobieta musiała pochodzić właśnie stamtąd, z Południa, gdzie większość narodów wielbi proroka Temmo. Dziwaka, co to wymyślił, by niewiasty chodziły z osłoniętym licem. Wielu takich jak ona, kolorowych, często nie znających anvaskiego, przypląywało od lat na Wyspy. Najpierw jako niewolnicy, teraz po prostu w poszukiwaniu lepszego życia.

Cóż, nie jego sprawa. Jego sprawa to plama na udzie. Z „Ucieszego Rogu” pachniało pieczystym, ale wpierw musiał ukryć się za stojącym nieopodal furgonem i dyskretnie oczyścić ubranie tudzież honor.

Rozejrzał się, uniósł dół kaftana i zaczął rozsznurowywać nogawice. W chwilę później, wyczuwszy na sobie czyjeś spojrzenie, zastygł w bezruchu. Z daleka wyglądał jak ktoś obsikujący koło. W biały dzień, przed oberżą. Czort wie, jak tutejsze prawo traktuje tego typu występki.

Na szczęście u wylotu ulicy mignęła mu nie halabarda draba, a

jasny brzuch sokoła. Dostrzegł łydkę w żółtych rajtuzach i kanciasty, mocno wywatowany - chyba właśnie z myślą o ptasich szponach - naramiennik bordowego kaftana. Zaraz potem ptak i jego pan znikli.

Odczekał dwa pacierze, wypatrując sokolnika. Uspokojony, zaczął usuwać plamę. Poszło nieźle: czar wydał sukno, strzyknął łajnem o koło i ziemię. Tylko parę drobin osiadło na ciżmie. Przy okazji, z napisu na płachcie, dowiedział się, że furgon należy do Kompanii Wozobrońców Boomhonsa - cokolwiek to znaczyło. No, a dzięki rozdarciu w powłoce odkrył kolejną kuszę strzegącą nieba nad Trickleley.

Inna sprawa, że ta była bardziej balistą niż ręczną bronią. Zamontowana na obrotowej kolumnie sterczącej z dna pojazdu, rozmiarami pasowała do sporego okrętu.

- Szukacie czegoś, panie magik?

Spłoszony, odskoczył od wozu. Spod belki z miedzianym kuflem, oznaką wyszynku, przyglądał mu się niewysoki osobnik w średnim wieku i aksamitnym kołpaku ozdobionym wielgachnym pękiem piór. Był w kolczej półbroi i przy kordzie, ale to głównie ozdoba kołpaka przyciągała uwagę: niejeden rycerz gustujący w piórach nie mógł się pochwalić taką ich liczbą na najbardziej paradnym z hełmów. Inna rzecz, że rycerze używali barwnego opierzenia ptactwa egzotycznego, względnie dawali czuby do pokolorowania. Ten tutaj wyglądał, jakby oskubał spore stadko sokołów, orłów i gołębi. Które to ptaki, jak wiadomo, urodziwym opierzeniem nie imponują.

- Go... gospody - wyjąkał Debren. Został przyłapany na czymś, co być może było karalne (błąkała mu się po głowie anwaska dewiza: „Moja chałupa jest mym zamkiem” i opowieści o ekscentrycznych wyspiarzach, potrafiących poczęstować kogoś strzałą za to tylko, że wlaźł bez pytania w obejście).

- Gospoda jest tu, panie magik. Tamto to wóz.

Pierzasty nie kazał Debrenowi wejść, po prostu wymownie usunął się przed progu. Ale chłopak ruszył ku drzwiom jak zombiec, ślepo posłuszny woli nekromanty.

Dłoń o paznokciach jak szpony chwyciła go za kolano.

- Mów oberżyscie, zem to ja cię zachęciła - upomniała się żebraczka. - Do jadła, picia, noclegowania i pochędożki. A o tamtej mów, że cię głównem potraktowała.

No tak, feudalizm. Wiedział, że wielu ludzi z tego tu właśnie żyje: z namawiania innych do wydawania pieniędzy. W sumie miało to swój urok, zwłaszcza dla kogoś, kto przyplłynął z kraju, gdzie każdy bezowocnie próbował coś kupić czy nająć fachowca.

Oberżysta dopadł go zaraz za drzwiami.

- Akredytywa Gildii? - ucieszył się. - Ha! Mam dla was alkierz z widokiem na rynek! Na panny popatrzycie, z łoża nie wstając! A i szafot widać! Jak się wam poszczęści, może egzekucją sobie pobyt umilicie? A już odybieniem to na pewno. Najechało się wieśniaków, paskudzą po kątach, klną i chlają, więc niechybnie paru w dyby trafi. Tak, paniczu, „Ucieszny Róg” wiele uciech oferuje. Dobry wybór. A właśnie... Ktoś nas rekomendował?

- Eee... owa... niewiasta - wskazał wejście Debren.

- Niewiasta? - Gospodarza chyba zdziwiło to słowo.

- Dwie były. - Debren sam nie wiedział, co go naszło. - Starsza i... A ta młodsza... ona też wam...?

Dżuma i syfilis. Miał wrażenie, że wszyscy zaczęli się na niego gapić: nie tylko oberżysta, lecz i goście. Wielu ich nie było, za to ci, co byli, należeli do gatunku, którego uwagi lepiej przyciągać. Zbrojni, w liczbie pół tuzina. Niby nosili się na zielono i buro, więc barwą jednolicie, ale widać było, że to żadne wojsko, poczet czy miejska milicja. Wyglądali jak leśna banda, co to zaszła do

przydrożnej karczmy, by przepijać wzięte na kupcach łupy.

- Prawo zabrania - skrzywił się boleśnie oberżysta - gonić żebraka sprzed lokalu publicznego. A skoro już starucha przesiaduje, pomyślałem: niech jakiś pożytek z niej będzie. Przechodniowi apetytu narobi, jadło chwaląc. A i własnym widokiem też.

- Widokiem? - zdziwił się Debren.

- Zbadano - oświecił go oberżysta - iż widok głodnego wzmacnia chęć, by samemu coś zjeść. Tak że obroty mi wzrosły. No, to potem ta Amma przylazła... - westchnął. - Ale jak wam komfort pobytu psuje... Pergamin przyniosę - ożywił się. - Skargę ułożymy, w ratuszu się przedłoży...

- Nie, nie - przestraszył się Debren. - Ko... komfort to tu macie bardzo przedni.

Mówił szczerze: w porównaniu z lełońskimi karczmami wewnątrz biesiadnej izby imponowało luksusem. Okna duże i nie dość, że szklone, to w większości szybami, a nie, jak w kraju, głównie drewnianymi ramkami do podtrzymywania maleńkich szybek - najczęściej zresztą, z uwagi na przejściowe problemy branży hutniczej, zastępowanych błoną. Jakby mało było słonecznego blasku, znajdował się tu jeszcze kominek - z ogniem, choć to lato - oraz pół kopy uchwyków na pochodnie i lampki. Zamiast klepiska deski, zamiast słomy trociny, ławy oheblowane... Pałac po prostu. Nawet dziewczka służebna nie była umorusanym, bosonogim popychadłem do wszystkiego, a obutą w depholskie drewniaki nositacką, przepasaną typowym dla tej profesji fartuszkiem z naszytą sakiewką na monety i drugą, większą, na szmatę do przecierania blatów.

- Żal - rozległ się głos Pierzastego - że długo tu nie popasacie, panie magik.

Debren ograniczył się do zerknięcia mu w twarz.

- Wiem, czego tu szukasz, chłopcze - ciągnął Pierzasty. Któryś ze zbrojnych dźwignął się znad miski, stanął u jego boku, poprawiając pas, obciążony korbową windą do ciężkiej kuszy. - Ale ci powiem: zaniechaj. Dla własnego i innych zdrowia.

- Burmistrz mnie wezwał - powiedział Debren głosem, który chyba nie drżał. Chyba.

- To dla mężczyzn robota. A ty, idę o zakład, jeszcze nawet babie, jak trza, nie poradzisz.

Dżuma i syfilis. Debren sam nie postawiłby wiele w takim zakładzie. To znaczy: wierzył, że gdyby przyszło co do czego... Chwilami to aż głupiał od widoku tych dziewczyn czy - tfu, tfu - białogłów, z którymi by chętnie... No, ale prawda była taka, że jak dotąd jeszcze nigdy...

- A po mojemu - przemówił znienacka ten z windą - babie to on wydoli. Pół talara stawiam - wyciągnął dłoń, podsuwając ją Pierzastemu. - Przybijesz?

Kompani przy stole zarechotali.

- Ty, Kobert - rzucił któryś - to i w piekle z diabłem o zakład pójdiesz, że cię w kocioł nie wepchnie.

- Przybij mu, Boomhons - zachęcił Pierzastego inny. - W tej dziurze za dwa grosze cycatą dawkę najmiesz, co takiemu młodzikowi dobrze uczyni w pacierz. I trzynaście groszy twoje. Łatwy zarobek.

- Burmistrz mnie wezwał - powtórzył Debren. - U mistrza magii Factorby'ego terminuję. Znaczy, praktykę wakacyjną odbywam - poprawił się. - On sam miał tu...

- Factorby? - roześmiał się Boomhons. - Ten iluzjonista? Słyszycie? Burmistrz po maga od iluzji posłał!

- Dziwnie gadasz, złotodziobie - zauważył Kobert. - Skąd jesteś? Nie z Conshonii aby? Nie lubię Conshończyków. Głupie, harde,

wiecznie dyskutujące góralskie ćwoki w durnych kraciastych spódnicach. Miecz sam z pochwy...

- Jestem z Lelonii. - Debren przemilczał, że nosi jednobarwne nogawice. Nie chciał wyjść na hardego i dyskutującego. - Moja Akademia ma wymianę żaków z...

- He? Że jak?

- To w Sovro - odpowiedział Kobertowi wyłupiastooki kompan. - No, w każdym razie gdziesik za Drewnianą Kurtyną. W demokratycznych krajach.

- Nie wymądrzaj się, Puchacz.

- Lelonia to nie Sovro - bąknął Debren. Nikt go nie słuchał. Boomhons krzywił się z niesmakiem.

- Imigrant? I jeszcze demuch? Mało nam Czarnoludów, Beżowików i innej hołoty z Zapadniki? Jeszcze i was przyniosło? Zjeżdżają, miejsca pracy odbierają...

- Boomhonsowi korzeń zmiękł - zarechotał Kobert. - Już o zakład nie idzie. W Sovro wiadomo: demokracja, wszystko wspólne, a baby najsamprzód. To pewnie ze szczeniaka w dudkaniu mistrz.

Dłoń nadal trzymał wyciągniętą. Gdyby stał dalej albo darował sobie ten kawałek z korzeniem... Ale udało mu się rozzłościć Pierzastego. Dwie męskie ręce klasnęły o siebie, aż szyby w oknach zadrżały.

- Stoi! O pół talara!

Na szczęście oberżysta czuwał. Debren został złapany za łokieć i odciągnięty w kierunku schodów.

- To chodźcie obejrzyć ten alkierzyk, paniczu.



Obudziły go niewieście lamenty. Usiadł, zerknął, nie wstając z

łóżka. Szafot świecił pustką, w dyby też nikogo nie zakuto. Ale przed drzwiami do piwnic ratuszowych kłębił się tłum kobiet. Obok był odwach, więc w piwnicy pewnie areszt. Czyżby jednak rozruchy głodowe?

Podszedł do okna, by otworzyć i posłuchać, kiedy z tyłu skrzypnęły drzwi.

- Wyście jest ten magik od mistrza Factorby'ego?

Pytający miał czuprynę barwy słomy, trzynaście lat i wygląd obwiesia, ale Debren skupił uwagę na drugim z gości. Wyższym, chudym, dokładnie spowitym w bure gałgany, spod których jarzyły się oczy koloru piwa.

- Debren z Dumayki. - Musiał przełknąć ślinę. Spod wystrzępionej sukni wystawały ubłocone palce bosej stopy, a kwaśny odór brudnych szmat bił chyba bardziej od kobiety niż jej nieletniego towarzysza, ale to wszystko działo się w jego, Debrena, sypialni. Jakoś nie potrafił sobie przypomnieć podobnej sytuacji: obcej niewiasty i swego łóżka obok.

- Aha. A ja żem jest Joh, syn Joha Garncarza, a to moja siostra Amma. - Debren zaczął wykonywać niezgrabny skłon. - Dziewicą jest jak się patrzy. I da się wam wydudkać za niewielkie pieniądze.

Debren zastygł. Dziewica Amma, córka Joha Garncarza, też - na moment. Po czym grzmotnęła brata czymś wyszarpniętym spod opończy, co wyglądało jak mała drewniana taca, ale chyba tacą nie było, jako że po zderzeniu z głową Joha Młodszeo rozłożyło się niczym okładki księgi i rozsiało dookoła deszcz grudek mokrej gliny. Debren znów dostał lepką papką po nogawicach.

- Auuc! - wrzasnął trzynastolatek. Bez namysłu oddał siostrze kułakiem. - Zdurniałaś, świnió?

- Yyy-y! - wybełkotała, na poły gniewnie, na poły boleśnie. Nie powtórzyła jednak ciosu. Nim Debren ochłonął i dojrzał do

zadawania pytań, odłożyła tacę-księgę na zydęł. Pochylona nad bratem, zaczęła gwałtownie wymachiwać rękoma, układając dłonie i palce w dziwaczne figury. Wyglądało to trochę jak manualne rzucanie czarów, ale oczywiście nie miało z nimi nic wspólnego. Jedyłą rzeczą, od której trochę promieniowało magią, była ta rozpryskana po izbie glina. Ktoś ją wzbogacił zaklęciem, pewnie dla nadania lepszej kleistości.

Debren rozważał pomysł wywalenia ich za drzwi. Przeczuwał kłopoty. Ale Amma oprócz wielkich, piwnych oczu miała też ładne, ciemne brwi i długie rzęsy. A lat chyba dwa tuziny. Więc jeszcze jakby bardziej dziewczyna niż niedostępna, poważna niewiasta. No i tak się jakoś na nią zagapił, że nim dojrzał do decyzji, Joh klepnął się z rozmachem w umorusane czoło.

- Aaa... To żem ciut pokręcił, panie magik - wyznał bez szczególnej skruchy. - Bo ona gadać nie umie, bo bez tego ozora... - Dziewczyna wydała mało przyjazny odgłos. - I pojąć ją ciężko. Na machanki jeno, a komu by się chciało tych jej znaków uczyć; w rodzinie ja jeno trochę... Więc żem nie wyrozumiał. A Amma chciała rzec nie to, że dudkać się z wami będzie za pieniądze, bo z niej dziewica, jeno że chce się na powrót dziewicą stać. Żeby... - Joh popatrzył niepewnie na siostrę - żeby móc się dudkać za niewielkie pieniądze? - Bosa stopa gniewnie tupnęła o deski. - Nie? No to chyba o to idzie, że dużo wam za owe wszycie błony nie proponuje.

Debren nie był pewien, co czuje: ulgę czy rozczarowanie. Ale przynajmniej dojrzał do decyzji.

- Idźcie stąd - rzucił ponuro. - Idźcie, bo gospodarza wezwę. Jam nie krawiec.

Chłopak wybiegł z alkierza z ulgą. Dziewczyna...

Nie miał odwagi patrzeć, jak wychodzi. Ale wyszła. Bez słowa. Boso, bezgłośnie.

No i po kłopotcie.



W brzuchu burczało, a z ratusza jakoś po niego nie przysyłali. To Debrena nie martwiło. Martwił się, że przyślą, gdy akurat zasiądzie do wieczerzy, skutkiem czego jadło przepadnie - bo wszak poważnemu żakowi akademickiemu nie wypada prosić o odniesienie resztek na górę. Próbował więc czytać *Iluzjonizm stosowany*. Odrzucił księgę, gdy po raz trzeci przyłapał się na zaglądaniu do rozdziału „O zabiegach pierwszonocnych słów kilkoro”, w którym to rozdziale mistrz Lustberg pouczał, jak wywieść w pole pana młodego, gdy pannie młodej trafiła się mała foremna pierś, narośle, piętna, krosty i inne defekty urody albo - jak to elegancko ujął starej daty autor - „wypadek przy przełożeniu płotu okrakiem lubo dosiadanu konia męskim siodłem krytego, zakończon nadzianiem się na łęk i zerwaniem pieczęci cnoty dziewiczej”.

Dość. Nie myśleć o Ammie. Ani o tym, na jakim płocie jej się to przytrafiło. Jest brudna, biedna, nie mówi i śmierdzi. Ciska łajnem. A, i jest starsza od niego.

W końcu miał dość rodzących się w głowie wizji. Zszedł do biesiadnej. „Ucieszny Róg” zdążył zaroić się gośćmi. Zjawili się mularze, wracający z pracy przez oberżę; kupcy ze stołecznego Tamburka oblewali interes, ubity z prowincjuszami; trzy pary robiły do siebie słodkie oczy przy miodzie i piernikach; zamożne mieszcзки przyprowadziły pociechy na marimalskie desery, a same plotkowały zawzięcie; ponury pątnik dłubał w rybie... Boomhons z kompanią też tu byli, ale nie onieśmielali już Debrena. To Anvash: w co drugim grodzie strażę nie noszą kolczug i broni, a tylko pałki.

Wypatrzył wolny stół, zamówił u nositacki miskę polewki, zaczął

rozważać pomysł zamówienia piwa.

Nie zdążył zamówić. Przez smakowite zapachy z kuchni przedarł się lekki odór. Jakby znajomy.

Miękko opadła na ławkę po drugiej stronie stołu.

- O nie... - jęknął. - Znów?

Wyjęła spod opończy tę swoją niby-tacę. Tak naprawdę zaś płaskie, zamykane wiekiem pudełko o rozmiarach księgi, wypełnione wilgotną, wygładzoną gliną. Skojarzenie z księgą było o tyle zasadne, że w glince wykaligrafowano kilka zdań. Dłonie o krzywo poobcinanych - pewnie nożem - paznokciach zasłaniały większość tych niżej i Debrenowi mógł odczytać tylko pierwsze.

Napis głosił: „*Pomusz mi prosze*”.

- Mam ci pomóc? - wymruczał po paru momentach niezręcznej ciszy. Zawahał się, po czym dorzucił: - Pani?

Przesunęła dłonie.

„*Wołaj mnie Amma, prościej bendzie.*”

Dżuma i syfilis. Zawczasu wyczuła, że by chciał? A może i to, że najchętniej zdrobniłby imię do Amki albo nawet Amulki, zaś ją samą... Była młoda i całkiem dorosła zarazem, jej chudość tylko podkreślała pełny zarys bioder, a oczy miała jak gwiazdy. No i rozmawiała z nim o takich sprawach... Od samych słów robiło się gorąco. No dobrze: to jej brat rozmawiał. Ale potem już nie waliła Joha deską po łbie. Czyli coś było na rzeczy.

Milczał, zmieszany. Odstłoniła kolejny wiersz.

„*To nie bendzie trudne - głosił napis - tu fszyscy tenskniom do dziewic. Byle formalności speunić.*”

Przyglądał jej się, próbując przeniknąć barierę chusty. Bez powodzenia. Wyglądało na to, że pod chustą ma następną: materiał nie układał się jak na dziewczęcych policzkach. Może bolały ją zęby i obłożyła twarz kompresami? Albo to maseczka na niedoskonałości

cery? Kobiety, nawet na Zachodzie, cuda wyczyniają, by poprawić urodę, a przecież stosowane w krajach demokratycznych metody to ledwie wątle echo nowinek, którymi zasypują wschodni rynek tutejsi alchemicy. Demokratyczni alchemicy, wiadomo: nie mają kiedy pracować nad pachnidłami i mazidłami. Wszak pola atakują szkodniki, w tym stonka, co to ją zaraz po Wojnie Globalnej feudalni dywersanci rozsiewali, a na wolne państwa czyhają armie Paktu Kariatyckiego, zbrojne w trujące wapory.

„Pogadajmy pszy piwie. Ja pszyniose.”

Nim Debren zdążył zaprotestować, zamknęła tabliczkę-księgę, zerwała się od stołu i pobiegła w kierunku szynkwasu.

Czekała na piwo, kiedy napatoczył się ten tamburski kupiec. Nie bardzo mógł już stać bez podpierania się o ladę, ale właśnie dlatego tak gładko zniosło go ku dziewczynie. Sądząc po Johu, nie była temmozanką - to prawie wyłącznie Beżowicy o smągłej cerze, czarnych włosach i oczach, a i imiona się nie zgadzały - lecz kupiec nie mógł o tym wiedzieć. Powinien brać ją za imigrantkę z Wezyratu, Bliskiego Zachodu czy północnej Yougonii - i omijać szerokim łukiem. Wiadomo, jak wyznawcy Temmo traktują takich, co zbyt nachalnie wpatrują się w ich córki czy siostry, o zaczepianiu nie mówiąc.

A co dopiero takich, którzy zdzierają im kwefy.

Inna rzecz, że tego Debren nie był pewien: że tamburczyk zdarł. Nositacka akurat mu przesłoniła tych dwoje, przegapił kluczowy moment. Kiedy ponownie sięgnął wzrokiem pary przy szynkwasiu, Amma odskakiwała, przytrzymując oburącz chustę, a kupiec...

Trudno powiedzieć, czy bardziej biegł, czy rzygał - w każdym razie jedno i drugie szło mu zadziwiająco dobrze. Choć błyskawicznie znikł za drzwiami, szlak do nich oznakował znakomicie.

Paru tubylców rechotało, chłopcy Boomhonsa dołączyli do nich. Jakaś dziewczynka wypluła kawał kołacza i zaczęła płakać. Wyglądała na ciężko przestraszona.

- Wstydu nie ma! - poczerwieniała z pasji matka małej. - Między ludzi tak leżać, dzieciątka straszyć!

Jej kumy zaszemrały, dyskretniej, lecz równie jednoznacznie, a zdziwiony Debren wyzbył się resztek wątpliwości. Piorunujące spojrzenia i wygłaszane półgłosem komentarze wymierzone były w Ammę.

- Ciężkie porażenie urodą trickleyskich bab - zarechotał łysy drab z blizną na czole, ten, co zachęcał Boomhonsa do zakładu. - Takim to i smok nie stanie!

- Cham! - oburzyła się jedna z matek.

- Może cham - zgodził się, pociągając z kufła. - Ale wasz zbawca. Bez nas bestia wszystkie was tak... - wskazał zastygłą przy szynkwasię Ammę. - Do kosteczki. I nie myśl, że ci dzieciaki pomogą. Bydlę nie odróżni: matka, panna, mniszka, dajka czy inszy pies. Zeżre każdą, jak leci. Ja wam to mówię, Hadgold Przyłbica, a wiem, co mówię. Bo mi smoki nie pierwszyczna. O, tu - klepnął się po krzywo zrosniętym czole - tu mnie jeden pazurem chlasnął. I co? Na ciżmy poszedł, jaszczur chędożony.

Przez chwilę było cicho.

- Mama! - trwożliwy szept trzyletniej dziewczynki też słyhać było całkiem wyraźnie. - Ciociotup!

Amma drgnęła. Wyglądała na kogoś, kto walczy z ochotą pójścia w ślady tamburskiego kupca - i chyba nie tylko o wybieganie z izby szło, ale też o to drugie. Ujęła kufel obiema rękami i pod obstrzałem ludzkich spojrzeń przeniosła przez całą biesiadną aż na stół Debrena.

Usiadła. Debren z miejsca zaczął pić. Ludzie stopniowo wracali

do swoich spraw, gwar rozlewał się po izbie. Niektórzy płacili i wychodzili. Nositacka wytarła zarzyganą podłogę. Przestraszone dzieci wyplakiwały się w mamine spódnice. Te mniej przestraszone wyżerały łakocie porzucone przez beksy. Rudy ośmiolatek ruszył między stoły, niby bez celu, ale z wyraźnym zamiarem przyjrzenia się dziwnej pani z przesłoniętą twarzą.

Dziwna pani ścierała palcem wyżłobione w glinie słowa. Dopisała coś służącym za rylec gwoździem. Potem podsunęła tabliczkę Debrenowi. Trochę porażonemu odkryciem, że kilka deseczek i glina mogą nie tylko zastąpić papier, ale też czynić to po wielokroć, sprowadzając koszt słowa pisanego niemal do zera. Nawet na przodujących uczelniach, jak jego Akademia, gdzie stosowano nowoczesne, drogie tablice systemu „bielą po czerni”, który to system pozwalał na wielokrotny zapis w tym samym miejscu, znaczne sumy szły na zakup tak zwanej kredy, bez której, niestety, patent nie działał. A tu proszę...

Z roztargnieniem czytał, co w owej glinie napisano.

„Muszem być dziewicom. Inne nie chcom, a ludzie zginom jak sie rzadna nie znajdzie. A ja jestem niom naprawde, jeno mi błone podarł, ale to palcem, by fstydu narobić, a pszyjemności to jusz nie. Jak mi w sromotkę zajżysz to sam poznasz, zem się niom nie pószczala. Pomusz mi prosze. Dobrze zarobisz. Obiecuje ci puł nagrody co jom grud ustanowi. A zapłaty smokowej za mnie jak coś ótargujesz dla rodziny to i wiencej. Morze siedem od tózina? Jeno rzebyś ze mnom pojechau i do niego pszemuwił telepatiom. A jakby co, to skura tesz twoja. I zemby.”

Czytał, próbował zrozumieć. Nie on jeden.

- Mama... - rozległ się tuż obok przejęty chłopięcy głos. - A co to jest sromotka? Taka do puszczenia się?

Nositacka upuściła z wrażenia miotłę. Flirtująca panna rozejrzała

się w popłochu i - nie widząc innej alternatywy - zemdląca elegancko wprost w ramiona wybranka. Mama rudego podglądacza, sama też ruda, upodobniła się barwą policzków do skrytej pod czepkiem fryzury. Pątnik, dojadający resztkę ryby, zerwał się znad miski.

- Nie płacę! Cały apetyt mi odjęło!

Zaniepokojony oberżysta wyłonił się z kuchni.

- Jakże to: nie płacicie?

- Trzy tysiące mil - biadolił pątnik - pielgrzymki do Durdesu! Tuzin ostatnich na kolanach! Byle się grzesznych myśli wyzbyć! A tu mi w twarz ciskają babską...

- Nie kończ - ostrzegł go zakapturzony osobnik, usadowiony w cieniu kominka. - To słowo, publicznie użyte, będzie cię grzywnę kosztować. Zwłaszcza wypowiedziane przy dzieciach.

- Dzieciach?! - oburzył się pątnik. - Toć właśnie ów gówniarz owymi sprośnościami sypie!

- Mój Rykneh? - ujęła się za ośmiolatkiem matka. - To najlepszy w szkole sztubak! Prymus! Różgą może raz czy dwa oberwał, a i to po łapie! Za niewinne psoty jeno! Tyłeczek ma gładziusieńki, bez jednej blizny! Pokaż panu, Rykuś! No, zsuń portki! Pochwal się!

- Mama! - zaprotestował płaczliwie malec.

- Co za gród parszywy! - Pątnik trzasnął miską o stół. - Jużem się z chutliwości wyleczył! I co? Po ulicach się drą, dziewic szukając! Po gospodach o babskich przyrodzeniach krzyczą! Jak tu o Bogu myśleć? A ta mi jeszcze gołą rzyć zachwala! I to jaką? Męską! Tfu!

- Nie dziwota - odezwał się znienacka Boomhons - że takowy dopust Pan na was zesłał, niedobrzy ludzie.

W karczmie zrobiło się cicho.

- Znaczy... że niby jak? - zapytał oberżysta.

- To z upadku obyczajów, któren w Trickleby nastąpił.

- Ciekawe rzeczy prawicie, panie... - zawiesił głos ten

zakapturzony, siedzący przy kominku.

- Boomhons, wozobronca licencjonowany. Ten sam - podkreślił Pierzasty.

- Znaczy się, który? - Oberżysta nie kojarzył.

- Ten, co Bobina Czapę, zbója leśnego, oduczył na kupieckie wozy pod Chemasterem napadać. - Przez izbę przeleciał szmer: imię legendarnego rabusia sławne było w całym Viplanie. - Tudzież - Boomhons podniósł kołpak, prezentując kolekcję piór - w oblężeniu Barasu wszystkie ptaki łącznościowcom temmozan wybił. Przez co gród, od wieści odcięty, na duchu padł i skapitulował. I tenże - dokończył - który w Sovro trzy smoki latacze zlikwidował, kluczowe szlaki dla handlu oczyszczając.

- W Sovro? - zdziwił się Debren. - Tam dzikich smoków nie ma, które by przeciw władzy demokratycznej...

- Ba, w Sovro - wzruszył ramieniem kawaler spod okna. Drugie ramię obciążała mu omdlała panna, niepewna, czy już wypada odzyskać przytomność. - Ichnie smoki jak nasze indory ledwie. Wiadomo: smok to gadzina zmiennocieplna i we mróz nie polecą daleko, bo jej siły życiowej brak. Zaś w Sovro mrozy, że strach: spluniesz, to charki w locie zamarzną. No i wszędzie te białe niedźwiedzie. W tak niekorzystnych warunkach duży smok nijak nie przetrwa. A nawet jak jaki przetrwał, to z biedy zdechł, gdy demokracja nastąpiła. Ludzie zdychają, to co dopiero smok.

Panna uniosła powieki, posyłając mu pełne podziwu spojrzenie. Boomhons posłał pobłażliwy uśmiech.

- Smok, chłopcze, nie od ciepła czy zimna lata, jeno od wydzieliny magicznej, co mu wagę umniejsza. Lewitazyna się toto zwie. I z chuci płciowej się bierze.

- No nie! - poczerwieniał pątnik. - Znów o tym?!

- Rykneh, zatkaj uszy - okazała czujność matka prymusa. - Drugie

też, gówniarzu, nie myśl, że nie widzę!

- To najlepsza w grodzie oberża - oznajmił ponuro gospodarz „Uciesznego Rogu”. - Kler tu bywa i żona burmistrza. Może bylibyście więc łaskawi, panie Boomhons...

- Wasza opowieść - wsparł oberżystę ten w kapturze - o pornografię się ociera. A skoro smoka dotyczy, to nawet o tę twardą, z udziałem zwierząt i nieletnich.

- Dudkaj się - warknął Hadgold. - Ty co, jurysta?

- Zgadliście. - Zakapturzony siedział w cieniu, więc Debren nie widział jego twarzy. Dostrzegł za to wielkie stopy godne krasnoluda. - Mecenas Pirr, do usług.

- Toście powinni wiedzieć - wzruszył ramionami Boomhons - że pornografia to gadanie i rysowanie sprośności z myślą o wywołaniu niezdrowej ochoty. Znaczy: intencja się liczy. My zaś intencję mamy zgoła odmienną. Chuci ostudzić, nim jednej z drugą dziewicy, że tak niepornograficznie ujmę, wianek spadnie. Zaś konkretnie: połknięty zostanie. Wraz z całą dziewicą.

- A co ma do tego чуć? - rzuciła wyzywająco mama Rykneha. - Bo wszak o smoku mówicie.

- Nie słyszeliście, pani rajcowa? Toć od rana herold nawołuje, by się dziewice zgłaszały.

- By bestię ubłagać - powiedziała, wzruszając ramionami. Ale mało szczerze jej wyszło. - Wiadomo: gdy wróg na gród nastaje, z poselstwem śle się osoby, które agresji nie prowokują. Kapłanów, starców i niewinne...

- Tere-fere - rzucił złośliwie Kobert. - Założę się, że wam mężulo dokładnie wyłożył, czego gród od owych niewinnych ochotniczek oczekuje.

- Wychodzimy, Rykneh - ucięła dyskusję rajcowa. - Weź siostrę za rękę. A wy, oberżysto, łaskawie nie dopisujcie do rachunku tego

wyplutego ciastka. Nie dziecka wina, że z ust uroniło. Od takiego widoku każdy by uronił.

Oberżysta nie dyskutował.

- Mówicie - kawaler spod okna przemyślał sprawę - że z chuci smoka latanie. Jakoś mi się to nie widzi.

- A widzi ci się, smarku...? - Hadgold zaczął wstawać. Młodzik zbladł. Boomhons usadził kompana z powrotem.

- Pij, Przyłbica, póki możesz - przysunął mu kufel. - Bo smok to jednak smok. Człek nigdy nie wie, czy żyw spod jaskini wróci. Zna historia przypadki - powiódł wzrokiem po izbie - że całe miasta w perzynę poszły.

- Nasz... - Kawaler przełknął ślinę, ale nie wypadało mu całkiem zamilknąć: jego wybranka patrzyła i słuchała. - Nasz smok okrutnie stary. Nie podoła.

- Stary - zgodził się Boomhons. - Dlatego dobra kompania wozobrońców wam starczy, a nie rota błędnego rycerstwa. Tanio gród ocalicie. Bo błędni nawet w pojedynkę obłądne ceny mają, a co dopiero w kupie.

- Ale... ja względem owego latania. I chuci. No bo jak stary, to już... no wiecie. Więc gdyby po waszemu było i ta le... lewi... no, owa lewatywa smoka w górę niosła...

- Lewitazyna. Substancja, co grawitację obniża.

- Toby - dokończył triumfalnie kawaler - sążnia nie przeleciał. Tak jak starzec nie przeleci żadnej... znaczy... ten... chciałem rzec... nie w głowie mu amory.

- Ba - uśmiechnął się wozobrońca. - Nie przypadkiem lewitazyna z lewitacją się kojarzy. Tu i tam ciężar zmniejszeniu ulega. A kto z ludzi lewitować potrafi? He?

- Święci - odpowiedział pątnik. - I pustelnicy.

- Ojciec Ojców - dorzucił jeden z wozobrońców, wielkie, posępne

chłopisko o ascetycznym obliczu - jeno się nie afiszuje, bo mu na tanim poklasku nie zależy.

- Mnisi dubbijskiego obrządku... - dodał ktoś inny.

- Czarodzieje? - zastanowił się oberżysta.

- Krótko mówiąc - podsumował Boomhons - ci w ascezie żyjący. Co sił wiadomych w wiadomy sposób nie trwonią.

- To i księża! - Panna pokraśniała radośnie, dumna ze swego wkładu w dysputę. Większość zebranych, z jej oblubieńcem włącznie, posłała dziewczynie znaczące spojrzenia. Boomhons ulitował się i nie skomentował.

- A smok - wyjaśnił zamiast tego - gadem jest, z natury zimnym. Tudzież długowiecznym. Tedy raz, że chuć trzyma w ryzach, a dwa, iż może tak tuziny lat. Przez co zapas lewitazyny mu się nagromadza i latanie ułatwia.

- Eee - kawaler miał wątpliwości. - Pierwsze słyszę.

- Nie słyszałeś? Miłość uskrzydla - mruknął Pirr. Przez izbę przemknęła fala śmiechu.

- Bo to - wyjaśnił wozobronca - świeże ustalenia. A władze nie chcą, by owa wiedza między lud szła.

- Niby czemu?

- Zaraz by się namnożyło takich, co zamiast płodzić dzieci i podatników królom przysparzać, zaczęliby eksperymentować z ascezą i lataniem.

- Nasz król - zauważył któryś z mieszczan - nie byłby od tego, by sobie takowych lataczy zafundować. Można by Marimalczykom rzyć złościć, floty nie rozbudowując.

Rozgorzał spór na temat wyższości wojsk morskich nad powietrznymi tudzież anvaskich nad kontynentalnymi - a po prawdzie wszystkimi na świecie. Debrenowi skończyło się piwo. Niby służebna przyniosła polewkę, ale nie poprawiło to sytuacji.

- Może... - Debren postukał łyżką w brzeg miski - jesteś głodna?
„Mam tu jeść???” - napisała.

Pytanie: „A niby czemu nie?” nie przeszło Debrenowi przez usta. Zdążył poskładać co nieco do kupy.

- Jesteś...? Znaczy... twoja twarz... To trąd, tak?

Pomstowanie żebraczki, zarzygana przez kupca podłoga, „mama, ciociotup!” tej małej... Dżuma i syfilis, przecież nawet zrozumiał! Tylko na myśl mu przyszła chudość Ammy, a nie... Cóż - różnice kulturowe. Na Zachodzie demokratyczne państwo troszczyło się o poddanych. Feudalny liberalizm Wschodu zakładał, że każdy ma się troszczyć sam o siebie. Więc trędowaci chodzili tu samopas, gdzie chcieli, w strojach, jakie im pasowały - i bez kołatek, w Lelonii obowiązkowo ostrzegających zdrowych.

„Nie buj się” - napisała.

- Nie boję się. - Mogła nie wierzyć, więc dodał: - To mało zaraźliwe. Wiem, bośmy na Akademii przerabiali...

„Nie mam trondu.”

- Jedz. - Podsunął jej miskę. Natychmiast sięgnęła po łyżkę. Starannie, choć drżącą z pośpiechu dłonią, rozgniotła kawałek mięsa, dobrała kaszy i marchwi, uniosła brzeg chusty. Ktoś ciekawski, by zajrzeć pod płótno, musiałby wpakować łeb między nią a miskę. Mimo to Debren wyłowił zniesmaczone lub wręcz oburzone spojrzenia.

- Do czego ci to dziewictwo? - zapytał cicho.

Żuła to, co wepchnęła do ust. Długo jakoś.

„Dziewicy szukajom, by smoka ubiła. Nagroda durza.”

- I niby ty byś go miała...?

Następna łyżka. Coś poprawiła palcem przy ustach. Obok, na chuście, wykwitła wilgotna plamka, ale Debrena zaprzętał problem smoka i dziewicy.

Smok i panna? Takie bajania to u bardów, no i w innej erze. W zatechłym, ciemnym wczesnowieczu, najlepiej za siedmioma morzami. Ale we współczesnym, średniowiecznym, przodującym cywilizacyjnie Anvaszu?

„Nie wiesz? Smoki som łase na panny cnotliwe. Wienc dziewica podejść takiego morze i ubić znie nacka.”

- Przesiadam się - burknął ktoś za plecami Debrena. - Bo rzygnę. Nijakiej kultury, dajka mać.

Amma opuściła głowę, lecz jadła nadal. Głód, zwolniony z uwięzi, wygrywał z potrzebą zachowania twarzy.

Może dlatego, że trochę mało było do zachowywania?

Debren zdał sobie nagle sprawę, co oznaczają te plamy, rosnące na okrywających jej policzki kawałkach płótna. Po prostu... chusta nie policzki okrywała. Może zęby. Ale nie ciało, zdolne zatrzymać polewkę w ustach.

Trochę go zemdliło. Był magiem, więc tylko trochę.

- Co to za smok? - zapytał słabym głosem.

„Smok s Triklej go wołajom. Ogniem szczyka i lata. Dwa wozy spalił i most. Kmiecie do grodu umykajom.”

To tłumaczyło obecność strzelców na dachach. Ale to gadanie o dziewicy, zabijającej znieacka...

- Można? - Zakapturzony i owinięty w luźną opończę mężczyzna usiadł obok Ammy. - Jestem mecenas Pirr, jurysta wyaplikowany. Ale niektórzy wołają mnie Gruszka.

Nie było sensu pytać, czemu tak wołają. Wielkie szczęki, nieproporcjonalnie szerokie w stosunku do górnej części głowy, jeszcze bardziej poszerzała broda. Poza zarostem - co niewielu potrafiło wyczuć - oblicze Pirra oblepiało iluzyjne zakłęcie plastyczne. Z tych retuszujących marną urodę. Było drogie, więc Debren zorientował się dopiero, gdy siedli oko w oko. Po wakacjach

czekało go zaliczenie z czaroznawstwa polowego, więc dla wprawy przeskanował pasywnie i sklasyfikował czar. Pasma EWt, czyli magia wody na poziomie eksperckim z podtrzymaniem trawiennym. Stabilizowane czymś zapewne, ale stabilizatora bez aktywnego skanu nie umiał wyczuć.

Drugiego zakłęcia, maskującego garb, już sobie jurysta nie zafundował. Aż tyle wyaplikowani mecenasi widocznie tu nie zarabiali. Nawiasem mówiąc, z nieproporcjonalnie masywną górą i wąskimi biodrami także tułów Pirra wyglądał nieco gruszkowano. Tylko na opak.

„*Ić precz!!!*” - napisała Amma. Jediną reakcją garbatego był szerszy uśmiech. Inna sprawa, że i szerszy nie odsłaniał zębów. Debren pomyślał, że może to z zębami prawnik ma kłopot. Choć raczej ze skórą: sugerowały to zdobione złotymi ćwiekami rękawice. Z drugiej strony, niektórzy jadaliby w takich dla zadania szyku.

Debrenowi bardziej zaimponował zapach mecenasa. Starozulijskie przysłowie powiada: „Pieniądze nie śmierdzą”. Nie bardzo się to sprawdzało dziś, w średniowieczu, bo nawet od zamożnych czuć brudną bielizną - tyle że spod pachnideł. Te bowiem od końca wieków wczesnych systematycznie taniały. Odwrotnie niż drożące z roku na rok opał, mydła, praczki, a w przypadku grodów - tereny pod budowę łaźni i usługi woziwodów. Czasem jednak spotykało się elegantów, a głównie elegantki, nie żałujące grosza na codzienne kąpiele i zmieniane co rano kalesony. Ale latem, po gorącym dniu i obnoszeniu się w szykownym, więc z definicji grubym ubiorze, nawet eleganta czuć już było potem. Tylko naprawdę drogie pachnidła potrafiły stłumić tę woń - i u Pirra właśnie tłumiki. Dziwne, bo pachniał słabo, w dodatku pospolitą mieszanką łąkowych ziół, o której jeden z arbitrow elegancji pisał, że na milę, jak odór gnoju, zdradza wieśniaczkę. Arbiter, zdaniem

Debrena, był kretynem, bo sianele (tak się to nazywało, ponoć od słowa „siano”, jako że producenci skupowali surowce przy okazji koszenia łąk) dawały miły aromat za rozsądną cenę. Sławny Sianel Numer Pięć z *Pachnidlarza Viplańskiego* Armaniora bywał nawet dodawany do najbardziej ekskluzywnych perfum, tych na bazie błękitnych róż, orchidei z Bumbobangi, moczu wodnika i suszonych sutków syreny. Fakt faktem jednak, że czyste pachnidła sianelowe prestiżu nie budowały.

Wyglądało na to, że Pirr ma w nosie mody i kieruje się rozumem.

- Pani - burknął - chyba chce, byście sobie poszli.

- Pani? - powtórzył jurysta. - Ty jeden Ammę Poczwarę panią tytułujesz. Bo tak ją wołają. Poczwara.

Debren zawahał się, lecz zaraz potem jego dłoń opadła na pochwę z różdżką.

Przy stołach zrobiło się ciszej. Czarodzieje sięgają po różdżki rzadziej niż rycerze po miecz, ale jeśli już, ofiar w ludziach bywa nawet więcej.

- Spokojnie - mruknął Pirr. - Bez głupstw, chłopcze.

Amma wychyliła się i złapała Debrena za rękę. Ich czoła niemal się zetknęły.

- No nie! - Hadgold splunął. - Boćkać się będą? Hej, magiku! W chlewie z knurem się obśliniaj, jak ci perwersyjne spółkowanie miłe! Tu się piwo pije!

- Spokojnie - powtórzył Pirr. Debren cofnął rękę od różdżki. Amma też się cofnęła. Złapała tabliczkę i rylec, zaczęła pisać. - Chcesz jej pomóc? Nie pomożesz, burdy w karczmach wszczynając.

Racja. Debren uniósł kufel, dopił resztkę piwa.

- Czego chcecie, panie jurysto? - zapytał.

- Byś... - uśmiech uniósł kącik szerokich jak u żaby ust - Ammie w głupich przedsięwzięciach nie asystował.

„Nie słuchaj go. Baron go najoł. Łazi za mnom i ludzi straszy. Ale to thurz. Pszegnaj go.”

- Tchórz? - wzruszył ramionami Pirr. - A może po prostu: człek rozumny? Ty też bądź rozumny, Debren. Nie mieszaj się w sprawy, które cię przerastają.

- Straszycie mnie?

- Ostrzegam. Jurysta prawem wojuje, nie groźbami.

- Co to za baron was przysłał?

- Opp Trickley, pierworodny syn pana tej ziemi. Ale nie przysłał mnie. Wyjechał, na twoje szczęście.

Debren przymierzał się do rzucenia Pirrowi w twarz, że może to baron powinien mówić o szczęściu.

- Hej, wy tam! - zawołał Hadgold. - Jednak się przy was piwa ze smakiem pić nie da! Won, jeśli łaska!

- Z niewiastą rozmawiam! - warknął Debren. - Której czci ubliżasz! Lepiej miarkuj słowa, stróżu wozów!

Przeholował. Pirr, skrzywiony boleśnie, odsunął się na koniec ławy, byle dalej od nadciągających kłopotów.

- Stróżu?! - Łysol uniósł się znad stołu.

- Niewiasta? - zakpił Boomhons. - To jej dogódź! - Pośmiał się z własnego żartu, ale potem przyszło olśnienie. - Ha, Kobert! Zakład mieliśmy. I oto okazja.

Ludzie, ci, co jeszcze nie wyszli, w pośpiechu rzucali monety na stoły i opuszczali oberżę. Gospodarz, jak na złość, przepadł. Nositacka, czując pismo nosem, umknęła na zaplecze, mamrocąc o brakującym piwie.

- Chędoż się - wzruszył ramionami Kobert. - Ona się nie liczy. Niewiasta ma być, nie potwór. Może od razu Cohshończyka gówniarzowi nadstawisz? Też w spódnicy.

Amma sięgnęła po tabliczkę, pisała szybko.

- Baba to baba. - Boomhons przytrzymał Hadgolda za pas. - Rozdziewaj się, panienko. Pokaż niedowiarkowi, że się liczysz bardziej niż Conshończyk. Że i cycki pod tymi szmatami nosisz, i...

- Jeszcze jedno słowo - rzucił czerwony ze złości, strachu i przejęcia Debren - a pożałujesz!

Zerwał się od stołu, próbował wyciągnąć różdżkę.

- Lepiej nie - ostrzegł Pirr. - To broń. Całkiem inny paragraf.

No tak, prawda. Nie wolno pierwszemu wyciągać broni. W Anvaszu zwracali na to uwagę, podczas gdy w Lelonii sędziego interesowała nie jakaś tam chronologia, a kto komu bardziej ucho odrąbał. Dziwaczny kraj.

- Dzieci i baby wyszły? - Boomhons spojrzał po izbie. - Ha, wszyscy wyszli, widzę. Mądrzy ludzie. Bo Hadgoldowi lepiej pod topór nie leżć, gdy zły. Przyłbica go zwa, bo gdy w bój ruszy, to jak rycerz w przyłbicy: wali na oślep, nie patrząc po kim. I za cholere go nie zatrzymasz, bo łeb ma odporny też jak hełm. Widzisz: smok mu nie poradził. Więc lepiej z dziewczką się zmierz.

- Żadnych toporów - uprzedził jurysta.

- Nie trza toporów - zgodził się Boomhons. - Sami mężczyźni zostali, pomijając owego chłystka - wskazał Debrena. - Tedy nikt zgorszenia nie dozna, dla delikatnej psychiki szkodliwego, gdy chłystek dziewczkę przechędoży. No już, piękna, na szynkwas, kiecka w górę, tyłek wypnij. Nie bój się, żaden z nas palcem cię nie tknie. Jenó twój rycerzyk dzielny. Więc to - wyszczerzył zęby w stronę jurysty - nijaki gwałt.

- Znam czobo - wykrztusił Debren. - Uprzedzam!

- Kogo znasz? - nie zrozumiał Kobert.

- Czobo - podpowiedział mu wylupiastooki. - Skrót taki. Tłumaczy się: czarodziejska obrona bez oręża.

- Nie wymądrzaj się, Puchacz!

Amma wysunęła tabliczkę w stronę wozobrońców. Drugą ręką sięgnęła pod opończę.

- Jak mu jajca urwę - Hadgold popatrzył z nadzieją na dowódcę - i dziewczę wsadzę, to się będzie liczyć?

Kobert i Boomhons zawahali się.

- Pewnie że tak! - orzekł drażal o twarzy ascety. - Bo cóż znaczy: babie dogodzić? Nasieniem ją dobrze wypełnić, prawda?

- A nie rozkoszy dostarczyć? - zastanowił się z krzywym uśmiechem Pirr.

Hadgold, szczerząc zęby, ruszył przez izbę. Debren odskoczył, złapał za pochewkę z różdżką. Pirr, nie wiedząc czemu, przekrzywił głowę, nieomal gubiąc kaptur.

- Stać, bo wywałę? - Zdziwienie w jego głosie udzieliło się pozostałym; nawet Przyłbica stanął, próbując zrozumieć, w czym rzecz. Jurysta opuścił niżej głowę, prawie dotknął uchem kolana. - Aaa, nie... „Bo wypalę.” Macie stać, bo ona wypali.

Debren zrozumiał, że czyta z tabliczki. Amma trzymała ją odwrotnie. Ale ważniejsze było to, co ścisnęła w lewej ręce. Tej wyciągniętej spod opończy.

- Że jak? - zmarszczył brwi Boomhons. - A cóż to?

Dziewczyna położyła tabliczkę na stole, zaczęła pisać. W lewej ręce trzymała długi na stopę przedmiot, będący połączeniem wygiętego kija z żelaznym, wydrążonym prętem - tak zwaną rurą. Z mniejszych części były tam obejmy, trzymające całość w kupie, jęczyczek - jakby mały spust kuszy - oraz tarczka z uchwytem, też kojarząca się z kuszą, a konkretnie kołowrotem do jej napinania. Do prawdziwej, kuszowej windy, jaką nosił Kobert, miało się jednak to maleństwo jak skrzat do krasnoluda.

- „Krócica kołowa gnomów” - odczytał Pirr z gliny.

- Wiem! - ucieszył się wyłupiastooki. - To taki arbalet sprężynowy,

jeno bez sprężyny!

- Nie wymądrzaj się, Puchacz... Arbalet? Niby że jak? Łęczyska nie ma, sprężyny nie ma? To skąd siła?

- Napęd alchemiczny - wyjaśnił Puchacz. Dziewczyna pisała pospiesznie. Jurysta odczytywał po kawałku:

- „Broń... palna... prochowa... przyszłościowym... orężem... głównym... któren... oblicze... wojen... odmieni...”

- Bzdura! - zniecierpliwił się Boomhons. - Główny, dobre sobie! Nie powiem, strzelectwo się rozwija, ale każde dziecko wie, że główny jest i pozostanie oręż biały! Miecz, włócznia, topór! Gnomy, obesrańce, jak zwykle towar wychwalają bez nijakiego umiaru i przyzwoitości!

Szarpnął coś pod szyją. Hadgold wykazał się refleksem. Złapał nadlatujący medalion.

- Ten amulet - poinformował zebranych Boomhons - magię znosi w promieniu trzech sążni. Trzymaj go, Przyłbica, a... - zachichotał - włos ci ze łba nie spadnie.

Amma uniosła ostrzegawczo kołową króćcę gnomów.

- Nie cała alchemia - powiedział szybko Debren - na magii się opiera. Taki jednosiarokodwuwęglodrewnian saletry przykładowo bez nijakich czarów da się...

- Że jak? - skrzywił się Boomhons.

- On chyba czarny proch ma na myśl...

- Zawrzyj pysk, Puchacz!!! A ty, Przyłbica, nie stercz jak słup! - Amma ujęła króćcę oburącz, wycelowała łysemu między oczy. - Nie bój się, to dobre do straszenia ptactwa, a tyś jest chłop na schwał.

- To hulajkula? - Hadgold, sposepniały nagle, stał i obracał amulet w garści. - Siekańcami nabita?

Amma, po chwili wahania, zaczęła pisać.

- „Kula... pełnego... kalibru” - odczytał Pirr.

- Siekańce do hulajkuli - nie wytrzymał Puchacz - w jadach maczają. Gnomy zwłaszcza. Pewien żeś - zwrócił się do dowódcy - że ten twój amulet zatrzyma...?

- Głuchyś?! - Boomhons grzmotnął pięścią o stół. - Kula pełnego kalibru! Znacząca rażąca uczciwie, impetem, a nie magią czy truczką!

- Trutki i czary - ostrzegł dziewczynę Pirr - pod ostrzejsze paragrafy podpadają.

Pociągnęła palcem po słowach: „*Peunego kalibru*”.

- Słyszysz, Hadgold? - podchwycił Boomhons. - Najwyżej kulka żelazną ci przywali. Jak nie w oko, to chędożyć ją. Słyszałem o tej prochowej broni. Przereklamowany szmelc. Huku dużo robi i dymu, tyle z niej pożytku. Prawda: konia czy kmiotka na śmierć wystraszy, a pocisk skaleczyć może, aleś ty wszak ni koń, ni kmiot. A alchemię mój amulet zniesie. Więc się nie bój, jeno łap magika.

Hadgold próbował. Niegłupio nawet, bo pochylając głowę jak szarżujący byk, co powinno ochronić oczy. I faktycznie uchroniło.

Amma nacisnęła spust, tarczka obróciła się ze zgrzytem, nad króciwą sypnęło paroma iskrami... i tyle.

- A nie mówiłem? - zatriumfował Boomhons.

Na szczęście Debren czuwał. Palce obu rąk i prawej stopy miał już złożone do stosownych czarów.

Telekinezą ze stopy trafił nie w nogi nadbiegającego, a w zydel, który wprawdzie padł, ale daleko za Hadgoldem. Gangarin chyba się udał, napastnik był jednak za blisko, by czekać i sprawdzać, co z jego błędniakiem. Debren dorzucił błyskawicę z lewej ręki i odskoczył.

Błyskawica trafiła fatalnie: w lśniącą łysinę wozobroncy. Łysinę osmałiło, Hadgold runął, lecz świetlny rykoszet poszedł w górę, odbił się od polerowanego reflektora lampy łojowej i trzasnął Debrena po oczach.

Oślepnąć nie oślepl: widział Ammę, skaczącą za stół i w pośpiechu kręcącą tarczką-kołowrotkiem, widział zrywających się z innego stołu wozobrońców. Ale przed oczyma latały mu kręgi i, co gorsze, koncentrację diabli wzięli. A wiadomo, że przy rzucaniu czarów to podstawa.

Z braku precyzji, użył prymitywnej siły: posiał po nadbiegających wachlarzowym, energożernym gangarinem.

Dwóch padło, Kobert złapał się słupa, krzycząc o trzęsieniu ziemi. Dobry wynik. Ale pozostało jeszcze trzech: Boomhons, który w ogóle nie raczył wstać, Puchacz, przełazący przez ławę i długowłosa, który szurnął ku wieszakowi z bronią. Żaden nie dostał w głowę.

A Hadgold... właśnie wstawał. Albo amulet tak dobrze działał, albo łeb miał faktycznie jak przyłbicę.

Debren cisnął w niego kuflem. Kufel, pchnięty już w locie telekinezą, rąbnął mocno i celnie - w czoło. Glinianymi odłamkami sypnęło po całej biesiadnej, a dwa czy trzy wytłukły nawet szybki w oknach. Normalny człowiek padłby bez przytomności po takim uderzeniu. Łysemu rozcięło skórę i zalało twarz krwią - lecz nic ponadto.

Rycząc, skoczył na Debrena. Amma zdzieliła go w głowę kolbą króćicy. Bez skutku: pobiegł dalej.

- Żadnej broni! - zaapelował Pirr. Po czym przezornie zanurkował w kąt przy kominku.

Miał rację: przestraszony i niemal pozbawiony mocy Debren wyciągnął różdżkę. Asceta cisnął sztyletem.

- Gdzie z nożem, Patyczek?! - wrzasnął Boomhons. - Mój zakład! Żywych brać!

Za późno. Debren, kosztem kłapnięcia na pośladki, zszedł ostrzu z drogi, ale zaraz potem długowłosa wozobrońca strzelił do niego z

kuszy.

Debren wyraźnie widział szeroki grot i wyraźnie nie widział brzechwy. Co oznaczało, że znalazł się dokładnie na jej przedłużeniu. Umarłby, gdyby pół momentu przed długowłosym za spust nie pociągnęła Amma.

Krócica gnomów zakreśliła karbowanym kołem, skrzesała snop iskier - i w końcu odpaliła ładunek jedno siarko dwuwęglo drewnianu saletry. Błysnęło i huknęło.

Bełt warknął Debrenowi nad głową. Długowłose, zdzielony w czoło kulą pełnego kalibru, padł między misy i kufle. Hadgold, zaskoczony hałasem, obejrzał się. Przegapił stół, zawadził, wylądował na brzuchu. Impet cisnął nim pod stopy Debrena. Oberwał dwa kopniaki i gangarina z różdżki. W końcu podziałało: dźwignął się wprawdzie na czworaki i próbował łapać chłopaka za kostkę, lecz czterech kończyn okazało się za mało na rozkołysany nagle świat. Dłoń chybiła, a wozobrońca padł i zamiast Debrena, kurczowo chwycił się stołowego krzyżulca. Ogłupiały błędnik uznał widocznie, że oberża chyli się na bok, chcąc wrzucić Hadgolda do kominka.

Kobert przestał krzyczeć o trzęsieniu ziemi. Nie puszczając słupa, obrzygał go. Puchacz i jeden z trafionych na początku ruszyli na Debrena, lecz wyraźnie bez przekonania, oglądając się na dowódcę. Boomhons wstał. Debren poderwał różdżkę, wycelował w jego stronę.

Teraz albo nigdy. Czuł, że padający Boomhons oznaczać będzie koniec walki, że tamtym zabrakło ducha i jedno dobre zaklęcie uczyni z niego, Debrena, zwycięzcę.

- Przyłbica, zdechlaku - rozbrzmiał w ciszy szyderczy głos wodza wozobrońców. - Pacholęciu się podołasz?

Niby nic, nawet nie okrzyk. Ale podziałało. Debrenowi nie chciało

się wierzyć, że aż tak.

Po pierwsze: chybił piorunem kulistym. Pioruny nie są za szybkie, ale właśnie dlatego bywają użyteczne: spuszczone z różdżki, nadal dają sobą kierować. Nie miał prawa nie trafić, nie z takiej odległości...

A po drugie: ten cholerny, niezniszczalny łysol znów się pozbierał i chwycił go za nogę.

Pacholę... Naprawdę wciąż był tylko...?

Piorun minął Boomhonsa o dobrą stopę i eksplodował na ścianie. Podmuch przemknął przez izbę. Kto jeszcze stał, klęczał czy siedział - upadł. Miski, kufle, sztucce, kaganki, nawet stołki latały po całej biesiadnej. A Debrenowi na chwilę wróciła nadzieja.

Nadal miał do dyspozycji trochę mocy. Wciąż mógł... To znaczy: jeśli dadzą mu odrobinę czasu.

Ręka Hadgolda zmiażdżyła mu łydkę. Jeszcze dwa, trzy takie ruchy, a łapska wozobrońcy dotrą w pobliże gardła Debrena. Albo przynajmniej dłoni ściskającej różdżkę. I będzie po wszystkim.

Na szczęście miał jeszcze drugą dłoń. A obok nóż. Fala podmuchu przyniosła też pół glinianego dzbana, łyżkę oraz miedziany półmisek - ale tylko nóż mógł przeważać szalę. Debren chwycił go bez namysłu, zamachnął się...

I tyle - wbić w ludzkie plecy nie potrafił. Przez trzy albo cztery momenty próbował - bez skutku.

A potem Hadgold podciągnął się wystarczająco blisko, machnął pięścią... i było po walce.

Kiedy się ocknął, dwaj wozobrońcy przyciskali jego łokcie do szynkwasu, a trzeci trzymał nóż przy gardle.

- Trup. - W drugim końcu izby Boomhons zakończył oględziny długowłosego. - Ha! To teraz szybko spłodzicie nowego, by grzech zmazać.

- Hej... - zaniepokoił się Kobert. - On ledwie co...

- ...pół oberży w pył obrócił - dokończył Boomhons. - Co znaczy, że sił mu nie brak. Jeno jajec. Com z miejsca mówił, aleś mnie nie słuchał. - Podchodząc, od niechcienia zagarnął kark gramolącej się z podłogi Ammy. - Więc szykuj pół talara. A ty, piękna, szykuj zadek.

Pirr wylazł z kąta, stał jednak z boku i milczał.

- Nie zrobię tego - powiedział cicho Debren. Głośnej deklaracji nie ryzykował: mogła brzmieć płaczliwie.

- Wolna wola - wzruszył ramionami Boomhons. - By jednak Kobert nie gadał, że oszukuję przy zakładach, zmotywuję cię, chłopcze. Więc albo ją - pchnął Ammę na szynkwias - wydudkasz, albo oberżnę ci klejnoty i dziewce w zadek wepchnę. Trudno - wyszczerzył zęby - o mocniejszy dowód bestialskiego gwałtu.

- Puść ją - wykrztusił Debren.

- Puszczę. Ciebie też. Starczy, że z grodu znikniesz i przestaniesz mi interesy psuć. Smok - ujął Debrena pod brodę - jest mój. Mój, rozumiesz?

- A cóż on ma do smoka? - zapytał Pirr.

- Myślicie, że po co burmistrz magika wezwał, panie jurysto? Nie wiem, jaką brudną sztuczką zamierzają gada ubić. Piorunami? - Boomhons wskazał zdemolowaną izbę. - Upodabniając do dziewicy owcę, wypchaną siarką? Raczej to drugie, skoro spec od iluzji zjechał. Ale ja nie zamierzam patrzeć, jak inni robotę mi kradną.

- Nie tknę smoka - obiecał Debren. - Żakiem jestem. Gdzie mi tam smoki łowić? Gdybym wiedział, że o to...

- Wiem - przerwał mu Boomhons. - By walczyć, trza być mężczyzną. Mogłeś pchnąć Przyłbicę tym nożem. A potem nas wszystkich wytłuc czarami. Dałbyś radę - powiedział spokojnie. - Aleś ty nie wojownik. I nigdy nim nie będziesz. Za miękki żeś. Widzę to w twych oczach.

- To go puść - wzruszył garbem jurysta.

- Miękki, mówię. Nie, że tchórz. Nie umie zabijać, więc zawsze przegra. Ale czy do walki nie stanie... Tego nie wiem. Głupek z niego. Idealista.

- Nie umie zabijać - przypomniał Pirr. - A na smoka i taki, co umie, to mało. Na smoka trzeba... mistrza.

- Ano właśnie - zgodził się wozobronca. - Więc lepiej na rozwścieczoną bestię nie leźć. A ten smark może ją czarami struć czy poranić. Nie chcę ryzykować. Ma stąd zniknąć. Zaś tego najlepiej baron dopilnuje.

- Baron? - zdziwił się Debren.

- Ślubował każdego na męki dać, kto tę tu Ammę srodze pokrzywdzi. A gwałt to całkiem sroga krzywda. Więc lepiej dudkaj ją po dobroci i umykaj. Bo po wywałaszeniu nie poradzisz. To boli i osłabia.

Debren zastanawiał się gorączkowo, co robić. Czuł pustkę w głowie. Bezsilność. I strach.

A potem zrobiło się jeszcze gorzej. Bo Amma przykucnęła, uniosła spódnicę. Spod brudnych łachmanów wyjrzały łydki i kolana. Białe rozpaczliwą bielą flag, wieszanych na murze kapitulującej twierdzy.

- Na stół - pchnął ją Kobert. Wyglądał na zmartwionego. - Poręczniej mu będzie. I rozdziej się. Może jak więcej golizny zobaczy... Tylko chusty nie ściągaj!

Popatrzyła na Debrena załzawionym spojrzeniem i zaczęła rozsznurowywać opończę. Oboje przegapili skrzypienie drzwi i stukot opieranego o deski drzewca.

- Któren to - zapytał znudzonym głosem halabardnik - jest magik od mistrza Factorby'ego? Bo burmistrz wzywają. Jeno żeby biegiem.



- Zaniemógł?! - Burmistrz Smih był pyzaty, nosił drogie szaty, a do nich, nie wiedzieć czemu, stary, rdzawy, mocno przyciasny kirys.
- Teraz akurat?! - Debren bezradnie wzruszył ramionami. - Psiakrew, tak to z wami jest, czarodziejami! Zawsze znikacie, gdyście potrzebni! A właśnie... Ty przypadkiem zniknąć nie umiesz? Znaczy, niewidzialnym się stać? Tak, by cichcem smoka podejść i zniecka... Ponoć u was w Sovro...

- Z Lelonii jestem - przypomniał Debren. - No wiecie: żubry, wino z jabłek... Starohuck, Gorszawa, Dangiza...

- Dangiza! - ucieszył się burmistrz. - Tam ów wielki bohater Leco Oszczyplot z demokracją walczy!

- Skoczyplot - sprostował Debren. - Taki przydomek nosi. Bo on, wiecie, przeskoczył ów plot, znaczy palisadę wokół stoczni, bo go z roboty wywalili i...

- A nie nasikał na nią? - zdziwił się Smih. - Na znak, że demusze zakazy ma w...? Widać z innym bojownikiem o feudalizm go myślę. Albo kronikarze podkoloryzowali. Okrutna komercja w tych kronikach, to i przesadzą często... Ale mniejsza o Oszczyplota - westchnął. - Demokracja sama w końcu zdechnie, bo to ustrój z prawem naturalnym sprzeczny i na księżycowej gospodarce wsparty. Co innego smok. Więc się nim zajmijmy.

Opadł ciężko na fotel, omal nie wybijając sobie zębów brzegiem kirysa. Debren nieśmiało przysiadł na brzeżku krzesła, po drugiej stronie skryptorium zawalonego urzędowymi pergaminami i tuzinem markowych strusich piór od Pukera. Ulokowany na piętrze ratusza gabinet włodarza Trickleley nie był wielki, ale dzięki drogim meblom, boazeriom i gobelinom respekt w petentach budził.

- Niewidzialny tedy nie bywasz - podsumował burmistrz. - Ha, może i dobrze. Rada mnie ciśnie, by siłowe rozwiązanie zastosować, ale im łatwo gadać: jakby co, nie po nich bestia przyleci. Albo

królewski prokurator. To ja łąba nadstawię. Więc twardość tak wolę okazać - postukał się po opancerzonej piersi. - A właśnie... Znasz dobry czar na iluzję kirysa? Ducha w tym cholerstwie wyzionę. I jeszcze kapalin - wskazał pogięty hełm, spoczywający na parapecie uchylonego okna. - Łeb mi od niego pęka.

- Iluzja zbroi - powiedział niepewnie Debren - nie uchroni od rany.

- Bądź poważny, Debren. To masówka z Wojny Globalnej. Już wtedy nasi pancerni kawałki desek albo monety naklejali, bo ich wehrleńscy kusznicy na wylot dziurawili. Myślisz, że przed smokiem mnie ocali? - Debren taktownie przemilczał. - Widzisz. Ale tradycja każe, by burmistrz, gdy w czas kryzysu na czele milicji miejskiej staje, blachy sławnych poprzedników na sobie dźwigał.

- Chcecie z milicją na smoka ruszyć?

- Na smoka z milicją... - sapnął burmistrz Smih. - Nie kpij. Pisze mi twój mistrz, żeś zdolny i wszystko umiesz, co on tu u nas robił. Jak nie z głowy, to z ksiąg, a te ci daje. Dał? - Debren przytaknął. - Więc wyczarujesz mi dziewicę. Albo może kilka, jeszcze nie wiem.

Debren próbował wyczarować pogodny wyraz twarzy.

- Dziewicę... - przełknął z wysiłkiem ślinę.

- Znaczy - zreflektował się burmistrz - nie z niczego. Realistą jestem, nie bój się. Dziewki dostaniesz. I w ogóle co trzeba. Starczy, że je połatasz.

- Aha - Debrenowi nieco ulżyło. - A... jeśli wolno...?

- Pytaj - zrozumiał gospodarz.

- No więc, panie burmistrzu, względem owych dziewic... Na co wam one konkretnie?

- Mnie? Na nic? A smokowi... cóż, po prawdzie to nie wiem. Czytuje się o takich rzeczach w bajkach albo wczesnowiecznych kronikach. Lecz naukowo żaden mag tego nie przebadał, bo po co? Nie było precedensu, przynajmniej w Anvashu, od dobrych dwóch

wieków.

- Też nie słyszałem - przyznał Debren. - Ale u nas smoków mało. Przed Wojną Globalną to co innego... Tyle że ze smoków są reakcyoniści i element systemu feudalnego, więc... Lecz może o polityce nie gadajmy.

- Nie gadajmy - zgodził się burmistrz. - Otóż w Anvashu smoki są pod królewską ochroną. Ze względów, jak pewnie zgadujesz, strategicznych. Żyją w rezerwach i nie wolno ich niepokoić. Smoki ze swej strony nie niepokoją ludności. Wszystko układa się świetnie. Chyba że - sposepniał - padnie na starego pryka.

- Znaczą, waszego smoka - domyślił się Debren. - I to w tym problem? W jego wieku?

- Gadają, że ma trzysta lat i dinozaury pamięta.

- Wcześniej wymarły - sprostował Debren. - Bodajże...

- Mówię, co gadają, nie jak jest. Chodzi o to, że to starzec i sklerotyk. Któremu się już we łbie miesza. No i pewnie przypomniał sobie, jak to za młodych lat bywało. Stąd ten durny pomysł z dziewczycą.

- Chce... - Debren lekko się zająknął - chce ją zjeść?

- Diabli wiedzą. Kazałem ekspertom sprawdzić w księgozbiorach wszystko o smokach i pannach. Zdziwiłbyś się, jak mało jest dawnych zapisków o smokach.

- Mało? - Debren faktycznie się zdziwił.

- Ponoć kiedyś jakiś król klątwę na gadziny rzucił, za pomór, wojnę czy coś tam, już nie pamiętam... Może je za karę z historii królestwa pousuwali? Choć inny ekspert tłumaczył mi to małą liczbą smoków w starożytnych czasach. I że to zepsucie obyczajów owe piekielne bestie na ludzkość sprowadziło. Kara boska, wiesz. Czyli, że kiedyś, gdy ludzie lepsi byli, smoka sporadycznie jeno spotykano, więc i nie było o czym pisać. Zdania uczonych, jak zwykle, są

podzielone. A, nawiasem mówiąc: z tej puli honorarium weźmiesz. Za ekspertyzę. Nie da się zaksięgować regeneracji dziewic. Królewska Komora Skarbowa życ by mi nie dała. O wyborcach nie wspomnę. Już i tak się plotki zrodziły, że to ku własnej uciechu szukam.

- To może prościej... no, spacyfikować bestię?

- Od strony księgowej prościej - westchnął Smih. - Ale nic z tego. Choćby sam przetarg... Na taką usługę trza go ogłosić. Skromnie licząc: dwa lata to potrwa.

- Ile?! - Debren omal nie zleciał z krzesła.

- Witaj w wolnym świecie - uśmiechnął się krzywo gospodarz. - A wracając do mych ekspertów... W pobliskim klasztorze niedawno loszek z winem odkryto, co to go cztery wieki temu ówczesny opat kazał zamurować na wieść o najeździe wikingów drakleńskich. Z rozpędu trzech braci zamurowano, którzy z głodu tam pomarli. Nikt się nie zorientował, bo pokutę milczenia cała trójka miała. Nie mogli o pomoc wołać. Na szczęście co o opacie myśleli, to zdążyli na ścianach wyryć, a ponoć okrutne plugastwa ryli. No i sporo o nadużyciach.

- Na szczęście? - nie zrozumiał Debren.

- Ano tak, bo gdy owe bluzgi odkryto, samo odkrycie utajniono. Tak skutecznie, że nam królewscy archeolodzy nie przyjechali i wszystkiego cennego nie wywieźli. Co zwykle robią. Więc stare zapiski się uchowały. Moi eksperci przestudiowali je i sformułowali siedem hipotez dotyczących pociągu smoków do ludzkich dziewic.

- Aż siedem? - zdziwił się Debren.

- Trzy odpadają. Dotyczą obyczajów godowych smoków. A tu gadzie gody w grę nie wchodzi. Nijakiej samicy u nas nie ma, zaś smok do żadnej z innego hrabstwa nie lata.

- Ale co to za hipotezy?

- Te o gadzich godach? Pierwsza, że ludzka dziewczka to dar smoka dla wybranki. Dowodzący, iż samiec panuje nad sytuacją, okoliczna ludność drży przed nim i robi, co smok każe. Czyli smoczyca znalazła dobrego kandydata na ojca swych młodych tudzież bezpieczne gniazdo.

- Sensowne - uznał Debren.

- Druga: stare smoczyce przechładzają złożone jaja, więc by je wysiedzieć, potrzebna ludzka mamka. Trzecia: że soki dziewczyny służą gadzinie za afrodyzjak.

- Soki? - Chyba się zaczerwienił.

- Historia odnotowała przypadki zwalniania wziętych w niewolę. Więc nie o to szło, by pannę zeżreć. Choć wykorzystywanie płciowe, owszem, często smokom przypisywano. Którego dowodem miały być postradane przez branki zmysły. Ale to, moim zdaniem, słaby argument. Nietrudno zwariować ze strachu, gdy cię smok capnie.

- Rozumiem. I te trzy - upewnił się - w grę nie wchodzą, z braku smoczy? To jakie wchodzą?

- Najpoważniejsza jest hipoteza historyczna. Tyle że to już dziś bardziej prehistoria. Otóż pierwsze ofiary, których smoki wieki temu żądały od ludzi, były, zdaniem badaczy, dziewczętami obdarzonymi potencjałem magicznym. Inaczej mówiąc: niedoszłymi matkami czarodziejów. A w owych zamierzchłych czasach magów prawie nie było, zaś z winy prymitywnej techniki tylko mag mógł się smokowi przeciwstawić. Czyli że smokom chodziło o prewencyjne zlikwidowanie jedynek groźnych wrogów.

- Okropne - wzdrygnął się Debren. - No, ale dziś już tego na pewno smoki nie robią. Nigdzie. Jak to jednak dobrze żyć w średniowieczu... A pozostałe hipotezy?

- Piąta też trąci myszką. Mówi, że dziewica miała być zakładniczką, która smoka przed kolejnym najgorszym wrogiem

uchroni. Czyli przed błędnym rycerzem. Otóż we wczesnowieczu owi rycerze okrutnie byli ponoć romantyczni, szlachetni i mało życiowi. Starczyło więc takiemu pogrozić, że się dziewczkę połknie albo, co gorsze, czci pozbawi, by rycerz dał smokowi spokój.

- Hmm...

- Sceptycy, takowi jak ty, szóstą kontrhipotezę sformułowali. Że owszem, dziewicę smok trzymał w grocie, ale nie by rycerza odstraszyć, a zwabić.

- Zwabić? Po co?

- Dla łupu. Myślisz, że skąd smoki skarby biorą? Teraz owszem, głównie z haraczu od gwarków, co im w ich góry wleźli i kopią minerały. Ale kiedyś taki rycerz był niezłym źródłem dochodu. Bo to i konie dużo droższe były, i byle kolczuga osiągała cenę wioski... Z łupu po pokonanym junaku oszczędny smok mógł uczciwie, owiec nie porywając, żyć miesiącami. A przyznasz, że łatwiej raz na kwartał romantycznego durnia utłuc, niż się w nieustającą wojnę podjazdową bawić z gromadą rozwścieczonych baców i juhasów, co rycerskie zasady uczciwej walki mają w rzyci.

Debren przyznał, że faktycznie.

- No, ale to wszystko nie pasuje do naszego smoka - podsumował burmistrz. - Czyli zostaje hołd lenny.

- Hę? - zdziwił się młody czarodziej.

- Wiesz: symbol podległości. Władca co jakiś czas potrzebuje takiego namacalnego konkretnego, który go upewnia, że nadal rządzi. A im słabszy władca, tym większa potrzeba, by się hołdów domagać.

Debren przemyślał to sobie.

- Czyli... uważacie, że wasz smok jest słaby? Bo stary?

- No, co najmniej w średnim wieku. I może to właśnie kryzys wieku średniego go dopadł? Zaś smok chce sam sobie wykazać, że nadal potrafi tyle, co stuletni młokos? Pewności nie mam. Smoki to

najsłabiej zbadany z rozumnych gatunków. No, poza skrzatami, ale o tych w ogóle nie wiadomo, czy na pewno istnieją. Więc się nie upieram. Wiem jeno, że z siedmiu poważnych hipotez ta jedna kupy się trzyma, gdy idzie o naszego smoka. I dlatego chcę bestii ofiarować to, czego żąda.

- A jak on tę dziewczynę po prostu...?

- Po prostu to ja nie mam dobrego wyjścia - oznajmił ponuro burmistrz. - Gadzina ultimatum postawiła. Jakowys telepata spisał jej żądania i...

- Telepata?

- A niby jak by się ludzie dogadywali z jaszczurami? Sycząc? Do tego rozdwójonego języka trzeba. Na szczęście niektóre smoki telepatować umieją.

- Niektóre ponoć też trochę mówią po ludzku...

- Ale nie ten nasz. A do telepaty wracając... Zamiast przyjść, pismo ukradkiem podrzucił. Potem smok dwa kupieckie transporty zaatakował, na potwierdzenie, że pismo prawdę mówi i od niego pochodzi. Most też spalił. Ofiar w ludziach nie było, za to straty materialne... Wiesz, co dla miasta znaczy, gdy kupcy zaczynają je omijać? I jak się odbija na rynku nieruchomości wieść, że w każdej chwili może nadlecieć wściekły smok? Ogniem ziejący?

- A zieję? Stary już jest.

- No... co prawda ostatnio do plucia ogniem nie doszło... Ale zapiski historyczne...

- Historyczne - podkreślił Debren.

- Bo potem już nikt nie próbował z nim zadzierać. Nie gap się tak... Sam wiem, że mało szlachetnie tak mu dziewczkę posyłać. Szlachetnie to rycerza, co łeb zetnie. Ale kiedyś gród był w większości drewniany: smoczy nalot katastrofę by oznaczał. Woleli się nasi przodkowie dogadać. A dziś smoki są chronione. Ciężkie

lotnictwo strategiczne na nich się opiera, a Anvash to mocarstwo i się bez wojsk strategicznych nie obejdzie.

- W lotnictwie służą młode, oswojone smoki. Najczęściej zresztą od małego hodowane, a nie...

- By młode hodować i oswajać, królowie musieli się dogadać ze starymi, dziko żyjącymi. Nie tylko królowie zresztą. Nie wiem, jak Lelonia, ale Sovro, choć związek republik, ma największą w świecie smoczą armadę.

- To propaganda! - zaprotestował Debren. - To Wschód się zbroi bez umiaru! Wasz Pakt Kariatycki! Związek Sovrojski jeno z myślą o obronie...

- Bez polityki - uniósł dłoń Smih. - Ja się muszę martwić o moje miasto, a ty... ty, by praktykę zaliczyć. - Chłopak wpatrywał się w niego z posępną miną. - Ano tak. Factorby liczy się z moim zdaniem. Jak się nie popiszesz... Cóż, rok repetować... Szkoda by było.

Debren sposepniał jeszcze bardziej, ale przynajmniej nie zapytał, czy burmistrz próbuje go straszyć. I dobrze, bo burmistrz właśnie skończył.

- Wy, Lelończycy, choć demokrację wam narzucono, jesteście przynajmniej religijni. Więc spójrz na to inaczej: ilu od grzechu ocalisz. Tak, od grzechu. Bo odkąd się wieść rozeszła, czego bestia żąda... Wstyd mówić, ale w całym hrabstwie dziewic ubywa na potęgę. Strach, ile się na przednówku bękartów sypnie. A pedofilia? Ludzie paroletnie dziewczynki na wszelki wypadek... No, niby nie tak... Palcem, narzędziem... Ale bo ja wiem, czy to dla dziewczuszki mniejsza trauma? Co potem taka narzeczonemu powie? Że ojciec ją cnoty pozbawił, wuj, matka? Na perwersów cała rodzina wyjdzie, a kawalerowie z krzykiem od takiej uciekną. Więc każdy dzień to bezpowrotne straty. A ochotniczek, jak się domyślasz, brak.

Debren zawahał się. Mówić? Czuł, że nie powinien, ale strach

przed własnymi problemami zwyciężył.

- No, jedną tom spotkał. Amma się zowie, córka...

- Wesoła Poczvara? - przerwał mu chłodno burmistrz. - O niej zapomnij. Nie wchodzi w rachubę.

Cóż, skoro już poruszyli ten temat...

- Czemu poczvara? - zapytał cicho. - I... Powiedzieliście: wesoła?

- Nie wiesz? Nie ma twarzy. To znaczy warg i części policzków. Ale i tego starczy, by co wrażliwsi mdleli na jej widok. Jak żywy trup ponoć wygląda. Szkielet, radośnie szczerzący zęby od ucha do ucha. A, i języka nie ma.

Debren miał i język, i wargi, tyle że przez chwilę nie potrafił ich użyć. Wiedział, że z twarzą Ammy nie jest dobrze, ale myślał... no, nie myślał, że to aż tak.

- Co... co jej się...?

- Samookaleczenie - oznajmił sucho burmistrz. - Nie mówmy o niej. Pomówmy o robocie. Czy potrafisz dobrze brak dziewictwa zamaskować?

Sama sobie to zrobiła? Odcięła pół twarzy? Nie wierzył. Zresztą... burmistrz powiedział: „Ponoć”. Czyli plotek się tylko nasłuchał. A plotka, wiadomo, wszystko wyolbrzymi. Może się okazać, że to tylko duża blizna...

Nie chciał o tym myśleć. To już lepiej o robocie.

- Przed smokiem? - upewnił się.

- Ba - sposepniał gospodarz. - Smok to mniejszy problem: zwierzę, było nie było. Ale wejścia do rezerwatu strzegą królewscy leśniczowie. Wiedźmę leśną ostatnio zakontraktowali, by pilnowała, czy jaki zamachowiec, dziewicę udający, nie próbuje się zakraść. Bo dziewicę owszem, mają nakazane przepuścić. Więc pewnie ta stara ropucha przetestuje twoje czary.

- Wiedźma leśna?

- Zielarka, trochę akuszerka pokątna... Czarownicą raczej nie jest.
- Raczej? Bo jeśli jest, to wątpię, bym zdołał...
- U nas to niekaralne, więc się z tym baby tak nie kryją. Możesz założyć, że nie jest. Ale na babskich sprawach się zna, więc... -
Burmistrz westchnął ciężko. - I w tym problem. Bo z kandydatek...
hmmm...

- ...nie są dziewice - dokończył Debren.

- E, to akurat problem mniejszy... Widziałeś to babskie zbiegowisko przed aresztem? - Debren potwierdził. - Sam element. Znaczący: żony, córki, siostry, nałożnice i uliczne pracownice elementu. Kazałem drabom zgarnąć wszystkich łotrów. Złodziei, nielicencjonowanych rajfurów, oszustów, awanturników, koniokradów, gwałcicieli... Zamknąłem tę bandę i ogłosiłem, że nikt nie wyjdzie bez ciężkiego i długiego śledztwa, jak się z jego bliskich żadna niewiasta nie zgłosi.

- Znaczący... dziewczyna?

- Znaczący: nie całkiem zgrzybiała staruszka. Nie bądź drobiazgowy, Debren. Smok też nie młodzieniaszek. Trzydziesty krzyżyk dźwiga. Koneser niewieściej urody też pewnie umiarkowany. Bo skoro prawie się ludziom nie pokazuje, to i skąd ma wiedzieć, jak ładna dziewczyna wygląda? I wymogów nie sprecyzował - jego niedopatrzenie. Więc jak ci się baba trafi po czterdziestce, nie krzyw się, jeno cnotę regeneruj. Tylko...

- Tak?

- One wszystkie, stare czy młode, zwykle... no wiesz... Margines i element. Może niektóre na marimalską chorobę czy inną francę nie zapadły, ale większość raczej tak. A z tej większości większość i teraz choruje.

- Choroby amoryczne? - zapytał z nadzieją Debren. - Oj, to nie wiem, czy...

- Nie mówię, by od razu wyleczyć. Zatuszować elegancko starczy. Factorby - burmistrz uprzedził argument chłopaka - nie dalej jak na wiosnę mnie samemu... Petentka, suka podła, korzyść tak nachalnie mi wciskała, że uległem. Wiesz, jak to na wiosnę organizm słabnie... W biorytmie niż moralny miałem. I omotała mnie, szelma. „Dowód wdzięczności - mówi - nie łapówka nijaka, bo wszak najpierw mi koncesję podpiszecie, a potem dopiero zalegniemy.” Niby logiczne, prawda? Podpisując, nijakiej korzyści że użesz wszak nie miał jeszcze... No i mnie obsypało krostami, bo to niewiasta interesu, nie ze mną pierwszym sprawy załatwiała. A tu, jak na złość, panią Smih też brało na majowe amory. Musiałem szybko coś... No to Factorby raz dwa, jednym czarem, z wysypką się uporał. Tak że nie mów, że się nie da. Bo wiem, że się da.

- I myślicie, że się któraś zgłosi? - Debren próbował zaszczepić w rozmówcy niewiarę. Nie uśmiechała mu się ta robota. - W patologicznych związkach skłonność do poświęceń oraz więzi międzyludzkie są...

- Po dobroci nie - przyznał Smih. - Ale jak aresztanci skruszeją, to się jednego z drugim warunkowo wypuści. Na przepustkę, celem podtrzymania więzi rodzinnych. Czyli by pogadał z wyrodną żoną czy córką o jej nieczułości. Mamy w lochu paru, co w dyby regularnie idą za przemoc domową. Spokojnie, Debren, ochotniczek ci dostarczę. Posiniaczonych i bez zębów, ale co tam. Jeny poczekać musimy, aż zatrzymani zmiękną. Bo to - westchnął - wolny kraj, niestety. Torturować, kogo się chce i kiedy, to można u was. W internatorium... brr, sama nazwa dreszcz budzi... męki niewyobrażalne zadawać. Jako nieszczęsnemu herosowi Leco Oszczypłotowi...

- Nie męczyli go - sprostował Debren. - A internowany był w rządowym pałacyku myśliwskim, nie w lochu.

- Tak? - zdziwił się burmistrz. - Ech, ci kronikarze. No, ale czemu ja się dziwię... A mnie to raz obsmarowali? Jeden to nawet napisał, że skorumpowa...

Nagły brzęk sprawił, że obaj podskoczyli z wrażenia. Kapalin potoczył się pod regał z książkami. Spory czarny kamień, który go strącił z parapetu, znieruchomiał na pokrywie zdobnego kufra.

- Ro... rozruchy głodowe? - przeraził się Debren. Odprężenie na linii Wschód-Zachód odprężeniem, redukcja sił strategicznych redukcją, wymiana żaków wymianą, ale gdyby uciśniony lud Anvashu zaczął zrzucać feudalno-liberalne jarzmo akurat dziś, to on, Debren, z miejsca wylądowałby w lochu jako podejrzany wichrzyciel z za osławionej Drewnianej Kurtyny. A nawet jak nie, praktykę diabli by wzięli.

Burmistrz zaczął od tego, że nasadził hełm na głowę. Dopiero potem ostrożnie wyjrzał przez okno.

- Ciemno, psiakrew - zaklął. I, już głośniejszym głosem, zawołał: - Hej tam, draby! Widzieliście tego, co rzucał?

- Że jak? - zdziwił się z dołu pobrzękujący blachami halabardnik. - Toż nikogo...

Debren zerknął zza pleców gospodarza. Niewiele zobaczył: rondo kapalina i kawałek pustego rynku. Nie miał pewności, czy w podcieniach naprzeciw faktycznie zamajaczyło przesłonięte straganem popiersie kogoś długowłosego, o kanciastym ramieniu. Sokolnik? Ale prawy bark postaci na pewno nie gościł żadnego ptaka. Miejsce też nie pasowało. Ktokolwiek tam stał, kamienia do okna nie miał szansy dorzucić. No i straż raczej by takich zabiegów nie przegapiła.

- Na warcie śpicie, psubraty! - huknął burmistrz, ale bez przekonania. Od frontu strzegło ratusza aż czterech strażników; niemożliwe, by ktoś się podkradł z kamieniem. Poza tym pocisk był

ciekawszy od miotacza. Rzadko spotyka się kamienie przepasane pergaminem.

Smih zerwał lakową sklejkę, rozciągnął złożony w harmonijkę arkusz. Lektura nie trwała długo.

- A to ścierwo!!! - Trzasnął kamieniem o podłogę. Zadudniło, aż echo poszło. - Wiesz, co to jest?!

- Karta z manuskryptu? - zdziwił się Debren.

- *Latopis sławnego grodu Trickleley* - wymamrotał burmistrz. Klapnął pośladkami o kufer. - Z dziewiątego wieku. Je... jeden egzemplarz się uchował. W zbiorach rady miejskiej.

Debren rozważał to przez chwilę, marszcząc czoło.

- Czyli ten, co rzucał, ma dostęp do zbiorów rady. I nie ma za grosz sumienia: tak się obejść z zabytkiem piśmiennictwa, co sześćset lat przetrwał... Nie dość, że z książki wyrwał, to jeszcze pozakreślał inkaustem fragmenty... To wam pewnie mocno krąg podejrzanych ogranicza?

- Ogranicza?! - wydyszał burmistrz, próbując odciągnąć kirys dalej od gardła i zaczerpnąć więcej tchu. - Brak sumienia?! O rajcach mówimy! To politycy!

- Może - bąknął Debren - jakowyś skryba? Lub baba, co izby sprząta. Boć... chyba nie podejrzewacie rajców?

- Nie podejrzewam?! - Smih poczerwieniał jeszcze bardziej. Debren, nie pytając, zaczął mu pomagać przy odpinaniu pasków pancerza. - Ja wiem, że to któryś z tych liberalnych, opozycyjnych wieprzy! - Trzasnął o kolano kawałkiem *Latopisu*. - Nikt inny nie mógł wiedzieć!

- O czym?

Burmistrz bez słowa wcisnął mu pergamin, bijąc palcem po podkreślonym fragmencie.

- *I odejmie sobie* - zaczął czytać Debren - *ludzki pan tej ziemi*

*niewiastę niepokalaną (w te słowa smok rzecze) z krwi swojej lub z
łoża krwi swojej, i przywiedzie ją do groty mej, bym uczynił z ową
co zechcę, albowiem władza moja nad władzą ludzkiego pana tej
ziemi...* - Obrócił kartę. - Dalszego ciągu nie ma.

- Chędożeni intryganci! - Smih, złapawszy oddech po zdjęciu
napierśnika, ze złością cisnął tymże o skryptorium. - Jajec taki nie
ma, by otwarcie w wyborcze szranki stanąć, ale dudkać żonę i na
okrągło dziewczki jej robić, to owszem! To co mu za problem
sprezentować najmłodszą smokowi?! Nijaki! Raz-dwa nadudka
następnych sobie! A jam chłop z jajami! Samych synów mam, a
córek jeno dwie! I obie dzieciate! I konserwatysta żem jest! Więzi
rodzinne to u mnie grunt, nie to co u nich, postępowców zasranych!
Dobrze wiedzą, że dziecka bym smokowi nie dał!

- Ten zapis w latopisie... Chodzi o to, że...?

- A o to, o to! Że się wieki temu smok byle czym zbyć nie dał i
zażądał córki czy żony od... - burmistrz urwał, zadumał się nad
czymś.

- Waszego poprzednika - dokończył Debren. - Hmm. Jeno tego o
żonie nie pojmuję. No bo albo dziewica niepokalana, albo żona.

- Niekoniecznie. Paru baronów Trickley, wzorem Deyvina
Dwakroć Czystego, zaraz po ślubie zakuło małżonki w pasy cnoty. Z
uzyskaniem rozwodu - wyjaśnił Smih - kłopot był wielki we
wczesnych wiekach. Jeno brak konsumpcji związku uznawał Kościół
za dość mocny argument. A z kolei rozwody owszem, popłacały.
Prawa niewiast nie istniały, za to posagi płacono, że ho, ho. No i
jeszcze kwestia zbawienia, który to motyw Deyvinowi przyświecał.
Uważano wtenczas, że kto radości obcowania z żoną sobie
odmawia, zasługę ma w niebie. Deyvin, znany dewot, poza żoną
odmawiał sobie też mycia. Przez pół wieku. Nie dziwota, że na tak
chlubny przydomek zapracował. I standard stworzył, do którego

kolejni baronowie nawiązywali. Więc smok mógł liczyć na taką nieskonsumowaną małżonkę. Nawet powinien, bo z braku konsumpcji nadmiaru dziewcząt w rodzie nie było.

Debren potrząsnął kartą *Latopisu*.

- To czyjej niewiasty chce w końcu ten smok?

- Ten? Ten to baronowej lub baronówny. W dziewiątym wieku grody nie miały nic do gadania. Rycerze władali niepodzielnie. „Ludzki pan ziemi” barona oznaczał. Ale dziś... - Smih westchnął. - O tym właśnie z rajcami debatowaliśmy. Na sekretnej sesji. Kto winien smokowi babę: gród czy baron. Bo jurysdykcja się od dziewiątego wieku pokomplikowała i nie wiadomo, kogo smok terrorem straszy.

- Myślałem, że gród.

- Gród - zgodził się burmistrz. - Bo gdy pali wozy kupieckie i most, nas po sakiewce bije, nie barona. Baron dawno prawa cła i myta przehulał. Więc kroki, by złu zaradzić, my podjęliśmy. Lecz to jeno nasza dobra wola, nie obowiązek. Tak sprawę interpretuję. Zaś ów obesraniec - wskazał pergamin - najwyraźniej na odwrót.

- Wiecie, kto kamień wrzucił? - upewnił się Debren.

- Wrzucił? Nie. Ale wiem, kto rzucanie zlecił. Z dokładnością do dwóch wszawych liberałów, których durny plebs rajcami uczynił. Obaj mnie na sesji atakowali. Że niby mało robię, by gród ratować. Że czynów trzeba, nie debat. Że więcej od siebie mam dać, a mniej kasę miejską angażować. Że to zbrodnia obywateli Trickleley na ryzyko wystawiać. Że miast siedzieć na rzyci, powinienem smoka przekonać lub nająć Boomhonsa. Ale im argumentów brakło. Bo nigdzie, mówię, nie napisali, że to akurat burmistrz z własnej kiesy smoki ma ubijać. No to, sucze syny, znaleźli argument! Pana ziemi wyciągnęli!

- Czyli barona - pocieszył go Debren.

- Nie rozumiesz. Formalnie może i baron powinien się tym zająć. Ale to ja zarządzam okolicznymi drogami, którym bestia zagraża. To gród Trickley dzierżawi hodowcom większość pastwisk, z których smok zacznie owce i bydło porywać. I to tu stało trzy wieki temu dworzyszczę barona. A ten cholerny gad, sklerozą nękany, jak każdy stary dziadyga nie chce przyjąć do wiadomości, że świat się zmienił. I to okolice dworzyszczę zamierza nękać nalotami, jeśli się jego honor obrazi i dziewicy nie wyśle.

Debren ujął i zważył w dłoni obły, jajokształtny kawał skały, na którym przyfrunął pergamin.

- Dziewicy - mruknął. - Albo... Boomhonsa?

- He? - zdziwił się burmistrz.

- To bazalt. Ciężki jak na kamień. Przez co dobry na pociski. Do proc go używają, tyle że mniejszych kawałków. I... i do machin.

- Masz coś na myśli? Bom się pogubił.

- Ci wozobrońcy mają na wozie balistę.

Burmistrz wyjrzał przez okno, sprawdził.

- Widać wóz - mruknął. - Psiakrew. Naprawdę myślisz...? Co: zmówili się? Liberałowie z wozobrońcami? Za lobbystów Boomhonsa robią?

- Jakoś tu ów kamulec doleciał. A strażę nikogo nie widziały. I zważcie, o ile większy niżli procowy. Jak takim daleko ciskać? Albo tu spójrzcie - pokazał przewężenie pośrodku, to, z którego zdjęto złożony pergamin. - Celowo wyżłobione. A po co? By obejmę pośrodku dać.

Trickley nie leżało nad morzem, ale cały Anvash był morską potęgą o bogatych tradycjach. Na żegludze, przynajmniej ze słyszenia, znał się tu każdy.

- Pocisk łańcuchowy - odgadł burmistrz. - Taki do rwania takielunku. Jenó... mały jakiś?

- Po mojemu - Debren gładko prześliznął się nad tematem wielkości - to imć Boomhons daje wyraz swej ochocie do pracy. Plus pokaz umiejętności. Trafić w hełm, a szyb nie wyłuc... Dobry jest. Świetny, rzekłbym nawet. Moim zdaniem, panie burmistrzu, powinniście go nająć.

Cieszył się, że nie naskarżył na wozobrońców. Nie wyjdzie na tchórza, bojącego się wchodzić im w paradę.

Smih pogrążył się w zadumie. Debren, by nie przeszkadzać, podostrzył wzrok magią i, wychylony z okna, na wszelki wypadek sprawdzał dachy pobliskich kamienic. Nie, odpada. Akurat naprzeciw ulokował się łucznik, jeden z tych, co wypatrywali smoka.

- Ha! - Nagłe trzaśnięcie pięścią w blat skryptorium sprawiło, że niemal podskoczył. - Mam! Mam sposób!

- Na smoka? - Debren też się ucieszył.

- Na durne gadanie intrygantów z rady! Ludzki pan tej ziemi, tak? Los poddanych na barkach, tak? No to poświęcę dla dobra ogółu, co mam najcenniejszego! Ha! - Podepchnął pergamin pod nos chłopaka. - Widzisz? „...z krwi swojej lub z łoża krwi swojej...” Tu ich mam! Ów smok z dziewiątego wieku realistą był i elastycznością się wykazał. Nie ma władca ludzi dziewiczej żony? To niech córkę da! Nie ma panny nietkniętej za córkę? Nic to: może być rodzina nie z krwi, a z łoża jeno! Czyli synowa...

- Macie syna na wydaniu? - Debrenowi trochę zrzędła mina. Wolałby usłyszeć: „Werbuję Boomhonsa” i „Toś ty już zbędny, wracaj do Factorby'ego.”

- ...lub - dokończył burmistrz z chytrym uśmiechem - zięcica.

- Że jak? - nie zrozumiał Debren.

- Osoba poślubiona córce.

- Ale... toż mówimy o... mężczyźnie? - Pogubił się, i to całkiem. -

Mój anvaski... źle coś rozumiem?

- Zięcica - wzruszył ramionami Smih. - Nie patrz tak. To feudalny kraj. A co jest fundamentem feudalizmu? Liberalizm. Ekonomiczny naturalnie, ale go liberałowie, obesrańcy, przewrotnie na obyczajowość rozciągają. „Róbta - powiadają - co chceta.” No i zalegalizowali zmiennopłciowość. Jak w Depholu, tfu. Więc się chłop, co sobie jaja uciął, za babę teraz prawnie liczy.

Debren, naturalnie, słyszał o takich wschodnich dziwach. Ale co innego słyszeć... No i coś tu nie pasowało.

- Zięcica znaczy: żona córki? - upewnił się. - Ale wszak dwie niewiasty nie mogą... Nawet w Depholu jeno się o projekcie małżeństw niemieszanych gada; do ich legalizacji jeszcze daleko. Nie mówcie, że w Anvaszu...

- Po moim trupie! - splunął burmistrz. - I wszystkich porządnych konserwatystów! Ale - ochłonął szybko - skoro już liberalne oszołomy takie chore prawo nam zafundowały... Nigdzie nie napisali, by żonaty był spod niego wyjęty. Więc jak się zięć zabiegowi podda, zięcicą się staje i jest to legalne. Póki rozwodu córka nie dostanie. Dostaje naturalnie z urzędu, lecz to trwa - uśmiechnął się chytrze. - Rola twoja jest więc taka, Debren: czarami iluzji zamaskujesz szwy po świeżym zabiegu. Bo pewnie smokowi, analfabecie starej daty, nie starczy sam dokument stwierdzający, że z dziewczką ma do czynienia. I trza będzie wyrzeźbić chirurgicznie nową płeć. A może ty...?

- Nie! - przeraził się Debren. - Ja... tegośmy nie przerabiali.

- Nie szkodzi. Małodobrego mamy, że ze świecą szukać. Zszywa raz-dwa, co uciął, i to jak! Jeszcze mu żaden złodziej nie pomarł, za kradzież na obcięcie ręki skazany. Choć trafiali się tacy, co za zuchwałą, połączoną z uporczywą ucieczką, byli skazywani na odjęcie obu rąk i nogi na dodatek. I żyją! Złoto, nie kat! Chirurgiem

miał zostać, po ojcu, lecz się okazało, iż sumienie ma za delikatne. Nie pozwala mu ono niewinnych kroić i uśmiercać, a jeszcze za to rodzinę z torbami puszczać.

- Chcecie... - Debren walczył z mdłościami. - Chcecie zięciowi...? A co na to wnuki? Toć... obie córki... dzieciacie.

- Zgłupiałeś, Debren? - oburzył się Smih. - Ja bym miał wnukom ojca wywałaszyc? Ha! Też wymyślił! Pewnie, że wnucząt nie pokrzywdzę. Zresztą nie słuchasz uważnie: toć mówię, że smok dziewicy żąda. Znaczy, w tym przypadku, prawiczek potrzebny. No a ojcowie wnuków... wiadomo. Ale mi starsza córca owdowiała. Nie bój się zatem - poklepał bladego chłopaka po ramieniu. - Nikomu się krzywda nie stanie. Zakon tu mamy męski. Parę mil za miastem, ku zachodowi. Z opatem w kości co sobotę grywam, więc wstrętów nie będzie robił. Wyszuka mi nowicjusza, co się poświęci dla ratowania dobrych machrusan. Młodzianka o dziewczęcej urodzie, tak na wszelki wypadek, byś czarów na depilacje nie tracił. Ma takich na pęczki, bo wiesz, on... no, mniejsza - odchrząknął. - Któż z nas słabościom nie ulega. W każdym razie jednego odda. Może nawet jakiś Conshończyk się trafi, nawykły do chodzenia w spódnicy, bo do takich opat ma słabość. Więc i smokowi trudniej będzie poznać... Tak że zięcia już jutro mogę mieć. Potem zabieg - policzył w myślach - no i na wieczór, da Bóg, możesz go magią bardziej upodobnić do niewieściej dziewicy.

- Ja? - Debren robił, co mógł, by nie zabrzmiało to płaczliwie. Ale chyba mu nie wyszło.

- Innego czarodzieja... - burmistrz zawahał się - innego godnego zaufania czarodzieja nie mam pod ręką.

- Ale jakiegoś macie? - uchwycił się szansy Debren. - Bez obaw, magom można ufać. Nasz kodeks...

- Nie mówię o licencjonowanym, ludzkim magu. Który faktycznie

rzetelność zapewnia. Mówię o chędożonym elfickim... - Smih zreflektował się - znaczy: o Ostrouchoanvashu.

- A... aha... - Z Debrena uszła resztką nadziei. Społeczeństwa Wschodu, jak wiadomo, przeżarte są trądem rasizmu. To dlatego właśnie na feudalnym Wschodzie wymyślono tę dziwną poprawność polityczną. Manierę, zgodnie z którą Czarnoluda nazywano Yougonoviplańczykiem, elfa z Anvashu... Ostrouchoanvashem, a przykładowo, krasnoluda spod Eileff... Wysokim Inaczej Marimalczykiem Słusznej Postury. Postura Mniej Słuszna oznaczała gnoma. Za posługiwanie się tradycyjnymi, uznanymi za uwłaczające nazwami, przynajmniej publiczne i oficjalne, groziły oskarżenia o ksenofobię oraz szowinizm, a w niektórych krajach nawet ustawowe kary. Których ofiarą, nawiasem mówiąc, padały głównie same krasnoludy, znane ze wstrętu do hipokryzji i nawykłe, także w piśmie oraz wystąpieniach publicznych, nazywać rzeczy po imieniu. Praktycznie, w życiu codziennym, nikt naturalnie nie brudził sobie języka tą pokrętną nowomową. Politycy i urzędnicy musieli jednak uważać, co i do kogo mówią.

- Naturalnie - zastrzegł się Smih tonem kogoś, komu wcale nie zależy na byciu przekonującym - rasistą nie jestem. Czego dowodem, iż w wyborach dostałem najwięcej głosów nieludzkiego elektoratu. Ale ten łajdak, Keloalen, z listy liberałów do rady startował. Babę chcieli wystawić, ale się zmytgowali, no i elfa... Ostrouchoanvasha wpisali w ogonie listy. By pokazać, jacy na mniejszości otwarci. Nie wszedł naturalnie; jeszcze by tego brakowało. Ale go musiałem sekretarzem rady uczynić. Coś - westchnął - trzeba opozycji dać, by nie bruździła. I mam teraz źmiję w ratuszu. Tudzież posadzki obesrane.

- Elf? - zdumiał się Debren. - To aż tak się owa opozycyjność

przejawia? Że ludzie ludziom takowe psikusy czynią... Ale elfy, z ich elegancją? Nigdy bym nie...

- E, nie - skrzywił się, jakby z żalem, Smih. - Taki głupi Keloalen nie jest. Urzędnika ze spuszczoneymi portkami za łatwo przydybać. To ten jego ptak dwakroć klamkę mi osrał, a parę razy posadzkę obok, bo mu ciężko trafić.

- Ptak?

- Sokół. Z sokołem zwykle łązi. - Debren drgnął, spojrział w okno, ale podcienia za straganem były puste, wypełnione jedynie półmrokiem. - Wyznaczyłem nagrodę za pochwycenie łotra, co tak narusza powagę urzędu, ale póki co, nie udało się. Jaki pan, takie ptaszysko. Mówią - ściszył głos - że też czarować umie. Sokół, znaczy. Bo że Keloalen magią włada, wie każde dziecko. Wszak to elf, a u nich nawet ostatni wsiowy ćwok talenty magiczne objawia. - Podniósł odłożony na brzeg skryptorium kamień. - Założę się, że to jego robota. To prawa ręka łajdaków, co opozycji przewodzą. Swoją diabelską magią ów bazalt cisnął. Albo sokoła posłał.

- Sokoła?

- Widzisz to wyżłobienie? Jeśli to nie połówka pocisku łańcuchowego, a coś za gładko wygląda jak na wojskową masówkę, to ktoś sobie sporo trudu zadał, by to jajko do klepsydry upodobnić. Nasuwa się pytanie: po co? By pergamin zawinać? - uprzedził wyjaśnienia Debrena. - A nie prościej całość w szmatę? Co innego - rozchylił kciuk i mały palec, opasując nimi kamień w rowkowej talii - jeśli trzeba, o tak, łapać.

- Znaczy... niewygodnie? - nie zrozumiał chłopak.

- Znaczy: dłonią zbyt małą. A konkretnie: szponem nie bardzo wielkiego ptaka.

- A nie prościej w szmatę...?

- Prościej - przyznał burmistrz. - Ale pomyśl: to trudny rzut.

Spuszczenie właściwie, nie rzut. Lecąc w okno trafić... Precyzji trzeba. Ułamek momentu za późno puścisz... i pudłujesz. A szpony sokoła to nie ludzkie palce. W szmatę by się mogły zaplątać. Co innego gładki kamień nimi chwycić.

Debren pokiwał głową na znak, że akceptuje argumentację. Dopiero po chwili nasunęła mu się dość oczywista wątpliwość. Ale nie zdążył już wytknąć gospodarzowi, że przecież rowek-uchwyt był dokładnie i z nadwyżką wypełniony kartą z latopisu.

- Tak że sam widzisz - wyprzedził go Smih. - Jeno na ciebie mogę liczyć jako na maga. Idź zatem - ujął Debrena pod ramię i poprowadził do drzwi - i się dobrze wyśpij. W formie musisz być, bo to jednak nie w kij dmuchał, takie dziewictwo wyczarować... Dobrej nocy.



Noc nie była dobra. Najpierw wiercił się w łóżku, dręczony wizją zawalonej praktyki. I to jakiej? Zagranicznej, w dodatku na Wschodzie! Nie mógł zasnąć. No a ledwie zasnął, ktoś zastukał do drzwi. Ciche, jakby przestraszone „puk-puk”. Na pewno nie żaden żądny krwi wozobronca. Więc może...? Wyśmiał w duchu swą naiwność, ale nadzieja wzięła górę. Luksusowa oberża, Wschód... Niby czemu nie? Skoro pełno tu dajek, to może...?

Niestety: to nie ladacznicą go odwiedziła.

- Amma? - Nie chciało mu się wierzyć. Cudem uniknęła losu gorszego niż śmierć, a jeszcze przedtem upokorzyli ją tak, że chyba gorzej nie można. On na jej miejscu byłby już... No, prawdę mówiąc nie wiedział, dokąd by uciekł. Do puszczy? Klasztoru? Wojska? Na tamten świat? W każdym razie nie odważyłby się wrócić.

Wśliznęła się do izby, zapaliła świecę od przyniesionego łuczywa,

pokazała Debrenowi łóżko. Usiadł. A wtedy ona... wyciągnęła i wymierzyła w niego krócicę.

- Rozum postradałaś?! - zdumiał się.

Wolną dłonią wyjęła tabliczkę, stanęła przy stole i napisała: „*Cicho bąć.*”

- Jeśli ci chodzi o cno... o to, co przedtem - na wszelki wypadek mówił cicho - to się spóźniłaś. Burmistrz już nie potrzebuje postronnych dziewic.

Zastygła, pomijając oczy, które rozszerzyła najpierw niewiara, a potem... no, chyba strach.

„*Łrzesz*” - napisała.

- Nie łżę. To sekret, ale... nabita? - Popatrzył z respektem na krócicę. Amma kiwnęła głową. - Więc chyba ci mogę wyznać pod przymusem. Smok nie chce byle dziewczki. To znaczy - poprawił się, zmieszany - nie, że ty jesteś... po prostu... no, żąda córki burmistrza albo kogoś... no... równie znacznego.

Pociągnęła rylcem po raz już napisanym: „*Łrzesz*”.

- Słowo czarodzieja.

W jej oczach zalśniła wilgoć. Sporo wilgoci.

Opadła na zydel, skuliła się. Jedna koścista kupka brudnego nieszczęścia. Miał ochotę podejść, przytulić ją. Dziwne. Pod chustą musiała wyglądać okropnie. Co takiego w niej było, że mimo to...? Odwaga? Twardość? Bo była twarda i odważna.

„*Niewarzne. Jakby pytali, nic nie muw rześ wygadał. Muw, rzem poszła na smoka by siostry młodsze ratować i inne dziewice i wieżąc, że grud nagrode wypłaci. Hoć rzem nie uzgodniła z bórmiszczem. Ale muw, rze to na jego apele, co to je cherold ogłaszał. Rzem miała nadzieje, rze Triklej honorowe i cosik rodzinie wypłaci. Fstyd im będzie, tak nic nie dać. No i morze smok cosik dożuci.*”

- Nie rozumiesz? Nikt ci grosza nie da.

Wylot lufy (tak to się bodajże nazywało) znów spoglądał w jego stronę, choć może przypadkiem, bo trzymała króciwą na kolanach. Ale nie dlatego nie uległ odruchowi, nie podszedł, nie pogładził po prześwitujących spod dziurawego kapturka włosach. Bał się raczej, że Amma wypatrzy przez kalesony jego podniecenie.

Co gorsze? Gdyby, zamiast uciec, podstawiła głowę do głaskania? A potem odwzajemniła pieśzczotę, sunąc szczyplymi palcami po jego dłoni? Naprawdę gorsze?

Dżuma i syfilis! Przecież ona nie ma twarzy! Fakt, tylko o tym słyszał, ale niemożliwe, że całe miasto się zmówiło, by robić z niego durnia.

„Tródnó. Niewarzne” - napisała. - „Pszynajmniej sławę zyskam. A moja rodzina szacunek. I ojcu pszestanom garnki tłuc. Znóf zacznie zarabiać.”

- Tłuką mu garnki? Dlaczego?

„To pszes Zabete, mojom siostre. Do żeki sie rzóciła gdy jom młody baron pochańbił. To okrutny grzech, najgorszy. I potem jak żeka wylała, baron ni grosza nie zapłacił, bo, muwi, widać kara boska na grud, rze takie zdemoralizowane spoueczeństwo go zamieszkuje. A jak kto ateista i w boskie interwencje nie wieży, to oto racjonalny argóment: trup samobujczyni jaz zatkał i stąd powódź. A rze on grobli zaniedbał, to niewarzne. Bo powinien reperacje czynić, a nie czynił. I sąd jego wywody uznał. To i fszyscy w Triklej na nas źli. Bośmy strat narobili.”

- Baron pochańbił ci siostrę, a wam tłuką garnki?

Milczała przez chwilę, łypiąc na niego ponuro.

„No dobrze” - napisała w końcu. - „Nie zniewolił jej siłom. Zabiła sie z miłości nieszczęśliwej. On nie mósi dziewczek na hama brać pszemocom. Ma urode i takie coś w sobie, rze same mu sie

podkładajom."

- Takie coś - mruknął Debren. - Tytuł, zamek, karetę z szóstką rumaków. I lśniące ostrogi od Pumma.

Gorycz przez niego przemawiała. W Lelonii o karecie czy prywatnym zamku, do którego państwo nie dokwaterowało gromady fornali, mało kto mógł pomarzyć - ale cóż z tego? Z braku młodzieńców w lśniących zbrojach dziewczyny leciały na takich, co to im ojciec kramarz konia zafundował albo poddasze na dobrym podgrodziu. Mniej srebra wchodziło w grę, lecz bezinteresownej miłości, póki co, demokracja dziewcz nie nauczyła.

No dobrze, niech będzie: niektóre traciły też głowę dla tych gładkich, przystojnych, umięśnionych jak zulijscy gladiatorzy ze starych posągów.

„To nie to.” - Napis wychodził krzywy, ręka za bardzo drżała. - *„Urok nieotparty. Po bapce odziedziczył, która z magiem romans miała i ten mag jom tak obdarował. Gładysz że strach. Ja tesz bym uległa. Gdyby nie Zabetka i jej kszywda. Bym uległa.”*

- I gdyby nie twarz - mruknął. Od razu pożałował. Nie znalazł w jej oczach tego, co pewnie znajdował tamten, ale to nie powód, by ją kopać w bolącą ranę.

Potrząsnęła głową.

„Wtedy jeszcze miauam. To on mnie tak pociół.”

- Baron? - Debren zeszywniał. - Dlaczego?

„Napyskowałam mu. Powiedziałam, rze sie do niego nie uśmiehne. Nigdy. Wargi prendzej sobie odgryze. I sie do niego nie odezwe. Prendzej sama jenzyk utne. Po tym co Zabetce zrobił? Pszenigdy. I w gembe mu pluć bende ile razy zobacze.”

- Nie uśmiechniesz? Chciał...? Myślałem...

„Chciał. On z karzdką chce. Ale nie na hama. To dziewczka ma sie prosić. Słotko szczebiotać, uśmiehy ślać.” - Pomyślała przez chwilę,

marszcząc czoło, i dopisała: - „Hyba go zemby podniecajom. Rużne rzeczy męszczyzn w babach podniecajom. Stopy nawet podobno. Albo uszy. To czemu nie zemby?”

Debren wolał nie odpowiadać. Jego, przykładowo, w kobietach podniecało wszystko. Na szczęście dziewczyna nie oczekiwała komentarza.

„Opluam go, ale to nie dlatego mnie pociół. On tak druchom muwi: rze gembe uciół, bo bez niej pluć sie nie da i go nie pochańbie wiencej. I rze w ten sposób uśmieh na mnie wymusił, bo hce czy nie, bende szczyrzyć zemby. W sekrecie znaczy tak muwi, bo oficjalnie to muwi rze ja sama tak sobie zrobiłam. Ale łrze. I druchom i sondowi. Ja wiem, co go tak ubodło rze w fórie wpad i mnie oszpecił. Nie móg znieść, rze mu sie jakaś oparła. Zauamanie psychiczne pszeszed. Nigdy, rzadna nie odmowiła. Karzdego móg zauroczyć, męszczyzn nawet. Znaczy nie rze z nimi coś - perwersem nie jest. Jenó rze i oni go lubią. A jeden rycesz to się nawet kiedyś zakohał, tak mówiom. Z rospaczy na wojne poszed i zabić sie dał. I nagle prosta curka garncarza takiemu odmawia. Wiare w siebie utracił. Mówiom - zawahała się, dopisała jednak: - rze potencje mu to ószczupliło. W sensie szczupłości dosłownej takrze. I odtąd jeno z młodziótkimi dziewczicami morze. Rozumiesz.”

Zarumienili się, oboje.

Dość. Dość takich myśli. Głupich marzeń. Nie są sobie pisani. On, Debren, skończy Akademię, zostanie czarodziejem. Jeśli kiedyś się ożeni, to z całkiem inną kobietą. Czystą, potrafiącą pisać bez błędów. Wykształconą. Z którą będzie mógł pogadać o wszystkim. Tylko przeczekać te trudne lata. Tę, dzumę i syfilis, burzę hormonów, która nawet z niego, rozumnego przecież, robi durnia.

- To... forma zemsty? - zapytał niepewnie. - W smoku swego kata dostrzegłaś? Bo jeden i drugi na panny nastaje? I chcesz smoka

ukarać, w zastępstwie barona?

„Hendoże barona” - napisała gniewnie. - *„Smoka tesz.”*

- To o co ci idzie? - popatrzył z wyrzutem na krócicę.

„Nie tfuj interes. Jusz ras z tego szylałam” - potrząsnęła bronią. - *„Pamientasz? Rzycie ci uratowałam.”*

- Pamiętam. I wdzięczny jestem.

„Tfojom wdzienczość tesz hendoże.” - Rylec aż zgrzytał o deskę, skrytą pod warstwą gliny. - *„Dłóg masz, to sptać. Zabiesz mnie do smoka i zróp, bym na cnotliwom wyglondała. A jak da za mnie jakomś gotófkę, to jom pszywieziesz rodzinie.”*

- Nie wiesz, co gadasz. Smok... - zawahał się. - No, nie ma pewności, czy to gody, czy ambicje polityczne rozum mu zaćmiły. Ale że zaćmiły, to pewne. Niepoczytalny jest. Groźny. Chce burmistrzówny dziewicy, a ty...

„Tesz jestem groźna.” - Pokiwała krócicą.

- Z tym chcesz na smoka...? - postarał się, by aż ociekać lekceważeniem. - Broń palna, też coś! I to akurat przeciw bestii, co broń palną wynalazła...

„To gnomy wynalazły” - zaproponowała.

- Tak naprawdę to Zamurzyni. - Posłała mu tępe spojrzenie. - No, zółci ludzie z krainy na zachodzie Zapadniki. Zamuria ją zwa, bo się tamci od reszty świata wielkim murem odgradzili. A gnomy jeno wynalazek podchwyciły i usilnie udoskonalają.

„Czyli nie smoki” - upierała się.

- No... nie. Ale ogniem w walce jako pierwsze smoki pirozaury raziły. Dopiero potem Zamurzyni proch wymyślili. A Bikopulijczycy ogień illeński.

„Hendoże historie orenża” - zniecierpliwiła się. - *„Nie krenc jeno sie odziewaj. Jedziemy do smoka.”*

- Teraz? - zdumiał się. - Nocą?

„Za dnia mnie nie puszczom. Barona sie bojom.”

- Barona? Dlaczego?

„Bo moim obrońcom sie ogłosił. I rze katu odda karzdego, kto mnie srodze pokrzywdzi.”

- Nie rozumiem - wyznał. - Myślałem... To on cię w końcu nienawidzi czy...?

„SRODZE” - napisała. - „Sroga krzywda morze zabić. Małe jeno wiencej bulu zadajom. Cierpi sie dłurzej.”

Teraz rozumiał. A potem spojrział w jej wypełnione cierpieniem oczy i odkrył to, co najważniejsze.

Pobladł tak, że aż prawie w izbie od tego trochę pojaśniało.

- Ty... ty go nie chcesz zabić - wykrztusił. - Ty chcesz... O Machrusie!

Przyglądała mu się z pełnym rezygnacji spokojem. Potem wzruszyła ramionami.

„Nie jestem Zabeta” - napisała. - „Nie buj sie, nie targne sie na własne rzycie. Co mi zostało poza niebem? - wskazała lufą króciicy strop. - U Boga, powiadajom, bendzie dobrze. To ja chce do Boga. Bo tu mi tak źle, rze sobie nie umiesz wyobrazić.”

- Ale... ale przecież nie można... - Nigdy nie czuł się tak bezradny, tak całkowicie pozbawiony argumentów.

„Iść do nieba samobujcom bendonc? Toć wiem. A myślisz, rze czemu tyle trudu sobie zadaje? Żeka gdzie płynęła, tam płynie, nic prostszego jak z Zabetki wzionść pszykład.” - Zawahała się, po czym dopisała: - „Walczyć ide. Jeno rze ryzyko wielkie.”

- Smok cię zabije! Tuzin takich jak ty jednym pazurem zabije, choćby każda z tuzinem krócić przyszła!

„Nie mam tuzina. Jednom gnomowi zabrałam.” - Zszokowała go uśmiechem, widocznym w oczach. Ale też myślą, że tam, niżej, wyszczerzyła do niego zęby. Cały czas szczerzyła, prawda. Tyle że

nie przyjmował tego do wiadomości; wyobraźnia uparcie oblekała obnażone zęby w miękkość kremowych policzków, róż pełnych, zmysłowych warg. Czuł, że takie je miała. Że kiedyś była ładna.

Umknął ze spojrzeniem. Zgroza, żal, litość, pożądanie - wszystko skotłowało mu się w głowie i pewnie wszystko to mogła wypatrzeć w jego oczach. Więc w dół oczy.

Postukała kolbą króciocy, raz, drugi. Dyskretne: „Hej, popatrz na mnie”. Nie popatrzył.

Cichy szmer wygładzanej, a potem zapisywanej gliny.

„Ratowałeś mnie. To teras znóf poratuj.”

- Ratunek? - prychnął. - Śmierci szukasz, a nie...

„Potem pogadamy. Teras z grodu musze czmyhać. Pomusz mi. Bo mnie za zabujwstwo capnom.” - Debren popatrzył na nią z niedowierzaniem. - *„Toć czueka ubiłam.”*

- Kpisz sobie?! Oni chcieli... chcieli cię zniewolić! Nie mów, że w Anvashu prawo karze niewiastę, co w obronie przed pohańbieniem zabiła gwałciciela!

„Gwałcić ty miałaś” - napisała przytomnie.

- Nigdy bym cię nie zgwałcił!

„To tym bardziej rzem winna.” - Nim porażony logiką tej konstatacji Debren pozbierał się jakoś, dodała: - *„Z Gruhą pogadaj, na dole wino rzłopie. Jusz on ci powie, co mi mogom zrobić.”*

- Grucha? Znaczy... Gruszka Pirr? - Przytaknęła. - Mam iść i...? Poważnie mówisz?

Już przedtem, z braku stolika pod tabliczkę, wetknęła króciwę pod pachę. Teraz schowała ją całkiem pod opończę, wypuszczając w zamian wilgotny powiew. Debren od dawna starał się nie oddychać przez nos, gdy była w pobliżu. Wbrew rozsądkowi chciał ją postrzegać jako doskonalszą. Ale teraz uległ ciekawości. I pożałował.

Nadal cuchnęła brudnym ubraniem: nie da się niczego zrobić ze szmatami, w których się miesiącami chodzi, je i śpi, a których nie ma czym zastąpić. Nie próbowała ich prać. Ale z ciałem skrytym pod spodem już coś zrobić próbowała: Debren wyczuł zapach najtańszego domowego mydła i ziół, powcieranych pewnie wszędzie tam, gdzie czuła się najbardziej brudna.

Więc gdyby tak ściągnąć z niej te ohydne szmaty, odrzucić jak najdalej... to może to pod spodem byłoby... słodkie? I jemu by z nią było słodko? Może...

Dżuma i syfilis. Musi to wreszcie zrobić. Zebrać całą odwagę i zagadnąć jakąś dziewczynę, a jak nie wyjdzie, drugą, trzecią, dziesiątą. Nie był potworem, któraś w końcu powie: „Tak!” i uczyni go mężczyzną. No, a jeśli całej odwagi nie zbierze, to choć część - do tego doda się trochę pieniędzy i na ladacznicę starczy. A wtedy będzie lżej. Dorośli mężczyźni nie głupieją z powodu bab. Ba, potrafią narzekać na żony i zazdrościć kawalerom. Czyli to pomaga. Co zresztą wydaje się logiczne, bo największy głód mija, gdy się dobrze najeść. I on, Debren, zdecydowanie musi coś zjeść, bo, jak widać, tak wygłodniał, że go ciągnie do wilczych jagód i innych trutek.

Ślinić się na widok dziewczki, której wycięto pół twarzy? Boże... Kiepsko z nim. Naprawdę źle.

„Puszczem cie teras. Na słowo magika. Że wrucisz.”

Przez chwilę w ogóle nie rozumiał, o co jej chodzi. Dopiero gdy znów wyjęła króciwę.

- A jak już wrócę? To co? - Nie sięgał jeszcze po nogawice. - Znów mnie będziesz tym samopałem straszyć?

Nie odpowiedziała. Westchnął i zaczął się ubierać.



Dopiero na dole zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, jak zacząć rozmowę. Na szczęście jurysta pokiwał na niego ręką, ledwie Debren pokazał się na schodach.

Musiało być późno, bo on jeden tkwił w biesiadnej.

- Na wstępie ci powiem - oznajmił garbus - że w sprawie o pobicie Laupa Kudłacza z Oksful reprezentuję Ammę. Nie ciebie. Tedy uważaj, co gadasz, bo dla dobra klientki mogę cię musieć pogrążyć. Siadaj.

Debren usiadł. Trochę z wrażenia.

- Amma kogoś pobiła?!

- Zapomniałeś, niewdzięczniku? Ten kusznik...

- Ale... boście mówili o pobiciu... Aha! - olśniło go. - Chcecie inną kwalifikację czynu dla niej uzyskać?

- Uchowaj Boże. - Pirr podsunął mu pucharek. Tak jak uprzednio, był w rękawiczkach z cienkiej skórki i kapturze. Tylko czarną opończę zsunął z rozdętych garbem barków, odsłaniając koszulę i czarną kamizelkę. Wszystko, z opończą włącznie, utkano z delikatnego jedwabiu, co poniekąd tłumaczyło tak obfity ubiór w cieplej końcówce lata. Parę warstw jedwabiu dodawało tyle powagi, co parę warstw dobrego sukna depholskiego, nie wyciskało jednak z właściciela równie wiele potu. - Pij, to dobre wino... Będę wnioskował o zabójstwo w samoobronie i afekcie. Ale - skrzywił się - jak znam oskarżyciela, uprze się przy brutalnym pobiciu z premedytacją, szczególnym okrucieństwem i skutkiem śmiertelnym. Tudzież bezczeszczeniu zwłok i akcie rasizmu.

- H... he? - Debrena zatkało. - Że jak?!

- Laup miał babkę elfkę, więc podłoże rasistowskie mamy murowane. A trupa na stół rzuciła, między jadło, co było wielce upokarzające dla zwłok.

- Ale... ona przecież... jeno strzeliła! Toć widzieliście, jak było!

- Dla jej dobra uznajmy, że nie widział. Nie można być świadkiem i obrońcą zarazem. To nie Lelonia, Debren, u nas kultura prawna osiągnęła niebywałe wyżyny.

- No... wiem - przyznał Debren. - Ale... bo ona przecież palcem go nawet nie tknęła, więc jakie to pobicie?

- Pobicie mamy, gdy sprawca nie atakuje ofiary bronią. Czyli narzędziem, o którym z góry wie, iż może ubić. Klasycznym przykładem nie-broni, żakom wydziałów prawnych podawanym, jest wałek do ciasta oraz patelnia.

- Amma strzeliła z króciicy - przypomniał Debren.

- W tym problem - westchnął Pirr, upijając łyk z kielicha. - Gdyby kuszy użyła, łuku... ba, procy choćby. Wybroniliśmy ją. Ale arbalet prochowy... To nowinka. A prawo nienawidzi nowinek. Ignoruje je, boby się sędziowie musieli douczać i więcej myśleć, zamiast sprawę do znanych precedensów dopasowywać. No więc dla sędziego taka króciica to rodzaj patelni. Narzędzie, które, jeśli je z dużą dozą złej woli użyć, może człowieka okaleczyć lub zabić. Ale normalnie nie musi.

- Kula z tej niby-patelni czaszkę przebiła!

- Ba, solidna patelnia potrafi całkiem pogruchotać.

- No dobrze - skapitulował Debren. - Niech będzie, że to pobicie. Ale to lepiej, prawda? Niż zabójstwo?

- Nie masz pojęcia o prawie - stwierdził z pogardą Pirr. - Lepiej? Napastowana seksualnie niewiasta powinna napastnika bełtem przeszyć, nożem dźgnąć... Wtedy nie ma sprawy. Obrona konieczna. Ale jak złapie patelnię i tak długo tłucze, aż zatłucze... O, to całkiem inny paragraf. Znęcanie się, przekroczenie granic, premedytacja... Okrucieństwo szczególne, zwłaszcza gdy patelnia rozgrzana. Zbyt wiele takich przypadków w rodzinach się zdarza, więc sędziowie są przeczuleni.

- A na przeszywanie bełtem nie są?!

- Bądź pragmatyczny, Debren. Jak pijany mąż do chałupy wraca i zaczyna rozstawiać pięściami po kątach, to baba, choćby solidnie poturbowana, za kuszę nie chwyci. No bo to jednak żywiciel, ojciec dzieci. Toteż prawo nie musi prewencyjnie odstraszać od chwywania. A patelnie niejednego uśmierciły. No to się dmucha na zimne.

- Króćca bliższa jest kuszy niżli patelni.

- Łajno tam. Każdy anvaski sędzia ma księgę ze spisem oręża. I króćcy tam ani śladu. Choć to najlepsze w świecie opracowanie, od wieku z dobrym skutkiem stosowane.

- Wiek? Wiek temu prochu w Viplanie nie znali!

- Prawo to zbyt poważna rzecz, by je co rusz zmieniać. - Krzywy uśmiech Pirra sprawiał, że Debren nie czuł się jak ofiara brutalnych kpin. Jurysta owszem, kpił, ale nie z niego. Co dziwiło, bo prawnicy, gdy szło o prawo, bywali bardziej fanatyczni niż mnisi w kwestii religii. - Po co zresztą, skoro z zapisów, co to je jeszcze starożytni Zulijczycy sformułowali, da się skutecznie wyrokować? Starczy wykazać analogie między patelnią a króćcą z napędem jednosiarokodwuwęglodrewnianowosaletrowym.

- Nie ma analogii - wzruszył ramionami Debren.

- Ależ są. Liczne. Ta i ta energią kinetyczną razi, na tępy sposób przyłożoną, nie zaś jak bełt czy nóż, na ostry. Jedna i druga poparzenia wywołuje, gdy z bliskości użyta. Obie uśmiech politowania wzbudzą u prawdziwego mężczyzny, o wojaku nie mówiąc. Jedna i druga śmierć zada tylko pod warunkiem, że się ją z dużym ładunkiem złej woli i mocną premedytacją zastosuje. Jedna i druga krzywdę samej używającej lub dzieciom może uczynić, gdy się baba nieostroźnie z narzędziem obchodzi. Jedna i druga nie nadaje się nijak do uczciwej samoobrony. Pokaż mi niewiastę, co

idąc do karczmy, w obawie przed zaczepką patelnię bierze. Albo krócicę. Wszak wiadomo, że tym się odstraszyć napastnika nie da. Można go najwyżej utłuc. Co innego z kuszą pójść. To uczciwe postawienie sprawy: każdy wie, że jak zaczepi, bełt zarobi. Więc nie zaczepia. Trudno taką niewiastę o mordercze zapędy posądzić. A tę z patelnią łatwo. Przygotowania - uniósł palce belferskim gestem. - To one są kluczowe. Trzeba się sporo natrudzić, by ukatrupić kogoś strzałem z króciicy. Gdzieś czytałem, że się to całe pacierze rychtuje. Z myślą wszak nie o czym innym, a o zabiciu. To jakoś świadczy o psychice sprawcy, prawda? Zimne wyrachowanie. Afekt odpada.

- Kuszę - zauważył przytomnie Debren - też całe pacierze można ładować, jeśli ciężka i na korbę.

- Ale kusza nie jest zdradziecka. A patelnia? Nigdy nie wiesz, czy czemu dobremu służy, czy do zabicia.

- Króciica niczemu dobremu nie służy. Nie usmażysz na niej placków. Jej jedyne zastosowanie, tak jak kuszy...

- E tam. A palenie w niebo na wiwat? Walenie siekańcami do szpaków, by czereśni nie kradły? Solą w zadek złodziejaskowi nieletniemu? Wbijanie gwoździ rękojeścią? Ćwiczenie koni bojowych do znoszenia huku i błysku, co potem sprawia, że je magia bojowa tak łatwo nie płoszy? Krzesanie ognia? Jest sto pokojowych zastosowań króciicy, które zresztą gnomy w załączonej instrukcji wyliczają. Więc nie wmówię żadnemu anvaskiemu sędziemu, że bliżej jej do kuszy niżli do patelni czy wałka.

Debren uznał się za pokonanego.

- No a za takie pobicie ze skutkiem... co grozi?

- Przede wszystkim nie uzyskam uniewinnienia. Gdyby bronią zabiła, uzyskałbym i nijakiej kary by nie było. A tak będzie. Chłosta penitencjarna.

Nie brzmiało to dobrze. Debren aż się wzdrygnął.

- Peni... znaczy... to od... penisa? Znaczy, że leją po...?

- To ze staromowy wzięte. Oznacza skruchę, pokutę. Inaczej mówiąc: poddany chłóście może się od kary uchronić, jeśli wyzna winę, pokaja się i obieca poprawę.

Debren czuł, jak uśmiech rozlewa mu się po twarzy. A potem stopniowo do niej przymarza. Bo twarz Pirra ani trochę na radosną nie wyglądała.

- W czym problem? - zapytał cicho Debren.

- Po pierwsze: dyby - mruknął Pirr. - Skazanego na czas chłosty zakuwają. To zwykle żaden kłopot, ale ona wszak nie mówi. To jak ma samokrytykę złożyć?

- A po drugie?

- Może bym wywalczył, by jej jedną rękę swobodną zostawili. Napisałaby, co trzeba. Mamy humanitarne prawo. Złamane ramię daje podstawy...

- Ona nie ma złama... - Debren urwał. - O, nie...

- Nie bój się, o to cię nie poprosi. Bo po drugie, to ona akurat nie może pisemnie kaźni zatrzymać.

- Kaźni?

- To łagodna kara, ale... no, jeśli grzesznik skruchy nie wyraża, kat ma bić aż do końca.

- Zabiją ją?! Bo niemowa?! - Pirr nie odpowiedział. - Ale przecież pisać umie! To jak to? Pismo mniej ważne? Dla was, jurystów? Toż to wy właśnie bardziej w pergamin niż w człowieka wierzycie!

- Fakt - przyznał garbus. - I w tym właśnie problem. Bo jest pergamin, urzędowy, z pieczęciami, który mówi, że Amma, córka Joha Garncarza, to analfabetka i krzywoprzysięzca. Czyli ktoś, kogo pisemne zeznania z definicji aż po dwakroć nie polegają na prawdzie.

- Umie pisać! - zaprotestował Debren. - Mało ortograficznie, ale umie!

Pirr dokończył swoje wino. Odsunął pucharek.

- Sąd skazał młodego barona opp Trickley jeno za pobicie. Świadkowie zeznali, że uderzył ją, ogłuszył i wywiózł w nieznanym kierunku. Po tym, jak w gębę mu napluła i nań nakrzyczała, o śmierć siostry winiąc. Tyle mu udowodniono. A że ją potem znaleźli z odciętą połową twarzy? Cóż. Biegły znawca dusz, na eksperta powołany, tłumaczył to samookaleczeniem spowodowanym wyrzutami sumienia. Wyrzuty zaś zrodziło oplucie i okrycie rycerza hańbą. Której wszak baron nijak nie zmaże, bo przecie baby i córki prostaka na udeptaną ziemię nie pozwie. To okrutna krzywda, uzasadniająca tak silną potrzebę ekspiacji. Zeznań powódki, czyli Ammy, nie uwzględniono. Chyba ekspert sądowy wie lepiej, co w głowie powódki siedzi, niżli jakaś tam powódka. No i strona pozwana wykazała, że pismo nie spełnia wymagań formalnych. Jako sporządzone przez osobę, która nie ukończyła szkoły. A to świadectwo szkolne czyni piśmiennym. W oczach sądu przynajmniej. Sąd, w swej pokorze, opiera się na opiniach ekspertów, a wszak trudno o lepszych w zakresie piśmiennictwa niż bakałarze gminnazjum. Czyli gminnej szkoły elementarnej.

- Nie ukończyła szkoły? - Większość ludzi w ogóle żadnej nie rozpoczęła, lecz Debren wyczuł, że to ważne.

- Niedostateczny z religii. W ramach wolności wyznania i poszerzania praw obywatelskich uznano stopień z religii za pełnoprawny i włączono go do średniej, więc kto nie zaliczy, nie otrzyma promocji. A ona nie zaliczyła. Siostra samobójczyni - wyjaśnił oględnie jurysta.

- Zabeta? Ta, co do rzeki się rzuciła? Z winy barona?

- Ta. Nie patrz tak. To tylko jedna przesłanka. Sąd uwzględnił też

drugą: że tą samą dłonią, którą dziewczyna składała zeznania, diabeł włada.

- Co?!

- No nie patrz tak. Sąd potraktował ją możliwie łagodnie. Opętanie przez złego ograniczone do kończyny... Niekaralne, nawet leczeniu podlega jeno na wniosek rodziny. A ta nie wniosowała, gdyż się Joh rozpił, zaś córki się wyrzekł i z domu przegnał. Bo na co mu oszpecona poczwara, awanturnica napastująca szlachtę i w dodatku tłumok, co gminnazjum skończyć nie umie? Upiekło się więc dziewczynie. Tyle że niektóre czynności wykonywane potem taką kończyną są w świetle prawa nieważne. W szczególności czynności prawne, jak podpis czy przyklepanie umowy ustnej. Aha, i zrękowiny. Możesz - uśmiechnął się krzywo Pirr - pierścionek jej na palec założyć, potem się narzeczeństwa wyprzeć i nikt ci złego słowa nie powie.

- Nie mam zamiaru... - Debren spłonął rumieńcem. Choć naprawdę nie miał. - Co temu sędziemu do łba strzeliło z jakimś diabłem?

- Chciał biedaczce pomóc. W śledztwie ustalono, że poza twarzą straciła dziewictwo. A okoliczności nie dało się ustalić. Czyli, po linii orzecznictwa idąc, samogwałt. Tak się to zwykle klasyfikuje. Też niekaralny, o ile nikomu krzywdy nie czyni. Żyjemy w nowoczesnym, liberalnym kraju. Ale ona się upierała, że to baron jej tam rękę wepchnął i hańbę zadał. Oszczerstwo więc rzuciła, przez co samogwałt nabrał charakteru przestępstwa.

- Nie wierzycie jej? - zapytał cicho Debren.

- Debren, jestem jurysta, nie zakonnik. Moja wiara nie ma nic do rzeczy. Na faktach się opieram. A fakty są takie, że dowodów brak. Jedyne wiarygodny świadek to baron. Bo Amma niewiarygodna. Zwłaszcza odkąd wstecznie jej pisemne zeznania unieważniono, bo

wszak pisać nie umie, czego świadectwo szkolne niezbitie dowodzi. To co miał sędzia zrobić? Za rzucanie oszczerstw do lochu ją posłać? Litość go zdjęła i na diabła winę zwałił.

- Brak świadków? Byli przecież! Widzieli, jak ją głuszy i uwozi w nieznane!

- I za to barona skazano. Surowo. Na pół roku wieży. To Anvash, nie jakaś demokracja.

W końcu coś, co brzmi sensownie. Wieża. A konkretnie: mroczny loch pod nią. Zaduch, wilgoć, zimno, szczury, robactwo, gnój po kostki i zgniłe trupy tych, co zmarli przed odsiedzeniem wyroku. Z wieży, jeśli ufać statystykom, raczej się wychodziło, jeśli kto siedział krótko, i raczej nie wracało, gdy wyrok przekroczył parę miesięcy.

- Ale przeżył? - upewnił się z nieco pogodniejszą miną. - Reumatyzmu choć dostał? Wrzodów porządnych?

- Przeżył - odparł Pirr z nieodgadnionym wyrazem twarzy. - Akurat... sponsor się znalazł. Który wyłożył sporą sumę na modernizację miejskich lochów. Zamknięto je na czas remontu i dla barona miejsca nie było.

- W kamieniołomie odsiedział? - zaniepokoił się Debren. Wbrew pozorom, harówka w kamieniołomach była zdrowsza od piwnicznego gnicia.

- Nie całkiem. Do kamieniołomu brutalnych przestępców nie dają, bo ich ucieczka mogłaby być groźna dla okolicznej ludności. Więc... w areszcie domowym. Miał zakaz opuszczania... hmm... miejsca zamieszkania.

- Znaczy się, zamku?! - oburzył się Debren.

- Znaczy się, posiadłości. Szlachcic to nie prostak, przypisany adresem do chałupy czy kamienicy. Jako miejsce zamieszkania podaje posiadłość. Ta ma jednak ledwie kilkaset łanów, więc, jeśli cię to pocieszy, mocno baronowi areszt dokuczył. Sporo polowań

koło nosa przeszło.

Debren niemal zazgrzytał zębami.

- A sponsorował - domyślił się - pewnikiem tatuś.

- W ćwierci. O resztę funduszy baron wystarał się w Feministycznej Fundacji Obrony Niewiast. Argumentując, że lepszy loch oznacza skuteczniejsze kary dla gwałcicieli, molestatorów i sprawców domowej przemocy.

Debren plunął na dobre obyczaje i nacharknął z całego serca na podłogę. I niech się cieszą, że tylko tyle.

- Że też ziemia takich łajdaków nosi... I takie durne baby na dodatek...

Pirr odczekał chwilę. Potem dokończył:

- Młody baron doznał objawienia i odnowy moralnej. Czego dowiódł, publicznie, na mszy, składając ślubowanie, iż osobiście ukarze każdego łajdaka, który zada srogą krzywdę biednej Ammie. Jako zaś pokutę w stosunku do społeczności okręgu Trickley dorzucił obietnicę, iż wszystkich gwałcicieli wypleni. Ślubowanie dało podstawę jego juryście, by o warunkowe skrócenie wyroku wnioskować. Interes społeczny za tym przemawiał. Dobro dziewczic i niewiast, mianowicie, gwałtami zagrożonych.

- I sąd skrócił - warknął Debren.

- Widzisz? Zaczynasz wyczuwać istotę prawa.

Debren miał ochotę powtórzyć splunięcie, ale pohamował się i wybrał picie wina.

- Baron wystarał się też, by rodziców Ammy ustanowiono jej kuratorami społecznymi. - Wino było dobre, ale nie dlatego chłopak ograniczył się do posępnego spojrzenia znad brzegu kielicha. Po prostu bał się, co jeszcze może usłyszeć. - Weź to pod uwagę. Bo tacy kuratorzy odpowiadają za los podopiecznego. I jak się, powiedzmy, podopieczny do rzeki rzuci, kuratorów za zaniedbanie

obowiązków mogą do lochu posłać. A wtedy pozostałe dzieci kuratorów... już teraz biedujące, głodujące i schodzące na złą drogę...

Debren powoli odstawił kielich. Nie domyśliłby się. Ale głos Pirra, jego spojrzenie... Garbus bardzo się postarał, by przejrzeć w końcu.

- To... wy? - Spod maski iluzji spoglądały na niego zmrużone, żółte oczy. Kpiące i smutne zarazem. Niby życzliwe, ale i... nieludzkie? Znów, jak w przypadku Ammy, ogarnęła go pokusa, by zedrzyć osłonę zakrywającą prawdziwe oblicze rozmówcy. - Jurysta barona?

- Prawnik nie wybiera - wzruszył ramionami i garbem Pirr. - Niesie pomoc każdemu, jak medyk.

- Czego ty właściwie chcesz, Gruszka? - Debren zastanawiał się, czy zneutralizowanie komuś zaklęcia upiększającego jest w Anvaszu karalne. I nie chodziło o przyjrzenie się tamtemu. O zwykłe dokuczenie chodziło. - Pomóc jej? Tak jak twój pan?

- Dbam, by sobie życia nie odebrała - wyjaśnił spokojnie Pirr. - Albo ktoś go jej nie odebrał. To coś złego? Wszak życie to bezcenny dar, od Boga pochodzący.

- Powiedz jeszcze, że powinna się nim rozkoszować.

- Jest błękit nieba - uśmiechnął się nieznacznie jurysta. - Śpiew skowronka o świcie. Smak wina - puknął palcem w puchar. - Ciekawe dysputy.

- Chędożysz bez sensu - warknął Debren. - Ojciec się jej wyrzekł. Głoduje, na ulicy mieszka. Błękit czystego nieba? Znaczy tyle, że w dzień upał dokuczy, pot ją zaleje i bardziej będzie śmierdzieć, a nocą na kość zmarznie. Skowronek? Sen kradnie, jedyny azyl bezdomnego. Nowy dzień szyderczo zapowiada mękę, którą trzeba jakoś przeżyć. Dysputy? Z kim? Żebrakami niepiśmiennymi? Jak ma z nimi gadać? I o czym? Że ludzie na jej widok rzygają i kamieniami ciskają?

- Współczujesz jej, prawda?

- O! - udał zdziwienie. - Prawnik, a zna to słowo??

- Widzisz to na moich plecach? Jak myślisz: ile rzygów i kamieni za garbusem poleciało?

Dobry cios. Debren zbierał się po nim z pół pacierza.

- Jesteś mężczyzną. U nas to... mniej ważne. I jurysta, zamożny... Znajdziesz sobie jakąś.

- Kupię sobie jakąś - poprawił go Pirr. - Toś chciał powiedzieć. Tylko, widzisz, miłości nie da kupić. Trzeba ją wyczarować prostymi plecami. Gładką skórą - uniósł obleczoną w rękawicę dłoń. - I urodziwą twarzą.

- No to nie będziesz miał rozmiłowanej - mruknął Debren. - I co z tego? W łóżu... Pewnie, że lepiej... Ale...

- Ba - uśmiechnął się jurysta. - Ile masz? Szesnaście lat, siedemnaście? W tym wieku też tak mnie nosiło, że mi się miłość z chucią myliła. Byle dziewczka mało szpetna, czort z resztą. Pożyj jednak drugie tyle i sam zobaczysz: czegoś więcej się człekowi chce. Wspomnisz moje słowa.

Debren milczał przez chwilę ponuro.

- Jednego nie pojmuję, panie jurysto. Czemu my w ogóle gadamy? Baron kazał wam pilnować, by Amma żyła i męki zaznawała. Jemu się wysługujecie, nie jej.

- Jurysta - oświecił go Pirr - łapie tylu klientów, ilu zdoła, byle w konflikt interesów nie popaść. A tu nie ma konfliktu. Zbieżność jest. Baron wyjechał. Nim wróci, Ammę na śmierć zachłoszczą. Prywatnie, owszem, ludzie się go boją i nikt jej srogo nie skrzywdzi. Ale prawo to co innego. Złamała je, trudno. Więc ją zatłuką bykowcem. A ja stały dochód stracę.

- Chyba że...? - uśmiechnął się krzywo Debren. - Co radzicie zrobić, by chłosty uniknęła?

- Jako jurysta? - Garbus przybrał nagle oficjalny ton. Debren rozejrzał się nawet, by sprawdzić, czy nadal są sami. Ale byli. - Na sprawiedliwość sądu się zdać. Nie aresztowali jej, póki co. Rano to zrobią. Wiadomo wszak: bramy zamknięte, uciec się nie ucieknie.

- Chyba że linę z muru spuścić...

- Prawo nie przewiduje lin. Z grodu wychodzi się przez bramę; jej zamknięcie to w opinii sądu dostateczny środek zapobiegawczy.

- I co: nikt wam nigdy nie uciekł?

- Uciekali - przyznał Pirr. - Ale to już nie sądu problem, prawda? Zresztą skąd żebraczka linę weźmie? I dokąd by miała zbiec? Kto by ją potem przed... - urwał, popatrzył Debrenowi w oczy - ...srogą karą obronił?

Położył nacisk na słowie: „sroga”? Debren nie miał pewności. Ale zrozumiał.

- Daleko stąd - zapytał - do zamku barona?

- Cóż, noc, bramy zawarte. Ale gdyby baron do nagłego wypadku pomoc wezwał... Medyka, spowiednika, jurystę... o, albo czarodzieja... Bo tym po nocy bramę otwierają: ratunek niosącym... i ich czeladnikom oczywiście... Cóż, taki zespół ratowniczy wcześniej by doszedł, niż sędzia wstanie i nakaz podpisze. - Pirr dźwignął się znad stołu. - No, ale na mnie czas. Dobrej nocy, chłopcze.



Debren przekroczył próg alkierza, zamknął drzwi i usiadł na łóżku. Tabliczka, gęsto zapisana, już tam czekała.

„*Muj plan*” - głosił nagłówek.

- Plan? - posłał Ammie zdziwione spojrzenie. - To po co mnie do Pirra posyłasz?

Pokazała mu tabliczkę. I słusznie.

„Mam nadzieje, rze słowa dotszymałeś i wróciłeś.” - Dla odmiany spojrział na nią z urazą, co skwitowała wzruszeniem ramion. - „I rze jak s Gruszkom pogadałeś, to rozómiesz rze mnie tu śmierć czeka. Zaś moich rodzicuf loh, pszes co bracia i siostry na psy zejdom i pewnie zmarniejom bo jusz teras głud w domu i nędza. Nie mam wienc nic do stracenia. Jak mi nie pomożesz, to ci lufe do łba pszystawie i na zakładnika wezme. Ale tak by nikt nie widział. Do pleców morze? I mnie z grodu wyprowadzisz. Magika puszczom pszes Brame Piwnom. Jak nie po dobroci, to rószczkom ich postraszysz. Ale pomusz mi lepiej po dobroci, Debren, nie bonć taki. Ja ci rzycie ocaliłam, pamiętasz? Teras mów czy mi pszysiengasz pomagać czy nie. Jak nie, to masz mnie słuhać i robić co każe bo ci wpakuje kule. A jak tak, to mi pomagaj i sam inicjatywe wykazuj. Do bramy pójdziemy i powiesz rze cie baron wezwał byś mnie pszywiós. Bo smok mi tu zagrarza. I masz od barona plenipotencjał by karzdego ćfoka ogniem spalić i inszym czarem jak w parade ci wlezie. A jak spytajom, czemu pieszo, muw, rze konie masz na Małym Podgrodziu u Wonsatego. Oni sie barona bojom to zobaczysz rze nas pószczom.”

- Pomogę ci uciec z miasta - uśmiechnął się bez radości. - I tak miałem stąd zmykać. Burmistrz... no, coś takiego wymyślił... Nie może mnie tu być, bo się jednemu chłopakowi okrutna krzywda stanie. Więc się nie bój. Pomogę ci. Parol daję. Schowaj broń.

Schowwała. Spakował książki, przewiesił torbę przez ramię, po chwili wahania nasadził na głowę i uwiązał pod brodą czapkę półmerlinkę. Gdyby mieli zrobić coś głupiego, lepiej byłoby jej nie mieć na sobie: w mroku mógł pozostać nierozpoznany i potem się spróbować wyłgać. Lecz z drugiej strony, gdyby wszystko się popieprzyło i musiał zrobić coś bardzo, ale to bardzo głupiego, ta

oznaka czarodziejskiego stanu mogła go ocalić. Ludzie dwa razy pomyślą, nim zaatakują kogoś, kto włada magią.

I rzeczywiście: przez nikogo nie zaczepiani, przeszli przez pół miasta, choć pełne uchodźców Trickleley nie było tej nocy najbezpieczniejszym z anvaskich grodów. Draberia pilnowała ratusza i dachów, nad którymi mógł się pojawić smok; ulice opanował margines i element przestępczy, nie zapakowany przez burmistrza do lochu. Nim dotarli do Bramy Piwnej, obok przemknął zakapturzony typ, ściskający pod pachą rozgdakaną kurę. Tu i tam pokrzykiwano o łapaniu złodzieja albo łuku naszykowanym, by się lepiej nie zakradać, bo wszystko widzę. Ktoś szedł za nimi: kilka przygarbionych postaci, na szczęście tylko węszących za łatwą zdobyczą i trzymających się z dala. W zaułku po lewej dwie bandy wyrostków okładały się pięściami, wyzywając od wiejskich kmiotów i mieszczuchów spryčiuchów. W zaułku po prawej Debren wypatrzył pijaka, któremu rabusie pozostawili tylko gatki i jedną onucę. Nie zdziwiło go więc wysunięte w ich stronę ostrze halabardy: strażnicy wałowi przy bramie mieli powody, by uważnie patrzeć przechodniom na ręce.

- Czeladnik mistrza Factorby'ego. - Wystarał się o władczy ton. - W drodze do barona opp Trickleley. Otwórzcie furtę. Aha - przypomniał sobie. - I ekspert burmistrza. Mam tę niewiastę ewakuować z zagrożonego miasta. Nasze konie czekają u Wąsatego.

Strażników było dwóch. Trzeci krzątał się po górującej nad bramą wieży, brzęcząc patelnią i smażąc cebulę.

- U Wąsatego, powiadacie, panie Sovrojcu? - Ten grubszy, chyba dowódca, nie wziął przykładu z chudszeo, nie odstawił halabardy pod ścianę. - A to ciekawostka. I od kiedy to tak czekają?

Chudszy, widać mniej bystry, usłużnie podskoczył do sąsiadującej z wieżą bramną furty, zaczął odsuwać rygle. Ale Debren i tak złał

się potem. Coś poszło nie tak.

- Z Sovro nie jestem - wzruszył ramionami. - Ale stąd tym bardziej nie. Skąd mam wiedzieć? Klient podstawia konia czy podwodę, ja jadę.

- Zostaw furtę, Zilly - powstrzymał chudego grubszy. - A wy inną bajkę wymyślcie. Wąsaty w lochu siedzi. I nijakich koni ze sobą, panie Sovrojcu, tam nie zabrał. Bo je klientom zdefraudował, pozór czyniąc, że to koniokrady i wilki.

Debren zerknął na Ammę. Trochę by przekazać niemy wyrzut, trochę by sprawdzić, czy nie wyciąga króciicy. Nie wyciągała, ale i tak nie było dobrze. Przygarbione postacie, śledzące ich od rynku, szemrały w mroku, przyciągając podejrzliwe spojrzenie halabardnika.

- Już zem pieczęć zerwał, panie nadwałowy - dobiegł od strony furty niepewny głos Zilly'ego. - Myślałem...

- Ja tu od myślenia jestem, głupku! Kazał ci kto?!

- Baronowi - spróbował Debren - na czasie zależy.

- A mnie na robocie - warknął nadwałowy. - Nie puszcę was, a już z tą dziewczką to na pewno.

- Niby dlaczego nie?

- Bo nocą puszczać wolno jeno służby pogotowia ratującego. Mistrzów i czeladników. A z niej nijaki czeladnik. W dodatku człeka ubiła. Co się tak gapicie? Myślicie, że jak strażnik wałowy, to od draba głupszy? Wiem, co w trawie piszczy. Lepiej od tych przepłacanych dupków z draberii. Psiekrwie - splunął - burmistrza namówili, by nam jurysdykcję do pół ulicy ograniczył, co do muru przylega. To niech sami morderczynię łapią, co na ichniej połowie stoi. - Amma spojrzała pod nogi, cofnęła się o krok. - Zresztą nie było rozkazu pojmać, to i na mojej połowce nie będę. Ale ucieczki ułatwiać, to też nie.

- Ale panie nadwałowy - jęknął Zilly. - Pieczęć! Jak nie przejdą, to kto opłatę wniesie?

- Ty - burknął dowódca. - Staniesz do raportu, wyjaśnisz komendantowi, czemu regulaminu nie znasz. Plomba zdarta, a opłaty furtnej brak? Pojedzie ci po żołdzie, to zmądrzejesz. A wy tam - huknął do przygarbionych, czających się u wylotu ulicy - rozejść się! - Łypnął ponuro na Debrena. - Jeśli to wasi ludzie, to ich lepiej odprawcie. Bo Młodziaka wywołam - wskazał strażnicę nad bramą - a on strzela, że strach. Drugi Bobin Czapa. Jenó - zaznaczył - że po stronie dobra stoi, znaczy się prawa.

- Nie moi - zapewnił Debren. - Ja jestem z Sovro.

- Znam regulamin! - oburzył się Zilly. - Jenó...

- Rozejść się! - machnął halabardą nadwałowy. - Wszyscy! I nie chcę was tu więcej widzieć.

Debren zawrócił w stronę rynku. Niestety, sam. Amma nie zawróciła. Nim się zorientował, wyszarpnęła króciwą spod opończy.

- Yyyy! - zawyła, mierzając nadwałowemu w twarz. Debren jęknął w duchu, sięgnął po różdżkę, okręcił się na pięcie. Za późno.

- Ma oręż! - wydarł się Zilly. - Uważajcie, panie...

Nadwałowy nie potrzebował jego rad: już wcześniej zamachnął się halabardą. Na szczęście wiedział, co w trawie piszczy, i uderzał płazem, w rękę z króciwą, by wytrącić broń, nie czyniąc dziewczynie srogiej krzywdy. Debren pohamował się więc w porę i zamiast przywalić mu gangarinem, zmitrężył dwa momenty i użył kurzaka.

Nie miał wprawy w rażeniu Kurzą Ślepotą (pasma EOm, poziom ekspercki, magia ognia, podtrzymanie mózgowe): nocami raczej wkuwał, niż włóczył się po karczmach i ćwiczył czobo w ulicznych burdach. Wyszło jednak nieźle. Tyle że Amma uskoczyła, strażnik skoczył za nią i zakłęcie tylko go musnęło. Chybił, złapał się za lewe oko, lecz prawe natychmiast wypatrzyło różdżkę.

- Magią?! - wrzasnął. - W funkcjonariusza, sovrojski przybłądo?!
Młodziak, sam tu!

Pchnął trzymaną w jednej ręce halabardą. Debren padł na kolano. Oberwały siekierką, gdyby broń trzymano jak należy. Na szczęście halabarda okazała się za ciężka dla pojedynczej ręki. Zdążył umknąć ostrzu.

- To barona podopieczna! - ostrzegł Zilly. Złapał odstawioną pod mur halabardę, lecz na tym chwilowo poprzestał. - Uważajcie, panie nadwałowy! I ostrzec powinniście! Że broni ostrej użyjecie! Regulamin stanowi...

Nadwałowy dał spokój oślepienemu oku, chwycił drzewce oburącz i zamachnął się do cięcia. Spanikowany Debren, zamiast powtórzyć czar, sięgnął po szybszy. Akademicki instruktor czobo zalecał w takich sytuacjach błyskawicę („Błyskawica, kursanci, jak sama nazwa wskazuje, piorunem działa”), więc z różdżki strzeliła smuga zjonizowanej bieli. Powinna trafić strażnika w twarz i zakończyć walkę. Tyle że z odległości paru stóp można człowiekowi na dobre uszkodzić wzrok, waląc go zbyt mocną błyskawicą, i Debren w ostatniej chwili szarpnął różdżką w dół. Nadwałowy dostał w brzuch. Od pasa, nie wiedzieć czemu, oderwało mu sakiewkę, monety z brzękiem potoczyły się po bruku. Zatoczył się, zamrugał oczyma.

- Grosze! - zaskrzeczał z tyłu podniecony starczy głos. Chyba któregoś z przygarbionych.

Halabarda skrzesała iskry, bijąc o łokieć od odtaczającego się Debrena. Następny cios byłby już pewnie śmiertelny, bo unik całkiem pozbawił chłopaka możliwości czarowania. Na szczęście ciemno było, a błyskawica, choć chybiona, dała się we znaki prawemu oku strażnika. Kolejne uderzenie pomknęło w dokładnie odwrotnym niż Debren kierunku. I następne, znów zadane na oślepa.

A może nie na oślepie? Przygarbione hieny rzuciły się zbierać monety, coś się tam uwijało w mroku.

- Młodziak!!! Szyyyyj! - wrzasnął nadwałowy. Kolejne pchnięcie wyszło mu już prawie dobrze. Hak halabardy rozpruł Debrenowi bok kaftana.

- Straż wałowa! - ostrzegł Zilly. - Rzuć broń, panienko! Widzicie? - posłał nadwałowemu triumfalne spojrzenie. - I kto lepiej zna regulamin?

Amma pociągnęła za spust.

- Amma, nie! - przeraził się Debren.

Kołowy mechanizm krzeszący - zamek się to bodajże nazywało - wykrzesał imponujący snop iskier, ale na wystrzał się to nie przełożyło. Zilly, przezornie trzymając prawą rękę z halabardą daleko z tyłu, lewą próbował wyszarpnąć dziewczynie gnomową króciwą. Amma, chyba zła na zawodny mechanizm, wyładowała tę złość, waląc go ręką po hełmie. Zadzwonilo jak z kościelnej wieży, strażnik zatoczył się. Dziewczyna odskoczyła, zaczęła gorączkowo kręcić kółkiem zamka, napinać sprężynę.

- W kogo? - krzyknął z góry młodzieńczy głos. Przy wyjściu z wieży na pomost bojowy kolejny strażnik nakładał strzałę na cięciwę łuku.

- W tego! - sapnął nadwałowy, ni to wskazując Debrena pchnięciem, ni to próbując samemu nadzieć na grot. Celował chyba na słuch, więc znów chybił, ale nie aż tak, by temu na górze pozostawić wątpliwości. Debren, uskakując, dostrzegł naciągany łuk i znów, jak w „Uciesznym Rogu”, malejący zarys strzały. Nim złożył się do czaru, zarys zmałał do punktu. Zaraz tamten zwolnił cięciwę i...

- Regulamin! - stęknął Zilly, macając się po hełmie. - Strzał ostrzegawczy, Młodziak! Bo i ciebie do raportu...

- Jełopie! - ryknął nadwałowy. - To przy tłumieniu...

Spóźnił się. Zbity z tropu Młodziak poderwał szybko łuk i posłał strzałę pionowo w nocne niebo.

- Stój, bo strzelam! - wyrzucił przepisową formułkę. - E... ten... znaczy: straż wałowa, stój, bo...

Debren pogratulował sobie, że to Anvash, gdzie od stróżów prawa wymagano, by przestępcę łapali, a nie kładli trupem w czasie interwencji. Ktoś mądry wytłumaczył mu, że to nie tyle humanitaryzm, co efekt władzy jurystów, dla których martwy klient to żaden klient, ale mniejsza o powody - ważne, że mu się upiekło.

- ...tłumieniu zamieszek! - dokończył nadwałowy. - I przy pikiecie bezoreźnej! A ten ma broń! Na kopach do raportu komendantowi pośle! Obu! Szyj, gówniarzu!

Wystraszony łucznik sięgnął do kołczana.

- A łajno! - postawił się Zilly. - Nijakiej broni nikt...

Amma dała sobie spokój z kółkiem, dopadła Zilly'ego i raz jeszcze trzasnęła go po hełmie uchwytem króciicy. Brzęk blachy złał się z hukiem wystrzału. Pocisk pomknął do góry, słychać było, jak wali o krawędź kryjącego bramę dachu, odłupuje kawał dachówki. Nadwałowy, chwilowo ignorując Debrena, machnięciami halabardy odpędzał trójkę przygarbionych cieni, próbujących zbierać rozsypane monety. Dopiero teraz Debren odkrył, że to dwaj starzy żebracy i żebraczka, chyba ta spod „Ucieszego Rogu”.

Nieważne. Ten na górze był ważny. Znów miał strzałę na cięciwie. Jeszcze pół momentu i... Błyskawica!

Próbował uprzedzić strzał. Udało się. Tyle że wpadła mu pod nogi starucha sprzed „Rogu”. Wyładowanie chybiło o łokieć, ugodziło w ścianę wieży. Łucznik podskoczył z wrażenia - ale nie spudłował. Strzała zagwizdała nad głową Debrena, przesywając tylko półmerlinkę, bo sam Debren wyłożył się jak długi. Cholerna baba...

Chciał poprawić. Nie zdążył: nadwałowy ciął halabardą. Debren musiał paść na wznak. Żeleźce przemknęło górą, ale czas mu się skończył.

Za moment nadleci kolejna strzała. Przetoczył się raz i drugi w rozpaczliwej ucieczce. O dziwo, pomogło.

Znów dźwięczny odgłos uderzenia czymś twardym o blachę. Rękojeść? Amma? Ale... tak wysoko? Tym razem dźwięk dobiegł z góry i z daleka. Jakby... znad bramy?

Jeszcze pół obrotu. Leżąc na plecach, wymierzył z różdżki. Pół momentu na dobrą błyskawicę. Szybciej się nie da. Co innego z łuku. Nie miał szans.

I faktycznie: nie trafił tamtego. Bo go nie było. To znaczy... stojącego. Leżał na pomoście. Debren dostrzegł połowę zwisającej zza barierki nogi i spadający z muru łuk. Aha - i jeszcze kamień. Spory, ciężki. Trzasnął o bruk razem z łukiem, potoczył się śladem umykających żebraków. Jakby... wskazując winowajców?

Nadwałowy chyba się zorientował, choć jego zwrócona ku górze twarz wyrażała tyleż beziły, co złości. Rozpaczliwie mrugał oczyma, próbując przywrócić im zdolność widzenia. Nie szło mu chyba, bo, zamiast polować na Debrena, zaczął cofać się ku furcie.

- Leć po tych z Szewskiej i Rzeźników, Zilly! - krzyknął, wprawiając halabardę w ruch wirowy. - Ja ich tu przytrzymam! Nie wyleżą z grodu! Po moim trupie!

Amma przykucnęła, ledwie unikając obcięcia głowy. Debren zerwał się na kolana, próbując zdecydować, czy lepiej przyczarować temu, który zostaje. Trickle było wielkie, więc i mury miało krótkie. Zaraz zwali im się na kark z pół tuzina strażników; same krzyki ich zwabiają. Dżuma i syfilis. Ale jeśli jednak nie zwabiają, to lepiej w Zilly'ego...

Tyle że Zilly jakoś nie gnał po pomoc. Kucnął, wysunął trzymane

nisko przy ziemi drzewce halabardy... Debren pomyślał, że tamten próbuje odepchnąć przewężony w środku, jajowaty kawał bazaltu, który przed chwilą spadł z muru. Nadwałowy, cofając się tyłem, lada moment mógł zahaczyć o niego piętą i...

Nie, zaraz. To dopiero teraz kamień znalazł się między wymachującym halabardą nadwałowym a furtą. Bo przedtem... No i nie był to aż tak wielki głaz, by potknięcie o niego mogło kogoś przewrócić. Co innego...

- Amma! - krzyknął, zrywając się na równe nogi i wyciągając ku niej rękę. - Biegiem!

Zaufała mu, choć nie powinna: pociągnął ją prosto na wirujące ostrze. Sam niepewny, czy dobrze zrozumiał.

- Uwaga! - zawołał Zilly, dopychając ostatecznie kamień w pobliże stóp nadwałowego. I... waląc go drzewcem w piętę. - Głaz! Bo się potkniecie!

Wcelował dobrze. Nadwałowy padł z hukiem na plecy, zgubił halabardę. W chwilę później przebiegł po nim ciągnący Ammę Debren. Chłopaka kuśiło, by kopniakiem w szczękę zmniejszyć ryzyko, ale kopnąć ślepego... No więc tylko podeptał.

Wystarczyło jednak. Nadwałowy nie zdążył zerwać się, dopaść broni i rozplatać ich oboje jednym wściekłym cięciem, podczas gdy szarpali się z zasuwą furty.

- Ranny funkcjonariusz! - ryknął przekonująco Zilly. Po czym runął na dowódcę, przygniótł do ziemi, unieruchomił. - Ale coś trzasło! Nie ruszajcie się, panie nadwałowy! A jak to kark?! Leżcie! O, Machrusie, ale trzasło! O ten kamień żeście chyba szyją... O, Machrusie, toż to bazalt, diabelska skała! Medyka, ludzie! Może jeszcze chodzić będziecie, jeno teraz ani drgnąć! Medyyyka!



Podgrodzie tonęło w mroku. Jak w Dumayce, choć Debren wiedział, że z całkiem innych powodów. W Anvashu, co wyczytał z „Mównicy Ludu”, drewno i воск były drogie, bo pazerni feudałowie wycięli większość lasów, wyrugowali chłopów z ich pól i gdzie tylko mogli, urządzali pastwiska. Zaś do reszty pogrążył ubogą część ludności wolny rynek, zdominowany przez zrzeszonych w gildie spekulantów. W Lelonii zarządzane przez Republikę lasy miały się naturalnie dobrze i każdego obywatela stać było na oświetlenie domostwa. Tyle że - nad czym ubolewała „Mównica” - przejściowo kulała organizacja wyrębu. Drwale, podjudzani przez wschodnie ośrodki oraz wichrzycieli pokroju Leco Skoczypłota, raz po raz paraliżowali rynek strajkami, domagając się tańszej kiełbasy oraz niezależnych, samorządnych, wolnych od państwowej kurateli cechów. W ich ślady poszli bartnicy, więc drewna nie dało się zastąpić droższymi świecami. No i trochę szwankował transport. Z przyczyn, naturalnie, obiektywnych: wszak trudniej pociągnąć drogę przez puszcę niż po owczym pastwisku.

Podgrodzie tonęło w mroku, nikt ich nie gonił, przemykali się zaułkami niemal po omacku i pewnie dlatego myśli Debrena zniosło w tak odległe rejony. Dopiero po paru pacierzach uświadomił sobie, że to nie ucieczka od przerastającego umysł problemu. Cała ta ekonomia polityczna, wbrew pozorom, miała znaczenie, i to właśnie teraz, po tej katastrofie przy bramie.

Złamał prawo, spalił za sobą jakiś most - i tym samym stanął przed koniecznością spalania następnego. Mówiąc inaczej: musiał szybko dokonać wyboru.

Anvash czy Lelonia? Feudalizm czy demokracja? Wschód czy Zachód? Zostać tu czy wsiąść na statek i wrócić?

Moment był jak najbardziej właściwy, bo jeszcze mógł się z tego wykaraskać. Wystarczy zawrócić, dobrowolnie oddać się w ręce

władz, wyjaśnić, że to wszystko wina afektu i sterroryzowania krócią. No i najważniejsze: z miejsca poprosić o azyl. Oni tu uwielbiają uciekinierów, którzy wyrwali się spod demokratycznego jarzma. Starczy mówić, że całe życie miało się monarchistyczne poglądy, a w kraju grożą ci prześladowania - i już jesteś pod troskliwą opieką Jego Królewskiej Mości. Dla żaka magii znajdzie się miejsce w szkole i królewskie stypendium, dla dorosłego dobra praca... I ponoć nawet nie trzeba spowiadać się w nieskończoność smutnym osobnikom z sekretnych służb; nikt nie pyta, ilu knechtów liczy dumayecki garnizon ani na której z baszt ustawiono balistę. Nie te czasy: od tego mocarstwa mają kule szpiegowskie, zwiad powietrzny i nadprzestrzenny, podsłuch telepatyczny i czort wie jakie, chronione najściślejszą tajemnicą, nowinki.

Może nawet przyjęliby go na sławny Snobforx? Trapek opowiadał o znajomku, który rzucił Akademię, wstąpił do lelońskiej piechoty morskiej, popłynął do Anvaszu z jakąś kurtuazyjną wizytą i tak jak stał, w paradnej kolczudze, wyskoczył z ORL „Błyskawica” w tamburskim porcie. Lokalne kroniki rozpisywały się o śmiałku, który na oczach rozentuzjasmowanego tłumu pokonał dwadzieścia sążni wody i tuzin funtów pancerza, dzielące go od wolności. Dla uhonorowania bohaterskiego zbiega przyjęto go na Snobforx właśnie. A wiadomo: kto ukończył tamtejszą uczelnię, nie w srebrze zarabia, tylko w czystym złocie.

Złoto... Tak naprawdę Debren nigdy nie miał w ręku prawdziwej, złotej monety. I nie w tym rzecz, że lelońskie mennice biły dukaty podłej próby: po prostu i te podłe miały korzystniejszy od oficjalnego przelicznik „złoto-srebro-miedź”, przez co praktycznie nie trafiały do obiegu. Płacono nimi, owszem - władzy i tym, co mieli do niej dojścia. Na pewno nie ojcu Debrena.

Podsumowując: demokracja też nie jest idealna. Ba, pod wieloma

względami tu, na Wschodzie, ludziom żyje się nawet lepiej. Pod innymi gorzej, zwłaszcza tym słabszym, ale przecież młody uzdolniony czarodziej to nie jakiś tępy chorowity prostak, który bez pomocy państwa nie poradzi sobie w życiu. Takim jak on, Debren, właśnie liberalna, feudalna swoboda oferuje większe szanse.

Tylko... tylko o rodzinie musiałby zapomnieć. Pewnie, można pisać. Ale listy to nie to samo. No i Amma...

Jakby wyczuła, że o niej pomyślał. Szła przodem, prowadząc go sobie znanymi przesmykami, przez uliczki szerokości drzwi, dziury w płotach, przez zarośnięte chwastami pogorzelniska, służące tubylcom za wychodki. Teraz jednak zatrzymała się. Wyjęła tabliczkę, napisała coś. Palcem - rylec pozostał w ukryciu. Kiedy wyciągnęła dłoń i, jakby nieśmiało, ujęła go za rękę, przyznał jej rację. Szerokie ślady po palcu były w ciemności równie niewidoczne, lecz ocenić je dotykiem było dużo łatwiej.

- Tak - odpowiedział. - Dam radę czytać.

„*Masz delikatne duonie*” - napisała. I, chyba wyczuwając jego zmieszanie, szybko dorysowała kółko z dwiema kropkami oraz poziomym łączyskiem łuku. Macał to, macał, ale i tak, gdyby nie rozbłysk na niebie, nie zgadłby, w czym rzecz. Palce to jednak nie oczy.

Dzięki piorunowi zrozumiał. Kółko było twarzą, a łuk - ustami wygiętymi w uśmiechu. Napisała „żartuję”, napisała „lubię cię” i „to pochwała, nie kpina” - a wszystko to za pomocą czterech pociągnięć palcem.

- Burza idzie - bąknął.

Starła uśmiech - tabliczka nie pomieści wiele, jeśli pisać palcem - i zastąpiła rysunek runami.

„*Musze wzionść ładunki do krucicy.*”

Bez sprzeciwu poszedł za nią. W wypalonej szczyrbie po

drewnianym budynku - domy obok, murowane, przetrwały pożar - kuliły się cztery ni to ziemianki, ni szałas, których strzegła wychudzona psina. Na ich widok szczeękła parę razy, po czym zaleęła z powrotem na wystających spod koólawego daszka ludzkich stopach, obutych w bryły powięzanych sznurkiem szmat.

Pierwsze krople deszczu zaszemrały o poszycia z nadpalonych desek, spłynęły po lióciach i gałęziach, posklejanych wyschniętą gliną.

„Poczekaj tu.”

Nie poczekał. Przeszedł za Ammą aż pod drzwi jej ziemianki. Drzwi, wielkości pawęży, i to raczej krasnoludzkiej niż używanej w ludzkim wojsku, były z wikliny, zamykane na zaszczepkę z drewna. Rolę kłódki pełnił sznurek, ale była to zapora zdolna powstrzymać najwyżej niemowlaka, raczej symboliczna niż realna. Mimo to ktoś nie miał ochoty zмагаć się z zawięzonym na kokardkę węzłem. Wybrał metodę siłową, czyli wyrwanie drugiej strony drzwiczek z zawiasów. Zawiasy - tak naprawdę paski łyka - pewnie co parę tygodni same się rozpadały w wyniku wysychania, intruzom jednak nie chciało się czekać. Rozwalili je, nadweręzając przy okazji kawał ócianki.

Miało to tę dobrą stronę, że Amma zapomniała o Debrenie i nie przegnała go. Wyraźnie poruszona, przez chwilę szarpała się ze sznurkiem. Łatwiej było wejść od strony wyrwanych zawiasów, lecz jakoó nie przyszło jej to do głowy. A może po prostu o zasadę chodzió? O nieme: *„To mój dom i wchodzi się do niego, unosząc zaszczepkę. Jak do każdego normalnego domu.”*

W końcu uporała się z zamknięciem i, poruszając się w kucki, weszła do órodka.

Debren przywołał Czarękę Ówiatła, najprostsze, choć niekoniecznie najwygodniejsze z zaklęć zdolnych zastąpić ówiecę.

Wątki żółtawy blask rozlał się po wnętrzu jego lewej dłoni. Czar (pasma SWt/m, poziom średni, magia wody, podtrzymanie trawienne z opcją mózgowego) finalną energię czerpał z potu i lekko przygrzewał, pobudzając skórę do silniejszego pocenia się. W efekcie tej *quasi-łańcuchowej* reakcji mniej doświadczonym czarodziejom, o ile unieśli dłoń w górę, jak pochodnię, całe światło potrafiło spłynąć w rękaw. Trapek, beznadziejny partacz, gdy idzie o magię wody, kiedyś nawet spalił sobie włosy pod pachą i podsmażył koszulę. Choć był to przypadek ekstremalny, znawcy zalecali, by oświetlając dłoń trzymać poziomo, jak przy przenoszeniu płaskiej czarnej z napojem względnie miski zupy. Stąd nazwa właśnie. Analogia z zupą była lepsza, ale wiadomo: zaklęć nie chrzci się byle jak, zwłaszcza tych nowszych, w myśl prawa obdarzanych nazwą przez autora.

Debren nie musiał zbytnio uważać: opanował Czarę już jako smarkacz, w tajemnicy przed matką czytując pod pierzyną. Miał wprawę, mógł więc podnieść rękę, oświetlając większą przestrzeń, no i użyć większej mocy.

Pytanie, czy warto było to robić.

Już sam nos ostrzegał, że niczego miłego tu nie zobaczy. Gospodyni naznosiła do ziemianki traw, igliwia i słomy, więc, przynajmniej letnią porą, odór butwiejących szmat, próchnicy i zarobaczanej ziemi, podmakającej zawartością nieodległego rynsztoka, nie pchał się tak nachalnie w nozdrza. Dzięki szparom w ścianach wewnątrz było też nieźle wietrzone - nawet przedtem, zanim włamywacze, kopniakami i kawałkami wyrwanych z poszycia kijów, rozwalili połowę poszycia, zmudnie utkanego z traw, listowia, kory, chrustu, zwierzęcych błon, skrawków skóry i płatów darni. Gdyby zabrać Ammie ubranie, ją samą umyć i położyć na sienniku, pewnie nawet przyjemnie byłoby zalec obok niej. Ale teraz Debren by nie

zaległ.

Ktoś, a raczej kilku ktosiów - Debren dopatrzył się trzech nieco odmiennych próbek - wypróżnił się na siennik. Smród kału bił na głowę wszystko inne, więc mocz w miseczce z gliną Debren rozpoznał nie nosem, a widząc, jak dłoń Ammy odskakuje od naczynia. Nie od razu zrozumiał, dlaczego w ogóle próbowała tam sięgać. Domyślił się jednak.

Czar, ten do czynienia gliny plastyczną. Trudno przerobić glinę, choćby najlepszą, na coś, co posłusznie trzyma się deski, nie odpada, nie wysycha i umożliwia wygodne pisanie drobnymi a czytelnymi runami. Bez magii pewnie ani rusz, zaś magia kosztuje. Ta miska, wypełniona bezwartościowym z pozoru błotem, była prawdopodobnie najcenniejszą rzeczą, jaką Amma posiadała.

Dostrzegł łzy w jej oczach. Starła się nie płakać, ale o to niełatwo, kiedy człowiekowi rozwałą pół domu, podrą wszystkie ubrania i zapaskudzą to, czego nie da się podrzeć i rozwalić. Niby oznaczało to raptem jedną poszarpaną koszulę, schnącą na kiju, oraz parę dziur w i tak marnym dachu, ale fakt pozostawał faktem: krople deszczu wpadały teraz do ziemianki praktycznie bez przeszkód, a rano przemoczona do suchej nitki Amma nie miałyby się w co przebrać - gdyby ta noc była jak poprzednie.

Chyba to świadomość, że taką nie będzie, pozwoliła dziewczynie wziąć się w garść. Przetarła załzawione oczy wierzchem dłoni, przesunęła barłóg, zastępujący jej łóżko... i jęknęła cicho.

Intruzi okazali się sprytni: zajrzeli i tu. Obłożona deszczułkami skrytka została odkopana i splądrowana. To znaczy: woskowany woreczek z prochem wprawdzie przetrwał, choć jego zawartość rozsypano, lecz w odwecie za to, że domniemany trzosik krył jakąś nędzną hubkę, rozczarowany rabuś szczerze obsikał bezwartościowe śmieci. Czym udowodnił, że do najmądrzejszych

jednak nie należy: dobrze zmielony jednosiarokodwuwęglodrewnian saletry kosztuje naprawdę słońce.

- Całkiem przemoczony. - Debren mocno się starał, by skryć ulgę.
- No, to po wyprawie. Takim i jaszczurki nie ubijesz, co dopiero... A kule? Ukradli, tak? - Nietrudno było zgadnąć, że trzymała je razem z prochem i że, w przeciwieństwie do niepozornego „popiołu”, precyzyjnie odlane pociski spodobały się włamywaczom. - Może to i lepiej. Na smoka trzeba rycerza i dobrej kopii, a nie...

- Hej, ty tam! - przerwał mu zdarty, chyba po połowie wiekiem i trunkami, głos. - Wychędażaj stąd!

Debren poderwał się, odwrócił, niezłe przestraszony. Czarka światła na chwilę niemal mu zgasła, choć pocić to się akurat pocił, ze dwa razy mocniej. Oczyma wyobraźni widział patrol draberii i wymierzone w siebie halabardy.

Ale nie: przed ziemianką stał kudłaty dziad, paskudny nawet w wątlym blasku księżyca, raz po raz przesłanianego przez deszczowe chmury. Sądząc po ubiorze, złożonym z krzywo powiązanych gaci, chodaków i niczego więcej, wylazł z sąsiedniej ziemianki.

- Won, gówniarzu - wybełkotał. Cuchnął jak całe to obozowisko, jednak przez smród niemytego ciała i lepkich od brudu szmat zdołał się przebić jego chuch. Co znaczyło, że wypił naprawdę sporo. Debren nie miał tylko pewności, czego konkretnie: domowego piwa, wina z przydrożnych owoców czy może gorzałki z trocin, którą wykolejeni magicy pędzili i uzdatniali czarami ku uciechu wykolejonych pijaków. Czary niekiedy zawodziły i całe towarzystwo ślepiło, chętni jednak zawsze się znajdowali, jako że trocinówka kosztowała śmieszne miedziaki, a mocą biła na głowę najdroższe okowity.

- Ja... z Ammą jestem - wyjaśnił Debren. Przyszło mu na myśl, że tamten bierze go za złodzieja. Niby podrzędnym złodziejom,

rabującym ziemianki, nie świecą się dłonie, ale ostatecznie po pijanemu mniej się widzi i myśli.

- A łajno! Moja będzie! Odchędoż się od dziewczki, słyszysz? Ja jej bachorów namajstruję - zarechotał dziad. - Jeno muszę poczekać, aż mnie mocniej przypili.

Dziewczyna wygramoliła się z ziemianki, stanęła obok Debrena. W blasku kolejnej, odległej błyskawicy dostrzegł gniewnie zmarszczone brwi i chyba... rumieniec?

- Pijani jesteście - mruknął zakłopotany. - Idźcie spać, panie sąsiedzie. Pada, zmokniecie jeszcze.

- Aha! A ty jej żywot swoim mieszkciem nadmuchasz! - Sąsiad zrobił dwa chwiejne kroki w ich stronę. - Wychędażaj, mówię! Co, myślisz, że jakieś młodzik, to takiej poczwarze podołasz? To ci rzeknę: nie podołasz! Delikatniś zasrany! Jeno ją po gębie macnij. Nie mówię: zajrzyj pod tę szmatę, nie. Macnij jeno. I ci tak zwiśnie, że przez rok się nie podniesie, he, he... - Przeniósł mętne spojrzenie na Ammę. - Nie szukaj pośród młodych, durna, bo oni lepsze sobie znajdują, a jak nie, to owcę choćby. Tobie chłop potrzebny, co to mu byle obrzydlistwo smaku nie obrzydzi. Ciut dziś popiłem i czuję, że jak dobrze tyłkiem pokręcisz, to ci dogodzę. To co? Idziem zalec? Mnie nikt na barłóg nie nasrał - zarechotał. - I tobie dzieciarnia srać nie będzie, jak wieść pójdzie, żeś jest Szczurzego Stama baba. Mnie się smarkacze boją. Gadają - poszerzył szczerbaty, a po prawdzie to trójzębny uśmiech - żem za młodu małe dziewczeczki do dąbrowy wodził i na przemian to dudkał, to kawałkami zjadał.

Debren dostrzegł szczerą zgrozę w oczach Ammy i nagle dotarło do niego, że nawet jeśli to tylko gadanie smarkaczy, niejednen senny koszmar przeniósł ją do takiej dąbrowy. Mieszkała obok Szczurzego Stama, dzieliła ją od niego chybotliwa ścianka, którą nawet taki stary dziad mógł rozwalić jednym kopniakiem. I nie miała języka, by

krzycząc o pomoc, gdyby którejś nocy...

- Chodźmy - Debren wyciągnął do niej rękę.

Oddalili się statecznym krokiem, a ściskając jej drżące palce, czuł się trochę bardziej rycerzem niż smarkaczem, trwożliwie uchodzącym przed dorosłymi, nie zmieniało to jednak faktu, że wolałby raczej zawrócić pod bramę i ponownie zmierzyć się ze strażnikami wałowymi, niż stawiać czoło temu paskudnemu staruchowi.

„*Molestuje mnie*” - wyjaśniła mu Amma dwie uliczki dalej. Nie był całkiem pewien, co oznacza to słowo - w Lelonii się bezdomnych żebraczek nie molestowało, pewnie z braku takowych - ale nie drażył tematu. Zastanawiał się raczej, co dalej.

Było mu teraz o tyle łatwiej, że przynajmniej skreślił pomysł emigracji. Anvash był barwny, fascynujący i na swój sposób piękny, ale... ale w Lelonii ludzie nie mieszkali w ziemiankach. Więc wraca tam, postanowione. Co z kolei oznacza, że teraz musi uciekać. Pytanie, czy od razu do któregoś z portów, czy może najpierw do mistrza Factorby'ego. Wybrać jakiś wpis do indeksu, coś, co pozwoli mu iść do rektora i ubiegać się jeśli nie o zaliczenie praktyki, to choć o jej powtórzenie u innego opiekuna.

„*To tu*” - napisała, zatrzymując się przed jedną z dużych, trzypiętrowych kamienic. Dopiero teraz Debren spostrzegł, że wrócili na główną ulicę podgrodzia, tę prowadzącą od bramy grodu w świat. Budynki prawie nie odbiegały wielkością i zamożnością od tych wewnątrz murów Trickleley. Niektóre nawet miały kramy na parterze, choć przeważały czynszówki, zasiedlone przez wyrobników: zaniedbane kamienice, których przelotowych bram nie strzegły wrota. Właśnie w taką cuchnącą moczem bramę wciągnęła go teraz Amma.

- Po co...? Co tu jest?

Nie odpowiedziała, a on nie zapytał ponownie: jego uwagę odwrócił jakiś ruch w gałęziach drzewa po drugiej stronie ulicy. Ptak? Duży chyba.

Na myśl przyszedł mu sokół elfa Keloalena. Nie zdążył się jednak ani zastanowić, czemu właściwie, ani podejść bliżej i przyjrzeć drzewu, bo bose stopy dziewczyny tupotały już o drewniane stopnie schodów. Dogonił ją, przywołał ponownie Czarzę Światła i wspiął się śladem Ammy na samą górę, przed wiodące na poddasze drzwi.

Namalowano na nich tak zwane trupie kółko, czyli koło popiątne, wsparte na skrzyżowanych puszczelach - zrozumiały w całym machrusańskim świecie symbol śmiertelnego niebezpieczeństwa. Nawet analfabecie kojarzący się z cmentarzem. Gdzie też u góry, tyle że mocowane na słupkach, czuwają nad grobami święte symbole wiary, zaś dołem, tyle że niewidoczne, spoczywają w ziemi kości. Napis obok ostrzegał bardziej konkretnie: „STÓJ, PÓŁAPKA MAGICZNA ZNACZNEJ MOCY, NIE LEŻ, BO TRÓPEM KŁADZIE”, ale albo dłoń Debrena świeciła za słabo, albo Amma z pisania była mocniejsza niż z czytania dużymi runami, bo bez wahania nacisnęła kławkę.

Drzwi okazały się otwarte. Weszli do mieszkania, złożonego z trzech izb. Ta odgrodzona kratką służyła, o dziwo, jako gołębnik: ze dwa tuziny ptaków spały na grzędach, a w przedsionku walały się worki z ziarnem. Trochę tu cuchnęło, ale nie tak, jak w gabinecie oddzielonym od przedsionka dziwnymi, obitymi skórą drzwiami. Skóra, nałożona głównie po obrysie, miała chyba zatrzymywać ten smród wewnątrz, co, trzeba przyznać, czyniła znakomicie. Debren zerknął przelotnie na przekrzywiony pergamin ostrzegający: „NIE KARMIC ZWIERZONT”, uznał, że rzecz dotyczy gołębi, i wszedł do środka.

Gabinet zadawał szyku regałem z oprawnymi w skórę księgami

oraz wielkim skórzanym fotelem. Brakowało kominka, ale robił dobre wrażenie - o ile zignorowało się smród i klatkę z parą spasionych wieprzy. Meble, ozdobna broń na ścianie, nawet sama klatka - wszystko było dobrej jakości; może nie jak u burmistrza, ale przyzwoite. A już kandelabr... Debrenowi aż się oczy rozjarzyły na widok pary kul, wypełnionych łagodnym, matowym blaskiem o rudym odcieniu. Magiczne światło kopalniane, odpalane wprawdzie przez krasnoludzkich mistrzów magii, ale potem mogące latami płonąć bez ingerencji czarodzieja.

„Acha” - przypomniała sobie poniewczasie Amma. - „Zgaś tom renke. Ruuten ze światłem tu zabrania leść.”

- Ruuten? - Posłusznie osłabił zaklęcie, choć nie wygasił go całkiem. Wychodząc, kandelabru nie zabiorą. Pomijając kwestie moralne, byłby bezużyteczny z dala od kanału, z którego czerpał moc.

„Gnom. Prywatny pszepatrywacz. To jego kfatera.”

No tak, gnom. To wyjaśniało obecność wieprzy karmionych, sądząc po resztkach w korycie, głównie grochem i bobem. Tudzież obecność sideł oraz bukłaczków na toksyny wśród zdobiących ścianę egzemplarzy bardziej rycerskiej broni. Gnomy lubiły stosować w walce nieczyste chwyt; szczyły się użytym w jakiejś historycznej potyczce potrzaskiem czy resztką zaschniętego jadu całkiem jak ludzie berdyszem pradziadka, co to, kumie, pod Zielonym Lasem łeb komturowi Kołowatych wraz z hełmem, barkiem i końskim uchem urąbał. Taak... gnomy to oryginały. Może nawet kiedyś któryś obok mieczy czy sulic powiesi na ścianie krócićę jednosiarokodwęglodrewnianowosaletrową. Skoro sidła i butle z trutką wieszają...

E, jednak nie - największe dziwactwa mają swe granice. Pirr przesadzał z tą patelnianą analogią, ale co fakt, to fakt: w ozdobnej

kompozycji poważnego, budzącego szacunek oręza prędeej znajdzie się miejsce na patelnię niż tę, pożał się Machrusie, broń palną.

„I do klatki nie potchoć” - dopisała Amma. Sama jednak podeszła. Podniosła stojący obok worek i ostrożnie, by nie zbliżyć rąk do wężących z nadzieją ryjów, sypnęła szczodrze w koryto. Cofnęła się i wyjaśniła: - „Te knury hyba zaczarowane. Srogie bestie. Ubić mogom, s klatki ponoć nie wyłażonc. Właśnie jak obcego ze świecom ujżom lup inszym ogniem. Ruuten tak muwi. Pewnie je wytresował, łotr, na nocnom straż i ludziubujcóf. Bo kto z ogniem chodzi? Człek. Nieluć, wiadomo: we ćmie zwykle dobrze widzi. A z nas ludzie. To niech lepiej żrom. Ruuten im skompi, wienc sie zajmom żarciem i o nas zapomnom.”

Jeden z wieprzy, może połechtany po próżności, wydał z siebie faktycznie srogi dźwięk. Zębów jednak nie wyszczerzył. Może dlatego, że nie ryjem dźwięk wydawał.

- Raczej metanem rażą niż czarami. - Debren, zaatakowany falą świeżego smrodu, z nadzieją popatrzył na okno, ale uszczelniono je tą samą co drzwi metodą. Dostrzegł zdziwione spojrzenie Ammy i wyjaśnił: - No, metan. Gaz błotny, kopalnianym też zwany. Gnomy to podziemna rasa; ich naturalną niszą ekologiczną są kopalnie drewna ziemnego, inaczej węgla. A tam metan szczodrze występuje. Z domem więc - wzruszył ramionami - gnomom się kojarzy. Toteż co bardziej nostalgiczni starają się przyjazną, domową atmosferę na powierzchni uzyskać.

„**A**cha, to nie gryzom?” - upewniła się, zerkając na klatkę. Po czym zmrużyła oczy, chyba w uśmiechu, i zażartowała: - „*Ale pierdzeniem to iście ubić mogom, nie?*”

Debren zrezygnował z wyjaśniania, że chyba właśnie to miał Ruuten na myśli. Pora nie sprzyjała wykładom z alchemii organicznej i tłumaczeniu, co wspólnego ma bezwonny kopalniany wapor, którym krasnoludzczy gwarkowie straszą dzieci, z puszczanymi przez świnie wiatrami, jak najbardziej wonnymi. Że, pomijając aromatyczne domieszki, to jedno i to samo, i że to jedno, zmieszane w pewnej proporcji z powietrzem oraz przypalone iskrą, może eksplodować. Jak to szybko wytłumaczyć dziewczynie, która nie ukończyła gminnej szkoły elementarnej?

Albo jak przełożyć na anvaski sławne powiedzonko, którym na górniczym Lonsku sprawdzano, czy z rozmówcy swojak, czy obcy? „Wetknął gnom nos do zametanowanego wnętrza...” Uśmiechnął się, prawie tak nostalgicznie, jak zapewne uśmiechał się Ruuten, siadając przy klatce z wieprzami. Spróbuj szybko powiedzieć coś takiego, nie łamiąc języka, zwłaszcza gdy pytających jest pięciu, ty sam, a dopadli cię w dzień turnieju „Pretoria Gorszawa”-„Rębacz Małodobrowice”, który to turniej gospodarze przerznęli w rzutach karnych, bo się skrzydłowemu topór złamał. Debrena, jękającego się z przejęcia i próbującego tłumaczyć tubylcom, że jest z Dumayki i nic mu do gorszawiaków, uznano ostatecznie za coś jeszcze gorszego od gorszawiaka - a mianowicie śmiertelnego wroga z pobliskiego Jodłowca. Na szczęście czarował i biegał zręczniejszy, niż obracał językiem, a na drugie szczęście, kibice Rębacza przydybali go obok hałdy, która znakomicie zastąpiła piaskową wydmy. Pierwszy i ostatni raz w życiu tak znakomicie wyszła mu

temmozańska Burza Piaskowa. Zaklęcie, które mieli przygotować do spółki z Trapkiem, a które, o dziwo, popisowo później oblali, choć czarowali we dwóch, Debren był z Magii Ognia trzeci w grupie, a Trapenakis z Magii Ziemi w ogóle pierwszy na roku. Ile wtedy mieli? Po piętnaście lat? Drugi rok Akademii... Ech, dawne, dobre czasy...

Stał i patrzył, jak Amma przeszukuje szuflady sekretarzyka, kufry i komody. Na koniec, choć z wątlą nadzieją, obejrzała też zawieszoną pośród morgenszternów dwuręczną hulajkulę - sądząc po lejku u wylotu lufy: śrutówkę na siekańce. Broń była jednak na sprężynę, nie czarny proch, i do niczego się nie przydała.

Wyszli z zametanowanego gabinetu. Debren ruszył do wyjścia, Amma - w lewo, ku ostatniej z izb. Zaskoczyła go, bo ta akurat, poza łóżem z baldachimem, nie oferowała niczego, ani lokatorowi, ani poszukiwaczowi jedno siarkodwu węglodrewnianu saletry. Proch nie był tak nieobliczalny jak dwa wieprze dobrze karmione roślinami strączkowymi, hodowane w szczelnie zamkniętym pomieszczeniu i chyba magicznie uszlachetnione, właśnie z myślą o pozyskiwaniu metanu - ale nikt zdrowy na umyśle nie trzymałby go przecież w łóżku! Debren nie był zbyt wierzący, przesądny też nie, lecz ta jedna tuzinna siarki w przepisowej formule... Niby mało, ale wiadomo, że nazwy alchemiczne są uproszczone, a faktyczny skład opisanych nimi substancji zwykle nieco inny. Natura ignoruje zadekretowaną przez ludzi doskonałość systemu dwunastkowego i proch, dajmy na to, wcale nie musi osiągać największej mocy przy składzie „porcja siarki, dwie porcje węgla drzewnego, reszta, znaczy dziewięć tuzinnych, saletry”. Siarki mogło być więcej. Lecz nawet jeśli było tyle, co w oficjalnej nazwie, musiało to niepokoić. Siarka jest wszak pierwiastkiem piekielnego rodowodu; złą materią przyciągającą diabła.

- Tu nic nie ma - zaprotestował.

Nie, nie szukała niczego: od razu wyjęła. Szarpnięciem za nogi. Gnoma spod łóżka. Ruuten wyrósł ledwie na dwa łokcie, był związany i zakneblowany oraz, sądząc po kolorze skóry, wściekły. Względnie zduszony kneblem. Gnomy, choć z natury jakby oprószone węglowym miałem i uwędzone w dymie górniczych lampek, koloru spieczonego buraka raczej nie miewają.

- Skąd...? - Debren nie dokończył. - O dzuma... Ty go tam...? - Nie odpowiedziała. - Chyba się poddusił.

„I dobrze.” - Rylec aż zgrzytnął o deskę. Nie oponowała jednak, kiedy Debren przykucnął i zsunął onucę przytrzymującą knebel.

Gnom wypluł drugą onucę. Albo też, jak ta z zewnątrz, świeża i czysta nie była, albo ślina gnomów miała takie właściwości - w każdym razie płótno przykleiło się do listwy rusztu, podtrzymującego baldachim. Debrenowi ulżyło: ktoś, kto potrafił charknąć tak wysoko, raczej nie skona zaraz potem z winy bezdechu.

- Zapłacisz mi za to, wywłoko! - wykrztusił Ruuten. Sądząc po głosie, w gardle mu zaschło. Czyli, uznał Debren, to nie lepka ślina gnomów, a po prostu prana kwartał temu onuca. No, to faktycznie ma prawo być zły.

„Czytaj mu” - napisała Amma. - „Gdzie masz proh i kule, wszawy nosaczu pszebzydły?”

- Sam niech czyta - bąknął Debren. Grunt to asekuracja. O azyl nie poprosi, ale to nie znaczy, że ma się pakować w większe tarapaty, pomagając w rabunku oreża. No i, prawdę mówiąc, nie przeszedłby mu ten nosacz przez usta. Gnomy urodziwe nie są, lecz wydatny nos to nie powód, by obrażać. Jednak prawdę piszą w „Mównicy Ludu”: rasizm przeżarł społeczeństwa feudalne do szpiku kości.

- Chędoż się, szczeniaku! - warknął Ruuten.

„Nie ómie” - wyjaśniła Amma. - „*Analfa beta zeń.*”

- Prywatny przepatrywacz - pouczył ją Debren - musi być piśmienny. Ludzi śledzi, dokumenty tajne wykrada, raporty pisze... Widziałaś ten gołębnik? Myślisz, że czemu służy? Raportowaniu właśnie. Łączność to w śledztwach i inwigilacjach kluczowa...

„*Puł kopy gołembi ma*” - przerwała mu - „*bo obraskami sie z baronem porozómiewa. To i wiecej karteluszkuf muszom sobie posłać, by wyrozómieć, co któren ma na myśli. Hoć rysuje dobrze. To w tym fahu potstawa, nie pisanie. Jak pszydybie menża na niewierności, albo panne na puszczaniu sie, musi naturystycznie narysować co robiom, by potem sond albo klient za dowód to óznał.*”

No tak: wschodnie sagi łotrzykowskie i ballady o prywatnych przepatrywaczach pełne były romantycznych, samotnych poszukiwaczy prawdy, co to królobójczy spisek udaremnią lub wytropią szajkę złowrogich niziołków, którzy obrobili skarbiec maga, skradli śmiercionośny Pierścień i zagrażają losom świata. Debren, naturalnie, zaczytywał się w tych opowieściach z wypiekami na twarzy, zwłaszcza że konkurencyjnych ballad, opiewających heroizm rycerzy czy agentów sekretnych służb, demokratyczna cenzura nie przepuszczała, jako gloryfikujących feudalizm. A znów te lełońskie, o rotmistrzu Rysiu z Draberii Obywatelskiej, bywały śmiertelnie nudne, bo którego nastolatka zafascynuje dochodzenie w sprawie zabójstwa pastucha, przypadkiem uśmierconego podczas kradzieży trzech owciec i barana? Albo historie o porachunkach w światku przemytników, sprowadzających kozuchy z Półgarii? Życiowe to było, owszem, lecz mało porywające. Inna sprawa, że proza fachu przepatrywacza też zwykle nie była spektakularna: zlecenia od zdradzanych żon czy

narzeczonych, wołających sprawdzić, kogo o rękę proszą. Ale dobre i to. W Lelonii prywatnych przepatrywaczy w ogóle nie było. Draberia Obywatelska nie tolerowała żadnej konkurencji.

- Nie wiesz, z kim zadarłeś, gówniarzu - ostrzegł Debrena gnom. - Należę do gildii. Nigdzie się nie skryjesz, jak cię zechcę odnaleźć. W każdym większym grodzie mam konfratra. A w Tamburku samego Cherlaka Shomsa, geniusza dedukcji.

- Cherlak Shoms? - To nazwisko robiło wrażenie. Legendarny tropiciel zbrodni był tuzin razy sławniejszy w całym Viplanie niż rotmistrz Ryś we własnej, ojczystej Lelonii. Debren omal nie zabrał się do rozwiązywania gnoma. Ruuten jednak, choć nieładź, nie mógł się poszczycić nieludzką intuicją swego sławnego konfratra i następną przechwałką zepsuł uzyskany efekt.

- A w Trickley każdego znam, w tym paru, co własną matkę kozikiem pchną. Jedno moje słowo...

- Amma pyta, gdzie masz proch i kule.

- W rzyci! - wrzasnął Ruuten. - Rozwiąż mnie!

- Ciszej, jeśli łaska.

- Nie łaska!

„Powiec, rze go bendziemy torturować jak nie powie.”

Debren posłał jej sceptyczne spojrzenie, ale cóż, powiedział. Na wszelki wypadek - odczytując dosłownie.

- Już się boję - zaśmiał mu się w oczy gnom. - Zajrzyj pod łóżko. Poduszkę mi podłożyła.

Debren zajrzał. Dżuma i syfilis... faktycznie, była poduszka. Ruuten miał guza na potylicy, pewnie przedtem rąbnęła go czymś ciężkim, więc niby się zerowało, ale...

„Debren jest okrutny” - wyczuła problem Amma. - *„S Sovro pszyjechał. Nie słyszałeś, Ruuten, o bestialstfach demokratów? Własnego krula ubili, w piwnicy, i to z rodzinom. Sekretna policja*

puł narodu wytłukła, młotkiem w potylice walonc. Obozów tyle nabudowali, rze im tajgi do wyrembu zaczyna brakować. Biesy, nie ludzie.”

- Nie jestem z... - zaczął Debren, ale zreflektował się i przeczytał.

- Akurat - prychnął gnom. - Nim mnie ta wywłoka zdradziecko w łeb trzasnęła i krócićę ukradła, przepytalem informatorów, co nowego w grodzie słyhać. Czeladnik Factorby'ego jesteś. Z Lelonii. Pewnie sympatyk Leco Skoczypłota i Komitetu Obrony Rycerstwa, a nie jakiś sovrojski rzeźnik, skoro cię nasz kontrwywiad na Wyspy wpuścił. I z taką gębą nawet na pachotka małodobrego cię nie wezmą, co dopiero na mistrza od tortur. Za miękko ci z oczu patrzy, byś mógł ludzi mękami straszyć.

- Ludzi - podkreślił Debren, próbując ratować sytuację. - A ty gnom jesteś.

- Nosacz - poprawił go Ruuten. - Kretolud. Tak na nas wołają. I to bez złej woli, bo ze złą gorzej. Więc jak chcesz kiedyś gnoma nastraszyć i przesłuchać, to pamiętaj, by stosownego słownictwa używać. A teraz... - nabrał powietrza. - Sąsiedziii!!! Ratujtaaaa!!!

Debren, ponieważ, próbował zatkać mu usta dłonią. Ruuten zrewanżował się próbą ugryzienia.

- Amma, daj tę onucę! - warknął chłopak. Gnom natychmiast przywołał na twarz ugody uśmiech. Za późno. Zaraz potem ktoś zastukał do drzwi.



Zastygli w bezruchu, cała trójka. Ruuten zawahał się, rozchylił usta, jednak dziewczyna ułatwiła mu podejmowanie decyzji. Przykładając mianowicie koniec krócićy do czubka wielkiego, typowo gnomowego nochała.

„Jeno piś...” - kucając, lewą ręką pisała niezdarnie na tabliczce, ułożonej w poprzek uda.

- Dobra, daruj sobie - wyszeptał Ruuten. - Mam zamknąć mordę, tak? Zgoda, jeno żadnych ruchów, jak we mnie mierzysz. To cholerstwo ma delikatny spust.

Przestała pisać i wyglądało na to, że gospodarz może odetchnąć. Przez jakiś pacierz wyglądało. Póki ten za drzwiami stukał. Bo potem...

- Otwórzcie, panie Ruutenie. - Głos był rozmamłany, jak u kogoś, kto popił. - To ja, Joh Garncarz.

Amma drgnęła, skutkiem czego drgnął też gnom. Spust, szczęśliwie, nie dołączył.

- Twój ojciec? - zdziwił się Debren. Miał jednak dość wyczucia, by się dziwić szeptem. Albo może... za mało wyczucia? Może lepiej by było to wykrzyczeć? Bo Joh...

- Żem przyszedł po pieniądze - oznajmił. - No wiem, normalnie w niedzielę biorę, ale... tego... depresja Ammę znów chwyta i na leki trza. Przedobrzyliście, panie Ruutenie, z tym szczuciem na nią ludzi. I się do rzeki rzuci, jak Zabeta, suka niewdzięczna. Tyleśmy lat hodowali, tyle na jadło i odzież poszło, a ta... A wtenczas się baron wścieknie i wam żyć nie da, a już zarobić to całkiem. Więc gdybyście wcześniej mi wypłacili, to mikstur kupię. Względem tego może byście na Ammę dali ciut więcej, hę? Nie czternaście denarów, jeno całego grosza? I tak z własnej krwawicy do owych eliksirów ciągle dokładam. A wszak dwie nieletnie córki jeszcze mam, i synków dwóch. Razem, z babą licząc, sześć gęb nas jest do wykarmienia... Siedem znaczy - poprawił się. - Bo Ammę też rachuję, nie myślcie... Najbardziej rachuję, bo... no... gębę ma tak dziurawą, że połowę z jedzonego uroni i... Ha! - ucieszył się. - Więc za dwie gęby ją trza liczyć! To może powiecie wielmożnemu

baronowi, panie Ruutenie, by ową okoliczność uwzględnił i więcej płacił, co? Dla siebie nic nie chcę, jeno jak dotąd, dwa grosze. A tylko na jadło dla niej nie czternaście miedziaków, a osiemnaście. Czyli razem równe trzy grosze by było.

Gnom nie odpowiadał. Pocił się. Debren też by się pocił, gdyby tuż przed twarzą latała mu króćca, trzymana tak rozdygotaną dłonią.

Zastrzeli go, pomyślał. I, dzuma, nawet nie zauważy, że zastrzeliła.

Ostrożnie, by nie wyrwać Ammy z bolesnego osłupienia jakimś nerwowym ruchem, uniósł palcem koniec lufy.

- On... to dla twego dobra - szepnął. - Dla rodziców dobro dziecka wyżej niż honor, wyżej niż... Nic ci nie mówią, bo czują, że od barona złamanego denara byś nie...

- Panie Ruutenie? - upomniał się Joh. - Słyszę, żeście w domu. Nie udawajcie ciszy. - Poczekał na jakiś odzew. - Aha, pewnikiem dziewczuszkę macie. Ale ja plotek nie czynię; wiecie, zem dyskretny. To możecie mi raz-dwa owe grosze podać i dalej dudkać; słowa nie pisnę. Jeszcze, jak będzie trza, poświadczę, żeście sami byli. Albo z dorosłą. O - ucieszył się z pomysłu - z Ammą, przykładowo. Prawny jej kurator zem jest, więc mogę za nią mówić. Gdyby skarżyli was o dudkanie nieletnich, to powiem, że moją córkę, letnią jak najbardziej, chędożycie. I zarzut padnie. A jej jeszcze mocniej opinię popsujecie. Za to wam wszak baron też płaci. By na honorze i tej, no... godności cierpiała, nie jeno od nędzy i dokuczania.

Amma wstała, zrobiła w stronę drzwi sztywny krok lunatyka. Zatrzymała się jednak. Ruuten odetchnął. Debren klęczał nad nim, gotów użyć dłoni w zastępstwie knebla.

- No nie bądźcie tacy - jęknął garncarz. - Toć jedną furą jedziemy. Myślicie, zem głupi? I nie wiem, że więcej od barona bierzecie niż

ja? Choć to moja córka i to mnie z niej wypada większą korzyść czerpać? Bo wszak to ja wstyd znoszę! I rozczarowanie, że mnie taką durnotą i poczwarą los obdarzył. A klientów ilu żem stracił? Okrutna to niesprawiedliwość. Tom się, nie ukrywam, ciut rozpił. I czasem grosza potrzebuję, by w karczmie rachunek uregulować. Ale akurat wy powinniście to zrozumieć. - W głosie Joha pojawiły się chytre nutki. - Bo też słabostki niezawinione macie. Mnie wyrodne córki w piwoholizm pchnęły, zaś was nikczemny wzrost pcha ku małym niewiastom. A że małych niewiele, a gnomówek u nas ni na lekarstwo, to się musicie za dziewczuszki nieletnie brać. Za co was kiedyś, ostrzegam, małodobremu oddadzą. Ale póki pieniądze macie, a wokół życzliwych, co przysięgną, że skarżąca smarkula łże, włos wam nie spadnie. Tyle że do tego łaska barona i jego srebro niezbędne. A nie będzie ich, gdy Amma ducha wyzionie. Więc mi lepiej dajcie te trzy grosze. Bo mnie karczmarz z „Radosnego Knura” zatłuc każe, zaś żonę do lochu pośle. A takowego ciosu to Amma już nie zniesie i ze sobą skończy.

Dziewczyna ruszyła w stronę drzwi. Debren zerwał się, opasał ją ramieniem w talii, powstrzymał.

Szarpnęła się i ni to załkała, ni zawyła z cicha.

- Aha, słyszałem! - pochwalił się Joh. - Cienko popiskuje, znaczy: nieletnia, że strach. To mi lepiej owe trzy grosze dajcie. Bo jak zejdem, sąsiadom napomknę, że ludzkie dziecko plugawicie...

- Ty wszawy szantażysto! - nie wytrzymał Ruuten. - Ja plugawię?! A kto mi własne córki stręczy?! W tym ośmiolatkę?! Kto baronowi Ammę pognał stręczyć, gdy Zabeta do rzeki skoczyła?!

Debren zaklął w duchu: Amma nagle przestała się szarpać, zastygła jak kamień. Króćca wysunęła jej się z odrętwiałej dłoni, zadudniła o deski.

- Moja wina, że durne obie? - Po drugiej stronie drzwi Joh

zapewne wzruszył ramionami. - Skąd miałem wiedzieć, że do rzeki skakać będą i użynać sobie gęby?

- Cicho, nieludziu chędożony! - dobiegł spod podłogi stłumiony, gniewny okrzyk. - Człek pracy pospać chce! Zawrzyj ryj, bo po draberię poślę!

Debren uznał, że rozjuszony gnom może wdać się w pyskówkę z sąsiadami, puścił więc Ammę i sięgnął po onucę. Zapomniał, że drzwi przytrzymuje tylko klamka.

Dopadła ich, nim zdążył doskoczyć. A potem nie było już sensu skakać. Nie krzyczała, nie pluła ojcu w gębę - po prostu pisała.

Joh, zarośnięty, mocno niedomyty drab w skórzanej kamizelce, stał w progu, gapiąc się na córkę z głupią miną.

- O! - Nic mądrzejszego nie miał do powiedzenia.

Amma podsunęła tabliczkę przed nos Debrena.

- Mam wam czytać, co napisze - mruknął ponuro.

- Coś za jeden? - łypnął przekrwionym okiem garncarz.

- Ja? No... waszej córce pomagam.

- W czym? - Joh zmarszczył surowo brwi. - Teraz, po nocy? W tym gnomowym zamtuzie? I dziwnie gadasz... Co to za akcent? Sovrojski jakiś, czy jak?

Zmieszany Debren, zamiast wyjaśniać, zaczął odczytywać kolejne słowa w miarę ich pisania.

- „Już... wam... ciężarem... nie będę...” - Przyjemnie się tego nie czytało, ale lepsze to, niż wic się pod podejrzliwym ojcowskim spojrzeniem. - „Jeno... powiedz... czy... mama... wiedziała...”

- A coś ty taki porozpinany? - Garncarz chwycił go znienacka za kaftan, faktycznie rozchełstany po starciu przy bramie. - A to co? Siano? - Wypatrzył pamiątkę po wizycie w ziemiance. - A ona co? Też?!

- „Nie... zmieniaj... tematu.” - Na szczęście Amma pisała szybko i

Debren miał co odczytywać. - „Pytałam... czy mama... o owych... trzech groszach... wie.”

- Córkę mi bałamucisz?! - Joh pociemniał na twarzy. - A ty, zdziro, co?! Z cudzoziemcem się gzisz?!

- O dwóch groszach chyba? - sprostował zaniepokojony Ruuten. - Toć trzeci na twoje jadlo wydaje.

- Baronowi w pysk... w oblicze - poprawił się garncarz - w oblicze plwasz, a takiemu sovrojskiemu wypierdkowi tyłka nadstawiasz?! Na sianie?! Ty zdziro durna! Na jedwabiu mogłaś! Arystokracie!

Sąsiad z dołu załomotał o strop.

- Uspokójcie się, panie Joh - zaapelował Debren. - Ludzie śpią. I nie ma powodu... - Dziewczyna szarpnęła go za rękaw, więc posłusznie odczytał: - „Mama czasem owsa ciut ukradkiem da, ale to góra trzy funty na tydzień, a mikstur nigdy nijakich.”

- Ty złodzieju! - oburzył się gnom. - Rodzone dziecko okradać?! I barona?! Trzy funty?! Owsa?! To trzy denary daje! A gdzie pozostałe jedenaście?! Malwersant! Rozwiąż mnie, Amma! Tak go w rzyć kopnę, że milę przefrunie!

Joh pociemniał na twarzy.

- Na ojca donosisz?! - wrzasnął. - Pisemnie?! Jak ów sovrojski gówniarz, co rodzonych rodziców do karczowania tajgi donosami posłał?! Jak mu tam...

- Papka Ozorow - podpowiedział odruchowo Debren. - Ale ona nie donosi - próbował tłumaczyć. - Po prostu inaczej nie umie przekazać...

- Koniec! - Garncarz zaczął rozpinąć pas. - Żem przez palce patrzył, jak twoja matka nasze głodne dzieci okrada, skrycie ci jadlo podsuwając, ty nierobie! Jak...

- Przez palce? - podchwycił Ruuten. - Dwa pełne grosze za to brałaś, łajdaku! By dyskretnie dziewczkę przy życiu utrzymać, nadziei

przy tym nie dając! Trzydzieści sześć denarów, zaraza, by czternaście podrzucić w naturze! To jeszcze, gnida, jedenaście z czternastu podpieprzył!

- ...jak mi się - kontynuował niezrażony Joh - ulubiony synek z wywłoką zadaje i w oczach druhów ośmiesza, głupawym machaniem rąk z niemotą gadając! Ale dość! Wyrzekam się ciebie, zakało! Nie mam córki! Niewdzięcznico samolubna! Ulicznico!

- Na co wam ten pas? - zapytał ponuro Debren.

- Wieszać się chce - zakpił gnom. - Wyrzuty sumienia.

- Zatlukę! - Chwilowo, na szczęście, Joh miał problemy z podtrzymywaniem opadających portek. Amma jednak cofnęła się, w jej oczach na moment zabłyśły iskierki strachu. Pamiątka po dawnych, dobrych czasach, gdy lanie pasem było najcięższym z dopustów losu.

- Idę! - oznajmił sąsiad z dołu. - Po szwagra i kumów! Nie myśl, Ruuten, że jak was tam paru, to się drzeć po nocach możeta! Doigrałeś się, kretoludzie obesrany!

„Darój sobie, ojczu” - pisała szybko Amma. - „Jusz sie nie zobaczymy, ide na smoka i nie wruce. Nagrode masz mamie dać, na dzieciaki, najwyżej ćwierć pszepić, bo jak wiecej, to cie jako upiur bende nahodzić i... Debren, czemu nie czytasz?”

- Co ona tam skrobie? - wspomógł dziewczynę Ruuten. Debren zawahał się, uznał jednak, że słowo „nagroda” może ostudzić gniew Joha. Więc przeczytał.

Wyglądało na to, że mądrze wybrał. Garncarz faktycznie zapomniał o pasie, biciu, ba, nawet o portkach, które opadły mu aż do kolan.

- Że jak? - wymamrotał. - Na smoka? Ty?

„Mamy nowoczesny orenż alhemiczny” - napisała. Debren odczytał to na głos. Resztę, z rozpędu, też: - „Jeno pociski Ruuten

skrył, a bez nich nie poradzimy smoka ubić, a bez tego nagrody nie dadzą.”

- Smoka ubić? - zachichotał gnom. - Smok was, sieroty, jednym pazurem... - Urwał nagle, olśniony jak wcześniej Debren. - O, dajka mać...

- Znaczy - podsumował garncarz - jak Ruuten pociski da, to wy smoka zabijecie, a wtenczas gród nagrodę wypłaci... - szeroki uśmiech rozlał się po niegolonej twarzy - twym prawnym kuratorom, tak? Jak przeżyjesz? A jak nie, to spadkobiercom? Znaczy, tak czy siak... Ha!

Nim Debren zdecydował, czy powinien do tego dopuścić, Joh ujął w garść opadające portki i znalazł się nad spętanym gnomem. Ruuten, czując pismo nosem, próbował odtoczyć się pod łóżko. Nie zdążył.

- Gadaj! - Grubo podzielowana cizma przydeptała mu ramię do podłogi. - Bo tak cię kłamrą prasnę, że ci nochal caluśki do łba wlezie!

Debren nadal się zastanawiał, ale rozpraszał go harmider dobiegający z dołu. Sąsiad nie żartował: nawoływał jakichś Cylliamów i kumów Łańcuszków, słysząc było trzaskanie drzwi, tupot i lament sąsiadki, ostrzegającej męża przed wchodzeniem w drogę nieludzkim charakternikom.

- Nie odważysz się - rzucił Ruuten zimno, ale też nie całkiem pewnie. - Dla barona pracuję. A ty dla mnie.

Joh, nie wdając się w dyskusję, zdzielił go pasem. Faktycznie mierzył w twarz i tylko szarpnięcie ofiary sprawiło, że gnom oberwał po karku i potylicy. Ale zabołość i tak musiało, bo Ruuten zawył.

- Słyszycie? - oburzał się sąsiad z dołu. - Jak pies wyje, sukinsyn! Jakąś smarkulę zwabił i rozkoszy na niej zaznaje! Na ludzkim

dziecku!

- Daj spokój, Alfi! - błagała go żona. - Nie mieszaj się! Rajfur jesteś, nie rycerz błędnik! I sam gnomowi swoje dajki co rusz ślesz!

- Profesjonalistki są! I starsze!

- Ta nowa czarnulka osiem lat jeno...

- Ale z tego cztery na ulicy przeżyła! To się podwójnie liczy! Znaczy, jakby tuzin miała! I łże! Wy się wszystkie odmładzacie, znam ja was! A tam się pedofilii dokonuje! I cichodajstwa! Jakowaś amatorka po sakiewce mnie bije! Szarą strefę robi! Dalej, chłopcy! Kupą! Nie będzie gnom nam w gęby pluł ni dzieci nam plugawił!

Jakoś wzniosłe to zabrzmiało i Debrena nie zdziwił tupot wielu nóg o drewniane schody. Zatrzasnął w pośpiechu drzwi, przekręcił klucz do oporu.

- Gdzie masz strzały alchemiczne? - Joh znów podnosił pas. - Gadaj, bo utłukę!

- Córkę na zatracenie pošlesz? - próbował z innej beczki gnom. - Na śmierć okrutną w paszczy... auuu!

- To jej życiowa szansa - zamachnął się do kolejnego ciosu Joh. - Nie będzie jakiś parszywy kretolud w poprzek stawał na drodze mego dziecka do kariery!

- Dobrze, dobrze, już dość! No nie bij mniejszego! W skrytce leżą! I kule, i proch!

Już bez bicia Ruuten wyjaśnił, że skrytka jest w gołębniku i jak ją znaleźć.

- Jeno niech Lelończyk też idzie - dorzucił pospiesznie. - Bo... magią chroniona i postronnego ubić może.

Debren uwierzył: poszedł z Ammą, zmarnował ze dwa pacierze na skanowanie dookoła ruchomej deski. W tym czasie Alfi oraz gromada jego kumów tudzież szwagrów dotarła przed drzwi i zaczęła w nie walić, na szczęście głównie kończynami. Nie

wyglądało to jeszcze najgorzej, bo drzwi były solidne, a wśród kumów jakiś piśmienny, który zaczął przebąkiwać o magicznych pułapkach, co trochę osłabiło walenie. Źle się porobiło, kiedy Joh, zamiast pilnować gospodarza, przylazł przed izbę-gołębnik i próbował zerkać, czy aby skrytka nie zawiera czegoś ciekawszego niż amunicja do alchemicznego oręża.

Gospodarz wykorzystał ten moment.

- Amnę Poczwareę chcą zabić!!! - wydarł się znieńacka. - Barona obb Trickley protegowaną!!! Ratować dziewczkę, zatłuc morderców!!! Nagroda będzie!!! Wór złota!!!

Debrenowi z wrażenia wysypało się z rąk wszystko, co wyjął ze skrytki. Za drzwiami wybuchł gwar, jakby kto chlusnął wrzątkiem w gromadę.

- Topór! Dawaj topór, Cylliam!

- Poręcz wyłamta! Tarana zrobim!

- Leć po ojca, Garieta! Wodą zimną na łeb i krzycz, że złoto! W mig otrzeźwieje!

- Z drogi! Odsuńta się, ludzie! Złodziej jestem!

- Łapać złodzieja! - nie połapała się żona rajfura.

- Ale nie rzezimieszek! Otwieracz kłódek! No puść, babo! Zamek, mówię, otworzę! Jeno mi druta szybko...

- Migiem, stara! - wrzasnął Alfi. - Rób, co każe!

- Ja mogę! - zapiszczała jakaś młódka. - Ja, panie Alfi! Ona stara, szczerbata, nie podoła dobrze...

- Gdzie, durna rzyciodajko?! - oburzył się złodziej. - Wstawaj! Z drogi! Druta na wytrych, a nie...

- Woon! - zaryczał ktoś basem i topór po raz pierwszy zderzył się z zamkiem.

- Nie niszczyć mi drzwi! - zreflektował się gnom. - Wytrychem! Bo was pułapka magiczna wytłucze!

Debren zgarnął w garść parę rozsypanych kul, chwycił dwa kozie rożki, z prochem chyba, pobiegł do sypialni.

- Odwołaj to! - krzyknął, rozglądając się za gnomem. Nic z tego: Ruuten zniknął.

- Na śmierć pewną ją ciągniesz! - krzyknął spod łóżka. - Otumanioną czarami! W łeb go, Joh! Córkę ci zmarnuje, a sam nagrodę capnie! Chędożony łowca posagów!

Dziewczyna próbowała pisać. Debren złapał ją za rękę, pociągnął. Obok drzwi, pryskających nową porcją drzazg, obok Joha, marszczącego brwi w ciężkim namyśle, i worków z ziarnem dla gołębi. A właśnie... worki!

- Pomóż, Amma! - Chwycił pierwszy z brzegu i przerzucił pod atakowane toporem drzwi. Pracując we dwoje, wyprzedzili Cylliamą topornika. Kiedy skrzydło szarpnęło się nagle, odrąbane od pociętego zamka, warstwa worków wypełniała już dokładnie całą przestrzeń między nim a ścianą przedsiionka.

- Nie idzie! - poskarżył się pchający.

- A mówiłem: wytrychem? - Debren rozpoznał urażony głos złodzieja. - Wypaczyłeś skrzydło, to teraz masz!

- To nie drzwi! Któs się zaparł! Pomóżta!

Debren faktycznie chciał sięść, oprzeć plecy o ścianę i wspomóc nogami rygiel z worków. Nie zdążył. Joh przemyślał sprawę i złapał go za kołnierz.

- Bierz alchemiczne strzały, córuś! - krzyknął. - I leć smoka zabijać! Ja łobuza przytrzymam!

Zdezorientowana Amma stała przy wejściu do gołębnika.

- Kretynie! - protestował gnom. - Dziewkę trzymaj!

- To Ruuten! - rozpoznał go ktoś za drzwiami. - Słyszycie, ludzie?! Komendy wydaje!

- Dziewki przemocą więzi! - oburzył się Alfi. - Z pomocnikami

gwałci! Zbiorowo! Dalej, otwierać te drzwi!

- Kiedy trzyma, że strach - stęknął Cylliam. - Nieludzko silny siłacz jakowys.

- Gnom hoduje bojowe knury! - podsunęła wyjaśnienie żona Alfiego. - Pewnikiem one!

- A właśnie! - przypomniał sobie Ruuten. - Nie leżć mi tu z ogniem! Bo rozbuch nastąpi! Ta durna poczwara wieprzom podsypała! A dozować ściśle trzeba, bo magią uszlachetnione i jak się nazrą...

- Alfi! - Żona rajfura tupnęła, aż schody zadrżały. - Głuchyś?! Magiczne knury! Nie pakuj się w to!

- Cicho, babo! Kto, jak nie rajfur, ma dziewczek bronić? Etos mam takowy! Dawaj kuszę, szwagier! - rzucił komendę Alfi. - Nie będzie mi, nieludź jeden, świń podkładał!

- No co mówię?! - zdenerwował się Joh. - Bierz strzały, durna dziewczko! I dachami umykaj! Przez dom furmistrza Verora! Jeno nie manufakturę, a dom! Ten z gargulcami i klepsydrą na słońce! Ozdóbek tam i pierdółek dużo, po nich na dół zleziesz!

Coś huknęło nieopodal. Debren drgnął. Piorun. Jeszcze i to. Nie był głupszy od pijanego garncarza, też pomyślał o ucieczce na dach. Ale to nie Lelonia, tylko bogaty i od stuleci murowany Anvash, gdzie nawet po wsiach widuje się chałupy kryte dachówką. W Dumayce, ba, stołecznym Starohucku, taki dom na podgrodziu może i słomą by pokryli, a nawet jak paloną gliną, to oszczędniej: byłby możliwie płaski. Tu na dachówkach nie oszczędzano, więc dach był stromy i nawet całkiem suchy napawał trwogą co młodsze koty. Łażenie po nim w deszczu zakrawało na głupotę, a łożenie nocą, podczas burzy...

- Czekał... - zaskrzeczał.

Amma jednak zrozumiała. Albo może wysokości bała się bardziej

niż smoków. Tak czy inaczej, została obok.

- Nożem smarkacza, Joh! - podpowiadał spod łóżka Ruuten. - Nim cię dziadem uczyni! I dziadkiem!

- Co?! - ryknął garncarz. - Chędożyć ją chcesz?!

A potem Debren dostrzegł błysk ostrza i już nie było czasu na myślenie. Tylko dzięki opadającym portkom, które spowolniły Joha, zdążył złapać go za nadgarstek, przytrzymać nóż tuż przed swą twarzą. Na tyle długo, by przywołać zaklęcie. Formuła nie była łatwa i w normalnych warunkach bez zerkania w księgę tudzież trwającej z pół klepsydry koncentracji Debren nie potrafiłby jej wykorzystać. Ale Factorby, stara zrzęda, nieźle praktykanta przetrzepał i był on teraz na bieżąco z podstaw kameleonizmu.

Napierający na nóż Joh ujrzał nagle unoszącą się wargę ofiary i długie iglaste kły, które nie tyle wyjrzały z paszczy, co wyskoczyły, od razu do pół podbródka. W każdym razie na tyle daleko, by odbić rubinowy blask, który trysnął z nieludzkich ślepi. A może to od jęzora się odbiło? Bo bestia i jęzor wywaliła, oblizując się jak głodny kundel na widok misy pełnej kielbas.

- Srebrny chociaż? - zimny jak lód, szyderczy głos zazgrzytał Johowi ni to w uszach, ni bezpośrednio w głowie. - Bo jak nie, to sobie daruj, śmiertelniku. No, chyba że trzonek wbijesz, a ten z osiki zrobiony...

Garncarz popił, ale przecież nie tyle, by dwóch do dwóch nie umieć dodać.

- Wąpierz!!! - ryknął ze zgrozą i odskoczył najdalej, jak się dało. Nie dało się daleko: worki podcięły mu nogi. - Ludzie, ratujta!!! Sovrojski wąpierz z Ośmiogrodu!!!

- Ośmiogród to nie... - wampir jakby ugryzł się w język, co przy kłach i ozorze takich rozmiarów nie powinno dziwić. Ale już Ammę złapał za rękę całkiem zręcznie.

Nie próbowała się wyrywać: iluzja była wybiórcza, skierowana tylko na Joha. Oboje znikli w gołębniku. Łopot skrzydeł i paniczny gulgot były przez chwilę jedynymi dźwiękami: tych na schodach krzyki o wąpierzcu trochę zmroziły. Debren prawie sobie gratulował.

Zapomniał o Ruutenie.

- Nie słuchajcie go, pijaka ze zwidami! - zaapelował z sypialni gnom. - To jeno żak magii! Iluzjonista! Co taki umie? Ptaka z czapki wyczarować! Nie robi wam krzywdy! Z Lelonii jest, a ichnia magia sto lat za Czarnoludami! Łapcie go, dobrzy ludzie! A najlepiej ubijcie!

Podziałało.

- Jeno nisko celuj, szwagier! - dobiegł zza drzwi głos Alfiego. - To knur, pamiętaj.

Zgrzyt otwieranego okna i podmuch zimnego powietrza pobudziły garncarza do życia.

- Dziecko mi porwał! - poskarżył się. Nie wstając z kłęczek, zaczął wyszarpywać worki z blokującej drzwi barykady. - Ratujcie ją, dobrzy machrusanie! Splugawi, wysście caluśkie dziewictwo! Baron grosza nie da za taką popsutą... Szybko! Łapta go! Zaraz was wpusz...

Bełt z napinanej na kozią nóżkę kuszy przebił drzwi, przebił wypchany ziarnem worek...

I brzuch Joha Garncarza.



To urwany ludzki skowyt, nie śliskie dachówki, po raz pierwszy omal nie zabił Debrena. Pod oknem znaleźli wąski występ, początek trasy był więc komfortowy w porównaniu z czekającą ich wspinaczką - ale Amma chyba rozpoznała głos ojca. Pośliznęła się z

wrażenia. Debren zdążył ją podtrzymać, sam jednak zawisł nad przepaścią na jednej ręce i jednej nodze. Przez upiornie długą chwilę bez skutku szukał oparcia dla drugiej.

Znalazł, tylko co z tego? Dalej będzie gorzej.

A może nie trzeba iść dalej? Może im się upiecze? Harmider z głębi poddasza znów jakby nożem ucięło.

- Szw... szwagier? - wyjąkał ktoś mocno wystraszony. - Toć mówiłeś... knur miał być! A to... człek?

- O Machrusie słodki! - podniosła lament żona rajfura. - Ubił człowieka! Do lochu mi pošlą braciszka jedyneho, na stryczek! Alfi, coś ty, durniu, narobił?!

- Ja zem tu - zaznaczył szybko złodziej - jeno stał.

Debrenowi zaświtała nadzieja, że tupot na schodach oznacza pierwszych, którzy wyczuli pismo nosem i umykają, by nie dać się zamieszać w gardłową aferę. Ale nie.

- Złoto... - wybełkotał męski głos, dwa razy bardziej rozlaży od głosu Joha. - Gdzie... eep... dają?

- Matus - wydyszała przejęta Garieta - wody nie było, tożem z nocnika... Ale tatko pijany, to i tak nic rano nie będzie pamiętał.

- Wracamy! - warknęła jej matka. - Nic tu po nas.

Niestety, Ruuten czuwał.

- Nie wasza wina! - zawołał. - Jeno Lelończyka! To przez jego czary! Ludzi w knury zmienia! Ubijcie go, nim więcej nieszczęść narobi!

Debren ściągnął przewieszoną przez ramię torbę z księgami. Wymacał kozik, przeciął pas zaraz przy szwie łączącym go z sakwą i zaczął wypatrywać punktu zaczepienia dla tej, pozał się Boże, kotwiczki. Słusznie, bo koronny argument gnom zostawił na koniec:

- I nim na was draberii doniesie! Oraz baronowi! Żeście mu niedoszłego teścia jak świnię zastrzelili!

Debren nie słuchał już. Padało coraz mocniej, a świetlny czar zgasł mu nie wiadomo kiedy. Mało co widział. Za to dłonie, jak na szyderstwo, nadal spływały potem, potrzebnym do podtrzymywania Czarki. Za kilka pacierzy to przejdzie, ale przeżyć te kilka pacierzy...

- Zostań, Amma - rzucił szeptem. - Ciebie nie ruszą.

Potrząsnęła głową, wskazała energicznie jego, siebie, a na koniec grzbiet dachu.

- Dobrze - skapitulował. - Ale ja idę pierwszy. Podam ci... - zawahał się, miętosząc w dłoniach żałośnie kusy pas od torby - podam linę. Czekał tu.

Pomyślał, że jeśli spadnie, problem sam się rozwiąże, po czym ujął torbę w zęby i zaczął wpełzać po dachu.

Z początku szło nieźle. Pomogła mu pionowa ścianka, a potem pochylony łagodniej od głównej połaci daszek okiennej nadbudówki, z marimalka zwanej lukarną. Deszcz nie zmoczył jeszcze dachówek zbyt mocno. Jeśli przywrzeć do nich całym ciałem, dało się sunąć w górę.

Potem zaczęło się robić gorzej. Debren raz i drugi poczuł, że się ześlizguje. Wiało coraz mocniej i z niedobrej strony. Klejąc się do połaci czym tylko mógł, z policzkiem włącznie, powstrzymywał ten ruch, lecz przecież nie o to szło, by leżeć i nie zlecieć.

No i jeszcze sąsiedzi Ruutena. Słyszać było, że tłoczą się przy okienku, na szczęście posadowionym pionowo, za pośrednictwem lukarny, więc przesłaniającym widok na wyżej położone partie dachu. Ale ktoś już tam siadał na parapecie, próbował sięgać wzrokiem nad daszek.

- Wstań, Kędzior! - przebił się przez gwar głos Alfiego. - Srać chcesz przez to okno czy żaka łapać? Bo jak srać, to portki pierwszej opuść.

- Dudkaj się! Ciemno; nie widzę, za co cię chwycić!

- To światło dawać!

Debren podciągnął się wyżej. Jak wąż, nie odrywając od dachówek ani palca kwadratowego swego ciała. Tyle że właśnie o palec - długości, nie powierzchni - się przesunął. To znaczy najpierw o jakieś cztery, ale potem o trzy zjechał z powrotem. Woda przestawała zwilżać dach i zaczynała po nim spływać. W rozbłysku pioruna dostrzegł setki drobnych strumyków.

- Aha, i kuszę napnijcie - przypomniał sobie rajfur. - Gdzie masz wajchę, szwagier?

Dźwigni, zwanej kozią nóżką, szwagier nie zabrał - bo ile razy można strzelać do hałaśliwego gnoma? Bełty też zostały w domu. Łojówka zgasła od przeciągu czy może deszczu. Tylko dlatego Debren przeżył najgorszy moment, kiedy w głowie miał pustkę, a w sercu rozpacz.

Bo potem wróciło mu trochę zimnej krwi i nadziei. Za sprawą Ammy.

Poczuł, jak coś popycha jego stopę, obrócił głowę i dostrzegł, że to czoło dziewczyny. Oczyma wyobraźni zobaczył ją zsuwającą się coraz szybciej - taki nacisk nie mógł ująć bezkarnie. Nawet jej, temu chudzielcowi. Na szczęście nie na swą lekkość liczyła. Wykorzystała podpórkę w postaci daszka nad okienną nadbudówką. Chwała wam, marimalscy architekci, za wynalazek lukarny.

- Jeno ostrożnie. - Powinien na nią nawrzeszczyć, ale jeśli miał zejść żywy z tego dachu, musiał się godzić na ryzyko. Trudno. Więc po prostu pełził w górę, starając się możliwie mało korzystać ze wsparcia, jakie mu dawała.

Wsparcie szybko się skończyło: nie mogła już sięgnąć jego stóp nawet koniuszkami paznokci.

- Starczy. Nie ruszaj się.

Zaczął układać się na boku i szykować do rzutu. Kalenica była daleko, ale bliżej, choć nieco z lewej, majaczyła w mroku deska, ułożona z myślą o kominiarzach. Gdyby dorzucić tam torbę... Ściągnął swój pasek, przywiązał go do tego od torby, dodał jeszcze zapasowe rzemyki do sznurowania ciżem, przedłużając na ile się da improwizowaną linę. Wyjął też dwie z trzech ksiąg: jedna lepiej zastąpi ramię kotwiczki, no i rzucać nią lżej.

- Przytrzymaj, Amma. I nic sama nie rób.

Złapała zjeżdżające księgi, upchnęła pod ubranie, gdzie kryły się już króćca i tabliczka. Istny kufer na nogach, nie dziewczyna.

Serce podeszło mu do gardła, kiedy tuż za jej stopami zza krawędzi lukarny wyłoniła się kudłata głowa.

- Mam ją! - krzyknął triumfalnie śmiałek, który kucnął na parapecie, wyciągnął ramię i chwycił Ammę za łydkę. - Tu jest! Zaraz nad...

Nie sposób powiedzieć, czy zadziałał odruch, czy zrobiła to świadomie. W każdym razie druga wolna noga wymierzyła mężczyźnie kopniaka. Kudłaty stracił równowagę i poleciał w dół.

Debren odetchnął z ulgą: tylko o łokieć do tyłu. Trzymali go, nie dali spaść.

- Kopła mnie! - darł się wciągnięty na poddasze kudłaty. - Widzieliście?! Mało zem... Machrusie, co za zdzira chędożona! Zabiję sukę!

- Nosa zadziera, cnota przeschnięta! - podchwyciła jakaś dziewczyna, ta od druta bodajże. - Nawet baron jej się nie widział, rzyci zarozumiałej! Któremu ja sama, choć zem profesjonalistka, darmo bym...

- Cisz! - huknął Alfi. - Ten żak, gdzie jest?

- No... tam chyba. - To znów Kędzior.

Poddasze było od środka obite deskami i pewnie docieplone

słomą. Chyba to ocaliło Debrena. Albo fakt, iż akurat rzucał. Ciężko ocenić, czy grot bełtu zatrzymałby się tam, gdzie się zatrzymał, gdyby, zamiast na pustkę po poderwanych na okoliczność rzutu żebrach, trafił na ludzkie ciało. Może zabrakłoby mu impetu i wlaźby w mięso tylko na palec, boleśnie, lecz niegroźnie. Albo kość by go zatrzymała. Ale może właśnie na tyle, na ile sterczał z rozkruszonej dachówki - czyli na szerokość dłoni - ugrzązłby w boku Debrena.

W każdym razie mogło być gorzej. Choć i tak było źle. Przestraszony w najgorszym momencie Debren wypuścił z dłoni koniec paska i torba odleciała w mrok. Cała.

- Dżuma i... - Nie potrafił wypatrzeć sakwy. Przeleciała nad kalenicą czy spadła na deskę kominiarską? Po paru momentach uznał, że to nieważne. Nie był w stanie wymacać pasa, a jak nie ma pasa, to cała torba, gdziekolwiek teraz leży, psu się zda na budę.

- Dostał? - zastanawiał się szwagier Alfiego.

- Weź zydel, wyjmij bełt i zobacz, czy jucha jest.

Po chwili grot zaczął się obracać. Debren, niewiele myśląc, posłał w drewno błyskawicę. Szwagier wrzasnął.

- Czar! - ostrzegł ktoś. - Widzieliście? Iskra!

- Od góry go weźmiem - zdecydował Alfi. - Na dach trza wyleźć. Baby, drabinę przynieśta, pod właz. A ty, Łańcuszek, ganiaj do Krzywej Yuli. Jej okno akuratnie na nasz dach widok daje.

Debren zerknął na boki. Dom z lewej górował nad tym ich o pół piętra w kalenicy. Faktycznie było tam dostatecznie dużo ściany poddasza, by starczyło na okno. Więc może tamtędy? Nie leźć w górę, tylko wzdłuż połaci... Ba, ale jeśli okno to tylko mały świetlik? Albo, choć większe, ma mocne skrzydło z dobrym zamknięciem? Nim dotrą na miejsce - o ile zdołają - nim wyłamią... Dżuma i syfilis, dałby sporo za nocne widzenie. Ale to trudny czar, no i nie

przerabiali jeszcze autokontroli światło-mrok. A bez tego starczy słaby błysk - nawet nie piorun, a po prostu pochodnia - by sobie oczy oślepiły na długo.

Nie, lepiej nie ryzykować.

Znów spróbował pełznąć. Po trzech próbach przesunął się o dwie stopy - tyle że niżej. Cholernie dobre dachówki robili w Anvaszu, gładkie jak z blachy.

Myśl, Debren. Czarodziej jesteś. Czarodziej głową pracuje, nie łokciami i kolanami. No, chyba że o urzędy przychodzi powalczyć. Czy do przetargu stanąć.

Na szczęście Amma nie miała języka, nie mogła postawić odwiecznego babskiego pytania: „I co my teraz poczniemy?” Dobrze choć to. To znaczy: czuł, że gdyby jej ten wszawy baron nie pociął, też po prostu leżałaby z wyciągniętymi ramionami, które zaczynają drżeć z wysiłku, lecz uparcie podpierają jego stopy. Że milczałaby i czekała. Bo taka to dziewczyna - jedna z tych, co to mądry pogna do kościoła i podziękuje Bogu, że pozwolił spotkać. Ale to wcale nie ułatwiało sprawy. Na odwrót nawet.

Coś furgnęło mu nad głową, nastraszyło. Gołąb. Też spłoszony. Kilka krążyło nerwowo nad znajomym, bezpiecznym dotąd dachem. Nie miały odwagi zapuszczać się w czerń nocy, wypełnioną piorunami, sowami, kocurami albo i czymś jeszcze gorszym, co spokojnym gołębim pocztowym jeży pióra na grzbiecie.

Debren poczuł, że dłonie dziewczyny cofają się spod jego podeszew. Koniec, zabrakło sił. Ile ich można mieć, zjadając owsa za trzy denary w tygodniu?

Potem, znienacka, pociągnęła go za stopę. Lekko, ale wystarczyło: zjechał z sercem w gardle, omal nie minął daszku lukarny i nie pomknął dalej, w wysoką na trzy piętra przepaść. Rany boskie... Oszalała?!

- Co ty...?! - urwał, widząc w świetle błyskawicy jej szerokie z przejęcia oczy. Ktoś próbował wyglądać zza krawędzi nadbudówki. Trzeba było kopnąć tego kogoś. To znaczy: Debrenowi zabrakło odwagi na prawdziwe kopnięcie - bo jeśli tamtego nie trzymali tak pewnie jak kudłatego i spadnie? - ale wymierzenie lekkiego a skutecznego ciosu wymaga nawet więcej skupienia. Na szczęście udało się. Mężczyzna wrzasnął ze strachu, zamachał rękoma, wypuścił długi rzeźniczy nóż i dał się wciągnąć w okno asekurującym go kompanom.

A zaraz potem trzeba było oderwać dłoń od dachu i macać runy, rozplywające się w deszczu. Chwalić Boga, Amma umiała pisać zwięźle.

Wymienili się: on dał jej tabliczkę, ona mu króciwę.

- Szyj! - wydarł się Alfi. - Tutaj! Słyszę ich!

Grot wyskoczył z dachówki dokładnie pomiędzy nimi.

Zaraz potem błysnęło przez ćwierć nieba. Debren zdążył się rozejrzeć. Okno Krzywej Yuli było spore, niestety, poszatowane ramkami pod małe szybki, więc trudne do wyłamania. A na desce kominiarskiej nie leżała torba. Cóż, nie ma wyboru.

Zaczął walić w dachówkę. Kiepsko szło. Praca wymagała młota cięższego niż trzymana za lufę króciwa kołowa. I tak dobrze, że gnomy, świadome widać śmieszności tej, pożał się Boże, broni, przynajmniej o bojowy wygląd się postarały i na końcu kolby dały żelazną, lekko bruzdowaną gałę, budzącą miłe skojarzenia z buzdyganem.

Debren potrzebował tuzina uderzeń, by wybić pierwszą dziurę. Cegły, dzuma, nie dachówki. Ale sunął do góry. Gdyby mieli więcej czasu...

- Rwać te deski! - zarządził Alfi po chwili konsternacji. - Stół dajta albo co! I narzędzia jakoweś!

To musiało potrwać. Dzięki deskom i słomianemu ociepleniu tamci nie mieli też pewności, czy ich bełty dziurawią dach - wobec czego dali sobie spokój ze strzelaniem na oślep. Bełt potrafi kosztować nawet kilkanaście denarów, toteż właściciel kuszy kupionej do samoobrony nie miewa ich więcej niż kilka i nie marnuje bezmyślnie.

Ci pod nim nie byli więc chwilowo problemem - tyle że nie tylko nimi Alfi dowodził. Kiedy Debren był w dwóch trzecich drogi na szczyt dachu, gdzieś z prawej, przy drugim z kominów, zazgrzytała pokrywa włazu.

Otwór był po drugiej stronie kalenicy, niewidoczny, więc Debren po prostu dalej robił swoje - tyle że zbierając moc. Wybił kolejną dziurę, nim Garieta, ponaglana przez matkę, przepchnęła ojca przez właz. Wiatr przywiał nocnikowy zapaszek, ale głównie woń trawionej gorzałki. Córka wyposażyła ojca w osadzoną na drągu wozową latarnię. Żona męża - w dobrą radę:

- Jeno uważaj, Rihson! Ślisko! I ciemno! I piłeś!

Debren zaklął w duchu. Akurat tego przysłali... Szykował do obrony gangarina: mało mocy zużywa, jeśli dobrze wymierzyć. No i żadnych trwałych szkód. Błyskawica potrafi przysmażyć, uszkodzić wzrok, gdy trafi w twarz; w skrajnych wypadkach nawet serce zatrzymać. Piorun kulisty - jeszcze gorzej. Broń bojowa pełną gębą. Nie mówiąc o tym, że ogień zostawia ślady i w razie śledztwa nie wyłgasz się. Natomiast gangarin... Jego sekretny, nieznanany oficjalnej magii, a więc i sądownictwu, oręż.

Tu, na dachu, nawet sam obiekt ataku mógł się nie zorientować, że go zaatakowano. W głowie zawirowało, zemdliło? Od wysokości pewnikiem. Delikatne muśnięcie mocą w błędnik wystarczy, by z prześladowcy uczynić przestraszoną, po trzykroć ostrożną ofiarę, której już nie w głowie walka. Tyle że zataczający się pijak nie

wyczuje delikatnego. Bo go gorzałka zdrowo po błędniku wygrzmociła. Niby dobrze - łatwiej takiego do reszty z równowagi wytrącić. Ale... jeśli spadnie?

Dżuma i syfilis, przecież on, Debren, nikogo nie chciał zabić! Gdyby dotarł, jak tamten, do pokrytej gąsiorami kalenicy, raczej próbowałby łapać Rihsona i ostrożnie sprowadzać z dachu. Widać było, że za pacierz, góra dwa, nieszczęśnik sam, bez żadnych zaklęć, zleci i roztrzaska się o bruk. Ta jego baba kompletnie oszalała!

Okazało się jednak, że pani Rihsonowa tak całkiem nie oderwała się od rzeczywistości.

- Siadaj, stary! Jak na kobyle, okrakiem! - Otumaniony mąż zatoczył się we wszystkie cztery strony świata, cudem nie zleciał z kalenicy, po czym, zgodnie z rozkazem, usiadł. - Nie w tę stronę, pijaczyno! Gdzie ryj obracasz! Na odwrót! Rzycią ku grodowi! Nijakiej wyobraźni przestrzennej nie masz, głupku?! Kto cię furmanem zrobił?! I to na sześciokonnym długodyszlowcu?!

Debren walił w dachówki, wybijał otwory. Jeszcze tylko kawałek połąci. Ku grodowi nie uciekną, ale kamienica po lewej kusła tylko o sążęń wyższym i bardziej płaskim dachem. Byle zdążyć przed...

Nie zdążył.

- Tam są! - ucieszył się ktoś, kto właśnie otworzył okno Krzywej Yuli. - Dobra! Zabierać tę szafę!

Zdziwiony Debren zerknął przelotnie. W izbie zapłonęła świeca, dostrzegł więc dwóch mężczyzn i kobietę w koszuli nocnej.

- Jeszcze czego?! - oburzyła się. - Zostaw! Nie widzisz, że ledwie się kupy trzyma?! Rozsypie się i co?! Gdzie klienta schowam, jak draby z obyczajówki wpadną?!

- Kufer se kup - wysapał mężczyzna odciągający mebel. Drugi, krótko ścięty, zabrał z parapetu dwie doniczki z kwiatami czy może

szcypiorkiem, w ich miejsce wysypał z sakwy coś ciężkiego. Kamienie?

- W zadek se wsadź kufer! Draby mają nakazane instrukcją do kufków i pod łóżko zaglądać! A o szafach w procedurze nie stoi! Luka jurystyczna!

Po prawej Rihson, chyba trzeźwiejący pod wpływem deszczu, mozolnie obracał się frontem do zbiegów. Po lewej krótko ścięty błysnął wyjętym zza pazuchy łańcuszkiem. Szafa skrzypiała, jakieś graty waliły się na podłogę z brutalnie szarpanego mebla.

- I tak - stęknął szarpiący - kaźden wie, żeś ladacznica. Też mi sekret.

- Ale uliczna! - wydarła się Yula. - Połowę mniej ze mnie ciągną niż z takiej, co pod dachem tyłka daje! Mam do cechu i na łapówki dwakroć więcej płacić, bo wam moja szafa przeszkadza?! Łuk trza było przynieść, a nie jakąś obesraną procę!

Błysnęło, lecz to jej słowa, nie piorun, rozjaśniły Debrenowi w głowie. Proca! Anvashe uchodzili w całym Viplanie za naród, który nie dochował się porządnego rycerstwa i preferuje walkę na odległość. Najślawniejszym i po prawdzie jedynym szerzej znanym dokonaniem ich jazdy była opisywana po wielekroć Szarża Lekkiej Chorągwi, która ponoć oszołomiła świadków urodą i skończyła się kompletnym pogromem wspomnianej jednostki, przy minimalnych stratach zaszarżowanych. Na Wyspach od dawna królował sławny długi łuk, dzięki któremu przeciętna skądinąd armia lądowa co jakiś czas odnosiła spektakularne zwycięstwa. Głównie nad dzikimi z Południa i nad uczciwie, czyli kopia, mieczem oraz z konia, walczącymi Marimalczykami. Ale właśnie to umiłowanie łuku sprawiło, iż uznano go za poważną broń i pod tym kątem spisano prawo. Człowiek z kontynentu był brany za napastnika i sądzony, gdy porządnie zamachnął się mieczem czy toporem. Anvashe,

którzy miewali kuriozalny zwyczaj rozstrzygania niektórych sporów metodą miotania pocisków, wymyślili, by za agresora i winowajcę uznać tego, który pierwszy naciągnie broń. Przy czym za początek naciągania uważano przemieszczenie ciężkiwy dokonane z zamiarem założenia na nią potem pocisku. Debren wyczytał gdzieś, że był to kolejny jurystyczny kruczek, za pomocą którego lobby łucznicze próbowało wygryźć z rynku kuszniczą konkurencję. Wiadomo: łucznik zawsze wyprzedzi kusznika, i to do tego stopnia, że może mu śmiało dać moment albo i dwa przewagi, pozwolić, by w oczach prawa to on stał się napastnikiem - a potem spokojnie przeszyć tamtego strzałą w ramach uzasadnionej samoobrony. Co prawda z już załadowanej kuszy strzela się jeszcze szybciej, podczas gdy z gotowym do strzału łukiem nie da się długo chodzić, o picciu w karczmie nie mówiąc - lecz od strony prawnej kusznik zawsze stał na straconej pozycji. Jeśli przeżył, oznaczało to, że wcześniej naciągnął broń i zabił z ciężką premedytacją. Jeśli zginął - zwycięzca mógł twierdzić, iż sięgnął do kołczana dopiero jako drugi i tylko broń miał lepszą.

W czasach Wojny Kopy Lat, kiedy Anvashe opanowali pół Marimalu, niejaki Gavronne z Eileff znalazł sposób na te wyspiarskie machlojki jurystyczne. Procę mianowicie. Każdy inny system prawny raz dwa uporałby się z bezczelnym ulicznikiem, który dzień po dniu, ku uciesze gawiedzi, rozwalał łby wojakom z okupującego stolicę, wrogiego garnizonu. Ale nie anvaski - lubujący się w tradycji, skostniały i przekonany o własnej doskonałości zbyt mocno, by nowelizować przepisy z powodu jakiegoś cudzoziemca. Nieszczęśni łucznicy - bo to na nich, twórców militarnego sukcesu wroga, Gavronne zagiął parol - byli wyzywani od najgorszych, prowokowani i kładzeni trupem w momencie sięgania po strzałę lub kord. Trudno wyprzedzić kogoś, kto stoi tuż przed tobą i wywija

procą nad głową. Gavronne'a naturalnie zatrzymywano, ale wypuszczano zaraz potem: w myśl anvaskiego prawa nie popełniał przestępstwa, a jedynie działał w ramach obrony koniecznej. Dowód: łuk, co przyznawali świadkowie, naciągał żołnierz, natomiast podejrzany tylko stał i sobie machał. Machanie, choćby procą, w myśl Królewskiego Kodeksu Karnego nie jest czynem zabronionym. Zabronione, i owszem, jest ubliżanie, zwłaszcza łucznikowi będącemu w służbie Korony. Tyle że nazwanie kogoś „anvaskim dupkiem chędożycielem w ryje szczerbate cuchnących cichodajnych sióstr bękarcic własnego dziada sklerotyka z ciężką francą na mózgu o ile go debil miał” może być co prawda uznane za obelżywe - lecz wszak nie musi. O tym, czy doszło do urażenia uczuć, decyduje wyłącznie ofiara słownej zaczepki. Jeśli zaś ofiara w międzyczasie zmarła... Cóż, adwokat zatrzymanego wnioskuje o zwolnienie z aresztu.

Gavronne, choć sam jeden przetrzebił stołeczny garnizon, wprowadził ferment wśród łuczników i spowodował, że Anvashe wycofali się z Eileff, nie doczekał się pomników. Marimalczycy na symbol zrywu narodowowyzwoleńczego wybrali po krótkim namyśle Dziewicę d'Asko, która słyszała głosy, miała szesnaście lat, no i była dziewicą - co, najwyraźniej, tak zszokowało współczesnych, iż król powierzył jej dowództwo nad armią. To ona, jeśli wierzyć historykom, natchnęła rodaków wiarą w zwycięstwo. Dała się też szybko złapać i zgładzić, co, jak wiadomo, znakomicie podnosi prestiż bohatera w oczach ocalałych współbojowników. Gavronne natomiast okazał się wrzodem na tyłku odrodzonego Marimalu. Dożył dziewięćdziesiątki, nękał króla podaniami o rentę kombatancką - nie dostał, bo niby za co: z anvaskich kronik wynikało wszak, iż nic złego nie robił - oraz upierał się, by w życiorysie cytować jego historyczne wypowiedzi dosłownie, a nie

tak, by dzieci się dało uczyć. W ojczyźnie popadł więc w zapomnienie. Natomiast, paradoksalnie, w upokorzonym Anvashu popularny stał się właśnie on. Co prawda była to specyficzna, niszowa popularność, ale nawet Debren w dalekiej Lelonii słyszał, jak modne w wyspiarskim świecie przestępczym są wzorowane na jego broni beztrzonkowe proce na ołowiane kule, zwane gavronkami.

Od Wojny Kopy Lat ładnych parę kop lat upłynęło, lecz czegoś takiego nadal nie uważano na Wyspach za broń. Najbardziej notowany zbrodniarz recydywista, którego draberia gotowa była przyskrzynić za posiadanie brzytwy i który musiał z tego powodu chodzić z brodą do pasa, mógł sobie tę brodę legalnie przewiązywać choćby tuzinem proc. Debrena trochę to dziwiło. Aż do tej nocy.

Bo teraz przekonał się, że miejskiemu złoczyńcy każdy inny oręż przydałby się bardziej. Ci u Yuli uporali się z szafą i krótko obcięty przykucnął, na próbę zakręcił procą. Zamiast rzemieni miała niezbyt grube łańcuchy, może dla zadania szyku, może z myślą o użyciu jej do walki wręcz, więc Debren wyraźnie usłyszał, że miejsca w izbie nadal brakuje. Załomotało metalem o deski. Krótko ścięty zaklął, uniósł się, znikł z pola widzenia.

- Gdzie?! - zaprotestowała Yula. - To na stałe przybite! Cały dom mi chcecie zdemolować?!

Chcieli: Debren słyszał, jak wyłamują coś drewnianego. Nie miał czasu patrzeć. Kruszył dachówki. Jeszcze trzy otwory i będą mieli schody do kalenicy.

Atak przyszedł nieoczekiwanie. Huknęło, rozdarło mu powietrze tuż przed twarzą. Tak nagle, że stracił równowagę i zjechał na brzuchu aż na wysokość Ammy. Na szczęście zdołała odskoczyć i złapać go w pasie. Gdyby nie ten chwyt, poleciałby dalej. W trzypiętrową przepaść.

Machrusie słodki, co to było?! Piorun jakiś?!

Bardziej dzięki rozchwianej latarni, niż logice, skierował wzrok na Rihsona. Woźnica siedział tam, gdzie przedtem, daleko, nie mógł...

Dżuma i syfilis! Jasne, że mógł! Woźnica! Sześciokonnego długodyszlowca! Niby czego taki użyje, kiedy zerwą go w środku nocy i pchną w środek sąsiedzkiej awantury?

Inna sprawa, że długachnymi bykowcami jego kompani po fachu potrafili całkiem skutecznie posłużyć się i w poważnej walce. Na wilki, zdiczące psy, rabusiów amatorów, a nawet co drobniejsze przydrożne biesy pokroju, powiedzmy, gałęźnicy lub kretozaura, nie ma lepszego oręża. Dwa, trzy sążnie zasięgu, cios zdolny powalić mężczyznę, huk, który oszołamia, szansa wyszarpięcia broni, spłoszenia napastnikowi konia...

- Rzuć bat! - wrzasnął Debren, na poły gniewnie, na poły ze strachem. - Bo ci czarem przywalę!

Nie podziałało: tamten zagarnął okutą końcówkę, brał zamach do kolejnego ciosu. Cóż, sam chciał.

Debren wyciągnął różdżkę i palnął telekinezą w latarnię. Rihson wetknął kij pod udo, podparł barkiem, ale uderzenie w dłuższy koniec sprawiło, że krótszy podbił nogę, wysliznął się i wraz z latarnią spadł na ulicę.

Zaraz potem Debren pogratulował sobie czaru. Koniec bykowca, choć posłany na oślep, grzmotnął w miejscu, z którego chłopak przed chwilą zleciał. Woźnica przegapił najwyraźniej ten rozpaczliwy zjazd, ale widać było, że z celnością ma mniejsze niż ze spostrzegawczością problemy. Cóż, rutyna.

Teraz ci z lewej. Wyczarował mały piorun kulisty i wpakował go w okienne skrzydło. Po otwarciu stanowiło wąski cel - ale do wyboru miał jeszcze tylko wieszak z ubraniami lub ludzi. Człowieka nawet mały piorun nieźle poturbuje, a spalanie ubogiej, niewinnej kobiecie

może i jedynej sukni byłoby zwykłym świństwem.

Środek skrzydła eksplodował, końce wyłamanych poprzeczek zaczęły się tlić. Dwoje z trojga obecnych padło. Krótco ścięty jedynie się schylił. A i to po zydel.

- Legnij, Łańcuszek! - darł się z podłogi ten od przesuwania mebli.
- Magią bije!

Krótkowłosa odstawił wprawdzie zydel, lecz tylko po to, by na nim usiąść. Na wprost okna, z doskonałym widokiem na dach i Debrena. Idiotycznie to wyglądało, ale w końcu Debren zrozumiał.

Okno było umieszczone nisko i chcąc miotać pociski, tamten musiał klękać, kucać albo siedzieć właśnie.

- Amulet mam - pochwalił się Łańcuszek. Wsadził pocisk w koszyczek procy i zaczął brać zamach.

Od pioruna kulistego bliżej do błyskawicy niż gangarina, więc Debren właśnie błyskawicą palnął go przez łeb. To znaczy: próbował. Bo wyładowanie, łamane, jak to przy minimalnej mocy, akurat w okolicy głowy załamało się bardziej i poszło bokiem. Łańcuszek nie zełgał. I, co dziwniejsze, nie zełgał ktoś, kto sprzedał mu amulet. No, chyba że to kolejny chybiony czar. Debren nie był dobry w miotaniu do celu: na studiach, jak wiadomo, nie ma czasu na ćwiczenie do perfekcji tego, co już się zaliczyło. Trzeba wkuwać do następnych zaliczeń. Więc może spudłował.

Nie zastanawiał się nad tym. Wystarczyło mu, że Łańcuszek zwątpił w moc swej magicznej osłony i jednak skrył się pod parapet. A Yuli zgasła świeca.

- Na górę, Amma - rzucił półgłosem. - I cicho.

Posłał trzy szybkie gangariny w miejsce, gdzie, jak mu się wydawało, siedział Rihson. Bo widzieć, naturalnie, już go nie widział: za ciemno.

Ale trafił. Bębnienie deszczu i gwizd wichury nie zagłuszyły

odgłosów gwałtownego opróżniania żołądka.

Wspiął się i zaczął walić w następną dachówkę. Coś mu szeptało, że musi się spieszyć. Dobrze mu szeptało.

- Z drogi! - dobiegł od strony wjazdu głos Alfiego.

- Gdzie z tą kuszą! - zaniepokoiła się woźnicowa. - Starego mi postrzelisz! Na dach polazł!

Ktoś wytknął pochodnię z okna gołębnika. A ktoś inny zaczął przez nie wylać. Amma, która posłuchała rozkazu i wdrapała się wyżej, nie mogła tym razem powstrzymać śmiałka kopniakiem. Debren złapał ją za ramię, na wypadek, gdyby poniewczasie jednak próbowała.

- Wal! - wcisnął jej króciwą, popychając dziewczynę w górę dziurowej drabiny. Wetknęła palec w lufę, pokazując, że ta jest pusta. - Nie do nich! W dach! Tak jak ja!

Człowiek przy oknie gołębnika miał tylko nóż, więc Debren zostawił go na potem. Uzbierał mocy i szykował się do posłania pioruna w okolice komina. Porządny wybuch wypędzi tamtych z powrotem na poddasze.

- Yyyy! - Ostrzegawczy bełkot okazał się spóźniony. Złał się z uderzeniem kuli o dachówkę, szarpnięciem rykoszetu za nogawicę. Łydce Debrena się upiekło, ale i tego wystarczyło, by padł z kolan na twarz. Oczywiście akurat w momencie zwalniania czaru z różdżki.

Poszło dużo więcej, niż miało pójść: wysokoenergetyczna magia ognia plus dobra różdżka o niskim oporze to jedna trzecia czarowania, a dwie trzecie pilnowania, by w porę zastopować wypływ mocy. Debrena nie zdziwiło więc, że z komina tak mało zostało. Zdziwiło, że po takiej eksplozji nikt nie zleciał z dachu. To znaczy - całkiem.

- Dajka jego mać! - klął gdzieś zaskakująco daleko rajfur. -

Cholerna burza! Akurat tu musiało...

Debren też miał ochotę kląć. Taki pokaz mocy - i poszło na konto sił natury! A mógł ich na śmierć wystraszyć... Może krzyknąć, że to jego, Debrena, robota? Ale... przechwalać się? Publicznie? Jakos tak... niezręcznie.

- Żyjesz, szwagier? - upewniał się ten przy włązie, któremu podmuch zbił płomień z pochodni.

- Linę mi tu jakąś... Albo ten bosak z podwórza! Bo sam nie wylezę! Aż do rynny zem zjechał! Uch, mało brakło.

Tego przy oknie gołębnika też ocalała rynna. Utkwił w niej, nie mając odwagi wykonać najłżejszego ruchu.

Świetnie. Resztki mocy mógł Debren zużyć na Łańcuszka, gdzieś tam, w ciemnościach izby, rozkręcającego pewnie kolejny pocisk. Błyskawica raz zawiodła, zresztą do błyskawicy trzeba widzieć cel. Do kolejnego pioruna musiałby się koncentrować czort wie jak długo. Posłał więc gangarina. Szerokiego i silnego, na całe okno i jeszcze obrzeża - nie chciał ryzykować. Pociemniało mu w oczach, ale zyskał pewność, że tamten nieprędko pozbiera się z podłogi i odróżni ją od sufitu.

Potem czekał. Aż Amma wybije dziury w dachu i aż jemu samemu wróci zdolność do rzucania zaklęć. Na szczęście druga strona też utknęła. Alfi czekał na linę lub bosak. Pociemniało, a deszcz nasilił się, zagłuszając wszystko z wyjątkiem odgłosów walenia króćcą.

Pierwsze stuknięcie Debren przegapił. Dopiero drugi, bliższy trzask, połączony ze smagnięciem okruchami dachówki po policzkach, ostrzegł go, że coś nie wyszło. Na szczęście Łańcuszek walił na oślep. Ale i tak zaskakująco celnie jak na kogoś z porażonym błędnikiem. Więc widocznie nie miał porażonego. Albo to ten jego amulet, albo nie było go na wprost okna, kiedy Debren czarował. Ściana osłoniła. Dżuma i syfilis...

Na szczęście Amma dodała ostatni, brakujący szczebel do ich drabiny i dopadła kalenicy. Siadła na niej okrakiem, wyciągnęła rękę w stronę Debrena. W błysku pioruna dostrzegł wysoko zadartą spódnicę i długą gołą nogę.

Ale ładna...

I coś jeszcze wypatrzył: swoją sakwę, spoczywającą na przeznaczony dla kominiarza desce. Potem znów pociemniało, ale gdy ruszyli w stronę domu Yuli, przykucnął, sięgnął dłonią - i faktycznie tam leżała. Nawet pasy zwisały jak trzeba.

Dziwne. Dałby głowę, że przedtem jej tu nie było.

Ale nie miał czasu się zastanawiać - po prostu zabrał torbę. Z radością. Kilka łokci połączonych pasków i rzemieni mogło jeszcze przesądzić o ich losie.

Na razie przesądził komin. Bo oto seria trzech następujących po sobie błysków rozcięła czerń nocy i z tyłu dobiegł Debrena triumfalny okrzyk:

- Tam są!

Obejrzał się. Alfi właśnie składał się do strzału. Rynna nie tylko jego uratowała przed lotem ku podwórzu. Kuszę też. I to, wierzyć się nie chce, napiętą. Broń miała staroświecką, długą, niczym nieosłoniętą dźwignię spustu i spadając w dół dachu, powinna wystrzelić sama z siebie. Ale nie. Poczekała, suka.

- Amma!

Na szczęście stanęła. Zdążył doskoczyć, opasać jej talię, pociągnąć w bok. Ku przepaści, ale i kominowi. Zbawczej tarczy, która zatrzyma każdy bełt.

Tyle że nie było czego zatrzymywać.

- Światła! - darł się Alfi. - Poświećcie na nich!

Krzyczał - i nie strzelał. Całkiem jakby wiedział, że nie musi. Że Debren, sięgając po sakwę, wepchnął różdżkę do pochwy i teraz

nijk nie potrafi jej wyciągnąć. Bo prawą ręką trzyma się komina, a lewą z całych sił obejmuje Ammę, która runie w przepaść, gdy tylko chłopak zwolni chwyt. W dodatku komin był wąski. Osłaniał ich oboje - nie całych zresztą - tylko pod warunkiem, że kleili się do siebie jak para stęsknionych kochanków. Debren pamiętał o tym - i to przesądziło o nieszczęściu. Bo powinien był machnąć ręką na ryzyko i zaraz na początku ulokować się jakoś wygodniej. Było ciemno; rajfur mógł strzelać tylko na oślep. Wtedy, na początku.

Potem, po drugiej stronie kalenicy, towarzysz Łańcuszka, ten od przesuwania szaf, zapalił pochodnię.

- Dobrze, Alfi? - upewnił się.

- Dobrze! - Radośnie to zabrzmiało. - Tak trzymaj!

Debren miotał się między niewiarą a strachem. Łże, cholerny rajfur, nic nie widzi. Pochodnia płonęła daleko, odgradzona dachem, w dodatku ten deszcz... Komin wystawał z dachu niżej od kalenicy; fragmenty ich ciał, które się za nim nie zmieściły, miały w tle ciemne dachówki, były słabo widoczne. No i to mały cel. Ale jeśli spróbują wrócić na grzbiet dachu...

Jedynym wyjściem było pozbycie się rajfura. Tym razem Debren by się nie wahał: użyłby każdego dostępnego czaru. Tyle że nie miał jak. By stanąć czy usiąść stabilnie, musiał wysunąć się z za komina.

Amma zaczęła się wiercić. Miał nadzieję, że to dla poprawienia ułożenia ciała i ulżenia mu. Ale nie: wyczyniała jakieś cuda przy króciocy.

- Daj spokój! - stęknął. Kanty komina gniotły, bolało go, palce zaczynały omdlewać. - Za mokro!

Mimo wszystko próbowała. Lufa pod pachą, jedna dłoń u góry, by osłonić proch przed lejącą się z nieba wodą, druga na oślep macała w sakwie, gdzie Debren wrzucił to, co znalazł w schowku gnoma. Kozie rożki, kule.

- Poddaj się, Lelończyku! - zaapelował Alfi. - Już po tobie! Puść dziewczkę, to cię może oszczędzimy!

Błysnęło i od razu zagrzmiało. Piorun uderzył blisko, może w bramę miejską, choć raczej w podgrodzie.

- Chędożona burza... - W głosie Alfiego zabrzmiał strach. Cóż, tkwił na skraju przepaści, oparty tylko o drewniane korytko rynny, pełne deszczówki. - Gdzie ten bosak?

Amma stukała i zgrzytała króciwą. Na wysokości wjazdu ktoś podawał Alfiemu bosak. Debren, chwilowo rezygnując z magii ofensywnej, czarami poprawiał kondycję wybranych mięśni i czekał na okazję. Rajfur przestanie w nich celować, złapie za hak, ruszy w górę, a wtedy...

Nic z tego nie wyszło.

- Nie sięga! - podsumował swe zabiegi szwagier Alfiego. - Za kusy bosak! Na linę musisz poczekać!

No, to by jeszcze nie było najgorsze. Debren, ożywiony świeżo zrodzoną nadzieją, szybko wyzbywał się bólu i odrętwienia z mięśni. Lada chwila, nie na długo wprawdzie, stanie się dostatecznie silny, by wyciągnąć siebie i Ammę, jednym skokiem dopaść kalenicy, a w locie jeszcze przywalić temu wszawemu stręczycielowi takim zaklęciem, że w uszy mu...

I właśnie wtedy, gdy czuł się niemal zwycięzcą, oberwał batem przez łeb.

Bykowiec był okuty na końcu. Bezpośrednie uderzenie pozbawiłoby Debrena przytomności, o ile nie życia, więc skoro usłyszał huk i poczuł grzmotnięcie w głowę, znaczyło to, iż dostał rykoszetem. Rihson trafił nie w niego, a w komin. Ale i tak omal nie zabił obojga zbiegów.

Prawa dłoń Debrena ześliznęła się z krawędzi, pięta pojechała wykrokiem w przód, utknęła w ciasnocie szczeliny. Grzmotnął

tyłkiem o dach, lewa noga omsknęła się w dół. Dziewczyna chwyciła się jego ręki.

- Amma - wystękał. - Amma, słuchaj...

Niewiarygodne: nadal ładowała tę durną krócićę. Pewnie wierząc, że on, wielki pan student magii, wyciągnie z zanadru jakąś cudowną sztuczkę, rozwinie skrzydła albo wylewituje, unosząc ją bezpiecznie w niebo. A proch osuszy ot tak, strzeleniem palców.

- Amma... spadamy. Nie utrzymam...

- Yyyyy!!!

Huk pioruna. I...

- UWAGA, GOŁĄB!

Kto krzyknął? I gdzie? W ogóle... dziwnie zabrzmiało. Jakby w głowie, nie uszach? A może mu się wydawało?

Ale nie: coś było na rzeczy. W ułamku momentu, na który rozdarta błyskawicą noc zmieniła się w dzień, dostrzegł zamachującego się biczem Rihsona i, faktycznie, przemykające nieopodal białe skrzydło ptaka.

- Co: gołąb? - nie zrozumiał Alfi. Ale też usłyszał. Czyli okrzyk nie przyśnił się Debrenowi. - Który to powie...? O Machru... Niiieee!!!

Ten krzyk też zabrzmiał jakoś dziwnie. Trochę potrwało - do miękkiego, choć ciężkiego łoskotu daleko w dole - nim Debren zrozumiał, na czym polegała niezwykłość. Po prostu rzadko się słyszy kogoś, kto szybko odlatuje. Naprawdę szybko. W tempie człowieka, spadającego z trzypiętrowej kamienicy.

- O ju... jucha - wybełkotał woźnica. - Dziobło... dziobło Alfiego... ptaszysko.

Jego żona zaczęła histerycznie krzyczeć.

Amma zamachnęła się, cisnęła sakwą za siebie, ku kalenicy. Sakwa zjechała z powrotem. Dziewczyna znów nią rzuciła. Bez sensu, bo niby o co miała zahaczyć na całkiem gładkim dachu taka,

pożal się Boże, kotwiczka?

A jednak zahaczyła. Debren, stawiając wszystko na jedną kartę, przerzucił uchwyt z krawędzi komina na pasek. Teraz polecą...

Nie poleciecieli, utrzymali się na dachu. Cud. Podciągnął się i wstał. Z Ammą pod pachą, jakby była niemowlęciem, nie dorosłą kobietą. To już nie cud - prozaiczna magia. Aż go przeraziło, do jakiego stopnia naładował nią mięśnie. Ale udało się, nie przesadził. Puścił natychmiast pas, skoczył za komin, znalazł solidniejsze oparcie.

Potem szybko wspięli się na grzbiet dachu. Po drodze Amma chwyciła sakwę - leżącą tuż za gąsiorami. Czego się toto trzymało? Nieważne. Cud. Pobiegli w stronę kamienicy Krzywej Yuli.

- Ostrzegał gnom! - zadudnił bas Cylliamy. - Mówił, że magik ptaki z czapki wyczaruje! I ubił Alfiego ptakiem, przeklętnik! Ubił mi kuma ukochanego!

- Chlebowodawcę dobrego! - pisnęła ladacznica od druta.

Debren podsadził Ammę, pomógł wdrapać się na wyższy o sążen dach. Ledwie o trzy sążnie od nich dwaj mężczyźni wychylali się z okna, bezradnie patrząc, jak zdobycz umyka im sprzed nosa.

- Zabić ich! - rzucił hasło Kędzior. - Pomścić Alfiego! Goń ich, Cylliam! Łańcuszek, wy też!

Olbrzymie chłopisko, zbrojne w topór, już gramoliło się na kalenicę. Ktoś zadeklarował, że skoczy po kuszę. Woźnicowa przestała wrzeszczeć, jakby przeczuwając, że za chwilę zastąpi ją świeżo upieczona wdowa, do której właśnie dotarła wieść o wypadku Alfiego.

- A ty, Kędzior, co? - postawił się procarz. - Na rzyci siedzieć i komenderować? Myślisz, że jakieś tydzień we flocie wojennej służył, łajzo, to już z ciebie oficyjer? Oficyjery za burtę nie wylatują, i to przy dobrej pogodzie!

- Reja była śliska! - bronił swego marynarskiego honoru kudłaty.

Wylazł na dach i wskazał kierunek dokładnie odwrotny względem kierunku ucieczki Debrena. - My ich okrążym! Kwartał spróbują obieć, to na nas wpadną!

Debren wziął to z początku za niezbyt błyskotliwy wykręt kogoś, komu niespieszno pod magiczne pioruny. Obieć kwartał? Dobrze sobie! Te kilka sążni jednego dachu pokonywali całe pacierze, kilka razy omal nie tracąc przy tym życia. Ale po chwili uświadomił sobie swój błąd.

Drapać się pod górę to jedno, a sunąć po kalenicy - całkiem co innego. Ktoś odważny mógł nawet bieć. Jeśli kamienice są w miarę równe, faktycznie mogli zatoczyć koło.

- Nie... leźcie tu - wymamrotał woźnica. - Wielgachne ptaszysko lata. Jak kuń wielgachne...

- Dalej, Rihsom! - zachęcał go Kędzior. - Goń ich!

- Złaż z dachu, pijusie! - Zawodzenia wdowy po Alfim zmieniły bojowe nastawienie woźnicowej. - Garieta, idź po ojca! Nie słyszysz, że majaczy? Jeszcze zleci!

- Nic mu nie jest - zapewniał Kędzior. - Chodź, sąsiad, gonić morderców trza. Wy też, baby. Poświeccie, pomożecie. Każdy się przyda. W kupie siła!

- Albo... eep - czknął woźnica - albo to... smok?

- Nic mu nie jest?! - oburzyła się woźnicowa. - Zwidów dostał, nie słyszysz? Gołębia ze smokiem myli!

- Bierz Garietkę... z dachu - rozkazał Rihsom. - Bo smok... eep... na dziewice łasy.

- Nic się, ojciec, nie martw - rzuciła rażno dziewczyna. - Mnie tam niestraszny...

- Garieta?! - zaniepokoiła się woźnicowa.

- Znaczy... ten... chciałam rzec... no, że jaki znów smok? I że wysokości się nie lękam. Dziadek - dokończyła rezolutnie -

żeglarzem wszak był.

Cylliam, wolno i ostrożnie, ale zbliżał się do styku budynków. Można go było zabić, strącając z dachu - a przynajmniej spróbować, bo po napompowaniu mięśni mocą na inne czary mało jej zostało - lecz zatrzymać raczej nie. No i byli ci dwaj od Krzywej Yuli. Jeśli Debren tu zmarudzi, zajdą go od tyłu.

- Ten dom furmistrza... gdzie jest?

Amma wskazała. Dokładnie za podwórze. Czyli faktycznie przyjdzie im obejść kwartał. Dżuma i syfilis. Po ciemku. Samobójstwo.

Potrzebowali światła. Nocne widzenie Debren z miejsca wykluczył. Raz: pioruny. Dwa: Amma byłaby ślepa i niezależnie od tego, jak ostrożnie by ją prowadził, w końcu postawiłaby stopę gdzie nie trzeba. Teraz to nie problem, krzepę miał jak młody niedźwiedź. Długo tak jednak nie będzie, a kiedy zakłęcie puści, wahadło odchyli się w drugą stronę i on, Debren, może się stać kompletnym zdechlakiem. A zdechlak nie utrzyma dziewczyny spadającej nagle z dachu.

Więc, na początek, światło. Kulka-pochodnia? Łatwe w podtrzymaniu, ale długo się przywołuje. Prościej będzie...

Wypatrzył kominiarską ławeczkę. Omal nie usiadł w poprzek kalenicy, by wyrwać deskę. Na szczęście kolejne wyładowanie, przeskakujące między nisko sunącymi chmurami, rozjaśniło nie tylko noc, lecz i jego wyobraźnię. Na pomysł zresztą pewnie by poprzestał, bo nigdy tej sztuczki nie próbował, ale właśnie wtedy nad krawędzią dachu pojawiło się popiersie Cylliamy. Olbrzymowi asystował ktoś niosący pochodnię i Cylliam pewnie będzie na niego czekał, jednak i tak czasu by Debrenowi nie starczyło. Wyłamać deskę, podpalić... bez szans.

- Odsuń się, Amma. Jak najdalej.

Nie sprawdzał, czy odeszła. Każdy moment się liczył. Co trzy, cztery momenty jego organizm regenerował ilość mocy wystarczającą do wyczarowania ścieżki jonowej. Jeśli nie puszczało się nią własnej błyskawicy i założyło, że chmura wisi nisko, nie było to zbyt trudne. Ale też ścieżka to nie szerokie pole, przywoływane przez bojowych zaklinaczy. Musiał trafić górnym końcem we właściwe miejsce, w kawałek nieba, który sam z siebie, bez pomocy magii, lada moment gotów jest plunąć piorunem.

Inaczej mówiąc: macał chmury na chybił trafił, licząc, że któraś z pierwszych prób okaże się udana. Bo na więcej niż kilka Cylliam mu nie pozwoli.

Udało się za trzecim razem. Wielkolud zdążył wleźć na dach i wciągnąć asystenta od pochodni. Debrenowi mignęła krępa kobieca sylwetka i w tym samym momencie drzemiąca w chmurze siła skorzystała z zaproszenia.

Piorun przeciął mrok i grzmotnął w wybraną przed Debrena deskę. Część rozłupanego pomostu poleciała w dół, by z sykiem gasnąć w rynnie. To, co zostało, nie było poręczne. Paliła się wąska strona, podczas gdy trzymać przyszło za szeroką, nie mieszczącą się w jednej dłoni. W dodatku mokre drewno szykowało się do zgaśnięcia i Debren musiał je od tego powstrzymać kolejnym czarem. Ale zyskali pochodnię, mogli ruszyć dalej.

- Prowadź, Amma. Ja świecę, ty patrzysz pod nogi.

Schował różdżkę, obejrzał się. Tamtych dwoje piorun wystraszył, przydusił do dachu. Śmierdziało ozonem, w uszach wciąż huczało echo eksplozji. Może zrezygnują?

- Bosak im daj! - rozkazywał Kędzior. - Niech szpikulcem ku niebu niosą! Słyszysz, Cylliam? Jakem we flocie służył, tom słyszał, co jeden oficjer drugiemu o gromach prawil! Że je ostre, czubate tyczki na siebie ściągają! I w ten sposób ludzi chronią! Gromochron

się to zwie! Największy uczony Bryberyki ów fenomen opisał! Okrutnie mądry! Na monetach nawet jego podobiznę biją!

Debren nie słuchał; szedł za Ammą, która chwyciła go za kaftan i ciągnęła wzdłuż kalenicy. Gąsiory były szerokie na stopę, mało wysklepione, więc kunsztu linoskoczka to nie wymagało - ale odwagi już tak.

Dotarli do kolejnej kamienicy. Praktycznie równej z tą, więc, poza nieco większym spadkiem dachu, nie czekały ich żadne przeszkody. Gorzej byłoby z kolejnym domem, który okazał się dużo niższy - gdyby nie fakt, że posiadał on płaski dach, na który mogli bezpiecznie zeskoczyć.

Ten pokonali biegiem. Z rozpędu omal nie spadli, jako że budynek okazał się narożnym i zamiast sąsiada, miał ulicę. Ale po prawej, od podwórka, już sąsiad był. Znow z stromym dachem, na szczęście od szczytu ozdobionym schodkową attyką, która ułatwiła wspinaczkę.

To właśnie na attyce dogonił ich pocisk z procy Łańcuszka. Uderzenie żelaznej kulki odłupało kawałek cegły, pozbawiając Debrena złudzeń co do mocy broni. W ciasnocie była nieporęczna, ale tu, gdzie procarz mógł się zamachnąć, każde trafienie będzie tragiczne w skutkach. Zabić raczej nie zabije, ale złamana kość to tylko odroczone o parę momentów wyrok.

Posłałby w odwecie jakiś czar, brakowało mu jednak mocy. Cholerna deska co rusz próbowała gasnąć i podsycanie ognia pochłaniało odnawiane rezerwy energii.

Amma, czekając na niego na górze, wykorzystwała te parę momentów przerwy do nakręcania zamka króciicy. Nie miał serca wytykać jej, że broń jest niewiele mniej mokra niż oni i prędzej pofrunie, by, niczym kij-samobij, walić tamtych po łbach, niż wystrzeli. Zresztą kto wie: może gnomy podrasowały dziwaczny

samopał jakimś zaklęciem i faktycznie coś z tego będzie? Połączenie magii z techniką daje czasami zadziwiające efekty.

Póki co, wolał jednak uciekać.

Szło im to całkiem dobrze aż do następnego narożnika kwartału. Skręcili gładko, ale i tu, jak poprzednio, Łańcuszek posłał im pocisk. Widocznie szedł z tyłu, nomen omen, łańcuszka ścigających i na prostych odcinkach nie ryzykował strzałów, bojąc się trafić w poprzedników.

Kulka ugodziła nawet mało nieszczęśliwie: deskę, nie człowieka. Ale deskę wyrwało Debrenowi z rąk i w mgnieniu oka przeistoczyli się w parę ślepców.

Stanęli. Debren wyczuł, że dziewczyna dygoce. Z wysiłku? Z zimna? Strachu? Nieważne. Nie mógł pozwolić, by w takim stanie bawiła się w linoskoczka.

- Siadaj - mruknął. - Na czworakach idziemy.

- Yyyy! - zaprotestowała. Chciała coś pisać, ale niemal siłą przydusił ją do kalenicy.

- Na czworakach. Spokojnie, nie dogonią nas.

Cofnął się, wyjął różdżkę, odetchnął głęboko i przekierował moc. Problem z czarowaniem, nawet w ramach magii jednego żywiołu, polega na tym, że różne zaklęcia angażują różne fragmenty mózgu i różne ścieżki w tych fragmentach. A do każdego, jeśli ma być udane, trzeba ścieżkę udroźnić, często wspomóc czarami podtrzymującymi czy potęgującymi, bez których, owszem, zaklęcie też wyjdzie, ale albo słabo, albo kosztem niepotrzebne dużego wydatku mocy. Inaczej mówiąc: jeśli nie dysponujesz jakimś potężnym, uniwersalnym magicznym młotem na wroga i przychodzi ci co rusz zmieniać czary, zwykle masz cholerne problemy z nadążeniem za przeciwnikami. Którzy, niestety, miecz na łuk czy bieg na krycie się zmieniają znacznie szybciej.

Trochę się jednak od pościgu oderwali i miał czas na przygotowanie. Zdążył się też przyjrzeć nadciągającej grupce. Dzięki pochodni, którą niosła krępa dziewczyna, widział ich wyraźnie, samemu pozostając w mroku.

Wielkolud Cylliam na przedzie, z toporem, który w jego łapskach malał do rozmiarów zwykłej siekiery, ale nawet rycerza w płytówce mógł przyprawić o nerwowe przełykanie śliny. Dziewczyna. Jakiś typ z bosakiem, trzymanym za sam koniec drzewca i skierowanym ostrzem w niebo. Asystent Łańcuszka, który pochodnię zamienił na tęgą pałę. No i sam procarz, wypatrujący ofiary.

Nie wypatrzył. Debren mógł odczekać jeszcze parę momentów, nie zaryzykował jednak. I dobrze, bo kiedy podnosił różdżkę, błysnęło i Łańcuszek dostrzegł sylwetkę Ammy. Poderwał procę, zatoczył pół kręgu.

Spleciona z telekinezą błyskawica Debrena trafiła precyzyjnie: w sąsiadujący z dłonią krępej dziewczyny fragment pochodni. Ani pchnięcie nie było mocne, ani wylądowanie, lecz nagłość uderzenia zrobiła swoje. Dziewczyna pisnęła, wylądowała na tyłku, a smolna szczapa potoczyła się po średnio stromej połaci, wylądowała w rynnie i przygasała. Nie całkiem niestety. Pociemniało jednak na tyle, by tamci utknęli.

Debren schował różdżkę i ruszył śladem Ammy. Ostrożnie, na czworakach: znów stromy dach. Mało widział, ale trudno zgubić drogę, leżąc wzdłuż kalenicy. Byłoby to też w miarę bezpieczne - gdyby nie proca.

Łańcuszek nie przyłączył się do kompanów, schodzących po pochodnię. Stał i strzelał.

Udało im się jednak. Debren i Amma dotarli do następnej kamienicy, niższej i krytej płaskim dachem. Musieli odczekać do kolejnej błyskawicy, by ocenić, co znajduje się w dole, ale potem

mogli zeskoczyć - wysokość nie była wielka - i przebiec kilkanaście kroków. Ci z tyłu nadal biedzili się z rozpalaniem pochodni, więc Debren śmiało pchnął dziewczynę w kierunku rynny, rozciągniętej wzdłuż skraju kolejnego dachu. Dach był stromy, na kalenicę raczej by się nie wspięli, ale skoro po przeciwnej stronie kwartału podobne rynny utrzymały spadających z impetem mężczyzn, czemu ta miała nie utrzymać ich?

I faktycznie: korytko odprowadzające deszczówkę nie gięło się pod stopami Debrena. Przesuwając pod dachu dłonie, łokcie i pośladki, nie za szybko, lecz bezpiecznie, sunął w lewo. Błyskawica pozwoliła mu dojrzeć tam wyższy, lecz płaski dach ozdobionej figurkami kamienicy. Nawet tu, od podwórza, dom furmistrza Verora zadawał szyku gzymsami, kolumnienkami i ząbkowaną elewacją. Od ulicy było tych ozdób pewnie dwa razy tyle. Powinni znaleźć parę punktów zaczepienia dla stóp, dłoni i, co najważniejsze, sakwy przerobionej na linkę z kotwiczką. Jakoś zejść. Wystarczy...

Okazało się jednak, że nie pójdzie tak łatwo.



Po drugiej stronie kwartału zapłonęło światło. Może nie tyle silne, co skupione. Zaskoczony Debren potrzebował paru momentów, by powstrzymać odruch skanowania kolejnych pasm magicznych. W krasnoludzkiej latarni kierunkowej magia, jeśli już, służyła do precyzyjnego formowania zwierciadła, ewentualnie do uszlachetnienia paliwa. Ze względu na cenę, zarówno samej konstrukcji, jak i zalecanego do niej oleju, nie było to popularne urządzenie, jednak spotykane to tu, to tam także wśród ludzi. Powinien był się wcześniej zorientować. Tyle że największa taka

latarnia, z jaką się zetknął, miała rozmiary kufla i świeciła parę kroków do przodu, podczas gdy to cholerstwo bardziej przypominało ceber albo nawet baryłkę, i to aż pękającą od blasku.

Gdyby nie para klonów, które osłoniły ich częściowo, oboje z Ammą oślepliby na pacierz albo i dwa. Strumień światła rozlał się po ich połowie dachu.

- Tam są! - dobiegł zza podwórek, drzew i niskich oficyn na poły płaczliwy, na poły mściwy kobiecy głos. - Daj mi to! Ja sama! To za Alfiego, wy mordercy!

Rozległ się metaliczny trzask, potem protest dartego listowia. Parę drobin metalu przedarło się przez koronę drzewa, jedna czy dwie stuknęły o dach, ale większość z tych, których drzewo nie powstrzymało, utraciła impet i opadła na tyle nisko, że zadzwoniła o szyby piętro niżej. Nie tłukąc ich, nawiasem mówiąc.

- Ulżyło? - Ruuten głos miał zrzedliwy, lecz spokojny. - To zamknijcie okno. I mi łaskawie oddajcie hulajkulę. Siekańcami to można do gołębi, i z bliska. A na tego ptaszka potrzeba porządnej...

Reszty Debren nie usłyszał.

- Dżuma i syfilis... - zawahał się. Ostrożność jednak zwyciężyła. - Zaczekaj, Amma!

Tak jak on, znieruchomiała, gdy zalał ich nieoczekiwany blask. Potem jednak wskazała dom furmistrza. Ledwie parę sążni dzieliło ją od wieńczącej narożnik figurki kamiennego ptaka: ni to orła, ni koguta, którego pierwowzór pewnie w naturze nie istniał, ale który budynek zdobił jak się patrzy i, co też ważne, odstraszał gołębie. Tego typu figurki - jastrzębi, gargulców czy nawet smoczyc piskląt - były, zdaniem fachowców, najskuteczniejszą obroną przed ptactwem, paskudzącym na elewacje.

Orłokogut tkwił na postumencie, górującym o kilkanaście stóp nad rynną. Pod ogonem miał akurat tyle miejsca, by dobrze

ulożona sakwa, usztywniona księgą, znalazła solidne zaczepienie. Debren chciał podsadzić Ammę, która zamocuje torbę jak należy. Nie widział lecącego bełtu, dostrzegł jednak, jak coś targnęło listowiem, usłyszał trzask łamanej gałęzi, a potem głucho uderzenie gdzieś obok. Spojrzał i zmartwiał.

Długa na stopę, gruba brzechwa sterczała z brzucha dziewczyny. Z samego środka.

- O Boże... Amma?! - Szarpnął się, omal nie zleciał, próbując obrócić się twarzą do niej, złapać w ramiona, coś zrobić. Tylko co można zrobić, kiedy człowiek dostał w kiszki bełtem grubym na palec mierniczy?

Kolano zjechało mu aż do rynny, wyłamało kawał drewnianej ścianki. Przez moment miał je zawieszony nad trzypiętrową pustką. Nie czuł jednak strachu. Za bardzo bał się tego, co znajdzie pod zaciśniętymi na brzechwie szczupłymi dłońmi. Jak każdy chyba ranny, Amma odruchowo zakryła rękoma ranę, próbowała wepchnąć ból i krew z powrotem w głąb ciała.

Machrusie słodki... Ciężka kusza... Z tej odległości rycerza w zbroi kładzie trupem, silnego chłopca, dwakroć grubszego w brzuchu od tej chudziny! Jakiś czar na ranę, szybko... Machrusie... Wszystko mu z głowy wyleciało. Zresztą co można zrobić? Krew zatamować, najwyżej tyle.

- Trafiłem! - darł się radośnie strzelec. - Widzieliście, pani rajfurowo?! Trafiłem!

- Kogo? - zaniepokoił się gnom. - Nie szuj na oślepa, durniu! Bo dziewczkę ustrzelisz! I okno zamykaj!

Debren gorączkowo przeszukiwał pamięć. Spowolnić pracę serca, to na początek. Chyba pamiętał formułę. Nie wiedział, czemu tak trzeba. I czy na pewno tak. Bo może na odwrót - przyspieszyć? Dżuma i syfilis... Tak naprawdę z kursu pierwszej pomocy

najmocniej utkwilo mu w glowie, by przy ranach trzewi nie brac sie za nic powazniejszego od modlitwy. Zatkan miejsce, z ktorego sika krew, wezwac na pomoc mardzejszego od siebie, czekac i sie ewentualnie modlic. Dla wlasnego psychicznego dobra. Bo kiedy, byc moze, oni, zoltodzioby z pierwszego roku, skoncza Akademię, zostana prawdziwymi czarodziejami i zrozumieja, jak spieprzyli, probujac pomagac.

Dobrze, po kolei. Krew. Najpierw krwia sie zajac.

- Za... zabierz rece. - Glos mu drzal, ale to nic. Wazne, ze dlonie nie drza. Wyjmie to cholerstwo z jej brzucha najdelikatniej, jak sie da. A potem, tez w najdelikatniejszy z mozliwych sposobow...

Prawie go zemdlilo.

Bo jak delikatnie wczarowac komus plomien do poharatanego zelazem i drewnem brzucha? A to musial zrobic. Wypalic rane, zasmazyc otwory w naczyniach krwionośnych. Nie byla to metoda zalecana przez wspolczesna magie lecznicza, w kazdym razie te cywilna, ale podczas Wojny Globalnej tysiacom zolnierzy ocalila zycie. Zabila jeszcze wiecej, jednak przy braku dobrej opieki medycznej sprawdzala sie lepiej niz zatykanie rany szarpami i modlitwa. Magow-medykow z prawdziwego zdarzenia uczono oczywiscie zaklec oslonowych i wyposazano w mikstury przeciwbolowe, ale Debren, poki co, znal sie tylko na tym, co najwazniejsze.

Mial przynajmniej dosc rozumu, by zdawac sobie sprawe ze swej niewiedzy.

- Ruuten! - krzyknal, nie ogladajac sie za siebie. - Po medyka sliz!
Amma ranna! Poddajemy sie!

Oczy dziewczyny zaokrąglyly sie ze zdziwienia. A moze z oburzenia? Bo belt wyszarpywala ze swego brzucha ruchem kogos mocno oburzonego.

Debren aż zassał powietrze. Oczami wyobraźni widział strugę krwi, tryskającą z rany niczym z fontanny. Może nawet kawałki jelit, zaczepione o zadziory grotu i wyciągnięte wraz z nim. Brzuch Ammy, cały brzuch, podskoczył śladem wyrywanego bełtu... Zaraz... Cały?

- Yyy! - próbowała tłumaczyć, chyba przestraszona jego deklaracją o kapitulacji. Na szczęście nie musiała: widok kanciastego, prostokątnego wybrzuszenia pod opończą w końcu oświecił Debrena.

- Co? - W głosie gнома słychać było strach. - Ranna? Łżesz! Zostaw to, babo choler...

Debren spojrział przez ramię. Serce, które podeszło mu do gardła, nie opadło wprawdzie na właściwe sobie miejsce - Factorby'ego szlag trafi, gdy zobaczy grube na palec dziury w dwóch spośród najcenniejszych swoich ksiąg - ale skoro Amma nie umierała, problem postrzału z kuszy zszedł na dalszy plan.

Wiatr targnął gałęziami klonu, odsłonił na moment widok. Krasnoludzka latarnia mierzyła bardziej w lewo, tam, dokąd mieli uciekać, więc choć oślepiła, Debren zdołał wypatrzeć tamtych troje. Gnom szarpał się z wdową po Alfim, wyrywając jej dwuręczną hulajkulę z lejkwatym zakończeniem lufy. Siłowali się przy otwartym oknie, z którego sączyło się łagodne, rudawe światło. To po nim i widocznym narożniku świńskiej klatki Debren rozpoznał gabinet Ruutena. W gabinecie był jeszcze jakiś mężczyzna. Napinał właśnie kuszę.

Niedobrze. Latarnia nie stała na parapecie, a wisiała niżej. Trafiona telekinezą, nie spadnie, a tylko trzaśnie o mur. O ile to prawdziwa krasnoludzka robota, raczej jej to nie zaszkodzi. Za to czarującemu taki wysiłek już może. Nie tędy droga. To może piorun kulisty?

Klon machnął gałęziami, przesłonił widok, wybił z głowy głupie pomysły. Drzewo ocaliło Ammę - gdyby bełt nie przeleciał wcześniej przez gałąź, i dwie księgi nie wystarczyłyby w charakterze zbroi - ale teraz to samo drzewo uczyniło Debrena bezsilnym. Nawet garść liści wygasi błyskawicę, zdetonuje przedwcześnie piorun kulisty.

Tamtym z naprzeciwka klon aż tak nie przeszkadzał. Wdowa po Alfim wyrwała gnomowi hulajkulę i wpakowała pocisk całkiem niedaleko od Debrena. Miał dość mocy, by nadłupać dachówkę.

Ruuten w pośpiechu zamknął okno. Może dlatego umieścić latarnię na zewnątrz: by co chwilę nie zabierać jej z parapetu i nie ustawiać na powrót.

Tylko... po co zamyka? Dla ochrony? Może to szkło grotoodporne, jak w karetach monarchów, Ojca Ojców i hersztów gildii złodziejskich? Jeśli wierzyć sensacyjnym sagom, na życie prywatnego przepatrywacza też co rusz ktoś dybie, jak na życie tamtych.

Amma wyszarpnęła bełt z upchniętych pod opończą manuskryptów. Wskazała Debrenowi różdżkę i kierunek, z którego przyszli, a potem siebie, torbę i orłokoguta.

- Nie! - Zrozumiał od razu i równie szybko zaprotestował. - Od Ruutena widać tamten kawałek.

Mówił cicho. Słabnący deszcz nadal wiele zagłuszał, ale lepiej uważać. Teraz, gdy gnom zapalił latarnię, ekipa Cylliana mogła wypatrzeć ich i podejść blisko, nawet bez własnego światła. Trochę to potrwa, ale przyjdą.

Trzeba coś zrobić z latarnią.

- Bom większa! I w łeb cię palnę, kurduplu! - Dobiegł kobiecy okrzyk zza podwórza. - Już mi ją ładuj!

Pewnie chodziło o hulajkulę. Pewnie gnom protestował. Ale słychać było, że baba jest wściekła: połączone siły deszczu i

zamkniętego okna nie stłumiły wrzasków. Czyli albo dostanie załadowaną broń, albo samym Ruutenem ciśnie w morderców. Nie ma się co łudzić: gdy tylko się pokażą w pobliżu orłokoguta, z tamtej strony pomkną ku nim dwa pociski. Bo i kusznik dołączy.

Z prawej mrugnęło światłem. Grupa Cylliana ruszyła w pościg.

Nie ma czasu. Coś trzeba zrobić.

Amma też to rozumiała. Za długo myślał. Zdążyła wyciągnąć tabliczkę, napisać, podsunąć mu pod nos.

„Żuce sakwe, zaczepie o ptaka. Huda jestem, nie trafiom. A jeśli, to wyszymam. Nim załadujom, wdrapiasz sie po pasie i mnie wciongniesz. A jak zastszelom, to sie poddasz. To za mnie nagroda, nie ciebie. Odstompiom.”

Najgorsze, że miała rację. Tak właśnie powinien postąpić. Posłać Ammę pod narożnik kamienicy furmistrza, usiąść z boku, gdzie pień klonu osłoni go nawet przed przypadkowym strzałem, i czekać, co z tego wyjdzie.

Błysnął piorun. Gdzieś blisko zagrzmiało.

- Wyżej bosak, niedojo! - zahuczał bas Cylliana. - Co Kędzior mówił? Chcesz, by w nas trafiło?

Debren też kiedyś czytał o uczonym z Bryberyki, który, całkiem bez pomocy magii, poskramiał pioruny. I coś mu świtało, że metoda raczej nie na tym polega, by łązić po dachach z drągiem okutym na końcu i możliwie wysoko uniesionym w niebo. Ale nie miał głowy do grzebania w pamięci i wydobywania z niej sekretu gromochronu.

Bo nagle znalazł rozwiązanie problemu.

No, może bardziej nadzieję na rozwiązanie. Na tłumaczenie Ammie, co i jak, nie mógł sobie pozwolić. Złapał ją po prostu, przytrzymał. A potem uniósł różdżkę i zaczął klecić ścieżkę dla pioruna.

Słowo „klecić” było adekwatne. Na treningach, wypoczęty i

skupiony, potrafił nawet bez różdżki, z palca po prostu, wpakować błyskawicę w oddalony o parę sążni obiekt. Tam, po drugiej stronie kwartału, kiedy ściągnął piorun na deskę, też poszło łatwo. Co prawda, miał sporo szczęścia, lecz polegało ono na schwytności górnym końcu ścieżki źródła energii - bo z dołem nie było problemów. Teraz jednak to całkiem inna para ciżem.

Był daleko od wrogów, na których chciał ściągnąć wyładowanie. Są fachowcy, potrafiący trzasnąć takim, zasilanym z nieba piorunem w odległy o pół mili obiekt, ale to już poziom mistrzowski, podczas gdy on zaliczył ledwie czwarty rok Akademii. Prawdę mówiąc, w ogóle nie powinien używać magii ognia podczas burzy - stosowną wiedzę i uprawnienia otrzymywało się dopiero na szóstym czy siódmym roku.

Tyle że nie miał innego wyjścia.

Siedział więc, zbierał siły, wypowiadał bezgłośnie zaklęcia pomocnicze - a potem spróbował.

Nie chciało mu się wierzyć, kiedy niebo pękło jaskrawobiałą szczeliną dokładnie nad kamienicą Ruutena i zygzakująca kreska połączyła chmurę z lukarną gabinetu gnoma. Machrusie jedyny, prościutko w tamtych...

Jak na szyderstwo. Gdy po paru momentach plamy przestały mu wirować przed oczyma, cała trójka już podchodziła do okna. Huk ich wypłoszył - i tyle.

Cała moc poszła w dach. Bezużytecznie.

- To on! Czarodziej pioruna puścił! - skarżył z przejęciem kusznik.
- Widziałem!

Debren słyszał go dobrze, bo baba otworzyła okno i rąbnęła z hulajkuli. Czort wie, gdzie trafił pocisk.

- Dawaj kuszę! - zażądała. Mężczyzna cofnął się.

- Ja... ..ę po...żą - Jego głos tłumiał szum deszczu, nie okno. Ruuten

próbował je zamknąć, lecz wdowa odepchnęła go gniewnym ruchem kolby.

- Gdzie?! Brudne, niechluj, nic nie widać! Okna trza myć! Regularnie, co rok! A to twoje aż się do futryny klei! Umkną i nawet nie będziemy wiedzieli, kiedy!

- Klajstruję, by gaz nie umykał! - Gnom nie darł się wprawdzie jak ona, ale, rozłoszczony poszturchiwaniem, o dyskrecję nie dbał. - Myślicie, że wieprze darmo wiatry puszczają? Na specjalną karmę dla nich wydaję...

- O! - zawołał radośnie kusznik, podrywając kolbę do ramienia. Debren dostrzegł umykającą ku kamienicy furmistrza Ammę, bez namysłu runął na bok i w ostatniej chwili chwycił kostkę dziewczyny. Na szczęście miała dość rozumu, by błyskawicznie przypaść do dachówek. Szarpanie się nad krawędzią przepaści do niczego dobrego by nie doprowadziło. - Psia jucha... Znikła.

- Dokąd, durna?! - Debren wywarczał w bosą stopę i szumiącą w rynnę wodę cały strach i złość. - Leż!

Zignorował „Tam są!” Cylliama, dobiegające z prawej strony. Miał jeszcze trochę czasu.

- Pilnuję ich! - poinformował zza podwórza kusznik. - Nie uciekną! W twe ręce, Łańcuszek!

To tłumaczyło jego wstrzemięźliwość. Gdyby strzelił i trafił, jeden ze zbiegów wprawdzie by padł, lecz drugi zyskałby szansę ucieczki. Mądrzej było czekać. Także dlatego, że w trakcie wspinaczki uciekinierów kusznik mógł jednym bełtem uśmiercić ich oboje. Starczy wpakować pocisk Debrenowi w chwili, gdy dziewczyna stanie mu na ramionach. Albo, gdyby to on poszedł przodem, zastrzelić go, gdy będzie wciągał Ammę.

Nie ma co się łudzić: nie umkną, mając za plecami latarnię. O kuszę mniejsza; po ciemku nie była tak groźna. Podobnie proca. To

latarnia czyni z jednej i drugiej katowskie narzędzie.

Więc żaden piorun na głowy wdów i gnomów. Głupota, że w ogóle próbował. Słyszał kto, by burze uśmiercały ludzi, skrytych pod dachem? Gdyby wyleźli, to co innego.

Na szczęście latarni nie chronił dach ani - co teraz docenił - zamknięte okno. Czy choćby otwarte, ale odgradzające ościeżnicą parapet wewnętrzny od zewnętrznego. Przez taki próg nie przeciągnąłby krasnoludzkiej latarni.

A chyba próba przeciągnięcia rokuje najlepiej. Magnetyzm, magia ziemi. Nie jego działka, ale dzięki Trapkowi tę akurat sztukę niezłe opanował. Powinno pójść, o ile krasnoludy nie pożłowały żelaza. A widział to kto krasnoluda, co żelaza żałuje?

Pociągnął. Lekko, na próbę. Jeśli latarnia stoi na tej wąskiej półeczce pod oknem, a nie wisi...

Niestety, wisiała, i to chyba na haku, jednym z tych, które zimą dźwigają sakwy z żywnością i zastępują lokatorom poddaszy chłodne piwnice. Szarpnęło nią ku Debrenowi, snop światła pomknął z ich dachu w niebo, ale potem wrócił, zadygotał, gdy latarnia rąbnęła o ścianę. Dżuma i syfilis, za mocno... Ostrzegł tamtych.

- Latarnia! - Ruuten doskoczył do okna.

Wieprze kwiczały: widać i one wyczuły wibrującą w powietrzu magię. Gnom zanurkował głową za okno, złapał pałąk latarni. Zawisł brzuchem w poprzek parapetów, Debrenowi mignęły nawet jego pięty.

- Trzymać mnie!!! - zawył przepatrywacz. Albo przesadził z pośpiechem, albo drugie magiczne szarpnięcie za latarnię przeniosło się na niego.

Debren zawahał się. Gdyby ciągnął z całych sił, a tamten nie puścił... W końcu pociągnął - ostatecznie to Ruuten dawał wór złota

za jego głowę - ale było za późno. Kuznik doskoczył, chwytem za łydki przytrzymał gnoma. Bo latarni Ruuten, ma się rozumieć, nie puścił.

Debren spasował. Zaoszczędził moc, a tamci, ciągnący z całych sił latarnię, runęli w tył. Udane było też przerzucenie czaru na wychylającego się zza krawędzi dachu Cylliamy, a dokładniej na jego topór. Szarpnęło nim całkiem mocno. Niestety, ani wielki drab z siekierą bojową, ani nawet sama siekiera nie polecieeli w dół. Spece od magnetyzmu nieźle operowali nim także na kierunkach poprzecznych, jednak Debrenowi ciężko przychodziło coś, co nie było prostym pchaniem lub ciągnięciem. Szarpnął Cylliamem o sążnię ku sobie, ale tylko o stopę w lewo, i tamten zdołał wyhamować przed skrajem przepaści.

Tyle dobrego, że odskoczył przestraszony, znikł za skośną krawędzią dachu. Dobiegały stamtąd odgłosy pospiesznej narady. Później omal nie przyleciał pocisk: tylko szybka błyskawica Debrena sprawiła, że Łańcuszek uskoczył z powrotem. Zaraz potem jednak mignęła końcówka jego procy. Rozkręcał ją, stojąc pod osłoną ukośnej krawędzi, dzielącej jego płaski dach od spadzistego dachu kamienicy, na której utknęli uciekinierzy.

Debren, teraz już bliski paniki, zaczął wyczarowywać następną ścieżkę jonową nad oknem gnoma. Gdyby trafić piorunem w okno... Ruuten stał tuż przy nim, oburącz przyciskając latarnię do parapetu. Może się uda i zamiast w dach, wyładowanie trafi w nią?

Znikoma szansa, ale co innego mógł zrobić?

Swoją drogą, czemu ten dureń nie cofnie się o krok czy dwa, gdzie już żadna dostępna Debrenowi magia nie zdoła pozbawić go latarni? Aż tak dobrze potrafił wyczuć, że burza mu nie zaszkodzi?

Bo nie zaszkodziła. Debren ponownie zdumiał samego siebie skutecznością - tylko po to, by zaraz potem przeżyć tym

boleśniejsze rozczarowanie.

Piorun trzasnął w dach tuż nad oknem, Ruuten z wrażenia poskoczył na pół sążnia w górę, potem klapnął tyłkiem o podłogę - lecz kiedy wstał parę momentów później, ani jemu, ani latarni nic nie było. A wdowa po Alfim, korzystając z wolnego pola, strzeliła z hulajkuli.

Pocisk zagwizdał Debrenowi tuż nad czołem, zrywając z głowy półmerlinkę. Aż dziw, że dopiero teraz stracił czapkę. Niemal równocześnie zafurkotał drugi pocisk - to przypomniał o sobie Łańcuszek. Chybił, bo dopiero w ostatniej chwili wychylił się i próbował wypatrzeć Debrena. Ale, ośmielony brakiem reakcji, następnym razem zaryzykuje pewnie więcej. I pewnie trafi.

- Kładź się! - To jedno przyszło Debrenowi do głowy: zrobić z Ammy mniejszy cel. - Spróbuję go...

Nie zdążył. Amma jak zwykle nie posłuchała. Uniosła króciwę, wymierzyła starannie - o ile można mierzyć z czegoś, co nie ma strzały z wyraźnie wykutą krawędzią - i pociągnęła za spust. Debrena aż zatkało na widok takiej eksplozji optymizmu. To śmieszne coś miałyby ze stu kroków po pierwsze trafić, a po drugie wyrzucić jakąś krzywdę, choćby i gnomowi pokurczowi?

Zamek obrócił się ze zgrzytem i Debren poprawił się w myśli: po pierwsze to króciwa musiałaby w ogóle wystrzelić. Po kąpieli, zafundowanej jej przez deszcz.

- Yyyy! - Uznał, że to rodzaj klątwy, może początek płaczu. Ale nie: złapała go za kaftan, pociągnęła.

- Kładź się! - Pchnął jej ramię. Prawie wpadła do rynny. Wydała kolejny gardłowy dźwięk, zaczęła gestykulować gorączkowo, pokazując palcem to różdżkę, to zamek króciwy. - Amma, ja muszę...

Próbował patrzeć wzdłuż dachu, w miejsce, z którym pokaże się Łańcuszek albo jego proca. Nie pozwoliła mu: po prostu złapała za

ucho i szarpnęła, obracając głowę Debrena ku sobie. Omal jej nie uderzył. W takiej chwili?! Gdy od ułamka momentu może zależeć ich życie? Jeśli się spóźni, pozwoli tamtemu cisnąć kulką...

- Yyyy!!! - zawyła ponownie.

Pocisk Łańcuszka szarpnął Debrena za rękaw. I dobrze, zyskali parę momentów spokoju. Siedem, osiem? Jak szybko miota się z procy? Nie pamiętał: w mocno nizinnej i mocno lesistej Lelonii prawie tej broni nie stosowano. Wywodziła się znad Międzymorza, gdzie skał, gór i kamieni do ciskania było w bród.

Tak czy inaczej, od łuku szybsza nie była. Dla świętego spokoju mógł więc dać Ammie te trzy czy cztery momenty, a potem wyprzedzić drugą błyskawicą kulkę Łańcuszka. Tyle że błyskawicą właśnie.

Cóż, sama chciała. Nie miał czasu ani myśleć, jaki inny czar byłby skuteczny, ani tym bardziej zmieniać zaklęć. No i chyba skuteczniejszego nie znał. Przypalić szybko coś mokrego, do wysokiej temperatury na minimalnym obszarze? Nic, tylko błyskawica.

Użył więc błyskawicy. Możliwie lekko. Takiej raczej do straszenia i zabawiania dziatwy fajerwerkami niż podpalania czegokolwiek. Chodziło o to, by zobaczyła, że zrobił, co mógł, i przestała się wygłupiać.

Między elementami dziwaczego, kołowo-korbkowego zamka zaiskrzyło, niteczki wyładowań pobiegły też po lufie i ociekających wodą palcach dziewczyny. Oczywiście rękoma Ammy szarpnęło, a broń z nich wypadła. Zapomniał, dzuma i syfilis, uwzględnić wilgoć. Ale nie czuł wyrzutów sumienia. Bo króćca...

No, że wypaliła, to jeszcze nic. Magia nie krzesiwo, na deszczu nie zamoknie, a jeszcze mokre osuszy. Więc samego huku i błysku Debren, owszem, oczekiwał. Z prawdopodobieństwem pół na pół.

Ale tu, obok nich. Nie po drugiej stronie podwórza.

Kto by pomyślał, że kula trafi nie tylko w poddasze kamienicy naprzeciwko, nie tylko we właściwe okno tegoż poddasza, ale i w to, w co najlepiej było trafić? Zwłaszcza że ani on, ani pewnie Amma nie wyobrażali sobie czegoś takiego.

Że ugodzona kulą latarnia wyfrunie gnomowi z rąk, poszybując wysoko nad jego głową, syjąc w locie pokruszonym szkłem i kroplami płonącego oleju. I że niecały moment później wszystko - okno, Ruuten, wdowa po Alfim, kusznik i połowa poddasza - zniknie w jednym ogromnym rozbłysku.

Huknęło głośniejsze niż przy uderzeniu pioruna, cisnęło dachówkami, kawałkami krokwi i desek, zachręściło kruszonymi szybami. Impet eksplozji wymiół z pomieszczenia cały ogień, więc kiedy wyrzucone w niebo, palące się odłamki drewna opadły w głąb podwórka i pogasły na smaganym deszczem dachu, Debren przestał cokolwiek widzieć. Ale zobaczył dostatecznie wiele, by nabrać respektu dla gazu błotnego, uczenie zwanego metanem. Który, co sobie właśnie przypomniał, miał zwyczaj unoszenia się w górę i zalegania pod stropami.

Czyli Ruuten wiedział, co robi, trzymając latarnię możliwie nisko.

- Piorun! - pisnęła w ciemnościach dziewczyna od druta. - Machrusie, pół chałupy rozwalił!

Debren, nadal nie wierząc, korzystał już jednak z okazji. Łapał po omacku Ammę i pchał w przeciwnym od druciarki kierunku.

- Wyżej bosak podnieśta! - radził Kędzior, nadciągający z przeciwnej strony kwartału. Słabo go było słychać, czyli jeszcze nie z dachu kamienicy Verora krzyczał. Ale i tak wyleczył Debrena z nadmiaru ostrożności.

- Włóż, Amma! Na mój kark! I torbę zahaczaj! - Podstawił jej strzemię ze splecionych dłoni. Nie sprawdzał, czy rynna pod jego

nogami wytrzyma ten spotęgowany nacisk. Jeśli Kędzior pierwszy dotrze na strzeżony przez orłokoguty dach...

- Włóż mi na kark! - zarządził budynek dalej Cylliam. - Wyżej będzie! I z całych sił bosak w niebo!

Rynna skrzypiała, wytrzymała jednak. Debren też wytrzymał, choć dostał w nos kolanem Ammy. Wspięła się na jego barki nie kolanami, jak zakładał, a stopami. Była cięższa, niż myślał, i było mu z tym ciężarem dziwnie dobrze. Przynajmniej przy pierwszych dwóch próbach wrzucenia sakwy gdzie trzeba. Bo potem zniecierpliwiona dziewczyna postanowiła jeszcze bardziej skrócić dystans i jej bosa stopa trafiła na głowę Debrena.

Gdyby nie to, że złapał różdżkę w zęby, krzyknęłyby ze strachu. Jedną dłoń trzymał się szczeliny w ścianie, drugą próbował podierać nogę Ammy, ale czuł, jak chybotliwy jest nacisk, próbujący złamać mu kark. Dziewczyną kiwało na boki i każda zmiana siły czy kierunku wiatru mogła ich posłać w przepaść. Ich, bo raczej by jej nie puścił, raczej walczyłyby do końca o odzyskanie równowagi - i pewnie poleciliby razem.

Głupie, bo naprawdę mało brakowało, by połamała mu odcinek szyjny kręgosłupa. Wskoczyć komuś na głowę, tak bez ostrzeżenia... Wariatka.

Z tyłu pojaśniało. Pochodnia grupy Cylliam.

- Strzelaj, Łańcuszek!

Debren mógł tylko stać i czekać. Na trzask łamanych kręgow. Tych wyżej, które przegrają z chwiejnym naporem bosej stopy, albo tych niżej, ugodzonych kulą. Stawiał na Łańcuszka, pomylił się jednak. To Amma była bliższa uśmiercenia go: kiedy znienacka podskoczyła.

Na szczęście opadła już znacznie lżejsza. Tak to odebrał: że ubyło jej funtów. Dopiero potem zrozumiał.

- Zaeiaś? - wymamrotał przez ściskaną w zębach różdżkę. - Ooes
ę?

Zrozumiała. Jej „y-y” brzmiało przecząco, no i natychmiast, nie próbując się podciągnąć, zjechała po Debrenie.

- No, strzelaj! - ponaglał procarza jego pomocnik.

- Chędoż się, Drick! I posuń! Sam to pod bosak chodu i dziewce pod kieckę zerkać, a Łańcuszek niech się na pioruny wystawia? O, takiego! Zróbta mi miejsce!

Debren w błysku pioruna dostrzegł tamtych. Wysoko. Nie wybrali rynny jako ścieżki. Jakimś sposobem wspięli się na kalenicę. Mądrze: takiej gromady drewniane korytko już by nie utrzymało. I z góry łatwiej atakować, nie mówiąc o włożeniu na kolejny, wyższy dach.

Nic dziwnego, że Łańcuszek nie strzelał. Nie rozkręcisz procy, klejąc się do towarzyszy.

- Aha! - dobiegł zza domu Verora okrzyk Kędziora. - I żem sobie właśnie przypomniał, że w gromochronie cosik o drucie było! Że z góry w dół go trza pociągnąć!

Debren pożegnał się w duchu z życiem, odbił, skoczył. Lina z kawałków, kotwiczka z sakwy i księgi - Bóg jeden wie, czy go utrzymają

Utrzymały. Zaczął się wspinać.

- Jak to: druta?! - przeraziła się ladacznica, dosiadająca karku Cylliana i wyciągająca w górę ramiona, obciążone bosakiem. - Teraz?! Wierzchem jadąc?!

Pierwszą odpowiedzią była cisza. Odgrodzony budynkiem Kędzior nie zrozumiał, w czym rzecz.

- No - odezwał się w końcu niepewnie - ten od bosaka chyba musi... A w ogóle to się chędoż! Co to ja, meterolog jestem, by się szczegółowo na piorunach wyznawać?!

- Aleś rajfurski czeladnik! - odkrzyknęła. - Mistrz niedługo! Powinieneś się wyznać, jaką pozycję ladacznica może, a co niewykonalne! Co to ja: cyrkówka jakaś?! Albo kura od nietoperza?!

Debren przewlókł tułów przez krawędź dachu. Ciemno, cholera. No, nic. Ważne, że to już ten dach.

Amma złapała opuszczoną sakwę, Debren zaczął ją wciągać. Poprzedzający Cylliaama chudzielec z krótkim mieczem i pochodnią przyspieszył, wysunął się przed grupę. Na szczęście piorun, który trzasnął w sąsiedni kwartał, otrzeźwił go, sprawił, że rakiem cofnął się do chronionej bosakiem reszty. Amma bezpiecznie dotarła na górę.

Debren odżałował połowę zgromadzonej mocy i, doczekawszy się stosownej chwili, użył magii.

Tym razem magnetyzował od siebie, odwrotnie niż przy próbie ściągania latarni. Miecz, uniesiony nieopatrznie przez chudego, trzasnął w trzymaną w drugiej ręce pochodnię, wytrącił ją, rozciął biceps. Pochodnia poleciała w dół. Rynna zatrzymała ją, ale tym razem płomień nie przetrwał kąpieli. Pociemniało.

Debren chwycił Ammę za rękę, pociągnął ku attyce nad frontową ścianą. Zębata, uformowana w blanki, zwane też krenelażem, kojarzyła się ze zwieńczeniem zamkowego muru, bez wątpienia dodając splendoru właścicielowi.

Coś przemknęło mu przed twarzą, zafurkotało piórami. Gołąb? W każdym razie spore ptaszysko. I odważne: w blasku łożówki, która błysnęła zniecka w przeciwległym końcu dachu, zamajaczyły upiorne paszcze gargulców. Tu, od ulicy, manufakturnik Veror zafundował sobie znacznie groźniejsze niż orłokogut maskary. Gargulce miały posturę Ruutena; zwinięte skrzydła sterczały znad grzbietów niczym wielkie złodziejskie wory.

Zatrzymał się przy półkolistej tarczy, uczenie zwanej zegarem

cieniowym. Przygotował zaklęcie i gdy ci od łożówki - Kędzior oraz, o dziwo, woźnica Rihson - gramolili się przez okalającą dach ściankę, uderzył telekinezą. Czar zgarnął cały deszcz napotkany po drodze i ptaka, który się nawinął. Ptak grzmotnął woźnicę w czoło i czmychnął w górę, natomiast telekineza wzmocniona chluśnięciem wody zbiła płomień ze świecy, zaś obu mężczyzn strąciła z atyki. Spadli na sąsiedni dach - Debren słyszał, jak drą się, najpierw ze strachu, potem z ulgi i złości.

- Czekaj tu - szepnął Ammie w kryjący ucho kawałek kaptura. - Kucnij w cieniu. Sprawdzę drogę.

Nie musiał szeptać, chciał tylko dodać powagi rozkazowi. A nuż takiego w końcu usłucha? Nie wierzył, by któraś z grup zjawiała się tu przed jego powrotem. Bez światła? Nie odważą się. Zwłaszcza po apelu Rihsona.

- Nie idźta na ten dach! - ostrzegał woźnica. - Lataczami magik... eep... atakuje! Jak smok wielgachnymi! Ślepia mi chciał jeden wydziobać! I Alfiego zepchnął!

Debren przestawił umysł na magię wody i wyczarował dwa mgliste opary: po jednym na każdym końcu budynku. Kolejna błyskawica, która przekreśliła niebo, wyglądała jak zanurzona w mleku. No, teraz już na pewno nie przyleżą... Komuś, kto nagle oślepił pośrodku kalenicy, nie pościg w głowie.

Zapomniał, że sam też nie ma światła. Kiedy przeszedł na drugą stronę atyki, z początku to zlekceważył. Najbogatsze ozdoby uświetniały środek fasady i nawet po omacku łatwo znajdował oparcie dla stóp oraz dłoni. Ale potem zszedł niżej, ryzykownie opuszczając nogi, odbił w bok po budzącym zaufanie gzymsie, nie znalazł zejścia na jego końcu, a gdy zawrócił, nie mógł wymacać drogi, którą tu dotarł. Było jak na drzewie, z którego, wiadomo, trudniej zejść niż na nie wchodzić.

Najpierw zwalczał panikę, potem głowił się nad wyborem czaru. Sowie Oczy? Za duże ryzyko oślepienia. Co prawda, nikt mu teraz nagle nie zaświeci w oczy pochodnią, ale pozostaje ta burza nad głową. Burza, której centrum akurat dotarło nad podgrodzie Trickleley.

Pioruny biły nawet po dwa na pacierz. Wypatrzył zagubioną drogę. Złapał się też jakiejś rzeźby, odchylił, doczekał rozbłysku i obejrzał ścianę. Zapamiętał to, co najważniejsze: miejsca do zaczepienia linki.

Wdrapał się z powrotem, choć nie na sam dach, a pod podstawę słonecznej klepsydry. Amma była gdzieś po drugiej stronie wysokiej w tym miejscu, ukształtowanej na podobieństwo zamkowych blanków attyki; nie chciał tracić czasu. Więc ją zawołał.

- Chodź! Da się zejść!

Nie krzyczał; to był ledwie głośniejszy szept. Omal nie odpadł z wrażenia od ściany, kiedy - z pozoru tuż obok - ktoś wrzasnął triumfalnie:

- Tam są!!! O, tam!!!

- Cicho, Drick. - Syczał chyba Łańcuszek. - Zawrzyj pysk. I wracaj tu. Bo ciebie ugodzę.

Debren nie od razu zrozumiał. Ale potem tak.

Rozkręcana proca cięła powietrze ze świstem. Słyszał go. Bo deszcz, jak na złość, ustał. Jeszcze przed chwilą padało, niekiedy pogwizdywało wiatrem. A teraz - cisza.

Czary jakieś?

Zaklął w duchu. Nagle zrozumiał, że chyba właśnie czary. Te jego, przywołujące mgłę. Zaklęcie miało podtrzymanie ssące, z podgrupy łańcuchowych, co znaczyło, że samo się powiela w sprzyjających warunkach, czerpiąc energię z naturalnych, przebiegających w pobliżu zjawisk. Nie za bardzo pamiętał, z czego

i jak to akurat pobiera wtórną moc; wiedział tylko, jak zacząć. Mimowolnie oślepił wszystkich do końca, w zamian fundując lepsze warunki do posługiwania się słuchem.

I co teraz? Proca pogwizdywała złowieszczo, czekając na pierwszy podejrzany dźwięk. Przełaząc przez ściankę, narobi hałasu. Zawołać Ammę - to samo. Co prawda attyka go osłoni... Ale jeśli podbiegną? No i ona powinna czekać właśnie tu, za płytą klepsydry słonecznej. Więc przypadkowy strzał może akurat w nią trafić.

- Bij batem, Rihson - powiedział cicho Łańcuszek. - A reszta stoi i ani drgnie.

Debren ocenił, skąd dobiega głos. Narożnik ściany frontowej, ten z prawej. Gdyby procarz przeszedł kilkanaście kroków, trzymając się dłonią attyki, wlaźby prosto na Ammę. O ile nadal czekała tam, gdzie miała czekać.

- Amma? - wyszeptał Debren. Nic, żadnego odzewu.

- A latacze? - przypomniał woźnica. Jego głos dochodził z lewej i bardziej z głębi. Pewnie nadal z końca kalenicy sąsiedniego dachu.

- Nie będzie więcej - zapewnił Łańcuszek. - Co gnom mówił? Że z czapki je gówniarz wyczarowuje. A czapkę mu ze łba zestrzeliłem. Za co mi się podwójna doła z nagrody należy. Albo i potrójna.

- Rzucił się na mnie... eep... jakowys! Ledwie co!

- Magiczny stwór długo nie żyje. A jeszcze przez żółtodzioba przywołany... Jakby wciąż tu był, już by na nas skoczył. No, dalej! Wypłosz ich! Idź ku nam i batem wal.

Debren zastanawiał się gorączkowo. Gangarin? Magia powietrza. Nie był w niej dobry. Magnetyzm? Mniej szafował tą mocą, więc na więcej go jeszcze stać. Oczywiście najprościej byłoby posłużyć się którymś z zaklęć domeny ognia, bo ta była jego silną stroną. Tyle że ogień zastosowany bojowo, w nocy zwłaszcza, natychmiast

demaskuje stosującego.

Podostrzył tylko słuch i wyraźnie usłyszał odgłos szarpnięcia łańcucha i niemal równoczesny trzask, jakby pękającego kamienia. A w chwilę później - uderzenie czegoś ciężkiego i twardego o dach.

- No, pięknie - rzucił cierpko męski głos. - Odłamałeś gargulcowi skrzydło. Pogratulować.

Debren zeszywniał. Tamten stał gdzieś blisko procarza. Jeśli z tej odległości zdołał to dostrzec...

- He? - Cylliam też się zdziwił. Gdzieś, jak ocenił Debren, bliżej środka prawej ściany szczytowej. - A ty co: elf jakiś? Krasnolud? Po ćmie widzisz?

- Złodziej - warknął zapytany. Głośniej niż na potrzeby dialogu ze stojącym obok. Ale zaraz potem rzecz się wyjaśniła. - Więc nie licz, magiku, że cię mrok ukryje. Włamywacz to nie muzykant: ucho musi mieć dobre. Bo i zapadkę w zamku trza słyszeć, i czy kto w domu nie został... Pierdnij jeno, zębami zadzwoń, a dowiem się, gdzieś przywarował, i chłopakom wskażę. Sam bym cię... Ale mnie w lewą ciachnął. - To już adresował do towarzyszy. - A prawej mi wysilać nie wolno, bo do zamków i kłódek bez delikatności ani podchodź.

Debren pojął: to ten chudy, cięty własnym mieczem.

Po drugiej stronie budynku Rihson strzelił z bata. Póki co, bykowiec dziurawił pustkę, ale gdy podziurawi ją wystarczająco gęsto tam, po wschodniej stronie, woźnica zacznie podchodzić bliżej.

- I co? - zakpiła druciarka. - Gargulec w skrzydło dostał i pierdnięciem ci to oznajmił?

- Amma? - skorzystał z okazji Debren. Póki gadają, nie powinni usłyszeć jego szeptu.

- Śmiej się, durna rzyciodajko - rzucił pogardliwie złodziej. - Nogi rozkraczyć i chichotać głupawo pod klientem: tyle umieć musicie.

Ale złodziejstwem się parać... Ha, to sztuka. Myślenie. I roboty huk.

- Cicho! - warknął Łańcuszek. Zaraz potem błysnęło, a w pół momentu później proca wypluła kolejną kulkę. Na Debrena posypały się okruchy zaprawy.

- Bo na słuch strzelasz? - prychnął złodziej. - Pogratulować. Znów gargulca trafiłeś. Tyle że drugiego.

Zaległa cisza. Debren, rozchylający usta do kolejnego szeptu, zrezygnował. Inni też byli pod wrażeniem.

- Ty naprawdę...? - Drick nie dokończył.

- Rozpoznać obiekt to grunt. - W głosie złodzieja brzmiała pobłażliwa wzgarda profesjonalisty. - Nim z workiem przyjdiesz, sprawdź, czy łup wart dzwigania. Te gargulce - wyjaśnił - miały być ze spiżu i miedzi tudzież z aplikacjami na magię. Zaś te, wiadomo: jak nie złoto, to srebro przynajmniej. Veror się chwali, że mu maskarony dachu i domu upilnują, przed smokiem choćby, bo magiczne. Tom pomyślał... Ale łajno. Czarowodów ni śladu. Kamień. Farba metal udaje. Skrzydła niby z miedzi, a to nawet nie rzeźba, jeno odlew gipsowy. Pozer chędożony. No, alem przynajmniej dach obejrzał. Wiem, co tu skąd odpaść może, jak z procy rąbniesz. Gdzie blacha zabrzączy, gdzie zaprawa krucha i uważać trza, a gdzie marmur, i bez szelestu przejdiesz. A orientację w mroku, nie chwaląc się, latami ćwiczyłem. Tak, smarkacze - zwrócił się do przyczajonych w ciemnościach uciekinierów. - Już po was tedy. Lepiej się poddajcie, bo nic wam iluzjonizm nie pomoże. Na eksperta trafi...

Trzask pioruna zagłuszył końcówkę wypowiedzi, wyrwijając Debrena z bolesnego otępienia. Było źle, ale przecież nie beznadziejnie. Póki on i Amma nie hałasowali, tamci muszą macać na oślep. A to stwarza ograniczenia - bo sami siebie powybijają. By tego uniknąć, Rihson sunął środkiem, waląc z bata to w lewo, to w

prawo, zaś Łańcuszek ostrzeliwał niższe partie dachu. Debrenowi nie zagrażał ani jeden, ani drugi, a reszta, póki co, stała, gdzie im kazano, by nie wpakować się pod kulę czy bykowiec. Ale Amma...

Czy miała dość rozumu, by wynieść się spod zegara cieniowego? Kawałki odtrąconych gargulcom skrzydeł spadły gdzieś tam, gdzie miała czekać, więc raczej tak, raczej wypłoszyły ją z najgęściej ostrzeliwanego miejsca - tylko czy na pewno? Machrusie, niech jej tam nie będzie, niech pomyśli trochę i umknie na środek dachu...

Nie odważył się więcej nawoływać szeptem. Ale mag ognia nie musi szeptać, by być słyszany. Przynajmniej dobry mag. Albo... bezwzględny.

On dobry jeszcze nie był - wrodzony talent to nie to samo co wykształcenie - a na myśl, że może poharatać komuś mózg nieudolnie zastosowaną telepatią aktywną, robiło mu się słabo. I jeszcze tak pchać się bez zezwolenia do cudzej głowy... To jak gwałt prawie. Gorzej nawet, zdaniem niektórych. Tym razem chyba jednak musiał.

Zaczął więc uruchamiać zmysł telepatii. Trochę mimochodem, używając styku z płytszą podświadomością. W pełni dyspozycyjnej części mózgu potrzebował do ważniejszych zadań. Do zbierania energii, konkretnie. W znacznych ilościach. Bo tym razem nie chodzi o opóźnianie i odstraszenie ścigających. Musiał się ich pozbyć. Wszystkich. Nawet dajki nie mógł zlekceważyć. Mieli wraz z Ammą schodzić po ścianie. Cóż prostszego, niż spuścić im na głowy bosak, nóż, kawał gargulcowego skrzydła? Albo nawet - kto ich tam wie, tych z marginesu - ciało druha?

Nie mógł ryzykować. Nim ruszą, trzeba unieszkodliwić całą siódemkę, a przy tym nie oberwać samemu. Bo ranny czy poturbowany też nie zdoła zejść. Więc żadnych półśrodków. Uderzać na tyle mocno, by napastnik padł. Tak uczył instruktor na

kursie czobo.

Proste. Zebrać dostatecznie dużo mocy i walić. Niczym wymyślnym - tym, czym walił do tej pory. Tyle że teraz na całego i z bliska. No i szybko.

- AMMO! NIE BÓJ SIĘ! - posłał jej niemy, przekazywany z umysłu do umysłu okrzyk.

Na szczęście procarz zrezygnował ze strzelania. Może oszczędzał pociski, może bał się trafić Rihsona. Debren powstrzymał się więc z telepatycznym nawoływaniem. Za wcześnie jeszcze, wszyscy by go słyszeli. Równie dobrze mógłby wykrzykiwać wskazówki na głos. Skoro tamten spasował, można spokojnie poczekać, aż mózg osiągnie zdolność odbierania naturalnej emisji cudzych fal mózgowych. To trudniejsze niż telepatia aktywna. Ale dopiero wtedy, słysząc myśli Ammy na tle innych, będzie mógł dopasować przesył do pasm typowych dla jej mózgu. I przemówić tak, by inni słyszeli możliwie niewiele.

Niestety, zaraz potem rozległ się znajomy świst. Tyle że już nie procy. Właściciel użył łańcuszka w jego drugiej roli: oręza do walki wręcz.

Debren nie widział go - mgła niwelowała efekty rozbłysków na niebie - ale wyostrzony czarem słuch od biedy zastępował oczy. Słysząc było, że łańcuszek idzie zygzakiem wzdłuż dachu, zataczając procą możliwie szerokie kręgi.

Bicz z jednej strony dachu, łańcuch z drugiej. Ile czasu zostało Ammie? Kilka pacierzy?

Debren z całego dostępnego mu arsenału wybrał najmniej szkodliwego gangarina. Powalić na dobre raczej nikogo nie powali, ale za to łatwiej nim trafić kogoś, kogo się nie widzi. Gangarin, w odróżnieniu od błyskawicy czy pioruna, jest zakłębieniem rozchodzącym się stożkowo, nie liniowo.

I całe szczęście.

Łańcuszek, wzięty na cel jako pierwszy, dostał tylko częścią rozlewającej się coraz szerzej wiązki. Wobec czego tylko część odbiła się od jego amuletu, też zresztą ulegając rozproszeniu przed powrotem do źródła. W efekcie Debren oberwał niewielkim ułamkiem czaru. Nie zleciał z dachu, tylko przechylił się przez murek attyki i zwymiotował wszystko, czego nie zdążył strawić.

- Tam! - zorientował się złodziej. - Rzyga! Nerwy mu puściły! Brać go!

- Stać! - krzyknął Łańcuszek.

Debren, któremu nerwy, o dziwo, trzymały lepiej niż żołądek, miał dość przytomności umysłu, by chwycić się kurczowo zębatej ścianki, a nawet odgadnąć, o co chodzi procarzowi. Szło o to, by nie grzmotnąć łańcuchem przebiegających obok kompanów. Bo raczej nie o gołębie.

- UWAGA! PTASZYSKO!

Zaraz potem Rihson strzelił z bata. I wrzasnął.

- Aaaa! - Stuknięcie czegoś niezbyt ciężkiego i niezbyt twardego, padającego na dach. - Moja ręka! Mój bat!

Płaczliwie to zabrzmiało i... jakby ze zdziwieniem.

- Dobra! - zawołał Łańcuszek. - Teraz możecie... Auu!

Kolejna fala wymiotów - głównie żółci, bo w żołądku mało co zostało - zagłuszyła Debrenowi szczegóły. W każdym razie znów coś wylądowało na krytych blachami belkach połaci dachowej. Czy raczej: ktoś.

- Mówiłem: czekać?! - W głosie procarza też dominował ból. - Machrusie, aleś mi przywalił... Który to?

Łomot stóp. Teraz dopiero? Debren niczego nie był pewny. To znaczy jednego: że budynek leży na boku i on, Debren, czym prędzej powinien stanąć na froncie attyki, bo inaczej runie w

przepaść.

Boże, ależ się urządził... Cholerny błędnik... Cholerny amulet cholernego Łańcuszka... Potrzebował całego zapasu zdrowego rozsądku, by nie uwierzyć, nie próbować stawać na czymś, co, wbrew jego ogłupiałemu zmysłowi równowagi, stało nadal pionowo, jak Bóg przykazał. W dodatku w oczach mu się dwoiło: z gargulca po lewej zrobiła się nagle para. W błysku pioruna ten drugi... machnął skrzydłami z grzbietu klepsydry. Czyli jeszcze i zwidy.

Kulił się do zęba krenelażu; nie miał siły na nic więcej.

- Mam ją! - Usłyszał triumfalny wrzask Dricka. Gdzie? Nie umiał ocenić.

- UWAGA! PIORUNY!

O, a tu nawet głosu nie potrafił rozpoznać. Choć czar polepszający słyszenie nadal trzymał i, jak na ironię, kumulował się z gangarinem, potęgując mdłości.

- Z pazurami, zdiro? - warknął Drick. - Już ja ci...

Urwał. Potem ni to zacharczał, ni zbulgotał. I chyba padł. Albo to nie on. Albo nikt nie padł, tylko ktoś biegł: Debren pogubił się we wszystkim, co nie dotyczyło jego rwącego się na wolność żołądka.

- Masz ją? - upewnił się Łańcuszek. Odpowiedziało mu milczenie.

- Hej, Drick!

- Gdzie mój bat? - mamrotał Rihson. - Toć tu był...

Jakiś cień zamajaczył przed Debrenem. Albo obok niego. Względnie nad nim albo pod nim.

- Ja mam! - wydarł się radośnie Kędzior. Blisko, więc to pewnie jego dłoń chwyciła chłopaka za kołnierz, zaczęła szarpać. - Jeno że magika! Pomóżcie go wciągnąć!

Sam Debren zbytnio się nie opierał, raczej na odwrót, ale biodra zakleszczyły mu się między zębami krenelażu.

- Nie wciągaj! - zaprotestował złodziej. - Zepchnij!

Kędzior chyba posłuchał i chyba zaczął pchać. Z ustaleniem kierunków Debren nadal miał poważne trudności. Na szczęście ćwiczył gangariny głównie na samym sobie i choć robił to znacznie delikatniej, wiedział, jak się brać za odzyskiwanie równowagi. Ale na razie jedno, co mógł, to użyć zębów.

Ugryzł więc kudłatego w nadgarstek. Albo gdzieś tam.

- Gryzie! - W okrzyku zabrzmiał gniew i ból, choć raczej więcej gniewu niż bólu. - O ty... Hej, co...?

Puścił Debrena. Na szczęście przedtem zdołał go przeciągnąć na wewnętrzną stronę murka i chłopak zwał się na dach, a nie ulicę. Ale i tak zabolalo, oszołomiło. Nie zrozumiał, kto i gdzie mamroce coś o „mojej ręce” i dlaczego Kędzior dał mu spokój.

Może to przez ladacznice?

- O, Machrusie! - zabiadoliła w głębi dachu. - Gardło mu rozdarła! Ile krwi! Całe ręce zem uświniła! Ubiła Dricka, cnota chędożona!

- Gdzie ona?! - zahuczał Cylliam. - Zaraz ją...

- PIORUNY! - zahuczało Debrenowi w głowie.

- Gardło? - upewnił się Łańcuszek. - Nóż ma! Koniec zabawy! Zabić ich! Oboje!

Debren heroicznym wysiłkiem powstrzymał się przed próbą rzygania. Bo ten głos...

- UWAGA, LECI NA CIEBIE!!!

Kto krzyczał? Gdzie? Bo przecież nie w głowie, a tak to odebrał... Cholerny błędnik. Głupotą było to ostrzenie słuchu. Dwa zakłęcia w jednej ciasnej przestrzeni ucha - to się musiało źle skończyć. No, ale przynajmniej po odgłosach orientował się z grubsza, co zaszło.

A zaszło sporo.

- Rękę mi... odgryzł - jęknął Kędzior. - O, Machrusie!

Łańcuch zderzył się z czymś - i chyba zawinął znienacka. Bo plasnęło miękko, a procarz wrzasnął:

- Który mi podlaź?! Moje ramię... A żeby cię... To ty, cholerny złodzieju? Jajca ci urzną...

- Nie ja! - zapewnił włamywacz. Faktycznie z całkiem innego miejsca. - Hej, coś jest nie tak! Uważajcie, ludzie! To chyba ten magik! Biega między wami!

- Do mnie, druhowie! - zahuczał Cylliam. - Młynkiem osłonię! Nie podlezie, łachudra!

W rozbłysku pioruna Debrenowi zamajaczyła jego głowa i wirujący drąg. Magiczna mgła znikła. Jeszcze parę pacierzy, a ustąpi znad całego dachu. A wtedy kolejna błyskawica ukaże tamtym Ammę.

- A won mi! - bełkotał wyraźnie wystraszony Rihson. - A poszedł... eep... a sio!

- Mam cię! - zatriumfowała druciarka. - Ty cnoto chędożona! Do mnie, chłopcy! Pomóżta!

Łańcuszek zrobił dwa kroki w jej stronę, ale właśnie wtedy Debren przegrał z odruchem wymiotnym. Procarz usłyszał i natychmiast zmienił kierunek. Potrzebował następnych dwóch susów, by rozkręcić łańcuch. Debren oberwałby jak nic.

Gdyby wcześniej Łańcuszek nie oberwał bykowcem.

Trzasnęło jak na turnieju woźniców, a ciężarek zamocowany na końcu aż zadudnił o bok procarza. Mężczyzna runął jak kosą ścięty. Nawet krzyknąć nie zdołał. Dopiero potem, leżąc, ni to zawył, ni załkał:

- Riiihson!!! Moje żebra!!! Zabiję cię!!! Połamałeś mi...

- To nie ja! - zełgał woźnica. - To... ten... gargulec! Gargulec ożył! I bata mi... eep... ukradł!

Bosak Cylliamu warczał złowrogo i chyba sunął w stronę, z której dochodziły odgłosy szarpaniny obu dziewczyn. Bo znajome „yyy” uświadomiło Debrenowi, że tym razem nie wchodzi w grę pomyłka i

że druciarka nie któregoś ze swoich dopadła w ciemnościach.

- Idę do ciebie, młoda! - uprzedził Cylliam. - Nisko głowa! I z drogi, ludzie! Bo gnaty połamię!

- Hej, dajko! - podchwycił złodziej. - Uduś dziewczkę! A ty ją, Cylliam, osłaniaj! By magik nie podlazł!

Debrenowi ze strachu przynajmniej torsje przeszły. Zdołał podnieść się na klęczki. Tuż obok miał jęczącego Łańcuszka, ale zignorowali jeden drugiego.

- O, Machru... - tamten zakaszłał, splunął. - Ty gnoju... Płu... płuco mi chyba... Rihson, płuco mi przebiłeś! Moczymordo ze zwidami! Jużeś trup, chędożycielu kobył!

Bolało go, znów kaszłał; zaległ, zamiast biec i szukać pomsty. Więc chyba naprawdę... Chyba uderzenie wepchnęło mu w płuco ostry szpikulec złamanego zebra. Co w praktyce znaczyło, że to nie Rihson, a raczej on jest w tej chwili żywym trupem.

A ciut dalej Debren wpakował się w kałużę krwi. I na czyjeś nieruchome nogi. Kędzior. Ale jakim cudem...?

- UMYKAJ, RIHSON, ON NIE ŻARTUJE!

Kto to powiedział?

- Chodu, ludzie!!! - wydarł się woźnica. - Gargulec!

Pierwszy zastosował się do swego apelu: słyhać było, że wrzeszczy w biegu, a zaraz potem łomoce o luźne dachówki sąsiedniego dachu. Jeszcze przez jakiś czas Debren słyszał jego oddalające się pokrzykiwania o lataczach puszcanych z czapek i ożywianych figurach.

I faktycznie: coś latało nad kamienicą Verora. Tyle że nie gargulce. Stworzenie, które napatoczyło się pod bosak Cylliamu, a potem przemknęło nad głową Debrena, było znacznie mniejsze. I pacnęło o attykę miękko, całkiem nie jak kamienna maskara. Wrona? Miejski myszołów? Sowa, zwabiona nad kwartał przez

gołębnie Ruutena? Cokolwiek to było, ocaliło Debrenowi życie kosztem swojego.

Oprzytomniał, zastopował w porę, nie wpakował się pod bosak, który teraz, gdy młynkujący nim osiłek dotarł nad Ammę i dajkę, znacznie przyspieszył, tnąc okutym końcem to wyżej, to niżej.

Istna ściana śmierci, nie do przejścia dla bezbronnego. A za tą ścianą ladacznica dusiła Ammę. Siedziała na niej okrakiem i dusiła, wykorzystując fakt, że jada regularnie, waży dwakroć więcej, a sił ma pewnie ze trzy razy tyle co dokarmiane owsem chuchro, szamocące się pod nią.

Debren mógł się im przyjrzeć: tu, pośrodku dachu, mgły już nie było, a niebo przecięła długa na setki sążni błyskawica. Noc stała się dniem, jakby chcąc wbić mu w pamięć i sumienie widok umierającej dziewczyny, której chciał bronić, a którą przywiódł do zguby.

- PIORUNY! PROSTO NAD TOBĄ, CYLLIAM! UBIJĄ CIĘ!

Ten głos... W końcu Debrena olśniło: to telepatia! Zapomniał, że uruchomił ten zmysł. No i teraz słyszał, co trzeba oraz nie trzeba. Może prawdziwe krzyki, a może tylko coś, co ludziom biegało po głowach, nie trafiając na język. To dlatego nie poznawał głosów.

A może mu się mieszały jedno z drugimi? Bo o piorunach chyba jednak ktoś naprawdę krzyknął. Ciężko inaczej wytłumaczyć, że akurat wtedy Cylliam przypomniał sobie o burzy nad głową.

- Chodź tu! - Jednym ruchem postawił na nogi dosiadającą Ammy ladacznice. Widać było, że drugiej ręki w zupełności wystarczy do dalszego młynkowania i pogruchotania kości każdemu próbującemu podejść. Ale bosak, ku zaskoczeniu Debrena, wyhamował w ćwiartce obrotu. - Włóż! Bo nas ubije!

Ladacznica zrozumiała szybciej. Debren - dopiero gdy ujrzał biel jej kolan przy policzkach olbrzyma.

Dosiadła go, znowu. I znów, jak na grzbiecie sąsiedniego domu, wyciągnęła bosak szpikulcem w górę, na tyle wysoko, na ile pozwalała długość jej rąk i drzewca. W świetle błyskawicy Debren widział ją tylko przez chwilę, ale wystarczająco wyraźnie. Bała się. Bała się burzy.

- Tam... - zaczął złodziej gdzieś daleko z prawej. Po czym fajną nogami i chyba... zeskoczył z dachu? Tego już Debren sprawdzić nie zdążył: pociemniało. Więc widocznie uległ złudzeniu. Gra cieni. Nieważne. To Cylliam był ważny.

- No chodź tu! - zaryczał. Coś w jego głosie przywodziło na myśl osaczonego niedźwiedzia, który i boi się, i dyszy żądzą rozszarpania łowców. - Chodź!

Dzielił go od Debrena ledwie tuzin kroków, ważył dwa razy więcej, w rękach dźwigał wyszarpięty zza pasa topór, a na grzbiecie jeszcze babę-kopijnika, gotową wspomóc atak swym bosakiem. A mimo to nie atakował. Nawet jakby... cofnął się?

Pociemniało i stracili się z oczu. Co, paradoksalnie, rozjaśniło Debrenowi w głowie.

Mrok. To on budzi lęk tamtego. Mrok i ofiary mroku: pięciu kompanów Cylliamy, którzy, walcząc po omacku, poturbowali się nawzajem, powpadali na własne ostrza czy, udręczeni zwidami, dali nogę. I których teraz, po paru pacierzach osobliwej bójki, nie było już u boku osiłka.

Na nieszczęście Cylliam nie pozostał całkiem sam.

- Do garncarżówny! - krzyknęła dajka. - Dobić chędożoną cnotę! Nim ochłonie! Bo we dwoje nas ubiją!

Debren nie wiedział, czy tamten usłuchał. Nie miał też pewności, czy w dobrą stronę się rzuca, by ratować Ammę. Błądźnik nadal spisywał się kiepsko.

I całe szczęście, bo nie trafił. Kiedy kolejna błyskawica rozjaśniła

noc, między nim a toporem Cylliamy nadal było parę stóp pustki. Wielkolud nie mógł go dosięgnąć, ot tak, stojąc. Choć próbował.

- Nie!!! - wrzasnął Debren, odtaczając się spod nadlatującego ostrza. - Zostaw ją!!!

Zdażył zobaczyć, jak druciarka obraca grotem w dół wysunięty w niebo bosak i próbuje przybić Ammę do dachu. Potem pociemniało. Usłyszał trzask metalu o blachy poszycia. Ostry. Nie przez ciało. I świst topora.

- Zabiję cię, Cylliam!!! - wydarł się. - Jużes trup!

Następny świst. Jakby bardziej wściekły. I bliżej.

Toczył się ku słonecznej klepsydrze, wielkolud szedł za nim, tnąc na oślep to w lewo, to w prawo, a Amma żyła. Nie trafiła jej, zdzira chędożona! Jeszcze tylko kawałek, jeszcze odrobinę odciągnąć ich od dziewczyny...

- PIORUN!

Które to? Nie Cylliam. Więc dajka? Ale ten brzęk zaraz przy stopach Debrena musiał być efektem zderzenia się ostrza bosaka z dachem. Więc raczej o zabijaniu myślała, niż o unikaniu spalenia piorunem. To może Łańcuszek?

- Hej! - wystękał procarz. - Mnie nie traf!

- W górę bosak! - ryknął Cylliam. - Ile razy mam powtarzać, sromoto durna?! Kto tu portki nosi?! Gromów pilnuj! Z gówniarzem sam sobie poradzę!

Usłuchała. Szczęśliwie nie padło na taką jak Amma, hardą dziewczkę, robiącą wszystko po swojemu. Bo piorun, mknący ku nim z nieba, zdawał się mierzyć prościutko w prawego gargulca, tego z utraconym skrzydłem, a to właśnie po jego ogonie Debren podciągał się do pozycji stojącej. Z leżenia na plecach się podciągał, dlatego widział wszystko wyraźnie. Obie nadlatujące śmierci: i tę z ognia, i tę z żelaza. Oraz trzecią, też żelazną śmierć, która, choć mogła, nie

nadleciała pierwsza, ponieważ Alfi wpoił swym dziewczkom posłuszeństwo wobec mężczyzn.

Druciarka nie dźgnęła więc Debrena bosakiem, choć unoszące się ostrze niemal otarło się o niego. Tak jak kazał ten, który nosił portki, możliwie szybko pociągnęła drąg dalej i, chwytając za sam koniec, uniosła ku niebu. Akurat na spotkanie nadlatującej błyskawicy.

Błyskawica ochoczo skręciła znad łba gargulca, sypnęła iskrami z czubka bosaka i pomknęła dalej. Po dziewczynie, której długie włosy w mgnieniu oka stanęły dęba i poszły z dymem, po Cylliamie i jego toporze, wznoszonym do cięcia, nawet przez zamgloną pustkę, dzielącą ostrze od bioder Debrena. Tylko parę spośród tuzinów świetlnych żyłek, na jakie rozpadła się gruba rzeka światła, przeskoczyło z broni niedoszłego zabójcy na niedoszłą ofiarę, ale i tego starczyło, by wybić dech z piersi, zaćmić wzrok i powalić niczym ciosem tęgiej pały.

Przytomności Debren chyba nie stracił, nie pamiętał jednak, jak i kiedy znalazł się między zębami attyki. Chyba Amma go tu przytaszczyła. Bo to ona stała na zewnątrz, na przemian ciągnąc go za kołnierz i waląc otwartą dłonią po policzkach.

- Ja... co się...? - wymamrotał.

- Yyyy!

Bała się i spieszyła - tyle pojął z jej bełkotania. Posłusznie zanurkował głową w dół, choć o gzymsie pod zewnętrzną podmurówką attyki przypomniał sobie dopiero, gdy na nim wylądował. Na szczęście podtrzymała go, pomogła klęknąć na wąskiej półeczce. Sama też od razu ukucnęła.

Nie rozpoznałby uderzenia kulki o mur, gdyby gdzieś w oddali Łańcuszek nie skwitował rzutu pokasywaniem.

Słaby poblask majaczył między zębami krenelażu. Coś płonęło,

pewnie w efekcie uderzenia pioruna, oświetlając dach wystarczająco, by przywrócić oczom zdolność widzenia. A procy - celnego miotania pocisków.

- Dżuma... - wystękał. Nie próbował podnosić się z kolan i wyglądać. Tamten zdążył pewnie umieścić w uchwycie procy kolejną kulkę. - Nie odpuścił? - Popatrzył w dół, gdzie mroku nic niestety nie rozjaśniało. - No dobrze... Idź pierwsza. Ja... ja cię osłonię.

Pokazała mu na migi, że na odwrót: on ma iść, a ona zostać. A jakżeby inaczej? Amma nie sprawiająca kłopotów? Nie do pomyslenia.

- I co mu zrobisz, jak podejdzie? A ja czarem mogę...

Przekonał ją. Ześliznęła się w mrok, odważnie posyłając stopy na spotkanie podparcia, którego przecież mogło tam nie być.

- Wyłaź... magiku! - Głos Łańcuszka był słaby, rwany kaszlem. Ale i wściekłość go rwała. - Walcz jak chłop!

Wołał, lecz nie podchodził. Bogu dzięki. Mięśnie Debrena jakoś tam pozbierały się po spotkaniu z odnogą pioruna, ale głowa... Ani krzty magicznej mocy.

Odczekał ze dwa pacierze, po czym uznał się za zwolnionego z rycerskich obowiązków i ruszył w ślady Ammy. Nie ma sensu tu tkwić, Łańcuszek boi się go bardziej niż on Łańcuszka. Nawet jeśli podejdzie, to ostrożnie i za jakiś czas. Zdążą zejść, nim wysunie głowę zza blanków. A nawet jak nie zdążą, gzyms ich osłoni.

I faktycznie: im niżej się opuszczał, po omacku wymacując szczeliny dla stóp i dłoni, tym bardziej ta kamienna półka zdawała się wisieć mu nad karkiem. Na wysokości stropu między trzecim a drugim piętrem prawie zapomniał o Łańcuszku. Za bardzo bał się upadku. Gdyby nie świadomość, że Amma już tędy przeszła, pewnie w ogóle by utknął.

- Yyyy! - dobiegł z dołu stłumiony głos. I zaraz potem jakby... mlaśnięcie?

Zorientował się już po chwili: w płytkiej szczelinie pod zawiasem zamkniętej okiennicy tkwiła jego sakwa. Cholernie niepewne zakotwiczenie. Ale nie miał wyjścia. Złapał się więc pasa i paroma chwytami opuścił o piętro niżej.

Znów prosto w objęcia Ammy. Bo znów, jak u podnóża attyki, tego potrzebował. Dziewczyna, okazuje się, stała na parapecie wąskiego okienka, zajmując go niemal w całości i nie pozostawiając Debrenowi wiele miejsca na dostawienie stóp oraz pewny uchwyt.

- Niżej - wysapał - patrzyłaś?

- Y - mruknęła.

- I... jest droga?

- Y-y.

Czyli pozostała im lina.

Udało się za czwartym razem. Sakwa śmignęła obok, szarpnęła liną, nie dolatując do ziemi. Na szczęście Amma pomyślała o wyjęciu z niej księgi, bo coś cięższego od przemoczonego płótna pociągnęłoby ich za sobą. Najłżejszy ruch - i polecą. Dziewczyna dygotała z wysiłku, trzymając się płytkiej wnęki wyłącznie rozporom dziwnie powyginanego ciała. Kolana rozwarte szerzej niż u jeźdźca, biodro wsparte o jedną ściankę, ramię i czoło o drugą... Musiała wyglądać jak najbardziej poskręcany paralytyk i raczej nie miała szans, by utrzymać się długo w takiej pozycji. Debren rozumiał, że musi się spieszyć. I spieszył się. Posługując się jedną tylko dłonią, zdołał spleść węzeł i upchnąć go w szczelinę, wymacaną nad górną krawędzią okiennicy.

A potem nagle zobaczył to, co wymacał.

Bo pojaśniało. Nie od pioruna: ktoś oświetlił ich z góry pochodnią. Debren poderwał głowę. Amma wykrzywiła twarz w karkołomnym

zezie - i oboje zamarli.

Płomień pełzał po stylisku topora, więc dużo go nie było. Wystarczyło jednak, by wyłović z mroku wykrzywioną nienawistnie twarz Łańcuszka. I koniec bosaka, wystający z za gzymsu. Jego drzewce dymiło, ale, niestety, nie oblepiał go zrodzony z pioruna ogień, więc nadal stanowił poręczną i groźną broń.

- No to... po was - wymamrotał procarz.

Miał rację. Wnęka okna była płytka, nawet stojącej bliżej okiennicy Ammy nie osłaniała w całości. Precyzyjnie upuszczony bosak ugodzi ją na tyle mocno, by oderwać od ściany i, śladem Debrena, posłać w dół.

Tak chyba wyglądał plan Łańcuszka: zabić oboje za jednym zamachem. Bo znacznie lepiej widocznego chłopaka mógł upolować bez żadnych przymiarek. A czynił je. Choć go to bolało, zaś marsz na kolanach wzdłuż zawieszzonego nad przepaścią parapetu był ryzykowny, przesunął się kawałek, by mieć cel dokładnie pod sobą.

- Puść nas! - Debren nie wierzył, że to coś da, ale musiał spróbować. - Zapłacę! Mam...

- Sam sobie... wezmę. - Łańcuszek przygniół kolanem koniec styliska-pochodni, zaczął obracać bosak. - Trupa... do czysta obiorę. Goluśki noc... - zakaszła, splunęła krwią - noc przeleżysz. Szczury cię obgryzą. A ciebie, Poczwaro, wychędożę. Gadają... że baron ze sromotki nie skorzystał. Na gębie sobie wolał... poużywać. - Rozkaszał się, tym razem na dłużej. - No to ja skorzystam.

- Jak szarpnę - wyszeptał Debren w szerokie ze strachu oczy Ammy - nie opieraj się. Może... może nie trafi.

- Yyy!

- No, spadniemy. - Chyba to próbowała powiedzieć. - Ale to już niewysoko. Byle bosakiem nie trafił.

W zasadzie nie oszukiwał jej. Bogacz Veror zafundował sobie

wysokie kondygnacje, a pod parterem jeszcze kawał muru podwyższonej piwnicy, by mu hołota w okna nie zaglądała - ale jednak było to tylko pierwsze piętro. Więc upadek raczej ich nie zabije. A bosak może. Tyle że...

Tyle że byłby to skok na skrajne stopnie i balustradę wiodących do drzwi schodów. Nie ma cudów, by któreś z nich nie złamało choć jednej nogi.

Ammie chyba zabrakło sił na spoglądanie w oblicze kata. Patrzyła teraz przed siebie, ni to na Debrena, ni to w mrok ulicy za jego ramieniem.

- Zdychajcie! - zamachnął się okopconym drągiem Łańcuszek. Akurat w tym momencie niebo rozcięła błyskawica. To dzięki niej Debren dostrzegł rozszerzone strachem oczy procarza.

Łańcuszkiem zakolebało. Klęczał, nie kuczał, więc niby nie powinien tracić równowagi. Może to wiatr? Albo wystraszył go huk gromu? Tak czy inaczej, wygięło go nagle w tył, a bosak zadrzał i nie pomknął w dół. Debren w ostatnim momencie powstrzymał się przed szarpnięciem sobą i Ammą. To ona się szarpnęła.

- Yyyy! - Oczy jej wyolbrzymiały, brwi skoczyły pod krawędź kaptura, przyklepionego wilgocią do czoła. Nie rozumiał tego, bo nie w górę patrzyła, a na drugą stronę ulicy. Nieważne. Korzystając z okazji, wpakował związany na rzemieniach węzeł w szczelinę okiennicy.

Pociągnął na próbę. Może utrzyma. Ale nadal było tragicznie. Stoją, schodzą - jeden pies. Łańcuszek trafi równie łatwo. Debren szybko poderwał wzrok, by sprawdzić, czy pocisk właśnie nie nadlatuje. I zdziwił się. Tamten odzyskał równowagę - chyba tylko strachu się najadł, bo klęczał jakoś sztywno i nieruchomo - jednak nie rzucał. I, co bardziej zaskakujące, jakby w ogóle przestał przymierzać się do rzucania. Niby trzymał bosak hakiem w dół, jak

uprzednio, ale coś podszeptało Debrenowi, że zdeformowane, przypalone piorunem ostrze nie nadleci.

I rzeczywiście.

- A... albo nie. - Głos Łańcuszka już przedtem nie powalał mocą, a kaszel zniekształcał go do reszty, więc ciężko było orzec, czy aż tak się zmienił. Debren doszukał się w nim drżenia, ale chyba raczej to, co mówił procarz, uległo zmianie, nie zaś sposób mówienia. - Niech ci będzie, Debren. - Zamilkł na chwilę. - Możecie iść.

Debren dałby wiele za kilka następnych błyskawic. Za światło, pozwalające zajrzeć w oczy tamtego.

Gdyby nie jęk Ammy, pewnie nie zdobyłby się na odwagę. Sama logika to za mało. Niby należało uwierzyć, bo Łańcuszek nic na kłamstwie nie zyskiwał i równie dobrze zabije ich schodzących, co stojących w oknie - ale jednak kupy się to nijak nie trzymało.

Nie miał jednak wyboru. Dziewczynie skończyły się siły, któraś ze stóp zjechała w pustkę. Oboje zawisli na pasku sakwy. Chwalić Boga - nie całym ciężarem, więc sklecona z kawałków linka wytrzymała.

- Do... dobrze, schodź - wykrztusił Debren. Widział wyraźnie, jak drgnęły ramiona Łańcuszka. Całkiem jak łapy drapieznika, zrywającego się do skoku. Był pewien, że bosak pomknie w dół. A jednak nie.

- Nie bójcie się - warknął tamten przez zęby. Chyba z bólu je zaciskał i chyba to ból nim zakołysał. Bo raczej nie bezsilna wściekłość. Nie mówiłby takich rzeczy. - Nic wam nie zrobię. - Przerwał na chwilę. - Bom machrusanin i... ten... skur... skurpuły mnie naszły.

Splunął, chyba bardziej odrazą do „skurpułów” niż krwią. Debren niewiele z tego rozumiał. Ale udało mu się przepuścić Ammę, już zsuwała się w dół, a on znalazł miejsce dla stóp i dłoni, prawie nie

obciążał liny.

Zeszła na ziemię, jej radosne: „Yyy!” przebiło się przez szmer wiatru. Udało się. Nawet jeśli ten łajdak ciśnie bosakiem, jedno z nich jest uratowane.

A może o to szło? By odesłać dziewczynę i skończyć tak, jak mężczyznom wypadało: walką sam na sam, bez postronnych ofiar?

To było najrozsądniejsze z wyjaśnień i zsuwając się po pasach, Debren umarł w myślach z tuzin razy. Ale na jawie - ani razu. Łańcuszek nie próbował niczym rzucać.

Za to przemówił: kiedy Debren puścił koniec liny i z sercem w gardle, ale bez szwanku wylądował na stopniach kamiennych schodów.

- Poczekajcie. - Bardziej przypominało to warkot i Debren uskoczył, niemal pewien, że tamten właśnie teraz ciska bosakiem. Nie ma jak zabić kogoś, kto właśnie poczuł się ocalony; to najmiłszy rodzaj zemsty. Ale nie. Zamiast ostrza, z góry dobiegły przepchnięte przez zęby słowa: - Wstręty zem wam czynił. No to... byście urazy nie chowali... Czekaj, Debren, odczepię linę. Przyda ci się torba w drodze.

Dopiero teraz do Debrena dotarło, że zrobiło się ciemno. Nie było już płomieni na stylisku zmienionym w pochodnię. Zgasło? Tak zniecka? Nie widział dachu, o Łańcuszku nie wspominając.

Niby jak tamten zamierza odczepić linę? Miał bosak, może sięgnie, ale... na oślep?

Cofnął się, słysząc w głowie dzwony bijące na trwogę, a szarpnięcie za ramię dowodziło, że i Ammie nie podoba się to wszystko.

To przeważało: odwrócił się, złapał ją za rękę i pociągnął biegiem w stronę rogatek.

- HEJ!

Okrzyk zawibrował bezpośrednio w głowie. Czy w uszach też, nie był pewien. Pewnie tak.

Przebiegli jeszcze kilkanaście sążni, spory kawał za róg kamienicy furmistrza Verora, kiedy coś nagle otarło się o ramię Debrena, pacnęło niczym kijanka o praną koszulę. Może by to nawet zignorował, przeskoczył, ale noga zaplątała się w pas, pociągnął sakwę za sobą. Zrozumiał, co ciągnie, nim odruchowym wierzganiem pozbył się zawalidrogi. Schylił się więc, złapał torbę.

Drugiego pacnięcia nie był pewien. Było cięższe, inne, ale gdzieś daleko w tyle. Brzmiało całkiem jak...

Ale nie: wtedy odgłos uderzenia poprzedził wrzask Alfiego. Długi, nie do zapomnienia.

Wymazał dźwięk z pamięci i pobiegł dalej.



- Raportu się bał - wzruszył ramionami Debren. - Albo może, że cię ten nadgorliwiec nadwałowy usiecze. A wtedy baron by ich wszystkich, całą załogę wieży...

Pomyślał, że mógłby jeszcze napomknąć - ot tak, mimochodem - o strachu Zilly'ego przed, było nie było, czarodziejem. Chłopaki z jego dormitorium przy pomocy właśnie takich opowieści, o sobie jako o budzących grozę magach, rwali na mieście dziewczęta. Tych z Akademii nie próbowali: przyszłe czarodziejki, nawet nowicjuszki z pierwszego roku, nie były naiwne. No, ale Amma nawet gminnazjum nie ukończyła: rozdziawi gębę z podziwu, a potem może...

Dżuma i syfilis. Przecież ona nie ma gęby.

Ciągle zapominał. To pewnie te, jak im tam... Trapek mu kiedyś mówił... ferromony? Coś, co do dziewczyn przyciąga. Jak żelazo igłę busoli, pewnie stąd nazwa. Tyle że żelazem jest kobieta, a igłą... no,

wiadomo.

- Jednego nie rozumiem: skąd ten kamień, co łucznika ogłuszył - westchnął, poprawiając torbę na ramieniu. Mimo że zszył pas z torbą, ciężar dokuczał coraz bardziej. Księgi przybierały na wadze z każdą kolejną milą, króćca też swoje ważyła. Przez pierwszą klepsydrę marszu Amma z tuzin razy przekładała ją z ręki do ręki, a w końcu upuściła, więc Debren namówił ją na schowanie broni w torbie. Załadowała alchemiczny arbalet suchym prochem i nakręciła cierne kółko, bo w razie czego to jakaś obrona, jednak z systemem odpalania gnomy się nie popisały i lepiej było nie nosić pod ubraniem tego nieobliczalnego cholerstwa: a nuż samo wypali.

Amma uniosła tabliczkę. Kawalek za miastem Debren wyczarował lewitującą kulkę-pochodnię, zwaną świecilotką. Nie zdołał umocować jej na trwałe poza polem widoczności, nad głową lub karkiem, wobec czego blask znad czoła trochę go oślepił. Ale przynajmniej maszerowali szybko, no i mógł czytać.

„Z dahu zleciał. Kulom stronciłam.”

- E, nie. To nie dachówka. Wyglądał... wyglądał jak ten u burmistrza. Może - zastanawiał się - bruk gdzieś taki kładą? Czarny bazalt, wielkości jabłka. Taki... no...

Trudno wyczuć, czy to ona wysunęła rękę z rylcem, czy Debren sam pierwszy sięgnął. W każdym razie ich dłonie się spotkały. Niby nic, a jednak... I czy to tylko jemu się tak dziwnie zrobiło, czy ona też drgnęła?

Cóż, w każdym razie nie szło mu potem rysowanie. Zatrzymał się, ale to wcale nie pomogło, bo Amma naturalnie też stanęła - i nagle dotarło do niego, że są sami, tylko we dwoje, pośrodku głuchej nocy, z dala od ludzi. On i młoda niewiasta. Dziewica, a zarazem... no, w pewnym sensie doświadczona niewiasta właśnie.

Wyłuskała mu delikatnie rylce - ich dłonie znów musnęły jedna

drugą - i napisała:

„Nie kładom takiego bruku. I nie w tym żecz. Widziauam. To mu na łep z gury spadło. Mieżył w ciebie i nagle go walnęło. Rzycie ci ratujonc. Prościutko z gury. Asz mu heum na ślepie wbiło. To na pewno kawałek dahu.”

Dżuma i syfilis. Źle wybrał światło do kuli. Czerwone mniej mocy ciągnęło, a z daleka trudniej było ich wypatrzeć, ale widoczne fragmenty kobiecej twarzy wyładniały nieoczekiwanie w łagodnym, ciepłym blasku. A przecież oczy i bez tego miała śliczne.

- Zdawało ci się. Spadła dachówka, a dopiero potem... I kto takie jajowate kamienie na dach daje? - Zmuszał się, by myśleć o twardym bazalcie, nie miękkości jej ciała. - To raczej ci żebracy. Rzucił któryś. Szli za nami; pewnie przynieśli, by ogłuszyć i obrabować. Taki krągły otoczek wygodny jest, dobrze w dłoni leży.

Zakreśliła dookoła słów „z gury”.

- Nieważne - mruknął. - Chodź.

„Nie wieżysz mi?” - napisała już w marszu.

- Człowiek - mówił, nie patrząc na nią - nieraz własne lęki widzi. Ja też... Taka kurza ślepotą to nic strasznego; za dnia w ogóle nie warto zaklęcia rzucać. A cały czas mi się zdaje, że mu bielmo na oku wyczarował. Że spieprzyłem i już zawsze mu tak zostanie... A ty? Strzeliłaś, spadła dachówka, a potem temu młodemu coś na głowę, mocno. Połączyłaś jedno z drugim, obwiniać się zaczęłaś, wyolbrzymiać wszystko. Mieliśmy o tym na wykładach z duszy ludzkiej. To typowe.

„Uczyli cie o dószy?”

- No, o mózgu bardziej... Wiesz, my demokrację mamy, a jej z religią mniej po drodze. A co?

„To prawda rze dósze samobujcy na wiekuiste potempienie idom?”

I co jej powiedzieć? Że nie tylko demokracji jako takiej nie pod drodze z religią? Że niektórym grotnikom też, skutkiem czego małego Debrenka nikt nie prowadził za rączkę do świątyni, nie posyłał na lekcje wiary?

- Do kościoła nie chodzisz? - mruknął, wzruszając ramionami. - Księdza zapytaj, on najlepiej...

„Nie puszcza” - zaczęła pisać, nim dokończył. - „Proboszcz. Bo mu psuje nastuj i powage mszy świętej. Ludzie sie gapiom i nie mogom skupić na tym co w kościele najwarzniejsze. A ci lepsi machrusanie, co na tace wiecej kładom, zaczęli sie pszenosić do Świętego Koła albo Korta i Kavla. I jak tak dalej pujdzie to nasz kościuł z torbami pujdzie a pszeczysz bym nie hciała, prawda?”

- Nie wpuszcza cię na msze?

„Dał mi kartke do kaplicy dla trendowatych na podgrodziu. Ale to nie rzadne podgrodzie jeno wieś, pienć mil bendzie, i droga kiepska, zimom zwłaszcza. I pszes most tszeba, a tam utopiec grasuje. To nie hodze. No i nie hce jeszcze trondu złapać, bo i tak mnie ojciec od siustr i braci goni, bym złego pszykładu nie dawała, a jakbym tak hora była, to jusz całkiem by nie dopuścił.”

Dżuma i syfilis... Zaczął mówić o tym, co przy bramie, by przerwać ponure milczenie, wypchnąć z pamięci obojga tę bezsensowną jatkę na dachach - i proszę, dokąd ich zniosło. Niemal z ulgą odnotował tętent kopyt w oddali. Ktoś jechał traktem, od strony miasta, ale koń był jeden i w tej chwili Debren wolał zmierzyć się z problemem samotnego jeźdźca niż pytaniami, które go przerastały.

- W krzaki! - Złapał rękę dziewczyny, pociągnął ku najbliższej kępie zielska. Dopiero potem przypomniał sobie o wygaszeniu kuli-pochodni.

Przykucnęli za krzakiem. Ciasno było, więc przytuleni do siebie. I

znów ciężko było wyczuć, które bardziej się garnęło do tego drugiego. No, ale ostatecznie osłony krzaka było naprawdę mało, więc...

- Światło widziałem. - Już przedtem jeździec zwalniał, ale Debren wierzył, że tamten jednak przejedzie. Cóż, nie udało się. - Jak się tam nie dudkacie, to wyłaźcie.

Cholerny Gruszka. Tak się spieszyli, by pokazać, że nie, skąd, co za bzdura - że Debren wywalił się Ammie na plecy i przez chwilę faktycznie leżał na niej.

- Nie wasz interes! - warknął, miotając się między ochotą podnoszenia dziewczyny, a ochotą umykania od niej jak najdalej. Myśl, że ktoś mógłby go posądzać o dostrzeganie w niej kobiety, aż skręcała mu żołądek.

- No, nie wiem. - Pirr ostatecznie osadził w miejscu coś smoliście czarnego, czego niemal nie było widać, ale co musiało być koniem. - Pohańbianie panny w krzakach, choćby już niedziewiczej. Ciebie może będę oskarżał albo barona bronił. Za to, co ci robi, nie czekając na sądy.

Debren wyczarował świecilotkę. Przed pyskiem konia; miał cichą nadzieję, że przestraszone zwierzę stanie dęba i zrzuci garbusa. Ale nie wyszło. Karosz, wbrew opinii pobudliwych piekielników, jaką cieszą się tak umaszczone wierzchowce, po prostu tępo łypnął ślepiami.

- Nikt tu nikogo nie hańbi, panie Pirr. Jeny wy: cech jurystów. Gwałciciela broniąc, a prześladując ofiarę.

- Jurysty - pouczył go niedbale Pirr - nie da się pohańbić. Pojęcie wstydu jest nam mianowicie obce. No, chyba że kto marnie zarabia. Stopy nie bolą?

Zdziwiona Amma zawahała się.

- Czego chcecie? - zapytał ponuro Debren. Też już zdążył

zauważyć, że dziewczyna zaczyna powłóczyć bosymi nogami. Tylko co niby miał z tym począć? Własne ciżmy oddać? Mniejsza o to, że od dawna chadzał obuty i raz-dwa by okulał. Gorzej, że byłoby to prawie jak... no, nazrywać chabrów z pola i jej podarować albo w tyłek poklepać. Jawny znak, że mu na niej zależy. A przecież nie zależy, prawda? Nie na ten sposób. Co innego wspólnie śmierci się wymykać.

- Względem jej stóp? Chcieć to nie chcę. - Pirr skrzywił się, unosząc prawą rękę do lewej połówki swego rozłożystego garbu. - Mnie samego grzbiet pobolewa. Ale rzetelność zawodowa nakazuje miejsce w siodle zaproponować. Zadowolony klient chętniej słucha argumentów.

„Hendoż się” - napisała Amma - „ze sfym koniem.”

- Mało oryginalne - uśmiechnął się jurysta krzywo. - Choć zwykle owcę mi swatają. A ci dowcipni wielbłądzicę.

Kula, jak przedtem, była czerwona, więc nie dało się wiele powiedzieć w kwestii rumieńca dziewczyny. Ale na zmieszaną wyglądała. A kiedy Pirr zsunął się z siodła i wymownie uniósł strzemię, prawie spociło jej się czoło. Nieźle jak na kogoś, kto na wietrze, ciepłym wprawdzie, ledwie trochę obsechł po deszczowej kąpieli.

- I co? - zapytał mało przyjaźnie Debren. - Do grodu ma jechać? Po to jej konia użyczacie?

- Pojedzie, dokąd zechce.

Amma, trochę niepewnie, położyła dłoń na łuku siodła. Nie zdążyła jednak unieść stopy i włożyć w strzemię.

- Czekaj... - powstrzymał ją Debren. - Czekaj no...

Czekali posłusznie. Cała trójka, w tym Pirr, mimo iż na niego Debren łypał nawet bardziej podejrzliwie niż na wierzchowca, a ruchy różdżką od początku bardziej wyglądały na straszenie niż

czynienie zaklęć. Choć owszem, magia była w użyciu. Skanowanie, mówiąc ściśle.

- Tego konia - podsumował efekty Debren - ktoś zaczarował. Hipnozę nałożył.

Nie oczekiwał, że przyszpilony jurysta odwróci się i umknie, ale zmieszać to by się mógł. Nic z tego.

- I to drogą - wzruszył ramionami Pirr. - Bydlak o poprawności politycznej nie słyszał. Garbatych dyskryminuje. Zrzucał mnie.

- A może - zmrużył oczy Debren - jak zagwizdać, to do grodu pocwałuje? Uwożąc tego, kto akurat w siodle?

- Myślisz, że chcę ją porwać? Jurysta mocą argumentów walczy. No i - uśmiech prawnika nie odsłonił zębów - napatrzyłem się, jaki z ciebie wojownik. Trzech opancerzonych profesjonalistów... Gdzieżbym śmiał zadzierać.

Kpił trochę, ale na szczęście Amma wsunęła stopę w strzemię, zwalniając Debrena z obowiązku podjęcia słownej szermierki. Z góry przegranej, bo Pirr nie tylko miał dwa razy więcej lat i się wyaplikował na pełnoprawnego jurystę. Było w nim też coś... niepokojącego, co odstręczało od pochopnego rzucania mu rękawicy.

Ruszyli razem w mrok nocy, skrywającej smoczą jaskinię. Mrok skrywający gród Trickleley mieli za plecami.

- Powieś torbę na łęku - poradził Pirr.

Debren zignorował radę. Trochę z dumy, trochę by nie ryzykować otarciem się o odkryte kolano czy piętę Ammy. Próbowwała jechać metodą kobiecą i nawet jakoś jej to szło, tyle że podwijając jedną nogę pod siebie i przekładając obie na lewą stronę, odsłoniła więcej, niż gdyby jechała po prostu okrakiem. Na szczęście ciemno było.

Szli w milczeniu. Kulka co rusz przygasiała. Debren podkładał z

niej moc, by mieć coś na podorędziu na wypadek starcia z jurystą. Żałosne, że musiał z głupiej świecilotki, ale i tak dobrze, że w ogóle miał z czego. Naczarował się tej nocy. By odzyskać formę, powinien zjeść ceber dobrej stawy i wyspać się porządnie.

- Rozdroża minęliście - zauważył po chwili garbus. - Do zamku barona w lewo trzeba było skręcić.

Debren zerknął na dziewczynę, zwolnił, ale nie zatrzymał się. Amma wyjęła tabliczkę, zaczęła pisać.

„Na smoka idziemy. Jakeś sie jusz pszyplontał, Gruha, mam robote dla ciebie. O moje chonorarióm sie upomniesz.”

- „Na” smoka? Nie „do”? - upewnił się Pirr. - Chcecie... go zabić? - Na rozbawionego lub wstrząśniętego nie wyglądał, choć powinien. - Jakim sposobem?

„Nie tfuj interes.”

- Mój. Mam cię bronić w procesie, zapomniałaś? Martwy oskarżony to brak procesu i tym samym zarobku jurysty. To dlatego my, prawnicy, jesteśmy najgorętszymi przeciwnikami kary śmierci. Jakież to okrutne marnotrawstwo...

- Nie będzie procesu - mruknął Debren.

- Twojego z pewnością. Baron cię osobiście o łeb skróci, gdy się dowie, jakieś narozrabiał.

- Albo ja barona. - Dziwnie było mówić coś takiego; serce podlażło mu pod samo gardło. Nie wiadomo: bardziej ze strachu czy z dumy. Bo i dumny się czuł. Los uczynił go rycerzem jak z romantycznej ballady, obrońcą niewieściego honoru, życia i całej reszty. - Po tym, com u gnoma usłyszał i od Ammy ojca...

- A właśnie: Joh - przerwał mu prawnik. Ujął wodze, zatrzymał konia. - Mam smutne wieści, Ammo.

Przyglądała mu się, marszcząc brwi. Debren czuł, że powinien się wtrącić, jakoś złagodzić to, co miało zostać wypowiedziane - ale nie

prypadkiem od momentu opuszczenia Trickley bojaźliwie unikał także i tego tematu.

- Z ubolewaniem cię powiadamiam, żeś została pólsierotą. - O dziwo, choć formułka brzmiała jak wyuczona, coś w głosie Pirra faktycznie przypominało ubolewanie. - Twój ojciec nie żyje.

Debren na wszelki wypadek przysunął się bliżej konia. Damy z ballad często mdlały w takich okolicznościach.

Amma nie zemdląca. Siedziała nieruchomo, z równie nieruchomą twarzą, a potem wykreśliła zamasyście:

„To był podły wieprz. Dobrze mu tak.”

Trąciła konia piętą, dając znać, iż zamknęła temat. Debrenowi ulżyło. Bał się lamentu, wyrzutów sumienia, może nawet oskarżenia jego, Debrena, o to, co zaszło. Rodzina to jednak rodzina. Kobiety zwłaszcza zdolne są rozpaczać po stracie takiego, co więcej bił, niż przytulał.

- Cóż, skoro o wieprzu mowa... - Pirr ruszył śladem wierzchowca. - Świadkowie zeznali, że właśnie pod tą postacią został postrzelony. To cię, Debren, mocno obciąża. Podstępne doprowadzenie przy pomocy magii... metamorfoza bez zgody poddawanego... dręczenie trzody domowej... szczucie nietresowanym zwierzakiem... hodowla w obrębie grodu bez stosownych zezwoleń... niebezpieczna iluzja... ubój narzędziem niezgodnym z przepisami o humanitarnym uboju. Oj, z tuzin paragrafów się uzbiera.

- O czym wy gadacie, panie jurysto?! - zdenerwował się Debren. - Jaki wieprz?! Jaka metamorfoza?!

- Mówię, że masz poważne kłopoty. Nie wiem, czy prokurator wszystkie ofiary tej jatki tobie przypisze. Ale część na pewno. Na twoim miejscu skreśliłbym o tam - wskazał kierunek Pirr. - Do najbliższego portu. Sobie pomożesz, a Ammie jeszcze bardziej.

- Zostawiając ją? Na pastwę barona?

- On jej nie zabije. A twoje towarzystwo raczej tak.

Mocny cios. Debren od dawna starał się omijać łukiem tę myśl. Teraz musiał wziąć byka za rogi.

- Ja Ammę ratuję - burknął, nie patrząc na żadne z nich. - Sami mówiliście: kat by ją na śmierć zachłostał.

- Do rozstajów ratowałeś - przyznał Pirr. - Ale teraz prowadzisz na śmierć. - Amma napisała coś szybko, podsunęła mu tabliczkę. Skrzywił się. - Pod jaką lufą?

- Krócićę ma - wyjaśnił Debren. I, uprzedzając pytanie, klepnął sakwę. Na szczęście w czerwonym blasku świecilotki jego płonące policzki nie powinny kłuć w oczy.

- Rozumiem. - W oczach jurysty zabłysła kpina. - Zdalnie magią odpalana. I nic nie możesz począć: musisz słuchać, bo cię Amma o tak - mimo rękawicy, udanie strzelił palcami - trupem położy. Biedaczek.

„Daj mi sakfe” - napisała Amma. Debren zawahał się, ale zdjął pas z ramienia i podał. Ułożyła torbę na łęku siodła, wyjęła krócićę i pokazała prawnikowi.

- Dobrowolnie oddał - wzruszył garbem Pirr. - Żaden sąd tego nie uzna za działanie pod przymusem.

„Na parasol u mnie w niewoli” - napisała.

- Na parol? To w sądzie nie przejdzie: tak jeno rycerze mogą się tłumaczyć i kadra marynarki królewskiej. Nie schowasz się za jej spódnicą, Debren. I przypominam: dla sędziego króćica to odpowiednik wałka lub patelni. Ze śmiechu umrze, jak mu powiesz, żeś ze strachu przed patelnią na smoka polazł. Zaś rozchichotany sędzia powadze sądu uchybia. Dostaniesz za ten występek najmniej...

- Straszyć mnie przyjechaliście, panie Pirr?

- Nie. Do ciebie, Ammo, przyjechałem. Musimy pogadać. W cztery

oczy.

„Jeńca pilnować mósze. Bo to jeniec, wbreń temu co myślicie, panie Pir. Jeno dlatego mnie słuha, rze Lelończyk, a oni som fszyscy z natury rycerscy. Tacy, rze asz niewiasty na powitanie w stopie całujom, nawet opce, nie jeno rzone. Czyli ich parol, chodźby i nie rycesz dawał, jak ryceża sie liczy.”

- W dłoń! - zaprotestował Debren. - Po nogach to może jacyś dzicy! Albo w Zapadnice! U nas...

- Tak czy siak, w którąś z kończyn - podsumował Pirr. - Co twemu narodowi marne świadectwo wystawia jako cywilizowanemu. I na pewno cię w oczach sądu nie wybieli. Odpowiesz jak za świadome współuczestnictwo. Apeluję tedy, Ammo, byś go z parolu zwolniła. Bo inaczej jak nie sędzia, nie baron, nie smok i nie następcy Hurhaker, to go dopadną wozobrońcy pana Boomhonsa.

- Co znów za Hurhaker? - zdziwił się Debren.

- Alfors Hurhaker, starszy cechu rajfurów. Zabiłeś go, co w myśł ich kodeksu znaczy, żeś zajął jego miejsce. Gratulować ci nie będę, bo teraz każdy ambitny stręczyciel o niczym bardziej nie marzy, niż ciebie z kolei uśmiercić i w ten sposób schedę objąć.

- Alfi? Sam z dachu spadł! - zaprotestował Debren.

- Świadkowie twierdzą, żeś go ubił magicznym ptakiem wyczarowanym z czapki. Ale nie moja sprawa. Swemu juryście się tłumacz. Moja klientka jest tu. - Wskazał dziewczynę. - I chcę z nią na osobności pomówić.

„Debren zostaje” - ucięła Amma. - Z oka go nie spószcze. Parol parolem, a krucica krucicom.”

Pirr wzruszył ramionami.

- Jak chcesz. A przy okazji... Mogę wiedzieć, coś jej konkretnie przyrzekł, Debren?

- No... - Musiał wysilić pamięć. Tyle rzeczy się wydarzyło... -

Właściwie... Tak po prawdzie to chyba obiecałem pomóc Ammie uciec z grodu.

Popatrzył na nią niepewnie, ale na szczęście nie znalazł śladów oburzenia. Czyli podobnie widziała ich układ.

- Wobec tego - orzekł beznamiętnie Pirr - parol został skonsumowany i z mocy prawa wygasł. Wolny jesteś.

Amma wymownie pokiwała wspartą o udo króciwą. Pisać ani w nikogo mierzyć nie próbowała. Po co?

- Chyba nie - uśmiechnął się blado Debren. Trochę mu nawet ulżyło. Nie musiał podejmować decyzji już teraz.

Pirr zerknął w bok, na Ammę.

- Wypuść go - powiedział spokojnie. - To nie jego sprawa. Twoja, barona, może smoka... ale nie jego. Nie rujnuj chłopcu życia.

Szarpnęła za wodze, zatrzymała konia.

„*Nie rójnuje!*” - napisała wielkimi runami.

- Iść samemu w beznadziejny bój, to jedno. Ale ciągnąć kogoś, kto jeno śmierć może zyskać...

„*Dam mu puł nagrody.*” - Te runy były już mniejsze.

- Nie będzie nagrody. Grzywna prędzej. Za wtargnięcie do rezerwatu. I już teraz wiszą nad tobą kłopoty natury finansowej. Dogoniłbym was wcześniej, ale mnie furmistrz Veror zaczepił. Odszkodowanie chce od kogoś wyprocesować. Obojętne od kogo. Jeśli ci cudem jakaś zapłata skapnie, on ją przejmie. Dach mu zdemolowaliście, rzeźby kosztowne, no i za uprzążanie trupów z własnej kiesy musiał płacić. Słono, bo usuwanie i grzebanie ofiar magii regulują specjalne procedury, drogie jak cholera.

- Jakiej magii?! - zaprotestował Debren. - Jakie ofiary?! Niegroźnych zaklęć jeno używałem! Dwoje ludzi naturalny piorun ubił, to wszystko!

„*On nikogo nie zabił*” - napisała Amma.

- No pewnie: jedenaście ofiar, wy bezbronni, a magii w robocie nie było. Już widzę adwokata, co z taką linią obrony pójdzie do sądu.

Milczeli dłuższą chwilę. Oboje rachowali w myślach.

- Jak to: jedenaście? - zapytał cicho Debren. - O... poturbowanych chyba też mówicie? Nie samych zabitych?

Jurysta zaczął odliczać na palcach.

- Alfi Hurhaker, to raz. Czwooro innych zginęło od tajemniczego wybuchu i ognia w kwaterze gnoma Ruutena. Odnośnie tej akurat czwórki prokurator nie zdecydował, komu zarzuty zabójstwa postawić. Wasze szczęście, że zeznania świadków są sprzeczne, a właściciel kamienicy bystry. Raz-dwa rzecz przemyślał i uchwycił się tezy, iż to smoczy atak. Dzięki czemu łatwiej i wyższe odszkodowanie wywalczy. Od wypłacalnego grodu, za zaniedbania, a nie od bezdomnej żebraczki i żaka gołodupca zza Drewnianej Kurtyny. Jednak w przypadku Joha Garncarza tobie, Debren, postawiony zostanie zarzut współudziału i przyczynienia się. Bo, abstrahując od przyczyn pożaru, z twej winy zmienił się w świnie i postrzelony został. Skutkiem czego nie mógł eksplodującego lokalu opuścić.

- Nie zamieniłem go w świnie! Nawet bym nie umiał!

Pirr zignorował protest. Prostował kolejne palce.

- Dach domu Verora: dwoje zwęglonych, dwóch na śmierć wykrwawionych, dwóch połamanych od upadku, też na śmierć. - Musiał ponownie użyć pierwszej dłoni, by dobić do jedenastki. - Razem następne sześć trupów. Masakra.

- Ja... jak to sześć? Toć... Łańcuszek...

- Ten z procą? - upewnił się prawnik. - Ktoś widział, jak zapomnianą torbą za tobą ciska. Z okrzyków wynikało, że dla twej wygody zaryzykował bieg po gzymsie i rzut. Aleście już daleko byli, no i biedak nie wyhamował przed końcem domu. Spadł i się zabił. Wypisz, wymaluj: zauroczenie magiczne ze skutkiem śmiertelnym. Jeno mi nie wmawiaj, żeś na niego czaru nie rzucił.

Debren nie próbował wmawiać. Próbował zrozumieć.

„*To nie on*” - napisała Amma. - „*To pszeze mnie.*”

- Ty czarować nie umiesz - pokręcił głową Pirr.

- I jacy wykrwawieni? - Nie godził się z liczbami Debren. - Jednego owszem, Amma nożem w gardło cięła, broniąc się, ale ten drugi, Kędzior...

- Ten, co rękę stracił?

- Jakie: stracił?! Trochę go ugryzłem, ale...

- W walce - wzruszył garbem Pirr - człek nieludzkiej siły czasem dostaje. A cóż dopiero magik. Nie wiem, jak było, ale dłoń to akurat widziałem. Przy mnie ją specjalnymi szczypcami do baryłki wkładali, z wodą święconą i wapnem, które złą magię neutralizują. I ci powiem, że odgryziona była jak się patrzy. Z czarów może byś się jeszcze wyłgał, ciężko wykazać, że ktoś kogoś czarami ubił. Ale tu sprawa jest ewidentna.

Debrenowi z wrażenia aż opadła szczęka. Szczęka zabójcy-odgryzacza rąk. Machrusie, to by wyjaśniało zachowanie Kędziora! Nietrudno paść i skonać, kiedy człowiekowi nagle krew chluśnie z kikuta. Ale jakim cudem...?

Pirr, o dziwo, poklepał go po ramieniu.

- Tak bywa, każdy wojak ci powie. Idącemu w bój percepcja rzeczywistości się zmienia. Połowy tego, czego dokonał, nie pamięta, a w drugą wierzyć mu się nie chce. A ty jeszcze czarodziejem jesteś w dodatku. Pewnie sam nie wiesz, co potrafi

twój mózg w chwilach stresu.

Prawie przekonał Debrena. Ale nie byli sami.

„To nie recepcja nijaka” - napisała Amma. - „Nie słuchacie co pisze! To pszeze mnie.”

- Ugryzłem go - wymamrotał Debren. - Pa... pamiętam.

„Ale ja temu drógiemu gardła rzem nie pszeciela. Tesz pamientam. Czym niby? Norza nie nosze. To anioł.”

Popatrzyli na nią, obaj jednakowo zaskoczeni. Zmazala tabliczkę i dopisała:

„Nie zgupiałam. Wiem rze to dziwne, alem go widziała. I to dwa razy. Miał skrzydła i był urodziwy.”

- Co? - Pirr drgnął. - Urodziwy? Znaczy... No tak, wszak skoro anioł... - Wychwyił zdziwione spojrzenie Debrena. - Wybacz. Zasugerowałem się. Bo ten woźnica o gargulcach plótl. Też wszak skrzydlatych. A Veror znaczące miny robił, że niby nie potwierdza, ale i nie przeczy.

- O czym wy gadacie, panie mecenasie?

Pirr rozważał coś. Krótko, ale chyba intensywnie.

- Z tym aniołem to oczywiście bzdura - oznajmił w końcu. - Ale... O figurach z dachu Verora plotki krążą, że to prawdziwe gargulce, nie jeno rzeźby. A wiesz chyba, że gargulec czasem z formy skamieniałej w żywą się zmienia. Zwykle, by swego terytorium bronić. Myślałem, że to takie przechwałki gospodarza, bo wiadomo: dom z magicznym stróżem złoczyńcy łukiem ominą. Lecz teraz...

„Gargulec?” - Z chwiejnych run przebijało wahanie. - „To gargulec owego Drika dusiciela po gardle hlasnoł?”

- On? A nie ty? - Prawnik zmarszczył brwi. - Ten Drick cię dusił. Możeś nieświadomie nóż mu zza pasa wyrwała, cięła... Nie bój się przyznać, to akurat legalne.

„Jusz prawie po mnie było. I ftedy on podleciał i pszes gardło

tamtego pociongnął. Gołom ręką, a i tak Drika kref zalała.” - Po namyśle dopisała: - „Morze brzytwe miał w renkawie? Znam paru, co tak noszom.”

- Czyli - podsumował Pirr - gargulec cię ocalił. I to on zabił Dricka. Hmm. Interesujące. Nader interesujące...

- Niemożliwe! - zaprotestował Debren. - To jeno rzeźby! Ten złodziej dokładnie je oglądał. A jednej pocisk skrzydło odłupał. Gipsowe było. Prawdziwy gargulec...

- No, z czego jest? - podchwycił jurysta. - Granit? Marmur? I skąd niby wiedza, że skrzydło było gipsowe?

- Ów złodziej mówił...

- Ma eksperckie papiery? Z cechu mularzy? Nie ma - odpowiedział sam sobie. - Więc jego opinia jako biegłego nie posiada wartości dowodowej. Zresztą nie żyje. Spadł i kark skrzył. Ha! Tu bym ich miał! - ucieszył się. - Znaczy, oskarżenie; gdyby mi cię bronić przyszło. Wszystko byśmy na owego latacza zwalili.

- Że jak? - nie dowierzał Debren. - W sądzie byście tłumaczyli, że Dricka gargulec napadł?! I że był gargulcem, nie figurą, bo się złodziej na gipsie nie zna?

- W lot pojąłeś - pochwalił go jurysta. - Tyle że przypisałbym owej bestii więcej ofiar, nie jeno Dricka. Konkretnie - uśmiechnął się - to wszystkie ofiary. Łącznie ze spalonymi piorunem. Wiadomo: piorun wali w to, co wyżej, i stamtąd dalej w dół płynie. Nic prostszego, gargulcem będąc, jak zwabić na siebie błyskawicę i posłać dalej, na łby wrogów.

- Ale to... I sędzia by tego spokojnie słuchał?

- Zależy - przyznał Pirr. - Zwykłego człeka faktycznie za obrazę powagi mógłby do lochu wtrącić. Ale ja jurysta jestem - pochwalił się. - Nam wolno bezkarnie największe idiotyzmy w najpoważniejszych trybunałach wygłaszać. I niech ręka boska

chroni tego, co śmie zasugerować, że głupoty prawnik plecie. Cały nasz stan do gardła takiemu skoczy i wyszarpie je lepiej niżli Drickowi.

„To nie jóryści” - sprostowała Amma.

- No... naturalnie - zmieszał się. - Wybacz, niestosownego porównania użyłem... Wszak omal cię ów zbrodniarz nie zabił. I pewnie się obu okropnie przeraziła. Z gargulca, było nie było, też okrutnie straszny bies.

„I nie gargulec. Ja czóje, rze to anioł mnie ocalił.”

- Anioły - pouczył ją z drętym uśmiechem - tak nie robią. I brzytew po rękawach nie noszą. Co innego gargulce. To znaczy... brzytew też nie... Ale ich szpony...

„Był urodziwy.”

Przyjrzał jej się badawczo. Debren pomyślał, że nie wygląda radośnie. Ale to zrozumiałe: opowiadając w sądzie o urodzie ratujących ją aniołów, Amma nie ułatwi życia swemu obrońcy.

- Widziałaś go? - upewnił się garbus. - Wyraźnie?

Pokręciła głową. Potem napisała:

„No, rze z gemby urodziwy, tego nie wiem. Ciemno było. Alem to jakoś wyczuła. I wielce postawny był. I taki jakowys... No, hłop na shwał. I rószał sie tak ładnie.”

- Czyli dostrzegłaś tylko sylwetkę? Niewyraźną?

„I potem cień.”

- Cień? - Teraz powątpiewał Debren. - W mroku?

„Gdyśmy po linie shodzili i Łańcószek sie na nas zamierzył. Błysnęło i ójrzałam cień. Wyraźny. Na domu za ulicom. On go ucapił za kark. Anioł Łańcóska. To dlatego bosakiem nie zucił. Anioł go powstszymał.”

- Anioły - powtórzył łagodnie Pirr - tak nie robią.

Debren milczał przez chwilę. Ale w końcu zapytał:

- A... gargulce?

Spodziewał się spojrzenia przeznaczonego dla szalonych lub w najlepszym razie pijanych. Lecz to Pirra było co najwyżej pozbawione entuzjazmu.

- Bo wiecie - wyjaśnił Debren, też mało entuzjastycznie - to by się zgadzało. Widziałem... No, nie kogoś za nim... Ale że się Łańcuszek zachwiało. Jakby go coś pchnęło znienacka. A potem złapało i nie pozwoliło spaść. I... no, tego pewien nie jestem... Ale wcześniej... chyba widziałem, jak jeden skrzydłami machał. Gargulec, znaczy.

Jurysta, zamiast wzdychać boleśnie, przemyślał to sobie. Po czym uśmiechnął się umiarkowanie wesoło.

- Więc sprawę z rajfurami mamy wygraną. Wszyscy świadkowie, w tym oskarżenia, zgodnie zeznają: coś skrzydlatego latało i atakowało. Veror wersję o gargulcu ochoczo podtrzyma, ta psychoza związana ze smokiem też nam pomoże... Nie chwając się, jestem na tyle dobry, że na naszą korzyść to wszystko obrócę. Tylu wątpliwości namnożę, że prokurator sam akt oskarżenia wycofa. A poza tym... hmm... Gdy o tym gargulcu mówiliście... wybawcy... Coś mi to przypomina. - Podrapał się po kapturze. - Gargulec wybawca. Dałbym głowę, że czytałem o podobnym wydarzeniu. W jakowejś starej księdze... I to tu, w hrabstwie Trickley.

- Bardzo dobrze - mruknął Debren. - To teraz idźcie i mnożcie wątpliwości. Żegnam. Amma też żegna.

Dziewczyna zawahała się, ale kiwnęła głową.

- A wy: na smoka? - Pirr jakoś nie zatrzymywał się, o zawracaniu nie mówiąc. Maszerował rażno, wzbijając obłoczki kurzu wielkimi buciorami. - Z arbałem siarkowym? Piekielnym ogniem piekielną bestię zgładzić?

Debren zignorował zaczepkę. Musiał o tym pogadać, i to szybko - ale z Ammą, na osobności.

„Jesteś moim obrońcą i nie możesz nic wygadać, co ci powiem?” - upewniła się dziewczyna.

- Wygadać nie może - wyręczył garbusa Debren. - Ale to baron mu płaci. Pamiętaj o tym.

- Nie musi - powiedział spokojnie Pirr. - Mam niebywałą podzielność lojalności. Życzliwi powiadają, że wręcz nieludzką. W całym hrabstwie Trickleby praktykuje jeno trzech jurystów, w tym dwóch kiepskich. Jakoś... nie przetrwał żaden nowy. Fatum czy co? Raz-dwa interes zwijają, nie wiedzieć czemu. Może to ta recesja... No więc ludzie walą do mnie i siłą rzeczy często reprezentuję zajadłych wrogów. Przychodzą, choć wiedzą, że ta druga strona też jest klientem. Ale, co kluczowe, w innej sprawie. I ta inna nie ma wpływu na moją rzetelność. Baron plenipotentem mnie uczynił, a mimo to w paru procesach jego przeciwników reprezentowałem. - Uśmiechnął się, niby to skromnie. - Przegrał wszystkie.

- I jaźń się wam od tego nie rozdważy?

- Po prawdzie... - Nie obraził się, raczej zadumał. - Tak, coś w tym jest. Moja jaźń... Niejeden nazwałby to chorobą. Mam w sobie - westchnął - najmniej dwie osobowości. Czasem ciężko mi z tym. Żonę, przykładowo, trudno znaleźć - zażartował niewesoło. - Ale z drugiej strony dla prowincjonalnego jurysty to iście boski dar. Bo ludzie wiedzą, że dla klienta uczynię wszystko, w ramach prawa naturalnie. Choćbym klepsydrę wcześniej, w innym pozwie, od najgorszych go wyzywał.

- Bez urazy, panie Pirr, ale takiego jak wy krętacza, za nic mającego zdrowy rozsądek i elementarną przyzwoitość, tom jeszcze nie spotkał. I wy chcecie mi wmówić...

- Nie chcę. Wystaw sobie: nie zależy mi. Myśl o mnie, co ci się żywnie podoba.

- Wielkie dzięki - warknął Debren. - A teraz zostawcie nas w

spokoju.

- Nie mogę: obowiązki wobec klientów. Baron mi płaci, bym życie Ammy chronił, a Amma właśnie mnie najęła w związku ze spodziewanymi przychodami uzyskanymi od smoka. Albo za smoka... Tegośmy jeszcze nie ustalili.

Debren zatrzymał się. W efekcie, parę kroków dalej, stanęli i tamci. Amma, nie bardzo potrafiąc obrócić konia, przekrzywiła się w siodle.

- Yyyy?

- Decyduj - rzucił przez zęby. - On albo ja.

- Oni - sprostował Pirr - albo ty. Nie zapominaj, że Amma jedzie na moim koniu. On też do stawki wchodzi. Nie chcę ci młodzieńczych złudzeń rozwiewać, Debren, ale niewiasty zwykle najpierw patrzą, czym zajechał, a dopiero potem, kto konkretnie. A już zwłaszcza te bosc.

Dziewczyna zaczęła coś pisać. Debren zacisnął pięści.

- Ochrona życia? Tak ją chronisz, jak Ruuten i jej ojciec! By za szybko nie zdechła i więcej męki zaznała! Jak stąd zaraz nie znikniesz, garbusie, to...

- Nim dokończysz - przerwał mu Pirr - i atmosferę w kompanii popsujesz, przeczytaj, co twoja pani napisała. Bo, przypomnę, niewolnik jesteś, pod króćcą wiedziony - zakpił, wcale tego nie kryjąc. - Aha, no i nim was oboje na pewną zgubę poprowadzisz - machnął ręką, wskazując coś, co majaczyło na wschodzie w szarówce przedświt.

Debren podszedł bliżej konia, zerknął na podsuwaną mu tabliczkę.

„Poniehaj go, obaj mi jesteście potszebni.”

- Skoro tak pana mecenasa cenisz - przepchnął przez gardło - to pewnie jego opinie też. A pan mecenas twierdzi, że mój parol

wygasł. I mogę odejść.

Przyglądała mu się przez chwilę. Poczuł się jak dojrzała wiśnia: bardzo czerwony i bardzo mały.

Brzydula. Poczwarą bez gęby. Była pewnie najpaskudniejszą istotą, z jaką się zetknął, a świdrowała go spojrzeniem zdziwionej księżniczki, której rycerz odmówił znienacka swego ramienia, miecza i co tam rycerze księżniczkom oferują. Niech cię diabli, Ammo.

- Nie chcę się wtrącać - zaznaczył Pirr - ale idźmy stąd. Naprzód albo z powrotem.

- Bo co? - burknął Debren.

- Na wzgórzu stoimy. Tę twoją kulkę z pół mili widać.

Debren obejrzał się.

- Ciemno - wzruszył ramionami. - Nikt za nami z Trickley nie goni. Gdyby gonili, to z pochodniami.

Od razu poczuł się gorzej, bo akurat Pirr dogonił ich bez pochodni. Pewnie wyrzucił pod koniec, gdy wypatrzył z pół mili magiczne światełko.

Zaraz potem zapomniał jednak o juryście. Z niedowierzaniem patrzył na wyciąganą spod uda krócicę. Amma wskazała końcem lufy najpierw jego, potem to szare, majaczące w oddali. Chyba las.

Zrozumiał. Tylko przyjąć do wiadomości nie chciał. Nawet gdy powtórzyła gest.

- Ty mi... grozisz? Po tym wszystkim... grozisz?

Alchemiczny arbalet zadrżał w podrapanej dłoni. Ale właśnie tym rozwiała resztki wątpliwości. Bo przedtem, to wyciągając, to chowając broń, tak naprawdę starała się mu pomóc. Wmówić Pirrowi, że nieszczęsny Debren działa pod przymusem i tym samym nie ponosi za nic winy.

- Zgaś to! - warknął znienacka Pirr. Zaskoczony chłopak

odruchowo zwinął zakłęcie.

Amma zaprotestowała stłumionym: „Yyy!”. No tak, bez światła stawała się niema. Debrenowi przemknęła myśl, że gdyby teraz po prostu odszedł, nie umiałyby go powstrzymać. Nie pogrozi ani runami, ani nawet gestykulacją, a strzelać przecież nie będzie.

Nie odszedł jednak.

- Wybaczcie ostry ton. - W głosie Pirra pobrzmiwała skrucha. - Ale zdawało mi się, że widzę jakby błysk. Może ognia? - zastanowił się. - A może ślepi?

- Gdzie? - Debren podostrzył skokowo wzrok, przyjrzał się kawałkom szarówki, nie przesłoniętym sylwetką konia. Nim wzrok osłabł do normalnego poziomu, upewnił się, że patrzy na nieodległy las. Wysokopienny, stary.

- Ba. - Dostrzegł wzruszenie garbatych ramion. - Oczy już nie te. Za wiele nad pergaminami ślęczę...

- O kierunek jeno pytam.

- Może tam - jurysta wskazał las - albo tam - machnął ręką w dokładnie przeciwną stronę, ku wzgórzom przesłaniającym odległe o wiele mil Trickley.

- To szesnaście rumbów różnicy - zauważył ponuro Debren. - Rozrzut jak między wschodem a zachodem. Bo, po prawdzie, to wschód i zachód pokazujecie.

- Refleks też przy czytaniu słabnie. Zanim myśl mnie nasza, co ów błysk może znaczyć...

- Czemu o ślepiach mówiliście?

- Bo ten las przed nami złą sławą się cieszy. Dlatego Amma krócićę wyjęła. Źle ją rozumiałeś. - Teraz głos prawnika brzmiał już nieomal przyepochlebnie. - Nie straszyla cię. Próbowala powiedziec, jak niebezpiecznie przez te złowrogą knieję isc i ze mądrzej podróżowac w możliwie licznej gromadzie.

- Chcecie nas zniechęcić do dalszej drogi? - zgadywał Debren. - I by Amma do Trickleby wróciła?

- Mam dbać, by żyła - powiedział spokojnie Pirr. - Za to mi baron płaci. A ja, mówiłem ci, jestem nader lojalnym adwokatem. Ale adwokatem jeno, więc nijakich form nacisku poza argumentacją nie stosuję. Zrobicie, co zechcecie. A skoro, jak widzę, do lasu was niesie, oferuję swe towarzystwo. Bezpieczniej będzie.

- Że zbójów odstraszyście, wierzę - przyznał Debren. - Paskudnie was sądownictwem czuć. Aleście o ślepiach mówili. Znaczy: zwierza dziki. Albo i biesy. Jedno i drugie ma jurystów głęboko... w pogardzie, powiedzmy. Więc nie wiem, jak byście mieli nam pomóc. Bo coś mi się nie widzi, że łapiąc za kij i waląc, gdy nas wilki opadną. W karczmie jakoś nie...

- Adwokat walczy siłą umysłu i wymowy. Pod „Ucieszonym Rogiem” mnie nie słuchali, więc cóż mogłem poradzić?

- Aha. A wilki teraz, myślicie, posłuchają?

- Jakbyś zgadł. Dzikie istoty unikają ludzkiej gromady, co idzie i hałasuje. Bo to oznaka siły. Wy z Ammą pogadać nie możecie. Cokolwiek w tym lesie żyje, usłyszy więc, że ktoś się cichcem przemyka. Pomyśli: „Oho, boją się mnie” i z miejsca pogna bojaźliwych słabeuszy zeżreć.

- Dzięki za poradę. Będę za trzech hałasował. A wy do Trickleby wracajcie.

- Można za trzech - przyznał Pirr, biorąc konia za uzdę i pociągając w stronę lasu. - Ale powiedz, Debren: jako wilk czy bies bałbyś się durnia, który nocą po puszczy łązi i sam do siebie gada?



Świt zastał ich po drugiej, wschodniej stronie złowrogiej kniei.

Okazała się sporym jak na południowy Anvash lasem, ale jedyną przykrością, jaka spotkała trójkę wędrowców, było lawirowanie między końskimi odchodami, zaskakująco gęsto pokrywającymi trakt. Pirr wyjaśnił, że to efekt przepisów, nakazujących woźnicom uprzątanie łąjna, a potem długo, głośno i skomplikowanie tłumaczył, na mocy jakich paragrafów, uwarunkowań ekonomicznych tudzież osiągnięć nowoczesnej weterynarii owe przepisy są powszechnie obchodzone w lasach, gdzie furmani wymuszają na koniach i wołach opróżnianie kiszek. No i czemu nikt tego paskudztwa nie uprząta, choć teoretycznie takie nagromadzenie gnoju to istna żyła srebra dla okolicznych rolników. Debren od razu przestał słuchać. Skupił uwagę na wypatrywaniu co większych pagórków łąjna oraz ślepi, połyskujących łakomie z gąszczu. Najwyraźniej jednak smród odchodów i nudne wywody jurysty odstraszyły drapieżniki. Nim słońce wyjrzało zza horyzontu, złowroga knieja pozostała z tyłu. Przeszli bez szwanku, kosztem upapranych cizem i wysuszenia do cna pęcherza Pirra. Mimo dziarsko brzmiącego głosu musiał się denerwować i z tych nerwów co kwadrans nosiło go w krzaki. Popijał potem wodę z zawieszzonego przy siodle bukłaczka - i za chwilę znów biegł na stronę.

Teraz dookoła mieli sielskie, bezpieczne, rozświetlone różowym blaskiem łąki i pastwiska.

- No to tu się pożegnamy - oznajmił.

Amma, przysypiająca od jakiegoś czasu w siodle, poderwała głowę.

- Czarnolud zrobił swoje - uśmiechnął się krzywo Pirr - Czarnolud może odejść?

- Ano... - Debren popatrzył na dziewczynę - ano tak. Jeno nie mam pewności, kogo tu Czarnoludem wyznacza.

Sięgnęła po tabliczkę.

- Tak czy siak - uprzedził ją garbus - śniadanie warto zjeść. Tu nieopodal jest oberża. Ja stawiam. A Amma zdąży pomyśleć, co dalej.

Debren nie protestował. Był głodny i nie miał pewności, czego właściwie chce. Też mu się przyda czas do namysłu.

- Pusto - wyrwał go z zadumy głos Pirra. - Wieści o smoku przegoniły kupców z traktu. Ha, dobra nasza! Gdzie klientów brak, tam upusty większe.

Faktycznie, przemieleny kołami i kopytami dziedziniec przed zajazdem świecił tego ranka pustką. Gospodarz, który na ich powitanie odłożył łuk, a nie, jak w dobrze prosperującej oberży, chochlę czy szmatę do misek, nawet się nie targował. Skoro w Trickley jajecznicą tyle kosztuje, to niech panu juryście będzie, tu, na wsi, może kosztować o denara mniej. Balia? Znajdzie się. A żona wrzątku nagotuje, jeśli takie mają goście życzenie. Niech tylko powiedzą, czy to prawda, że w lesie za Burbark cosik całą karawanę wytlukło i kiedy gród albo może baron coś w tej sprawie zrobią. Dopiero żądanie, by dla Ammy zastawić osobny stół w osobnym pomieszczeniu, wytrąciło oberżystę z ugodowego nastroju.

- A bo to w jadalnej mało stołów? - obruszył się.

- Pani - wyjaśnił Pirr - twarzy nie zwykła na ludzkie spojrzenia wystawiać.

- Pani? - skrzywił się gospodarz. - Toć widzę: bosa temmozanka w łachmanach. Nie bójcie się, taka nie będzie fochów stroić. One nawykły, że się im byle gdzie zreć daje. I na samym końcu, po psach, teściowych i wielbłędach. A za ile, jeśli wolno spytać, ją kupiliście?

- Porwałem. - Pirr posłał dziewczynie dziwny, ni to przekorny, ni smętny uśmieszek. - U temmozan tak obyczaj każe zdobywać panny z dobrego domu. W myśl zasady: o to, co wartościowe, zawalcz.

Pokaż, że cenisz.

- Głupie dzikusy. I że też wam się chciało... - pokręcił głową oberżysta. Powiódł sceptycznym spojrzeniem po sylwetce Ammy, od brudnych, podrapanych stóp poczynając, a na ubłoconym kwefie kończąc. - Z takim porwaniem pewnie dużo zachodu. A i ryzyko się wiąże. Mogli się nie połapać, co i jak. Że sąsiad córkę białemu na nałożnicę daje. No i, przykładowo, dzirytem cisnąć.

- Ciskali - przyznał garbus. Rozsiadł się przy stole, wskazując Debrenowi miejsce obok. Opończy jednak nie zdejmował. - Choć nie dzirytami. Padły ofiary. Ale - znów zerknął na Ammę z tym osobliwym uśmiechem - taka krew związek spaja.

W kuchni żona gospodarza wrzuciła cebulę na patelnię, smakowity zapach wpłynął do izby. Amma głośno przełknęła ślinę. I od razu, jakby przestraszona, uniosła dłoń, pomacała chustę kryjącą dół twarzy. Szybko ją cofnęła, wyłapując spojrzenie Debrena. Pewnie o tym samym pomyśleli: o mokrych plamach, które pojawią się na kwefie w miejscach, gdzie zabrakło warg i policzków.

Zaczerwieniona, wskazała drzwi wejściowe, potem wykonała gest, naśladujący ruchy łyżką.

- Niezdrowo jeść na dworze - pokręcił głową Pirr.

- One nawykły - zapewnił oberżysta.

- Nie po to życie narażałem, a Amma sierotą została, by jej teraz mucha w kaszę wpadła, zakrztuszenie spowodowała i uśmierciła. Alkierzyk macie - wskazał przesłonięte kotarą drzwi. - Tam jej podajcie śniadanie.

„*Nie ma potszeby*” - zaprotestowała speszona Amma.

- Alkierzyk - dołączył do protestu oberżysta - dla ważnych gości jeno. Herbowych, kleru i zacnych kupców.

- Pani jest ważna - pouczył go Pirr. Tym razem bez owego osobliwego uśmieszku. - Niemal za barona wyszła.

- Tak mówi? - parsknął gospodarz. - Ha, moja też na okrągło powtarza, że mogła być młynarzową i życie jej zmarnowałem. Ale tyle to znaczy, że ją jako pannę młynarczyk obmacywał. Już widzę barona, który byle...

- A balię i mydło - zignorował cały wywód garbus - do izby dajcie, na pięterko. Niech się dziewczyna spokojnie po trudach porwania obmyje. Aha, i zapytajcie żonę, czy na zbyciu jakiejś sukni nie ma.



Zjedli, oni w biesiadnej, Amma za kotarą, w alkierzyku dla ważnych. Potem dziewczyna poszła na górę, śladem balii, a Pirr skinął na oberżystę.

- Teraz nam piwa przynieście.

- Dla mnie woda - bąknął Debren. Jajecznice pochłonał błyskawicznie, ale pod koniec głód zaczął przegrywać z honorem. Chlebowe skórki, maczane w resztkach tłuszczu, dojadł już wolniej i nawet zaczął rozważać pomysł płacenia za siebie. Choć ceny w porównaniu z Lelonią mieli tu iście złodziejskie.

- Dzban gupissa, dobrze schłodzony - doprecyzował zamówienie Pirr. - I dwa kufle, jeno porządne, miedziane.

Do Debrena dotarło, że pić chce mu się jeszcze bardziej niż jeść.

- Dla mnie...

- Zaprosiłem cię - przerwał mu Pirr - ale to baron płaci. Więc się dumą nie unoś.

- Dlaczego baron?

- Bo mu to do rachunku dopiszę.

Gospodarz podał piwo i znikł na zapleczu.

- Kupić nas chcecie? - Debren nie sięgał po kufel. - Ją nową sukienką, mnie drogim trunkiem?

Pirr upił nieduży łyk. Nie wyglądał na tak znużonego, jak znużony czuł się Debren - ale od czego iluzja. Dziwił raczej brak woni potu. Sianel zwietrzył, a mimo to po zapachu nie dało się poznać kogoś, kto ma za sobą wiele klepsydr wysiłku. Szczęśliwiec. Debren zazdrościł Ammie tej balii i mydła. Czuł się brudny

- W Lelonii - uśmiechnął się Pirr - gupiss za luksus uchodzi. Kurs monety macie z księżycyca wzięty. Więc pewnie wyliczyłeś, że jak smok parę naszych talarów Ammie rzuci, a ona z tego tobie połowę, to bogaty do domu wrócisz.

- Nie dla... - Debren ugryzł się w język. Za późno.

- Nie dla zysku z nią idziesz? Czyli zostaje strach, litość, honor albo... - Pirr celowo zawiesił głos.

- O co wam idzie, panie mecenasie?

- No, pijże... Ostatnie twoje piwo. - Debren zastygł z kuflem przy ustach. - Od smoka żywy nie wrócisz.

Gupiss, o dziwo, smakował z grubsza tak jak lełońskie piwa, naturalnie te lepsze, choć w Starohucku czy Gorszawie kufel kosztował więcej niż ceber przedniego martwca, a w Dumayce w ogóle nikt go nigdy na oczy nie widział. Ale może z ostatnim w życiu piwem tak już jest.

- Niektórzy wracają - mruknął.

- Na bajkach się wychowałeś? Wiesz, jak to się skończy? Ciebie smok zabije, a Ammę uwięzi i twym mięsem będzie karmił. Co jej dodatkowych cierpień przysporzy.

Debren parsknął śmiechem.

- I to niby ja się na bajkach chowałem? Smok to smok, a nie jakowyś dewiant okrutnik! Zezre czasem człowieka, owszem. Ale pastwić się, karmić jednego drugim?!

- Dużo wiesz o smokach? - Debren wolał zająć się gupissem. - A ja co nieco słyszałem. I uprzedzam: smok może dziewicę oszczędzić.

Ale taką, która się wspólnikowi w ramach zapłaty oddała, zeżre w mgnieniu...

- Nie wiem - powiedział szybko Debren - o czym...

- Garbaty jestem, nie ślepy. Widzę, jak się na nią gapisz. Otóż samym gapieniem się szkód narobisz...

- Nie gapię się!

- ...bo się mocno zmieniła - zignorował protest Pirr. - Kiedyś by cię wyśmiała, nic byś nie wskórał. Pamiętam, jak pierwszy raz... Zobaczyłem ją, zatrzymałem się... Och, smarkata była. Ale już harda, świadoma swej urody. Bo urodziwa to ona jest - uśmiechnął się pod nosem. - Teraz nawet. Uroda to nie tylko twarz i figura. Tu - postukał palcem w skroń - też ją kobieta nosi. I gdy samej sobie piękną się wydaje, jej wiara na ludzi przepływa. Amma zawsze to miała. Stąd jej nieszczęścia.

- Ma... jest taka... - Zapatrzonego w przestrzeń Debren nie chciał o tym mówić, ale nie mógł się oprzeć. - Taka...

- Odrażająca - Chłopak drgnął. - Nie gap się tak. Dobrze słyszałeś. Ci, co widzieli jej twarz... No nie gap się, mówię. Nie chcę jej ubliżyć. Ani tobie tym bardziej.

- Mnie? - Debren rozważał, czy opróżnić kufel jednym haustem, co może ugasi pożar policzków, czy machnąć ręką na dumę i grzmotnąć nim garbusa.

- A kogo najmocniej bolą kpiny z brzydoty panny? Tego, co za nią ślepiami wodzi.

- Ja - rzucił przez zęby - za nikim nie wodzę. Po prostu... razem nam podróżować przyszło.

- Nie łżyj. Nocą z grodu zbiegłeś, by ją ratować. Siłą i po trupach.

- Zbiegłem, bo mi burmistrz paskudną ofertę przedstawił. Nie powiem, jaką, ale...

- To nie mów. Mów, czego od Ammy oczekujesz.

- Niczego! Ogłuchliście, panie jurysto?! Przypadkiem los nas w ucieczce połączył, i tyle!

- Aha - powiedział spokojnie Pirr. - Więc teraz sobie powiecie: „Żegnaj” i rozejdziecie się w przyjaźni?

Debren uniósł kufel. Ale sączył, sączył - a tamten cierpliwie czekał. W końcu trzeba było coś odpowiedzieć.

- Nie zdążyliśmy pogadać - mruknął.

- A o czym tu gadać? Obca dziewczka, kawałek po drodze wam było. A teraz ona do smoka lezie, na pożarcie. I już nikomu rozumnemu nie może z nią być po drodze. Mam rację?

Pewnie, że miał. I Debren był mu nawet wdzięczny za ujmowanie tej racji w proste słowa. Tyle że wolałby być teraz sam. I lepiej z beczką, nie kuflem gupissa.

- Ale rozumny - kontynuował Pirr - mógłby jeszcze kawałek z nią pójść. Licząc na uzyskanie czegoś. Dlatego o twoje motywy pytam. Co Debrenem kieruje. Strach, litość, honor czy potrzeba zdobycia kobiety. Bo że nie dla zysku z nią idziesz, już ustaliliśmy. Więc dlaczego?

- Po pierwsze: nie idę, jeno szedłem. To wy konia macie; może teraz was wybierze na towarzysza i...

- O tobie mówmy.

- A po drugie: musimy się rozliczyć. Bośmy sobie nawzajem życie ratowali, a ona mnie do niewoli brała i parol wymuszała. Więc teraz trzeba porachować, co kto komu winien i czy już faktycznie mogę odejść. Bo a nuż jeszcze nie? My, Lelończycy, co prawda obce kobiety po kończynach całujemy, ale dzicy tak do końca nie jesteśmy i umów zwykliśmy dotrzymywać.

- Aha: ona cię króciwą postraszyła, ty słowo dałeś i teraz nie możesz uciec. Życie ci też ratowała, więc i tego typu honorowe zobowiązanie cię trzyma. Rozumiem. Ale jeśli się okaże, żeś jej

więcej honorowych długów spłacił niż zaciągnął? Odejdiesz?

- Nie wiem - wyznał Debren, zaskakując samego siebie.

- Czyli nie tylko zobowiązania? Tak myślałem. Pytanie, co cię przy niej mocniej trzyma: litość czy pożądanie.

- Pożądanie?! - Próbował się oburzać, ale wyszło tak sobie. - Zgłupiałeś, człowieku?!

- Czarodziej musi mieć wyobraźnię - wzruszył ramionami Pirr. - Bez tego ani rusz. Ty ją oczywiście masz. Więc niby lepiej niż inni umiesz sobie dopowiedzieć, co kryje chusta Ammy. Ale wyobraźnia to podstępna, obosieczna broń. I kiedy podświadomie nie chcesz rzeczywistości postrzegać, to nie ją widzisz, tylko zrodzony w wyobraźni obraz. Pannę cudnej urody. Zresztą... to nie tak, że zmyślasz. Po prostu wybierasz to, co w niej piękne zostało. Oczy, dłonie, stopy, sylwetkę. I to, co w głowie nosi. Odwagę, dumę, zadziorność. Wielce jest zadziorna - uśmiechnął się. - Gdyśmy się pierwszy raz spotkali... Ja, w jedwabiach, złotem ociekający, i bosonoga smarkula z sińcem pod okiem, bo ojcu humor nie dopisał... Wiesz, co mi powiedziała? „Jak ci się cycki marzą, staruchu, to krowy poszukaj.” A miała te cycki od śliwek nie większe.

- Tak wam powiedziała?

- Baron raz popił i się żalił, że o cenę im poszło. Nie żaden tam wstręt, bo od innych kobiet taka znów inna nie jest i podobał się jej, jak każdej. Gotowa była pod pierzynę mu wskoczyć. Tyle że... za cenę ślubu. Aż mu szczęka opadła. On, wielmoża, obiekt westchnień księżniczek... i córka garncarza?! Wyśmiał ją, a potem, by opór złamać, na złość jej siostrę zaczął uwodzić. Zabeta się naturalnie zakochała, więc gdy wyszło szydło z worka, że to dla zdobycia Ammy, do rzeki się rzuciła.

- Łziesz - rzucił Debren przez zęby.

- Cóż ci w tej historii nie pasuje? Zbyt życiowa? Nie jak z bajki o złym baronie i szlachetnej dziewczycy?

- Czego ty właściwie ode mnie chcesz, Pirr?

- Uprzedzić jeno. Smok nie jest głupi. Pozna, że to nie kandydatka na narzeczoną przed jaskinię mu zawitała, tylko kogoś innego kochanka. I wtedy ją... - kłapięciem okrytych rękawicą palców pokazał ruch smoczej paszczy.

- Kochanka? - Debren zeszywniał. - Amma... ma kogoś?

- Właśnie pytam - popatrzył mu w oczy Pirr. - Nie o to, czyś ją po drodze w krzaki zaciągnął, bo widzę, że jeszcze nie. Ale czy zamierzasz.

Debren wstał, głośno odsuwając i ławę, i kufel.

- Koniec rozmowy. Zapłaćcie i w drogę.

- Nie rozumiesz. Nie potępiam cię. Jeno chcę upредить, że potem albo się dziewczyną zaopiekujesz, albo na bezsensowną śmierć ją pošlesz. Ty właśnie, nikt inny. Umrze z twojego powodu. Bez nijakiego sensu.

- Amma zrobi, co zechce.

- Pewnie. A ponieważ Amma chce się do smoka dostać, a potem jeszcze ze smokiem negocjować, względnie walczyć, twoja pomoc jest dla niej na wagę złota. Złota nie ma, ma za to cnotę. Na którą ty z kolei masz apetyt.

- Obłeśny jesteś, Gruszka - rzucił przez zęby.

- Ale za to dalej myślę w przód wybiegam, niż do skoku między babskie uda. Pomyślałeś, co potem? Dasz się pożreć razem z nią? Czy wypniesz się na honor, uciekniesz i samą na pożarcie pošlesz?

Debren nie słuchał dłużej. Odwrócił się na pięcie i wyszedł, trzaskając drzwiami.



Nosiło go po pobliskich pastwiskach niemal pół klepsydry. Nie bardzo widział, któredy i dokąd idzie, nie zdziwił się więc, gdy dookoła wyrosły drzewa. Las był tak samo dobry i tak samo zły, by bić się z myślami i od myśli uciekać. Powędrowałby więc dalej lasem, mieląc w głowie nadzieje i lęki. Przypadek skierował go jednak pod właściwy dąb. Drzewo niczym się nie wyróżniało i Debren po prostu miał szczęście, że próbował wejść do złowrogiej kniei akurat wtedy.

Pod drzewem, lekko cuchnąc resztkami niedokładnie obranego mięsa, bielila się ludzka piszczel. Debren zatrzymał się, popatrzył w górę, a potem przykucnął i, poruszając jedynie głową, zlustrował korony drzew. Głównie te, które zostawił za sobą, ale naturalnie zerknął też na dąb, spluwający tak makabrycznymi ogryzkami.

Dąb, ma się rozumieć, rósł sobie spokojnie i niczym nie pluł - to nie była żadna elficka puszcza, a zwykły anvaski las średniej wielkości. Porastały go zwyczajne drzewa, a nie mutanty, które magia elfów uczyniła postrachem drwali. Tyle że rozłożyste, nisko zawieszony gałęzie i sąsiedztwo innych podobnych drzew, o koronach przenikających się nawzajem, wytworzyły zbyt wiele zawieszonych nad ziemią szlaków. Takie miejsca przyciągają gałęźnice. Zwłaszcza dąbrowy są pod tym względem niebezpieczne. Spadające żołędzie wabią świnie, za świniami przychodzą prosiaki, psy i pastuszkowie, użyźniona odchodami ziemia porasta bujną trawą, kusząc króliki... Krótko mówiąc: da się pojeść i przeżyć, nawet jeśli zamieszkujący korony drzew bies okaże się leniwcem, siedzącym i czyhającym na zdobycz w jednym i tym samym miejscu.

Ten tutaj na szczęście leniwy nie był. Polazł gdzieś, dzięki czemu Debren wykpił się spoconymi na zimno pachami, paroma pacierzami strachu i powrotem na czworakach. Wolał nie ryzykować odwrotu biegiem: gałęźnica potrafi poruszać się niewiele

wolniej. A ta była duża i silna. Po ogryzkach poznasz gryzącego, zaś resztki szkieletu, które wypatrzył między listowiem, wysoko na dębie, należały do dorosłego mężczyzny. Płci nie dało się naturalnie ustalić - spleciona z drobnych gałązek siatka-spiżarnia przesłaniała widok - ale kobiety nie chadzają w pancerzach. Pewnie potwór dopadł któregoś ze zbrojnych, eskortujących kupieckie wozy. Pewnie nocą, gdy tamten przysypiał gdzieś na obrzeżach biwaku, wsparty na sulicy. I pewnie nie sam: co innego podejść ofiarę, chwycić znienacka za gardło, podciągnąć do góry i udusić, a co innego zawlec potem na strzał z łuku od gościńca. Czyli gałęźnic musi być tu więcej. Pirr nie zełgał, strasząc lasem o złej sławie.

Debren dotarł z kozikiem w zębach i na czworakach poza lizjerę lasu, wstał, złożył ostrze, schował nóż do sakiewki i wrócił do oberży. Dopiero teraz wypatrzył zabezpieczenia, pozwalające gospodarzowi ignorować zamieszkaną przez krwiożerczych sąsiadów las: wykarczowany teren i płot, niby niski, ale z zamykaną bramą, co w przydrożnych gospodach stanowiło rzadkość. Płot nabito kolcami, a obok, w dwóch budach, drzemały potężne owczarki. Drągów ze ścierwami gałęźnic, często widywanych w lełońskich przysiółkach i gajówkach, nie było, ale ostatecznie gałęźnica to sprytny potwór. Łatwiej go odstraszyć dobrym płotem i czujnym psem niż trupami kuzynów.

Debren otworzył i zamknął za sobą bramę, przeszedł przez podwórze, zagapił się na oberżystę, mocującego do komina drugą już ustawioną pionowo kosę. Kosy nie były jedynym nowym elementem: przez całą połąć ściany biegł świeży, wykonany wapnem napis: „Radosnych godów!!!”

- Na smoka? - upewnił się Debren. Gospodarz zerknął ponuro przez ramię, skinął głową. - I to... pomaga?

- Przepisy - splunął na gonty oberżysta. - Zaraza by je wzięła... Z

wczesnowieczna jeszcze. Durne, ale obowiązują, jak to u nas. Tradycja w Anvashu rzecz święta.

- A te gody... Wesele ktoś wyprawia?

- To nie wiecie? Smokowi się baby zachciało. Kosy każą wystawiać, trudno, wystawię, bo mi koncesję odbiorą. Ale nigdzie w prawie nie stoi, że nie można sąsiadowi pomyślności życzyć. Jak się dowie, że mu życzliwy, to się może i za kosy nie pogniewa.

- Ale... niby jak by się miał dowiedzieć?

- Tego to ja już nie wiem. Ale wiem, że łapę na pulsie trzyma i wie, co się w okolicy dzieje.

Wrócił do oplatania komina sznurkami. Debren, nie mając odwagi pytać o towarzyszy, po prostu zaszedł do stajni. Jeśli nie będzie konia...

Smoliście kary koń Pirra stał jednak tak, jak go zostawili, z siodłem na grzbiecie i sakwą Debrena zwisającą z przedniego łęku. Z tyłu siodło też miało jakieś torby. Właściwie nie zamierzał ich oglądać. Ot, po prostu zerknął, nie umiając zdobyć się na powrót do oberży i kolejną dyskusję, czy to z Pirrem, czy z Ammą.

Torba po prawej była dziwna: zszyta drutem, wykonana z grubej ćwiekowanej skóry, bardziej kojarzyła się ze skórzanym pancerzem niż sakwą. Zaopatrzone ją w pochewkę, w której tkwił krótki, gruby kij, opasany na końcu pierścieniem. Pierścień połączono z pochewką rzemykiem, pewnie po to, by narzędzia nie zgubić, ale czemu samo narzędzie miało służyć - Debren nie miał pojęcia. Zdziwił go też wykuty z miedzi i zamocowany do juków znak koła popiątnego wpartego na skrzyżowanych piszczelach. Takie samo trupie kółko umieścił Ruuten na drzwiach, ale tam przynajmniej dopisano runami, czego się bać. Czyżby Pirr był na tyle naiwny, by wierzyć, że odstraszy w ten sposób koniokradów? Jeśli tak, to ośmieszał się po dwakroć, bo nawet gdyby mu się trafił jakiś

bojaźliwy, i tak pewnie przegapiłby ostrzeżenie - wisiało po niewłaściwej stronie konia. Na wierzchowca, także kradzionego, wsiada się z lewej.

Więc może o samą torbę chodzi? Dotknął jej, uniósł czort wie po co. Bo cóż można wywnioskować o zawartości juków z ciężaru torby? Choć ta akurat dawała do myślenia: zdumiało go, ile waży. Kamienie tam wozi, czy...?

Nie zdążył dokończyć myśli. Koń drgnął, niby nieznacznie, ale wystarczyło, by kij wyskoczył nagle z pochewki, zakręcił w locie...

Więcej Debren nie zapamiętał.



Ocknął się z wiązką słomy pod potylicą i dłonią Ammy na czole. Dłoń pachniała mydłem. Czoło bolało.

- Co... Ko... koń mnie kopnął?

Potrzymała dłoń jeszcze znacząco długą chwilę - może i ze trzy momenty tego było - po czym zaczęła pisać. Klęczała nad nim, tabliczka leżała już w gotowości na udach. Miała na sobie inną suknię, która wprawdzie niczym nie pachniała, ale była czysta i przynajmniej nie wymuszała oddychania przez usta. Dopiero teraz do Debrena dotarło, że zdążył nabrać takiego nawyku.

„Pirr muwi, rześ sie do jego sakf dobierał, wienc cie kij samobij tzasnoł.”

Poszukał wzrokiem, ale ani kija, ani siodła, ani nawet konia w stajni nie było.

- Samobij? - stęknął. - Nie może być...

„Sama widziałam. Latał na sznórku, konia spłoszył. Ledwie śmy obu opanowali. Pirr muwi, rześ mu całe zaklencie zurzył. Pojechał nowe kópic.”

Pomogła Debrenowi usiąść.

- Skąd on samobija wytrzasnął? - Rozcierał obolałe czoło. - To zakazane i mało praktyczne. Od lat nikt...

„*Dobierałeś sie?*” - przerwała mu.

- Za złodzieja mnie masz?! - poczerwieniał.

„*On hyba miał. Gemba mu*” - musiała się zastanowić nad stosownym opisem. Wreszcie dokończyła: - „*Zły był.*”

Debren już miał odwarknąć, gdzie ma złość Pirra, kiedy nagle uświadomił sobie, że rozzłoszczenia jurysty nie dane mu było jeszcze oglądać.

- Niczego nie kradłem - bąknął. - Do rzyci ten jego samobij. Zresztą dlatego ich zakazali: bo durne są i wypadki powodują. Po prostu... za blisko konia stanąłem.

Podnieśli się oboje.

„*Srebro tam pewnie wozi*” - napisała. - „*W karzdym razie coś cienszkiego i cennego.*”

- Skąd wiesz?

Uśmiechnęła się. Oczu i czoła w zupełności jej wystarczało na piękny uśmiech. Strach pomyśleć, co mogła zdziałać kiedyś, mając do dyspozycji resztę twarzy.

„*Bo cie za złodzieja nie mam. Pomyślałam rze skoro samobijem oberwałeś, toś pewnie hciał sprawdzić, czego samobij pilnuje. I sama tesz próbowałam. Cienszkie. A rze cenne, łatwo po samobiju wywnioskować.*”

- Próbowałaś? I... nie dało się? - Pokręciła głową. - Co on tam chowa? To nie srebro - uprzedził ruch rylca. - Całe grzywny by tego były, istna fortuna. Miedziaki, jeśli już. Ale znów po co tyle denarów dźwigać? Konia żał. Na srebro by wymienił. A dokąd on właściwie...?

„*Powiedział, rze nas zostawia byśmy w spokoju ózgodnili, czego*

tak naprawdę chcemy. Oras odpoczeł. I rze on samobija musi nowym zalkenciem załadować, bo to jego samoobrona, a tyś go bezbronnym uczynił, kaleke. I konia mu spłoszyłeś, ot czego chipnoza osłabła i teras morze go zrzócić. Wienc i s koniem do zaklinacza musi. Ale otszuka nas. Ale ja mu nie wieże, znaczy z tym samobijem.”

- Dlaczego?

„Do samoobrony nie wiąrze sie kija na krutkiej lince. Ta latajonca pałka ma jukóf strzec. Nie Pirra i nawet nie konia. Krenci Gruszka, bo w sakfie coś ukrywa.”

Debren podzielał jej zdanie. Ale w tej chwili bardziej obchodziła go inna sakwa.

- A moje księgi? - przestraszył się. - Wisiały...

Uspokoiła go gestem, po czym pokazała, by szedł za nią. W głowie nadal mu wirowało, lecz nie na tyle, by sam siebie zdołał ołgać odnośnie potrzeby wspierania się o Ammę. Poszedł więc na poddasze za nią, a nie uwieszony jej ramion. Choć raz i drugi zerknęła na niego niepewnie i widać było, że gotowa jest pomagać.

Starał się nie zastanawiać, czy to solidarność druha, czy coś więcej. Ale w końcu nie wytrzymał, musiał zadać sobie to pytanie. Pokonał go widok izby na poddaszu.

Pośrodku stała balia, wciąż z parującą wodą i kożuchem mydlin na wierzchu. Z lewej, przewieszona przez krzesło, ociekała po praniu suknia Ammy. A po prawej kusło świeżą bielą szerokie małżeńskie łoże z odchyłoną zachęcająco pierzyną. Debren od razu poczuł się zmęczony, senny, obolały... Wymoczyć w ciepłej wodzie wszystkie siniaki, zadrapania i obtarcia, zmyć z siebie śmierdzący strachem pot, dać odpocząć obolałym mięśniom... Ależ cudownie by było. A potem zalec w miękkim łożu.

- Uprałaś suknię? - bąknął.

Pokręciła głową w niemal spłoszonym przeczeniu.

„Gospodyni” - napisała szybko. - „Rzem sie kompała a ona bez mej wiedzy. Pirr jej kazał. Pieżyne przynosiła, ścieliła łoże, tom nie zauwarzyła, kiedy mi ubranie zabrała. I teras fszystko mokre. A tom suknie co mam na sobie to Pirr jeno porzyczył.”

- To znaczy... nie możemy odejść? - upewnił się. - Póki się nie wysuszy?

Odpowiedzią było zakłopotane spojrzenie. Ale sam zrozumiał, jak głupio pytał. Nocą, też mocno przemoczeni, po prostu szli i schli, choć było znacznie zimniej.

Przez chwilę stali, nie patrząc jedno na drugie. W końcu Amma uniosła tabliczkę, napisała: *„Na słońcu wyszne.”*

Ale wzroku jakoś z Debrenem nie krzyżowała.

- Przedtem też nas do suchej nitki... - przypomniał. - I jakoś... No, aleśmy szli forsownym marszem. A to rozgrzewa. - Pomilczał chwilę. - Daleko do tego smoka?

„Jusz blisko.” - Zastanowiła się i dopisała: - *„Nie wiem dokładnie. Całe rzycie w Triklej mieszkam.”*

- Jeśli blisko - podchwycił - to zdążymy wysuszyć i dojść. A jeśli daleko, to też lepiej nie iść w mokrej sukni. Po sobie widzę, jak wiele sił w nocy straciłem. Mokre ssie energię, że strach. Na wykładach nas ostrzegali... Dojdiesz przed smoczą jaskinię, na twarz z przemęczenia padniesz i tyle korzyści... - Zawahał się, wziął jednak byka za rogi. Tego mniejszego. - To znaczy... o ile nadal chcesz iść do smoka.

Głupia wątpliwość? Może, ale znamienne, jak długo zbierała się do kiwnięcia głową. Całe momenty.

- Czyli odpoczywamy - zdecydował. - Ja zresztą bez odpoczynku też wiele nie wyczaruję. - Pokiwała głową, tym razem natychmiast. I tabliczkę też uniosła dużo energiczniej.

„Wykomp sie, ciepłe jeszcze i mydła ci zostawiłam. Woda mało

brudna, bo ten deszcz, no i rzem sie wczoraj myła nim pod „Ucieszny Róg” poszłam. Ja pranie rozwieszę. Nie buj sie, nie wleze tu póki sie bendziesz kompał. I ci kalesony upiore, skoro wode mamy z mydłem. I onuce.”

Im bliżej końca, tym runy były mniejsze, stawiane chyba z wahaniem. Albo może tylko tak mu się wydawało? Może własne zmieszanie przypisał dziewczynie?

A właściwie kobiecie. Od tego jej gospodarskiego podejścia, trochę jakby matczynego, nagle przypomniał sobie, że jest od niego starsza. No i dzięki światłu. Nocą, walcząc o nią i opiekując się, miał wrażenie, że to on był tym bardziej dorosłym. Lecz teraz widział smutne, przedwcześnie postarzałe oczy, zmęczone, mało młodzieńcze ruchy, a nawet coś, co brał za załążki zmarszczek.

- Niczego mi nie musisz prac. - Zdołał powiedzieć to spokojnie; z zakłopotaniem, ale spokojnie.

„E tam” - napisała, uśmiechając się oczyma. - „Lubie prac. Jak ciepła woda i mydło.” - Zawahała się, dopisała jednak odważnie: - „Gdy pieżesz i goły pszy tym nie jesteś, to sie bogato czójesz. Bo znaczy, rze masz opał i mydło, i co na zmianę włożyć.”

- Jeno że ja - przypomniał - nic na zmianę nie mam.

Pokazała mu łóżko. Z uśmiechem. Zgarnęła ociekające wodą rzeczy i wyszła, a on, nie za bardzo wiedząc, co robi, rozebrał się do naga i wlaż do balii.

Dobrze chociaż, że woda podstygła i odstraszała od długiego przesiadywania. Umył się i wlaż pod pierzynę, nim Amma zapukała i wkroczyła do izby.

Nie poczekała na jego: „Wejść!”

On z kolei nie wciągnął na siebie niczego, choć kalesony miał całkiem świeże, zmienione specjalnie na podróż do Trickley. A jednak zostawił je, na widoku w dodatku, tyle że zwinięte w

skromną kulę.

Dżuma i syfilis, co tu gadać - oboje o tym myśleli.

Widział to w ruchach jej dłoni, sięgających po jego bieliznę. W zakasaniu pożyczonej sukni. Klękając nad balią, tak chroniła ją przed ubrudzeniem, że cały nadmiar znalazł się między udami, przez co tkanina ciasno opięła ich krągłości, a reszta nóg ukazała się aż po kolana. Praczki owszem, też tak klękały - ale nad rzeką, w błocie, no i w babskim gronie.

Pewnie i ona wyczuwała, co mu po głowie chodzi, bo Debren, zamiast odwrócić się do ściany i spać, czy choćby gadać o byle czym, leżał okryty po pierś i gapił się na nią bez słowa.

Cholerny Pirr. Musiał specjalnie zamówić tę pierzynę. Latem nawet ważnym gościom nikt pierzyn w gospodach nie oferuje. Honorują ich zapadnickimi tkaninami z wełny wielbłądów, muflonów albo i jednoroźców, by w lipcowe noce nie ociekali potem, lub po prostu dają drugie prześcieradło.

Czemu nie umiał być jak inni? Nie potrafił mrugnąć znacząco, wyszczerzyć zębów, poklepać tego kawałka łóżka obok siebie, pokazując: „No, dalej, chodźże”? Bo czuł, że i ona nie jest jak inne? Że nie podbiegnie ochoczo, chichocząc, a potem, w odpowiedzi na niezdarne pieszczoty, nie będzie, jak tamte, mamrotać o uważaniu, bo jej do pieluch i powijaków niespieszno, i żeby byli cicho, bo jeszcze ktoś gotów zajrzeć i przyłapać?

Leżał więc i patrzył, jak Amma pierze.

Zsunęła kaptur, odwracając wzrok. Wstydliwie, jak ktoś zmuszony do obnażenia się. Debren podświadomie wstrzymał oddech, ale pod spodem nie było niczego, co wymagało ukrywania przed światem. Widoczne spod chusty połówki uszu wyglądały całkiem zwyczajnie, brązowe włosy, gdyby je nosić odsłonięte, wyróżniałyby się najwyżej nietypowym uczesaniem: mało która kobieta czesze się w koński

ogon. Kucyk właściwie. Inne panny splatały swe bujne warkocze i nigdy nie skracaly włosów aż tak. Ale wyglądała ładnie i Debren długo zastanawiał się, po jakie лихо łązi w tym mnisim kapturze.

Uznał, że próbowała uchodzić za temmozankę. Ludzie widzą taką i nie doszukują się okaleczeń pod kwefem. A temmozanka, jak wiadomo, i włosy musi nosić zakryte.

Naiwne. W małym Trickleby każdy miejscowy i tak wiedział, w czym rzecz. A każdy przyjezdny dowiadywał się pewnie raz-dwa, tak jak on, Debren, poczęstowany bryłką łajna.

Dziwne: pamiętał o tym wszystkim, z łajnem włącznie, a nadal potrzebował pierzyny, by skryć swe pragnienia.

Amma skończyła pranie, nie poszła jednak suszyć go na podwórzu. Otworzyła okienko i wyłożyła kalesony i onuce na dach. Od rozgrzanych w słońcu dachówek już teraz buchało ciepłem. Zapowiadał się gorący dzień. Debren nagle odkrył, że zdążył się spocić.

Cholerny Pirr. Nie da się spać pod pierzyną w lipcowe południe, na poddaszu.

Potem zapomniał o garbusie, bo w końcu zabrakło pracy i Amma stanęła pośrodku izby, wyraźnie niepewna, co dalej. Debren wykrzesał z siebie całą odwagę, przesunął się pod ścianę i ostrożnie dotknął zwolnionego miejsca.

- Zmęczona jesteś.

Na więcej nie starczyło mu śmiałości, ale okazało się, że nic więcej nie musi mówić. Trochę go rozczarowała, zgarniając ze stołu tabliczkę i rylec, potem jednak, jak gdyby nigdy nic, położyła się obok niego i serce zaczęło mu walić dwa razy szybciej. Czyli, w sumie, cztery razy częściej niż normalnie, bo już wcześniej biło jak przy biegu. Był nagi i leżał obok kobiety!

Ona też leżała. Długo. Niby trzymała tę tabliczkę, ale gdzieś z

boku. Nie próbowała pisać. W końcu Debrenowi zaświtało, że może na coś czeka; może, by jej jakoś znacząco dotknął albo coś powiedział - tyle że akurat wtedy przestała czekać. Chyba przegapił okazję.

„Jak ci przeszkadzam, to zejde do stajni.”

- No coś ty?! - Niemal usiadł. - Ja zejde!

Uśmiechnęła się. Nim ją poznał, nie wiedział, że oczu i tego kawałka twarzy obok wystarczy, by podarować komuś uśmiech. I to ładny w dodatku.

„Goły jesteś. I czarodziej. Lesz. Dla mnie i stajnia to jak pałac. Nie fstyć sie, muw szczerze.”

- Nie przeszkadzasz mi - zapewnił. - No coś ty!

Znów leżeli, patrząc w skośny dach. Debren pocił się i nie miał odwagi zezować, sprawdzać, czy i ona zezuje w jego stronę. Ulżyło mu, kiedy zaczęła pisać.

„Ale cudnie. Mienciuśka ta pieżyna. Jak w raj.”

- No... pewnie tak. - Jego zdaniem pierżyna była przede wszystkim ciężka i straszliwie grzała.

„Zimom miałam pieżyne. Nie takom. Starom. Jeden kupiec na śmieci wyżucił. Cóhneła. Ale jak sie na niej legło, prawie nic od ziemi nie ciongneło. Bo najgorzej to ziemia ciepło zabiera. Spać nie idzie. Ale mi jom ukradli po trzech dniach. W budzie nie ópilnujesz.”

- Tabliczki jej zabrakło, więc zmaszała wszystko i dopisała: - *„Tszeba do cechu dziadów proszalnych pszystać, ftedy ci nikt dobytku nie ruszy. Ale Ruuten z krulem żebrakóf pogadał i ten zażondał, bym sie mu oddawała. Raz w tygodniu.”*

- Co?! A to bydlak...

„Cienszko tak rzyć.”

Maleńkimi runami to dopisała. Gdyby miała język, wyznałaby mu to szeptem. Między długimi rżesami zalsniły lzy. Położył dłoń na jej

ręce, próbował coś powiedzieć.

Przysunęła się bliżej, rękaw sukni przywarł do jego nagiego ramienia. Ale w nie tak znów szerokim łóżku nie musiało to niczego znaczyć.

„Jusz nie mam siły. Zimom nogi odmroziłam. Urżnonć mieli. Powiedziałem, rze zgody nie daje. To medyk, rze umre. A ja mu na to: i dobrze. Baron sie przestraszył, magika najął, ledwie mnie czarami wyratowali. I Pirra pszysłał z magicznymi worem-śpiworem. Od zamarzania hroni. Zziębnać zziębniiesz, wstydu tesz się najesz, bo kto to widział w worku spać, ale pszynajmniej nie zamarznie ci kref. Tom wzięła podarek. I w pierwszy mruz zaniostał Gruszce. Muwiąc: panu sfemu odnieś, pewnie marznie w zamku, bo od kamienia zimom ciongnie.”

- I co? Odniósł?

„A rzebyś wiedział. On jest dziwny. Ale morze tak juryście żetelność nakazuje?”

- Czemu dziwny? - nie zrozumiał Debren.

„Zaniusbyś baronowi worek, to kturęgo ktoś pszes tydzień srał? I to paskudnie. Bo zgniłe zlefki jadłam i mnie biegónka drenczyła.”

Debrena zatkało. Nie umiał tego skomentować. On sam... no nie, sam też by tak nie zrobił. Lecz gdyby to jakiś mężczyzna - zrozumiałby i może nawet by się śmiał wraz z pomysłowym mścicielem, wyobrażając sobie minę barona. Ale kobiecie chyba takie gesty nie przystoją?

Chociaż z drugiej strony - może właśnie kobieta jest skazana na taką, za przeproszeniem, gównianą zemstę? Bo co więcej może zrobić? Na miecze łajdaka wyzwać?

„No wiem” - zazgrzytał rylec w głuchej ciszy. - „Paskudne to było. Poniosło mnie. Nie jestem dobra, Debren. Może to nawet fszystko słószna kara za gzechy. I nawet teras myśli mam gżeszne.”

- To znaczy? - Zaraz potem skłął się w duchu, bo powinien raczej zapewniać, że nie, skąd, niczego złego nie robiła, a baronowi się należało.

„Fstydze sie” - wyznała. Debren przełknął ślinę.

- Nie ma powodu do wstydu. - Oj, żałośnie to zabrzmiało. - Ludźmi jeno jesteśmy.

„Jak cie nie było, do tych ksiong zajrzałam” - wskazała stół i leżącą tam sakwę Debrena. - *„Głupia jestem, co? Wiadomo, rze od zaglondania w magiczne ksiengi ośleponć morzna albo rozum postradać.”*

- No, jeśli ktoś zakłębem zabezpieczy... Ale nie słyshałem, by zabezpieczali. Magowie - uśmiechnął się - roztargnieni bywają. Samemu sobie by taki najprędzej nieszczęście zafundował.

„No widze, rze nie ośleplam” - zażartowała. Zaraz jednak z jej oczu znikł uśmiech. - *„Tam pisało o rużnych iluzjach.”* - Przez chwilę zbierała odwagę. - *„Takich co urode poprawiajom tesz.”*

Teraz i Debrenowi nie było do śmiechu.

„I znalazłam coś o iluzjach tważy.” - Runy były małe, wstydlive. - *„Ómiesz tważ zaczarować?”*

- Ammo... - Coś go ścisnęło w gardle. Na szczęście zrozumiała. Poklepała go po dłoni.

„Nie buj sie. Toć muwie, rze gżeszne te myśli. A ja nie bende jusz gżeszyc. Nie teras. Tak jeno pytałam.”

- Dlaczego grzeszne? - Wzruszył ramionami.

„Bo uroda to narzendzie szatana. Proboszcz mi to objaśnił. Spotkał mnie, gdym do Ruutena szła i sie pszelonkł, rze to do tego strenczyciela z dołu. To aż mnie zabrał na plebanie i długo do sómienia pszemawiał. Bo była u nas w parafii taka jedna s paskudnom brodawkom na gembie co to nikt sie z niem nie hciał żenić. Hoć postawna dziewczka i miła. No i jom jak mnie ojciec coraz

gorzej lał, rze stara panna, i kazał manatki spakować. Wienc do Alfiego Hurhakera poszła i sie ugadali, rze on jej zabieg ufunduje a ona mu to potem otpracuje na ulicy. I magiom tak jej brodawke ukryli, rze sie klienci w kolejce ustawiali. Potem za monż wyszła, za jednego kupca. Troje dzieci ma i ponoć szczęśliwie rzyją.”

Debren bił się z myślami. Mówić? Przemilczeć temat? Ale jak milczeć, kiedy kaleka przełamie opory i już cię zapyta o kalectwo? Ostatnią świnią by był.

- Brodawka to co innego. - Okazało się, że kiedy na nią nie patrzy, może mówić w miarę rzeczowo, bez litowania się. - Pewnie wycięli i po prostu bliznę ukryli. A to o tyle prostsze, że się do podtrzymywania czaru używa krwi pacjenta. Czyli potem już nie trzeba często do maga chodzić ani magicznych eliksirów stosować. Raz na rok czy dwa idzie się czar podładować, a na co dzień energia sama z krwią dopływa. Tyle że to się przy małych polach iluzyjnych sprawdza. No i dobrego chirurga na wstępie wymaga. By podtrzymywacz z żyłami połączył.

„Proboszcz muwi, rze to diabelski proceder. Dziewczyny sie spszedajom a potem prosto do piekła idom. I tam im te poprawione wbrew natórze tważe wcionż na nowo diabły zdzierajom rozpalonymi opcęgami.”

- Nie wiem, co jest potem - mruknął. - Wiem, że na rozległe blizny trzeba drogiej iluzji. Czyli wielu usług dobrego maga specjalisty. Lub specyfików od takiego, co na jedno wychodzi. A nade wszystko...

„Co?”

Dżuma i syfilis.

- Iluzja oszuka oczy, ale dotyku już nie. Factorby siedzi w tym fachu od majstersztyku, niejedno widział. Mówi, że kobietom rzadko takowe zabiegi szczęście przynoszą. Drogie są, więc to mąż płaci, a

jak płaci, chce dokładnie wiedzieć, za co. I potem... no, nawet jak całuje, to gdzie indziej. A najczęściej w ogóle przestaje. - Odchrząknął. - Bo wiesz, tańsze podtrzymywacze wymagają implantu. To takie... no, obce ciało wszywane w skórę. Magiczne kryształy się stosuje, czasem muszle... I to potem... czuć. Mężczyznom łatwiej - uśmiechnął się krzywo. - Zarostem mogą dotyk oszukać. Pirr, przykładowo.

„Pirr?” - Zaskoczył ją. Co jego z kolei zaskoczyło.

- W mieście nie plotkują? Pół gęby ma magią poprawione. Zęby, podejrzewam. Albo może zajęcza warga? W każdym razie głupawo z tą brodą wygląda, przynasz. Dam głowę, że tylko po to ją nosi, by ktoś po dotyku nie poznał. Albo nie - zmienił zdanie. - Rękawic też nie zdejmuję, więc to pewnie jakaś choroba skóry. Kto wie, może nawet początki trądu?

„Nie ómiesz zajrzeć pszes tom iluzje?”

- Umiąłbym. Ale aktywnie. A to tak jak portki komuś ściągnąć albo kobiecie spódnicę do góry zadrzeć. Niby proste, ale... Żaden czarodziej tego nie robi. Nawet draberia bez nakazu pod iluzję nie zagląda.

Zastanawiała się przez chwilę.

„On nie ma baby. Na co mu drogie zaklencie?”

- Może - zażartował - by babę znaleźć?

„S tym garbem nie znajdzie.”

Zerknął na nią. Marszczyła mściwie brwi.

- Nie lubisz go, co?

Nie od razu odpowiedziała.

„Ot pierwszego razu. Jak tylko go ujżałam. Mała byłam, on dorosły hłop, a z miejsca mi sie na cycki zaczął gapić. I tak jakoś” - poszukała właściwych słów - „ślepiami rozbierać.”

- Wiesz... ładne dziewczyny tak na mężczyzn...

„Pamiętam” - zaczerwieniła się. - „Nie w tym rzecz. On jakoś dziwnie patszył. Inaczej. Nie jak inni. Jakby kobyłę na jarmarku oglądał. Czy żrebna bendzie. I” - zawahała się - „nie dla siebie hyba szukał.”

- Jak to: nie dla siebie? - zaniepokoił się. - Chciał...? Coś ci... proponował? Skąd wiesz, że...?

„No nie wiem” - wyznała. - „Nic nie mówił. Patszył jeno. Ale tak dziwnie. I tak czółam. Nie wiem czemu.”

Musiała dostrzec wyraz powątpiewania w jego twarzy.

„To sługus barona. Besfstydney. Wiesz, czemu tu lerzymy?” - Chyba ją poniosło, bo potem jakoś nie brała się do wyjaśniania. W końcu jednak przełamała opory i dopisała: - „Chce byśmy się dudkali. Ómyślił sobie, rze jak s tobą zgżesze, to jusz nie pujde do smoka, bo niby po co?”

Debren leżał jak ogłuszony. Nie jej słowami - własną bezmyślnością. Balia, pierzyna, pranie... Dżuma i syfilis, przecież nawet podśmiewał się w duchu z prostackich metod jurysty! I doskonale rozumiał, że to wszystko po to, by ich tu zatrzymać! Ale przez te parszywe ferromony łeb miał tak wypełniony Ammą i tym, co mógłby z nią robić, że nie pociągnął myśli dalej. Przyjął, że Pirr chce tylko zyskać na czasie. Dać mu okazję, by zgrabnie wycofał się z głupiego układu - bo przecież panu mecenasowi nie przyszło do łba, że ktoś może poważnie rozważyć pomysł pójścia na smoka w towarzystwie brzyduli i nędzarki.

Machrusie słodki, jak mógł nie pomyśleć...?

Bo to absurd - dudkać dziewczynę, której pół twarzy brakuje. A poważny prawnik nie snuje planów, licząc na czyjeś absurdalne postęпки.

„Nie buj się.” - Runy znów były małe. - „O to tesz cie nie poprosze.”

- Co? - drgnął. Szybko zamazała ostatnie słowo.

„Nie zapytam, chciałam rzec. Nie czytaj tamtego. Bo ópraszać nie miałam zamiaru. Nigdy i nikogo.”

Oboje byli jednakowo różowi. Nie czerwoni, a różowi tylko. I zwilżeni potem, którego żadne nie próbowało obcierać z czoła.

- Ja... nie musisz nikogo upraszać... Niejeden by...

„Nie łzyj.” - Uśmiechała się, więc nie próbował protestować. - *„Wiele to nie znaczy, aleś mi teras w całym śfiecie najbliższy, więc nie hce, byśmy sobie łgali.”*

- Najbliższy? Ja? - Nie był pewien, czy go to cieszy, czy przeraża.

„Mam rodzinę, wiem. Ale z nich nikt dla mnie głowy nie natstawił. Wolom udawać, rze nie znajom poczfary.”

- Nie mów tak - mruknął.

„Kiedy tak w rzyciu jest. Tesz nie poszłam, gdy Zabetke grzebali. Bo za mórem cmentaża. Fszak samobójczyni. Gżesznicza. Dopiero potem, po ciemku. By nikt nie widział. Tak jusz jest w rzyciu, Debren. Otsuwamy sie ot takich, co brudzom. Ot nieszczęścia. By na nas nie pszeszło i by ludzie nie gadali. Wienc nie mam do moich rzalu.”

- Sama widzisz - podchwycił. - Ty na chwilę siostry się wyparłaś, a przecież potem naplułaś w gębę jej krzywdzicielowi. Byłaby z ciebie dumna. Pewnie i twoja rodzina tak naprawdę cię kocha. Jeno... no...

„Nie gadajmy o nih” - ucięła temat. - *„Śpij. Pirr muwi rze magik, jak sie mocno naczaruje, odespać musi.”*

- Tak ci powiedział? - Debren znów poczuł mętlik w głowie. Z jednej strony wszystko coraz bardziej do siebie pasowało, ale z drugiej, jak nóż o szkło, zgrzytały mu w pamięci słowa jurysty: *„Potem albo się dziewczyną zaopiekujesz, albo na bezsensowną śmierć ją pošlesz...”*

To się kupy nie trzymało. Pirr opłacił im izbę, pranie i pierzynę,

namawiał Ammę do przerwy w podróży i w ogóle zrobił wszystko, by wepchnąć ich do jednego łóżka. A jednocześnie - zniechęcał Debrena. Dziwne.

Chyba że... Aż mu serce do gardła podeszło.

„Podobno mężczyzna najlepiej pszy niewieścim boku w sen zapada. Tak słyszałam.” - Zaczerwieniła się. - *„Ciepło go ósypia. Wienc najlepiej, jak ona spocona.”*

To też jej Pirr powiedział? Debren nie miał odwagi pytać. W ogóle zabrakło mu odwagi, na cokolwiek.

„Zgżałam się” - kontynuowała Amma. - *„Szytko sie teras mencze. A i pod tom pieżynom pewnikiem gorąco. To byś jak dziecko spał.”*

Milczał. Z całych sił odpychał najgorsze z podejrzeń: że to baron, rękoma swego garbatego sługusa, wystarał się o kolejną torturę dla dziewczyny. Pewnie straszna. Pewnie brzydkie dziewczęta okrutnie cierpią, kiedy po latach samotności dokona się cud, los umieści je w łóżku przy nagim boku kogoś, kogo lubią, i gdy ten ktoś zniecka powie: „Idź precz, paskudo”.

Oczywiście, nigdy jej tak nie powie. Tyle że czyny, względnie ich brak, potrafią zastąpić dużo gorsze słowa.

Ależ się wpakował... Ależ durniem się okazał...

Pocił się; teraz już tak, jakby tuzin razy obiegił oberżę dookoła, mając na sobie nie tylko tę parszywą pierzynę, ale jeszcze i łóżko. Przerazała go myśl, że Pirr mógł wiedzieć, co robi. Że znał Ammę na tyle dobrze, by przewidzieć, co ją tak naprawdę zabol.

A pewnie znał. Umiał ludziom w dusze zaglądać. Debrena, przykładowo, rozgryzł raz-dwa. Idealnie wyczuł, że go do Ammy ciągnie i to tak, że się w łóżu spotkają. No, to jeszcze od biedy było do przewidzenia. Ale oprzeć plan na ostrzeżeniu o marnym losie wykorzystanej dziewczyny? Na apelu do sumienia żaka? Mało który żak, zwłaszcza na zagranicznej praktyce, zaprzętałby sobie myśli

losem wydudkanej panny.

„Tom sobie pomyślała” - Amma na szczęście niczego nie zauważyła. - „...że morzymy razem spać. I rze to nic złego, bo w dobrej sprawie tam ide. Anioł nas fszak ratował na tym dahu. I pszes las pszeprowadził.”

- Co? - zapytał z roztargnieniem. - Anioł?

„Sam widziałaś, jak Łańcóska od upadku uchronił. A ja cień dokładnie widziałam. To nie był rzaden gargulec. I teras sobie myśle, rze to on nas pszy bramie uratował. Wiesz, jak ten kamień bazaltowy na łep łącznikowi spuścił. Bo masz racje: najpierw ja wypaliłam s krucicy, a dopiero durzo potem strażnik oberwał.”

- Anioł? - powtórzył Debren. Gotów był słuchać choćby i o latających półmiskach, z których wystawiają łby pozaziemskie istoty, o długim na milę wężu z jeziora Niska Locha albo o nowo odkrytym gatunku syren, grających ponoć na basetlach. W porze żniw, gdy nikt rozumny nie wojuje i kronikom brak tematów, takie bzdury są nawet na czasie. A już na pewno są lepsze od pytań o wspólne spanie.

„Czóje, rze otoczył mnie opiekom. Mój anioł strósz. Słyszałam go. Nie wiem, morze nawet w mieście, na tyh dachach. Ale w lesie to jusz na pewno. Był blisko nas.”

- Słyszałaś?

„Nie muwiłam ci? Czasem słysze co inni myślom, czujom. To znaczy zwierzenta. Bo ludzi słabiutko.”

- Słyszysz mowę zwierząt? - zmarszczył brwi. Po czym, tknięty nagłą myślą, zerknął na jej profil. A dokładniej: na zaróżowione ucho.

„Zwierzenta nie gadajom jak my. Może te magiczne. A ja o zwykłych muwie. O wilkach i gałęźnicach.”

- Gałęźnica nie jest... No, mniejsza z nią... Ale jak to się ma do

anioła?

„On do nih muwił. Do tych z lasu. Otstraszał. Myślałam, rze mi sie zwiduje. Bo inaczej to odczuwałam nisz ludzi albo zwierzenta. Słabiótka. Ale potem usłyszałam zwierzenta. I z ich óczuć poznałam, rze mi sie anioł nie pszyśnił. One sie bały. Skszydlatego. Tak o nim myślały: wielki skszydlaty. Wilki, gałenźnice, nawet jeden niedźwieć. Wołały rze to teras jego terytorium. Te blirzej nas wenszyły, a potem ostszegały te dalej. Rze jego terytorium i by nie leźć, bo zaatakuje. Ty nic nie czóteś?”

- Nie jestem elfem - mruknął.

Obróciła gwałtownie głowę, zajrzała mu w oczy. Tak... Teraz, patrząc z przodu, widział to wyraźnie.

„Czarodziej jesteś. Telepatie znasz.” - Zawahała się, po czym zapytała: - *„Czemu o elfah muwisz?”*

- Nieważne - powiedział łagodnie.

Zaczęła pisać. Szybko, nerwowo.

„Jeno człowiek, z dószom w środku, anioła usłszy. Ja słyszałam. Dopiero potem zwierzenta. Najpierw jego. I na dachach też. Nie jestem...”

- Nieważne. - Musnął jej dłoń. - Trochę krwi nie ma znaczenia. Zresztą... ja nic do elfów nie mam. A u ciebie to tylko mała domieszka, po pradziadku pewnie.

Przyglądała mu się, przestraszona.

„Jestem elf? Nieludź?”

- Nie ty. Dawno temu któryś z twoich przodków był.

„To czemu na ószy mi patrzysz? Nie łrzyj, Debren. Widać, tak? Ale pszeczysz do nieludzia anioł by nie...”

- Sama widzisz - podchwycił. - A do ciebie przemówił.

„Ószy” - napisała i podkreśliła grubą krechą. Debren westchnął leciutko.

- Naprawdę nie są jak u elfa. Co, zwierciadła nie ma... nie miałaś?
- poprawił się. I zaczął mówić szybciej, by czasem nie podjęła tematu. - Ani trochę spiczastości. Tylko to spłaszczenie górą... Kiedyś, gdy elfy dyskryminowano, dzieciom z mieszanych związków wielu poprawiało wygląd na bardziej ludzki. Były nawet przypadki, że do cyrulika od zębów jakiś sukinsyn dzieciaki posyłał, by im co trzeba wyrwać i spiłować. Ale to już patologia. Uszy za to niemal powszechnie odkształcano. Jeden mag wymyślił metodę, dzięki której już płodowi dało się to prenatalnie robić. Nieszkodliwa jest, jeno że takie charakterystyczne spłaszczenie małżowiny pozostawia. No i zmiana dziedziczeniu podlega. Po tym poznałem, że... Ale głównie po rozumieniu zwierząt. Tylko elfy tak...

Leżała, wpatrzona w dach. Na szczęście zmarszczone brwi oznaczały głęboki namysł, nie gorycz lub, co gorsze, zapowiedź płaczu.

Elfka. Niechby tylko w jednej ósmej, jednej szesnastej... Nic dziwnego, że go do niej ciągnęło, a baron tyle trudu sobie zadał. Kobiety elfów były jak diamenty: piękne i niedostępne. Nie zadawały się z ludźmi. Przypadki dobrowolnych, a w dodatku udanych związków były tak rzadkie, że przechodziły do legend i historii. Mieszkańców obu gatunków, owszem, spotykało się tu i tam, jednak były to niemal wyłącznie dzieci elfów mężczyzn i ludzkich kobiet. Górę brały zazwyczaj dominujące geny człowieka, więc potomstwo dziedziczyło po ojcach raczej brak kłów i spiczaste uszy niż urodę oraz długowieczność - lecz i tak na panny z takich związków ostrzono sobie zęby. Uchodziły za łatwe - z winy matek, co to się z niełudziem puściły - oraz za ładne, jako że mało kto wyznawał się na genetyce. Debren wyczytał gdzieś zresztą, że opinia o atrakcyjności półelfek, aczkolwiek oparta na fałszywym z gruntu założeniu, w praktyce się sprawdza: elfy, mianowicie, miały

dobry gust i jeśli już brały sobie ludzką kobietę do łóżka, rzadko padało na brzydulę i idiotkę. Chociaż, z drugiej strony, te bezdyskusyjnie piękne i rozumne z elfami się nie zadawały, mając szanse znalezienia dużo lepszej, ludzkiej partii.

Debren znał paru żaków, którzy chwalili się schadzkami, całusami, a w jednym przypadku nawet nocą spędzoną z dziewczyną o elfickim rodowodzie. Nie znał za to żadnego, który by mógł te przechwałki poprzeć czymś więcej niż chełpliwą gadaniną.

Więc gdyby postanowił pokrzyżować plany Pirra i posiadał teraz Ammę... Nawet Trapek wziąłby jego opowieści za typowo żakowskie fantazjowanie. No, może Trapek nie. Ale nie w tym rzecz. Bo przecież on, Debren, słowem by nie pisnął. Nie wywyższałby się kosztem kobiety. Ale i tak by to pewnie całe jego życie odmieniło.

Przespać się z kimś, kto ma w żyłach szlachetną krew magicznej rasy... Marzenie co drugiego mężczyzny, jeśli nie każdego w ogóle. Tak jak noc z księżniczką. Bo potem, jeśli jakaś inna, gorsza, mówi ci: „Nie”, możesz wzruszyć ramionami i iść szukać następnej, a nie gałęzi dla nieudaczników. Nie jest nieudacznikiem ktoś, przy kim dobrowolnie położyła się elfka lub księżniczka.

Czyli... kolejny powód, by to zrobić.

A ona, jak na złość, podsunęła mu następny.

„To morze, nim spać pujdziemy” - napisała - „sprawdź, czy ze mnom fszystko w porzondku.”

Po samym kolorze twarzy powinien był poznać, o czym mówi. I po nogach. Leżała dotąd wyprostowana, ani skromnie, ani wyzywająco, wygodnie po prostu, ze stopami lekko rozchylonymi na boki. A teraz wielkie palce jej bosych stóp spotkały się jeden z drugim - bo nagle uznała za wskazane mocno przycisnąć kolano do kolana. Jak przystało na pannę, której przyszło mówić o rzeczach nieprzyzwoitych.

Ale Debren nie popisał się domyślnością i zapytał:

- Z czym w porządku?

„No” - rysik zastygł na chwilę - „czy bendziesz ómiał ze mnie dziewice zrobić.” - Jakiś czas leżeli, wpatrzeni w runy, nie mając odwagi spojrzeć gdzie indziej. - „I w ogóle, czy sie nadam. Bo jeśli elfka jestem to morze nie? Ponoć one tam inaczej majom.”

Dżuma i syfilis. Niby już o tym mówiła. A potem jeszcze burmistrz. Ale od burmistrza uciekł, a o niej myślał, że może... zapomni, zrezygnuje? Okazuje się, że nie.

- I...inaczej? - W gardle mu zaschło.

„No wiesz” - poczerwieniała trochę bardziej. - „Jak ktoś na nieľudzi pyskóje, to muwi, rze ich baby w popszek majom. Sromotke, znaczy. Ja nie mam” - dopisała szybko. - „Ale nigdy rzem rzadnej elfki nie znała. I nie wiem: morze coś tam u nich inaczej wyglonda? I sie smok pozna, a jusz zwłaszcza ta wiedźma, co do rezerwatu fpuszcza. I właśnie, Debren: nie wiesz, czy smok na luckie dziewice jeno taki łasy, czy morze tesz być taka z nieľudzi?”

- No... nie wiem. - Bardzo starał się nie myśleć o obiekcie ich rozmowy, ale chyba łatwiej by mu było trochę polewitować. - Też... z elfkami nie... do czynienia nie...

Posłała mu szybki, trwożliwy uśmiech i od razu umknęła ze spojrzeniem ku tabliczce. Debren pomyślał, że czasem łatwiej rozmawia się z kimś niemy. Im bardziej do siebie mówią, tym bardziej mogą na siebie nie patrzeć.

„Jesteś s kontynentu, prawda? Czyli jak Marimalczyk prawie. Wienc powiec: bo oni tom marimalskom miłość óprawiajom. A wy, muwiłeś, niewiasty tesz po renkach i nogach ustami... To pewnie wiesz.” - Debren, zdrętwiały z wrażenia, z wysiłkiem przełknął ślinę. - „Liczy sie to jako kohanie? No bo niby do poczencia nie wiedzie i on jej nie wkłada. Ale goli som i sie dziwnie dotykajom i głaszczom,

a nawet jenzkiem. Opcy ludzie tak sobie nie robiom. A jako grzech sie to liczy? Jak to właściwie jest?"

- A... czemu pytasz? - Zacharczało mu w gardle, znów musiał łykać ślinę.

„Bo sie fstydze tak pszed tobom óda rozwierać. A jakbyś moim kohankiem był, to całkiem inaczej. No i byś sie mógł do mnie pszytulić i lepiej wyspać. I bym ci jakoś wdzienczość okazała, rze mi pomagasz. Znaczy: jeśli to za miłowanie sie morzna óznać. Jenó rze jeśli to gzech, to znowuż nie morzemy. Toć by mnie anioł strósz do gzechu nie popyhał, prawda? A dzięki niemu tu jesteśmy. I jusz całkiem nie wiem, co myśleć.”

On też nie wiedział. Tyle że on, na domiar złego, nie umiał słowa wykrztusić. Choć czuł, że powinien.

Za długo milczał.

„Myślałam, rze byś hciał.”

Machrusie, jakimi maleńkimi runami to napisała. W dodatku koślawymi. Ręka jej drżała.

- Ja... Amma, ja... no pewnie, że... - Ścisnął jej przedramię, to bliższe, lewe. - Jesteś...

„Wiem jaka jestem.” - Drugą dłoń miała wolną. - „Ale co druga baba bżydka. I co? Tesh sobie kogoś do dudkania znajdóje. Choć jeden ras. Do żeniaczki nie, ale do dudkania to chyba każda. Wienc darój, rzem pytała.”

- Amma!

„Obejdzie się.” - Łza potoczyła się z kącika oka, wsiąkła w brzeg chusty. - „Jakbyś miał z litości, to...”

Usiadł, omal nie złapał ustami następnej łzy, nie scałował jej z delikatnej skóry i długasných rzęs. Na szczęście aż tak nie zgłupiał.

- Liczy się - rzucił przez zęby. - Różne rzeczy się liczą, nie tylko... A grzechu ci nie zafunduję. Ale nie bój się. Nigdy cię nie skrzywdzę.

Nie musiał przysięgać. Na szczęście istniała magia.

Użył zaklęcia i zrobił to, co zrobić należało, a czego bez pomocy czarów nie zdołałby osiągnąć: zasnął.



Kołysał się, coś ugniatało mu brzuch. Uniósł powieki i przez chwilę patrzył na przesuwaną się w dole ziemię. Rozpoznał ubity pył gościńca - ale nie rozumiał, póki rozmyte spojrzenie nie skupiło się na strzemieniu.

- No, w końcu. Budzi się, śpiący królewicz.

Koń stanął. Debren próbował się podnieść, okazało się jednak, że to nie takie proste. Leżał w poprzek siodła i nie spadał z niego, bo ktoś przywiązał go za pasek do przedniego łęku. Na szczęście Amma od razu przyskoczyła, rozsuptała rzemień. Nie widział jej, z tamtej strony konia miał pośladki, a Pirr teoretycznie mógł sobie dobrać za kompanów miejskich drabów z Trickley czy zbrojnych barona - ale jakoś poznał, że to jej ręce. Cóż, zbrojni i draberia nie słyną z delikatnego dotyku. I nie podtrzymują ci tyłka, gdy zsuwasz się z końskiego grzbietu.

Nie potrzebował tego, więc ciepło mu się zrobiło od myśli, że może po prostu chciała go dotknąć.

- Do zamtuza - posłał mu krzywy uśmiech jurysta - to bym z tobą nie poszedł. Osobliwie na dziewczki reagujesz.

Debren rozejrzał się. Znów, jak nocą, byli we czworo, z Pirrem i jego karym koniem. Oberży nie dostrzegł. Słońce prażyło zresztą mocno i stało znacznie wyżej niż ostatnio, gdy je oglądał z podjazdu przed oberżą. Otaczały ich pagórki porośnięte rzadkim lasem, a pod nogami mieli zapuszczony trakt.

- Co się...? - W trakcie sprawdzania, czy ma na sobie nogawice,

przypomniał sobie, dlaczego sprawdza. Na szczęście policzki podeszły mu już krwią wcześniej, od wiszenia głową w dół, więc nie przynajmniej nie skompromitował się do reszty rumieńcem. - Nie mogliście mnie obudzić?

- Jakbyś zgadł. - Pirr niby tylko pokpiwał, ale coś w jego zachowaniu niepokoiło Debrena. - Nie dało się. Może wodę na łeb lejąc. Aleśmy w pośpiechu wyjeżdżali. Nie zdążyłem do studni, no i dźwigać trzeba było. - Krzywiąc się, pomasował garb. - Amma kończyła cię ubierać już na koniu.

Debren zauważył, że nie ze wszystkim zdążyła. Albo raczej: nie próbowała. Był boso, bo jego ciżmy trafiły na jej stopy. Widział je dzięki przykrótkiej sukni, sięgającej ledwie połowy łydek. Przepasała ją kawałkiem sznura, dźwigającego króciwą, sakiewkę z amunicją i tabliczkę do pisania. Na głowie miała kaptur i naturalnie kwef. Jej własnej sukni nigdzie nie dostrzegł. Tylko opończę, przewieszoną przez tył siodła.

Wychwyciła jego spojrzenie, zawahała się, po czym stanęła na jednej nodze i zaczęła ściągać but.

- Nie trzeba - powiedział szybko.

- Bo konno jedziesz? - podsunął Pirr. - Otóż już nie jedziesz. Może i Amma na temmozankę wygląda, ale tu jest Anvash i nie obowiązują temmozańskie zwyczaje. Jak chcesz niewiastę wydudkać, a potem łaskawie ogon wierzchowca jej podać i pozwolić, by za tobą truchtała, to się na Bliski Zachód przenieś i wyznanie zmień.

Oboje przyjrzeni mu się zdziwieni. Ammę też zaskoczył zaczepny ton wypowiedzi. Znieruchomiała ze stopą w górze. Debren, choć niby się nie chwiała, ujął ją pod łokieć. Dziwnie było to robić, tak na oczach prawnika, ale też w jakiś przewrotny sposób przyjemnie.

- Poczekaj - mruknął, kiedy, trochę niepewna, znów się poruszyła,

ściągnął ciżmę z pięty. - Bo może oboje pieszo pójdziemy.

Nie usłuchała, zdjęła but. Ale z drugim się wstrzymała, patrząc pytająco to na Pirra, to na Debrena.

- Nie pójdziecie - oznajmił garbus. - Ona przynajmniej. Bo ciebie faktycznie nie zatrzymuję. Szerokiej drogi. Tą tam - wskazał - wąską ścieżką najlepiej. Prosto idąc, do traktu dojdiesz. A nim do morza i portu.

Debren, zamiast się rozzłościć, pomyślał chwilę.

- Czemu w pośpiechu? - zapytał rzeczowo.

- Bo was gonią.

- Draberia?

Pirr jakby się zawahał.

- Imć Boomhons i jego wozobrońcy.

- Co? - zdziwił się Debren. - Oni? Nas?

- Oni was. - Garbus nadstawił dziewczynie strzemię. - Oddaj mu ciżmy, Ammo, i wsiadaj. Musimy jechać.

Oddała i wsiadła. Od razu jednak rozpięła torbę przy siodle. Nie tę z trupim kółkiem i pochewką na kija-samobija. Drugą. Wyciągnęła z niej onuce, pomacała, zmarszczyła brwi. Sięgnęła do sznurkowego paska. Jak się okazało, jej tabliczka miała w rogu niewielki otwór. Teraz, po pozbyciu się opończy, dziewczyna przewlekła przez niego rzemyk i zawiesiła swoje gliniano-drewniane usta przy biodrze.

- Skąd wiecie, że nas szukają? - spytał Debren, sznurując ciżmy.

- Informatorzy - rzucił krótko Pirr. Wskazał ścieżkę wiodącą ku morzu. - To co? Żegnamy się?

- Nie tak szybko. Dlaczego nas gonią?

- Nie wiesz? Nagroda za smoka im się marzy. Boją się, że im ją Amma sprzed nosa sprzątnie.

Popatrzyli na niego, zdziwieni i zaniepokojeni. Amma rozsuptała

rzemyk, łączący tabliczkę z paskiem, ale to Debren okazał się szybszy.

- Amma? Myślałem... W karczmie to mnie zaczepili. Skąd im do głowy przyszło, że ona...?

Pirr posłał dziewczynie mroczne spojrzenie.

- Chodzą po mieście słuchy, że o siarkę wypytywała.

Debren spojrzał na Ammę z mieszaniną zdziwienia i niesmaku.

- Chciałaś smoka otruć? Jak w tej bajce? Owcą?

- Jak w bajce - wyręczył ją Pirr. - Ale nie owcą. Aż tak głupia nie jest. Chodźmy już.

Ruszył przodem, prowadząc dźwigającego dziewczynę karosza. Debren dogonił ich, lecz zaraz potem znów został w tyle - dopiero teraz pojawił, w czym rzecz.

Nie poczekali na niego. Tym razem potrzebował trochę więcej czasu, by zrównać się z końskim łbem.

- Ta siarka... Jak chciałaś...?

„*Teras mam krucice*” - próbowała uciąć temat. Z Debrenem może by jej poszło, ale nie byli sami.

- Jeżeli masz siarkę - powiedział Pirr, nie oglądając się za siebie - to ją wyrzuć. Ciebie zabije, a smokowi co najwyżej za przyprawę posłuży.

- Zamierzałaś ją... zjeść? - Debren mimo wszystko nie wierzył. - Rozum ci odjęło?!

„*Nie jestem głópia!*” - zezłościła się. - „*Jeno pytałam co i jak! A zresztom nikt by mi tyle nie dał. Na smoka trzech funtów trzeba. I powieć Pirrowi, rze nie wiem, skond mu przyszła myśl, rzem siarke jeść planowała.*”

- Amma mówi - zaczął, lekko zbity z tropu - że nie...

- Jego oszukasz - przerwał mu Pirr. Choć zwracał się wyraźnie do dziewczyny. - Ale smok nie ma siedemnastu lat, jeno trzysta

dwadzieścia siedem. Trudno go naiwnym młokosem nazwać.

Szedł, ciągnął konia i nie zamierzał się oglądać. Zakreśliła więc ostatnie zdanie, podsunęła Debrenowi.

- Amma pyta - wyjaśnił bez zapału - skąd wam przyszła myśl, że planowała jeść siarkę.

- Wystaw sobie, że aptekarzem jesteś. Przychodzi do ciebie bezdomna dziewczica i wypytuje, ileż to siarki potrzeba, by smoka otruć. Mówisz, a wtedy ona: „No a gdyby to człowiek połknął, ile czasu minie, nim go trutka powali?” Więc ty na to z pobłażaniem, że by człowieka otruć, dużo mniej trzeba, a ona, że tyle to sama wie, ale ją owe trzy funty interesują. I beczelnie łąże, że pyta, bo na przemyście siarki można ponoć dobrze zarobić i podobno się ją przez portową komorę celną w żołądku przenosi.

- To akurat też słyszałem - bąknął Debren. Jego umysł opierał się przed przyjęciem prawdy. - W pęcherze pakują, dobrze kleją, połykają i...

- Ale nie siarkę, jeno twarde narkotyki. Te, co najpaskudniej i bez nijakiego pożytku uzależniają, więc ich żaden cywilizowany rząd w obieg nie pozwala puszczać. Tytoń, konkretnie. Boomhons od razu się połapał, co Ammie po głowie chodzi.

Przez jakiś czas sunęli naprzód, nie odzywając się ani nawet nie patrząc na siebie.

- Zdobyłaś tę siarkę? - zapytał w końcu Pirr. - Jeno nie łąży, proszę. To ważne. I nie mówię: trzy funty. Pytam, czy w ogóle jakąś siarkę miałaś w ręku.

- Czemu to ważne? - zainteresował się Debren.

- A jak myślisz? Przez tę durną bajkę, którą zresztą wymyślili gdzieś tam u was... - Pirr zawahał się, po czym dodał z drwiącym uśmiechem. - Więc może i nie bajkę, bo głupota tych z Zachodu za przysłowiową uchodzi.

Debren posłał mu lodowate spojrzenie.

- Oczywiście - wycedził - o smokach mówicie?

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

- Pewnie. - Uśmiech stał się bardziej szyderczy. - Ostatecznie to smok ze Starohucka połknął ową owcę z siarkowym nadzieniem. Czyli durny szewc jeszcze głupszego od siebie w okolicy znalazł. Ku naszemu utrapieniu.

- Waszemu utrapieniu? - uniósł brwi Debren.

- Tak, smoków - zakpił Pirr. - Co: nie widać, że smok ze mnie? - Wzruszył garbem i spowaźniał. - Mówię... o hodowli owiec. To podstawa ekonomii w tym hrabstwie.

- Niech zgadnę: szewcy wam zaczęli masowo owce kraść.

- To bardziej skomplikowane. - Zastanawiał się przez chwilę, czy na tym nie zakończyć. - Smoki zawsze strat przysparzały, ale nie bardzo z nimi walczone. Bo błędnego rycerza trzeba było najać. I po skalkulowaniu kosztów wychodziło, że to gra niewarta świeczki. Zwłaszcza że z takich na przykład białoklifowców z Verdo pożytek także bywał. Wysp przed wikingami broniły, tonącego zdarzało im się ocalić, zabłąkanemu korabiowi wskazać drogę, a zaprzyjaźnionym rybakom nawet ławicę ryb. Mniejsze smoki tępiły gryzonia, a leśne odstraszały kłusowników. Populacja wilków też mocno spadała tam, gdzie smok polował. A już w starożytności pewien uczony Zulijczyk ustalił, iż w przeliczeniu na łan terenu łowieckiego smok pożera trzykroć mniej zwierzyny niż wilki. To zasługa wolnej przemiany materii, dużej masy i zapadania w letarg. Więc choć hodowcy sarkali, władcy, mający szersze spojrzenie na bilans strat i zysków, obejmowali smoki ochroną. Skutkiem czego do kosztu polowania trzeba było dorzucić łapówki dla gajowych. Albo honoraria jurystów, którzy potrafili dowieść, iż smok nadmierne szkody czyni.

- Pytałem - przypomniał Debren - czemu jest ważne, czy Amma siarkę...

- Pamiętam. Otóż wieść o owym nieszczęsnym wynalazku w końcu i do nas dotarła. Owca wypchana siarką? Genialne! Hodowcy masowo rzucili się do trucia smoków. Tanim kosztem nie tylko szkodnika się mogli pozbyć, ale jeszcze majątek zbić na jego skórze, zębach, a może nawet skarbcu. Przedtem cały łup brał błędny rycerz; hodowca jeno święty spokój zyskiwał. A teraz mógł się na smokobójstwie dorobić. I to legalnie, bo prawo nie wnika, czym kto własną owcę szpikuje. No i zaczęły się podchody. Bo łatwo oczywiście nie poszło. Na owczego trupa z siarką w kiszkach nabrało się raptem kilka smoczych szczeniąt. W tym jedno nie dlatego zginęło, że zjadać próbowało, a od eksperymentowania: gówniarz chciał fajerwerk ze znaleziska zrobić i wybuch go zabił. Czyli porażka. Ale pomysł trucia tak w chciwe łby hodowców zapadł, że sami zaczęli z innymi metodami eksperymentować.

„*Nie z siarkom?*” - upewniła się Amma.

- Owszem, siarki chcieli użyć, jak ów lełoński klasyk. Ale tak, by owca nie zdechła. Smoki od wieków martwymi owcami wabiono. Błędni rycerze na udeptaną ziemię, a hołota w zasadzki, w pobliże łuczników, potrzasków i samostrzałów. Smoki nauczyły się zatem uważać, widząc padlinę. I okazało się, że owczymi trupami truciele niewiele zwojują. Czopki zatem różne wymyślali, karmienie sondą, przez którą wpychali owcy flakony z trucią, impregnację kiszek, nasączanie wełny nawet... Jeden mędrak próbował użyć wampira: by jakoś skażoną krew wprost do żył owcy wtłoczył. Bo skoro ssać umie, to może i na odwrót? No, ten akurat szkód nie zdążył narobić: jak tylko obwieścił, że nagrodę za schwytanego wampira daje, byle żywego i z mało uszkodzonym uzębieniem, dopadło go coś w nocy, wysssało tak, że jak mumia

wyglądał, a na koniec osikowymi kołkami do zdechłej owcy przybiło. W pozie okrutnie urągającej powadze obojga zwłok. Ale inni, niestety, z wampirami nie zadzierali. I, co gorsze, nawet ze smokami nie wprost. Powołali sekretną gildię, zebrali fundusze i na owcach się skupili. Mutantach, które trutkę w organizmie dłuższy czas zdołają przetrzymać. A przy tym możliwie mało się od normalnej owcy różnią, przez co smok podstępnie nie pozna, zeżre owcę pułapkę i zdechnie w mękach.

„Czemu w mękach?” - zmarszczyła brwi Amma. Pirr swoje dla odmiany uniósł. Dopisała więc: - „*Rozómiem: złodziejaska sie pozbyć. Ale po co zadawać cierpienia?*”

- O smokach - przypomniał łagodnie - mówimy.

„*A co za różnica? Bul to bul. A one w dodatku som rozumne. I podobnież szlahetne.*”

Patrzył na nią jeszcze przez chwilę z dziwnym wyrazem twarzy. Potem skrzywił usta, wzruszył ramionami.

- Cóż, hodowcy też byli rozumni. Wymyślili, że zdychający smok do jamy umknie, a rycząc z bólu, wskaże tropiącym, gdzie jest owa jama. Więc szybciej znajdą zwłoki i skarb. A pośpiech był wskazany. Jak nie konkurencja, padlinożercy i rozkład, to pobratymcy smoka mogli sprzątnąć łup sprzed nosa. Białoklifowce z Verdo, przykładowo, urządziły zmarłym krewnym morski pochówek. Na dnie Gardzieli, w połowie drogi do marimalskiego brzegu, jest całe cmentarzysko i tyle kości, że w pogodne dni...

- Zdążycie skończyć - zniecierpliwiał się Debren - nim przed jaskinie dotrzemy i to nas smok z marszu pożre?

- Z marszu nie pożre, wpierv dobrze obwącha. Bo widzisz, zabiegi hodowców dały efekt. Z pomocą magii uzyskali owcze mutanty. Na nieszczęście mistrz Dedetus, czarodziej, który projekt nadzorował, wcześniej w armii służył i po wojskowemu do sprawy

podszedł. Czyli pełne utajenie przygotowań, działania pozorne, by wroga zmylić, uśpienie jego czujności, skryta koncentracja sił do miażdżącego ataku i na koniec cios, po którym wróg już się nie podźwignie.

- Tak to wojskowi widzą - przyznał Debren. - Jeno że rzadko im wychodzi. Po prawdzie, to niemal nigdy.

- Tu prawie wyszło. W ramach działań pozornych owczarom rozdano mikstury, po których owce już trwale śmierdziały siarką. Zwierzętom to nie szkodziło, za to baranina paskudnie zalaływała i ceny na nią drastycznie spadły. Wprawdzie na potomstwo ten smród nie przechodził, ale do tej pory konkurencja z kontynentu nam to wytyka, a naszego mięsa nikt kupować nie chce, chyba że dla psów albo wojska. Raz spaprana opinię trudno naprawić. Już wtedy król powinien Dedetusa na pal nadzieć. Ale cóż - chciwy kretyn na tronie siedział. Cieszył się jeszcze, bo skarbiec koronny brał wyższe podatki z wełny niż uboju i na rękę mu było, że ludzie przestali jeść baraninę. No więc owce śmierdziały, a smoki coraz mniej to obchodziło. Ba, niektóre polubiły zasiarczone mięso. Czasem ktoś im podrzucał padlinę mocniej naszpikowaną siarką. Parę głupszych się podtruło, ale nic złego się nie działo. A potem hodowcy jednego dnia, w całym Anvashu, wpuścili do swych stad zmutowane tryki.

- Tryki? Tylko samców użyli? Dlaczego?

- Toksynę opracowano na bazie siarki, ale za mocna nie mogła być. By nosiciela nie ubić, a ofiara zagrożenia nie wyczuła. Więc trzeba było zjeść dużo mięsa, by się nią struć. A smoki są różne. Głupiego łatwo otruć. Małego też, bo zwykle w pośpiechu je, w strachu, że ktoś silniejszy od łupu go odgoni. Padliną się żywiąc, nie jest też na smaki i wonie wyczulony. No i na trzewia się najpierw rzuca, a te mocniej trutką nasiąkały. Ale na smoka dużego albo

mądrego, który coś wyczuł czy próbował się, jak legendarny Wawelko, ratować piciem, trzeba było...

- O - uśmiechnął się pod nosem Debren - czyli znasz imię lełońskiego głupka.

- Akurat sobie przypomniałem. - Pirr zmierzył go krzywym spojrzeniem. - Równie głupie imię, jak smok.

- Właśnie go chwaliłeś za próbę ratowania.

- Chwaliłem? Za żłopanie wody z rzeki, płynącej przez gród stołeczny? Nie siarka go zabiła, a to rynsztokowe łajno, które wypił.

„Rzartujesz, tak?”

Debren omal sam nie zapytał: Pirr tak jakoś to powiedział... Dziwnie. Z kpina, ale i jakby z goryczą.

Zaraz potem gorycz stała się zrozumiała.

- Anvash utracił przez tego kretyna ćwierć pogłowia owiec. Średnio. Bo nasze hrabstwo więcej. Do dziś się ze skutkami owej klęski borykamy. Kaleki się rodzą... - jurysta jakby się zawahał, ale potem jego dłoń powędrowała na garb - owcom... i innym...

Debren omal się nie potknął o własną nogę. Próbował sobie wmówić, że źle zrozumiał.

- Kaleki? - zapytał cicho. - Jak to?

- A najgłupsze - Pirr jakby nie dosłyszał - że nijakiego sensu to nie miało. Cały ten pomysł z siarką. Bo po katastrofie z trykami Dedetusa przeprowadzono poufne śledztwo. I wyszło, że ten nieszczęsny starohucki smok, od którego wszystko się zaczęło, padł od zatrucia ściekami pochodzenia ludzkiego tudzież przemysłowego. Owszem, siarka przewód pokarmowy mu podrażniła. Ale to tylko osłabiło odporność organizmu, nic ponadto. Gdyby zgagę i czkawkę gasił czystą wodą... Prawda jest taka, że smok był lełoński i jak to Lelończyk, pochlał zdrowo, nim ową zasiarczoną baraninę zjadł. Tydzień wcześniej zrabował kupcom

furgon z lełońskim winem owocowym. Czyli takim czymś, co oni ze zbędnych jabłek robią i bezczelnie winem zwa, a co przed zepsuciem tylko potężny dodatek siarki chroni. Kupcy wściekli się i nagrodę za zbója wyznaczyli. Nielegalnie, bo król bestię jako maskotkę stołecznego grodu traktował i zabraniał krzywdzić. Bawiło go, że gdy na taras swego zamku wychodzi, w dole, pod urwiskiem, smoczą jaskinię może obejrzeć. I jak kamykiem ciśnie, to smok gniew udaje, ryczy, ogniem zieje, a tak naprawdę ogonem mu macha, bo się od dziecka znali i w ten sposób zabawiali. Dlatego po raz pierwszy w dziejach to szewc idiota na smoka ruszył, a nie rycerz czy inny rębacz. Nikt rozumny nie chciał się mianowicie władzy narazić. No więc Wawełko wina pochłał, a szczątki owcy podrzucone przed grotę potraktował jako zakąskę i caluśkie zżarł, choć od mięsa musiało na pół mili siarką jechać. Ale jak kto furgon lełońskiego jabola wcześniej wyłopie, to mu taki odór niestraszny. Od picia smok przepilca dostał, a od zakąski zbyt ostrej... czkawki, zgagi oraz pieczenia w brzuchu. Niestety, jak to skacowany, zamiast do czystego źródła się udać, pił to, co miał pod łapą, czyli wodę ze Stulwi. W ilościach typowych dla ofiary przepilca. I się doigrał. Struł się ściekami. Tudzież zlewkami piecowymi, nocą ukradkiem spuszczone z podgrodzia Nowohutka. Zachorował i zdechł. Sami Lelończycy doszli do wniosku, że to z winy wody. Szewca skazano na dyby, nie stryczek. Ale burmistrz apelację wniósł, biegłych najął i przed sądem wykazał, że to jednak siarka smoka uśmierciła.

„Tesz smoka lubił” - domyśliła się Amma.

- Raczej: miał w tym interes. Bo go grody w dole rzeki zbiorowo skarżyły o zanieczyszczanie Stulwi, czego Wawełko miał być żywym... to znaczy martwym dowodem. Więc prawdę zatuszowano. I jeszcze, ale to już niesprawdzone pogłoski, gród Starohuck miał

cichaczem zasponsorować spisanie legendy o dzielnym szewcu i cudownej mocy siarki jako środka smokobójczego. Bo naturalnie Nowohutka dalej truła, że strach gadać, i władzom stolicy wygodniej było mówić, że to nie dymarki Stulwię zanieczyszczają, tylko trup smoka utopiony w rzece. Albo jego upiór, co nocami siarką rzyga, albo wreszcie inne smoki, które się za zabójstwo krewnego mszczą. I po wiekach prawda w zapomnienie poszła, natomiast legenda nadal krąży i ogłupia.

- No ale jak to się ma... - Debren zahaczył spojrzeniem o garb jurysty, dokończył jednak delikatniej - do utrapień Trickley?

- Mówiłem: gildia hodowców uwierzyła w legendę i przy siarce się upierała, jako jedynym sprawdzonym środkiem smokobójczym. Dedetus porachował więc moc trutki siarczanej, odporność owcy, odporność smoka i wyszło mu, że optymalnie będzie tryki mutanty zastosować. Baran, jako większy, silniejszy i broniący stada, był lepszym kandydatem na owcę pułapkę. Celowo wzmocniono jego pierwiastek męski, odpowiedzialny za wojowniczość. Żeby jednak nie wytracić głupio mutantów, na przykład przy ich atakach na wilki czy nawet bardziej brutalne owczarki, Dedetus zaprogramował, by tę nietypową dla barana nadwyżkę agresji wywoływały jedynie smoki. Ich zapach, konkretnie. Rzucił się więc taki tryk na smoka, ginął w walce i to właśnie jego smok pożerał, a nie jakąś przypadkową, nieszkodliwą owcę. Fatalnie dla trucicieli by było, gdyby ofiarą padały te co zwykle zwierzęta: chore, stare, niedołożne. Ale skoro do walki dochodziło i baran ginął - smok już innych owiec nie zabijał. Jadł barana. Smoki, niestety, posiadają swoisty kodeks honorowy. Hodowcom, jako słabszym, tylko takie szkody czynią, jakie są niezbędne. Nigdy drugiej owcy nie ubijają, gdy już jedna martwa pod bokiem. Choćby ta druga na smaczniejszą wyglądała. A uznanie dla dzielnego wroga wyrażają, zjadając go

całego, w pierwszej kolejności. I możliwie mało gryząc, by zwłok nie bezcześcić. A to nie sprzyja wyczuwaniu smakiem...

- Hę? - zdziwił się Debren.

- Smoki są dziwne - wzruszył ramionami Pirr. - Szlachetne i subtelne ponad spotykaną w przyrodzie miarę. Gdyby nie były... Ha, rasa ludzka pewnie dalej po jaskiniach by się kryła. W sumie z tą męskością barana Dedetusowi chodziło głównie o to, by samcze, bardziej masywne ciało więcej trucizki przyswoiło. Męskie hormony nie tyle do walki miały barana pchać, a bardziej do tego, by mu więcej mięśni urosło. I by naszpikowany truczkami baran siłę miał; nie zdechł, nim go smok upoluje. Tyle że uczeni magicy jedno przegapili.

- Letarg - strzelił Debren. - Smoki pół życia przesypiają. Nie da się ich jednego dnia masowo wytruć.

- Brawo - pochwalił go prawnik. - Ten aspekt też mądrała Dedetus przeoczył. Trochę go tłumaczy, że we wczesnowieczu rzecz się działa. Drobnych smoków było wtedy więcej, za to wiedza o nich mniejsza niż dziś. Te małe, wiverny zwłaszcza, częściej się ludziom pokazywały, bo częściej musiały polować, no i stadnie żyły. Utał się więc pogląd, że smok raczej sypia, niż zapada w długie letargi. Ale i tak ci durni truciciele z gildii powinni sprawdzić, co i jak, nim ów pomór wywołali.

- Pomór? Aż tak?

- Aż tak. Bo nie letarg miałem na myśli. Dzięki trwaniu w letargu faktycznie wiele smoków uniknęło otrucia. Ale dla ludzi tragiczne było co innego. Jak myślisz, cóż robi baran, od małego w odosobnieniu hodowany, tak męski, że bardziej już nie można, gdy nagle wypuszczą go w środek stada owiec?

Debren poczerwieniał z lekka. Niby o zwierzętach mówili. Ale w obecności dziewczyny.

- A... aha - wymruczał.

- Ano właśnie. Nim smoki pozjadały tryki, wszystkie owce były brzemienne. Potem chaos się rozpełtał. Parę rozumnych smoków odkryło, czemu większość ich krewnych pochorowała się nagle, i w odwecie zaatakowało ludzi. Nawet we wczesnowieczu, przy marnej magii i technice, smok nie za wiele mógł zaszkodzić grodom czy dużym wsiom. Ale partyzancka wojna też bywa straszna. Trakty opustoszały, wiele owczych stad smoki po prostu wybiły lub uprowadziły. Tych niezasiarczonych zwłaszcza. Pola i wsie płonęły, ludzie głodowali. Bo z jagniąt po mutantach, a takie przeważały, większość zdychała. Ciężarne owce też często połogu nie doczekiwały. Pogłowie drastycznie spadło. Ceny baraniny, która wtenczas na rynku dominowała, poszybowały w górę, ciągnąc całą resztę. Mnóstwo ludzi z głodu wymarło. Jak to na wojnie, doszły też zarazy. I nikt w tym zamieszaniu nie zauważył, że potomstwo mutantów, to nieliczne, które nie padło, zdążyło urosnąć i samo się zacząć mnożyć. A potem już za późno było.

- Dziedziczne mutacje? - domyślił się Debren.

- Paskudne - westchnął Pirr. - Dedetus z różnymi eksperymentował. A że pewności nie miał, która zadziała, zaś terminy goniły, posłał, za przeproszeniem, w bój wszystkie swoje barany. W tym prototypy, z których potem sam zrezygnował. I właśnie te zaniechane projekty do hrabstwa Trickleley trafiły. Nie wiem, czy w dowód uznania dla tutejszych członków gildii hodowców, czy ze skrywanej niechęci. Wiem, że w innych rejonach niemal wszyscy potomkowie mutantów z głównej, finalnej linii dawno wymarli, jak to zwykle bywa w przypadku drastycznie ciężkiej mutacji. Parę mniej uciążliwych cech po nich zostało. Problemy są wszędzie, ale rzadko, na zasadzie wyjątku, nie reguły. Natomiast u nas... Jedne tryki przychówkowi tylko smród siarkowy

przekazały, inne zdolność produkowania i odkładania w tkankach toksyn. Sporo tendencje do łysienia, bo baran bez wełny lepiej smokowi smakuje i tym miał bestię przywabiać. Do tego łamliwość kości...

- Że jak?

- To jeden z paskudniejszych conceptów Dedetusa. By się kości mutantów pod wpływem silnego bólowo-lękowego bodźca nerwowego łamały na ostre szpikulce. Rozumiesz: przy pożeraniu przez smoka. Chodziło o dziurawienie bestii kiszek. Taki... dodatkowy, gratisowy czynnik rażenia. Stres towarzyszący walce rozpuszczał lepszycze rogów i zębów w założonych z góry miejscach. Pękały na ostre kawałki i z niegroźnego roślinożercy robił się wojownik. Z kłami i spiczastym porożem. Wiele tragedii to spowodowało. Tyle że potem. Bo smokowi, poza całkiem małym, gryzienie i bodzenie przez barana zbytnio nie zaszkodzi. Ale były też mutanty, po których ducha bojowego się dziedziczy. Ich potomstwo do dziś pasterzy atakuje. Tymi ostrymi zębami i rogami właśnie. Nie wiadomo, czy to efekt zamierzony, czy przypadkowa mutacja, lecz co pewien czas rodzą się owce mordercy.

- Żartujecie...

- Niestety. Dedetus zadbał o upodobnienie tych swoich potworów do zwykłych owiec, więc i ich potomkowie często do końca niczym się nie wyróżniają. Ale... - Pirr rozejrzał się i wskazał ruiny, mające w oddali - o, tam masz jedną z farm, które padły ofiarą takiego mutantu. I gdyby jeszcze barana... Ale jałówka ów dramat spowodowała. Troje małych dzieci gospodarzom zagryzła lub zatratowała, po czym zbiegła do lasu. Gospodyni powiesiła się z rozpacz. A gospodarz pił, pił, aż którejś nocy owca wróciła i pijanemu gardło przegryzła. Zdążył ją dźgnąć, lecz cóż z tego? Oboje się wykrwawili.

„Też rzem słyszała” - potwierdziła Amma. - „Ale muwili, rze to owcołak.”

- Co? - zdziwił się Debren.

- Ano właśnie - westchnął Pirr. - Kto poza Anvashem o owcołakach słyszał? Od zawsze, jak świat długi i szeroki, samotny juhas na odległym pastwisku, a i po wsiach niejeden rewers czy nieudacznik z owcami się zadaje. I nic złego z tego nie wynika. Dobro nawet, bo gwałtów i chorób amorycznych mniej. A u nas i do tego mutacje doprowadziły. Że się owcoludy rodzą. W skrajnych wypadkach, fakt. Ale jednak. Co pokazuje, jak groźnych mutagenów Dedetus użył. Niektóre przez mięso, mleko, a nawet wełnę na ludzi się przenoszą. Bezpłodność wywołują, poronienia, defekty psychiczne i cielesne. - Udał, że nie dostrzega dwojga spojrzeń posłanych w stronę jego garbu. - Choć najokrutniej dostało się oczywiście owczarzom.

- Odwet smoków? - domyślił się Debren.

- Ekonomia. Chorowite zwierzęta, ale nie tylko. Kiedyś stad pilnowały dzieci. Dzięki temu Anvash stał się potęgą włókienniczą. No bo wyspa, drapieźników mało, najeźdźców zwykle żadnych, a jak już coś stado zaatakuje, to smok, przeciw któremu i tak nie ma sensu pastucha zabijaki najmować czy trzymać srogie psy. Więc cały wypas opierał się na dzieciach, co koszty znakomicie obniżało i konkurencję kładło na łopatki. Ale chciwość hodowców zaślepiła, no i teraz mamy się z pyszna. W hrabstwie Tricklely owce zagryzają lub trwale okaleczają dwa tuziny pasterzy rocznie. Choć teraz samych zabijaków się zatrudnia, co to bez dwóch siekier nie podchodź, bo w pierwszej ci stylisko połamać zdolni. Ile taki bierze, wolę nie mówić. A psów do wypasu w ogóle nie sposób użyć. Bo jak psu wytłumaczyć, że go po roku znajomości owca znienacka za gardło gotowa chwycić i zabić? Więc wysokopłatni najemnicy muszą

zastępować także i psy. Koszty mamy katastrofalnie wysokie. Co - dokończył już po swoim, kpiąco uśmiechnięty - wszystkich po sakiewce okrutnie bije. Z jurystami włącznie. Recesja, że strach. Zaś ciebie, Debren, o tyle dotyczy, że gdybyś postanowił nas opuścić i udać się w stronę portu, przyjdzie ci wędrować przez odludne pastwiska. I jako nietutejszy, mógłbyś zignorować pasące się w pobliżu owce. A to u nas niebezpieczne. Dlatego ci to wszystko tak szczegółowo opowiadam. Byś zrozumiał, że nie kpię, ostrzegając przed baranami. I innymi dziwnymi mutantami.

- Innymi?

- U drapieżców albo padlinożerców z wolną przemianą materii mutagen z baraniego mięsa może do organizmu przeniknąć. Rzadki przypadek, ale i takie odnotowano. Mutanty jak to mutanty, zwykle wymierają bezpotomnie albo kiepsko się mnożą, ale... uważać trzeba. Nigdy nie wiadomo, jakie dziwadło napotkasz, podróżując po hrabstwie Trickley.

Ruiny dotkniętej tragedią farmy znikły za wzgórzem. Jakiś czas szli w milczeniu. Potem Amma przypomniała sobie, od czego się zaczęło.

„To co s tom siarkom?”

- Smoki mają dobrą pamięć - wyjaśnił Pirr. - Wiele z nich wtedy wyginęło. Całe gatunki wręcz. Białoklifowiec choćby... Jedne od trucizny padły, inne od mutagenów, z owcami zjedzonych. Więc niedobitki, które przeżyły, podejrzliwie patrzą na wszystkich, od których czuć siarką.

„Nie zdobyłam siarki. Nie mam pieniendzy.”

- Na pewno? Ani odrobiny nie polizałaś? Na próbę, by zobaczyć, jak smakuje? Pomyśl. To ważne.

Wyglądał na szczerze zatroskanego. Choć nie to zastanowiło Debrena. Raczej to, że próbował nie wyglądać.

Sam Debren też postarał się o niedbały ton.

- Sporo o smokach wiecie. - Przeszli z tuzin sążni, a tamten milczał, więc chłopak dorzucił: - Ciekawe, bo burmistrz mówi...

- To polityk. Po co ma księgi czytywać, skoro i tak w całej okolicy najmądrzejszy?

- Nic nie wspomniałem o księgach.

Chyba dobrze trafił: Pirr jakby się zasępił. Ale może i nie? Ostatecznie krył pod tą iluzją sporą część twarzy.

- Nie? To może kto inny... Ostatnio wciąż się żali, że za mało o smokach wiemy. I na ubogie księgozbiory.

- Wy za to wiecie całkiem dużo.

Amma posłała badawcze spojrzenia im obu. Pirr zawahał się, potem jednak westchnął z rezygnacją.

- Trochę się tym... interesowałem. Prywatnie. - Oboje czekali na ciąg dalszy, więc dodał: - Ktoś... bliski mi... no, w powodu smoka umarł. Kobieta. Więc rozumiecie. I że gadać o tym nie chcę, też rozumiecie. To bolesny temat.

„Ojej.” - Amma niczego więcej nie zdążyła wymyślić, nim jeden i drugi zerknęli jej w tabliczkę.

- Burmistrz też się interesuje - zauważył Debren. - A o owym masowym smokobójstwie i wojnie smoczo-ludzkiej ani się nie zająknął.

- Politycy zawsze pomijają niewygodne kwestie.

- O tym by wspomniał. Sami mówicie: smoki węszą za siarką, wietrzą podstęp. Powinien mnie burmistrz ostrzec. Albo choć zapytać, czy do czarów siarki nie zastosuję. Bo akurat do niejednego z iluzyjnych się jej używa.

- Dziewictwo nie węchem się sprawdza - wzruszył ramionami Pirr.

- Burmistrzowi nie przyszło do głowy...

- Dziewictwo? - Debren zatrzymał się nagle. - O dziewictwie też

nie wspomniałem. Tak jak o księgach.

Jurysta także stanął. Minę miał dość kwaśną.

- Można być skutecznym adwokatem - oznajmił - po prostu dobrze żyjąc z sędziami. Albo urokiem osobistym ich zjednując. Zdziwiłbyś się, ile korzystnych wyroków zapada, bo się sędziemu adwokat miłym widzi. Ale niektórzy prawnicy uroku mają mniej. I ci, by swoje na wokandzie przeforsować, muszą mocno rozumu używać.

- Skąd wiecie, o czym gadałem z burmistrzem? - zapytał wprost Debren.

- Toć tłumaczę: z użycia rozumu. Burmistrz gorączkowo szuka dziewic. A teraz iluzjonistę sprowadził. Łatwo odgadnąć, czego od ciebie chce.

- Tak? To niby czemu z grodu umykam?

- Bo... - Pirr zaciął się tylko na chwilę, ale widać było, że drogo go ona kosztowała. Konkretnie: utratę wiary w gładkie prześlizgnięcie się przez temat. - No dobrze. Wyznaję: wiem, czego od ciebie oczekuje. - Milczał jeszcze parę momentów, po czym mruknął: - Od opata.

- Co? - Zaskoczył Debrena.

- Burmistrzowi spodobał się pomysł z zięcią. Poprosił opata o cnotliwego i gładkiego młodzianka. Opat... cóż, i on czasem prawnika potrzebuje. Stąd wiem.

Debren zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Nie od burmistrza? - upewnił się.

- Od opata - mruknął Pirr. - I może zamknijmy ten temat. Kawał drogi przed nami.



Debren nie miał pewności, czy to sokół. Niebo było lekko

zachmurzone, jakby maźnięte umaczanym w mleku, wyłysiałym pędzlem - to dlatego schrzanił sprawę. Skokowo wyostrzył wzrok, no i wyszło mu zaskakująco dobrze, a on przecenił dobroczynny wpływ pierzastych obłoków. Pół biedy, gdyby utrzymał początkową linię spojrzenia, zawężoną teraz do wąskiego stożka. Ale ptak zdążył odlecieć, a on znów nie pomyślał w porę, rozejrzał się na boki - i wprowadził oś widzenia precyzyjnego za blisko słońca.

Błysnęło mu chyba nawet bardziej w czaszce niż przed oczyma. Potknął się z wrażenia. To jeszcze zdołał ukryć, ale pełne ognia oczy odmówiły posłuszeństwa i parę kroków dalej zaczepił o coś stopą. Tylko rozpaczliwy sus uratował go przed upadkiem.

- W zająca próbujesz transformować? - zaciekawiał się Pirr. Debren próbował grać na zwłokę, klnąc cicho pod nosem i udając, że otrzepuje kurz z nogawicy. - Coś chyba zaklęcie nie wyszło?

Nie zatrzymał się na szczęście, zerknął tylko przez ramię. Debren słyszał oddalające się stąpanie kopyt. Konia, prowadzącego go garbusa ani Ammy zupełnie jednak nie widział. Świetlne plamy blakły powoli, lecz nadal przesłaniały mu cały świat. Jeśli tamten nie patrzy, a on będzie uważał, to może przejdzie jakoś następne kilkanaście kroków nie waląc się na pysk i nie zdradzając ze swą idiotyczną ślepotą. Może ocali honor. Ale...

- Źle w górę zerknąłem - burknął. - Moglibyście spojrzeć? Ten ptak... Wysoko był, w pobliżu słońca.

Chyba spojrzeli, bo przez dłuższą chwilę oszczędzone mu były pytania. Ale w końcu padły.

- W słońce się gapieś? - Głos Pirra balansował gdzieś między kpina, ciekawością i troską. - I to wspomagając magią siłę oczu? Rozum ci odjęło?

- Obok słońca jeno - mruknął. - I przypadkiem.

- A można wiedzieć, po coś w ogóle w niebo patrzył?

- Sprawdzalem, która klepsydra. Zobaczyłem tego ptaka i... A potem się potknąłem, no i mi wzrok uciekł gdzie nie trzeba. - Wraz ze zdolnością widzenia wracała mu pewność siebie, więc dorzucił: - Marne tu macie gościńce. Dziur pełno.

- I to Lelończyk mówi - zakpił Pirr. Jakoś jednak nie rozwinął wdzięcznego przecież tematu lelońskich dróg, o których znane na całym kontynencie powiedzenie głosiło, iż pod względem nierówności równych sobie nie mają, a kiedy leloński król chwali się siecią nowoczesnych, bitych traktów, ciężko wyczuć, czy podaje ich długość, czy może szerokość. Zamiast tego zapytał: - A czemu cie ten ptak aż tak zaciekawił?

- To sokół? - zignorował pytanie Debren.

Amma chyba pokazywała mu tabliczkę. Może nawet z odpowiedzią, ale by ją poznać, musiałby, jak nocą, macać.

- W grodzie... - Zawahał się, uznał jednak, że wyzbycie się złych przeczuć warte jest tej ceny. - Chyba jakiś elf mnie śledził. I właśnie z sokołem chodził.

- Keloalen? - upewnił się Pirr. - Sekretarz rady?

- Znacie go?

Amma coś pisała. Jurysta zerknął jej przez ramię.

- Ona tak - poinformował Debrena. - Ja też. Nie wiem, kogo pytasz. Bo w oczy to patrzysz najbardziej memu koniowi. - Przesadzał, zaraz jednak wyjaśniło się, do czego zmierza. - Łatwiej będzie się dogadać, jak skończysz z tym „wy, panie Pirr”. Mów mi przez „ty”. Prościej, szybciej. A pośpiech, widzę, może być konieczny.

Debren próbował odgadnąć, o co mu chodzi, ale niczego mądrego nie wymyślił.

- Tak, pośpiech - skomentował Pirr wyłobione w miękkiej glince słowa. - Bo jeśli to sokół Keloalena... Znaczyłoby to, że Debren ma

rację, elf go wziął na widelec i... - przerwał, widząc, że dziewczyna pisze coś w pośpiechu. - A moim zdaniem to sokół.

- Twoim zdaniem nie, Ammo? - upewnił się Debren. Migotało mu jeszcze przed oczyma, lecz przeczący ruch dziewczęcej głowy trudno było przegapić. - Hmmm.

- No to masz problem, Debren - poinformował go Pirr niedbałym tonem. - Czym oczom bardziej ufać. Moim, który dobrze jadam i sporo podróżuję, czy dziewczynie, żyjącej w ciasnocie grodu, gdzie wzrok dalej niż stajanie nie sięga, od czego o krótkowzroczność łatwo. No i niedojadającej, z czego kurza ślepotą przychodzi.

Debren ruszył dalej, z zamiarem rozważenia tego w marszu. I ewentualnie sprawdzenia samemu, kto za nimi leci - o ile nadal będzie leciał. Po paru krokach zorientował się jednak, że idzie sam.

Zatrzymał się, posłał garbusowi pytające spojrzenie.

- Zmartwiłeś mnie - wyjaśnił Pirr. - Bo Keloalen to śliski typ. Politykom się wysługuje, i to tym, którzy burmistrza najchętniej odesłaliby na dno miejskiej fosy. Na Smiha naturalnie nawet elf od brudnej roboty ręki nie podniesie. Ale już na jego emisariusza...

- Nie jestem żadnym... Toć właśnie z miasta uciekłem!

- Ba! Pytanie, czy frakcja liberałów o tym wie. A nawet wiedząc... czy wierzy. Bo sam pomyśl: bezbronny młodzik i dziewczka pokonują w otwartej walce profesjonalnych stróżów wałowych i siłą wyrywają się z zamkniętego grodu. Dziwne.

- Co sugerujecie, panie...?

- Po imieniu mi mów. A sugeruję, że to z boku wygląda na komediancką inscenizację. Bo oto burmistrz z jednej strony maga sprowadził, a z drugiej... umknął mu magik w nocy. I cokolwiek teraz uczynisz, zasługa spłynie na Smiha, zaś ewentualna wina... po nim. Nader sprytne posunięcie. Tak to opozycja będzie komentować.

- Ale to nieprawda! Burmistrz nic nie wiedział o...

- Debren, młodyś i w dodatku z dziwnego kraju. Pozwól zatem, że cię oświecę: polityk nie wierzy w przypadki. Gdy deszcz spadnie, zastanawia się, jaki miał w tym interes jego oponent i z kim załatwił, by padało.

Debren przez jakiś czas ponuro przyswajał tę wiedzę.

- To co z tym pośpiechem? - przypomniał sobie.

- Zależy - wzruszył ramionami Pirr. - Jeśli masz dość kłopotów, pośpiech będzie dotyczył mnie i Ammy na grzbiecie mego konia. Sokoła nie prześcignie, ale już sokolnika, Boomhonsa czy drabów powinien.

- Aha. Ja sobie pójdę, a ty ją baronowi na zamek...

- Wbrew jej woli? - Jurysta uśmiechnął się szeroko, choć, jak to on, nie odsłaniając zębów. Dobra iluzja z pewnością wyprostowała i wybieliła nawet najpaskudniejsze, ale Debren czytał, że tak bywa w przypadku upiększanych magią. Odruchowo, jak przed nałożeniem czaru, skrywają to, co było brzydkie. - Za porwanie by się to liczyło.

- To dokąd chcesz ją wieźć?

„*Nigdzie z nim nie jade*” - oznajmiła zdecydowanie Amma. Debren w końcu odzyskał zdolność czytania.

- Będę przemawiał do jej rozsądku i machrusańskiego sumienia. Jadąc... - Pirr zastanowił się - no, tam dokąd ona by szła. Bo inaczej z konia zlezie i sama pójdzie.

- Dokąd? - upomniał się Debren.

- Podejrzewam - garbus zerknął na dziewczynę - że ku bramie rezerwatu? - Zdecydowanie kiwnęła głową. - No widzisz. Czyli dokładnie tam, gdzie was będą szukać. Stąd przymus pośpiechu. Jeśli ścigający wie, dokąd zmierzasz, musisz być po prostu szybszy. Choć...

- Aha, i szybciej was koń poniesie, jeśli zacznę do ciebie „Pirr”

mówić, a nie „panie Pirr”?

- Choć nie to - dokończył prawnik - miałem na myśli. Bo racja: konia to nie przyspieszy. Ale gdybyśmy mieli iść przez Trollowy Most, musimy być przygotowani na...

- Trolle też macie w okolicy? - zmierzył go podejrzliwym spojrzeniem Debren. - I co jeszcze? Skrzaty? Węża morskiego w rzece? Złote rybki w fosie?

- Kiedyś jakieś były. O trollach mówię. Nieważne. Grunt, że legenda przetrwała i most. Jakoby trollowy właśnie. Wiedzie tamtędy inna droga, którą można do smoczego rezerwatu dotrzeć.

- Krótsza?

- Zalesiona. - Pirr wymownie wskazał niebo. Debren, po raz pierwszy od wpadki z oślepieniem, spojrzał ostrożnie do góry. Kilka ptaków wypatrzył, ale sokoła nie.

„Mniej nas będzie widać” - domyśliła się Amma.

- Tak cię ten ptak niepokoi? - Debrena nasza pokusa pogwałcenia praw i obyczajów, użycia czaru i zajrzenia pod zakłęcie, kryjące oblicze prawnika. Dobra iluzja tak jest robiona, by wiernie przenosić emocje, i zwykle dodaje im jeszcze wyrazistości. Ale kto wie, o jaką postarał się prawnik: wszak w tym fachu otwartość i uczciwość z góry mogą człowieka przekreślić.

- Gdybyśmy mieli iść we trójkę, to tak. Czarodzieja łatwiej odszukać. Twoja magiczna aura...

- E, bez przesady... Aura? O ptaku mówimy.

- O sokole Keloalena szepcą, że to nie żaden sokół, a elf zaklęty w postać ptaka. Albo coś takiego. Rozumniejsza od człowieka, niebezpieczna bestia.

Amma zaczęła gwałtownie pisać.

„Kto niby szepcze? Nic nie słyszałam. I bzdóry to wierótne. Ja się na zwierzakach znam. Normalny to on nie jest, znać, rze mu rozum

magiom poprawili, ale rze od człeka rozumniejszy, to głópota. Ot psa troche wiecej ómie, to fszystko."

- A ja jakoś - uśmiechnął się sceptycznie Pirr - nie słyszałem, byś się sokolnictwem parała. Ani psiarstwem. Cóż ty możesz wiedzieć...

„*Elfickiej krwi jestem*” - przerwała mu. Sądząc po minie: gniewnie, wyzywająco i całkiem świadomie.

Uśmiech zamarzył na ustach prawnika. Tak nagle, że Debren przez moment wypatrywał obłoku pary i kryształków lodu. Całkiem poważnie: jakieś uszkodzenie zaklęcia iluzyjnego w skrajnym przypadku mogło dać taki efekt. Ale to oczywiście nie magia zareagowała, lecz sam Pirr. Po raz pierwszy coś tak naprawdę zrobiło na nim wrażenie.

Dziwne. Rasizm rasizmem, każdy by się poczuł nieswojo, gdyby ktoś wyznał mu nagle, że jest elfem - ale przecież tego typu nowina wstrząsnąć może kandydatem do ręki czy kimś w tym rodzaju. A tych dwojga nic nie łączyło.

Więc może jednak - łączyło?

- Jak... to? - Nad głosem Pirr też nie zapanował. Lód, który zmroził oblicze, wywołał i chrypę.

- To jeno mała domieszka, po dalekim przodku.

Debren nie rozumiał, czemu to mówi. Oczywiście: chciał bronić Ammy. No, a przekonywanie ludzi, iż ktoś ma w sobie niewiele elfiego pierwiastka, jest zwykle równoznaczne z obroną tego kogoś. Ale przecież wzbudzenie u Pirra antyelfowych fobii byłoby mu akurat na rękę. Gdyby jurysta okazał się zajadłym rasistą i odjechał, zostawiając ich w spokoju... no, to mieliby spokój właśnie.

I sami by zostali. Debren bał się tego „sam na sam”, kiedy faktycznie byli tylko we dwoje, ale zaczynał o nim marzyć natychmiast, gdy w polu widzenia pojawiał się ktoś trzeci, swą obecnością przekreślający szanse na ich ewentualne miłowanie się.

- Jak mała? - zapytał cicho Pirr. Dziewczyna wzruszyła ramionami.
- Debren?

- A skąd mam wiedzieć? Po uszach ciut widać i zdolnościach...

- Zdolności? - Twarz jurysty nie wyrażała teraz niczego. - Słyszysz mowę zwierząt?

„A bo co?”

Zastanawiał się nieco za długo.

- Nie, nic. Tyle że to by mogło nam podpowiedzieć, do jakiego stopnia jesteś elfką. I... - zawiesił głos - i na ile możesz Keloalena interesować. Jako elfka.

- Elfka? - zdziwił się Debren. - Znaczy... w sensie...?

Napotkał zaskakująco ponure spojrzenie.

- Czas tracimy - mruknął Pirr. - Odejdź, jeśli masz odejść. To naprawdę ostatnia dobra okazja.

- Nie powiedziałem, że odchodzę.

- To powiedz w końcu. Nie utrudniaj ludziom życia.

- Ja utrudniam? Ja ją... to znaczy: pomagam Ammie.

- Ratuszesz, chciałeś powiedzieć? Przed śmiercią, tak? Do smoka prowadząc? Nocą po dachach ciągnąc? I po lasach pełnych gałęźnic? Ze strażą wałową na halabardy się tnąc? To sobie, szczęściara, znalazła obrońcę. - Debren za mocno zbladł, by odeprzeć nieoczekiwany atak. - A pomyślałeś, zbawco, że we trójkę na jednym koniu nie pogalopujemy? Że jeno marsz opóźniasz?

„We dwujke tesz szypko sie nie pojedzie, co?”

Pirr, zbyt pochłonięty miażdżeniem Debrena wzrokiem, ledwie na nią zerknął.

- Nas dwoje - warknął - ten koń i cwałem poniesie.

W złą klepsydre to powiedział. A Debren, przymierzający się do wygłoszenia swej kwestii głosem, który zabrzmiał jak męski, nie chłopięcy, nie zdążył rozważyć, co powinien zrobić. Więc nie zrobił

nic.

Odruchowo przymknął tylko oczy, gdy okuta rękojeść króciicy trzasnęła jurystę w potylicę.



- Dlaczego tędy?

Amma ściągnęła wodze. Debren, który nigdy jakoś nie znajdował z końmi wspólnego języka, wołał pozostać za jej plecami, na zadzie karosza. Tam, gdzie wdrapał się po upadku ogłuszonego jurysty. Nie był pewien, na ile mocno tamten oberwał, nie miał pojęcia, co zrobić, gdyby Pirr zaczął wstawać, więc po prostu dostosował się do wydawanych gwałtownymi gestami rozkazów, wlaź na konia i pozwolił się uwieźć. Nim dojrzał do wyrzutów i pytań, droga przecięła się z inną, wiodącą z północy na południe. Czyli trochę długo dojrzewał - ale miło było się tulić do dziewczęcych pleców, dziwić szczupłością talii, cieszyć oko bielą wychylonych spod sukni łydek i różem pięt. Gnali zresztą szybko, a on nie zamierzał odgryzać sobie języka, co się może przytrafić gadającemu w galopie. Dopiero teraz, gdy dotarli do rozstajów, a Amma skrzyła bez namysłu, poczuł się w obowiązku przemówić.

Zatrzymała konia, zdjęła tabliczkę i napisała:

„Bo pszes las.”

Droga bardziej przypominała początek służącej drwalom przesieki, niż gościniec łączący sąsiednie hrabstwa, gminy czy choćby wioski. Nikt rozsądny nie skręca w takie nie wiadomo co.

- Ale to droga na południe. Myślałem, że smok mieszka na wschodzie.

„Bo mieszka. Som dwie drogi z Triklej by do rezerwatu dojechać. Gorsza i dłuższa od północy go omija, a ta lepsza od południa. My

teras północnom jechaliśmy.”

- Jak to? Dłuższą? Dlaczego?

Pisała, opierając tabliczkę o przedni łęk.

„Ta droga droga, południowa, obok zamku barona pszebiega. I krótsza jest. Tam by nas s początku szukali.”

- Jeśli pojedziemy tędy - wskazał las skryty za pagórkami - to na nią trafimy, tak? Już za zamkiem?

„Hyba.”

- Chyba?

„Ja z grodu w świat nie łąrze, bo po co. Z opowieści jeno okolice znam. Ale prawie na pewno dobrze muwie.”

- I myślisz, że jadąc na południe, a potem tamtą, lepszą drogą, na wschód, dojedziemy szybciej?

„Nie wiem. Ale jeszcze tszecia powinna być.”

- Trzecia droga?

„Niom pojedziemy. Pszes las.”

- Żeby się przed sokołem skryć? - Debren rozejrzał się po niebie. - No, nie wiem... Mówiłaś, że to nie sokół.

„Słabo widziałam. Gruszka muwił, rze tak.”

- Pytanie, czy prawdę mówił. Bo może chciał nas nastraszyć i na manowce wywieść. Jeśli utkniemy w jakiejś leśnej głuszy, Boomhons dotrze do rezerwatu przed nami. Poczekaj, złapie cię i odwiezie z powrotem...

Urwał. Nagle zdał sobie sprawę, co właściwie mówi. Że straszy szansą przeżycia kogoś, kto w przeciwnym razie prawie na pewno zginie.

Machrusie słodki - ależ był egoistycznym łotrem! Noc nocą, ale odkąd trafili do gospody, odkąd nikt jej nie chciał zabić ani zeżreć w pełnym drapieźników lesie, powinien z nią przynajmniej pogadać.

Wir coraz to nowych kłopotów tak ich wessał, że chyba oboje

zapomnieli, dokąd i po co właściwie idą. To znaczy: Amma zapomniała. Bo on, mówiąc szczerze, nigdy tego nie wiedział. Szła do smoka - ale z myślą o czym? Nie miał pewności. Za to pewne było, że jeśli dziewczyna dojdzie, gdzie zamierza, żywa nie wróci.

Może dlatego przemilczał tę kwestię? Bo w głębi ducha nie wierzył, by wytrzymała w postanowieniu? A póki oficjalnie szła na smoka, mógł iść z nią, być obok w sposób naturalny i nie wymuszający żadnych deklaracji?

„Nie buj sie. Nie ótkniemy. To był niegdyś warzny szlak. Dalej, na fschodzie, droga jest całkiem dobra.”

Debren zmagał się ze swym sumieniem. Szło mu nawet nieźle, bo Boomhons to jednak nie Pirr i już raz, pod „Uciesznym Rogiem”, wykazał, że może zafundować Ammie srogą krzywdę. Ale sumienie natychmiast przypuściło kontratak. Przywołało mianowicie obraz padającego na gościniec i porzuconego na pastwę losu garbusa.

- Mocno go uderzyłaś? - zapytał cicho.

Wolno, z ociąganiem zmazywała runy z tabliczki. Zrozumiał, że i jej jest nieswojo z tym wspomnieniem. Bo i ona - co dopiero teraz skojarzył - oglądała się za siebie raz i drugi, kiedy galopem umykali od nieruchomego ciała.

„Hyba nie.” - Zerknęła na niego i zaraz umknęła ze spojrzeniem, w którym niepewność i poczucie winy bezdyskusyjnie górowały nad satysfakcją. - *„To łajdak i słógus barona. Ale hyba mocno to nie. Dlatego zaras konia biegiem póściłam. Bom była pewna, rze sie zerwie i za nami pogoni.”*

- Ale... dlaczego go...?

„Bo dwoje na koniu szypko morze sie poruszać. A tzeci, pieszo biegnonc obok, jeno by ich opuźniał.”

No tak, sięgnęła po króćcę dokładnie w chwili, gdy Pirr zapewnił, że jego koń poradzi sobie z parą jeźdźców. Można rzec, że jurysta

sam się prosił o coś takiego.

- Dobrze zrobiłaś - mruknął Debren. Sam trochę zaskoczony tą kwestią. Ale po fakcie nie żałował. Obejrzała się gwałtownie z miną... no, może nie ułaskawionego skazańca, ale na pewno skazańca, któremu obiecano ponowne rozpatrzenie wyroku.

„Tak? I nie jesteś zły?”

- Ja, na ciebie? No coś ty! Pirr, jeśli już...

Uśmiechnęła się do niego tymi wielkimi, ślicznymi oczyma. W których, poza uśmiechem, była jednak i troska.

„Morzesz mieć teras kłopoty. Tosz to jurysta.”

Nie pomyślał o tym aspekcie sprawy. Że właśnie stał się współnikiem koniokrada i zbója zbrojnego. Bo takie zarzuty można było postawić Ammie. Nawet ostatni tępak mógł. Pirr, z jego pokrętnym jak kłębowisko żmij, prawniczym umysłem, jeśli zechce, dorzuci do tego dwa tuziny innych przestępstw i występków. Jak choćby jazdę niewłaściwą stroną gościńca. Albo sianie zgorszenia na drodze publicznej poprzez świecenie golizną łydek.

Czyli - kolejne problemy.

Więc może dać sobie spokój z baronami, wozobrońcami, smokami i całą resztą tego feudalnego bagna, zawrócić na północ i zmykać do portu? Za to, co miał w sakiewce, zdołałby opłacić przewóz na drugą stronę Gardzieli. A przecież nie musiał od razu wynajmować łodzi czy miejsca na statku - starczy pogadać z rybakami, by wzięli go na połów i gdzieś pośrodku cieśniny przekazali swym marimalskim albo depholskim odpowiednikom. To by nie musiało wiele kosztować. Może nawet nic. Czarodzieja każdy chętnie weźmie na łódź, choćby dla większego bezpieczeństwa.

Czyli z tym problemu by nie było. Z dotarciem nad zatokę - też nie. Mieli konia.

Tylko... no właśnie - mieli.

Było ich dwoje i tu leżał pies pogrzebany.

„To co? Jedziemy lasem?”

- Może... dajmy mu odsapnąć.

Marny wybieg. Ale nie taki znów żaloszny. Koń faktycznie potrzebował odpoczynku. Dyszał ciężko po dwumilowym galopie z parą jeźdźców na grzbiecie, całymi płatami spływała z niego piana. I, co najgorsze, raz czy drugi potknął się w wymytych przez deszcze rowkach, które teoretycznie powinien gładko ominąć.

Amma pierwsza zlazła na ziemię. Prowadząc konia za wodze, ruszyła w stronę lasu. Debren nie protestował. Dołączył, ustawiając się u jej boku, choć każdy krok oddalał go od świętego spokoju i normalności. Im dalej zajdą, nim podejmie decyzję o ucieczce z Anvashu, tym trudniej będzie uciekać. Pirr, przykładowo, pewnie pozbierał się już z gościńca i, kto wie: może gna ich śladem? Dogonić raczej nie dogoni, lecz gdyby przyszło zawracać, mogą się na niego natknąć na rozdrożu. I dojdzie do bijatyki. Bo prawo prawem, a świeży guz na głowie nawet z flegmatycznego jurysty może uczynić żadnego krwi mściciela.

I co wtedy? Do tej pory jakoś zupełnie o tym nie myślał, ale teraz zdał sobie sprawę, że Pirr, gdyby pominąć garb, wyglądałby na tęgiego osiłka. Kalectwo zwykle kojarzy się ze słabością i takie właśnie wrażenie robił wczoraj, w karczmie, poruszając się niespiesznie i kryjąc pod opończą zdeformowane ciało. Dziś jednak, podczas marszu, nie sprawiał wrażenia słabego. Pewnie niełatwo byłoby sobie z nim poradzić.

Dżuma i syfilis. Uciekał od prawdziwych problemów.

„Słaby coś ten koń. A ponoć w Triklej najlepszy. Tak sie Pirr chwali. Na lewo i prawo rozpowiada, jakiego to cudnego ma konia.”

- Każdy właściciel tak gada. Zwłaszcza gdy o sprzedaży myśli. Koń - ocenił wzrokiem - no, taki sobie.

Wstydział się przyznać, że mało się zna na koniach. Nigdy nie mieli własnego: grotnikowi do pracy niepotrzebny, a znów tyle ojciec nie zarabiał, by dla luksusu kupić.

„Ale to jednak dziwne.” - Też raz po raz oglądała się na prowadzone zwierzę, jakby podejrzliwie. - *„Rok temu ludzie za głowy się łapali, tak szypko tuzin mil pszebieg. Ci, co sie znajom, muwili, rze jeśli wyścigowy takie tempo na mile utszyma, to go na wage srebra spszedać morzna. Takowy skarb. A on tuzin pszecwałował. No, morze jedenaście. Bo pszet samym grodem jusz nie podolał i końcófke to Gruszka biegiem. Ale i tak zdonżył.”*

- Zakład jakowyś? - domyślił się Debren.

„Proces. Sendzia termin pszypieszyl i Pirra nie bylo w Triklej, kiedy sprawa ruszała. Ale go wieść o tym dopadła tuzin mil od grodu. I tak pognał, rze zdarzył. Ludziom sie wieżyć nie hciało. Jeden hodowca koni nawet specjalnie jeździł do tej wsi, by sprawdzić, czy morze klepsydra im tam źle pokazuje. Ale nie. Słonecznom majom, starom, po druidach jeszcze, co pszed Machrusem żyli. A ci się na astronomii wyznawali. Tak ustawili kromlehy, rze do dziś żeglaze przyjeżdżajom, by swoje klepsydry regulować. No a znów w Triklej dokładnie czas zawsze znamy, co karzdy kościuł ma własne klepsydry a w mieście dwóch astrologóף praktykuje i astronom. Czyli czas na pewno był taki jak trzeba. Znaczy: krutki niewiarygodnie. Podobniesz rekord Anwaszu na tuzin mil.”

Debren popatrzył na konia, ale spocony karosz człapał ospale, niczym nie zdradzając tak niebywałej chyżości.

- No, ale teraz nas dwoje niósł - próbował sobie to logicznie wytłumaczyć. - To całkiem co innego niż...

„Ftedy tesz! Pirr na tom wieś pojechał po świadka obrony. Pastuszka pewnego. Prawda, rze chłopczyna był małoletni, ale

grubasek, wienc razem z Gruszkom wiencej nisz my warzyli. A tak gnali, rze asz pastuszek omdlał, gdy pod wierzbom pszejeżdżali i go gałónś o głowe zachaczyła. I musiał go Pirr w siodle tszumać a potem to w ogóle nieść, gdy konia zostawił. Powiadajom - dopisała po namyśle - rze hyba Bug nad oskarżonym czówał. Bo to istny cód. Nawet paru gadało, rze anioła widzieli. Nad tom drogom frunoł, co niom Pirr gnał klienta ratować. No, morze nie całkiem dokładnie, ale blisko."

- Bogatemu i los sprzyja - uśmiechnął się gorzko.

„E, oskarżony nie był bogaty.”

- Nie? - zdziwił się. - I chciało się Pirrowi za marne grosze takiego konia ryzykować? Samemu biegać?

„Gruszka lóbi na sfoim postawić.”

No tak, to tłumaczyło upór prawnika. Pirr to kaleka. Sala sądowa jest pewnie jedynym polem bitwy, na którym odnosił sukcesy. Nic dziwnego, że tak się angażował w walkę.

„No i pszyjeło sie, rze Pirr ma najszypszego konia w chrabstwie. Ale teras coś mi sie widzi, rze oszukiwał. Coś koniowi zadał pszed tamtym biegiem. Zaklencie? Bo dziś to rzaden czempion. Chabeta prędzej.”

- Jeździł gdzieś, gdy spałem - przypomniał Debren. - Jeśli daleko i szybko, najlepszego konia mógł zmęczyć. No i tę torbę do ciężaru dodaj - wskazał chronioną przez samobija część juków. - Swoją drogą, ciekawe, co tam...

„Zajżymy?”

- Lepiej nie - pomasował guza na głowie. Zlustrował też wzrokiem puste, porośnięte wrzosem i zagajnikami pagórki. - I lepiej chodźmy szybciej. Jakoś... dziwnie tu.

Niebo też było puste, wolne od sokołów. Ale uczucie, że ktoś mu się przygląda, nie opuszczało Debrena aż do chwili, gdy wkroczyli

między drzewa.

Potem o nim zapomniał - gdy karosz nieoczekiwanie zastopował sto kroków od skraju lasu. I stał, ignorując pociąganie za cugle. Amma nie próbowała bardziej energicznych szarpnięć. Zdziwiona, zaczęła głaskać delikatnie okolice nozdrzy i mrużyć coś na podobieństwo kołysanki.

- Co mu jest? - zapytał Debren. Przeniósł spojrzenie na otaczające ich zarośla. Ale chyba nie tu leżał problem. Las jak las, ze śladami wyrębu, no i koń wcale nie wyglądał na przestraszonego. Nie rozglądał się nerwowo, wypatrując wilków czy biesów. Jeśli już, to raczej z lekka otępiał. Wyglądał bardziej na ofiarę ataku senności niż paniki.

„Nie wiem. Chyba...”

Nie dokończyła, bo karosz zniecierpliwiony ugiął kolana i zaległ na środku drogi. Przyglądali mu się bezradnie, kompletnie zaskoczeni dziwnym zachowaniem zwierzęcia. Amma przykucnęła, przytrzymując kiwający się sennie łeb, i chyba próbowała nawiązać empatyczny kontakt. Bez skutku jednak.

Debren stał z boku i po prostu się gapił. Dopiero po paru pacierzach go olśniło.

- To chyba ta hipnoza - przypomniał sobie. - Pamiętasz? By garbatych nie dyskryminował.

Na tym zakończył. Zastanawiał się, jak dopasować do tego resztę, ale w sensowną całość nijak mu się to nie chciało ułożyć.

„A morze do pana tęskni?”

- Wątpię - mruknął Debren, kończąc powierzchowny, szybki skan. - Nie wygląda, by się kochali. No i ma tę hipnozę. Czuję. Może... no, może faktycznie pana jurystę daleko nosiło, gdyśmy spali. I konia zajeździł. Dokąd on właściwie...?

„Do zaklinacza, muwiłam. Ale nie wiem gdzie.”

- Jest w pobliżu jakiś gród? Oprócz Trickley? - Pokręciła głową. - Dziwne. Na taką hipnozę i doładowanie samobija byle wiejski partacz nie wystarczy. Dobry zaklinacz potrzebny. A taki w mieście mieszka.

„Do Trickley i spowrotem by nie zdonżył.”

- Ale może tam jechał. Bo ostatecznie - zerknął na osadzoną przy jukach wojowniczą pałkę - nie wiemy, czy był u tego zaklinacza, czy tylko miał zamiar.

„Prawda. Wpad do gospody wzbużony. I Bumhonsem zaczął straszyć. Morze go widział po drodze i zawrucił.”

Tak czy inaczej, nie zbliżało ich to rozwiązania zagadki przysypiającego konia. Co nie znaczy, że zmarnowali czas. Bo myśl, która nasza Debrena, warta była tych paru pacierzy.

Podszedł do karosza, trącił stopą koński zad, potem, ostrożniej, sakwę z trupim kółkiem. Nic się nie stało. Koń nie wstał, a kij nie wyskoczył z pochewki, by go wygrzmocić jak wtedy, w stajni.

- Chyba... Skoro jechał podładować zaklęcie, to znaczy, że samobij zdechł. Czyli można... Jeśli to pieniądze...

Nie dokończył. Liczył, że Amma sama pociągnie myśl. Była rozpaczliwie uboga; nie ma cudów, by głód dostatku nie obudził się w niej obok bezpieczeństwa sakwy wypchanej monetami. Choćby miedzianymi. W gruncie rzeczy Debren wolałby, by tam, w środku, były denary, nie grosze. Cynicy powiadają, że jak kraść, to dużo, ale on nie czuł się cynikiem. Wisząca przy siodle torba ważyła przynajmniej ze trzydzieści funtów. Tyle z grubsza, gdyby to były miedziane denary, wyrobnik spoza cechu zarabia w ciągu roku. Suma poważna, lecz jeszcze nie oszałamiająca. Do uciulania, nawet dla młodego maga z kraju o dramatycznie słabszym kursie waluty. Inaczej mówiąc: kiedyś jakoś mógłby to Pirrowi oddać. Torby srebra nie odda.

Amnę dręczyły pewnie podobne myśli - o niewyobrażalnym bogactwie, leżącym w zasięgu ręki. Pokręciła jednak głowę już po paru momentach bicia się z pokusą.

- Mogłabyś... wyjechać - bąknął. - Uwolnić się od barona. Uciec gdzieś...

„Gdzie co?”

Otoczający ich las nie przepuszczał wiatru tak nisko. Tylko mu się zwidziało, że podmuch ciałniej oblepił chustą jej twarz, wyłobił boleśnie szyderczą jamę w miejscu, gdzie brakowało ust. Ale nic nie mógł poradzić: taką ją ujrzał. I zabrakło mu argumentów, by ciągnąć temat.

„Choćmy.”



Coś nadbiegało z północy, ich śladem. Debren nie miał pojęcia, co takiego, bo droga okazała się faktycznie niewiele lepsza od służącej drwalom przesieki. Gałęzie pchały się miejscami na sam środek, co rusz przesłaniając widok. Gruba warstwa igliwia, zbutwiałych liści i mchu przykryła niegdysiejsze koleiny, tłumiąc odgłosy kroków niczym kserański dywan. To, co ich doganiało, równie dobrze mogło być poczem jeźdźców na ciężkich koniach co, przykładowo, szarżującym odyńcem. Pech chciał, że usłyszeli intruza zaraz po minięciu zakrętu, przez co widoczność zmalala do paru sążni.

Debren wyrwał różdkę z pochwy i próbował odepchnąć Amnę za najbliższe drzewo. Nie udało się. Uskoczyła i sama wyciągnęła broń. O ile za takową uznać krócićę gnomów. Niby parę osób to alchemiczne cudo uśmierciło, lecz właśnie teraz udowodniło, iż polegać na nim nijak nie się nie da. W pośpiechu - bo raczej nie świadomie - palec dziewczyny zawadził o spust. Kółko cierne

zawirowało ochoczo, ale skrzesało jedynie namiastki iskier.

Na czar też zabrakło czasu. Marnie by skończyli, gdyby z za zakrętu wypadł dzik, pościg z Boomhensem na czele czy choćby nieostrożny rycerz na ciężkim, bojowym rumaku. Na szczęście zwierzę, które wyłoniło się z za leszczynowej kępy, było stosunkowo lekkie i zwinne oraz nie bardzo obciążone dodatkowym ciężarem.

Odbiło więc zręcznie w bok, zahaczając Debrena jedynie brzegiem sakwy i hamując dwa sążnie dalej. Trzydzieści funtów kruszcu - czy cokolwiek skrywały juki pod trupim kółkiem - wystarczyło jednak, by chłopak runął w leszczynowe zarośla, gubiąc różdżkę i łamiąc parę gałęzi.

- Dzuma i syfilis... - kłął potem, gramoląc się z chaszczy. - Obyś podkowy pogubiła, durna szkapo...

Amma, która zaraz po nieudanym wystrzale zaczęła kręcić kółkiem, znieruchomiała nagle. Za to jej głowa obracała się to w jedną, to w drugą stronę. Zdziwiona, wypatrywała kogoś lub czegoś w otaczającym ich lesie. Czarny koń, sprawca całego zamieszania, wyglądał z kolei na zawstydzonego. Stał, grzebiąc nerwowo kopytem w miękkiej ziemi, uszy położył po sobie i starał się nie patrzeć nikomu w oczy. Wypisz, wymaluj: pies, który narozrabiał i, skarcony przez pana, udaje, że go tu nie ma.

Debren nie wiedział, skąd go naszło takie dziwaczne skojarzenie. Ale, okazuje się, coś było na rzeczy.

„Kazało mu się zatszywać.”

- Hę? - Nie zrozumiał. - Że co?

„Coś mu kazało stanonć. Zostać. Jakowys głos.”

Przyjrzał jej się niepewnie.

- Głos? Nic nie słyszałem. - Uniosła palec i popukała się nim nad skronią. - Znaczy... w głowie go... nie uszami?

Raz jeszcze powiodła wzrokiem dookoła, widać było jednak, że

nie spodziewa się już przyłapać nikogo na wychylaniu zza pnia.

„To ta telepatia elfów. Słyszysz jak zwierzęta” - zastanowiła się nad najlepszym określeniem - *„jak myślom. Jedne do drugich. Ale i do siebie same.”*

Debren, który właśnie zaczynał ostrzyć magią wzrok, zrozumiał w porę i dał sobie spokój.

- To znaczy... chodzi ci o to, że on sam sobie kazał stanąć? I ty to usłyszałaś?

„Nie wiem” - wyznała z żalem. - *„Nie jestem w tym dobra. Ras myślałam że się z psem rozumiem. I on mnie potem ugryzł. Marny ze mnie elf.”*

Karosz nie wyglądał na szykującego się do gryzienia. Debren poklepał go ostrożnie, na próbę pociągnął za lęk, uniósł strzemień. Zmęczony i niechętny obcym koń potraktowałby to jako próbę włożenia mu na grzbiet i być może zaprotestowałby. Ale ogier Pirra po prostu stał i pokornie czekał na dodatkowe ciężary.

- Chyba możemy na niego wsiąść.

„Zmęczony jest. To akurat czuje na pewno.”

- Zmęczony - przyznał Debren. - Ale nie na tyle, by nas nie powieźć. Bo gdyby nie chciał... Zresztą zaraz zobaczymy. Odsuń się.

W ciemnych ślepiach wychwycił błysk buntu przeciw kolejnej dawce wysiłku. Wiele koni było wyczulonych na magię i czarodziej w roli jeźdźcy wyraźnie im nie odpowiadał. Teraz też wystarczył nacisk stopy na strzemień, by zwierzę zarżało mało przyjaźnie, podreptało w bok, pociągając za sobą uwięzioną w strzemieniu stopę i zmuszając chłopaka do rozpaczliwego skakania na jednej nodze. Debren już miał zrezygnować, kiedy nagle karosz zadygotał, położył uszy po sobie i znieruchomiał. Zezujące w stronę człowieka oko zmętniało, pokryte mgiełką zubożenia.

Amma podniosła tabliczkę.

„Znóf.”

Debren kiwnął głową, odbił się z prawej nogi i znalazł w siodle. Czekał, choć to jedno słowo wyryte w glinie mocno podniosło go na duchu. Przedtem wewnętrzny głos zdołał zatrzymać galopującego konia, więc teraz tym bardziej powstrzyma stojącego.

I faktycznie: karosz, zamiast wierzgać, miotać zadem i zrzucić go przez pochylony kark, skubał trawę.

- To ta hipnoza - orzekł Debren. - Widać Pirr tańszą kupił, na jeźdźca jako takiego ukierunkowaną, a nie konkretnie na niego. Albo może to hipnoza z przekazem. Poczta królewska takie dla swych koni zamawia. Wierzchowiec słucha pana, a gdy pan go do stajni oddaje, to stajennego z kolei uznaje za pana. A potem następnego kuriera i tak dalej. Konie trochę od tego głupieją, za to lojalne są wobec wielu jeźdźców, no i nikt postronny takiego łatwo nie ukradnie. To ważne, bo sporo placówek pocztowych po lasach stoi. Słabo są chronione i zbóje by chętnie z nich zrabowali takie drogie, szybkie konie. A bez współpracy stajennego albo kuriera nic im po nich. Bo te po prostu nie posłuchają obcego.

„A jak stajennego postraszyć?”

- Niby można - przyznał. - Ale dziś nie wczesnowieczce. W Viplanie przynajmniej mało kto koniokrada powiesi. Ba, jak sąd uzna, że nie kradł, a jeno czasowego zawłaszczenia dokonał, bez zamiaru przejęcia na stałe, to nawet do lochu może taki nie trafić. No a napad to całkiem inna para cizem. Gardłowa sprawa. Poza tym niełatwo hipnozę obejść. Przekazujący konia nie może się mianowicie bać. Gdy zwierzę duży strach wyczuwa, nie opuści pana. Tak je uwarunkowano. Im bardziej zbóje stajennego albo kuriera stłuką i zastraszą, tym bardziej koń z nimi nie pójdzie.

„I on tak ma?” - Zaciekawiona Amma zajrzała karoszowi w ślepie.

- Chyba podobnie. Pirr ciebie wpuścił na swoje miejsce w siodle,

potem ty mnie na grzbiet. - Pomógł dziewczynie wdrapać się na konia. Dokończył, gdy usadowiła się za nim, opasując go oburącz w pasie. - I teraz koń nas słucha. Choć mu coś nie pasuje. Pewnie to, żeś poprzedniego pana w łeb trzasnęła. Już po zamianie, więc niby konia to nie powinno obchodzić, ale widocznie trochę mu w głowie namieszało. To dlatego tak do siebie gada, aż go słyszysz. Więc uważaj. Jeśli na resztkach czaru goni, uwarunkowanie może nagle puścić. A wtedy spróbuje nas porzucić. Albo, jeśli ma zabezpieczenie od koniokradów, nawet i gorzej. Potratować, pogryźć... Uważaj. No, to jedziemy.



Droga na wschód, choć zapuszczona i zarastająca zielskiem, zadawała szyku śladami dawnej świetności. Konkretnie: kamienną nawierzchnią, tu i ówdzie prześwitującą spod mchu, trawy i piasku. Po stylu układania bruku dało się poznać, iż zbudowali ją jeszcze zulijscy legioniści, dobre tysiąc lat temu, gdy u schyłku antyku południe Wysp Anvaskich znalazło się w granicach imperium. Od tej pory część kamiennej nawierzchni rozszabrowano, część zapadła się lub znikła pod warstwami ziemi. Zostało jej jednak wystarczająco wiele, by zaliczyć trakt do kategorii porządnych. Debrena zdziwił zatem brak śladów po ciężkich furgonach. Dla wyładowanych rudą czy kamieniem długodyszlowców odległość zawsze liczyła się trochę mniej niż pewność przejazdu, wynikająca z podróżowania po równym i utwardzonym podłożu. Było trochę odcisków podków oraz końskich bobków, ale ani jednej świeżej koleiny czy wołowych placków.

Sprawa wyjaśniła się, kiedy dotarli do strumienia.

Miejscami miał szerokość ledwie sążnia i przeświecał płyciznami,

trudno więc było nazwać go rzeczką. Płynął jednak środkiem szerokiej na dwa rzuty oszczepem, całkiem płaskiej dolinki, której dno nawet teraz, pod koniec lata, straszło tuzinami oczek wodnych. Między trzcina, sitowiem i kępami łązy równie często jak trawa łyślały soczystą zielenią placki rzęsy wodnej. Krótko mówiąc: bardziej przypominało to bagienko niż nadrzeczną łąkę i zdolne było odstraszyć nawet pieszego.

Dlatego Zulijczycy usypali groblę i wzniesli most.

Kamienny łuk imponował masywnością, przynajmniej na tle wąskiej strużki, leniwie sączącej się dołem - ale to woda wyszła zwycięsko z tysiącletniego pojedynku. Most co prawda przetrwał i schyłek starożytności, i całą mroczną epokę Wieków Wczesnych, i pierwsze sto pięćdziesiąt lat średniowiecza, jednak grobla okazała się mniej odporna. Wiosenne powodzie podmyły ją w sąsiedztwie mostowego przyczółka i całkiem niedawno wielki kawał drogi runął w położoną dziesięć stóp niżej dolinę.

Wraz z pniem oraz kilkunastoma łasztami ziemi wylądował w wodzie i mule kryty płachtą kupiecki wóz. Ciężki, zaprzężony w czwórkę wołów. Debren przyglądał się przez chwilę bielejącym pośród łożin szkieletom, próbując zrozumieć, co mu nie pasuje w ich widoku. Nie zatrzymał jednak konia i zaraz potem szczątki zwierząt znikły mu z pola widzenia, przesłonięte kępą topoli.

Dopiero przy mostowym przyczółku ściągnął wodze. Trochę pod wpływem Ammy, która poklepała go po ramieniu i zaczęła się wiercić, wyciągając tabliczkę i rylec.

„Trolowy most!” - napisała.

- To? - zdziwił się. - O nim mówił Pirr?

„Tak. Teras rzem sobie przypomniała, rze to na tej drodze.” - Runy, kreślone w pośpiechu, rozbiegały się jak stadko spłoszonych ptaków. - *„Głópie jestem. To złe miejsce. Przepraszam, Debren.”*

- Daj spokój - rozejrzył się trochę niepewnie. - Wierzysz w te bajania o okrutnych trollach? Zresztą to nie żaden troll budował, tylko Zulijczycy.

Najprościej byłoby przejechać, nim dziewczyna wda się w dyskusję. Ale okazało się, że to, co wziął za szczerbę w nasypie, było dziurą na wylot. Rzeka przebiła groblę, tworząc sobie dodatkowe koryto, puste i suche teraz, lecz straszące mroczną szczeliną o stromych ścianach. Sprawny jeździec na niezłym koniu mógł tę dziurę przeskoczyć, a pieszy przejść po ułożonej w poprzek kłodzie, ale Debren nie czuł się na siłach ani skakać, ani przeprowadzać konia po tej, pożał się Boże, kładce.

Zwłaszcza że po drugiej stronie, na rosochatej wierzbie, ktoś powiesił deskę, straszącą krwiście czerwonym trupim kółkiem. Pod spodem leżała druga deska. Sądząc po rudych zaciekach - zerwana z gwoździa. Sam gwóźdź znikł. Debren uznał, że kiepskie żelazo po prostu całe zmieniło się w rdzę, ale szybko poprawił się w myślach. Deski, choć pozieleniałe i czarne od wilgoci, za krótko tu wisiały. Komuś po prostu przydał się solidny, a nie dość głęboko wbity hufnal.

„To ostszerzenie” - skomentowała Amma. - „Ponoć trol tu myto pobierał. Ubił go potem jeden ryceź, ale trol klontwe żucił i ludzie zaczęli ginąć. Wienc sołtys okoliczny znów ściągnął ryceża, tego samego, by i klontwe usunął. Bo ryceź był zakonny, paladyn, na siły nieczyste nawet lepszy niż do miecza. Bo po prawdzie z trola był mały kurdópel, jeno rze kudłaty i cuchnął, dlatego sie podrużni bali i płacili. Ale niekurzy mówili, że to rzaden trol tylko morze wielki krasnolud albo nawet człek. A pod trola jeno sie potszywa, dla zarobku. No ale klontwa mu wyszła. Jak paladyn poszed, tak nie wrucił. Kamień w wodę. Choć z poczem był. Trzech hłopa prócz niego, fszyscy tengie zuchy, były knechty z zakonu Ryceży

Kołowych Rimmy Dziewicy. Konne. Wode święconą wzięli, srebrne groty, błogosławiony przez biskupa olej do ostrzy i dwie mocne relikwie. Nawet pochodnie z ogniem świętym sprowadzonym z najbliższej delegatury Inkfizycji. A i tak jeno resztki jednego i kawałek konia w dole strumienia znaleziono.”

Chyba od tej jej pisaniny chwilę potem Debren dopatrywał się białego błysku na dnie dziury. Jakby... kości prześwietlonej spod traw i błota? Zerknął tam, gdy zsiadł z konia i stał na brzegu wyłomu, stukając piętą o bruk. Chciał sprawdzić, na ile mocne jest podłoże. Bo, jak to przy wyłomach, tu i ówdzie nasyp osypywał się, co źle wróżyło końskim skokom.

- Trolle - oznajmił w końcu - od dawna już nie budują mostów. No, może jakieś kładki. W odludnych górach Draklenu. I te głupie jeno. Mądre dawno odkryły, że to się już nie opłaca. Na początku wczesnowieczna, gdy ludzi mało było, kusz nie znali, łuki mieli marne, zaś feudalizm dopiero raczkował, dało się czerpać zyski z takiego mostu. Podróżny wolał płacić, niż z trollem zadzierać. Ale potem postęp wyrugował trolle z branży mytniczo-drogowej. Zresztą te ich mosty... Małą dwukółkę ciągniętą przez leśnego konika utrzymały, ale ciężki wóz to już nie. No i mówiłem ci: to zulijska budowla. Solidniejsza po stokroć...

Kamień, ociosany tysiąc lat wcześniej, usunął mu się nagle spod ciężmy, potoczył w głąb mrocznej jamy, mlasnął w błotnistą ziemię, znikając aż do połowy. Białe, łyskające spod traw, odsłoniło oczodół ludzkiej czaszki. Coś się poruszyło obok. To szybkie, skaczące, to chyba spłoszone ropuchy, ale małe, pełznące kryło się w cieniu i nie dało zidentyfikować. Debren zresztą nie próbował. Cofnął się przezornie o dobre trzy stopy.

„Lepiej tendy nie ićmy.”

Małe runy. Bała się. I chyba wstydziła tego strachu.

- Przez most nie pójdziemy - zgodził się. - Bo jeszcze koń skarpe naruszy, spadnie i nogi połamię. - O sobie, połamanym wraz z koniem, nie wspomniał, by nie wyjść na tchórza. - W bród przejdę...

Zaskoczyła go, zniecierpliwiona przebiegając na drugą stronę wyrwy. Po śliskiej, ślimaczącej się kłodzie, od której jej bosa stopy odłamały parę butwiejących kikutów gałęzi. Kucnęła nad oderwaną od wierzby deską.

- Co ty wyprawiasz?! - rzucił gniewnie. - Toż to próchno! Ani się waż! - Wyciągnął dłoń, widząc, że próbuje wracać tą samą trasą. - Dołem, nie tędy. - Choć bez zapachu, usłuchała: zaczęła ostrożnie schodzić po stromym, umocnionym kamieniami i pnączami stoku. - Poczekaj tam. Zejdziemy do ciebie.

Nie zaryzykował sprowadzania konia po stromiźnie. Zawrócił pod las, gdzie grobla miała ledwie trzy stopy wysokości. Oddalił się najwyżej o pół setki kroków, a mimo to, gdy miękko zeskokczył na bujny kobierzec soczystej trawy, dziewczyna nagle znikła mu z oczu. Widziane z góry, kępy trzcin i wierzbowe zarośla wyglądały niepozornie. Okazały się jednak całkiem wysokie.

Wystarczyło parę kroków i znów widział Ammę. Ale coś się zmieniło. Otaczał go podszyty wonią błota i gnijących roślin gąszcz, w którym coś skrzeczało, ruszało się i brzęczało w sposób przywodzący na myśl raczej tańce much nad padliną niż pracowite zabiegi pszczół, krążących nad ukwieconą łąką. Nieswojo się poczuł.

Omam nie zwicznął nogi między szprychami przełamanej koła. Szczątki wozu, które stracił przedtem z oczu, nagle wychyły z ziemi i zarośli tuż przed nim.

Zatrzymał się, zapatrzył.

„Co?” - Podsunęła mu tabliczkę.

- Nie, nic... - Zrobił krok w stronę strumienia, jednak dociekliwość

wzięła górę. - Dziwne. - Uniosła pytająco brwi. - No, te woły.

Popatrzyła na sterty kości, na szpikulce rogów, sterczących groźnie z bielejących czaszek. Padlinożercy, owady i deszcze oczyściły szkielety z resztek miękkich tkanek, ale trochę uprzęży przetrwało, dowodząc, iż do wypadku doszło nie tak znów dawno. Strzępy plandeki zwisające z ocalałego pałaka też nie wyglądały na stare.

- Widzisz? - pokazał ślady na dyszlu. - Ktoś odcinał uprząż. O, a tu czymś rąbał. Tępy albo niecelnie, bo wiele razy. Widocznie sięgać było niewygodnie. A z tych goleni wołów, co je widać, żadna nie jest złamana. W ogóle kości całe, bez uszkodzeń. Czyli wóz zleciał, koło pękło, ale woły raczej nie ucierpiały. Woźnica skoczył je odciąć. Rzeka pewnie rozlała się szeroko, ale wielkiej głębi nie mogło tu być. A jednak żaden się nie uratował.

„*Utonęły?*” - podsunęła najprostsze wyjaśnienie.

- Na to wygląda. Zwłaszcza że kości nie są rozwleczone. Leżą w jednej kupie, jak w grobie. Czyli trupy obżarły ryby, w wodzie, a nie wilki czy lisy. Tylko nie wiem, jakim cudem wszystkie. Wół, jeśli go uprząż nie trzyma, nurt nie jest bardzo silny, a woda płytka, powinien się uratować. No, może nie każdy. Ale żeby cała czwórka...

Miał cichą nadzieję, że Amma wzruszy ramionami i po prostu pomaszkuje w stronę wody. Uniosła jednak rylec.

„*Klontwa?*”

Od wypadku minęło pewnie kilka lat. Pogruchotane pudło wozu zdążyło porosnąć zielskiem. Pnącze kielisznika wpełzło aż na kikuty pałaków, zawiesiło girlandę białych kwiatów nad złamaną deską kozła. Mech i próchnica nie poczyniły wszakże wielkich postępów i Debren szybko wypatrzył szczyrby. Nie było trudno, bo wcięć w burtach nie brakowało.

- Raz takie widziałem. - Powiódł palcem po nierównościach gładkiej gdzie indziej deski. - U nas, pod Dumayką. Zima sroga była i wilki ludzi zaczęły atakować. Jednego szlachcica wataha opadła, gdy podobnym wozem jechał. Z żoną był, pachółkiem i dwiema córkami. Długo się bronili, zza burt mieczem tnąc, siekierą i parą tasaków. I poszczerbili boki wozu. Tak właśnie. Ale ich w końcu wilki zżarły. Mówiono, że pewnie wilkołak stadu przewodził.

„Myślisz rze to jednak wilki?”

- To? - Zerknął na stłoczone przy dyszlu kości zwierząt. - Nie. Wielkiej głębi tu nie było, ale jednak woda. Patrz na tego z prawej! Nogi mu w mule utknęły. Pionowo. I tak zostały. Czyli to wtedy musiał się zapaść. Gdy mięso na kościach było, a wół ciężki. Potem same kości nie mogły się tak ułożyć. Jak dla mnie - podsumował - stało tu z pół sąnia wody. I żaden wilk tego wozu nie napadał, bo by pływać musiał.

„Wuł nie tonie w tszech stopach wody” - zauważyła.

- Ano nie. Chyba że - wyciągnął niespiesznie różdżkę - coś go za łeb pod powierzchnię wciągnie.

Jego spojrzenie już od paru chwil ślizgało się czujnie po okolicznych chaszczach. Wypatrzył kilka żab, jaszczurkę oraz kaczkę, leniuchującą w kałuży. I dwa ślimaki wielkie jak serdelki, ani chybi - prawnuki mutanta przywleczone zza Gardzieli przez któregoś z rycerzy Helwima Zdobywcy. W Marimalu, gdzie ślimaki jadano, ktoś kiedyś eksperymentował z takimi wielkimi odmianami, ale okazały się niesmaczne, nieekonomiczne i, przynajmniej w swej ojczyźnie, dawno je wytrzebiono. Tu, jak się okazuje, ich potomkowie przetrwali. Ot, ciekawostka przyrodnicza.

W sumie nie wypatrzył niczego niepokojącego. Ale, choć strumień przepływał dużo dalej, między kępami traw dostrzegał coraz liczniejsze płaskie tafle pokryte rzęsą i liśćmi grążela. Szczątki

wozu zapadły się w grunt nie więcej niż na stopę; to bujna roślinność sprawiła, że wyglądały na pogrążone głębiej. Jednak bliżej mostu moczary nie udawały już, że są łąką.

Nie podobało mu się to miejsce. Więc tym bardziej nie spodobała mu się oderwana od drzewa deska, którą wyjęła spod pachy i wręczyła mu dziewczyna.

„Zawróć czym prendzej, cny machrusanienie!” - ostrzegał napis na desce. - „Złe potwory tu grasujom! Uhowaj Boże mostem leść albo co gorsze brodem.”

- Hmm - mruknął i popatrzył niżej, gdzie widniał nakreślony mniejszymi runami dopisek. - „Bespiecznie i tanio przekrocysz Rzeke puł mili dalej ku południowi. Ścieszkom jechać do spalonego dembu i w bok, osada smolaży będzie, tam o Korrisa i Synóf pytać. TANIO. PEWNIE. BES PROBLEMÓF. FAHOWO. Korris i Synowie.”

Odłożył deskę na połamane siedzisko woźnicy.

„Co robimy?”

Dobre pytanie.

- Cała ta legenda o trollu, kłatwie i ginących podróżnych... Chcą zarobić, i to bezczelnie. Żeby brać pieniądze za przeprowadzanie ludzi przez taki strumyk...

„Ale morze to prawda. Rze chce Korris zarobić, nie znaczy, że łrze wzglendem utopców.”

- Jakich znów utopców?

„Sidłowych. Nie wiesz? Zafsze sie obok trolowego mostu osiedlajom. Trol ich pszed ludźmi broni, a one brodóf pilnujom, by nikt po płytkim nie laźł, jeno pszez most. Bes tego mało który trol na sfoje by wyszed. No bo sporo ludzi mosty by omijało.”

- U nas - wyznał - nie ma trollów. Kiedyś były, ale je ponoć z gór krasnoludy wyparły. Choć złośliwi twierdzą, że demokracja. To i nie słyszałem, że... Utopce, powiadasz? Sidłowe? Czemu sidłowe?

„Bo to nieumarli, znaczy, rzywe trupy. Od wody pognili, wienc siły w nich wiele nie ma, jeno dzięki sidłom skutecznie broniom pszejść. Potrafiom takie pszemyślne stawiać, rze i na płytkim człeka pod wode wciongnie. Albo” - popatrzyła wymownie na karosza - „i konia nawet.”

Na tym akurat trochę się znał: nie na darmo kwaterował z Trapenakisem, najzdolniejszym na roku nekromantą. Nie raz gnębiły go koszmary po tym, jak nasłuchiwał się opowieści Trapka. Czy choćby opisów wkuwanych półgłosem przez współlokatora. Ale przynajmniej trudniej go było teraz przestraszyć bajaniami o sidłowych utopcach.

- Bajki dla naiwnych - uśmiechnął się pobłaźliwie. - Nieumarli za dnia wielkiej groźby nie stanowią. No, a nocą nikt znów nie lezie przez rzeki. Czyli pomysł może i dobry, ale niepraktyczny. I nie słyszałem, by ożywieńcy w symbiotyczne układy wchodzili z jakimiś biesami. Ludziom się wydaje, że jak jedni straszni i drudzy, to się już zaraz ochoczo przeciw nim zmówią. A to nie tak. Typowy potwór padlinę uwielbia, więc prędzej dobrze skruszałego utopca czy zombca zeżre, niż z nim na ludzi wyruszy. Założę się - dokończył - że same trolle takie bujdy rozsiewały. By im żaden spryciarz nie próbował mostu omijać. No, może też i jeden z drugim sidła obok na płytkim zastawił. Ale kooperatywa z umrzykami? Eee...

Utopce utopcami, ale coś tu było nie tak. Obejrzał więc dokładnie całe sąsiedztwo wozu. Z licznych narzędzi, które bierze w podróż woźnica, znalazł tylko trzonek po łopacie. Żeleźce ktoś odrąbał - może ten sam zbieracz złomu, który połakomił się na gwóźdź trzymający tablicę. To nie dziwiło: żelazo nie złoto, ale siekiery, przykładowo, taniej niż za dwa grosze nie kupisz. A to dwie dniówki wyrobnika. Dziwiła więc raczej obecność okuć na resztkach wozu. Z ich zrywaniem byłoby więcej zachodu, no i w mocno

uprzemysłowionym Anvashu ceny narzędzi nie były tak wysokie jak w Lelonii - mimo wszystko jednak ktoś powinien się dobrać do tych piast i obręczy. Tymczasem rdzewiały bezużytecznie. Całkiem jak zapomniana broń na starych pobojuiskach.

Rozejrzył się mało radośnie. Stare pobojuiska, jak wiadomo, często bywają okupowane przez trupożerne biesy i upiory. Tu biesa raczej nie napotkają - za mało pokarmu, by się wykluł i wyżywił. Upiór z kolei, nawet gdyby grasował, w świetle dziennym wiele nie zwojuje.

Czyli - nie powinno tu być tyle żelaza. A było. Może z braku chętnych do jeżdżenia drogą, o której wiadomo, że nieprzejezdna? Piesi jednak nadal się tu pojawiali, czego dowodem kłoda, przerzucona nad szczeliną. Czemu żaden nie skorzystał z okazji, nie zaopatrzył się w narzędzia, nie wrócił, by ogołocić wóz z żelaza? Albo, przykładowo, by zdjąć koło? Pojedyncze, fakt, że nowe, kosztuje ze trzydzieści, czterdzieści groszy. Te tutaj nadgniły i wiele nie były warte, ale kiedyś, na początku...

„To złe miejsce” - Amma wyczuła jego wahanie. - *„Lepiej nie ićmy tendy.”*

Gdyby był sam, tak właśnie by zrobił: poszukał innej drogi. Ale tu drogę mu wskazywano. Zbyt nachalnie.

- Zobaczę. - Schował różdżkę, ujął trzonek po łopacie. - Może wcale nie tak grząsko. Poczekajcie tu.

Wręczył jej uzdę i ruszył w kierunku strumienia. Bujna trawa ugięła się pod stopami, ziemia była miękka, ale z początku zbyt nie mlaskało. Wypatrzył nawet spory, płaski kamień, wystający z traw - czyli żadne bagno. Dopiero za kamieniem, parę sążni od brzegu, podtopienia wzięły górę nad suchymi przesmykami i wszędzie, gdzie próbował stawać, spod traw, nadgniętego chrustu i ziemi łykała woda.

Pomyślał chwilę, po czym zdjął cizmy. Nie uśmiechało mu się stąpać bosą po podłożu pełnym naniesionych powodziami gałązek, trzciniowych drzazg i ostrych ułamków ślimaczych skorup. Albo deptać po wystraszonych rakach, gotowych chapnąć szczypcami za palec. Ale wizja marszu w przemoczonych butach wydała mu się odrobinę bardziej ponura. Nic gorszego, jak poobcierane stopy.

Postawił cizmy na kamieniu i wszedł w powleczoneą kozuchem rzęsy kałużę. Czarna, gęsta od mułu, ciepła woda sięgnęła mu do połowy łydek, ale, tak jak przewidział, niżej było tylko trochę błota i zaraz pod nim twarde dno. Łatwizna.

Następne dwa kroki, skryty pod wodą próg - i znów był na suchym, znów widział własne stopy. Kolejną zamaskowaną łopianem i grązelem kałużę nakłuł kijem bardziej dla spokoju sumienia. Zdziwił się, gdy trzonek zanurkował na łokieć głęboko. Powtórzył sondowanie. Znów łokieć, może nawet dwie stopy, tyle że z kamieniem na dnie. No, w każdym razie z czymś twardym. Omal tam nie postawił nogi, ale gdy stuknął jeszcze raz, kamień po pierwsze odtoczył się nieoczekiwanie w bok, a po drugie - jakoś dziwnie stawiał opór. Jakby nie był ciężkim, twardym otoczakiem, który woda przyniosła z odległych wzgórz, a czymś lżejszym i pustym w środku. Dzbanem, powiedzmy. Albo... czerepem dużego stworzenia?

Cóż, bagna skrywają niejedne zwierzęce szczątki. Nic dziwnego w tym, że w wodzie czy błocie tkwi latami czaszka dzika albo jelenia. Debren nie spanikował więc. Ale wolał skrócić i obejść tę akurat kałużę. No i nie macał w niej więcej. Jakoś nie miał ochoty sprawdzać, co mu umknęło spod kija.

Szybko zresztą zapomniał o kamieniu, który mógł być czaszką, lecz też dzbankiem lub, powiedzmy, zatopioną baryłką. Jego uwagę pochłonęły kolejne zagłębienia, broniące dostępu od koryta potoku. Dziwne, ale wyglądały na głębsze niż sam potok. Po przyniesionym powodzią drzewie ocenił, że wody nie ma w nim więcej niż do pół uda. A tu, dziesięć sążni od brzegu, znieuważka musiał ukucnąć - tak głęboko wlaź trzonek łopaty. I to nie z winy mułu. Samej wody było dobre cztery stopy. Gdyby doliczyć muł, to kto wie: może i stojącego chłopca by zakryło.

Zdumiało go to. Studnia istna. Dziury jakieś kopali? Kto, kiedy? I po co, przede wszystkim? Czyżby to jakiś inżynieryjny pomysł Zulijczyków? Sposób na długowieczne mosty i groble, które nie dadzą się powodziom? Starożytni architekci bili na głowę nie tylko wczesnowiecznych, ale i współczesnych majstrów, wspomagających się magią, alchemią oraz matematyką. Większość z ich wynalazków poszła niestety w zapomnienie. Więc może i ten?

A może to pozostałości po gwarkach? Ale na szkody górnicze, choćby starożytne, te dziury były z kolei za małe i za płytkie. Więc może... rozkopane groby? Ktoś stoczył bitwę nad brzegiem strumienia, potem łowcy okazji zaczęli wygrzebywać szczątki poległych... Tyle że i to nie pasowało. Bo jeśli już zwycięskie wojsko ma czas i ochotę zakopywać trupy, nie wrzuca do polowych mogił niczego wartościowego. Czyli nie opłaca się kopać. No, chyba że

kopią zwierzęta. Debren czytał niedawno o niedźwiedziej rodzinie, nawiedzającej cmentarz pod Lejczomierzem i rozgrzebującej świeże mogiły. Co prawda kroniki pisały o tym w kontekście okolicznego kmiecia, podejrzanego o plądrowanie grobów, ale fakt faktem, że przynajmniej przy zacieraniu śladów niedźwiedzie były pomocne. Objedzone fragmenty nieboszczyków znaleziono w ich gawrze. Więc może i tu...?

Jednego był pewien: miejsce było osobliwe. Cwierz terenu pokrywały mniejsze lub większe, ale zawsze nieproporcjonalnie głębokie otwory, których pochodzenia nie umiał wytłumaczyć. Niesione powodziami osady, liście i igliwie opadające z drzew pobliskiego lasu powinny wypełniać stopniowo te dziury. Czas powinien je spłaszczać i wygładzać. Ale jakoś nie wygładzał.

Kłątwa trolla?

Czy bies, istota co najwyżej *quasi*-rozumna, jest w stanie skutecznie nakładać klątwy? Głucho o tym. Więc może czar, łatwy do pomylenia z klątwą? Ale i z czarowaniem większość potworów miała ogromne problemy. Wyśmiałyby z marszu to gadanie o trollowej klątwie, gdyby nie fakt, że chodziło o dziury. W nadrzecznej łące, nie górach, w których trolle drążyły całe mile korytarzy - ale jednak dziury. To akurat do trolli pasowało.

Nie podobało mu się, że bliżej strumienia, gdzie wylewy powinny szybciej wypełnić doły błotem, te na odwrót, stawały się głębsze. Mimo wszystko przeszedłby nad tym do porządku, gdyby między jednym a drugim bajorkiem, na suchym, trawiastym gruncie, noga znienacka nie zapadła mu się pod ziemię.

Na szczęście niósł kij. Podparł się nim, nie runął na twarz. Trudno powiedzieć, czy ocaliło to jego zakleszczoną w pułapce nogę przed złamaniem, zwichnięciem czy tylko lekkim naciągnięciem mięśni. Strop nad skrytą pod korzeniami pustką był cienki i Debren mocno

go naruszył, więc skutki nie powinny być tak tragiczne, jak w przypadku wpakowania nogi w skalną szczelinę. Ale gdyby to końskie kopyto trafiło na coś takiego...

Pozbierał się, cofnął nad brzeg zalanego dołu, pomacał trzonkiem. Po raz pierwszy kierując go nie pionowo, a skośnie, ku stromym ściankom dołu.

Tak jak się spodziewał, wymacał otwór. Nie za wielki, cebrem pewnie by się go zaczopowało. Ale po drugiej stronie studzienki, bliżej dna, wymacał jeszcze jeden.

Zawrócił, nie patrząc już na strumień. Gdyby dobrze splunął, ślina miała szansę dolecieć do wody i spłynąć aż do morza. Tak blisko dotarł. Po drugiej stronie było jednak identycznie jak tu. A między Debrenem i Ammą ziemia, oprócz zalanych dołów, kryła czort wie ile takich wydrążonych przez jakieś wodne krety korytarzy.

- Nic mi nie jest - mruknął, odbierając wodze z rąk dziewczyny. Wyczuł, że o to właśnie chciała zapytać. Kobiety już tak mają. - Chodźmy.

„Korris?” - upewniła się.

- Nie będę płacić jakimś wydrwigroszom - rzucił wyzywająco. Choć w ten sposób mógł zatrzeć wrażenie klęski. Bo to jednak klęska: na oczach kobiety, której się pożąda, skapitulować przed potokiem, który sforsowałby czterolatek. - Niedoczekanie. Poszukamy... - przypomniał sobie o czymś. - Jeden pacierz. Moje ciżmy.

Zawrócił. Okazało się jednak, że nie tylko z przekraczaniem płytkich i wąskich strumyków ma problemy. Z dotrzymywaniem słowa również.

Nie trwało to mianowicie jeden pacierz. Potrzebował dobrej szóstnicy, by upewnić się, że wszystko robi jak należy: i wraca po

własnych śladach, i odnajduje znajome miejsca.

Tylko butów nie odnalazł.

Ani, co gorsze, kamienia, na którym je zostawił.



Do osady smolarzy szło się od mostu najwyżej pół szóstnicy: leśna ścieżka była dobrze wydeptana, a z myślą o jezdnych oczyszczono ją nawet z niżej wiszących gałęzi. Nie pojechali jednak. Debren wołał prowadzić konia za uzdę, zerkając ku majaczącemu zza drzew potokowi. Miał nadzieję, że wypatrzy jakieś zachęcające do przeprawy miejsce.

Nie wypatrzył. Rozlewisk było jeszcze więcej, a tam, gdzie nie straszło błoto, odstraszały tablice. Nieodmiennie widział trupie kółka namazane smołą na poczeriałym drewnie. Bardziej sugestywnej, ale droższej czerwieni Korris i Synowie użyli tylko na moście. Trafnie skądinąd zakładając, że dobrze postraszeni podróżni kolejnym słupom już się nie będą zbyt przyglądać.

Za nadpalonym przez piorun dębem ścieżka odbiła od strumienia, wspięła się po skarpie. Dalej, za zagajnikiem, przycupnęła w cieniu cisów złożona z pięciu obejść wioska. Gdzieś na tyłach tubylcy wytapiali smołę, dymiąc i smrodząc okrutnie, ale Debren nie miał okazji zawędrować tak daleko. Nim dotarli przed wspólną dla całej osady studnię, jakiś wyrostek gnał już do lasu, a z jedynej murowanej chałupy dreptała im na spotkanie rozłożysta niczym sovrojski piec niewiasta. Jej serdelkowate palce połyskiwały tłuszczem i krwią, a noszony do brudnej sukni, ciężki naszyjnik - szczerem srebrem.

- Korrisowa jestem. Wy do mojego? Synek pobiegł wołać. Konia tymczasem napójdzie.

Debren zerknął na studnię.

- Cebra nie ma - zauważył. - No, nieważne. Koń i tak...

- Bo kradną, psiekrwie. - Korrisowa potoczyła wrogim spojrzeniem po trzech dużo uboższych, drewnianych chałupach. Czwarta, z zabitymi na głucho oknami, wyglądała na porzuconą. - Nie zadawajcie się z nimi, hołotą zawistną. Głupot nagadają, na moczary wywiodą, a potem to łaż z leśniczym i zbieraj kości naiwnych.

- Kości?

- Nie ostrzegli was w Plotterby? Biesy tu grasują. Nijak przejść bez przewodnika. O, tam - pokazała zabitą deskami chałupę - caluśka rodzina na zatracenie poszła. Nad strumień się wybrali, ryb nałowić. Winperter, jego baba, teściowa, dzieciaków trójka, w tym niemowlę, i pies. I kamień w wodę. Tak niebezpiecznie tutaj.

- Niemowlę? - zdziwił się Debren. - Na ryby?

- Z Winperterów - wyjaśniła gładko - wielce zżyta była rodzina. To i razem poszli. Na zatracenie. - Przeżegnała się znakiem Koła Świętego, nakreślonego wschodnią modą dyskretnie, na samym czole, nie jak w Lelonii, od czoła aż po nos, podbródek czy nawet (u dewotów albo mocno podpitych) do pępka. - Życie sobie zatem ratujecie, do mojego po pomoc przychodząc. - Któraś z sąsiadek wyrzała z kuchni, lecz zanurkowała z powrotem, spłoszona bazyliżkowym wzrokiem grubaski. - A względem cebra, to za pięć denarów własnego użyczę. To razem jeno półtuzin będzie, bo woda gratis.

- Eee... to... półtuzin? - Debrena z lekka zatkało. Nie był pewien, czy od pięciu denarów za użyczenie, czy bardziej od tego szóstego. - Ale... skoro gratis...

- Bo to nieużyte ludzie, te nasze sąsiady. Zawistne. Uradzili, że niby jak zarobek z podróży czerpiemy, to im się też cosik należy.

Bo studnia wspólna. Tak jakby mój faktycznie zarobek ze studni czerpał! A wszak on jeno z dobroci serca ów ceber kupił. By przejezdnego ugościć. Darmo. Bo tu dymy okrutne. - Pomachała pulchną dłonią, rozpraszając którąś z wielu sinych smużek, snujących się po osadzie. - Kopeć szkodzi, gdy kto nie nawykł. No to specjalny cebrzyk mamy. Z przykrywką. Ale spłacić ów zakup trzeba, rozumiecie... Gościnność gościnnością, ale... A durne sąsiady obmawiają, że wodą handlujemy! Ludzka podłość granic nie zna, panie... - zawiesiła głos.

- Żakiem jestem - oznajmił po chwili wahania. Półmerlinkę diabli wzięli, a pochewka na różdżkę równie dobrze mogła kryć przybory pisarskie, flet czy sztucce. Nie wyglądał więc na maga. I dobrze. Ojciec zawsze powtarzał, by nie wyglądać za bogato, gdy chce się kupować. Co prawda w Lelonii czarodzieje, zwłaszcza ci w państwowej służbie, do bogaczy nie należeli, ale skąd ma o tym wiedzieć baba z anvaskiej głuszy? Nawet światły i odcytany Factorby upewniał się, że faktycznie to prawda, a nie dziwaczna feudalna propaganda, i prosty gwarek lub cieśla okrętowy pokroju Leco Skoczyłota zarabia więcej niż wykładowca na wydziale czarnej magii. Przy czym, kretyn jeden, jeszcze pyskuje na demokrację i chce wprowadzenia normalności.

Debren wolał więc przemilczeć swój status społeczny. Od maga gotowi zażądać tuzin denarów za wiadro. Inna sprawa, że i pół tuzina to niewyobrażalne zdzierstwo. Poza niektórymi grodami, woda w studniach była darmowa. Nawet wśród pustynnych temmozan.

- Koń właśnie pił - zełgał. - Więc dziękuję, ale...

- Niech będzie pięć - rzuciła ponuro Korrisowa. - Moja strata. Ale konia napić mus. To ważne.

- Ważne? - zdziwił się. Zamiast wyjaśniać, otłuszczonym paluchem

wskazała Ammę.

- A ona co? Dzika jakaś?

- Machrusanka - zapewnił szybko Debren. - Jenó...

- Gębę skrywa - rzuciła oskarżycielsko. - Skąd nam wiedzieć, że nie zbrodniarka? A i wy, panie żaku, dziwny macie akcent. Skąd wiedzieć, czyście nie nielegalne imigranty? Albo nawet szpiegi demusze? Potem pytać będą mojego: „A czemuś to, Korris, takich prowadził?” No, nie wiem, nie wiem...

Na szczęście chwilowo odłożyła temat i poszła po ceber. Debren odczekał, aż zniknie w chałupie.

- Mam... - zaczął i utknął. Ale czas naglił, więc przełamał opory i wyznał: - Nie mam za dużo pieniędzy. A gdyby przyszło na kontynent wracać... - Amma przyglądała mu się bez słowa. Skrzywił się i poskarżył: - Machrusie, sześć denarów za wodę! Żywcem nas tu ze skóry obedrą!

Patrzyła jeszcze chwilę, a on pierwszy raz w życiu poczuł ulgę na myśl, że nie ma żony. Że nie musi zarabiać na dwoje. Pewnie: cudnie byłoby mieć kogoś do łóżka, gadania i śmiania się. Nadal o tym marzył. Ale... nagle zrozumiał, że starsi mężczyźni niekoniecznie żartują, skarżąc się na baby i dzieci na karku. To słodki ciężar, święcie w to wierzył - lecz przekonał się w końcu, że jednak ciężar.

Gdyby jej tu nie było, zwinąłby się bez słowa i ratował srebro kosztem dłuższego marszu. Srebro, ale przecież i honor. Bo to upokarzające, tak się dać naciągać. Sądząc po pięciu denarach za luksus napojenia konia, Korris zaśpiewa sobie pewnie grosz albo i dwa. Gdybyż jeszcze lełońskie... Ale te, które Debren uciulał w czasie praktyki, odmawiając sobie wszystkiego, co dobre, śmiało mógł przemnożyć nawet przez tuzin. Taką cenę osiąga u pokątnego handlarza wschodnia waluta. Nie rozumiał ekonomicznych

zawiłości, które doprowadziły do ustalenia się tak dziwnego kursu, ale wiedział, jaką głupotą było wydawanie w Anvashu srebrników, które można wywieźć i wydać za Drewnianą Kurtyną.

Tylko jak to powiedzieć dziewczynie? Dziewczyny oczekują szczodrości i pańskiego gestu. Gołodupcami, oglądającymi po trzykroć każdy miedziak, zwyczajnie gardzą.

„To co zrobimy?”

- Moglibyśmy... no, sami...

„Pszesz most?”

- Koń przez dziurę nie skoczy. Ale możemy... no, obejść te mokradła. Mila, dwie, i pewnie się skończą.

„Jusz spużniona jestem. Jeśli ten Bumhons albo inna dziewica pierfsi do rezerwatu dotrom, to...”

Utknęła, najwyraźniej nie wiedząc, jak dokończyć.

- Daj spokój - mruknął Debren. Zaraz jednak umknął w bok ze spojrzeniem.

Podmuch wiatru przyniósł zapach spalenizny znad skrytych w lesie smolnych jam. Miły, swojski: pod Dumayką wielu ludzi parało się produkcją smoły i dziegciu. Zatęsknił nagle do domu.

„Zapomniałeś? Na smoka ide. Nic sie nie zmieniło.”

Zza węgła kamiennego domu wyszedł mocno brzuchaty, okopcony mężczyzna w asyście dwóch równie umorusanych młodzików. Ani chybi: Korris z synami. W młodszym, swym rówieśniku, Debren rozpoznał gońca, posłanego po gospodarza. Starszy o parę lat dryblas niósł pusty ceber.

To temu na widok Ammy urosły oczy. Musiał być pod wrażeniem, bo wiadro, nie tak znów lekkie, postawił sobie wprost na paluchu bosej nogi. Inna sprawa, że pancierz zaskorupiałej, wzbogaconej piaskiem i kurzem łajnem smoły chronił stopy pewnie nie gorzej niż ciżmy.

- Od Dużego Eka? - Jego ojca bardziej zaciekał koń. A konkretnie: sakwa z trupim kółkiem. Oczy mu rozbłysły, ale też twarz zmarszczyła się gniewnie. - O tej porze? To o której żeście z Plotterby wyszli? Rano? Pod nosem świeżo wyspanej straży?

- Tak wypadło - bąknął Debren. Zastanawiał się, czy wyprowadzać smolarza z błędu. Protegowani Dużego Eka mogli pewnie liczyć na upusty.

- Temmozanka? - Korris ogarnął spojrzeniem sylwetkę dziewczyny. Przyjrzał się króciocy, zatkniętej za sznur, ale o nią nie zapytał. - A i ty obcy na Wyspach?

Debren nie zamierzał przedłużać pogawędek.

- Na tamten brzeg chcemy przejść. Przejechać - sprecyzował. - A w moście dziura. Koń nie przejdzie.

- Wasze szczęście, że dziura - pouczył go smolarz. - Ruch przez to mały, trudniej strażom i ciekawskim w oko wpaść. A i na most bezmyślnie nie wleźliście. Nie stercz z tym cebrem, Cobin - ofuknął syna. - Wody dawaj.

- Poiliśmy konia - zaoponował Debren. - Ledwie co.

- I tak matuli dolę zapłacić musi... - Młodszy z synów nie dokończył, palnięty w ciemię ojcową dłonią.

- Milcz, Coklan - ofuknął go smolarz. - A i wy, panie żaku, z całym szacunkiem, nie dyskutujcie. Może Ek nie wspomniał, ale ja jeden wiem, co czynić, by bezpiecznie rzekę pokonać. Wiedza ta, latami nabywana, zbyt jest rozległa, bym miał się z komend tłumaczyć. Zwłaszcza że lepiej pary z gęby nie puszczać, gdy nad wodę zejdziemy. One słuch mają, że ho, ho. Więc po prostu róbcie, co nakazuję. Ale, w drodze wyjątku, powiem wam, że ta woda, co to ją koniowi mus zaaplikować, niezbędna jest. Bo z mojej studni i cebra. Jak koń po drodze naszcza, to będą wiedziały, że Korris idzie. I może nie zeżrą.

- Kto? - Debren przełknął z wysiłkiem ślinę.
- One - uśmiechnął się krzywo Korris. Zerknął w dół i poszerzył uśmiech. - Te, co wam ciżmy zżarły.



- Wątpię - westchnął Debren - by widział nas przy moście. Po cóż by miał tu ukradkiem gnać i udawać, że nie? Równie dobrze tam mógł ofertę złożyć.

„To skond wie o cirzmah?”

Podsunęła karoszowi kolejną porcję suszonych ziół. Korrisowa warzyła je w miodowo-solno-marchwiowej polewce, za której łyk, jak zapewniała, każdy koń własne kopyta by przehandlował. Wierzchowiec Pirra faktycznie ochoczo pałaszował wiechcie, ale na razie tylko apetyt mu dopisywał. Oddawać intensywnie moczu ani pić potem z pięciodenarowego cebra jakoś nie chciał. Debren rozumiał, że to musi potrwać, ale chwilami ogarniało go mroczne przeczucie, że żarłoczne bydlę przeje cały zapas jego gotówki i na opłacenie przewodnika już jej zabraknie.

Pięć denarów za użyczenie wiadra, szósty, by sąsiedzi nie pyskowali, a teraz jeszcze po denarze za każdą wiązkę suszonej trawy. Pięknie. Prawie grosz już przepuścił. Czuł się jak ostatni dureń. Najchętniej wymknąłby się spod wiaty, pod którą siedzieli, i cichaczem opuścił osadę. Koślawy daszek osłaniał pryzmę baryłek z łatwopalną smołą, ulokowano go więc na uboczu. To by ułatwiło dyskretny odwrót. Problem w tym, że akurat się rozpadało, a Amma udawała, iż nie rozumie jego westchnień, ponurych spojrzeń tudzież delikatnych aluzji. Może zresztą nie rozumiała: zbyt często łapał ją na rozglądaniu się za Cobinem, starszym synem Korrisa. Niby niewiele to znaczyło, bo to tamten co rusz pojawiał się gdzieś

nieopodal, by, niby przypadkiem, pogapić się na dziewczynę. Ale coś mówiło Debrenowi, że to nie irytacja podglądanej każe Ammie szukać wzrokiem barczystej sylwetki.

Durny wsiowy ćwok mókł na deszczu, łąząc bez sensu to tu, to tam - a jej to najwyraźniej odpowiadało!

- Jak kto nigdy nóg nie myje - skorzystał z okazji - w mig przyuważy takiego z czystymi.

Oderwała wzrok od drewnutni, przy której ostatnio kręcił się Cobin, i zmierzyła go chłodnym wzrokiem.

„*Tesz boso hodze*” - napisała. - „*A jakoś rzem nie poznała, rze ci coś cierzmy zjarło.*”

- Nie mówię o chodzeniu boso. - Posłał jej rozzalone spojrzenie. Czuł, że ustawia się w jednym szeregu ze smolarzami, i że to wyraźnie inny szereg niż jego, Debrena. - Ty nogi myjesz.

„*On pewnie tesz. Po robocie.*”

Końcówkę dopisała wyraźnie mniejszymi runami.

- Akurat! Pierze ma w tę smołę wlepione. Widać, że z pierzyny i że od dawna. A teraz? Pół klepsydry gania w te i we w te; do chałupy z tuzin razy zaszedł. I co? Nogi jak były czarne, tak zostały. Nie raczył...

Umilkł, sprowadzony na ziemię jej rozzalonym spojrzeniem. A Cobin, jak na zawołanie, wyszedł z kurnika, stanął w najbardziej obesranym przez drób miejscu i nie zważając na deszcz, zaczął się czochrać. Co uzmysłowiło Debrenowi, że strzecha na jego głowie nie oglądała grzebienia nawet dłużej niż nogi mydła.

Zemdliło go na myśl, że ktoś taki miałby zaciągnąć Ammę pod lepką od brudu pierzynę. Dziwne, bo, pomijając usmolone nogi i kołtun na głowie, chłopak był całkiem przystojny. Cud urody w porównaniu z koszmarnym starcem, który zamieszkiwał szalas sąsiadujący z jej szalaszem.

No, ale z tamtym dziadygą dobrowolnie by nigdy...

To tu leżał pies pogrzebany. Syn smolarza wydawał mu się paskudny, bo, w myślach przynajmniej, zostawiał lepkie ślady paluchów na skórze, której on, Debren, kosztował ustami. Też wprawdzie w myślach, ale... A ona - i to było najgorsze - godziła się na to. Czuł, że się godzi. Choć też jedynie w wyobraźni.

„*Myślisz*” - wróciła do właściwego tematu - „*rze Korris poznał po tfych nogah rze w cirzmach chodzisz i zgadł, rze ci je coś pszy moście skradło?*”

- Nie skradło - sprostował, choć bez należytego przekonania. - Mówiłem ci: pewnie kamień zatonął. Jak to na bagnie. No i cizmy wraz z nim.

„*Muwiłeś, rze kamień na twardym leżał.*”

- Bagna potrafią oszukać - mruknął. - Widocznie...

„*Ale Korris poznał, rzes pszy moście buty stracił.*”

- No, poznał - uśmiechnął się blado.

„*Czyli głópi nie jest.*”

- Ano nie.

„*Czyli*” - pociągnęła myśl - „*dobrego pszewodnika sobie znaleźliśmy.*”

Nie zdobył się na szczerą odpowiedź. Uznałaby, że się czepia.

A nie było czego. Sądząc po tablicach i Dużym Eku, najwyraźniej naganiaczu z portowego Plotterby, smolarz prowadził ożywiony interes. Jeśli nawet nie całkiem zalegalizowany, to na pewno nie sekretny. Stawiał tablice, wokół miał sąsiadów, mało życzliwych, więc skłonnych donieść lokalnemu szeryfowi o - tfu, tfu, odpukać - jakichś zaginionych podróżnych. Nie ryzykowałby grabieży. Po co zresztą wyprowadzać naiwnych w las i tam mordować, skoro można im wepchnąć wodę po pół tuzina ceber? I zielsko dla konia w cenie depholskich tulipanów? Zresztą tacy, co przemykali się chyłkiem

bocznymi drogami, pewnie z jednej strony dobrze płacili, a z drugiej - lepiej im było w kaszę nie dmuchać. Są profesje, w których uczciwość po prostu się opłaca i to była chyba jedna z nich.

Korris kazał im napoić karosza, pytanie o cenę zbył mrukliwym: „Do Pazrelity nie pójdziemy”, zostawił na deszczu, a sam poszedł jeść. Debren czuł się raczej lekceważony i zapomniany niż zagrożony przez świadczącego usługi fachowca - czyli jak w domu. W Lelonii klient bywał ograbiany na sto wołających o pomstę do nieba sposobów przez gardzących nim furmanów, promiarzy czy, powiedzmy, kopaczy studzien, ale ponieważ robili to legalnie i bezkrwawo, właśnie takie pomiatanie kojarzyło się Lelończykowi z bezpieczeństwem. Gdyby podobna sytuacja przytrafiła mu się w kraju, bałby się nie Korrisa, a wyłącznie jego niekompetencji. Więc, od tej strony patrząc, Amma miała rację. A jego złe przeczucia były wynikiem durnej zazdrości. Durnej, bo przecież czuł, że jeśli tylko zechce, wygra z Cobinem. Gdyby wtedy, w oberży, nie umknął w sen, Amma zostałaby jego kochanką. Pewnie tylko na marimalską, nie do końca grzeszną modłę - ale jednak. I nawet by nie spojrziała na tego niechlujka.

Prawda była taka, że zerkiała na smolarskiego syna, bo wielmożny pan student magii jej nie zechciał.

Ależ był łajdakiem...

Karosz siknął nagle strugą jak z odszypuntowanej beczki. Potem, od razu, zaczął pić. Czyli zioła podziałały.

Od strony chałupy, kołyszając wielkim brzuchem i ocierając poobiedni pot, nadchodził smolarz.

- Tak patrzę na waszą dziewczkę - wyznał, stając pod wiatą. - Chuda, po naszymu nie gada... I brzydka pewnikiem, skoro gębę chowa... A pewnie i temmozanka.

- Wierzy w Machrusa - mruknął Debren, podnosząc się z baryłki. -

To co? Ile by kosztowało...?

- Głusza tu - Korris zatoczył dłonią krąg, wskazał chałupy, smętnie ociekające deszczówką. - U sąsiadów jakoś się żadna zdatna panna nie trafiła... Była młoda Winperterówna, ale... ojca durnego miała. Rodzinę do zguby przywiódł, no i ją... świeć jej Panie. A mój starszy już chłop. Zdałaby mu się jaka. Tom pomyślał: może by u nas owa chudzina została? Nikt stratny nie będzie.

Noszony wysoko nad brzuchem pas obciążała mu siekiera i długi na stopę nóż, o ramię oparł solidny, sążniowy kij, a z przewieszzonego przez plecy worka wystawał gryf niedużego łuku, którą to broń anvaskie prawo pozwalało wprawdzie przenosić z miejsca na miejsce, ale której bezzasadne obnażenie w cudzym lesie skutkowało mogło oskarżeniem o kłusownictwo. Inaczej mówiąc: prezentował się groźnie. A mimo to Debren rozważał myśl dania mu w zęby. Nie dlatego, że tak go oburzyła propozycja. Na odwrót: bo była sensowna.

Zapanował nad odruchami i bez słowa popatrzył na Ammę. Zdołał nawet przybrać życzliwy, neutralny wyraz twarzy. Mówiący: „Rób, jak uważasz, uszanuję każdy wybór.” Czort wie jak, ale mu się udało.

Zbladł jednak, kiedy zaczęła pisać, zamiast wzgardliwie prychnąć. Cobinowi, przyglądającemu im się sprzed drzwi chaty, radośnie rozbłysły oczy.

Debren zerknął na podsuwaną tabliczkę. I trochę mu ulżyło. Trochę, bo wyrzuty sumienia zżarły nadwyżki ulgi. Tu, cokolwiek jej proponowano, miałyby jednak lepiej niż w Trickle. O smoczej jaskini nie mówiąc.

- Amma pyta - wyjaśnił - czy to prośba o jej rękę.
- Rękę? - Smolarz wyglądał jak zdzielony własną pałką. - Znaczy...
- Ożenek. - Debren nie mógł sobie darować drwiny. - Wiecie:

ksiądz, ołtarz, przysięga...

Korris rzucił mu ponure spojrzenie. Na syna ani spojrział. Cobin sam ruszył w ich stronę.

- To ja ostatecznie mogę... - zaczął.

- Milcz, głupku - ofuknął go ojciec. - Broń weź. I brata. Koń zaraz pić skończy. Wychodzić będziem.

Chłopak znikł w domu. Karosz pił. Smolarz drapał się po głowie, celując między mniej zlepione smołą kosmyki przerzedzonych włosów. Marszczył brwi, rozważał coś i ponuro łypał ku domom sąsiadów. Pora była obiadowa, trochę ludzi kręciło się przy zabudowaniach, czy to czekając, aż gospodynie rozleją zupę, czy odwlekając powrót do poobiedniej roboty. W każdym razie: obserwowano ich, mniej lub bardziej ukradkowo.

- Młody, to pstro mu we łbie - wymruczał Korris. - Ale względem owego zameścia, jakby co... Posag za nią jakiś jest? - Popatrzył na opatrzoną trupim kółkiem sakwę przy siodle. - Bo jakby był, to tak sobie myślę... Za rodzinę byśmy wtenczas byli. A w rodzinie, wiadomo: upusty duże, nocleg, jeśli zajdzie potrzeba... Dla was to wygoda.

- Dla nas? - zdziwił się Debren.

- E, już nie udawajcie. Bo to ja nie wiem, kto tędy z Plotterby chodzi? Dłuższą drogą przez odludzie, gdzie biesy grasują? Jak nie nielegalne imigranty i zbóje, to handlarze kontrabandą. Przykładowo - popatrzył wymownie na króciwę - bronią, co konwencje narusza. Albo - zerknął na kwef dziewczyny - żywym towarem.

- Mylicie nas z kim innym, panie Korris.

- Akurat... Smokiem dzieci straszą już trzy hrabstwa stąd, a wam się zebrało na jazdę właśnie tędy? Pod samą paszczą bestii? I jeszcze przez Trollowy Most? Za stary jestem, by w bajki wierzyć.

- Pod paszczą, bo właśnie do smoka jedziemy. - Debren uznał, że warto to wyjawić. Mieli iść na pustkowie z całkiem obcymi i nie całkiem uczciwymi ludźmi. W oczach takich lepiej uchodzić za groźnych. - Mamy tam... robotę. Przy niej te wasze potokowe straszdyła... Ale na czasie nam zależy. Dlatego chcę was nająć.

- Do smoka? - Korris, mając czapkę, pewnie zdjąłby ją z szacunkiem. Niestety, długo to nie trwało. Smolarnie leżą zwykle z dala od szlaków uczęszczanych przez bardów, skutkiem czego smolarze, nienawykli do słuchania ich bujdy i wymysłów, bywają realistami. - Znaczący... niby że... ubić? Eee... Wy? Młodociany żak i poganka?

- Szczegółów misji nie mogę ujawnić - trzymał się roli Debren. - W każdym razie kontrabandą się nie param. Za to na biesach jako tako się znam. I jeśli wyjawicie, co tu w strumieniu grasuje, może pomocny będę.

- Obejdzie się - mruknął Korris. - To mój kłopot.

Raz jeszcze, nieco tęsknym spojrzeniem, ocenił sylwetkę Ammy. Zbyt obszerna, związana w pasie suknia po żonie oberżysty, o dziwo, mocno ją poprawiła, poszerzając fałdami biodra oraz piersi, których wychudzona dziewczyna w nadmiarze nie miała, i podkreślając, już w pełni uczciwie, szczupłość talii.

- O cenie nie mówiliśmy - przypomniał Debren. Odwlekał tę chwilę, bo komuś na pewno zrobi się nieprzyjemnie: jemu, smolarzowi albo Ammie. Ale w końcu nadeszła. Synowie Korrisa pojawili się na podwórzu, zbrojni w sulice i noże myśliwskie. Jeśli zrezygnować ze zbyt drogich przewodników, to teraz, nim wyruszą. - Daleko nie macie, wiele czasu wam nie zejdzie...

- Po półtora grosza od głowy biorę. - Nie zabrzmiało to zbyt twardo. Taki ton oznaczał zgodę na targowanie się. Ale Debren i tak z lekka wytrzeszczył oczy.

- Trzy grosze?! Za przeprawę przez taką... taki...

- Znaczy - sprecyzował Korris - od głowy i łba. Konia też dorachujcie. Troje was, to wychodzi, że rachunku będzie cztery grosze i denarów tuzin.

- Ile? - jęknął Debren. Ale zaraz potem przypomniał sobie, że właśnie czegoś takiego pragnął. Oferty zbyt absurdalnej, by Amma miała żal o jej odrzucenie.

Na razie jednak Amma zabrała się do pisania. Zerknął na podsuwaną mu tabliczkę.

- A, faktycznie - przyznał. - W dodatku źle liczycie. Trzy razy półtora grosza to cztery i pół. Czyli cztery grosze dziewięć denarów.

Korris odwrócił się i bez słowa palnął młodszego z synów w pozlepianą smołą strzechę.

- Auu... - Coklan nie próbował się uchylać, nie mówiąc o zastawianiu wspartą o ziemię sulicą. - No co...? Żem się omylił, każdemu się zdarza...

- Robotnik - pouczył obecnych Debren - zwykle dwa denary za klepsydrę bierze. Dziesięć klepsydr w pracy, z tego na odpoczniki i jadło odliczają zwykle jedną, choć mało który majster pozwoli całą klepsydrę zmarnować... Dobrze, jak pół. No, ale dniówka liczy się za dziewięć. Razy dwa, to osiemnaście denarów daje. Pewnie dlatego wartość grosza tak ustanowiono. By łatwo było rachować.

- Że co? - zdziwił się Cobin.

- Pan żak - domyślił się Korris - narzeka, że drogo. Nie biorąc pod wzgląd, iż z nas są fachowcy. Ja, przykładowo, nie dość że do bractwa smolarzy należę, tom jeszcze pergaminy flisaka poprzecznego wyrobił.

- Na papierze spisane i ze stemplem - pochwalił się młodszy z synów. - Stoi tam, że można zarobkowo ludzi przez wody słodkie przewozić.

- I przewodzić - podkreślił Korris. - Brodów i mostów prowizorycznych także patent dotyczy. Sam król go podpisał. Przez pełno... pełnonocnika - zająknął się przy trudnym słowie. - To i kosztowało słono, by wyrobić. Ale za to teraz nikt - posłał Debrenowi chłodne spojrzenie - nie będzie mi stawek wyrobniczych proponował. Bo by mnie, a pośrednio i króla pana, obrażał.

- Nie chcę nikogo obrażać - zapewnił Debren, cofając się jednak wymownie o krok. - Cóż poradzę, że... - olśniło go nagle - że gotówka z cizmami utonęła?

Niemal się uśmiechnął, dumny z błyskotliwego wykrętu. Wszyscy, jak jeden mąż, wyjdą z twarzą.

- W butach chowaliście? - zasepił się Korris.

- To i nie dziwota, że chapnęły - przybrał minę znawcy Coklan. - Okrutnie łase na srebro te nasze... Auu!

Tym razem smolarz omal nie skaleczył dłoni o grot sulicy. Trochę za szybko wymierzał karę.

- Ile razy mam mówić...! - Opanował się, sklecił krzywy uśmiech - ...że nie trza klientów straszyć. Od tego potów dostają albo i wiatrów nawet. A to może je zwabić.

- Je? - zapytał od niechcienia Debren.

- Onegdaj - Korris jakby nie dosłyszał - jeden profesor tędy przejeżdżał. Zgadaliśmy się o dochodach. O swoich pensumach i pensjach gadał. Wystawcie sobie, takowy wykładacz na uniwersytecie roboty ma osiem klepsydr, z tego dwie wyklada, a sześć się szykuje, znaczy siedzi w domu, śpi, je, w kości rżnie albo babę maca, co mu się wszakoż liczy za pogłębianie zdolności do uczenia. I za owe pensum bierze tuzin groszy za dzień. Zaś za wykład pojedynczy, dodatkowo czyniony, po dwa albo i trzy grosze od klepsydry. Z tym, że u nich klepsydra to trzy kwadransy. Czwarty za przerwę rachują.

- Czemu mi o tym mówicie?

- Bo jak chcecie, bym wam tu wykłady robił, to nie podług flisackiej stawki musimy się rachować, a raczej profesorskiej.

- Nie trzeba - mruknął Debren. - A na flisaka poprzecznego mnie nie stać. Wybaczcie, żeśmy czas zajęli.

- Ile wam zostało? - Smolarz wszedł mu w słowo zaskakująco łagodnie. Może przez wzgląd na sąsiadkę, która niby wędrowała do studni, lecz dziwnie wygiętym ku wiacie łukiem. Troje dzieciaków niczego zresztą nie udawało, stojąc nieopodal, gapiąc się, podsłuchując i sprzecząc, ile mil w klepsydrę wyciąga taki koń.

- A bo co? - zjeżył się Debren. Pieniądze pochował w paru miejscach, by nie ułatwiać roboty rzezimieszkom, ale większość była w sakiewce. Za dużo, by świecić nimi w oczy temu wydrwigroszowi.

- Jak już się wybraliśmy - usmolona dłoń poklepała pas z bronią - to się przejdziemy, choćby darmo.

- Darmo? - Debren zjeżył się jeszcze bardziej.

- No, prawie - uśmiechnął się Korris. - Pokażecie nam, gdzie wasze ciżmy przepadły. Poszukamy potem.

To miało sens. Już same buty, odpowiednio wcześniej wyłowione z bagna, stanowiłyby godziwą zapłatę. Matka kupiła je Debrenowi za osiem groszy. Okazyjnie, bo warte były o trzy, może cztery więcej. Co prawda oficjalna cena wynosiła groszy cztery i pół (plus talon na ciżmy), jako że jeden ze sloganów nowego ładu głosił: „Demokracja to władza ludu plus ciżmy dla każdego”, ale w wyniku pilnowania cen przez państwo ceny były niskie, natomiast ciżem brakowało. Większość Lelończyków chodziła zatem w obuwiu pochodzenia czarnorynkowego, względnie w beztalonowej tandecie, która rozpadała się błyskawicznie, ale, wśród chłopstwa przynajmniej, była popularna jako skutecznie chroniąca przed grzywną

wymierzaną za chodzenie boso. Bosych, odkąd Leco Skoczyłót zaczął pyskować na władzę i niewydolność systemu, ścigano i tępiono jako złośliwie szkalujących demokrację.

Co prawda anvaski smolarz nie miał o tym wszystkim pojęcia i nie tak wyliczał wartość ewentualnego znaleziska, ale na Wschodzie trochę lepsze ciżmy też kosztowały około tuzina. Jeśli dodać do tego wetknięte w wyściółkę monety... Wiele tam Debren nie schował - buty pierwsze zmieniają właściciela w razie napadu czy okradania śpiącego - ale i tak Korris zrobiłby świetny interes.

Debren wahał się. Teraz pewnie nie, ale wracając, sam mógłby poszukać zguby. Był magiem, coś może wymyśli. Ale z drugiej strony...

Trochę kręcił, mówiąc Ammie, że kamień z butami zatonął. Nie chciał jej straszyć, przemilczał więc, że zamiast świeżej dziury w ziemi znalazł w trawie i błocie podłużny odcisk, prowadzący ku pobliskiemu wodnemu oczku. Ślad po kamieniu, który, choć płaski, przeturlał się kilka stóp - i to po równym - bezszelestnie pogrążył w czarnej wodzie... i przepadł. Jako że niżej, na dnie sondowanej kijem studzienki, na pewno go nie było.

Mówiąc inaczej: coś wylazło albo może tylko wychyliło się z wody, zabrało kamień razem z ciżmami i przepadło ze zdobyczą w którymś z podziemnych, a właściwie podbłotnych tuneli. Bo wylot tunelu, w przeciwieństwie do kamienia, Debren wymacał trzonkiem łopaty.

Zaraz potem zabrał się stamtąd, poganiany wędrującymi po karku ciarkami. Przeraziło go to coś, nieznane i niepodobne do niczego znanego z opowieści czy lektur. To dlatego tak gładko pogodził się z myślą o wydanym groszu albo nawet dwóch i poszedł szukać przewodnika. Teraz jednak pierwszy strach opadł, ustępując oszczędności.

- Naradzić się musimy - oznajmił. Ujął Ammę pod ramię i

odciągnął za wiatę.

„*Nat czym tu radzić?*” - Wyglądała na bardziej zdziwioną niż Korris. - „*Darmo pszeczysz pujdom.*”

- Za ćwierć tego, co mam w cizmach - wyjaśnił półgłosem - paru ludzi najmę. Zetną drzewo, zrobią kładkę nad dziurą. Gdybym wiedział, że tak słono tu sobie liczą...

„*Gdzie najmiesz? Kogo?*” - Zaskoczony, spojrzał na pobliskie chałupy. - „*A skond wiesz, rze sie zgodzą?*”

Zrozumiał, co miała na myśli. W takiej jak ta, leśnej osadzie, wokół przyjezdnych powinien zgromadzić się mały tłumek. Tymczasem dorośli oglądali ich, owszem, ale z daleka i wyraźnie ukradkiem.

- Korrisom nie chcą w szkodę leźć? - na poły zapytał, na poły wyciągnął wniosek. - To najwyżej odmówią.

„*Korris sie obrazi, jak innyh zaczniesz szókać.*”

- Chędo... - ugryził się w język. - Nie obchodzi mnie...

„*Nie zdonżymy bez jego pomocy.*”

- To tylko strumyk! No, i trochę błota - dodał gwoli uczciwości. - Ale sam sobie poradzę. Mam w księdze czar na brodzenie po bagnie. Łosiowe Stopy się nazywa. Nawet ćwicyliśmy na Akademii. Na barana cię wezmę i...

„*Konia tesz na barana? Poradzisz?*” - Debren zasznurował usta. - „*No widzisz.*”

- Mogę... przeskoczyć - mruknął po chwili. - Przez tę dziurę.

„*Noge morze złamać. Czy to na moście, czy w tych błotah. Ty omal nie złamałeś*” - przypomniała. - „*Nie, Debren, pewności nie masz, rze s koniem przejdziemy. A on po pierfsze nie nasz, a po drógie potszebny, bym pszed innymi do smoka zdonżyła.*”

I znów wrócili do podstawowego tematu. Który oboje omijali tak skwapliwie, że teraz od razu wyczuła, o czym Debren pomyślał.

„Nic sie nie zmieniło pszecziesz.”

Na samym końcu rylec zastygł nad gliną. Ulitowała się jednak nad stojącym z nieszczęśliwą miną Debrenem, nie dodała runy zapytania.

Spłacił ten dług, odchodząc bez słowa. Ujął konia za wodze i pokiwał głową Korrisowi.

- No to chodźmy - powiedział cicho.



- Auć! - jęknął Coklan, zatrzymując się i podnosząc stopę. - Coś mi do ciżmy wpa...

Zamilkł z rozchylonymi ustami. Może na widok twarzy ojca: przybrała buraczany odcień. Cobin z kolei skrzywił się jak dworak, przy którym inny dworak puścił bąka wprost w przechodzącego króla. Debren zatrzymał się, z roztargnieniem zerknął na bosą stopę chłopaka.

- Zna... - Coklana znów zatkało. - Znaczy...

- W nogę cię ukłuło - rzucił przez zęby Korris.

- Wła... właśnie. Tom chciał rzec.

Smolarz przez chwilę miał myśli albo - na co bardziej wyglądało - klątwy. Z powodzeniem. Kiedy przemówił, jego słowa brzmiały spokojnie i sensownie.

- W butach ostatnio chodziłeś do szkoły i nawykłeś, że jak coś kłuje, to kamień do ciżmy wpadł. - Przerwał na moment. - Boli, tak? To my idziemy, a ty nogę opatrz i nas dogonisz.

- Pokaż - zaproponował Debren bez zapału. - Znam...

- Nic mu nie będzie - uciał Korris. - Chodźmy.

Ruszyli. Ścieżka skręciła, stojący na jednej nodze chłopak zniknął za zaroślami. Do mostu mieli jeszcze spory kawałek, ale Coklan

jakoś nie dołączył, zanim nie dotarli na miejsce.

Debren przypomniał sobie o nim, patrząc, jak Korris wdrapuje się na grzbiet grobli, uważnie lustruje okolicę i wyciąga z worka kuszę. To do niej, okazało się, a nie krótkiego cywilnego łuku, należał wystający na zewnątrz gryf. Mocno nietypowa broń w sławnym z łucznictwa Anvashu.

- Jeśli wasz syn zranił stopę, może lepiej, by się do wody nie zbliżał.

- Ano lepiej - przyznał smolarz.

- Krew je zwabia? - zarzucił haczyk Debren. Ryba jednak nie brała. Smolarz schylił się, sapiąc z winy brzucha, i naciągnął cięciwę. - Co to właściwie jest? Utopce? - Znów żadnej odpowiedzi. Korris wyjął z worka trzy bełty o wąskich, przeciwbrojowych grotach. Wetknął je za pas, nie ładując jednak kuszy. Samą kuszę zawiesił na skos przy boku. Dzięki długości sznurka mógł ją teraz przesuwac z biodra na plecy czy brzuch, a nawet złożyć się do strzału, a wszystko to bez zdejmowania broni przez głowę. - Chyba powinniśmy wiedzieć.

- Milczeć powinniście. I robić, co każę.

Przeszedł po kłodzie nad wyrwą. Ruszył wolno wzdłuż mostu, przyglądając się z góry strumieniowi i jego brzegom. Amma, trzymając wodze, czekała na dole. Cobin stał za nią i gapił się na jej tyłek.

Korris zawrócił. Przemówił dopiero na dole, przy koniu.

- Trza zdjąć - wskazał sakwę z trupim kółkiem.

- Bo bagno? - domyślił się Debren. - Ale lepiej nie. Jak ma kogoś na dno ciągnąć, lepiej konia niż człowieka.

- Ludzie - wzruszył ramionami Korris - mostem pójdą. Nie zauważyliście? Most tu stoi.

Debren czuł, jak głupią ma minę. I zabrakło mu odwagi, by

przejsć nad tym do porządku. Powinien milczeć, ale siedemnastoletni mężczyzna, zwłaszcza na oczach młodej kobiety, nie lubi wychodzić na głupka.

- O klątwie tyle mówicie - wyjaśnił - że myślałem... no, że przez most się nie da.

- Ja o klątwie?

Fakt, o klątwie mówiła Amma.

- Myślałem... Skoro wam płacą, i to grosz od głowy...

- Płacą głównie ci, co jadą, wierzchem lub wozem. Albo juczne zwierzęta prowadzą. Piesi czasem nie płacą. Ci głupszy zwłaszcza. Idą przez most, sami. I czasem giną bez śladu. Ale jak się kto pod moją pieczętą przeprawia, może śmiało przez most przełazić. I za to ów grosz biorę. No, nie traćmy czasu. - Posłał w stronę osady ponure, zatroskane spojrzenie. - Zdejmujcie skarbczyk.

- Skarbczyk?

- Dajcie spokój, panie żak. Czy kim tam jesteście. Prowadzałem tędy Purchawca. Raz mi nawet prosto ze skarbczyka płacił. Bo mu draberia trzos w bitce odcięła. A raz nocą szliśmy, w górze potoku, bo szeryf się przy moście zasadził. Pomagałem nieść tę sakwę. To i ją pamiętam.

- Nie znam żadnego Pur...

- W to może uwierzę. Bo mówią, że ziemię gryzie od spodu. Ale skarbczyk po nim został, widzę.

Debrenowi nie podobał się ten nagły przyпіływ szczerości. Wprawdzie uchodzili za protegowanych Dużego Eka, no i jeszcze, okazuje się, spadkobierców Purchawca, który szeryfowi i drabom raczej nie przez pomyłkę podpadł. Więc niby donieść władzy nie powinni.

- Purchawiec może i srebro w tym wozie. - Wzruszył ramionami. - Ale teraz to żaden skarbczyk.

- Nie? To pokażcie, co w sakwie.

- Nie mogę otwierać. Ona... nie jest moja.

Żałośnie to zabrzmiało, ale Korris, o dziwo, po prostu pokiwał głową. Jakby spodziewał się tego.

- Wasza wola. Ale moja jest taka, że nie polezę przez błota z niczym srebrnym. Więc albo zdejmiecie torbę z konia, albo nici z przeprawy.

Debren rozważał to gorączkowo. Godząc się, przyzna, że w środku są pieniądze. Ale, z drugiej strony, Korris i tak to podejrzewał. Ba, był niemal pewny.

- Tam nie ma srebra - zapewnił ponuro.

- Nie wasza sakwa, więc skąd wiecie? Albo że się jakiś talar przypadkiem nie zawieruszył? A one mają takowy pociąg do srebra, że i grosik wyczują.

- Jakie one?

- Te, co w błotach żyją. Lepiej, byście ich nie oglądali. Bo to zwykle ostatni w życiu widok. No, zdejmujcie sakwę. Albo wracam do domu.

Debren skapitulował. Jak się okazuje: słusznie. Nic złego się nie stało. Poniewczasie przypomniał sobie, że samobij stanowi może i większe, a na pewno szybsze od smolarzy zagrożenie - ale strachu się nie najadł, bo sakwę miał już wtedy w rękach. Bez oporu dała się odczepić od siodła. Kij nie wyskoczył, nie zaatakował. A Korris, zamiast rzucać się na skarbczyk z okrzykiem chciwości, odczekał spokojnie, aż Debren ściągnie drugą torbę, tę z księgami, i ujął konia za wodze.

Zaczął jak Debren, obok resztek wozu i wołów, ale potem skręcił, oddalając się od przyczółka mostowego. Sunąc zygzakiem między zalanymi jamami, wyciągał z worka jakieś gąsiorki i bukłaczki. Wieszał je u pasa, odszpuntowywał, lecz chwilowo żadnego nie użył.

- To chodźmy. - Cobin z żalem oderwał wzrok od dziewczęcych łydek. Przeszedł nad wyrwą, balansując sulicą jak linoskoczek tyczką, po czym wysunął drzewce w stronę Ammy. - Złap się, przytrzymam. Nic się nie bój.

Złapała się, przeszła. Debren, trzymając sakwę przy brzuchu, ruszył w jej ślady. Kłoda, choć śliska i mocno nadgryziona przez próchnicę, nie spłatała mu żadnego psikusa. Cobin też nie, choć przez moment jakby tęsknie spoglądał na przepaść w dole, Debrena na kłodzie i sulicę w dłoni. Ale może tak się tylko Debrenowi zdawało.

- Co mówi? - Cobin wystarał się o przyjazny ton.

- Pyta - wyjaśnił Debren - co robi twój ojciec.

Miał nadzieję, że tamten ograniczy się do krótkiego: „Leje”, czyli poinformuje o czymś, co sami widzieli.

- Miksturę trollową do jam wlewa. - Młody smolarz wolał robić wrażenie na dziewczynie. - Cały labirynt ich tu pod błotami. Trza wiedzieć, w które lać i kiedy. Bo ciężko o nią, a wody kupa. To z wierchu to jeno pozór. Pod ziemią, tunelami, dużo więcej przepływa niżli potokiem. Więc jak z początku przesadzić, to potem braknie. I dopadną głupka, który źle wymierzył.

„Kto?” - zapytała Amma, ale Debren nie zdążył odczytać. Cobin run nie znał, miał jednak swój rozum.

- Żółwijce. Ludzie gadają, że to robota utopców, a ojciec im ochoczo przytakuje, ale tobie - uśmiechnął się do dziewczyny - mogę powiedzieć. To one naszą rzeczkę zamieszkują. Żółwijce. Takowe dziwolągi, magią przerobione z żółwi na biesy.

- Nie słyszałem nigdy - bąknął Debren. Wolałby wyśmiać tego wiejskiego mędrka, nie wyglądało jednak, by Korris po próżnicy kluczył między bajorkami i skrapiał z gąsiora niektóre z nich. Po sposobie, w jaki odkładał pałkę, zwalniając rękę i schylając się nad

wodą, dało się poznać, że bardzo mu zależy, by móc szybko sięgnąć po broń. Debrena nie zmylił fakt, iż kusza pozostała niezaladowana, a tylko napięta. Wepchnięcie bełta w korytko to jeden moment; więcej czasu zmarnowałaby Korris, próbując łączyć ciągnięcie konia przez bagno z podlewaniem kałuż miksturami, macaniem błota kijem oraz niestrzelaniem sobie w ucho czy stopę. Są sytuacje, gdy lepiej nie łączyć z gotową do strzału kuszą.

- Bo nigdzie indziej takowych nie ma - wyjaśnił wyraźnie dumny Cobin. - Bobry z małej strugi wielki staw robią, tamę stawiając. A żółwijce na odwrót: z rzeki uczynią potok. Albo i całkiem korytko osuszają. Troll Gurnhir, mego pradziadka kamrat, którego ów most po przodkach odziedziczył, opowiadał, że żółwijce dawno temu jakiś cesarz wymyślił. Znaczący: swym czarodziejom kazał wymyślić. By mieć władzę nad rzekami i bagnami i kiedy potrzeba, granice przed barbarzyńcami zamykać, a znów kiedy indziej wody z granicznej rzeki ile się da zabrać, by legiony przeszły i zniecka na wroga uderzyły.

- Zulijski cesarz? - To by oznaczało starożytność. Późniejsi cesarze nie mieli legionów i długich rzecznych granic, bronionych przed barbarzyńcami. Mieli za to rycerzy, którzy by na mieczach roznieśli władcę, próbującego stawiać na straży państwa obrońców w pancerzach ze skorup, a nie żelaza.

- Zza morza, więc pewnikiem Marimalczyk. I jak to Marimalczykowi, łajno mu wyszło, jeno złoto na eksperymenty wytracił. Żółwijce wyhodowali, ale pożytek z nich żaden.

Zamilkli, patrząc, jak Korris, zanurzony po pas, pokonuje pierwszą głębszą nieckę. Koń się opierał, szarpnął, omal nie przewrócił człowieka i Debren docenił pomysł noszenia osobno bełtów oraz kuszy. Broń miała tradycyjny, długi spust, a łapiąc równowagę, smolarz zaczepił łożem o jakąś wierzbową kępę. Ciut

wyżej, bełt w korytku - i położyłby trupem konia.

- Dziwne - zauważył Debren. - Nic o tym nie piszą. A akurat starożytni pisali dużo i chętnie.

- Gurnhir mówił, że prawie wszystkie żółwijce raz dwa ludzie pozjadali albo rybacy wybili. Całkiem by gatunek wymarł, ale się jeden mądry półtroll na nich poznał. I skrycie hodować począł, z czasem ulepszając.

„Po co? Trole wojen nie robiom. Żek nie muszom osuszać ani pszed barbażyńcami poszerzać.”

- Ale mosty budują. A potem z myta żyją. Żółwijce za psy im służyły. Dobrze wytresowane, najpierw wodę podziemnymi kanałami puszczały, by troll mógł fundamenty na suchym położyć. A gdy już most stał, dbały, by nikt go bokiem nie omijał. Jak bród był gdzieś blisko, to go podkopały, po brzegach dziur narobiły, zabagniły.

- Albo... napadały? - domyślił się Debren.

- No właśnie nie. Tu ich słabość leżała, z którą się cesarscy czarownicy nie uporali. Wzięli żółwia, z jakowymiś morskimi dziwadłami go pokrzyżowali, by dziób był ostry i silny, a nogi na macki przerobili.

- Macki?

- No. Takowe wijące się. Stąd nazwa podobnież. I tymi mackami miała bestia ludzi pod wodę ciągnąć. Wszystko wyszło, jeno nie ochota na zabijanie. Żółwijce ludzi się bały i za cholereż żaden...

Cobin urwał. Coś plusnęło pod mostem, niewyraźny cień przemknął pod pomarszczoną taflą mętnej wody. Stwór nie był wielki, chyba nie dłuższy niż na dwie stopy, ale Debren wzdrygnął się na myśl, że mógłby się z nim spotkać gdzieś na głębinie. No, ale tu głębin nie było.

Choć w jednej ze studzienek też plusnęło i czyjś ciekawski łeb

poruszył pobliskimi szuwarami, Korris zachował spokój. Nie sięgając po bełt, szedł dalej. Od czasu do czasu sprawdzał pałką twardość podłoża, ale widać było, że wie, którądy iść. Był już niemal przy brzegu.

- I co się stało? - zapytał cicho Debren. - Bo te, rozumiem, są inne. I to ludzie ich się boją.

Korris wylazł z bajorka, wspiął się na ziemny próg, oddzielający je od potoku. Przyciągnął konia, poklepał uspokajająco. Ukucnął i wyjął z worka kawałek jedzenia. Był za daleko, by Debren rozpoznał, że to akurat pokarm, a nie, przykładowo, bryła błota. Ale błotem mało które zwierzę da się przekupić.

Spod wody wychynął kulisty, opatrzony dziobem łeb wielkości męskiej pięści. Zwierzę energicznie zawróciło w miejscu, znacząc ślad manewru wielkim wirem, zabulgotało gromadą powietrznych baniek. To znaczy - w pierwszej chwili Debren wziął je za takie. Bo potem, widząc podłużną grudę wypływającą na powierzchnię dobre trzy stopy od łba, uświadomił sobie, że spod ogona mało która istota wypuszcza samo tylko powietrze.

- Na... nasrał twemu ojcu na drodze. - Wsparł o biodro przyciskaną do brzucha sakwę, uwolnioną dłonią sięgnął do pochwy. Nie wyjął jednak różdżki. Uświadomił sobie, że nieprzemyślanym czarem może narobić więcej szkód niż pożytku. - To chyba... ostrzeżenie.

Zwierzęta znakują odchodami swe terytoria. Co prawda chyba rzadko tak wprost przed nosem intruza, ale ostatecznie to tutaj żyło w potoku i woda nieuchronnie unosiła jego cuchnące kopczyki graniczne. Metoda zaznaczania swej obecności możliwie późno wydawała się zatem sensowna. No i ten rozdziawiony pysk...

Na szczęście zamiast Korrisa - a dokładniej jego dłoni, bo na więcej rozmiary łba i szyi nie pozwalały - bies połknął rzuconą mu

porcję jedzenia. Chwycił gładko, po czym przepadł w mętnej wodzie.

- E, nie. - W głosie Cobina dała się słyszeć lekka, bo lekka, ale jednak ulga. - Jak nasrał, to akurat dobrze. Teraz już inne bez mikstur wiedzą, że to swój idzie.

Korris jednak nie szedł jeszcze. Zamiast tego wyłowił kołyszący się w zielonkawej wodzie kawałek łąjna, rozsmarował je o trawy. Szybko wymacał to, czego szukał. Zanurzył dłoń, opłukał w wodzie wraz ze znaleziskiem. Zabłąkany świetlny refleks trafił Debrena w oko.

- To chyba nie...?

- Srebro żrą. - Cobin posłał Ammie dumne spojrzenie dziedzica kantoru. - Tak je trolle przyuczyły. Każdy grosz wyłowią i nam przyniosą. Za przysmaki je oddają. Bo teraz myśmy dziedzice trollowych sekretów i to my wiemy, czym zółwijce dokarmić, by usługi świadczyły. Moja baba - dokończył z naciskiem - głodna i obdarta chodzić nie będzie. Jenó w srebrach cała.

- Oj - zaniepokoił się Debren. - Koń...

Karosz zaczął opróżniać pęcherz. Niby na trawę, ale stał tuż przy brzegu i część moczu spłynęła do strumienia. Woda poniosła ją śladem zółwijca.

- Co: koń? - nie zrozumiał Cobin.

- Jak za mało waszej wody wypił, zółwijce mogą... - Debren urwał, widząc wyszczerzone zęby. - Co?

- Aleś głupi - śmiał się młody smolarz. - Dałeś wiarę tej bajeczce? Po sikach swojego poznają, przednie... Matka na co durniejszych owej sztuczki próbuje, ale że się na nią kurier od kontrabandystów złapie, tom nie myślał. Że też ci przesyłkę powierzyli, takiemu głupiemu... Pewnikiem kogoś w starszyźnie szajki masz, co?

Dobrze, że znad wody dmuchało chłodem i wilgocią: czerwonym

jak pomidory policzkom Debrena przydała się taka pomoc.

Korris schował do sakiewki oczyszczoną z kału monetę, zaszpunktował bukłaki. Śmiało wszedł do wody. Żadne zwabione końskim moczem bestie nie dopadły go niestety pośrodku nurtu. Debren machnął ręką na wierzchowca, którego musi zwrócić właścicielowi, i w duchu życzył mu tego, ale żółwijce nie zamierzały ratować jego młodzieńczego honoru. W trzy pacierze smolarz pokonał i strumień, i większą część przybrzeżnych moczarów. Minął porośniętą zielskiem beczkę i zbliżał się do wschodniego odcinka grobli, gdzie czekali pozostali, kiedy zza mostu dobiegł chrapliwy okrzyk żurawia.

Zatrzymał się, obejrzał zachodni brzeg. Choć spocony po przeprawie, twarz miał dziwnie nieruchomą. Skupioną i ponurą. Nie wyglądał na człowieka, któremu jak z nieba skapnął grosz i który ma w perspektywie wyłowienie cizem i łatwe zarobienie kilkunastu następnych.

Ale to nie jego drętwa mina zaniepokoiła Debrena. Zaalarmowało go triumfalne spojrzenie Cobina. Niemal pogardliwe: „Przegrałeś!”, wyczytane w nerwowym uśmiechu młodego smolarza. Już nie kpina z kogoś, kto kupował studzienną wodę. Coś więcej.

Podostrzył więc magią wzrok, popatrzył tam, gdzie Korris... i wypatrzył cień ludzkiej sylwetki. W kępie leszczyn, z grubsza tam, skąd dobiegł ptasi okrzyk. Przy styku drogi, którą przywędrowali z Trickleley, i ścieżki do osady smolarzy. W miejscu, z którego można było pilnować obu szlaków, samemu nie będąc widocznym.

Dało się stamtąd także ostrzelać most - uświadomił mu to koniuszek łuku, który mignął nad gałęziami. Na szczęście gryf pokazał się z półprofilu. Ukryty w zaroślach człowiek, póki co, nie celował w ich stronę.

Debren zawahał się. Coklan i ten jego kamień w cizmie, której nie

było na nodze. Udawał? Specjalnie został w tyle? By teraz...?

Ale Coklan nie miał łuku. Ani powodu, by czaić się po krzakach. Czyli... ktoś inny? Wróg? Jeśli ich wspólny, to może lepiej, by wspólnie...

Zerknął wyżej. Czort wie po co, bo sokoły nie czają się po krzakach z łukami. Ale chyba dobrze, że zerknął.

Coś mignęło na styku nieba z koronami drzew. Za późno popatrzył. Zniknęło między czuprynymi buków.

Lądujący ptak? Czy tylko poruszona wiatrem gałąź?

Pirr mówił o sokole Keloalena, że to być może zaklęty w ptaka elf. A elfy lubią łuki. W postaci sokoła, choćby i magicznego, wiele taki nie zwojuje przeciw ludziom, ale elf z łukiem, i to w lesie...

Wszystkie te myśli przemknęły mu przez głowę lotem błyskawicy; nie miał czasu, by oceniać ich sensowność. Zaczął mówić, nim dotarło do niego, że nawet zaczarowany ptakolud nie może być jednocześnie w dwóch miejscach.

- Tam ktoś jest! - ostrzegł półgłosem. Uznał, że źle ocenił miny przewodników. Byli ludźmi lasu, musieli coś wyczuć, czegoś się dopatrzeć. To stąd ich dziwne zachowanie. - W krzakach, przy drodze!

Usłyszeli go wszyscy, ale tylko Amma szarpnęła głową. Cobin nie obejrzał się za siebie, a jego ojciec zręcznie, niemal niepostrzeżenie, wyjął bełt z za pasa. Kryjąc się za łbem ciągniętego na groblę konia, jedną ręką, po omacku, wetknął pocisk w korytko kuszy.

Debren już miał wyciągnąć różdżkę, gdy nagle naszła go myśl, że gwałtowny ruch dziewczyny może ściągnąć na nią nie tylko uwagę. Po momencie wahania wykonał więc długi krok, pakując się między nią a łuczniaka. Trzydziestofuntowa sakwa, uniesiona bliżej podbródka, byłaby niezłą tarczą, gdyby tamten zdecydował się

strzelić. A magiczne księgi, skryte w drugiej, przewieszanej przez ramię, uchroniłyby połowę bioder i prawego uda.

Ale to nie łucznik wymierzył w nich broń.

- Ty, dziewczko, się nie mieszaj! - uprzedził Korris. Puścił wodze, oparł kij o lewe ramię, a do prawego podniósł kolbę kuszy. - Tobie włos z głowy nie...

Amma, stojąca teraz bliżej smolarza, skoczyła z kolei między niego a Debrena. Między bełt a kręgosłup, w którym miał utkwąć.

- Yyyy!!! - zawyła.

- Na bok! - rozkazał Cobin. Nie krzyczał jednak. Żaden ze smolarzy nie próbował krzyżeć. Byli skupieni, mało radośni z powodu czekającej ich roboty, ale ani zbyt podnieceni, ani tym bardziej przestraszeni. Jak doświadczeni zbóje, którym nie pierwszy raz przyszło dokonywać napadu.

To Debrena ogłupił strach. Gdyby pomyślał, na pewno nie pozbyłby się tak pochopnie jedynej broni. Sakwa, złapana za któryś z troków, od biedy zastąpiłaby bojowy cep. Wywijając nią nad głową, mógł się opędzać przed atakami kija czy sulicy. Trzymając ją z kolei przed sobą i szarżując na Korrisa, zyskałby tarczę, w której, przy odrobinie szczęścia, mógł utknąć wystrzelony w pośpiechu bełt.

Wojownik zrozumiałby to błyskawicznie. On jednak nie urodził się wojownikiem i pokazowo wszystko spieprzył. Nie dość, że rzucił sakwą - to jeszcze w mniej groźnego Cobina. Bo ten akurat stał bliżej.

W dodatku chybił. Nie umarł zaraz potem, od sulicy wbitej w brzuch, tylko dlatego, że zrywający się do biegu Cobin bezmyślnie trącił drzewcem przelatującą obok torbę. Może zresztą nie bezmyślnie - wyglądało to jak wykonana od niechcienia parada doświadczonego wojaka i powinno zrobić wrażenie na niejednej

pannie. Na wrogu zresztą też. I nawet zrobiło.

Trochę wcześniej, za plecami Cobina, z uchwytu przy sakwie wyskoczył samobij.

Trzydzieści funtów ładunku szarpnęło za ramię, pociągając kij aż na przedmoście, więc choć wywinął jeszcze kilka pętli, więcej nie działał. Ale to jedno, wykonane w przelocie uderzenie okazało się wystarczające.

Zdzielony w potylicę Cobin runął na twarz i znieruchomiał. Niestety - na swojej sulicy. Debren skoczył w jej stronę, padł na kolano, ale nim zdołał wyciągnąć broń spod masywnego chłopaka, zmroził go okrzyk Korrisa:

- Nie tykaj! Bo szyc będę!

Amma nadal wymachiwała rozpostartymi ramionami, koń kręcił się, tupał i rył kopytami. Inaczej mówiąc: cel był przesłonięty, smolarz nie naciskał więc spustu. Widać jednak było, że niewiele mu do tego brakuje. Strzeli, jeśli Debren zlekceważy ostrzeżenie - i pewnie trafi w dziewczynę.

Debren nie zlekceważył więc ostrzeżenia.

Znieruchomieli zresztą wszyscy prócz konia. Amma opuściła rękę. Prawą zacisnęła na rękojeści króciicy, nie wyciągała jej jednak zza sznurkowego pasa. Było jasne, że pierwszy ruch należy do smolarza.

A ten, o dziwo, czekał.

- Odstąp, durna - warknął. - Na bok.

Dopiero jego spojrzenie posłane nad ramieniem Ammy, za most, pozwoliło Debrenowi zrozumieć, co się dzieje. Dreszcz przebiegł mu po karku.

- Nie strzelisz. Jest nas dwoje, brzuchaczu, a ty żadnego nie dogonisz. I jak na jedno bełt stracisz, drugie ci ucieknie do lasu. A potem katu odda.

Starał się nie myśleć o łuczniku, skrytym w leszczynowej kępie. To ze sto kroków. Daleko. Można chybić. No i może to jednak nie...

- Coklan! - rozwiął jego złudzenia smolarz. - Na co czekasz, głupku?!

Debren poderwał się, stanął bokiem, trochę po to, by móc szybko spoglądać w obie strony, trochę, by utrudnić tamtemu celowanie. Strzała jednak nie nadleciała.

- Amma, biegnij! - Wskazał jej las za plecami smolarza. - A ty, Korris, nie próbuj jej zatrzymywać. Bo tak ci przypieprzę... Czarodziej jestem! - przypomniał sobie poniewczasie, sięgając po różdżkę.

- Ani drgnij! - Tamten wymierzył mu prosto między oczy. - Dotknij tego noża, a strzelę!

Posłusznie zastygł w bezruchu. Uwierzył w groźbę. Stał nad nieprzytomnym Cobinem. Gdyby w pochwie faktycznie był nóż, a on zdołał go wyciągnąć, wystarczyło przykucnąć, by tamten stał się zakładnikiem. Korris nie mógł do tego dopuścić.

Amma też to chyba zrozumiała. Obejrzała się szybko, sprawdziła, którądy przebiega linia celowania, i przesunęła się, stając dokładnie na niej. Korris pociemniał z gniewu, nie strzelił jednak, tylko przesunął się w lewo. Zaraz potem i ona się przesunęła. Nie mając oczu z tyłu głowy, nie była w stanie idealnie przesłaniać sobą chłopaka, ale robiła to na tyle skutecznie, że tylko naprawdę dobry kusznik pokusiłby się o strzał.

- Ręce na bok, żaku! - krzyknął Korris. - Bo ubiję dziewczkę! Chce widzieć twoje ręce!

Debren natychmiast rozpostarł ramiona.

- Nie warto mordować dla paru groszy. A my niewiele mamy. Puść nas, a oddam całe srebro. Odejdziemy. Nikt się o niczym nie dowie. Daję słowo.

- Za durnia mnie masz? - przerwał mu Korris. Opuścił kuszę, za to przechylił głowę, by widzieć Debrena z za dziewczyny. - Wieziesz miesięczny urobek z handlu tytoniem, bronią, żywym towarem i imigrantami. Wór srebra samobijem chroniony. Nieraz przeprowadzałem twych kamratów. Tyle że w gromadzie jadących. Akurat wypada kolej na następnych kurierów. I już widzę, jak mówisz Purchawcowi: „Zgubiłem”, a on o nic nie pyta, jeno...

- Nie jestem z żadnej szajki! Przysięgam! I to nie moja sakwa. Ani koń zresztą. My... my go ukradliśmy.

- Odsuń się od mojego syna!

Korris znów zrobił dwa kroki w bok. Amma przesunęła się o pół.

Obejrzał się za most. Coklana ani śladu. Utknął w zaroślach? Ten gąszcz z tyłu... Głogi chyba. Kolczaste, więc mógł utknąć. Daj Boże, by na całe pacierze.

- Jestem praktykantem z kraju demokratycznego - zaczął z innej beczki. - Afera będzie, jak mnie zabijesz. Mój rząd we wszystkich kronikach nakaze pisać, że feudałowie niewinnych żaków mordują. A wtedy twego króla szlag trafi. Bo dziś ostrą wojnę propagandową toczy i nie w smak mu takie historie. Akurat gdym wyjeżdżał, w Gorszawie miejscy pachółkowie zatłukli na odwachu syna opozycyjnej poetki. Właśnie żakiem zostałem. Egzaminy zdałem, z kolegami świętowałem, za głośno w rynku pokrzykiwali i capnęli ich patrol. Jacyś nadgorliwcy pobili go tak, że zmarł. - Debren czuł, że za dużo gada, ale dopóki Coklan nie nadchodził, apelowanie do rozsądku jego ojca wydawało się najlepszym sposobem. No i, mówiąc, koncentrował w sobie moc; szykował mózg, mięśnie i system krwionośny do rzucania zaklęć. - Tak więc skandal wybuchł, który wschodnie ośrodki propagandy ochoczo nagłośniły, dmąc w tubę, jaka to demokracja zła i do rzyci. No, a jeśli teraz to u was żaka utłuką... Całą moralną przewagę Wschodu diabli wezmą. Więc

głowę dam, że król najlepszych inspektorów do śledztwa pośle, by się z podejrzeń oczyścić. A draberia anvaska nie ma sobie równej. No i Cherlaka Shomsa ma w odwodzie, gdyby sama nie podołała. Geniusza kryminalistyki, żywą legendę.

Przynajmniej końcówka zrobiła na Korrisie wrażenie.

- Cherlak Shoms?! - zaprotestował gwałtownie. - On by się miał zajmować jakowymś kurierem kontrabandystów?!

- Toż tłumaczę, że nie jestem...

- Masz ich skarbczyk! - Wskazał sakwę i samobij. Kij, zniechęcony brakiem ruchu w pobliżu, nurkował właśnie do pochewki. - Z pałą latającą!

- No właśnie - podchwycił Debren. - Taki cenny ładunek, tak chroniony, i co? Tylko jeden kurier? Sami mówicie, że większą gromadą srebro przewożą.

Korris zawahał się.

- No, niby mówię... - Po paru momentach powróciła mu jednak pewność siebie. - Ale o Purchawcu gadają, że go utłukli. Na jakiejś farmie. Z paroma kompanami. Więc może się chaos w szajce wytworzył. Walka o władzę. To i ludzi mniej, by przesyłek strzec, i dyscyplina do rzyci. Pewnie kamratów kontrabandystów strułeś albo we śnie ubiłeś, cap za sakwę i chodu. Dlatego sam jedziesz.

- Jestem czarodziejem, nie kontrabandystą. Tu - klepnął wiszącą u boku sakwę - mam księgi magiczne. Praktykuję u Factorby'ego, poważnego mistrza iluzji i...

- Może - zgodził się smolarz. - Też żem słyszał, że do przemytu magików teraz biorą. Iluzja taniej wychodzi niż łapówki. Czary-mary i celnik widzi zboże zamiast tytoniu, a upolowane foki zamiast żywych Czarnoludów. Ale nie myśl, że mnie czarowaniem nastraszysz. - Potrząsnął wymownie kuszą. - Magia magią, a bełt bełtem.

Miał rację: Debren, przynajmniej bez różdżki w dłoni, postawiłby w zakładzie raczej na niego niż siebie. Zresztą i różdżka nie gwarantowała powalenia kusznika na tyle szybko, by nie zdążył szarpnąć spustu.

Na szczęście nie musieli sprawdzać, który z nich okaże się szybszy. Coklana nadal nie było widać, wobec czego jego ojciec nie rwał się do strzelania.

- Zróbmy tak - zaproponował Debren. - Ty weź torbę, a my konia. Potem odjedziemy.

- I naskarżycie Purchawcowi?

- Purchawiec nie żyje, zapomniałeś?

- Żyje, nie żyje... Czort go wie. Draby za nim węszą, a co gorsze, Komora Skarbowa. To może po prostu udaje martwego? I sam owe durne pogłoski rozsiewa?

- Durne?

- Jakaś obłąkana dziewczka rozpowiada, że wpadł na ich farmę z piątką druhów. Owce rabować. Na bukłaki, do przerzutu kontrabandy. - Debren uniósł brwi. - No wiesz: marimalski wspólnik wiąże towary do takowej boi, podrzuca przy wietrze od morza albo mgle, gdy straż brzegowa z przystani nie wychodzi, bo i po co, skoro rybacy w chałupach siedzą. A potem nasz rybak w umówione miejsce płynie, podejmuje bukłak, linę ciągnie, towar z dna wyławia. I nawet jak go przyłapią, to się wyłga. Bo gdy dobro wyłowione z morza, a nie podjęte z łodzi, liczy się za uczciwe znalezisko.

- Nie lepiej beczki stosować? - Debrena zawsze fascynowały takie wynalazki. - Znaleźć łatwiej, nie toną...

- Bukłak tańszy. - Korris zerknął za most, potem na nieprzytomnego Cobina. Nic się nie zmieniło, nadal miał jeden bełt na dwoje i brzuch za ciężki na pościgi. Ale chyba nie tylko z braku

lepszycy wyjść pociągnął rozmowę dalej. - I skórzany, czyli za zwierza morskiego się liczy. Za padlinę, konkretnie. Jeśli linę z jelit do takiej skóry dodać, wszystko, co do liny uwiązane, liczy się za zwisające padlinie z rzyci. I król nie może na tym ręki położyć. No bo co: król miałby z padliny korzyści czerpać? W życiu! A z beczkowego i wrakowego przysługuje Koronie połowa. Dlatego baryłki się nie kalkulują. No i jeszcze jeśli owca kradziona, to pływak całkiem darmo. A Purchawiec skąpy jest. Napadł tedy na ową farmę. Wybrał taką w otulinie smoczego rezerwatu, bo ludzi tam mało. Rodziców dziewczki zarznął, młodszego brata w studnię, by świadków nie było, a dziewczkę chłopakom do zabawy dał. Potem też miała do studni trafić. Ale ocalała. Cudem ponoć.

- Zlitowali się? Popili, a ona uciekła?

Smolarz przyglądał się z uwagą tej połowie twarzy Debrena, której nie przesłaniał mu kaptur dziewczyny.

- Nie wiesz? - Nie czekał na zaprzeczenie. - Coś... jakoby z nieba spadło. I wyrznęło Purchawcowych chłopaków.

- Z nieba? - Debrena przebiegł kolejny dreszcz. Głupie, bo prawdziwe kłopoty miał tu, z ludźmi, a nie czymś, co spada z nieba i wyrzyna opryszków.

- Dziewka bredzi, że anioł, a może smok. Albo może rycerz na pegazie.

- Że co? - zdumiał się. - Na pegazie?

- To takowy koń skrzydlaty. Z bajek. Na umysł jej padło. Szeryf jeno krew i trupy gospodarzy znalazł, bo po Purchawcowych ślad zaginął. Tajemnicza historia. Choć może po prostu ranni byli i umknęli. Ale znów krwi za dużo, jak na same tylko rany. I jeszcze kawałki flaków rozrzucone po izbach. A jak flaki się walają, nie ma cudów, by ranny przeżył. To po co trupa zabierać? Purchawiec sentymentalny nie jest. Raz mu, pamiętam, szeryfowi ludzie kuzyna

postrzelili. To konającemu buty zdjął i palce poobrzynał, bo pierścienie nie schodziły. I uciekł, choć konno był i mógł krewniaka wziąć. A z farmy, wygląda, ktoś ciała zabrał. Pieszko w dodatku. Odciski podków były, owszem, ale jeno jednego konia i dalej, pod lasem. Więc nie wiadomo, czy to ma coś wspólnego. No, ale pewnikiem część śladów zatarło i szeryf tylko te głębsze wypatrzył.

- Sześciu chłopca tak po prostu zniknęło?

- Ludzie tu całkiem łatwo znikają. - Dziwny uśmiech pojawił się na twarzy Korrisa. - Coś o tym wiemy.

Debren zorientował się późno, ale nie za późno: Cobin oberwał mocniej, niż się jego ojcu zdawało. Co prawda podniósł się z nienacka na kolana, tuż za plecami Debrena, lecz ani nie chwycił go za łydki, by obalić nagłym szarpnięciem, ani nie sięgał po sulicę. Klęczał tylko, wyraźnie oszołomiony, i potrząsał głową.

Debren odskoczył. I natychmiast powrócił w poprzednie miejsce, widząc podrywaną kuszę.

- Łap go, synek!

Cobin usłuchał. Na szczęście - klęcząc. Jego ramiona opasały więc uda Debrena. Pchnięciem czoła powalił ofiarę, ale Debren zdążył poderwać pokrowiec pochewki i wyciągnąć różdżkę.

- Stać, bo będę czaro...!

Nie dokończył: za mocno walnął plecami o drogę. Mignęła mu podniesiona pięść Cobina. Zdołał zatrzymać ją lewą ręką, ale zaraz potem tamten sięgnął swoją lewą po tkwiący przy pasie myśliwski nóż.

- Stój, bo ubiję! - Dobiegł go pełen złości krzyk Korrisa.

- Ojciec, nie! Ona ma być moja!!!

Smolarz nie strzelił dziewczynie w plecy. Może w ramach udzielania nauki gówniarzom, pouczającym starszych. Cobin nie wyszedł bowiem za dobrze na proteście: Amma wybiła się i ciosem

bosej stopy zwała go z Debrena. Nie pożałowała nogi - potylicą Cobina aż zadudniło o bruk - więc zaraz potem na ziemi leżała cała trójka.

Korris wycelował. Przez moment Debren widział jego oko, przesłonięte do połowy grotem. A potem szykowany od paru pacierzy czar doczekał się wyzwacza.

Obłok mgły spowił czarodzieja, by błyskawicznie rozpląnąć się na boki. Dzięki mokradłom dookoła wilgoci w powietrzu było sporo i lotna biel sięgnęła przynajmniej na sążęń nad ziemią.

- Nie wstawaj, Amma! A ty, Korris, nie strzelaj! Bo syna ubijesz!

Szybko przetoczył się na bok: syn mógł dźgać nożem, a ojciec posłać bełt w zapamiętane miejsce. Na szczęście Cobin oberwał porządnie i znów leżał bez ruchu. Od strony smolarza nie naleciał zaś ani pocisk, ani nawet żadne odgłosy. Korris pewnie stał, gapił się na rozlany po przedmościu obłok i próbował pozbierać myśli.

I dobrze, bo Debren też potrzebował czasu, by dojść do siebie. Mgłę wyczarowuje się stopniowo; w pełni wykształcony mag nigdy nie użyje tego akurat zaklęcia, by nagle zniknąć komuś z oczu. On, niestety, jeszcze nie przerabiał lepszych. Złamał więc zasady bezpiecznego i ekonomicznego czarowania, puścił sporą część mocy na zatracenie, sobie zafundował wstrząs - ale wyszło. Tylko teraz musiał poczekać ze wstawaniem, o stosowaniu magii nie mówiąc. Bo każdy większy wysiłek przypłaci omdleniem albo niekontrolowanym wpływem zgromadzonej energii.

Na szczęście mówienie wiele wysiłku nie wymaga.

- Rzuć kuszę, Korris, bo Cobina podpalę.

Gdzieś obok wałała się sulica i nóż, własny kozik Debrena też by wystarczył na nieprzytomnego - ale ciężko straszyć czymś, czego straszony nie widzi. No i noża raczej by nie użył. W walce - być może. Ale tak na zimno...

- Zabiję cię, gówniarzu! - wyrzeszczał swe rozczarowanie smolarz. - Po kawałku żółwijcom oddam! Zdechniesz jak Winperter! Coklan, do dajki nędzy! Biegiem tu!

Dzięki temu, że się darł, dało się poznać, iż robi to z jednego miejsca. I że się cofnął, zamiast gnać synowi na ratunek. Debren ocenił, że dzieli ich teraz ze dwadzieścia kroków.

Cóż, rozumny człowiek odsunie się od magicznej chmury, z której może na niego wyskoczyć jak nie wyczarowany z czapki bies, to przynajmniej magik z nożem.

Koń też czmychnął. Debren aż za dobrze słyszał oddalający się tętent. Cholerna szkapa. Akurat teraz.

- Cobin?! - Smolarz przypomniał sobie o starszym z synów. - Co z tobą?

Coś się poruszyło we mgle. Na szczęście - Amma. Klęcząc, przysunęła się do Debrena. Próbowwała iść dalej, znów między niego a smolarza. Zatrzymała ją.

- Cobin żyje - zapewnił. Trochę na wyrost, bo odgłos łupnięcia czaszką o bruk zabrzmiał nieprzyjemnie. - Ale go podpale, jak kuszy nie odłożysz.

- Kroić cię będę i biesom rzuć! - Wizja zemsty jakby uspokoiła Korrisa, bo już bardziej trzeźwym głosem dodał: - A podpalić nie zdążysz. Jedno szczęknięcie krzesiwa i strzelam. Dwie szanse na trzy, że któreś z was trafię, łajdackie nasienia.

Najprędzej trafiłby mgłę, ale Debrenowi nie uśmiechało się podejmowanie ryzyka. Bo po co?

- Nie będę krzesał - wyjaśnił. - Od czego różdżka? I wiedzcie, panie Korris, że z niej można na sporą odległość coś palnego podpalić. A Cobin cały w smole i dziegciu. Więc ślicznie w płomieniach stanie.

- Nie odważysz się - warknął smolarz.

- A właśnie że się odważę.

Nie za dobrze to zabrzmiało. Mało wiarygodnie.

- To podpal - wyczuł okazję Korris. - Portki na łydce. Udowodnij, że gróźb na wiatr nie rzucasz.

- Waszej łydce? - upewnił się Debren. - To odłóżcie...

- Cobina - przerwał mu smolarz. - Mojej, jeszcze czego... Dał się dureń dziewczce powalić, to niech teraz cierpi. Od tego nie zemrze. No, przypalaj, mądralo. Zobaczymy, czy coś więcej umiesz niż iluzje robić.

Iluzja, no tak... To tłumaczyło jego odwagę. Pewnie podejrzewał, że mgła jest złudzeniem i że takim samym, niegroźnym widmem, okażą się płomienie.

Ale i tak zbił Debrena z pantałyku.

- Mogę... - zawahał się - coś innego przypalić. Może... krzak jakiś?

- Krzew gorejący? - parsknął Korris. - To nie Księga Święta, żaku. Ty nie jesteś Bóg, a jam nie...

- No to drzewo - przerwał mu Debren. Zaczynał widzieć szczeliny między brukowcami; czar słabł. - W ten las za wami pošlę kulę zapalającą. Może być? Jeno się nie wystraszcicie i nie strzelcie.

- Nie wystraszę się - obiecał Korris. Jakoś... zbyt gorliwie? Debren nie bardzo wiedział, co go właściwie zaniepokoiło. I nie o smolarza mu chodziło, kiedy wyciągał w bok rękę z różdżką. Zadziałała ostrożność nabyta przy pierwszych eksperymentach z magią ognia, kiedy raz i drugi poparzył palce czy nadpalił rękaw. Gorąca świecilotka nie była często stosowanym czarem, bo mało jest okazji, by podpalać coś zdalnie, a nie za szybko. W boju taki wolno lewitujący pocisk zbyt łatwo ugasić czy zbić z trajektorii, a znów w warunkach pokojowych wygodniej podejść i rozpalać ogień z bliska. W efekcie nie opanował łączenia dwóch składowych zaklęć i na wszelki wypadek robił to z dala od ciała.

Ocaliło mu to życie. Ledwie kulka zapłonęła, bełt zagwizdał obok dłoni, szarpnął różdżką, zbił świecilotkę z jej końca.

Opanowałyby latający ogień, choć do pełnej lotności jeszcze trochę mu brakowało - gdyby nie Amma. Jej króćca huknęła tak nieoczekiwanie, a spalany jednosiarkodwuwęglodrewnian saletry tak go zdzielił po oczach gorącym podmuchem, że na chwilę całkiem stracił rozeznanie.

Świetlna kulka, fakt, że łagodnie, opadła na leżącego z tyłu Cobina. Odbiła się od jego piersi i, podskakując jak dziewczuszka na skakance, umknęła w stronę mostu. Ale tego jednego dotknięcia starczyło, by poplamiony żywicami kubrak młodego smolarza zaczął płonąć.

- O wy psiekrwie! - dobiegł zza rzednącej mgły na poły trwożliwy, na poły wściekły okrzyk Korrisa. - Czarami we mnie?! Piorunem?! Tośta się doigrali!

Oszołomiony Debren został chwycony za łokieć, pociągnięty w stronę krzyczącego. Nim zdołał zaprotestować, wypadli z magicznego obłoku. Dopiero tu zorientował się, że Amma nie spanikowała i z grubsza wie, co robi.

Zdażyła wepchnąć prochowy arbalet za pas i zgarnąć z drogi sulicę. A Korriss nawet nie zaczął napinać kuszy. Co prawda, obok leżał jego sążniowy kij, więc o bezbronności trudno było mówić, ale oni biegli na niego we dwoje, no i z groźniejszą od pałki sulicą. Jeśli dodać do tego różdżkę, samym widokiem szarży powinni utorować sobie drogę.

I faktycznie: spłoszony smolarz złapał swój kij i zeskoczył z grobli. Ale dąć nie przestał.

Róg był krótki, lekko spiralny, zapewne wyciągnięty z przewieszzonego przez plecy worka. Debren nie potrafił skojarzyć go z żadnym znanym zwierzęciem ani nawet biesem, ale nie to

zaskakiwało, a całkowity brak dźwięku. Po nabrzmiałej twarzy Korrisa widać było, że pchnął w instrument wszystko, co miał w płucach - i nic, cisza.

Nie zdążył tego przemyśleć. Bo z tyłu wrzasnął Cobin.

- Aaaa!!! Goreeee!!!

Mgła topniała w oczach, ale było jej dostatecznie dużo, by zdezorientować kogoś leżącego. Chłopak, zamiast zerwać się, biec w błota czy do strumienia, tarzał się, wierzgał nogami i kwiczał jak zarzynany wieprzek.

Debren zawahał się, zatrzymał. Amma pobiegła dalej już sama. I pewnie sama podjęłaby walkę - tyle że nie było z kim. Korriss, nie ryzykując starcia, zjechał na tyłku z grobli, odbiegł parę kroków, przeskoczył nad jakimś wodnym oczkiem. Dopiero tam zaczął napinać kuszę.

- Yyy! - Dziewczyna machnęła ręką, wskazała Debrenowi las. Mieli do drzew kilkadziesiąt kroków, ale powinni zdążyć: kusza nie łuk, nie załaduje się jej szybko.

- Aaaa!!! Luuuudzie!!! Na pooo...!!!

Kubrak Cobina był gruby, płonął tylko kawałek... Sam sobie powinien... Ale przy twarzy mu się pali, tuż przed oczami. Jeśli strach i ból go ogłupią, jeśli nie zacznie myśleć... Płomień rozpełźnie się po ciele, a wtedy będzie za późno. Rozgrzana smoła oblepi skórę, weźre się w nią...

Debren z okrzykiem: „Do wody!” wpadł w mgłę, złapał tarzającego się Cobina, poderwał szarpnięciem, pociągnął w stronę mostu. Amma zaprotestowała przeciągłym: „Yyy!”, grotem sulicy wskazała pochylonego nad kuszą Korrisa. Debren zignorował ostrzeżenie. Podpalił człowieka. Leżącego, nieprzytomnego. Kopać takiego się nie godzi, a cóż dopiero... Nie mógł go teraz tak po prostu zostawić.

Na szczęście do strumienia było blisko, a Cobin, raz przymuszony do biegu, pognął niczym chart. Debren wyhamował, zawrócił. To znaczy - próbował.

Pół momentu zabrakło. Cobin darł się cały czas i niewiele się w jego wrzasku zmieniło, kiedy nagle padł.

- Ja... czekaj... - Przez kolejny moment miotał się to w jedną, to w drugą. Ale Cobin nie wstawał, i potrzeba zmazywania win zwyciężyła. - Uciekaj do lasu, Amma! Dogonię!

Pobiegł w stronę mostu. Na nieszczęście mgła osiadła, rozlana szerzej niż na początku. Rozmazała widok. Przy pierwszym okrążeniu kij-samobij podciął mu nogi, przy drugim trzasnął go w głowę. Debren runął w ciemność.



Omdlenie nie mogło trwać długo. Za mocno bolały stłuczone łokcie, zbyt mocno piekł otarty podbródek. Ale też nie oprzytomniał natychmiast. Po mgle nie został nawet ślad, a Cobin zdążył zaliczyć kąpiel w strumieniu, pozbyć się nadpalonego kubraka i wrócić na groblę.

Przykucnął nieopodal, krzywiąc się i trąc lewą, mocno stłuczoną, już puchnącą dłoń. Poza tym jednak wyglądał dobrze. Ogień przysmażył koszulę, ale nie zwęglił jej. Oparzenia nie powinny być groźne. Debren mógł przestać martwić się o niego i zacząć o siebie. No i o Ammę.

Kłęczała obok i pomagała mu dźwignąć się na kolana. Za sznurkiem przepasującym talię nadal tkwiła króćca, ale resztę broni, z różdżką Debrena włącznie, zagarnęli smolarze. Chyba niedawno, bo wciąż było ich tylko dwóch. Korris zdążył napiąć kuszę i powrócić na groblę, nie rozwiązał jednak problemu

brakującego syna. Po spojrzeniu, jakie posłał za most, Debren zorientował się, że zagadka leszczynowych zarośli, z których nikt choćby nosa nie wytknął, nurtuje także jego.

Czyli - ledwie parę pacierzy leżał nieprzytomny. Tamci uporali się z tym, co najważniejsze, lecz nie ze wszystkim. Zdziwiło go, że smolarz po prostu nie przywołał Coklana okrzykami. Ale szybko przestało dziwić.

- Morda w ceber - warknął Korris półgłosem ocierającym się o szept. - Bo tobie bełt wpakuję.

Nie w Debrena jednak celował. Starczyło mu, że klęczy z kuszą kawałek dalej i w razie czego zdąży ją obrócić. Bo na razie - nie obracał.

Bełt spoglądał na północ, ku błotnistej dolince strumienia. Dolince, która nagle ożyła.

Ze dwa tuziny obłych, pokrytych błotem i wodną rzęsą istot uwijały się między kępami roślinności. Wyglądałyby jak zaopatrzone w masywny dziób, długie na dwa łokcie żółwie, gdyby nie jedna różnica: przerośnięte do karykaturalnych rozmiarów kończyny tylne. Klockowate odnóża żółwia zastąpiła długa i giętka macka, chroniona od zewnątrz kostnymi tarczkami. Debren z niepokojem patrzył, jak najbliższy stwór zarzuca nią do przodu, po czym płynnym ni to skokiem, ni ślizgiem, najpierw po podwiniętej pod brzuch nibynodze, potem szorując dolną skorupą o mokre trawy i pchając ciało zostawianą z tyłu macką, przemieszcza się błyskawicznie o prawie sążen dalej. Tylko po to, by płynnym przechyłem na drugi bok powtórzyć operację z drugą nogą.

Dreszcz przepłynął mu po plecach, kiedy uświadomił sobie, że co najmniej kilka ze stworzeń znajduje się między nimi a lasem, w miejscu, gdzie grobla jest niska i nietrudno na nią wleźć. No i że Korris, choć niby spokojny, więcej uwagi poświęca kręcącym się w

poblizu mutantom, niż jemu i Ammie.

Inna sprawa, że miał tę swoją kuszę, a w odwodzie pilnującego jeńców syna. Cobin przestał trzeć poobijaną dłoń. Pozostał w przysiadzie, ujął sulicę i wymierzył ją w podnoszącego się na klęczki Debrena.

- Kłujnę go, ojciec - poprosił. - W nogę, co?
- Siedź na rzyci - warknął Korris - i rób, co każę.
- Uciekać by nie mógł - kusił Cobin.
- Ale krwawić by mógł. Chcesz je juchą zwabić?

Argument podziałał, Cobin przestał gadać.

- Co się dzieje? - Debren miał dość rozsądku, by pytać cicho. Wstawać też nie próbował. Raczej nie przez przypadek wszyscy klęczeli lub siedzieli w kucki.

- Ano widzisz, coście narobili - obdarzył go ponurym spojrzeniem smolarz. - W róg musiałem zadać, a potem ten grom do reszty je rozsierdził. I teraz zwady szukają.

Faktycznie, żółwijce sprawiały wrażenie podnieconych. Debren nie miał pewności w tej kwestii, ale podejrzewał, że zwykle nie przemieszczają się po łądzie, choćby i podmokłym, aż tak szybko. Gad to gad; jeśli nie poluje, gospodaruje energią nader oszczędnie.

- Nie włączą na groblę - zauważył.

- Bo nie lubią po suchym łązić. Wolą mieć mokro pod brzuchem, dla szybszego ślizgu, i tunele obok. Gdy wróg za silny, nura dają i tyle ich widzisz. No i nie do tego je trolle przyuczały. Brodów miały strzec. Mostu pilnował sam troll. Mógł je na pomoc wezwać, pewnie. W róg dmąć. Ale ja na wasze szczęście zagrałem jeno sygnał do czujności. Wiedzą, że jakiś mędrak chce się przez wodę przekraść, myta nie płacąc, więc go szukają.

- Nic nie słyszałem. - Debren poszukał wzrokiem, ale róg powrócił chyba do worka. - Może... się zatkał?

- To trollowy róg. Ludzkie ucho grania nie usłyszy. A żółwijce tak, choć uszu niby nie mają. - Korris obrzucił go surowym, zimnym spojrzeniem. - Wiem, co robię, chłopcze. Nikt tu ze mną na mych błotach nie wygrał i nie wygra.

O rzut kamieniem od nich jakaś gapowata lub zbyt pewna siebie kaczka, czająca się dotąd w szuwarach, uznała, że jeden z żółwjców podszedł za blisko. Zerwała się do lotu, bijąc skrzydłami przemknęła nad okrytym skorupą grzbietem. Wyglądało to na łatwą i udaną ucieczkę. Debrenowi zaschło w gardle, kiedy mutant przechylił się zniecacka na lewy bok, a z prawego wystrzeliła pionowo w górę noga-macka. Okazała się nie tylko giętka i szybka niczym ciało węża. Mimo płytek, chroniących ją od zewnątrz, rozciągnęła się w sposób niedostępny najzręczniejszym węzom. Debren ocenił, że starczyłoby jej na dosięgnięcie i porządne opasanie gardła wysokiemu mężczyźnie.

Kaczka, smagnięta przez skrzydło, skoziłkowała. Kwacząc rozpaczliwie, trzasnęła o ziemię. Druga macka dopadła łba, szarpnięciem zerwała kręgosłup. Dwa momenty wystarczyły żółwjcowi, by upolować ptaka.

- Pojmuję - zgodził się gładko Debren. Był zdany na łaskę smolarzy, z żółwjcami wokół czy bez, więc omal nie westchnął z ulgą, słysząc ten wstęp. Bo wyglądało na to, że Korris czegoś od niego chce.

- Więc zrobisz, co każę - pouczył go smolarz - a ja was w zamian wypuszczę.

Debren nie zdążył zapewnić, że oczywiście.

- Jak to: „was”? - zaniepokoił się Cobin. - Dziewka ma być dla mnie!

- Ciszej! - syknął Korris. Chłopak umilkł, ale z miną daleką od pokornej. - Potem o babach. Najpierw poważne sprawy. Skarbczyk,

znaczy.

Sakwa Pirra, dawniej Purchawca, leżała parę kroków od nich, w pozostałości po kałuży. Samobij spoczywał nieruchomo na pokrywie z trupim kółkiem. Tym razem nie zanurkował do pochewki.

- Pilnuje? - Debren zerknął wymownie na puchnącą, czerwoną dłoń Cobina. - Po łapie dał?

- Gdyby nie żółwijce - Cobin splunął w stronę mokradeł - sam bym palanta durnego... Bez łaski, żaczku. Kapotę na samobija narzucić... Ale głupieją, gdy juchę czują. Pacnie mnie kijaszek w nos i kłopot będzie. Nam biesy niestraszne - posłał Ammie niedbały uśmiech pogromcy smoków - ale ciebie, śliczna, by mogły...

- Milcz - uciał Korris. - A ty, żaku, go nie słuchaj. Plecie, jak to młody przy dziewczce. - Cobin poczerwieniał, próbował protestować. - Milcz, powiadam. A prawda jest taka, że mikstury mam mało, one zaś wężą za krwią i bitką. Niegłupie są, ale to jednak biesy. Nieobliczalne. Jak przez strumień idę, to czujki wzywają ich wodza i to on sprawdza, kto zacz. Potem podarek bierze i daje stadu znak, że to Korris. I mogę iść. Ale widziałeś: i tak z kuszą w gotowości. Bo odkąd trolla Gurnhira usiekł paladyn, nie ma komu młodych tresować. Dziczeją coraz bardziej. Raz mnie taki młodzik napadł. Dopiero trzecim bełtem sukinsyna ubiłem, bom zwykłe groty miał, a na ich skorupę przeciwbrojowego trzeba. Wódz przypłynął, nim się skrzyknęły i mnie rozszarpały, ale gdyby nie koń, byłoby po mnie. Kogoś musiały ubić, no i na konia padło.

- I na tego od konia - przypomniał Cobin. Chyba z intencją dokuczenia ojcu. - Klienta też ci zżarły. Balwierzem był. Z Bootalyi.

- Mówię - rzucił chłodno Korris - o moim ratowaniu. A on rozkazy oszczał. Z mostu zbiegł, i to na wschód. Zaś tam w lesie trochę błot jest, gdzie część stada żyje. Zew pobratymców usłyszały, wylazły, na drodze głupka dopadły i w bagno powlokły. Nie moja wina. I nie

balwierzowi życie zawdzięczam, a jego koniowi.

Amma, wyraźnie poruszona, obejrzała się na las. Uniosła tabliczkę, zaczęła pisać.

- Koń Pirra? - skrzywił się Debren, rzuciwszy okiem na runy. - Też masz zmartwienia...

- Ano prawda - przyznał smolarz. - Nie o konia się martwicie, jeno by sakwę dla nas odzyskać. Znaczy: tę pałkę jakoś uspokoić. Bo podejść nie idzie.

- I co dalej? - Debren popatrzył mu w oczy. - Weźmiesz sakwę, a nas... - pociągnął palcem po gardle.

- Mówiłem: wolno odejdzicie. - Cobin zaczął otwierać usta. - Albo ty odejdiesz. Bo dziewczka pewnikiem przy srebrze zostanie. Takie już one są, baby. Zmuszać nie będę, ale z syna kawał chłopca, robotny, a teraz jeszcze i bogaty będzie. Drugiego takiego próżno w okolicy szukać.

Amma nie protestowała, wobec czego i najatrakcyjniejszy w okolicy kawaler zrezygnował ze sprzeciwów. Uśmiechnięty błogo, zaczął gapić się na jej podwinięte pod pośladki stopy. Debren dałby głowę, że wyobraża sobie ich ucisk. Gdzieś na swoim osmolonym zadku. Gdy leży na niej, a ona obejmuje go kurczowo nogami i... no, robią to.

Odepchnął tę wizję. Była zbyt bolesna.

- Czemu miałbym ci wierzyć? - zapytał cicho.

- Bo mi skarbczyk otworzysz - wyjaśnił Korris. - Czyli zdradzisz szajkę. A zdrajcy na koniec świata muszą umykać. Nigdy tu nie wrócisz, więc po cóż cię zabijać?

Debren starał się wyglądać na przekonanego jego argumentacją. Omal nie palnął Ammy w ucho, gdy zaczęła skrobać rylcem w glinie.

- Co ona pisze? - zaciekawił się syn smolarza.

- Że... - zawahał się - to brzmi sensownie.

- Tu są chyba dwa słowa - zauważył przytomnie Cobin.

- Owszem: „brzmi” i „sensownie” - palec Debrena kolejno dotknął słów „dla” oraz „pewności”.

Czytał do góry nogami i tym by się próbował wyłgać, gdyby co. Na szczęście Cobin wiele więcej o pisaniu nie wiedział, a Amma nie sprostowała.

- To do roboty - skinął Korris. - Zwiąż go, synek.

- Co?! - Tego Debren nie przewidział. - Jak niby mam czarować ze związanymi rękami?!

- Mocą umysłu - uśmiechnął się szyderczo smolarz. - Z niej przecież bierze się magia. I za to sobie tak słono każecie płacić, inteligenty: za pracę głową.

Wyjął z worka kawałek sznura. Debren, już nie protestując, pozwolił Cobinowi opleść nim swój prawy nadgarstek. Miał cichą nadzieję, że tamten połączy go z lewym z przodu, przed brzuchem, lecz nagle szarpnięcie pozbawiło go złudzeń. Dłonie trafiły nad pośladki.

Korris krył pod nosem chytry uśmiech. Amma, blada jak trup, uniosła nagle tabliczkę.

„Nie patsz jak wracam, prosze, nie patsz. A teras powiec, rze chce im coś powiedzieć.”

- Coś tam naskrobała? - najeżył się smolarz. - Cobin, zabierz jej...

- Chce coś powiedzieć - powstrzymał go Debren. - A inaczej nie umie. - Korris zawahał się, ale nie powtórzył rozkazu. Dziewczyna zaczęła pisać. - Mówi...

Utknął. To, co odczytał, nie chciało mu przejść przez usta, a nawet przez głowę.

- No, co mówi? - zniecierpliwił się Cobin.

Debren wychwycił błagalne spojrzenie Ammy. Nie był pewien, o co właściwie prosi. Ale parę pacierzy wcześniej skoczyła między

niego a kuszę. Był jej coś winien. No i może... może chodziło jej po głowie to samo, co jemu.

- Chce... - głos mu zadrżał - byś z nią w krzaki poszedł. Teraz, nim zacznę sakwę otwierać.

- Szczać chce? - skrzywił się Korris. - Wytrzyma.

- To nie to. Mówi... skoro nas tu samobij zatłuc może, albo żółwijce... że w takim razie ona przed śmiercią chce... no, ten... mężczyzny zakosztować.

Ojciec przyjrzał jej się nieufnie. Syn - z radosnym zaskoczeniem.

- Teraz? - upewnił się. Przełożył sulicę do lewej ręki i wyciągnął prawą do dziewczyny. - No to...

- Jakie teraz? - ofuknął go Korris. - W łeb cię za mocno kopnęła? Toć my... - zawahał się, ale nazwał rzeczy po imieniu - toć napad czynimy!

- Sama chce! - sprzeciwił się Cobin. - Jaki napad?

- O sakwie mówię. I o nim - osadzony w kuszy bełt wskazał Debrena. - Chcesz, by znów jakiś sąsiad nas przy robocie wypatrzył i szeryfowi doniósł?

- Winperter nie doniósł. Jenó groził. Że jak nie zapłacimy... A zresztą nie żyje.

- Mało brakło, by jego Pokerett z wieścią umknęła.

Cobin posłał ojcu wrogie spojrzenie.

- No właśnie, Pokerett... Coklana za nią posłałeś, nie mnie. To on sobie z dziewczką użył, smarkacz. A do chałupy jeno głowę przyniósł, samolub chędożony.

- Coklan lepiej biega.

- Ale z łuku gorzej szyje! - Wspomnienie było bolesne i Cobin niemal zapomniał o Ammie. - Ja bym w nogę pocelował! I żywą przydźwigał! Wszyscy by mieli uciechę! A on co? W plecy strzelił, potem się ranną zabawiał, zamiast wypytać, co i komu jej stary

wygadał, a jak zmarła, to mu się nawet trupa nie chciało zabrać! Zostawił tuż przy drodze świeżo wydudkane zwłoki z raną od strzały! I dwie niedziele się musieliśmy po chaszczach chować! Zimno, deszcz, komary, kiszki marsza grają...

- Ano właśnie - podchwycił Korris. - Kiepsko było, prawda? Więc jeśli nie chcesz znów w puszczy gnić i trząść zadkiem, że się szeryf o wszystkim wywiedziało i już po nas jedzie, rób, co ci ojciec mówi. A ojciec mówi, że trza to szybko dokończyć. - Wskazał gniewnie przeciwny brzeg. - Co będzie, jak ktoś nas tu przyuważy?

- Nic - rzucił przez zęby Cobin. - Bo pierwaj żółwijce zobaczy. I z krzykiem umknie. A jak cudem nie umknie, to go Coklan ustrzeli.

- Nie będziesz jej teraz dudkał - oznajmił jego ojciec. - Nie pora na igraszki. Robota pierwaj.

- Robota pierwaj! - Twarz syna pociemniała. - To samo wtenczas gadałeś! I co? Głowa Pokerett mi się dostała! I jeszcze się ten gówniarz śmiał, bym nie wybrzydzał! Bo wszak na marimalską miłość tyle z dziewczki wystarczy!

- Rzyć mu rzemieniem skroilem, nie pamiętasz?

- Wielki dla mnie pożytek z krwawiącej rzyci Coklana! Chłopofil sadysta jestem? A, i kazirodca w dodatku?! Baby wolę, i to żywe! A na tym zadupiu...

- Zadupie?! - Korris dał sobie spokój i z mówieniem półgłosem, i z klęczeniem. Ignorując ciekawskie spojrzenia najbliższych żółwjców, zerwał się na równe nogi. - Ty gówniarzu niewdzięczny! Gdzie tyle zarobisz?! I to całymi dniami w chałupie na zadku siedząc?! Do grodowego życia ci tęskno?! To proszę, droga wolna! - Omal nie wystrzelił z kuszy, tak zamasyście wskazał nią most. - Idź, zakosztuj tych rozkoszy! Setki dziewczek na ciebie czekają?! Jeno się nie zdziw, jak ci rachunki podsuną! A wiesz ty, głąbie, ile tam życie kosztuje?

- Mam srebro! - Syn też stanął wyprostowany. - Dasz mi moją dolę, pójdę do Plotterby i interes otworzę! Kontrabandystą zostanę! Albo kupcem! A najlepiej to rajfurem! W każdym razie: poważnym człekiem interesu! Będą mnie szanować, radnym obiorą, będę miał wór pieniędzy i jeszcze dziewczki darmo! Na tym się zarabia, a nie na jakowychś staroświeckich mytach! I to jeszcze po trollu odziedziczonych! Nie myślisz nowocześnie, ojciec!

- Ty smarku! - Korris zamachnął się kolbą. - Rodzicowi pyskujesz?!

Debren nie próbował skorzystać z zamieszania. Nawet gdyby zaskoczył i powalił obu - co dalej? Kłótnia przyciągnęła uwagę mutantów. Żaden żółwijec nie laźł wprawdzie na nasyp, ale dziobate łby raz po raz zwracały się pytająco ku okolicom beczki.

Samiec, który wypełził z pobliskiej kałuży, był większy od innych. Jego pobrużdżona skorupa sugerowała podeszły wiek, a rdzawe resztki topora, tkwiące w kostnym pancerzu, podpowiadały, iż zaliczył w swym długim życiu niejedno starcie. Inaczej mówiąc: wyglądał na przywódcę. I zapewne jednym machnięciem łba, czy jak tam się żółwie porozumiewają, mógł posłać całe stado do ataku.

Nie ma szans, by rozprawić się z oboma smolarzami pod jego czujnym i chyba rozumnym spojrzeniem.

- W grodzie - żalił się Cobin - nocą człek nie musi z siekierą w krzaki leżać, gdy go w pęcherzu ciśnie. Nie boi się, że mu coś rzyć odgryzie, kiedy za większą potrzebą przykucnie. Nocniki tam mają. Naszczasz, kupę narobisz, okno otwierasz, chlust do rynsztoka i możesz dalej spać.

- Dla wygody srania rodzinę chcesz porzucić?!

- Dla kultury życia codziennego! O, i kominki w domach mają! Można wszy i pchły prosto w płomień wytrząsać! A u nas? W otwór pieca? Nim pocelujesz, połowa z powrotem na ciebie wróci. I ze

złości mocniej żre.

- Ja ci dam kulturę, smarkaczu! Do roboty się lepiej bierz! Bo sobie gród z wysokości szafotu obejrzysz!

Wzmianka o szafocie przeważała. Cobin spasował.

Nie był jednak sam. Była jeszcze Amma. I Debren, któremu Amma posłała błagalne spojrzenie.

Miał ochotę udać, że nie widzi. Bo pewnie skończy się tym, że Cobin wydudka ją na oczach pozostałych: do lasu go ojciec nie puści, na dole, gdzie zarośli było więcej, wałęsały się żółwijce. W grę wchodziły więc tylko mizerne drzewka i krzaczki porastające skarpy grobli.

Ale... tak na Debrena patrzyła...

- W torbie - powiedział bez zapału - mam księgi magiczne. Muszę w nich poszukać zaklęcia.

Korris go rozczarował: dał znak synowi. Sam pozostał z kuszą w bezpiecznej odległości. Cobin, nie wypuszczając sulicy z prawej ręki, lewą, poobijaną, wyciągał i kładł na ziemi kolejne manuskrypty. To musiało boleć, ale nagrodą była możliwość zadania szybkiego ciosu.

Czyli - obaj dmuchali na zimne. Kiepsko. Jedno, co dobre, że żółwie, znudzone bezowocnymi poszukiwaniami, zaczynały wracać do nor. Już tylko kilka buszowało po szuwarach i wierzbowych kępach.

- Ktoś mi musi obracać strony - oznajmił Debren.

- Sam se obracaj - zaśmiał się Cobin. - Magik jesteś.

- Skoro wam niespieszno... - wzruszył ramionami. Zerknął na Ammę. Zezowała wymownie... no, albo na Cobina, albo na sulicę. Sądząc z jej miny, szło raczej o broń.

- Dziewka będzie obracać - zdecydował Korris. I zakołysał kuszą. - Jeno żadnych sztuczek. Ja cię zastrzelę, a Cobin do ziemi przyszpili.

Weź sulicę, synek, i stań...

Debren nadal nie miał pewności, co Amma planuje robić w krzakach, ale przynajmniej podjął decyzję. Cokolwiek by zrobiła, przynajmniej siebie ma szansę ocalić: mało który młodzik zabije z miejsca kobietę po tym, jak właśnie dostarczyła mu rozkoszy.

- Ona nie może - oznajmił stanowczo. - Czytać umie.

- To chyba lepiej? - Głos Korrisa nie brzmiał pewnie.

- Lepiej?! Gdy dyletant zaczyna zakłęcia w myśli powtarzać?!

Rozum wam odjęło?!

- Oślepnąć może? - Cobin udowodnił, że zna stosowne przesady.

- No właśnie - potwierdził Debren ponuro. Niestety, Korris nie podzielał ich troski.

- To i dobrze - wzruszył ramionami. - Ślepa nie ucieknie. Nie trza jej będzie kulasa przetrącać.

- Dobrze?! - oburzył się Cobin.

- Myśl rozsądnie, synek: nie znasz jej, nie wiesz, co jej we łbie siedzi. Chcesz znów za dziewczką pościgi po lesie urządzać? Jak za Pokerett Winperterówną?

- Kulasa się przetrąci - bąknął Cobin - to i nie...

- Nie ucieknie? Ale jej noga zgnić może. A już na urodzie, taka krzywo zrosnięta, to niechybnie straci.

- Może się prosto zrosnie.

Korris westchnął, zniechęcony głupotą syna.

- To znów kość trza będzie gruchotać. Toć po to właśnie się przetrąca, by źle się zrosła i uciec kulawy nie mógł. Sposób przedni, ale dla zdrowia i życia groźny. A babie urodę ciut niszczy. I w łożu mniej ruchliwą ją czyni. Co innego... odjęcie wzroku.

Cobin, wyraźnie się wahający, popatrzył na mocno bladą dziewczynę.

- Ślepa ma urodziwe - bąknął. - Szkoda by...

- Toć jej wydłubywać nie będziemy!

Debren miał dość. Siedzący w nim tchórz błagał, by się nie mieszać. Im bardziej przerazi Ammę wizja oślepienia i łamanie nóg, tym prędzej Amma wybierze walkę zamiast dudkania. Tchórze wspierał racjonalista, argumentując, że wykorzystaną dziewczynę tamci i tak w końcu zabiją, więc walczyć powinna dla własnego dobra. Więc nie ma to nic wspólnego z ratowaniem jego, Debrena. Dłuższa debata oznaczała też więcej czasu na uzbieranie mocy do czarowania. Powinien zatem milczeć.

Ale wszystko ma swoje granice.

- Mogą wypłynąć - warknął. - A w skrajnym przypadku w oczodołach eksplodować i pół łba rozwalić...

- To najwyżej - Korris miał dość dyskusji. - Nie ta, to inna, Cobin. Jak masz srebro, to i dziewczka się...

- ...wszystkim w pobliżu - dokończył Debren.

Przez chwilę było cicho.

- Łzesz - rzucił niepewnie smolarz.

- Zobaczyć nie zobaczycie - wzruszył ramionami chłopak. - Ale poczujecie. Co tam, wasze oczy, wasz wybór.

Cobin pierwszy podjął decyzję. Złapał dziewczynę za łokieć, przyciągnął.

- Jak, ojciec, chcesz - oznajmił. - Mogę ją dać do przewracania kart. Ale jak ma mi tu oczy spalić albo łeb rozwalić, to sobie najpierw dobrze pochoďożę.

Korris nie zdobył się na protest. Ustawił się między Debrenem a mostem, plecami do strumienia. Znalazł się bliżej sakwy, ale szybko stało się jasne, że nie o to chodziło, a o widok na tamtych dwoje. Ci zaś odeszli niedaleko, za pierwszą większą kępę zieleni. Cobin wbił sulicę grotem w ziemię - koniec drzewca wystawał zza gałęzi - i wziął się do rzeczy.

Debren, niby to czytając, kucnął nad księgami, bokiem do Korrisa i kochanków. Zerkając kątem oka, widział więc, że kochankami jeszcze nie zostali. Żółwijce znikły w norach, przy beczce nie było już ich wodza, więc ośmielony Cobin postanowił zrobić wszystko jak należy. Czyli - pozbyć się ubrań.

Na sulicy zawisła jego koszula, a potem... potem sukienka Ammy.

Niczego więcej na sobie nie miała. Debren wyobraził sobie to, czego Cobin nie musiał sobie wyobrażać - i bezmyślnie wpuścił moc w obszar mózgu odpowiedzialny za magię powietrza. Obszar cierpiący na ostry niedobór energii po mało wyrafinowanym, czysto siłowym przywołaniu mgły. Z uwagi na kuszę Korrisa walkę planował zacząć od zaskakującego, obszarowego gangarina, a to powietrze w czystej postaci. Więc niby głupio nie zrobił. Błąd polegał na złym rozłożeniu zapasów.

Chcąc przerzucać się szybko z czarów opartych na powietrzu do ogniowych, wodnych lub ziemnych, powinien zostawić gotowe do użycia rezerwy. Zamiast tego, zaprzątnięty myślą o tym, co Cobin robi Ammie i, być może, Amma Cobinowi, po prostu przelał ładunek w niewłaściwą stronę. Moc ognia, jako najpotężniejsza i najbardziej żywiołowa, łatwo przechodzi na inne pasma, ale powrót to sprawa czasochłonna. Już na pierwszym roku demonstrowano kursantom klasyczny eksperyment Dzhurra z wirującym kijkiem. Kij, trąc otwór w desce, po wielu, wielu pacierzach zaczynał żarzyć się na końcu. Wykładowca brał wtedy drugi, identyczny kijek i w mgnieniu oka przypalał go dotknięciem rozżarzonej końcówki. Kołowrotki do wzniecania żaru miały napęd wiatrowy, wodny oraz ziemny, niekoniecznie magiczny, lecz demonstracyjnie oparty na podstawowych żywiołach, które wykorzystuje klasyczna magia. Tylko skończone głąby nie zapamiętywały po tej lekcji, że moc ognia jest najbardziej uniwersalną z dostępnych i najszybciej wymienialną

na pozostałe.

Problem w tym, że najszybciej też ulegała rozproszeniu. Doświadczony czarodziej nigdy nie trzymał jej na podorędziu więcej, niż potrzebował, a ci naprawdę dobrzy po prostu zasysali ją z otoczenia dosłownie na chwilę przed przemianą w konkretny czar. Średniakom, do jakich z racji sporego potencjału, ale też młodego wieku i niewielkiego doświadczenia zaliczał się Debren, zalecano staranne planowanie zaklęć.

Wszystko pięknie, póki człowiek nie popadł w kłopoty i nie musiał gwałtownie improwizować. No i nie myślał o babskich cyckach oraz pośladkach, zamiast o przepływach energii między ośrodkami mózgu.

Inna sprawa, że miał czas, mógł odwrócić niefortunny przepływ. Albo, co bardziej racjonalne, zasilić mózgowy ośrodek ognia nadwyżkami z ośrodka wody. Jakoś nie przychodziło mu na myśl żadne użyteczne zaklęcie z tej dziedziny. Czyli nadwyżki energii miał. Tylko cierpliwości brakowało.

Bo ile potrzeba, by dziewczyna straciła cnotę?

Był nowoczesnym, średniowiecznym racjonalistą, więc z definicji nie przywiązywał do kwestii dziewictwa wielkiej wagi. Ale właśnie jako kształcony naukowo czarodziej zdawał sobie sprawę, że to, czy Cobin wpakuje jej się do środka ze swym, pewnie też usmolonym, przyrodzeniem, może mieć nie lada znaczenie.

Bo jeśli to zrobi, trudniej będzie im wejść do rezerwatu, smok łatwiej połapie się w oszustwie, a Amma... Amma może upaść na duchu. Cóż z tego, że nauka obaliła większość przesądów związanych z tym aspektem kobiecości? Że przodująca, przynajmniej za Drewnianą Kurtyną, w świecie demokratycznym, Wszechzwiązkowa Gildia Czarownic Sovrojskich szumnie ogłosiła rezultaty półwiecznych badań i wynikło z nich niezbitie, iż nie ma

najmniejszej korelacji między tym, kiedy, z kim i na jakie sposoby wiedźma sypia, a jej magicznym talentem? Podły los spletał figla siłom postępu, sprawiając miły prezent klerykalnemu ciemnogrodowi. Gdy rok po opublikowaniu wyników przewodnicząca gildii, Wareszczyna, spłonęła podczas próby bicia rekordu szybkości w stratosferycznym locie na miotle, jedynym dobrze zachowanym kawałkiem zasłużonej bohaterki okazał się... fragment jej miednicy i bioder. Który, jak ustalono, przetrwał katastrofę dzięki potężnym, wielowarstwowym zaklęciom, mającym chronić osiemdziesięcioletnią, lecz znakomicie zachowaną błonę dziewiczą czarownicy.

Czyli nauka nauką, a kobiety, nawet te nowoczesne i postępowe, nadal skrycie wierzyły, że owa bezużyteczna odrobina tkanki oraz okoliczności jej rozdarcia mogą zaważyć na całym ich życiu.

Nie umiał przewidzieć, jaką cenę zapłaci Amma za oddanie się Cobinowi - i dlatego trochę go poniosło.

- Amma! - krzyknął. - Nie trzeba!

Po czym padł na kolana i posłał potężną dawkę magii w kałużę, połyskującą między nim a Korrisem. Musiał potężną. Kałuża nie znajdowała się niestety pośrodku, wobec czego odbita od niej wiązka przeniosłaby nad głowę smolarza. Do gangarina dorzucił więc trochę czystej, nawet nie przetworzonej w telekinezę energii, by gładką tafłę możliwie pofalowało i odbicia poszły pod wieloma kątami. By samemu nie dostać po błędniku, rzucił na siebie zaklęcie blokujące. Zmarnotrawił w ten sposób większość użytej mocy, ale chyba się opłaciło.

Widziany kątem oka Korris zatoczył się nagle, dość rozpaczliwie wyrzucił w bok lewe ramię - i oczywiście przestał celować z kuszy. W sumie byłoby całkiem nieźle. Gdyby nie brak gotowej mocy na piorun czy błyskawicę.

Przywaliłby nią smolarzowi, przepaliłby więzy i, mając do dyspozycji dłoń, poradziłby sobie z Cobinem. Jak nie czarami, to przy pomocy zdobytej kuszy.

Niestety, zabrakło czasu. Sam go sobie skradł, powstrzymując dziewczynę przed rozkładaniem nóg.

Kiedy zza krzaka wyleciał pchnięty jej piętami Cobin, Debrenowi starczyło rezerw na mizerną, niemal zimną błyskawicę. Choć celował z koszmarnie niewygodnej pozycji, klęcząc z zadkiem wypiętym ku atakowanemu, wykręcając skrępowane za plecami dłonie i zezując tak, że oko niemal spod powieki mu wypadło - trafił dobrze. Smolarzem zatrzęśło, kusza plunęła bełtem w niebo, przerzedzona czupryna zjeżyła się dookoła głowy niczym aureola. Korris grzmotnął tyłkiem o ziemię i, wyraźnie oszołomiony, gramolił się z niej wyjątkowo ślamazarnie. Ale przytomności, niestety, nie stracił.

Debren zmarnował ze dwa momenty, próbując wybrać między szarżą na niego a gonitwą na pomoc dziewczynie. Bo Amma potrzebowała pomocy.

Zaczęła nieźle: okrzyk Debrena dopadł ją leżącą już wprawdzie na wznak, ale z Cobinem, który nie zdążył jej sobą przygnieść, a tylko pochylał się, rozsypując sznurowanie portek. Odepchnęła go obunóż w momencie, gdy uporał się z sznurkami, dzięki czemu niedoszły kochanek odleciał znad kochanki, a portki pomknęły ku kolanom. Zaplątał się w nich i przewrócił.

Niestety: odlatując, potrącił sulicę. Broń i zawieszona na niej suknia Ammy odleciały wraz z nim aż na środek drogi. A chyba właśnie na zdobyciu sulicy opierał się plan dziewczyny.

Zerwała się szybciej od Cobina. Naga od stóp po ramiona, za to ze szczelnie osłoniętą głową, wyglądała jakoś dziwnie i nierealnie.

Skoczyła i chwyciła... nie, nie broń. Debren jęknął w duchu.

A mogło się udać. Cobin, podobnie jak ona, marnował czas na okrywanie golizny. Zamiast wstać czy łapać za sulicę, siedział, gorączkowo wciągając portki. Nie pojął, z czym ma do czynienia, i choć na jego twarzy malowała się wściekłość, nie czuł się niedoszłą ofiarą mordu. Uznał raczej, że dziewczyna zmieniła zdanie, że wierząc nogami próbuje bronić cnoty. Gdyby wyrznął gołym tyłkiem o coś mniej twardego niż zulijski bruk, w dodatku na oczach ojca i Debrena, może nawet rozbawiłaby go taka zadziorność. Ale ból i wstyd wywołały odruch odwetu. Złapał sulicę za tulejkę grotu, by zdzielić dziewczynę drzewcem.

Chciał ukarać niepokorną babę, a nie zatrzymać wroga.

- Zabij! - doleciał od mostu bardziej trwożliwy, niż wrogi krzyk Korrisa. - Czarują! Zabij ich! Oboje!

Cobin usłuchał. Może zadziałał ojcowy autorytet, może ból, a może po prostu w trakcie szarpaniny zajrzał dziewczynie w twarz i przejrzał na oczy. W każdym razie dał sobie spokój z okładaniem drzewcem odpornej baby i złapał sulicę jak do walki, grotem w przód.

Na szczęście Amma nie zgłupiała do reszty. Tuląc wprawdzie do piersi odzyskaną suknię, doskoczyła jednak, trzasnęła go piąstką w nos i dopiero wtedy czmychnęła w krzaki. W efekcie Cobin odleciał ze dwa kroki w lewo, ona umknęła w prawo i Debren mógł zaryzykować wąskiego gangarina znad pośladek.

- Precz z grobli, Amma! - wrzasnął. Ciasna wiązka ciasną wiązka, ale wolał nie mieć jej w pobliżu linii celowania.

Gangarin opóźnił katastrofę. Cobin zatoczył się.

- Zabij ją, synek! Nie żałuj! - Korris beknął donośnie, powstrzymując wymioty. - Lepszą ci...!

Kolejny atak mdłości okazał się silniejszy: obiad chlusnął mu z gardła. Debren w rozpaczliwym pośpiechu zmieniał magię

powietrza na magię ognia, wyczarowując piorun kulisty. Cobin zdążył rozpoznać zagrożenie i padł w stosownym momencie, schodząc pociskowi z drogi.

Rozpłaszczył się na ziemi - dobre choć to. Nim zaczął wstawać, Amma uporowała się z suknią. Debrena jednak nie usłuchała. Zamiast umykać z grobli, złapała za porzucony wraz z pasem myśliwski nóż Cobina.

- Uciekaj! - zaprotestował Debren. - Na łąkę i w las!

Chciał dobrze, a wyszło tak jak zwykle, gdy brał się do walki. Dziewczyna zawahała się, tracąc moment zaskoczenia, Cobin zdążył dźwignąć się na kolana, a Korris...

Korris wybiegł myślą naprzód, oczyma wyobraźni ujrzał gnających przez bagienko uciekinierów - i zrobił to, co pewnie zwykł robić w podobnych okolicznościach.

Na nieszczęście Debren przegapił ruch, a dźwięki trollowego rogu nie docierały do ludzkich uszu. Nie zareagował więc, gdy jeszcze mógł. Gorączkowo gromadził moc i próbował wyliczyć, czy starczy mu jej na piorun, jeśli wcześniej przepali więzy. Rozpraszała go Amma, wymachująca nożem, i Cobin, którego migające w słońcu ostrze odpędzało wprawdzie od upuszczonej sulicy, ale który ani nie umknął, ani nie dał się zastraszyć.

- Uciekaj!

Dopiero wtedy, krzycząc, obejrzał się i dostrzegł róg w dłoni Korrisa. Za późno, bo smolarz właśnie róg odrzucał, z klęczek przechodząc do siadu i próbując trafić strzemiączkiem kuszy w stopę. Debren, mocno poniewczasie, ruszył biegiem w jego kierunku.

- Amma, ucie...!

Krzyk zastygł mu w gardle. Cobin zdołał zmylić dziewczynę, przedrzeć się przez barierę nie dość szybko migającej stali i

wytrącić Ammie nóż. Broń, błyskając szyderczo odbitym promieniem słońca, odlatywała w krzaki.

Debren, ryzykując omdleniem lub chwilową ślepotą, wygarnął z ośrodka ognia, co się dało i, niemal nie asekurując rąk ochronną mgiełką, wyczarował płomień między nadgarstkami. Zapieкло w przedramionach, pociemniało - ale więzy puściły i to zanim zaczęło go parzyć.

Pobiegł. Choć nie mógł zdążyć.

Widział, jak Cobin łapie ją za gardło. Osilek o posturze dębu - wiotką niczym trzcina dziewczynę. Jak bierze zamach pięścią, do ciosu, który byłby pierwszym i ostatnim... i odskakuje niczym oparzony. Debren zdołał nawet rozpoznać sztuczkę, jakiej Amma użyła. Tylko szczegóły utonęły w spływającym na oczy półmroku. Litościwie.

Bo zrobiła to. Po raz pierwszy, odkąd się poznali.

Zerwała z twarzy chustę.

Nie uderzyła Cobina, nie kopnęła sprytnie w przyrodzenie. Potknął się w panicznej ucieczce tyłem, sam, powalony nie pięścią czy kolaniem, a własnym strachem. Albo odrazą. Debren nie widział jego twarzy, okazało się jednak, że samej ludzkiej sylwetki czasem wystarczy, by wyrazić aż nadto dobitnie przerażenie i grozę.

NIE PATRZ!

- Do lasu! - krzyknął. - Nie biegnij za mną! Uciekaj! Ja je odciągnę!

Korris dopiął swego: zwabione dęciem w róg żółwijce wyłaziły z nor. Na północny wschód od niego, tam, którądy powinni pobiec, by jak najszybciej zejść strzelcowi z pola widzenia, doliczył się czterech. Za dużo, by ryzykować przedzieranie się przez chaszczę. No i dalej, jeśli wierzyć, też czekały na nich mutanty. Te zamieszkujące leśne mokradła. Zabójcy bootalijskiego balwierza.

Czyli nie tędy droga.

Tak naprawdę w ogóle nie było dla nich drogi - dopóki polowało całe stado. Nie zdążą wymanewrować tych z przodu, nim dopadną ich te z tyłu.

Była tylko jedna, wątła szansa: że stado okaże się stadem właśnie i zareaguje jak typowa gromada, która nagle straciła przywódcę.

- W las! - wrzasnął i pobiegł, nie oglądając się za siebie. Nie mógł sprawdzić, czy usłuchała. Nie na tak podziurawionym terenie, gdzie każdy wolny od kałuż kawałek mógł zastopować biegacza gęstą kępą łoży albo podziemnym tunelem, którego strop pęka znieścacka pod nogami.

A pobiec musiał. Uciulał trochę mocy ognia, lecz za mało na dalekosiężny piorun kulisty. Czyli błyskawica. Jedna, silna, z bliska - bo nie zdoła powtórzyć, jeśli spudłuje.

Sadził więc przez to podmokłe kretowisko, wypatrując jednym okiem pułapek, a drugim - skorupy ze sterczącym ostrzem topora. Na szczęście wiedział, gdzie patrzeć. Gady to nie ludzie, ale pewnie ich przywódcy, tak jak starzy mężczyźni władający ludźmi, zbyt cenią swą powagę, by miotać się bez powodu z miejsca w miejsce. Czyli żółwijec wynurzy się spod ziemi i wody z grubsza tam, gdzie ostatnio: obok beczki. I dobrze, bo właśnie skokiem na beczkę zamierzał Debren zakończyć swą straceńczą szarżę. Z góry łatwiej budzić respekt lub się bronić.

Trudno powiedzieć, na ile dobry był ten plan. I co go zniweczyło. To znaczy - niby łatwo. Debrena zaskoczył, wybił z rytmu i przeraził ryk, przetaczający się znieścacka nad doliną strumienia. Ale czy ryczał Korris, czy ktoś albo coś jeszcze - tego nie zdążył ustalić.

Pośliznął się i padł jak długi. Prosto w jedną z kałuż, nad którymi dotąd z powodzeniem przeskakiwał. I z której, jak na złość, wyrżał okrągły łeb żółwijca. Trzasnęli się czołami, aż zadudniło.

- Coklaaaan! - Wycie smolarza złało się w jedno z odgłosem zderzających się głów. - Moja rzyyyyyyć!

Debren nie chciał się oglądać. Szarpnął twarzą do tyłu, by uniknąć wydziobania oka. I przez moment go widział: pochyloną nad kuszą brzuchatą sylwetkę z drzewcem strzały sterczącej skośnie z prawego pośladka. Zaraz potem mutant trzasnął go w ciemność, opasał mu szyję macką i zaczął wciągać do bajorka.

Debrena ocalił... Korris. Chyba do spółki z młodszym synem, bo gdyby nie strzała w zadku, smolarz raczej nie postąpiłby tak głupio i nie strzelał z kuszy do kogoś, kogo właśnie skutecznie zabija sojusznik.

Poniosło go na szczęście. Debren nie słyszał nadlatującego bełtu, zalane uszy ogłuchły też na trzask dziurawionej skorupy, ale adrenalina aż w nim buzowała, więc gdy tylko uścisk macki osłabł, pozwalając mu wyrwać głowę na powierzchnię, natychmiast zorientował się w sytuacji.

Żółwi mutant, krwawiąc i wydając rozpaczliwy pisk, szedł pod wodę. Inne żółwijce gnały mu na ratunek. A z tyłu, na ratunek Debrenowi, nadbiegała Amma.

Nie było czasu na wymyślanie jej od kretynek i niewdzięcznic, które podeptały ofiarę z jego życia. Od lasu sunęły za nią dwa mutanty, trzeci przedzierał się ku nim od strony strumienia, na szczęście spowalniany wierzbowymi chaszczami. Debren zerwał się i pobiegł do beczki.

Jak na ironię, ten, na którego polował, wybrał sobie dokładnie to samo miejsce - grzbiet beczki. W zasadzie można to było przewidzieć: dookoła było płasko i przywódca, chcący zorientować się w sytuacji, właśnie z jedyne go dostępnego podwyższenia powinien dowodzić polowaniem. Pewnie dlatego to przy beczce żółwijec z toporem w skorupie pokazał się po raz pierwszy.

Debren wypatrzył go z odległości ledwie paru kroków. Przewodnik, o dziwo, nie zwracał uwagi na nadbiegających ludzi: jakby zaniepokojony, spoglądał gdzieś w prawo, za most. Na Coklana, który zbyt późno włączył się do walki, a jak już się włączył, to wielce niefortunnie, raniąc strzałą włanego ojca? Nie było czasu sprawdzać, bo dwa żółwijce pełniące rolę straży przybocznej wodza skoczyły na intruzów, rozdziawiając dzioby i wydając gardłowe ni to gwizdy, ni syki. Debren kopnął bliższego w podgardle, odbił się od jego grzbietu i wypuścił z dłoni błyskawicę.

Trafił dobrze i mocno: łbem siedzącego na beczce biesa szarpnęło, zarzuciło aż na poszczerbione resztki topora. Zaskwierczało palone mięso, puściły zwieracze, mlasnęło z opróżnianych kiszek.

- Yyyy! - ostrzegła Amma. I z gorączkowym pośpiechem zakręciła kołowym zamkiem króciicy. Biegając, rozsypała sakiewkę z amunicją, sypnęła do lufy jednosiarkodwuwęglodrewnianem saletry, wrzuciła kulę i teraz próbowała odpalić ładunek, kręcąc kółkiem ciernym odwrotnie niż przy napinaniu.

Bies, przed którym ostrzegała Debrena, obrócił się i chapnął ją za rękę. A dokładniej: za przedłużenie ręki, czyli lufę króciicy.

Poroniony wynalazek gnomów, jak można było oczekiwać, znów nie wypalił. Na szczęście dziewczyna nie miała czasu ładować jak należy i przybijać stemplem. Wszystko, co wsypała w lufę, wysypało się teraz do gardła żółwijca. Mutant zakrztusił się, wytrzeszczył guzikowate ślepie, szarpnął łbem. Wykasłał kulę i palące przełyk paskudztwo, czym prędzej zanurkował w głąb skorupy, wciągając pod osłonę pancerza szyję z głową, przednie łapy i większą część macek. Ich końcówki, ciasno upchnięte w szczelinę między górną a dolną skorupą, skurczyły się pod osłoną płytek kostnych, więc Amma ewidentnie marnowała czas i siły, próbując najpierw dokopać

bestii bosą nogą, a potem zdzielić ją kolbą w coś bardziej miękkiego.

Żółwivec w jednej chwili zmienił się w niedostępną twierdzę.

- Zostaw! - Debren to rozglądał się, to rozsyłał dookoła oszczędne gangariny. Gady, które dostrzegł w pobliżu, nie atakowały, wypatrywały czegoś. Nie na wiele jednak się ta zwłoka przydała. Choć trafiał, ofiary nie bardzo reagowały. Co prawda wysoko wysuniętymi łbami zaczynało kolebać, a pod jednym z biesów rozjechały się macki, lecz na tym kończyły się sukcesy. Żadnych wymiotów. Zaklęcie najwyraźniej nie działało mocno na istoty tak odmienne od ludzi.

Ogień i błyskawice by podziały - ale tym zakresem magii na razie nie dysponował. Sulicę Amma straciła, kuszy on nie zdołał zdobyć. Czyli... gołe ręce. Przeciw skorupom, na które, jeśli wierzyć Korrisowi, nawet zwykły, nieprzeciwbrojowy grot, bywał za słaby.

A Korris dalej wrzeszczał na grobli; trudno ocenić - bardziej z bólu czy ze strachu. Leżał na boku, ze strzałą sterczącą w górę. Nie próbował jej wyciągać. To mogło oznaczać głęboką, groźną ranę. Może śmiertelną. Może dlatego młodszy syn nie biegł z pomocą, tylko tkwił gdzieś na drugim brzegu, porażony swą zbrodnią.

Nieważne. Oni też za chwilę umrą, opleceni mackami i wciągnięci pod wodę. O ile czegoś nie wymyśli.

No więc wymyślił. Twierdza. Nie byli żółwivicami, nie nosili skorup na grzbiecie, ale...

- Do beczki! - Złapał dziewczynę, pchnął pod zwisający nad mroczną dziurą koniec żółwiego ogona. - Właż!

Pierwsze mutanty sunęły już w ich stronę. Te potraktowane gangarinami, więc miał trochę czasu, bo jednak jaki taki efekt osiągnął. Stwory, bardziej zdziwione nagłym rozchwianiem świata niż sparaliżowane utratą równowagi, pogwizdywały jedne do

drugich, potrząsały głowami, próbowały zrozumieć niezrozumiałe. Śmierć przywódcy też trochę je spowolniła. Ale nadciągały ku beczce.

Obejrzał się, wymienił spojrzeniem z Cobinem, patrzącym za nimi z grobli. Chłopak stał nad swą koszulą, zrzuconą do dudkania, i dziwnie tę koszulę przypominał, usmolony z wierzchu, a pod spodem blady jak lniane płótno.

Chyba nawet nie słyszał nawoływań ojca.

Machrusie, ależ go wzięło... Od samego widoku Ammy.

Debren kopniakiem odtrącił żółwijca smarkacza, który, zamiast siedzieć w norze i czekać, aż dorośli uporają się z dwunożnymi, wylazł na łąkę i sam próbował gryźć dwunożnego w łydkę.

Żółwik odleciał z wrzaskiem, a Debren padł na kolana i zaczął wyszarpywać z ziemi tkwiący na sztorc dekiel beczki. Mając więcej nadziei niż pewności, że jest co wyszarpywać i że nie traci czasu dla marnego odłamka niegdysiejszej pokrywy.

Na szczęście wystająca z błota ćwiartka zbitego z desek kręgu stawiała zbyt wielki opór jak na bezużyteczne resztki. Szarpiąc nią, upewnił się też, że to w ziemi nie przegniło i nie da się rozwalić jednym ciosem żółwiego dzioba. Byłe tylko wyrwać draństwo z objąć bagna...

Usłyszał coś. Nie miał pewności, co. Tak naprawdę uszy nie odnotowały dźwięku; impuls ocierał się raczej o pasma używane przez telepatów lub wytwórców rogów dla trolli i żółwjców. Bo żółwijce, ma się rozumieć, też coś wyczuły.

Gdyby nie ich konsternacja, wywołana bezgłośnym sygnałem, nie zdążyłby wyrwać dekła. Zdobycz okazała się cenniejsza, niż przypuszczał, zaopatrzona w uchwyt, trochę jak tarcza, ale właśnie z winy uchwytu, przywalonego błotem, tak ciężko było ją oswobodzić. Żadną miarą by się z tym nie uporał, gdyby mutanty od

razu ruszyły do ataku.

Chwila zwłoki pozwoliła mu skoczyć za Ammą, wgramolić się tyłem do na pół zatopionej beczki i zastawić otwór dekiem. Miał nawet czas, by klęknąć możliwie wygodnie i przetrzeć rękawem zabłocony uchwyt.

Pociemniało. Nie całkiem - choć nie wiedział, czy komentarz: „Na szczęście” byłby stosowny. U góry brakowało beczce kawałka jednej z klepek.

- Nie bój się - powiedział Debren. Po czym dorzucił uczciwie: - Na razie.

Już pierwsze grzotnięcie o dekiel uzasadniło tę końcówkę. Żółwijce to nie dzięcioły, ale za to łby miały cięższe i od początku stało się jasne, że rozbicie trzymanej przez Debrena pokrywy albo i całej beczki to tylko kwestia czasu.

Amma, z winy ciasnoty wbita twarzą w jego plecy, pokiwała głową. I zaczęła napinać sprężynę zamka. Sakiewkę z prochem i kulami upchnęła między ich ciała, możliwie daleko od chlupiącej w dole wody.

Dobry znak. Oszczędzała ładunki na kolejne strzały, czyli nie upadła na duchu. A tego się bał najbardziej: jej ataku paniki. Beczka była nietypowo duża, ale nie aż tak, by zapewnić swobodę dwojgu ludzi. Każdy nerwowy ruch Ammy mógł wypchnąć Debrena poza granicę, której przekraczać nie należało. Żółwijce skazane były na rozbijanie dekla, bo ze swojej strony nie miały go za co chwycić. Gdyby jednak Debren zachwiał się i choć na chwilę pozwolił pokrywie wysunąć się z zagłębienia przy krawędzi beczki, doszłoby do katastrofy. Każda wepchnięta w szczelinę łapa czy macka otworzyłaby dostęp dla kolejnych i w pół pacierza oblegające drewnianą fortecę stwory wyrwałyby dekiel z rąk Debrena, a oboje zbiegów z wilgotnej czeluści beczki.

Zrozumiał to szybko, bo któryś sprytniejszy niemal od razu wypatrzył nadłamaną klepkę i próbował wpychać pazury pod dekiel. To na niego zużył Debren pierwszy iskrowy ładunek, jaki uciął. Czar nie wyrządził biesowi wielkiej krzywdy, ale bolesny pisk dowodził, że nauczka poskutkowała. Przez jakiś czas żaden inny mutant nie próbował brać przykładu ze współplemieńca.

Kilka wzięło za to przykład z trójki bijącej dziobami w wieko. Już po chwili dzioby zadudniły o dębinę w paru innych miejscach.

- Nie bój się - wymamrotał Debren. Miał jednak dość rozsądku i przyzwoitości, by darować sobie tłumaczenia, dlaczegóż to niby Amma nie powinna się bać.

Bo kiepsko z nimi było. Jeden z żółwjców znów wypatrzył lukę w liniach obrony, wlaź na beczkę i zaczął walić w obrzeża wpuszczającego światło wyłomu. Inny rył pod beczką, próbując sprawdzić, czy konstrukcja nie przegniła od dołu.

W efekcie Debren nie zdobył się na protest, kiedy dziewczyna dokończyła napinanie zamka, uniosła króciwą i przyłożyła lufę do poszerzanej dziobem szczeliny.

Potem żałował. Rąbnęło, aż mu zęby zadzwoniły. A dymu było tuzin razy tyle, co przy poprzednich odpaleniach.

Dżuma i syfilis! Powinien pomyśleć, że ciasna przestrzeń zatrzyma na całe pacierze chmurę, którą normalnie w parę momentów roznosił wiatr. Rozkaszleli się oboje tak, że żadne nie zauważyło, czy kula wyrządziła szkody. Co prawda żółwijec dał spokój szczelinie, ale równie dobrze mógł być martwy, co tylko ciężko przestraszony.

- Nie strzelaj - wycharczał, kiedy minął pierwszy atak kaszlu.

Pluł sobie w brodę, że nie przetestował mocy tej cudacznej broni. Jeden strzał przez płot czy gałąź, a wiedziałyby, na ile klepki beczki spowalniają kulę. Co prawda skorupy żółwijca i tak by nie

przestrzelili, skoro myśliwski bełt okazywał się za słaby, ale atakujące ich bestie w połowie składały się z odsłoniętych szyj, łbów i kończyn. A tym już pocisk z króciicy mógł zaszkodzić.

Tyle że jemu i Ammie, tu, w beczce, każdy wystrzał zaszkodzi na pewno. Nie było sensu truć się dymem, gdyby tam, po drugiej stronie przestrzeliwanych klepek, mutanty obrywały co najwyżej bolesne klapsy.

- Nie strzelaj - powtórzył. - Ale załaduj.

Krócica kusiła. Zastanawiał się nad jakimś zaklęciem, pozwalającym szybko zneutralizować dym. Choć jeszcze lepiej byłoby na chwilę odpędzić potwory od dekła. Mógłby uchylić tej, pozał się Boże, okiennicy, palnąć z króciicy i szybko zamknąć otwór. Parę takich manewrów - a zabije kilka bestii i może odstraszy resztę.

Tyle że żaden stosowny czar nie przychodził mu na myśl. A Amma nie ładowała broni dostatecznie szybko. Kręciła mu się za plecami, mamrotała, deptała po nogach - nie słyszał jednak zgrzytu zamka. Za ciasno?

Potem nagle zaczęła... drapać go po grzbiecie? Pacierz trwało, nim pojął, w czym rzecz. Że palec kreślący zygzak między łopatkami, a potem dźgający go nad pośladkami, to zastępczy rylec, używający jego pleców jako tabliczki.

- Pytajnik? - upewnił się. - Runa zapytania?

- Aha! - podchwyciła radośnie.

- Coś mi chcesz powiedzieć?

- Aha!

W łomot dziobów, obrabiających beczkę, wdarł się ostrzejszy dźwięk. Debren tylko lekko drgnął, choć grot rozorał klepkę na przestrzeni paru palców i, przebiwszy się, znieruchomiał ledwie pół stopy od jego twarzy.

Bełt, pewnie z kuszy Korrisa. Niby czemu nie?

Był za bardzo przestraszony, by bać się mocniej. Ale też zaintrygowany. Amma próbowała mu powiedzieć coś ważnego. Bo choć nie przegapiła pocisku, skwitowała jego przylot jednym wzdygnięciem - i już pisała dalej.

S-Ł-Y-S-Z-E

Runa po runie, stawiane szybko, ale po jednej dużej, przez cały dostępny obszar pleców Debrena. Bała się pewnie, że kreślonych w całości słów może nie zrozumieć.

- Co słyszysz?

G-Ł-O-S C-O-Ś G-A-D-A

Tak źle jeszcze z nimi nie było, nawet gdy uciekali po dachach, więc może zignorowałyby jej słowa, zwałił na karb strachu. Dziewica d'Asko też ponoć zaczęła słyszeć głosy, ukryta za piecem przed anwaskimi żołdakami, gwałcącymi i mordującymi w jej wsi. Ale tu nie sam strach zawinił. Podstawowe pasma używane w telepatii są bliskie tym, na których bazuje ciskanie błyskawic. Jedno i drugie to magia ognia, konkretnie: poddomena elektryczności. Zbierając siły do czarów, Debren sam wyczuł coś dziwnego. Głosów nie usłyszał, ale jakaś anomalia zakłócała widmo.

- Czyj głos? Rozumiesz, co mówi?

? A-N-I-O-Ł ?

Miała dość rozsądku, by wziąć między dwa pytajniki tego nieszczęsnego anioła. On wzięłyby między cztery - ale anioła by nie skreślał. A dokładniej: czegoś latającego.

Bo kiedy użył pasywnego skanowania, wychwycił falę nośną tego, co chyba miała na myśli. I zaskakująco dużo tej fali dobiegało jakby... z góry?

To oczywiście nic nie musiało znaczyć. Już dawno wykazano falowość czarnej magii. Falowość oznacza odbicia i załamania, a

materia, zwłaszcza woda, potrafi robić z falą zadziwiające rzeczy. Nie tylko skutecznie zatrzymać czar, co wykorzystywano w pancerzach wodnych. Podręczniki opisywały przypadek szamana, który, walcząc we mgle, posłał we wroga bliżej nie ustalone zaklęcie i po chwili oberwał nim w plecy, choć nadal stał jak przedtem. Co prawda był to jedyny tak drastyczny incydent odnotowany przez poważne kroniki, ale wpływy różnych przeszkód na rozchodzenie się czarów badano od wieków i już przed wiekami uczeni magowie ustalili, iż wpływy istnieją oraz są poważne. Nasiąknięta wilgocią beczka, telepatia stosowana w terenie podmokłym... To mogło dać efekt głosów dobiegających pozornie z góry.

Nie zawracałyby sobie głowy kierunkiem - gdyby nie te wszystkie gargulce, ptaszyska, anioły, elfosokoły oraz pegazy, pojawiające się co rusz, odkąd spotkał Ammę.

M-A-M-Y S-I-E-D-Z-I-E-Ć W B-E-C-Z-C-E

- Nie ma to jak dobra rada - mruknął.

N-I-E W-Y-C-H-Y-L-A-Ć N-A-W-E-T N-O-S-A

- Ani myślę - zapewnił. - Jak wybiją większą dziurę, pošlę im parę zaklęć. A ty prochu nie zamocz. Może się przyda.

Miał nadzieję, że zdąży zgromadzić moc. I że kiedy już pierwsze płaty dębiny puszczą, inne nadal pozostaną w kupie. Dziurawa beczka z paroma niedużymi otworami na różne strony umożliwiłaby mu rzucanie zaklęć, a Ammie strzelanie - spoza zasięgu dziobów i pazurów.

W tym widział swoją szansę: w przeciągającym się oblężeniu. Niestety, wybrali za słabą twierdzę.

Dekiel wytrzymał, ale po drugiej stronie trzasnęła nagle złowrogo wyłamywana deska.

- Yyyyy!

Krzyk zlał się w jedno z hukiem. Debren na parę momentów ogłuchł i na znacznie dłużej oślepl, głównie od dymu. Przerazona Amma wpakowała mu się na plecy, ale na szczęście szybko zorientowała się, że łydkę oplata jej tylko jedna macka. Trup ugodzonego kulą żółwijca zablokował dostęp do wyrwy, ofiary gangarinów, zamiast umknąć i przepuścić świeże siły, popiskiwały żałośnie tam, gdzie dopadł je czar. Wytworzył się zator i tylko jeden bies zdołał wcisnąć mackę do beczki.

Amma trzasnęła ją rękojęścią. Pomogło. Mutant zagulgotał na poły gniewnie, na poły boleśnie i zabrał mackę z beczki.

Następnego, próbującego pchać do środka łeb, Debren zdzielił świecilotką. Żółwijca wymiotło, a jego skargi chyba zrobiły na innych duże wrażenie, bo atak na tę stronę beczki ustał.

- Nabij - wydyszał Debren. Dopiero po wszystkim zdał sobie sprawę, że sporą część potyczki spędził z nosem w wodzie i mule, na wstrzymanym oddechu. - Zaraz... coś wyczaruję. Mam pomysł. Może podziała.

Zakłęcie było czasochłonne, nie to jednak stanowiło problem. Jedne żółwijce odciągały rannych i zabitych, inne waliły w beczkę - ale do środka żaden nie pakował głowy czy kończyn. Jak oblegający twierdzę żołnierze, którzy sparzyli się na atakowaniu pierwszego, zbyt ciasnego wyłomu, biesy przemyślały porażkę i uznały, że lepiej poczekać na wybicie paru większych dziur. Debren miał zatem czas na powtórzenie w myślach skomplikowanej formuły, upewnienie się, że wszystko dobrze pamięta, a na koniec - wygenerowanie fantomu.

Nie widział go, niestety: widmo miało pojawić się dokładnie nad beczką. Po odgłosach poznał jednak, że czar mu wyszedł. Nagle ucichło; tuzin dziobów i pazurzastych łap przestał walić i drapać o beczkę. Coś mocno osobliwego przyciągnęło uwagę napastników.

Sam też zastygł w bezruchu. Trochę zły, że się pospieszył i nie

odpalił zakłęcia, mając w ręku nabitą króciwą. Gdyby nie wyszło, mógłby przynajmniej wykorzystać zaskoczenie biesów, uchylić dekła i strzelić.

Ale może nie trzeba będzie strzelać?

Może się przerażą i umkną?

Czekał. Wstyd przyznać: na odgłosy... no, może nie panicznej ucieczki. Ale jednak odwrotu. Żółwijce były rozumne, a istotą rozumną niepokoi zazwyczaj widok czegoś nadnaturalnego. I były potomkami żółwi, pewnie takich jak te małe błotne, które widywał na łąkach nad Lejczem. A tamte chyba się bały... Atawizmy to potężna siła, więc może...

I faktycznie: szelesty, mlaskanie błota i inne odgłosy towarzyszące przemieszczaniu się wielkich gadów jakby oddalały się od beczki.

- Yyy? - upomniała się Amma. Skończyła ładować broń i zaniepokoił ją bezruch Debrena.

- Coś... wyczarowałem - Wolałby to przemilczeć, ale musiał ją uprzedzić. Na wypadek, gdyby przyszło im zrywać się i biec. Bo jeśli biesy najpierw czmychną, a potem zaczną wracać, właśnie ucieczka będzie najlepszym rozwiązaniem. - Coś... no, latającego. Powinno ich spłoszyć.

Ujęła jego dłoń i palcem, runa po runie, napisała:

„S-M-O-K-A?”

Teraz to on był zdziwiony.

- Co? Dlaczego...?

Nie dokończył. Coś stuknęło o wierzch beczki. Twardo i ciężko, jakby ktoś na nią zeskoczył z wysoka. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że szelest rozgarnianych skorupami traw, chrzęst błota i plusk wody pod mackami jak gdyby cichły. Czyli że żółwijce albo zamierają jeden po drugim w bezruchu, przyglądając się fantomowi

- albo odchodzą.

Choć określenie „cofają się” było właściwsze. Bo słyszał je nadal. Ciche, gniewne gwizdy, odgłosy przemieszczania się. Z lewej w prawo, z prawej w lewo. Ku beczce nie. Ale też nie od beczki, w głąb mokradeł.

To brzmiało, jakby krążyły dookoła w bezpiecznej odległości. Dokładnie tak, jak powinni krążyć drapieżcy, obserwujący ofiarę i szukający do niej lepszego dostępu, ale nie mający odwagi ruszyć wprost i zaatakować.

Dokładnie tak, jakby jego iluzja... zadziałała?

Przez chwilę na serio zastanawiał się, czy odgłosy lejącej się na beczkę wody to nie jakiś uboczny efekt zaklęcia. Do tego stopnia na serio, że serce podeszło mu do gardła. Bo jeśli się łało... i to w takiej ilości...

Obiektywna iluzja, utrzymująca się sama, trójwymiarowa i interaktywna - a takiej użył - wymaga pewnego wkładu materii. I, naturalnie, zwykle jest to woda. Gdy coś nie wyjdzie, ta woda się skrapla. Czyli...

- Daj króciwę - wyciągnął rękę. - Chyba... nie wyszło. Zaraz wrócę. Przynajmniej ustrzelę jednego, nim...

I wtedy to do niego doleciało. Z góry, równocześnie. Parę ciepłych kropeł, które przeciekły przez szpary rozeschniętej beczki, i głos, który ani odrobiny ciepła w sobie nie miał.

- Siedź na rzyci, Debren. I ani się waż strzelać.



Wyszli dopiero po paru pacierzach. Bardzo długich pacierzach.

Mokradła i grobla opustoszały, nigdzie nie było widać ani żółwjców, ani smolarzy. W ogóle świat wokół jakby przysnął - lub

zamarł trwożliwie - i tylko owady brzęczały monotonnie nad nieruchomymi bajorami. Na to pierwsze zwrócił Debren uwagę po wygramoleniu się z beczki: na całkowity bezruch i spokój.

Wciąż nie do końca pewny, że już może, ostrożnie odłożył kurczowo ściskany dekiel. Osłonę, której zawdzięczał więcej niż jakikolwiek rycerz jakiegokolwiek tarczy. Rycerzy w boju chronił też miecz, pancerz, uniki. Ich dwoje - tylko to zbite z desek koło. Żegnał się z dekiem prawie jak wojownik z poległym w bitwie rumakiem, niemal ze wstydem, że porzuca go tu, gdzie tyle razem przeszli.

Ale dzięki temu wypatrzył pod błotem resztki znaku, wypalonego przy uchwycie. Akronim z sovrojskich run, zwanych bukwami, i ryba z kopczykiem pod zadartym ogonem. Jeśli ryba nie pochodziła z gór i nie to symbolizował trójkąt - a raczej nie - to chyba ocalił ich sławny jesiotr z rzeki Rałgi. A konkretnie: rałżański kawior. Właśnie w takich jak ta beczkach, większych od typowych i wyposażonych w pokrywy z uchwytem, rozsyłano go po świecie. Beczki musiały być większe, by pomieścić lód, którym obkładano cenny ładunek, a uchwyty w deklach ułatwiały ich otwieranie, uzupełnianie zapasów lodu i sprawdzanie, czy jakiś furman albo załogant barki lub żaglowca nie podebrał kubka ikry na zakąskę. Co prawda, uchwyt także podbierającym ułatwiał życie, ale ostatecznie rzecz dotyczyła Sovro, gdzie wszystko było państwowe i gdzie zwierzchność też lubiła wypić, zakąszając czymś smacznym. Beczki z podobnymi pokrywami stosowano i w Lelonii, lecz do kiszenia ogórków lub kapusty - więc mniejsze, zrobione z cieńszych klepek. Gdyby anvascy smakosze gustowali w kiszonkach, a nie jajach jesiotra z Rałgi, on i Amma nie pomieściliby się w środku. A nawet jeśli, dzioby i pazury biesów dawno temu uporałyby się z dużo słabszą kryjówką.

- Po kawiorze - potwierdził jego domysły Pirr. Zręcznie zeskoczył

z beczki, na której pozostały ślady krwi, lecz nie pozostał trup wodza mutantów. - Ironia losu, ale chyba musisz podziękować baronowi, Ammo. Coś mi świta, że to jemu owe frykasy wieźli i nie dowieźli.

Amma nie bardzo słuchała. Stała obok Debrena, wielkimi ze zdziwienia oczyma gapiąc się na bociana.

Cóż: rzadko widuje się niebieskawe bociany, o połowę większe od normalnych, nastroszone niczym wściekły puchacz i lewitujące niespiesznie nad porzuconymi beczkami. Gdyby wbić od dołu tyczkę, ptak przypominałby osobliwego kurka na dachu, obracanego leniwym wiatrem, lecz tu tyczki nie było i utrzymywanie się bociana w powietrzu z daleka cuchnęło oszustwem. Zwłaszcza że mimo starań Debrena fantom ani myślał złowrogo łopotać skrzydłami. Poruszał, owszem, ale dziobem i ogonem. Tyle że jakoś idiotycznie, na boki niemal równie daleko jak w pionie.

No i wcale nie zamierzał się skraplać. To nie z iluzji pochodził płyn, który spłynął głośnym strumieniem na beczkę i przeciekł przez poluzowane klepki. Bocian trzymał się dobrze. Jakby na złość magikowi, który go wyczarował, tak pokracznego i niepoważnego, ku swojej i iluzji hańbie. Na szczęście świadków wpadki Debrena nadal było tylko dwoje. Choć uciekinierzy wyszli z kryjówki, nikt nie wyskoczył na nich z mackami, nie strzelał z kuszy czy łuku ani nie ciskał sulicą.

- Pomyślałem... - Głos zawiódł Debrena, musiał odchrząknąć i zacząć ponownie. - Pomyślałem, że jak zobaczą bociana... No wiem - uprzedził wiszący w powietrzu cios. - To nie żaby. Ale jednak... na łące żyjąc...

- Gad, płaz - wzruszył ramionami Pirr - jeden pies.

Właściwie nawet nie kpił. To Amma była rozbawiona.

„Bocian?” - Za pytajnikiem dorysowała znaną już Debrenowi, roześmianą buzię. - „Hciałeś mordercze potfory niebieskim bocianem pszestraszyć?”

Ona sama, pod chustą, też się uśmiechała. I tylko w połowie z ulgi, że cudem przeżyli. Bo druga połowa tego uśmiechu była... dla Pirra. Chyba ich uratował, więc niby nic w tym osobliwego. Dopiero po chwili Debren zrozumiał, co mu tak bardzo nie pasuje.

Nigdy przedtem nie posłała juryście choćby jednego cieplejszego spojrzenia.

- Nie śmieć się - pouczył ją garbus. - Małe żółwiki pewnie, tak jak żaby, boją się bociana. A dziecięce strachy często w duszy zostają. Więc gdyby Debrenowi większy wyszedł... Ale mocy zabrakło, co? - pokiwał głową ze zrozumieniem. - Z kolorem też błąd się wkradł? No, nieważne. I tak pomogło mi ptaszysko.

- Hę? - Debren drgnął. - Ptaszysko?

To słowo budziło złe skojarzenia. Z dachami Trickleley. I dziwnymi rzeczami, które się tam działy.

- No... - Pirr jakby się zmieszał - spory jest jednak, jak na bociana. I taki... groźny. Więc ptaszysko.

W sumie miał rację. Debren sam na wszelki wypadek skryłby się pod most, gdyby dopadł go tutaj taki niebieski nastroszony cudak.

- Co najmniej je zdziwił. - Pirr skinął ręką, pokazując: „Za mną”, i ruszył ku grobli. - Zagapiły się. Zdążyłem wejść na beczkę i dobrze ją polać.

- Polać? - Debren obejrzał się na klepki, połyskujące świeżymi plamami wilgoci.

- Wodą święconą. Dlatego uciekły.

- Wodą święconą? - Omal nie wpakował się w jedną ze studzienek. - Żółwie boją się wody?

- Ciut więcej respektu dla Kościoła. Wiem: w demokracji żyjesz.

Ale już niedługo. A jak się demokracja skończy, i u was Kościół wpływy odzyska. Nabywaj więc stosownej pokory.

- Czemu by się miała skończyć? - mruknął. - To feudalizm upadnie. Logika dziejów...

- Bo Leco Skoczyłot cały i zdrowy chadza. System, który z jawnym wrogiem nie waży się porachować, ewidentnie zdycha. Widać waszym rządzącym stęskniło się do normalności: do prywatnych zamków, karet, służby... Głowę dam, że plunęli na logikę dziejów i się cichaczem z Lecem dogadują. My ci władzę, ty nam święty spokój, po parę folwarków, po zameczku jakimś zgrabnym...

- Głupoty gadacie - rzucił gniewnie. Po czym od razu zapomniał o polityce. Bo wspięli się na groblę i stało się jasne, że tylko mutanty ulotniły się bez śladu. Po smolarzach ślad pozostał.

I nie chodziło tylko o skarbczyk Purchawca oraz plamę krwi w miejscu, gdzie Korris oberwał strzałą. Była spora, ale drugie tyle czerwonych plam uzbierałoby się między przedmościem a brzegiem strumienia. Dokąd, sądząc po krwi, zgniecionych trawach, połamanych gałązkach i odciskach w błocie, zawleczono albo smolarza, albo jego zwłoki. Debren nie miał pewności, czy tamten żył jeszcze, kiedy dopadły go złaknione mięsa stwory.

Cobin nie budził takich wątpliwości. Jego też mutanty zabrały, ale martwego. Nie da się przeżyć, kiedy coś rozłupie ci czaszkę, obryzgując bruk połową mózgu. Nie strzępami, a chyba dosłownie połową - gdyby pozbierać lśniące w słońcu ochłapy, wypełniłyby spory kubek. Debren nie umiał sobie wyobrazić, co i jak ugodziło chłopaka z równie potworną siłą, ale przynajmniej odnośnie osoby nie miał wątpliwości. Mózg i drobiny strzaskanej czaszki połyskiwały na kamieniach ładnych parę sążni od krwi Korrisa, a ślady wskazywały, że z grobli zwleczono do strumienia dwa różne

ciała dwoma różnymi szlakami.

Martwy ojciec, martwy syn... Debren, bardziej z myślą o Korrisowej niż łuku Coklana, podostrzył wzrok i popatrzył na zachodni brzeg. Machrusie... Wszyscy trzej, całutka rodzina? Nieszczęsna kobieta... Wypatrywał jedyne go, który być może ocalał. Nie wypatrył.

Kiedy powróciło mu normalne widzenie, zauważył za to swoją sakwę. Wisiała na przydrożnym krzaku. Podeszedł, podniósł, zajrzał. Bez słowa posłał pytające spojrzenie Pirrowi. Prawnik przerzucił akurat przez ramię inną torbę, ten nieszczęsny spadek po Purchawcu. Najwyraźniej nie bez powodu ozdobiony trupim kółkiem. Debren drgnął, przeszyty myślą, że samobij mógł mieć coś wspólnego z mózgiem rozbryzganym po bruku. Ale uspokoił się, widząc, że kij jest czysty i bez oporu pozwala się ulokować w pochewce. Pewnie rozpoznał prawowitego właściciela.

- Chcesz wiedzieć, co tu zaszło - zgadł garbus. - I czemu księgi są w środku, skoro je zostawiłeś na drodze.

Debren przyglądał mu się z niewyraźną miną.

„Co?” - zaniepokoiła się Amma. Glina jej tabliczki, okazuje się, nie ucierpiała w podtopionej beczce.

- Nic - mruknął Debren. - Tylko... Dziwnie jakoś.

Nie zrozumiała. Nieufnym spojrzeniem penetrowała szuwary i pokryte rzęsą bajorka, a nie twarz jurysty.

- Chodźmy. - Pirr wskazał las na wschodzie. - Otóż było tak: gdym oprzytomniał, pobiegłem za wami. No i dogoniłem w ostatniej chwili.

- Biegłeś? - Debren ruszył jego śladem, ale skrupuły zwyciężyły już po dwóch krokach. - Czekaście...

- Ano biegłem. - Pirr stanął posłusznie. - Na szczęście znam skrót. A po drugie, pewien uczynny jeździec kawałek mnie podwiózł.

Dlatego zdążyłem, choć wyście konno... Na co mamy czekać?

To by tłumaczyło, dlaczego nie ocieka potem. Chociaż może ociekał, tylko opończa, kaptur, no i iluzja to maskowały. W każdym razie: po zapachu nie dało się poznać. Mocniej pachniał sianem, to wszystko. Skropił się? By lepiej wypaść w oczach Ammy? A może chciał wonią ziół zamaskować przed potworami woń ludzkiego mięsa?

Nieważne.

- Tam - wskazał - w tych leszczynach, był drugi syn Korrisa. Naszego przewodnika. Chyba powinniśmy...

- Już go tam nie ma. Możemy iść.

Pirr powiedział to w taki sposób, że Debren ruszył bez słowa w stronę lasu. Nie był jednak sam.

„Skond wiesz?”

- Widziałem, jak go te żółwie w bagno wlokły. Chodźmy. Lepiej im pod nosem nie sterczeć.

W złej klepsydrze to powiedział. Parę kroków od podnóża grobli zagotowało się nagle w jednym z wodnych oczek, coś wychynęło spod wodorostów. Przestraszony Debren rozejrzał się w poszukiwaniu broni.

Kusza leżała w kłębowisku zieleni, dokładnie między miejscem, gdzie stał, a studzienką, z której wypłynął żółwijec. Czyli głupio zrobił, zbiegając po skarpie i wyszarpując ją spod gałęzi. Gdyby bies zaatakował, nawet napiętej mógłby Debren nie zdążyć wykorzystać. A ta oczywiście napięta nie była.

I już nigdy nie miała być: coś sprasowało strzemiączko w jeden gładki pasek, odłamując też od łoża pół łączyska. Było drewniane, nie stalowe, ale Debrenowi i tak nie chciało się wierzyć. Z wysokiej wieży trzeba by zrzucić, by aż tak... Albo wielkim młotem zdzielić.

Na szczęście miał czas i sposobność oddawać się zaskoczeniu.

Bies, który wynurzył się z bajorka, nie ruszał do ataku. Nie był w stanie.

Jego podgardle lśniło czerwienią rozprutego ciała, a z górnego pancerza sterczały pionowo kikuty bełtu oraz sulicy, przegryzionej tuż nad osadą grotu.

- Wracaj tu - warknął z nasypu Pirr. - Rozum ci odjęło? Chcesz skończyć jak on?

Był zły, a Amma wystraszona. Ale tylko Amma, ściskająca oburącz króciwę, wyglądała na szykującą się do walki. No i Debren ze swą połamaną, lecz zabraną na górę kuszą. Oczyma wyobraźni już widział kolejne, tym razem żywe mutanty, wyskakujące spod ziemi śladem martwego pobratymca, i wolał mieć pod ręką kolbę niż całkiem nic.

Okazało się, że żadne nie wyskakiwały. Owszem, obok trupa pokazały się dwie głowy, ale ich właściciele wysunęli jedynie macki, odepchnęli wspólnymi siłami martwego żółwijca jak najdalej od brzegu studzienki - i znikli.

Nic z tego rozumiał. Za to przypomniał sobie o czymś.

- Nie możemy iść przez las. Tam też żyją. Musimy - popatrzył na Ammę - zawrócić za most i poszukać...

Potrząsnęła gwałtownie głową i wskazała słońce.

- Wiem: późno już. Ale sama widzisz, że to całkiem nieobliczalne bestie i...

- Chodźmy - przerwał mu bez zapału Pirr. Odebrał kuszę Debrenowi i... cisnął w krzaki. - Tylko by ci ciążyła - wyjaśnił. - A one są obliczalne. Nie zaatakują.

- Powiedz to im - Debren wskazał krwawe ślady. - Nie wiem, jak Korris; wcześniej dostał strzałę... Ale Cobin był cały i zdrowy, gdyśmy stąd uciekali. I co? Pół głowy mu... Swoją drogą, to nie rozumiem, jakim cudem. Duszenie, topienie... Kąsać też mogą. Ale

aż tak trzasnąć...

Pirr bez słowa ruszył w stronę lasu, a Amma chwyciła Debrena za rękaw i pociągnęła jego śladem. Nie to jednak przeważyło. Poprawiając przewieszoną przez ramię sakwę wymacał coś, co nie było grzbietem księgi. Coś znajomego.

Otworzył torbę i z radosnym zaskoczeniem stwierdził, że dotyk go nie zawiódł.

- Moja różdżka? Cała, nawet nie... - Urwał nagle. - Zaraz... Korris ją miał. Za pas wetknął. Skąd...?

- Jak przebiegłem przez most - Pirr szedł energicznym krokiem, nie rozglądając się na boki - ci dwaj jeszcze leżeli na drodze. Żółwie zajmowały się wami i beczką. Dopiero potem zabrały ciała. Zdążyłem uratować twoje księgi i różdżkę. Masz u mnie dług.

Debren, trochę na próbę, trochę na postrach, puścił z różdżki lekką błyskawicę. W drzewo, pochylone nad największym bajorem. Jeśli jakieś łakome ślepie gapią się na nich spod mętnej wodnej tafli, nie zaszkodzi demonstracja siły.

„Rzycie też nam uratowałeś?”

- Nie wiem - mruknął Pirr. - Na pewno... no, nie cała zasługa mnie się należy. - Zwolnił, by zrównać się z dziewczyną i móc spojrzeć jej w twarz. - Właśnie chciałem cię spytać... bo podobno słyszysz zwierzęta... Teraz też...?

Zatrzymała się. Debren, niewiele rozumiejąc, ale wyczuwając napięcie między tą dwójką, patrzył pytająco to na jedno, to na drugie. Oni też zdawali się czekać.

- Słyszałaś? - zapytał cicho Pirr.

- Co niby miała słyszeć? - upomniał się Debren.

Amma napisała jedno słowo. Ale, okazuje się, i od jednego żakowi magii może z lekka opaść szczęka.

- Smoka?!

Nikt mu nie odpowiedział. Pirr i Amma, nie odzywając się, ruszyli w dalszą drogę. Dopiero kawałek dalej jurysta raczył przemówić:

- Czyli słyszałaś. No, ja takowego daru nie mam. Więc nie wiem, czy coś żółwiom powiedział. Ale sama jego obecność wystarczyła, żeby...

- Smok?! - nie wytrzymał Debren. - Mówisz o smoku? Że niby był tu...?

- Słyszała go - rzucił Pirr tonem usprawiedliwienia.

- Anioły też słyszy.

- A ja widziałem. - Debren poczuł, jak oczy mu okrągleją. - Coś taki zdziwiony? To już otulina rezerwatu. Co znaczy, że można się na smoka natknąć, choć rzadko. Ludziom wolno tu mieszkać, gospodarować i w ogóle, ale król nie ręczy, że ich smok przypadkiem nie zeżre lub im stada nie przetrzebi.

- Smok tu był? - Debren, choć czuł, że to głupie, rozejrzał się na wszystkie strony, łącznie z przepatrywaniem koron mijanych drzew. Tak jakby smoki zniżały się do stosowanych przez gałęźnice sztuczek.

- Był.

- Widziałeś go? Czy tylko...? - Nadal nie chciało mu się wierzyć. Smok. Prawdziwy. Niby szli do smoka, ale...

„*Wielgahny jest?*” - Amma też była pod wrażeniem.

- Smok jak smok. Średni chyba. Ale z rozpostartymi skrzydłami robi wrażenie.

- Latał - domyślił się Debren. Pirr popatrzył na niego z politowaniem.

- Nie, na palcach dreptał, stąd brak śladów... No pewnie, że latał. Smoki nietoty mało gdzie się w ludnych okolicach uchowały. Nawet wielkiego i silnego łatwo zabić.

„*Łatwo?*” - zainteresowała się Amma. Pirr posłał jej posępne

spojrzenie.

- Nie mówię o bosej dziewczce z cudacznym orężem. Łatwo, gdy się ma rotę dobrego wojska, kusze i maszyny. A smok jest idiotą, co po rycersku do uczciwej walki staje.

- Duży był? - Debren wolał konkrety. - Ile stóp?

- Po jednej na nodze - zakpił Pirr. - Cztery w sumie. Myślisz, że co: stałem i notatki sporządzałem odnośnie wymiarów? Z miejsca czmychnąłem w krzaki.

„I co robił?”

- Jak dla mnie: udowadniał swą rozumność. Duży jest i łuską opancerzony, ale to nie powód, by się na ostrzał bezmyślnie wystawiać. Ten młody, bez koszuli...

- Cobin.

- ...miał kuszę. Więc smok złapał żółwia i tarczę sobie z niego zrobił. Tamtego żółwia - wskazał kciukiem za plecy. Było jasne, że mówi o naszpikowanym grotami mutancie, wypchniętym z bajora. - Ciachnął go po gardle, by mu się w łapach nie szarpał, osłonił się nim i zanurkował. Cobin strzelił i rzucił sulicą. Dwa razy trafił i dwakroć w tarczę. Którą potem przez łeb dostał. Łeb pękł, kusza też. I było po walce. Smok wyszedł bez draśnięcia.

Przeszli spory kawałek, myśląc o tym, co usłyszeli. Debren pierwszy ochłonął z wrażenia. Coś mu nie pasowało.

- I co: odleciał? Ot tak, po prostu?

- Zobaczył twojego bociana i się przeląkł...

- Nie kpij, Pirr. Nie rozumiem, po co by...

- Atakował ludzi? - domyślił się prawnik. - Nie atakował. Smoki to nie ludożercy. Konina go zaciekała.

- Jaka konina?

Pirr wskazał palcem. Debren nie od razu wypatrzył ciemną plamę. Karosz, choć widoczny, stał tak daleko, że sprawiał wrażenie

małego psa.

- To z pół mili od mostu! - zdziwił się Debren.

- Bo się spłoszył i znów uciekł. Ale przedtem wrócił. Gdy w beczce byliście. Podeszedł do Cobina. I dobrze, bo przy siodle mam sakwę, a w niej bukłak z wodą święconą.

- Wozisz ze sobą...?

- Z demokratą - uciął Pirr - nie będę o kwestiach mej wiary dyskutował. No więc Cobin wyciągnął bukłak. Może w gardle mu zaschło, może ojca chciał opatrywać. Albo się uchlać. Smok konia wypatrzył, zaczął kołować nad mostem. Smoki ludzi zwykle nie ruszają, ale już co do ich zwierząt nie mają oporów: jak jeździec chce konia zachować, lepiej, by go spod zadka nie wypuszczał. Cobin chyba o tym nie słyszał. Spanikował i zaczął strzelać. Smok słusznie uznał to za bezprawny zamach na życie, więc w obronie koniecznej zatłukł go żółwiem. Koń umknął, bukłak, na wasze szczęście, został. Miałem czym beczkę polać. Jak widać, poskutkowało. Taki jak ty niedowiarek może twierdzić, że to zasługa samego bukłaka. Na koniec - wyjaśnił - cisnąłem pustym w jednego biesa. Przywódcę chyba. Po łbie oberwał i umknął. Niestety, bukłak ze złości do nory zabrał. Szkoda. Chwalebna pamiątka by była. I cenne wotum dla Kościoła. Parę ciężkich grzechów by mi odpuszczono, gdybym świątyni ofiarował oręż, który...

- A Coklan? - przerwał mu Debren. - Ten drugi syn?

- Nie wiem - mruknął Pirr.

- Musiałeś go mijać - myślał na głos Debren. - Specjalnie tam stał, by intruzów w razie czego... Łuk tam mieli ukryty, więc pewnie i miejsce starannie dobrali. Nie mógł cię przeoczyć. Czyli jeśli to smok go... to dopiero potem. Bo ty wszak widziałeś, jak kołuje. Czyli zjawiałeś się, nim do walki doszło. Dziwne, że cię Coklan nie...

- Debren, to wszystko działo się bardzo szybko. A ja, nie kryję, wystraszony byłem. Może coś przegapiłem, pokręciłem. Wiem tylko, że jak smok odleciał, żółwie trzy trupy zabrały. Tego z krzaków też.

- Z krzaków - podchwycił chłopak. - Smok nie mógł go w krzakach...

- Niektóre smoki potrafią ziać - przypomniał Pirr.

- Nie było dymu, ognia... Ani połamanych gałęzi. A tam obok za wysokie drzewa, by w przelocie...

- Do czego zmierzasz? - zapytał jurysta. Jak gdyby ostrożnie. Ale akurat ostrożność Debren był w stanie zrozumieć. Bo i jemu nie podobały się wnioski.

- Chyba... widziałem, co zabiło Coklana. - Pirr utkwiał w jego twarzy wyprane z emocji spojrzenie. - Faktycznie, zaleciało go od tyłu. Ale smok to to nie był. Za mały.

- Mały - powtórzył Pirr. - To znaczy?

- Jak ptak. Najwyżej jak człowiek. Ale nie jak smok.

- Czyli... za dobrze go nie widziałeś?

- Nie. Ale coś tam było. Lądowało za plecami Coklana. I jeśli to nie ptak... No, to nie wiem, kto potem z tych zarośli strzelał. Myślałem, że Coklan, ale teraz... Bo do nas jakoś nie szył, nie biegł swoim z pomocą, za to na koniec w ojca strzałę wpakował... Może przypadkiem, ale może... może nie on strzelał?

Przeszli następną kopę kroków. Nikt się nie odzywał. Dopiero potem Amma zaczęła ryc w glinie.

„Słyszałam jak muwiły o wielkim latajonym jaszczórce. Te żułwie. I to jego sie bały. Ale to nie smok nam kazał w beczcze siedzieć i nie wyłazić. Nie znam mowy smokóf, niby skond?”

- A te biesy rozumiesz? - zmarszczył brwi garbus.

„Trohe. Jak tego trópa ku nam phały, jeden muwił, rze tak tszeba. Bo on upolował i jemu sie należy.”

- Smokowi? - Debren znów się rozejrzył. Las wydał mu się zbyt cichy. Jakby coś, gdzieś... coś groźnego...

- Strach ma wielkie oczy. - Uśmiezek Pirra dowodził, że niekoniecznie mówi tylko o mutantach. - Usłyszały nas, pomyślały, że smok wraca po mięso, więc oddały, co jego. Niezdrowo włączyć między smoka a jego zdobycz.

Debren uznał, że wyjaśnienie brzmi rozsądnie. Ale nie ma lekko: jedno pytanie odpadło, za to doszło nowe.

- Mówisz, że nie smoka słyszałaś? - Amma zdecydowanie pokręciła głową. - To może Pirra? - Przeniósł spojrzenie na prawnika. - Może powtarzałeś w myślach, byśmy nie wyłazili z beczki, i Amma...

Garbus za długo dumał nad odpowiedzią. Dziewczyna uprzedziła go, jeszcze energiczniej kręcąc głową.

„Luckich myśli nie słysze. Jeno zwierzenta.”

- Masz odpowiedź - uśmiechnął się Pirr. - Co prawda paru mnie w życiu od bydła wyzwało i wielbłądów, ale...

- No to kto nam kazał w beczce siedzieć?

„Anioł” - nakreśliła niepewnie Amma. Debren westchnął z rezygnacją.

- Znów ten anioł... Wiem: z demokratycznego kraju jestem i co ja tam mogę wiedzieć o religii. Ale i u was rzadko...

- Tu nieopodal - przerwał mu łagodnie Pirr - jest taki mały klasztor. Erem właściwie. Mehatt się nazywa.

- Klasztor?

- Trochę byśmy musieli zboczyć, ale... Dla ciebie ciżmy by się pewnie znalazły, a dla nas wszystkich wieczera i może kilka odpowiedzi.

Na wzmiankę o jedzeniu Ammie rozbłysły oczy. Ale przemogła się i zaczęła pisać: *„Nie mamy czasu...”* Debren położył dłoń na jej

dłoni, zatrzymał rylec.

- Odpowiedzi? - zmarszczył brwi.

- Mówiłem wam, że gdzieś czytałem o gargulcu wybawcy. Właśnie sobie przypomniałem, gdzie. W Mehatt. Mają tam trochę starych ksiąg, które...

- Gargulec? Co ma do rzeczy...? - Debren urwał. - Myślisz... ten anioł Ammy...?

- Zdecydowanie nie jestem demokratą - uśmiechnął się blado jurysta - ale też w życiu anioła nie spotkałem. Ani nikogo, kto osobiście spotkał. Więc po prostu... próbuję racjonalne wyjaśnienie znaleźć. Bo chyba coś - popatrzył na Ammę - za nią lata.

- Czemu - zapytał bez zapału Debren - coś miałoby latać za Ammą?

Chętnie odwiedziłby erem, gdzie dają miskę z zupą, siennik, a może nawet ciżmy. Ale jeśli dziś nie wejdą do rezerwatu, jutro może być dużo trudniej. I dobrze, że trudniej - tylko jak wytłumaczyć Ammie, że jej wyprawa to jeden wielki idiotyzm? W duchu błagał Pirra o jakiś sensowny argument.

- Bo może Amma jest ważna. Dla smoka, dla Trickleley i dla wielu, wielu ludzi.

Dla Debrena nie brzmiało to jak sensowny argument. Ale dla niej najwyraźniej tak. Albo po prostu chciała się poczuć kimś ważnym. Skinęła głową i napisała:

„To do Mehat”.



Klasztor był maleńki, choć las wykarczowano na ćwierć mili dokoła i miejsca pod zabudowę nie brakowało. Kapliczka pomieściłaby góra dwa tuziny wiernych, a na dziedzińcu tylko dobry

furman zawróciłby wozem. Siedząc na przyzbie domu przeora, Debren mógł wywęszyć, co będzie na wieczerzę - choć kuchnię miał po przekątnej - oraz wypatrzeć szczyrby i rdzawe wżery na siekierze, którą w jeszcze innym końcu klasztornego kompleksu rudy nowicjusz rąbał drwa. Inna sprawa, że to pierwsze ułatwiało mu głód, a drugie - obawa przed oberwaniem po głowie umykającym z ostrza klockiem. Rudzielcowi, może z winy tragicznie zaniedbanej siekiery, a może dlatego, że co rusz zerkał za bramę, na przechadzającą się Ammę, wyraźnie nie szła robota. Co trzecia szczapa, nabita zbyt płytko na tępe żeleźce, odlatywała za plecy rębacza, płoszyła kury i wymuszała czujność Debrena.

Oprócz kur, niemrawo dziobiących klepisko, i rudego nowicjusza Debren nie wypatrzył żywego ducha. Wyświęconym braciom reguła nakazywała unikać kontaktów z obcymi. Raz czy drugi coś mignęło w szczelinach okiennic, głowy jednak żaden ciekawski nie wychylił. Przeora zakaz nie dotyczył, lecz i on pospiesznie wciągnął Pirra do budynku, gdy okazało się, że w pobliżu przebywa kobieta. Jurysta, przewidując tego typu problemy, kazał Ammie pozostać przed bramą i pilnować konia. Debren zaczął rozważać, czy nie powinien dotrzymać jej towarzystwa, ale nim rzecz przemyślał, dotarli przed kwaterę przeora, gdzie jemu z kolei kazano: „Siadać i czekać”.

Siedział zatem i czekał. Po raz pierwszy znalazł się w takim miejscu i bał się naruszyć jakieś nieznane zakazy, łąząc samowolnie po świętej bądź co bądź ziemi. Niby to tylko podwórze, kury paskudziły na nie bez widocznego oporu, jak na chłopskie, ale z drugiej strony... Nawet w ateistycznej z mocy prawa Lelonii nikt nie podważał szczególnego statusu klasztorów. Draberia, przykładowo, miała surowy zakaz wkraczania na ich teren.

Kiedy więc kolejna szczapa zatoczyła łuk i trzasnęła o ścianę pół łokcia od jego ucha, odsunął ją tylko na bok i siedział z drętwym

uśmiechem. Rudy nowicjusz był młodszy od niego, ale to bure i połatane - to jednak habit. Czort wie, jak się rozmawia z kimś takim.

Rudy też nie wiedział, jak zacząć. Podszedł, podniósł szczapę, pouśmiechał się przez chwilę niepewnie. Debren odwzajemnił uśmiech.

- Tępa okrutnie - zerknął na siekierę. - Do naostrzenia daj... - zawahał się przy słowie „bracie”.

- Tipp jestem - wybawił go z kłopotu rudy.

- A ja Debren. - Wstał, uścisnęli sobie dłonie.

- Święty Kamuald, nasz patron, kamiennym toporem drwa ciosał - pouczył go Tipp. - Ojciec przeor naucza, że służba Bogu w czterech „pe” się zawiera. Są to: pokora, pot, post i pacierze. A ten, co ich unika, diabłu służy i smażyć się będzie w piekle.

- A... aha. - Debrenowi nic więcej nie przyszło do głowy. Na szczęście tamten nie sprawiał wrażenia oburzonego niestosowną poradą. Raczej zrezygnowanego.

- A poza tym - westchnął - osełki nie mamy.

- Reguła zakazuje? - zaryzykował pytanie Debren. - No, ale starczy o byle kamień...

- Ojciec przeor mówi, że jak się wieść rozniesie, iż broń tu do walki szykujemy, znaczy sprowadzamy nowe siekiery albo choć ostrzemy stare, to smok przyleci i cały erem z dymem puści. Zaś nas po kawałku pożerać będzie, dając czas, byśmy się wyrzekli Pana naszego, Machrusa. Za co gotów zdrajcom mąk odpuścić i ubić bez bólu.

- Smok? - upewnił się. Nowicjusz przytaknął. - Nie wiedziałem, że smoki... no, tak robią.

- Też zem nie wiedział. Ale ojciec przeor to ekspert, gdy o smoki idzie. Trwa niezłomnie na tej wysuniętej placówce już ćwierć wieku. I prawie wszystko przestudiował, co biblioteka zawiera. A mamy tu

potężny księgozbiór. Pięć manuskryptów, ponoć grubaśnych.

- O! - udał podziw Debren. Sądząc po architekturze, erem Mehatt wzniesiono we wczesnowieczu, kiedy pięciotomowy księgozbiór faktycznie uchodził za poważną bibliotekę. Ale od tamtych czasów sporo się zmieniło. Przykładowo: wymyślono papier, druk i tanie kroniki, którymi po jakimś czasie użytkowania nawet byle prostak zatykał dziury w cizmach lub zastępował hubkę. Na Wschodzie zresztą było z tym lepiej niż w Lelonii - kraje demokratyczne stawiały na rzemiosło ciężkie i chwilowo cierpiały na niedobory papieru - widocznie jednak zagubione w leśnej głuszy klasztory odstawały od normy.

- Świat nie dostrzega grozy, jaka nad nim zawisła - wyjaśnił rudzielec. - A tym samym znaczenia naszego eremu. Nawet opat. Zapasów nie dosyła w porę. We wiosnę tośmy omal z głodu nie powymierali. A kielbasy to od roku nikt na oczy nie widział. Kaszą żyjemy, cebulą na oliwie...

- Lasy dookoła - zauważył Debren. - Upolować czegoś nie możecie?

- Kiedy? Już teraz braci do modlitw brak. W zastępstwie przeora ja na czuwania chodzę i z kartki czytam... No, a jak polującego brata smok by przydybał? Moc modlitewna tak by nam spadła, że strach. I tragedia gotowa.

- A okoliczni ludzie? Nie pomogą?

- Oni? - Tipp nie krył goryczy. - Sami by nas chętnie wymordowali. Na szczęście nocną modlitwą, tą od północy do trzech klepsydr, bronimy się skutecznie także od złości sąsiadów. Czasem sam przeor dołączy. Choć on głównie ze swej kwatery błagania wznosi. Bo ma tam specjalny klęcznik, z drzazgą z pala świętego Azyjana, z którego błagania lepiej do nieba dochodzą.

- Do trzeciej się modlicie? - Debren od razu poczuł się senny. - I

często tak?

- Znaczy się... - Nowicjusz posłał mu zdziwione spojrzenie. - No jak to: czy często? Toć mówię: od północy do trzech klepsydr.

- Każdej nocy? - zdumiał się. - Trzy klepsydry modlitw w tej tylko intencji? Sami zbóje dookoła żyją?

Tipp rozejrzał się w poszukiwaniu ciekawskich uszu.

- Brat Pilbin mówi - zdradził ściszym głosem - że to przeora wina. Bo nadgorliwością ludzi zraża. I że erem ustanowiono, by modlitwami jeno okolicy przed smoczym gniewem bronił, a nie bestię do zagłady przywodził. Albowiem ze smoka połowa tutejszych czerpie dobrobyt.

- Jak to: dobrobyt?

- Tak dobrze to nie wiem - wyznał. - W nowicjacie dopiero jestem. Ale chyba w tym rzecz, że tutaj jest ta przytulina rezerwatu. A w niej lżejsze podatki obowiązują. Bo król o smoki dba. One, powiada, nas przed demokracją obronią, jakby co, a wiadomo, że gorszego diabelstwa niżli demokracja to i w piekle nie znajdziesz. Dlatego król, z bólem serca, piekielną bestię pod kuratelę wziął. Więc Pilbin powiada, że powinniśmy dać spokój modlitwom o rychły zgon smoka i tym, by mu zęby wypadły, i by oślepl, i skrętu kiszek...

- **A**no powinniście.

Obaj niemal podskoczyli. Pirr pojawił się jak duch.

- Powinniście - powtórzył. - O niebezpieczne bowiem rzeczy prosicie Boga. Nie daj Boże, wysłucha, i co wtedy? Jeśli smok przeżyje, ale zęby straci lub wzrok, to wpadnie tu i was wytłucze. Tyle że nieporadnie, jak to szczerbaty i ślepy. Dłużej polowanie i przeżuwanie potrwa, a tym samym wasz koszmar. A gdyby modły lepiej wyszły i bestia padła trupem, jego krewni za skrytobójstwo to uznają. I jeszcze bardziej srogo smoka pomszczą.

- Kre... krewni? - wystękał Tipp.

- A coś myślał? Że smoki w kapuście się znajduje, bo je bociany przynoszą? - Pirr szyderczo zerknął na Debrena. - Niektórzy w to wierzą i bociana ze smokiem łączą. Ale tak naprawdę podobnie to u nich wygląda jak u ludzi. Musi być smok i smoczyca, potem są jaja, czasem kilka, a z jaj małe smoki. Czyli że każdy, jak pośród ludzi, ma braci, siostry, stryjów i tak dalej. Z rzadka po świecie rozsianych, to fakt, bo smok nie owca, byle splechetek ziemi go nie wykarmi. W pojedynkę tedy żyją, z dala od rodziny. Ale dla pomszczenia skrycie zamordowanego krewnego niejedną się w daleką podróż wybierze i ochoczo schrupie paru zakonników.

- Ja... jeno nowicjat odbywam - zauważył przytomnie rudzielec. - Zresztą... ojciec przeor powiada, że takich jak my chudzin smok nie tknie.

- Tak, wiem. Z tą intencją przydziały wam zmniejsza. Samemu brzuszysko dźwigając, że aż miło spojrzeć.

- Ojcu przeorowi źle się materia przemienia - wyjaśnił Tipp. - To dlatego. Wiem, bo raz Pilbin mruczał i mu to przeor wyjaśnił. I jeszcze dodał, że to bolesny ciężar, ale też dar od Boga. Bo

wprawdzie nie daje mu zalegać kołem z innymi braćmi, która to metoda modlenia najskuteczniejszą jest, zwłaszcza zimą i na kamiennej posadzce, lecz za to, gdy smok tu wpadnie, jego pierwszego pożre. Dzięki czemu my może uciec zdążymy, a on błogosławieństwa zazna, śmiercią męczeńską ginąc. Albowiem Bóg nikogo tak nie miłuje jak pasterza, który trzódki przed srogim wilkiem własną pierśią broni.

- A nawet brzuchem - mruknął Pirr. - No, nic. Chodź, Debren. Słońce nisko, a przeor do biblioteki ze świecą nie wpuszcza. A ty siekiere naostrz - poradził Tippowi.

- Nie wolno - wyręczył rudego Debren. - Smok zabrania... no, posiadania groźnej broni.

Pirr, jakoś mało przyjaźnie, zerknął na drzwi kwatery przeora.

- A ja słyszałem - oznajmił tak donośnie, że aż zdziwiona Amma popatrzyła na nich zza bramy - że akurat na tępe siekiery smok jest okrutnie cięty. Bo go wieść doszła, że najbardziej zajadli wrogowie chcą mu możliwie bolesną śmierć zadać i celowo oręż szczyrbą. I jeszcze słyszałem, że Bóg nie sprzyja takim, co tępych narzędzi używają. Bo mu się przypomina jego syn, Machrus, żelazną pałką połamany i na kole rozpięty.

Obrócił się na pięcie i przeszedł w róg dziedzińca. Dopiero teraz Debren zauważył skryte za przyporą drzwiczki. Zeszli po schodkach, pokonali ciasny korytarzyk.

- Tipp! - dobiegł ich stłumiony przez mury głos przeora. - Nie baw się z tym drewnem, jeno idź i siekiere naostrz! Modlitw zaległych mamy dwa tuziny klepsydr, a ty tam bąki zbijasz, nierobie?!

Minęli wylot kolejnych drewnianych schodków, wiodących do kwatery przeora, i znaleźli się w bibliotece. Zakratowane okienko wpuszczało trochę światła, ale nawet z okienkiem izba najbardziej przypominała loch. Murów z surowego kamienia nie chlapnięto

nawet wapnem, o tynku nie mówiąc, a po kątach straszyły, trochę widokiem, trochę wonią, uschnięte mumie nadzianych na paliki szczurów. Debren zetknął się z tą metodą na zajęciach z bibliotekarstwa, ale wykładowca napomknął o niej jako o egzotycznej ciekawostce i raczej w kontekście księgozbiorów pokładowych. Na okrętach, jak wiadomo, szczurów zatrzesienie, a znów przepisy flot wojennych zabraniają stosowania kotów.

Oprócz strachów na szczury w bibliotece były jeszcze dwa meble: skryptorium do czytania stojąc oraz regał na księgi i zwoje. Regał, zamówiony przez przeora optymistę, wierzącego najwyraźniej w rozwój biblioteki, przygnębiał pustką zakurzonych, osnutych pajęczynami półek, ale na szczęście całkiem pusty nie był. Debren doliczył się sześciu ksiąg. W przeciwieństwie do regału, przetarto je z kurzu, chyba całkiem niedawno.

Obok regału stała sakwa Pirra, ta z trupim kółkiem. Debren naturalnie widział, jak jurysta odpina ją od siodła i zabiera do przeora, ale nie pytał i nie komentował. Ani wtedy, ani teraz. Choć teraz zaintrygował go kształt torby. Uszyta z grubej skóry, nawet pusta zachowywałaby kanciasty, ale mocniej wypchana robiła się bardziej wypukła. A tu, w bibliotece, jak gdyby zapadła się w sobie.

Ale może to kwestia ustawienia?

Pirr wychwycił jego spojrzenie.

- Lepiej nie kusić losu - wyjaśnił. Podszedł bliżej regału, stając między Debrenem a sakwą. - Przeor naprawdę mocno się stara, by smoka do grobu wpędzić. Jego mnisi nic innego nie robią, tylko modlą się na okrągło. Niedawno jednego więcej od opata wyblagał, by wzmocnić siłę modlitw. Tyle że przydziału jadła już nie wydębił, więc znów się nieborakom szykuje zmniejszenie porcji. No, mniejsza... W każdym razie teraz, gdy smok zaczął się domagać dziewicy i urządzać naloty, sporo osób przypisuje to modłom

właśnie. Okoliczni Łotrzykowie już dawniej przeorowi grozili...

- Łotrzykowie? Dlaczego?

- Otulina rezerwatu to świetna kryjówka, do której drabieria i szeryfowie nie zagląдают. A gdyby przeor postawił na swoim i ukatrupił smoka modlitwami, król zlikwidowałby rezerwat.

- Rozumiem. Zabrałeś sakwę, bo się boisz... - Debren urwał, zmarszczył brwi. - Zaraz... a Amma? Została tam.

- Debren, to męski erem. I tak musiałem całego swego wpływu użyć, by przeor pozwolił otwartą bramę zostawić. Ale spokojnie, nic jej nie grozi. Koń z sakwą na grzbiecie mógłby jednak kogoś skusić.

- Tak... Zwłaszcza jeśli to skarbczyk Purchawca.

Nie poruszył dotąd tego tematu. W ogóle mało rozmawiali. Za dużo myślał o Korrisowej. Nie on zabił jej męża i synów, ale faktem jest, że żyliby, gdyby nie on. Podle się z tym czuł, dużo gorzej niż po nocnej jatce na dachach Trickley. Tam zginęli przeważnie starsi od niego, no i, co ważniejsze, nie poznał ich matek. Cobin i Coklan byli niemal jego rówieśnikami i Korrisowa, choć w niczym niepodobna, kojarzyła mu się z mamą. Która, co raz i drugi wyznała w przyпыływie szczerości, chybaby umarła z rozpaczy, gdyby jemu stała się krzywda. A przecież mamie zostałyby i mąż, i siostry Debrena...

- Ten smolarz ci powiedział? - Pirr nie wyglądał na poruszonego jego wiedzą. - To część honorarium, uiszczona w naturze. Klientowi gotówki zabrakło. Któremu i za jaką usługę, nie mogę wyjawić. Sekret adwokacki.

Niemal nie patrząc, wyciągnął drugą z kolei księgę. Na skórzanych, okutych miedzią grzbietach nie było tytułów, na okładce też nie, ale Pirr, nie zagląając do środka, przeniósł tomisko na skryptorium i otworzył od razu w pobliżu środka. Debren przez chwilę zastanawiał się, czy to dogłębna znajomość tutejszego zbioru, czy może prawnik rozpoznał właściwą księgę po

tym, że była bardziej czysta. Bo była. Pewnie przeor zaglądał do niej ostatnio.

Szybko porzucił temat kurzu. Zafascynowało go bogactwo inicjałów i miniatur, zdobiących pergaminowe stronicę. Ze starych ksiąg widywał głównie magiczne, a czarodzieje, nawet ci dawni, cechowali się pragmatyzmem i nie mieli zwyczaju ozdabiać zapisków. To tutaj było najwyraźniej kroniką, spisana przez kogoś mającego dużo czasu dla kogoś mającego dużo pieniędzy. Cacko po prostu. Nie miał jednak okazji nasycić wzroku. Księga otworzyła się Pirrowi na stronie z zagiętym rogiem; potem jurysta obrócił ledwie dwie następne i na tym poprzestał.

- *Smoki w dziejach Anvashu.* - Z jego intonacji wynikało, że mówi o tytule. - O, ten fragment.

Debren najpierw przyjrzał się dziwnej istocie, kunsztownie wplecionej w inicjał rozpoczynający stronę. Stwór miał ostre, spiczaste uszy, w miarę ludzką twarz, przyczajoną, mocno barczystą sylwetkę trolla czy może gotowego do skoku krasnoluda, szpony na gadzich łapach, no i skrzydła.

- Co to jest?

- Ba. Tego akurat nie wiedzieli. Czytaj.

Zabrał się do czytania.

A w Trickley, gdzie dotkniętych klątwą owiec mrowie się w ów czas namnożyło, smok tamtejszy umyślił na gród uderzyć i śmierć mieszkańcom zadać. I ni duchownym, ni szlachetnie rodzonym, ni patrycjatowi, ni pospólstwu, ni dojrzałym, ni nieletnim litości okazać nie miał, gdyż gniew jego wielki był, a moc potężna. I rzekł im: wyście to zdradzieckich magików do złego nakłonili, stada na zatracenie śląc, a hodowców z torbami. Tedy na was kara spadnie. Lękajcie się zatem. I przelękli się, a trwoga na gród padła. I w płacz uderzyli, i do Boga o opiekę modły wznieśli. I wielu uciekło

chyłkiem, miast na murach orężnie stawać, a po kościołach kołem zalegać. W tym burmistrz zbiegł był i rajców połowa. Ale nie uszli daleko, ludzie małego serca i wiary kruchej. Przez bestię zjedzeni, przez zbójów gwałtem porażeni, przez oszalałe tryki trykani, zgubę znaleźli. A jeszcze inni w bagnie szczęli albo ich morze pochłonęło. Tym zaś, którzy z grodu wyjść nie śmieli, rzekł smok w te słowa: przybędę i ogniem was spalę, i siarką zaleję, śmierć zadając, bo moc ze mną piekielna. I struchlały serca w obrońcach. I jak rzekł, tak by niechybnie uczynił, bo powiadali o nim, iż ze słowa jak rycerz słynie. Ale nie jest nigdy tak, by Pan swe dzieci bez odzewu w srogiej niedoli zostawił, czego najlepiej owa historia uczy. I uczynił był Pan Bóg na ten sposób, iż w Trickley kupiec pewien osiadł, imieniem Kort, którego Elf wołali, bo dziwnie mu z oczu patrzyło, zaś kaptura nigdy nie zdejmował. Skąd się pogłoska brała, że niełudziem jest i ostre uszy skrywa. A inni znów powiadali, że nawet rogi. Ale leż to, bo w Machrusa wierzył i na kościoły sporo grosza dał, zwłaszcza na ten pod wezwaniem swego patrona, świętego Korta od Korta i Kavla. Zaś elfem być nie mógł, bo ci się wdzięczną sylwetką wyróżniają, ten zaś zgarbiony chodził od dźwigania ciężarów, bo jako prosty wyrobnik zaczynał. A gdy pracą ciężką majątek zgromadził, do Trickley zawitał. Lat wiele przedtem to było, nim zguba nad grodem zawisła, ale wszak niezmierną jest mądrość boska i widać tak miało być, jako się stało. I mieszkał ów Kort, Elfem zwany, w grodzie, na handlu się bogacąc, gdzie dom wystawny wzniósł, zaś na nim figury osobliwe, co dach zdobiły. I powiadali sąsiedzi, iż to anioły, zaś inni, że bestie piekielne, gargulcami zwane. A drudzy, że bałwany pogańskie, przez elfów czczone. Albowiem choć skrzydła miały, to i uszy spiczaste, do elfowych podobne. I nie było pośród sąsiadów zgody, ile owych figur dach zdobi, bo jedni więcej się doliczyli, zaś inni mniej. A gdy

smok na miasto ruszył i już go z murów widzieli, poderwał się był jeden z kamiennych stworów, nazwany potem Ostrouchym Zbawcą, na spotkanie gadzinie poszybował i znad grodu ją zawrócił, choć nikt nie wie jak, czy to przemocą, czy siłą wymowy. I powiadali potem, że to sam Kort do smoka poleciał, a drudzy powiadali, że anioł, co dotąd kamienną figurę udawał. Jak było, nie wie nikt, bo gdy gród cudem ocalał, radość nastąpiła powszechna, ale też szukanie winowajców. Tedy wiele się w Trickley trunków przelało, wiedźm parę i paru nieludzi oraz tuzin Pazrelitów spalono tudzież na widły i pale nabito albo końmi rozerwano, ich córki pohańbiono oraz jednego syna nieletniego, zaś ich dobytek ruchomy do ludzi poszedł, a domostw kilka z dymem. Takóż i kamieniczka Korta, Elfem zwanego. Z czego wielkiej rozpacz nie było, albowiem gospodarz zaginął tajemniczo, zaś Ostrouchy Zbawca do Trickley nie powrócił.

Na tym historia się kończyła. Kolejny inicjał przedstawiał po wczesnowiecznemu pokraccną, za to nagą niewiastę, otwierając opowieść o Nieszczęsnej Ankrawii. Z tego, co Debren zdążył wyczytać, Ankrawia przywitała męża - rycerza wracającego z kołomyi do Ziemi Pańskiej po trzech latach walk z temmozanami - dwojgiem niemowląt przy piersi i skargą na smoka. Smok, jeśli wierzyć młodej matce, nawiedzał ją po nocach i przemocą hańbił.

Nie zdążył doczytać dalej.

- Mecenasio Pirr! Długo jeszcze?

Przeor nie ograniczył się do wołania. Słysząc było, jak zaskrzypiały pod nim drewniane stopnie. Tylko dwa pierwsze, lecz Pirr błyskawicznie zatrzasnął księgę.

- Idę, idę, ojczy! Nie fatygujcie się! - Lekko pchnął Debrena ku wyjściu. - Zaczekaj z Ammą. No, zmykaj.

- Mogę wziąć. - Debren wskazał sakwę. - Nie wypada tak z torbami po klasztorze...

Tak naprawdę chciał sprawdzić, czy oko go nie zawodzi i faktycznie sakwa schudła. Pirr nie dał mu jednak okazji. Uśmiechnął się wprawdzie życzliwie, ale ujął Debrena pod pachę i niemal wypchnął z izby.

- Już idę, ojczy, już idę!



„Tyle czasu zmarnowane dla sandałuf?”

Debren miał wyrzuty sumienia. Przynajmniej do chwili, gdy Pirr, trochę kuglarskim gestem, wyciągnął z węzełka kolejną parę mnisiego obuwia i z żartobliwym, dworskim ukłonem podsunął dziewczynie.

- O tobie też pomyślałem, dzielna amazonko.

Debrenowi, który swoje sandały zdążył założyć, od razu ubyło z tuzin funtów. Poczul się lżejszy, mniej zmęczony i zdolny do trochę bardziej heroiczych czynów.

Chociaż, prawdę mówiąc, wolałby pozostać boso, ale po tamtej stronie bramy. Kamienny kompleks eremu kojarzył się miło z warownym zameczkiem, a nie ma to jak zamek, gdy dookoła włączają się smoki, biesy i łotrzykowie.

„Dla mnie?” - upewniła się Amma. Pirr, nadal uśmiechnięty, trwał w skłonie, więc mimo gniewnego marszczenia brwi starała się pisać szybko. - *„Obejdzie sie.”*

- Nie uchodzi iść na smoka bez ciżem. Jak ty go zabijesz, będą się z biedaka naśmiewać, że go bosonoga dziewczka pokonała, a jak on ciebie, to z twej głupoty.

„Nie wypada, by dziewczyna od męszczyzny brała w prezencie

ubiory, ktore do gołego ciała pszylegajom."

Debren znał tę zasadę, choć w Lelonii najpierw wojenna bieda, a potem wprowadzenie demokracji mocno ją stępiły. Nawet surowi rodzice nie wypominali córce, gdy zamiast tradycyjnej chusty, czepka lub korali wzięła od adoratora onucki czy kalesony. Z bielizną bywało krucho, a ciała bliższa koszula niż frymuśne ozdoby.

- Jaki tam ze mnie mężczyzna - poszerzył uśmiech Pirr. - Jestem jeno garbatym prawnikiem.

Debren zyskał pewność: od jurysty zalatywało winem. Cóż, dziwne by było, gdyby przeor nie podjął ważnego gościa poczęstunkiem. Ale Amma na pewno nie piła. Dlatego zaskoczyły go jej słowa. I jej rumieniec.

„Głópiś, Pirr. Niewielu menszczyzn ci w Triklej dorówna. Albo i rzaden. Sam na stado biesuf ruszyłeś."

Czerwieniła się coraz mocniej, trzymając tabliczkę i pozwalając czytać im obu, lecz nie uległa pokusie i nie schowała jej czym prędzej. Też wyczuła, że Pirr sobie gołnął, i uznała, iż potrzebuje więcej czasu. Bo faktycznie potrzebował. Gapił się na runy jak wielbłąd na dekturańskie hieroglify.

W końcu nawet Debrenowi zrobiło się nieswojo.

- To załóż te ciżmy - mruknął.

„Nie bieżę się takich prezentuf."

- To nie prezent. - Pirr stanął w końcu prosto. Ręki z sandałami jednak nie cofnął. - Bez obaw, baronowi do rachunku... - ugryzł się w język i szybko poprawił: - To znaczy: tobie dopiszę. Do swego honorarium.

Dziewczyna po prostu ujęła wodze karosza i ruszyła drogą, którą tu przyszli. Nie było w tym gniewu, ale Pirr tak to chyba odebrał i natychmiast pospieszył za nią. Zanim przypomniał sobie o odstawionej na ziemię sakwie, Debren miał ją pod pachą. Dotarli na

skraj lasu, nim garbus odzyskał właściwy sobie dar wymowy.

- Zróbmy tak: póki jedziesz wierzchem, sandały jadą w jukach. Może i dobrze, bo nogi, widzę, zdarłaś, a lepiej się goi bosa niż w ciżmie. - Amma stanęła, jakby zdziwiona zerknęła w dół, na zakurzone stopy. - Ale gdyby ci przyszło iść pieszo, to ubierzesz je, obiecaj.

„*Właśnie ide pieszo*” - zauważyła przytomnie.

- No to dalej pojedziesz. Tylko Debren sakwę przytroczy. Dawaj, Debren. Późno się robi, musimy przyspieszyć.

Debren zawiesił przy siodle dawny skarbczyk Purchawca. Po raz kolejny upewniając się, że w bibliotece uległ złudzeniu i sakwa jest wypchana równie mocno jak przedtem. Co prawda kształt jakby się zmienił, pokrywa wybrzuszała się nieco inaczej, ale oznaczało to tylko, że zawartość się poprzesuwała.

Mocując sakwę, przypadkowo zerknął do drugiej, w której Pirr upychał właśnie sandały.

- Bukłak? - zdziwił się. - Myślałem, że rzuciłeś...

- Dwa wożę - mruknął garbus. Zaciągnął ramię i dopiero po chwili, już z uśmiechem, dodał: - Święcona woda dobra na biesy, ale do picia wolę wino.

Uniósł strzemię, popatrzył na Ammę. Ku zdziwieniu Debrena, posłusznie skorzystała i z siodła, i z pomocy. Nie byłby sobą, gdyby nie zerknął na podbicie bosej stopy - z tej perspektywy wydawała się szczególnie urodziwa, choć też brudniejsza - odnotował więc, że Amma faktycznie pozdzierała pięty, a Pirr nie próbował jej dotykać, przytrzymując strzemię.

Zastanawiał się potem, czemu w ogóle o tym pomyślał. Bo pochwaliła garbusa za bycie męskim? Cóż w tym dziwnego? Faktycznie sporo ryzykował, przedzierając się do obleganej beczki. Co prawda Debren podejrzewał, że sprawę załatwił smok i kiedy

prawnik ruszył na odsiecz, żółwijce właśnie zmykały do nor - ale ostatecznie przeciw smokowi bukłak z wodą święconą to też marna broń. Pirrowi należały się słowa uznania. Ale oboje byli, jacy byli, i nie miał powodu podejrzewać, że ratowana zacznie teraz podtykać ratującemu swe kobiece wdzięki, a on - korzystać z podtykania.

Dżuma i syfilis - czyżby był zazdrosny?

- Pójdziemy przodem i żaden się nie obejrzy - usłyszał łagodny głos Pirra. - Jedz śmiało.

Wyniesiony z klasztoru wężulek oprócz sandałów zawierał też bochen chleba i pęto kiełbasy. Jak przystało na anvaski wyrób, prawie nie pachniała wędzeniem, ale wyglądała świeżo i apetycznie, toteż Debrena nie zdziwił potakujący ruch dziewczęcej głowy. Amma nigdy nie odmawiała, kiedy dawali jeść.

Wzięli z Pirrem dwie trzecie bochna, mniej, bo połowę kiełbasy - tak się jakoś tamtemu odłamało - i wysforowali się kilkanaście sążni przed konia.

- Nie zostawaj w tyle! - rzucił prawnik, demonstracyjnie nie oglądając się przez ramię. - To dziki las!

Pewnie miał rację, bo zaraz na początku na drogę wylazł dorodny basior, postął chwilę, powęszył i dopiero po namyśle zrezygnował ze skoku do gardeł, względnie przegryzanych chlebem kiełbas. Ale Debrenowi las się podobał. Wiekowe buki, jesiony, cisy i dęby wybujały wysoko, pozostawiając pod koronami dostatecznie wiele miejsca dla miękkiego, popołudniowego światła - i kolejnego piętra roślinności, które w lełońskiej puszczy nie wyrosłoby wyżej bioder, stłamszone posępny cieniem i tabunami chojaków. Łagodny klimat Wysp sprawiał, że królowały tu gatunki liściaste, pewnie bardziej kłopotliwe w roli budulca lub opału, lecz cieszące oko bogactwem kształtów. Większość takich jak ten starych lasów padła niestety pod toporami drwali i dopiero w okolicy klasztoru Debren

zetknął się z anvaską puszcza w jej pierwotnej postaci.

- Kurki - wskazał kielbasą gromadkę żółtych kapeluszy, wychylonych śmiało z trawiastego pobocza. Nie znał ich anvaskiej nazwy, ale od czegoż staromowa?

- Grzyby - przytaknął Pirr.

- O, a tam rydze.

- Nie, to też grzyby.

- Nie jadasz ich, co? - domyślił się Debren.

- Grzybów? - zdziwił się garbus. - Nie jestem pustelnikiem. Zresztą - dodał po namyśle - i oni trujących nie jedzą. Tylko te z wypukłym łbem, wiesz, takie...

- Prawdziwki? Podgrzybki? Kozaki?

- Debren, to nie Marimal - uśmiechnął się Pirr z pobłażliwą wyższością. - Nie mamy stu nazw dla stu gatunków żab, ślimaków, robaków, grzybów i innego paskudztwa, które oni zwą jedzeniem. Bo i po co? Patrz lepiej w niebo, niż w trawy.

- W niebo? - Debren naturalnie popatrzył, ale zaraz potem posłał pytające spojrzenie Pirrowi. Ten jednak nie spieszył się z wyjaśnieniami. Poczekał, aż dziewczyna skończy jeść i dołączy do nich.

- Może powiesz Ammie, co wyczytaliśmy w księdze.

Debren zdążył się domyślić, o co chodziło z tym niebem, ale właśnie dlatego próbował cytować *Smoki w dziejach Anvashu* możliwie dosłownie. Ciekaw był, co o tym myśli Amma. Sama, bez jego podpowiedzi.

Okazało się, że ich myśli pobiegły podobnym tokiem.

„Elf ktury latał?!!” - Podkreśliła całość, jakby niepewna mocy run wykrzyknika. I dopisała: - „Keloalen?”

- Teoretycznie... Cóż, elfy żyją setki lat. - Pirr drapał w zadumie brodę. - On niby młodo wygląda, ale...

- Do opisu nie pasuje - zauważył Debren.
- Bo garbić się przestał? Przez dwa wieki można krzywy grzbiet podleczyć. Zwłaszcza magią.
- Mówię o stworze z inicjału.
- Inicjał? To tylko ozdoba. Wymyśl kopisty.
- A jeśli nie?
- Cóż... Zakładamy, że sokół Keloalena lub on sam w co innego się zmieniają. Więc czemu nie w takie jak na obrazku dziwadło?
- Elf? W taką paskudę? Elfy zbyt cenią piękno. Zresztą czytałem o lataniu elfów. Ich największych magów, konkretnie. Tak naprawdę to nie lot, a jedynie krótka lewitacja zakończona ślizgowym szybowaniem. Nie używają skrzydeł, tylko specjalnych płaszczy, które...
- A ja czytałem, że świat jest kulisty. I w dodatku się kręci. Daj spokój, Debren. Jeden mędek napisał, że świnie, za przeproszeniem, pierdzą i się od tego klimat ociepla, przez co nasze prawnuki żywcem się usmażą, tak gorąco będzie. Postulował, by na wegetarianizm przejść. Żyjemy w epoce fantazjujących uczonych, którzy coraz dziwniejsze teorie wymyślają, byle się wybić i grantów od króla nachapać. Magii elfów żaden dotąd nie zbadał. A poza tym nigdzie nie jest powiedziane, że Ostrouchy Zbawca wyglądał tak, jak go widzieli. Bo od czego iluzja?
- Po co by miał Kort udawać cudaczną rzeźbę z dachu?
- Bo elfa latacza na stos by posłali.
- Przecież odleciał i nie wrócił.
- Tak; gdy już pół grodu go ujrzało, jak szybuje smokowi naprzeciw. Ale skąd wiesz, czy wcześniej nie lubił polatać? Na handlu się dorobił. Pewnie właśnie dzięki temu, że potrafił wleźć na dach i dolecieć pierwszy tam, dokąd inni wpadali dużo później na zziąjanym koniu. Nocą startował, ale i nocą można zostać

zauważonym. Więc sobie gargulców nastawiał, ile wlezie. Nawet gdy go kto wypatrzył, mógł myśleć, że to przywidzenie i po prostu rzeźbę widzi. A gdy innym opowiedział, to go od pijaków wyśmiali.

„Manufakturnik Veror tesz ma gargulce.” - Amma sprawiała wrażenie przejętej. - „Myślisz rze to elf?”

- Z taką gębą i brzuchem? - roześmiał się Pirr. - W życiu. I Veror akurat za smokiem nie przepada.

Nie powiedział tego w żaden szczególny sposób. A może? Debren nie miał pewności.

- A ktoś przepada? - Uniósł brwi. Prawnik poprzyglądał mu się, jakby zdziwiony pytaniem. Potem jednak zmienił minę na zadumaną.

- Wiecie... może wielkiego sensu to nie ma... Ale jak widzę ten las wokół - zatoczył dłonią - te drzewa, pewnie pamiętające początki królestwa... Bo z czego elfy słyną?

„Z órody” - Amma miała smutek w oczach.

- Z miłości do natury? - upewnił się Debren.

- Właśnie. A ta puszcza nadal tu rośnie, bo jej smok strzeże. Kiedy go zabraknie, przyjdą drwale. Wielu inwestorów ostrzy sobie zęby na rezerwat. Veror, przykładowo. W swojej manufakturze buduje nowoczesne pasażerskie fury i karety, do szybkiej jazdy, oraz ciężkie podwozia do machin obłęźniczych. Jedne i drugie wymagają dobrych dróg, więc marzy mu się porządna furostrada, która połączy Trickley z królewskim traktem Tymburk-Conshonia. A tędy powinna przebiegać.

- Elfy bronią lasów - myślał na głos Debren. - Smok też, choć bezwiednie. Czyli smok jest sojusznikiem elfów. Czyli Keloalen... - zaciął się. - No właśnie: co Keloalen? Bo jeśli ten jego sokół albo on sam w gargulca się potrafi przeistoczyć...

„Bronił nas?” - W spojrzeniu Ammy nadzieja mieszała się z

niewiarą. - *„Na dahach, pszy bramie? To on?”*

- Co się stało przy bramie? Debren?

Debren opowiedział. O potyczce ze strażnikami i kamieniu, który spadł na głowę łucznika, ratując mu życie.

- Jajowaty, czarny, w środku zwężony - podsumował Pirr. - Zetknąłeś się wcześniej z podobnym?

- No... u burmistrza.

Zrelacjonował więc i rozmowę w ratuszu, pomijając tylko niektóre szczegóły objęte tajemnicą czarodziejską.

„Dziwne. Jak bórmiszcz hce cie z dziewicom do smoka posłać, to by jom raczej opozycja prubowała zatszumać. Albo i zabić. Oni dla władzy fszystko zrobiom, politycy.”

- Ten od kamiennych jaj zabić was nie chciał - orzekł stanowczo Pirr. - Na odwrót, ratował. Czyli to nie robota liberałów. Ale... Keloalena to wcale nie wyklucza. Z elfa nigdy nie będzie rasowy liberał.

- Dlaczego? - O tym Debren nie słyszał.

- Liberał wyznaje zasadę: „Bliźniemu zabierz, ile zdołasz”, a elf: „Pomagaj z całych sił”.

- To tak jak u nas - ucieszył się. - W demokracji.

- W demokracji, Debren, obowiązuje reguła: „Obiecuj z całych sił”. To nie całkiem to samo. Dlatego demokracja trzeszczy w posadach, a elfy jakoś się trzymają. Choć mało ich, słabsze od nas, przyzwoitsze i teoretycznie dawno powinny wyginać jako gatunek.

„Pomagaj z całych sił? O czym ty gadasz, Pirr? Pszeciesz elfy som złe.”

- Dobro, zło... To bez znaczenia. Interesy się liczą. Jeśli Keloalen uznał, że w interesie elfów jest, byś dotarła do smoka, będzie cię bronił. Zwłaszcza że... no, poniekąd jesteś jedną z nich.

- Uważasz - podsumował Debren - że to on jest tym niby-aniółem

Ammy?

- To jedyne racjonalne wyjaśnienie, jakie mi przychodzi na myśl. Nie upieram się, po prostu nie widzę innego.

„A anioł?” - zapytała Amma bez przekonania.

Pirr zwlekał z odpowiedzią. Z każdym krokiem jego nieproporcjonalnie wielkich stóp Debrenowi serce podchodziło odrobinę bliżej gardła. Czuł, że nie spodoba mu się to, co usłyszy.

- Nie chcę być niedelikatny - jurysta nie patrzył na dziewczynę - ale rezerwat już niedaleko. I chyba czas, by o tym pomówić. Ze względu na Debrena.

- Na mnie?

- Do tej pory naraził się anvaskiemu prawu tylko przy Bramie Piwnej. - Pirr nadal zwracał się do Ammy. - A to można załagodzić. Jeśli baron potwierdzi, że go jako eksperta wezwał, wina spadnie na strażników. Bo śpieszącego na ratunek eksperta mieli obowiązek przepuścić.

- Baron? Niby czemu miałyby...?

- Bo powiem, że próbowałeś mu przysługę wyświadczyć i zaprowadzić Ammę na zamek. Zresztą - w końcu skrzyżowali spojrzenia - nie skłamię, prawda?

- Sam mówiłeś... Nie przeżyłaby chłosty. To co miałem...?

- Nie tłumacz się. Wiemy, że dobrze jej życzysz. Pytanie, czy ona tobie też. - Dziewczyna drgnęła, lecz nie próbowała pisać. - Czy pozwoli ci odejść, czy pociągnie za sobą na śmierć. A co najmniej w ciężkie kłopoty.

- To moje życie - zaczął Debren - więc to ja...

Zamachała ręką, dając znać, by umilkł. Szybko napisała na tabliczce: „Do czego zmieżasz, Pirr?”

- Próbuję ustalić, co chcesz zrobić, kiedy już dotrzesz do smoka. Od tego w ogóle - popatrzył mało przyjaźnie na Debrena - należało

zacząć.

- O czym tu gadać? - rzucił wyzywająco Debren. - Amma idzie smoka zabić.

- Aha. A ty uwierzyłeś w jej sukces i dołączyłeś, by się na łupach wzbogacić. Za kretyna mnie masz?

„Dłóg ma, to dołonczył” - broniła Debrena Amma.

- Jaki dług? - parsknął Pirr. - Życie ratowane? Głowę dam, że żadne z was już nie umie porachować, które któremu ile razy zadek ocaliło. Za dużo trupów za sobą zostawiliście, by takie długie miały jeszcze sens.

Miał rację, ale Amma nie kapitulowała.

„Orenżem go sterrorowałam. Że w łeb palne, jak nie bendzie mi postószny.”

- I myślisz, że ci wierzy?

- No, na początku... - bąknął Debren. I już pewniejszym tonem dodał: - A potem parol jej dałem. Więc teraz...

- To cofnij. Parol dany pod przymusem rycerz może w każdej chwili wycofać. Jedyne warunki, to by o tym biorcę słowa uprzedził w sposób honorowy.

- Honorowy? - podchwycił. - Czyli jak?

- To proste. Jeniec ma obowiązek wymówić parol dobę wcześniej. Tę dobę biorca parolu wykorzystuje, by się do powtórnej walki uszykować lub jeńca do lochu wtrącić, zakuć albo skępować. Względnie, gdy ginie albo nie jest obecny, by się ustaliło, kto po nim parol przejął i by ten z kolei mógł stosowne kroki przedsięwziąć. Bicie czy okaleczanie jeńca z miejsca parol anuluje. Zrozumiałeś?

- To głupie - uznał Debren. - Bo założmy, że słabszy silniejszego bierze do niewoli. Zdarza się w wirze walki. Albo, przykładowo, gdy szermierz na łucznika trafi. Szans nie ma, więc się poddaje. Daje parol, idą gdzieś we dwóch, a on nagle mówi, że mu się

odwidziało...

- Wtedy go łucznik wiąże.

- A jak nie ma czym?

- Cięciwą. Mądry łucznik zapasową nosi.

- Zgubił. - Debren posłał oponentowi wyzywające spojrzenie. - W boju stracił. Nie jest mądrym łucznikiem.

- To łyko - Pirr trącił butem mijany krzak - wycina. I nim jeńca krępuje. Albo pasem. Rzemieniem od ciżem. Koszulą podartą.

- Boso jest. W sukience, której nie zdejmie, bo z łuczniaka kobieta. Noża nie ma, więc łyka nie natnie.

- I o tym - uśmiechnął się Pirr - pomyślano. W tak fatalnych okolicznościach wolno jeńca zastrzelić.

- Jak to? Bezbronnego jeńca? I to ma być honorowe?

- Tak, bo w walce też by go łucznik zastrzelił. Zresztą kodeks dopuszcza taki wariant tylko wtedy, gdy jeniec się upiera przy cofnięciu danego słowa, a biorca parolu wyraźnie uprzedzi, że nie ma innego wyjścia.

- Nie wierzę, Pirr. Nie wierzę, by rycerze uważali za honorowe zatłuc jeńca łukiem albo udusić cięciwą.

- Mówiłem o zastrzeleniu.

- Łucznik pogubił strzały. Albo po drodze zużył.

- No to jeniec byłby skończoną świnią, wymawiając parol takiemu bezbronnemu. A świni zatłuczenie słusznie się należy. Nie kombinuj, Debren. Nie powiem, kroniki rycerskie pełne są interesujących precedensów, bo życie obfituje w zadziwiające sytuacje. Nie zawsze da się sztywne reguły zastosować. Ale nie zapominaj, że o rycerzach mówimy. I honorze, do którego zawsze się można odwołać w razie wątpliwości.

- Nie ma między nami żadnego rycerza.

- A ilu jest pozbawionych honoru? No, podnoście ręce.

Amma zawahała się, po czym uniosła lewą. Prawą zaczęła pisać. Podciągnęła wysoko nogę, by podeprzeć tabliczkę, więc choć suknia za wiele nie odsłoniła, widok zrobił się ciekawy. Pirr i Debren, zamiast protestować, zagapili się na jej kolano i kawałek uda.

„Ja hyba nie mam, bom prostaczka.”

- Masz - powiedział z przekonaniem Pirr. - I to całkiem rycerski. Dlatego Debrena nie zastrzelisz, nawet jak ci parol cofnie. To po pierwsze.

„A drógie?”

- Po drugie, to marna szansa, by dał ci się zastrzelić z tego gnomowego dziwadła. Starczy, że splunie na panewkę. To tam - dostrzegł jej pytające spojrzenie - gdzie się podsypuje jednosiarokodwuwęglodrewnian saletry.

- Znasz się na arbaletach prochowych? - zainteresował się Debren. Pirr zawahał się. - A... aha.

„Co aha?” - Amma nie zrozumiała, czemu nagle obaj sposepnili. Żaden nie odpowiedział. - *„No?!”*

- Debren - mruknął jurysta - stara się nie wywlekać tego, że Ruutena znałem. Na tyle dobrze, by mi się zdążył pochwalić króciwą. Ale nie ma co owijać w pakuły. No więc pracowałem z nim. Dla barona. Przez gołębie się kontaktowali, ale czasem miałem coś gnomowi przekazać, bo barona szlag trafiał od tej rysunkowej korespondencji.

Chyba nie ściągnęła wodzy. Debren odniósł wrażenie, że karosz sam stanął. Jakby wyczuł, że coś ważnego zaszło między ludźmi.

„Ty Rutena nasyłałeś, by mnie gnembił?”

Nie od razu odpowiedział.

- Nie całkiem. Wybacz, że to mówię, ale... Wiedzieliśmy, że czasem... no, kradłaś. - Amma poczerwieniała. - Po tym, jak barona wybroniłem, nie mieszał mnie w swoje z tobą sprawy. Ale ktoś cię

przyuważył na kradzieży. Już po tym, gdy się słuchy rozeszły, że Ruuten w imieniu barona ma cię na oku i daje ci w kość. Tylko dlatego drabieria cię nie aresztowała. Chcieli to po dobroci z baronem załatwić. I załatwili. Za moim pośrednictwem. Więc potem, przy kolejnych skargach, już zawsze to ja musiałem negocjować. No i sprawdzać, czy faktycznie Amma kalesony skradła i obierki wieprzkom z koryta, czy tylko ktoś próbuje barona na odszkodowanie naciągać.

- Głodzili ją - rzucił przez zęby Debren. - Gnom trochę, a jej ojciec do bólu. Z głodu by zmarła i zimna, gdyby nie... Wolę wierzyć, żeś o tym nie wiedział.

- A ja wolałem nie wnikać w szczegóły. Nie pytałem Ruutena, co i jak. Bo widzisz, bez protekcji barona dawno by mnie nie było w Trickley. Mówiłem ci, że w hrabstwie mamy tylko trzech jurystów. Sędziów i oskarżycieli nie liczę. Nowi... jakoś miejsca nie zagrzewają. No więc jeden z tych dwóch pozostałych zarzucił mi, że to ja napływowych mecenasów odstraszam.

- A odstraszasz? - Debren najchętniej przyłożyłby mu czymś po łbie.

- Łajdak dowodów nie miał, więc wytoczył najcięższą balistę i zarzucił mi, że człowiekiem nie jestem.

- Co? Jak to: nie jesteś...?

- To niby nic takiego, bo król prowadzi politykę asymilacji i mniejszości też się do palestry dopuszcza. No, oprócz kobiet. Ale to nie mniejszość, a większość, więc pod politykę mniejszościową nie podlegają. Problem w tym, że każda mniejszość ma parytet w cechach i gildiach. I to ona wystawia kandydatowi zaświadczenie o przydatności. A mnie oskarżono o bycie krasnoludem.

- Ciebie?! - Debrenowi nie chciało się wierzyć.

- Wysokim, ale jednak. Bo stopy mam wielkie i brodę noszę. Z

krasróludami by się dało załatwić, by mnie za swego uznali. I tak na jurystów się nie pchają, bo im wstyd przed krewnymi. Więc miejsca ze swej puli za grosze by sprzedały. Ale potem musiałbym stanąć przed ludzką komisją. Gołego by mnie oglądali, mierzyli, zaglądali gdzie tylko wlezie i ustalali przynależność gatunkową.

„*Fstydzileś sie.*” - Amma, o dziwo, patrzyła na niego niemal współczująco.

- To też. Ale... No, Debren pewnie sam wyczuł. Twarz mam od urodzenia oszpeconą. Bez iluzji fatalnie wyglądam. Jak do tego garb dodać... - uniósł dłonie, tradycyjnie skryte w rękawicach - liszaje na rękach, stopy... Starczy odrobina złej woli, a nawet w miarę rzetelny medyk podpisze się pod stwierdzeniem: „Odbiega od normy przewidywanej dla gatunku ludzkiego”. To samo niestety z gatunkiem krasróludzkim i każdym innym. Zostałbym wydalony z palestry, a kto wie, może i uznany za biesa. Liczna mniejszość to mniejszość, przywileje nawet miewa, ale jak kto inny w pojedynkę, to od razu potwór. Krucho ze mną było. I właśnie baron przyszedł mi z pomocą. Użył wpływów i oskarżenie oddalono. Ale ten, co skarżył, żyje i nadal dostaje ode mnie baty w sądzie. Muszę więc przyjaźń z baronem podtrzymywać albo się stąd wynosić.

„*Nie wiedziałam.*” - Teraz już otwarcie mu współczuła.

Debrena trochę to złościło.

- To się mogłeś wynieść. Taki świetny mecenas wszędzie sobie poradzi.

- Łatwo powiedzieć. Mam... powiedzmy: zobowiązania. Są w Trickley osoby, którym byłoby ciężko, gdybym musiał wyjechać. Jeno nie pytaj o szczegóły.

- Co za osoby?

- To właśnie ten szczegół, o który miałeś nie pytać. Ale skoro się upierasz... Mój stary, zniedołężniały stryj. Beze mnie długo nie

pociągnie. Z niczym sobie już porządnie nie radzi, biedaczysko. No i, powiedzmy... Amma.

Brwi dziewczyny powędrowały wysoko.

- No tak - zakpił Debren - zapomniałem. Przed drabami jej bronisz. Bo dyszą ochotą schwywania zbrodniarki, co to okrada nieszczęsne świnie. Z samym Cherlakiem Shomsem się konsultują, tak nabrzmiały to problem.

Pirr posłał mu chmurne spojrzenie.

- Baron znaczy tu wiele, ale też ma potężnych wrogów. Verora choćby. Nie dość że liberał, to jeszcze wpływowi lobbysta, który na dworze zabiega o ukołowanie armii. Wiesz: wozy bojowe, rydwany i takie tam zamiast tradycyjnej jazdy rycerskiej. Baron naturalnie zwalcza tę ideę, a Verora najchętniej na pal by nadział. I z wzajemnością. Pan furmistrz już dwa razy próbował Ammę w poważne przestępstwo wmanewrować. Gdyby nie śledztwo Ruutena i moja interwencja, trafiłaby do lochu. Może nawet do kata, na ciężkie przesłuchanie. A Veror mógłby sprawdzić, czy się w ten sposób nie da barona zmiękczyć. Na szczęście nie jest pewien, czy tamten bardziej by się z torturowania Ammy ucieszył, czy zmartwił, więc nie przesadza z zabiegami. Ale rękę na pulsie stale muszę trzymać.

„Broniłeś mnie?”

Debren jęknął w duchu. No nie: miała łzy w oczach!

- Baronowi się wysługiwał - rzucił zjadliwie.

- To prawda, Ammo - wspomógł go, o dziwo, Pirr. - Nie jestem dobrym człowiekiem. O swoje interesy dbam, i tyle. Jedyne życzliwy, jaki ci się w życiu trafił, to Debren. Dlatego pytam, czy chcesz go do zguby przywieść.

Pokręciła przecząco głową, nim jedyny życzliwy zdążył się zdziwić. Chusta aż zafurkotała z przejęcia.

„Rzycie za Debrena oddam.”

- Starczy, że przestaniesz go do grobu wpychać.

Znów miała mokre oczy. Właściwie od tych samych łez, bo nie zdążyły wyschnąć. Ale wyglądały inaczej. Rozmigotane pod łzami wzruszenie zastąpiła rozpacz.

„To co mam zrobić? Sama do smoka nawet nie dotre. Mam wracać do Triklej i na ulicy zdychać?”

Debren miał w ustach: „Nie wtrącaj się, Pirr” - ale milczał. Tamten robił to, co on sam powinien robić, gdyby miał odrobinę sumienia i pomyślał o rodzinie.

Czuł się podle. Ale też czuł ulgę.

- Zaczniemy od tego, po co chcesz tam dotrzeć. - Pirr umiejętnie połączył rzeczowość słów z łagodnością tonu.

„Jeszcze nie zdecydowałam. Hciałam o tym z kimś pomówić. I o smoka wypytać, czy durzy jest. Bo małego morze z krucicy da się ubić.”

- Wątpię. Wiesz, jak nazwał krócićę gnom Pistolo, jej wynalazca? „Proca dymna”. Bo miotała pociski z siłą procy, tyle że dymiąc i z hukiem. Gnomy tylko dlatego eksperymentowały latami z tak nieperspektywnym orężem, że w ich jaskiniach na procę jest zwykle za ciasno, a o drewno na strzały czy bełty trudno. No i dlatego, że to słaba rasa, a do napinania cięciw potrzeba sporo siły. Zwłaszcza gdy o władzę nad światem podziemnym konkuruje się z krasnoludami. Owszem, potem gnomy udoskonaliły proch i dalej go doskonalały. Dziś już można, nie ośmieszając się, ciężki oręż palny arbaletem nazywać, a są i konstrukcje, które przebijałnością dorównują kuszy bełtowej. Ale twoja króćica to odpowiednik mocnej procy, nic więcej. A nie słyszałem, by ktoś smoka z procy zabił.

„Jak w oko stszelić, to morze sie uda.”

Pirr pokręcił głową.

- Nie tak to zaplanowałaś - orzekł. - Więc jak?

Długo wstrzymywała się z pisaniem.

„Kiedy smok żonda dziewczicy, to się posyła ryceża albo dziewice. Rzeby zabić albo spełnić żondanie. Nie wiem, kturom role wybiorę, ale na obie jestem gotowa.”

Debren czekał na śmiech, na szydercze zestawienie walorów bojowych rycerza i chudej panny. Ale Pirr zrobił coś gorszego: wymownym spojrzeniem przekazał mu głos.

Cóż... Nie mógł udawać ślepego. Ani głupiego.

- Rola dziewczicy? Czyli... co chcesz zrobić?

„Oddać mu się. Na zjedzenie, na poślubianie, niewarzne. Zrobi ze mną co chce. Ale też dostanie czego chciał i grodowi da spokój. Uratuje wielu łódzi.”

- On cię zabije.

„Morze nie.” - Chyba naprawdę w to wierzyła. Słabo, ale jednak. - *„Chce dziewczicy. Pomyśl. Jak masz ochotę zjeść kure czy świnię, nie pytasz o jej cnotę, prawda?”*

- To smok - powiedział cicho Debren. - Istota o odmiennym od naszego umyśle. Dziwna. Niepojęta. Skąd wiesz, że mu nie chodzi po prostu o czystość posiłku? - Czekala na więcej, więc przełamał się i dodał: - Niejeden mężczyzna też uzna niewiastę za brudną i niegodną, jeśli wcześniej z innym... A przecież nie chce jej zjadać, do ust brać, jeno... no wiesz.

Posłała mu wrogie spojrzenie, należne ludziom, rozwiewającym resztki nadziei.

„Głópoty gadasz. To gad. Całom mnie zje, jakby co. Z sikami i łajnem, i fszystkim co mam w środku. To co mu za różnica, czy ktoś mnie pszettem wyhendożył?”

- Ammo... - Pirr wahał się; też wyraźnie walczył ze sobą. - Nie przeżyjesz spotkania ze smokiem. Jeśli na to liczysz, lepiej od razu

zawrócić. Spróbuję... no, jakoś ulżyć twemu życiu w Trickley. Teraz, gdy Ruuten nie żyje, łatwiej mi będzie.

- Co ma do tego Ruuten? - zapytał Debren.

- Nie był z niego Cherlak Shoms, ale wiedział, co w rynsztoku piszczy. Zorientowałyby się, że ktoś Ammie pomaga. Nie mogłem... a po prawdzie i nie chciałem. - Uśmiechnął się blado do dziewczyny. - Narazić karierę dla zarozumiałej smarkuli, która z góry patrzy na wszystkich mężczyzn, bo umyśliła zostać baronową? Wybacz, ale taką cię znałem. Po cycki do krowy mnie odesłałaś.

Odpowiedziała równie bladym uśmiechem.

„A ja cie za thurza miałam. Tośmy kwita.”

- Ten Bryberykanin, co? - pokiwał domyślnie głową.

- Jaki Bryberykanin? - podchwycił Debren. Wolał zmienić temat. Wizja Ammy pięknej, lecz wyrachowanej, chciwej złota i zaszczytów, zbytnio go przygnębiała.

- Podawał się za wójta, który w Nowym Świecie miasto ma posadzić. W zdrowej okolicy, z dala od dzikich tubylczych Denarian. I szuka żon dla osadników. Bo kawalerów na schwał zdążył już zbierać. Samych kowali, oberżystów, młynarzy i tak dalej. Czyli majstrów, którzy żonie dobrobyt zapewnią. Młodych i przystojnych w dodatku. Za późno się dowiedziałem, zdążył Ammę na listę wpisać. Poszedłem do gospody, w której werbowałem, zacząłem wypytywać. Co, gdzie, jak, za ile, czy papiery jakieś ma. I czemu niewiasty bierze jak leci, na urodę nie patrząc. To niby w dobrym świetle go stawiało, bo widać, że nie naganiacz z zamtuza. Ale od żony też się jakiegoś minimum wymaga.

Debren zerknął ukradkiem na Ammę. Nie sprawiała jednak wrażenia dotkniętej.

- Naprawdę szpetne przyjmował. - Pirr zrozumiał wymowę spojrzenia. - Nie mówię o Ammie. Z nią się ugadali, że nositacką

zostanie, a nie młynarzową czy piwowarową. Czyli przyszłość naświetlił realistycznie. Żadnych cudów i ksiąząt z bajki. Trudno mieć żal, że mu uwierzyła.

- Ale... nie był wójtem? - domyślił się Debren.

- Papiery miał legalne. Każdy inwestor łąze, ile wlezie, i cuda obiecuje, więc mógł faktycznie zbierać osadników. Ale czułem, że nie dla siebie. Za mało wybrzydzał. I za bardzo unikał rozmowy o szczegółach. Do tego stopnia, że wziął mnie za kołnierz i wywalił z gospody. - Pirr zerknął na dziewczynę z porozumiewawczym uśmiechem. - To dlatego Amma za tchórza mnie ma. Bo zamiast wrócić i po pysku mu nakłaść, pobiegłem po drabów.

- To... chyba dobrze?

- O tyle źle, że pan wójt upakował zwerbowane kobiety na fury i błyskawicznie wywiózł z grodu. Nim się drabieria zabrała do roboty, nim podjęła czynności, tamci byli już w Plotterby. Bryberykanin musiał mieć sporo za uszami, bo wynajął pierwszą jednostkę, jaka się trafiła. Starą rybacką łódź. - Pirr już się nie uśmiechał. - Stałem na pomoście, patrzyłem, jak je ładują. Kopę kobiet. Pięćdziesiąt osiem, dokładnie. Z Ammą. Tłum gapiów się zebrał, ludzie po głowach się stukali. Bo zmierzchało, o północy sztorm miał nadejść, a łódź ledwie z wody wystawała, kiedy wszystkie powsiadały.

- A właściciel łodzi? Nie protestował?

- W zastawie była, dłużnicy mieli ją przejąć. To czemu miał protestować? Wziął srebro i przepadł.

- No a ty? Nie próbowałaś...?

- Wygłosiłem z kei jedną z najpiękniejszych mów w karierze. Gdyby na sędziego padło... Ale Bryberykanin tylko szydził i pokazywał kobietom żagle na horyzoncie, mówiąc, że to jego statek, który je zabierze do Nowego Świata. I jak która nie chce, może wracać, wolna wola, tyle że drugi raz los się tak do głupiej już nie

uśmiechnie.

„I jeszcze kałcja przepadnie” - uzupełniła Amma.

- A, właśnie: brał po talarze od chętnej. Nie od wszystkich, bo część nie miała takich pieniędzy, ale akurat te, co nie miały, najbardziej się paliły do wyjazdu. A inne żałowały kaucji. No i żadna z łodzi nie wysiadła.

- Tylko Amma - domyślił się Debren.

„Tesz nie wysiadłam. Wyżucił mnie do wody.”

- Źle to wyglądało - przyznał Pirr. - Wiem. I przepraszam. Ale zrozum: jurysta nie może na oczach tłumu w bójki się wdawać i poważnych przedsiębiorców napadać. A on w świetle prawa takim pozostawał. - Odchrząknął i dodał: - Poza tym było ich razem trzech, uzbrojonych.

- No to jak...?

- Mowa jest srebrem, Debren, ale talary bardziej. Zapłaciłem. Utargował łajdak... no, sporo. Amma protestowała, więc ją wypchnął z łodzi i odpłynęli.

„A ja pszed całym Plotterbi na płatnom utszymanke wyszłam.” - Na wspomnienie jeszcze teraz potrafiła się z lekka czerwienić. - *„Fstydu sie wiencej nałykałam nisz tej wody z basenu. Hoć mało co bym utoneła.”*

- Zaraz tam utrzymanka... - próbował ją pocieszać Debren. - Może... wzięli was za zakochanych?

Oboje milczeli przez chwilę, wyraźnie skonsternowani.

- Wątpię - mruknął w końcu Pirr. - Zakochany raczej by skoczył tonącą ratować, a nie sięgał do sakiewki i krzyczał, że za ratunek zapłaci.

- Nie umiesz pływać - domyślił się Debren.

- Umiem.

„Fstydził sie” - oświeciła Debrena Amma. - *„Mieć utszymanke to*

nic chaniebnego. Ale do wody za takim skakać? Całe chrapstwo by z niego szydziło."

- Cieszę się, żeś w końcu zrozumiała - pochwalił ją Pirr. - Nie jestem tchórzem. Po prostu... Dobra opinia to połowa sukcesu jurysty.

- Gdyby utonęła, straciłbyś w oczach barona.

- Ale nie utonęła.

- A właściwie... dlaczego nie dałeś jej wyjechać? Ty miałbyś kłopot z głowy, a ona lepsze życie. Ludzie marzą o Bryberyce. Ci biedni przynajmniej.

Pirr ujął końskie wodze i ruszył w drogę. Przez chwilę wyglądało to nawet na ucieczkę przed odpowiedzią. Ale, jeśli już, uciekał przed spojrzeniami w oczy.

- Przeczucie, powiedzmy. Te kobiety nie dotarły do Bryberyki. Ani nawet na statek. Łódź zatonęła.

Po spojrzeniu Ammy Debren poznał, że dla niej to też nowina.

- Co się stało?

- Sztorm ich dogonił. Bo nie płynęli na żaden statek. Bryberykanin próbował przedostać się na kontynent, do Depholu.

- Dlaczego Dephol? Do Marimalu chyba bliżej by...?

- Bo to najbardziej tolerancyjny z viplańskich krajów. Pederastów nie kastrują, zalegalizowali tytoń, ateizm i eutanazję skazańców. A ostatnio wielożeństwo. Nie machrusan, ma się rozumieć. Ale pogański imigrant, Hinbarus, temmozanin czy Czarnolud z Yougonii, jeśli przybył z kraju, gdzie wolno posiadać więcej żon, ma do tego prawo i w Depholu. Byle się nie żenił z Depholką. Idea jest taka, by przybysze żyli sobie po swojemu, o ile tylko płacą podatki i nie szkodzą gospodarzom.

- A co ma do rzeczy...? Zaraz... Chyba nie chcesz powiedzieć, że te kobiety wieźli tam na żony dla temmozan?

- Dla temmozan nie - przyznał Pirr. - Dla Hinbarusów. Tak Bryberykanin zeznał.

- Zeznał?

- Wyłowiono go z morza. Już nocą. Jego jednego, cała reszta poszła na dno. Łajno, widać, ostatnie tonie.

- Łajno? - zdziwił się Debren. - No, rozumiem: doprowadził te biedne kobiety do zguby. Ale niechcący. I ostatecznie niczego strasznego dla nich nie chciał...

„*Nie?!!*” - zaprotestowała Amma. - „*Za pogan miały być wydane! Taka rzona poganina do piekła idzie!*”

- Nie przesadzaj. Obce kultury są odmienne od naszej, ale to nie znaczy, że gorsze. A już hinbaryjska... W szafasach jeszcze mieszaliśmy w Viplanie, gdy oni...

- Cywilizacja Hinbary budzi respekt i zdumienie - poparł go Pirr. - Ale ma też mroczne strony. Nie wiem, czy słyszałeś o tamtejszych obyczajach pogrzebowych.

- Palą zwłoki - pochwalił się wiedzą Debren. - A co zostanie, wrzucają do rzeki.

„*Od respektu i zdumienia słów mi brak*” - skomentowała Amma. - „*To ci kóltura. Usmarzyć trupa i ryby karmić.*”

- No wiesz... Nas po śmierci robaki zjadają. Można dyskutować, co lepsze. A trzeba przyznać, że na taki stos pogrzebowy idzie więcej drewna niż na trumnę. Do tego oleje, wonności, kwiaty... Przynajmniej nie da się powiedzieć, że skąpią dla swych zmarłych. U nas, w Lelonii, starożytni Gadacze też po śmierci spalali...

- Zmarłego - wszedł mu w słowo Pirr. - Choć w puszczech żyli i im na opale nie zbywało. Ale poprzestawali na małym jednoosobowym stosie, za co im chwała. Hinbarusi, niestety, mają nieładny zwyczaj posyłania w zaświaty nie tylko nieboszczyka. Dobrze jest widziane, gdy ulubiona żona płonie wraz z nim. A już najlepiej, gdy żywa.

Amma wzdrygnęła się, posłała Debrenowi pełne wyrzutu spojrzenie. Dżuma i syfilis... Tak jakby miał coś wspólnego z podobnym okropieństwem.

- Słyszałem o tym - przyznał. - Ale dziś już rzadko... To tak jak z tym koniem u starożytnych Gadaczy. Zmarłych wodzów palono z wierzchowcem. Martwym - dorzucił szybko, by Amma nie straciła dla niego resztek szacunku. - Ale, powtarzam, jeno ludzie naprawdę znaczni mieli tak drogi pogrzeb. Bo byle szkapa to był wtedy dużo większy majątek niż dziś najlepszy rycerski rumak. A w Hinbarze żona idzie w zaświaty razem ze zmarłym mężem... no, może raz na tysiąc pogrzebów? Albo i rzadziej?

- To prawda. - Pirr znów udzielił mu wsparcia. I znów, jak poprzednio, tylko po to, by zaraz potem pogrążyć. - Z tym, że to samej Hinbary dotyczy. Gdzie wdowa zwykle jest też matką, której synowie nie chcą palić. Ze swą wiedzą, umiejętnościami i darmową pracą jest też zbyt cennym domownikiem, by ją pochopnie z dymem puszczać. Zwłaszcza że jak już palą, to obyczaj nakazuje, by w całej swej biżuterii na stos weszła i w najlepszych szatach. Zapobiegliwe kobiety inwestują więc w ozdoby i nawet najbardziej wyrodny syn takiej łatwo nie spali. Bo niekiedy pół dorobku ojca by z dymem puścił. Masz rację, Debren, wystawny tradycyjny pogrzeb to luksus, na który mało kogo stać. Ale haczyk tkwi w tym, że Hinbarusi taki mają wzorzec udanego pogrzebu: by o wielkości zmarłego zaświadczyło całopalenie jego ulubionej żony.

- No dobrze - westchnął z rezygnacją Debren. - Z Bryberykanina był łajdak. Próbował Ammę wydać za przedstawiciela dziwaczного narodu. Ale Hinbarusi są ponoć dobrymi mężami. Nie zdradzają żon, nie biją...

- I w sztuce miłosnej przodują, co? - uśmiechnął się krzywo Pirr.

„*To hyba Marimalczycy*” - zaprotestowała Amma.

- U nas tak. Zwłaszcza gdyby ilością przechwałek mierzyć. Ale ja o teorii mówię. W Hinbarze już wieki temu spisano grubaśny traktat o tym, jak rozkosze z pożycia czerpać i współmałżonkom dawać. W tym kobiecie.

„Ale łrzesz. Toć ałtor takich plugastw wykłenty by został. A i sam Bóg by go od razu piorunem raził.”

- U nas tak. Choć zetknąłem się z przekładem. Zwie się... hmm... *Komusutka*. Nielegalny, oczywiście. Ale my o poganach mówimy. Którzy w Machrusa nie wierzą i na nic nie patrząc, czerpią z pożycia tyle rozkoszy, ile wlezie. Z tym że - uprzedził Debrena - w przypadku niewiast dotyczy to żon zdrowych, jurnych i żywych Hinbarusów.

- Hę?

- Mówię, że Amma ani żadna z tamtych pięćdziesięciu siedmiu nie zaznałaby komusutkowych uciech łózkowych.

- Dlaczego? - zapytał ostrożnie Debren.

- Bo Bryberykanin nie do łózek je chciał sprzedawać. No, może do poleżenia przez chwilę. Obok starego, konającego męża. - Debren poczuł, że blednie. - Teraz rozumiesz? Najnowsza żona, więc domniemanie, że ulubiona. Kupisz taką za nędzne grosze, spalisz, i wszyscy szczęśliwi. Pogrzeb piękny, zmarły godnie uczczony, wdowy żywe, biżuteria ocalona. Kochające rodziny i spadkobiercy odetchnęli z ulgą. Prestiż rodziny wzrósł.

Amma miała oczy jak dwie czarne dziury w białej jak płótno twarzy.

- Przecież... nie może być, by w Viplanie...

- W Depholu, Debren. Oni tam szanują odrębność kulturową przybyszów. Nie ingerują. Jeśli wdowa sama na skargę nie przybiegnie... A łatwo taką przypilnować, by nie biegała. Języka nie znając, zwykle nie wie, na co się zanosi. Okłamywać ją można,

upijać, narkotykami tumanić. Parę razy, owszem, wyszło na jaw, że imigranci takie rzeczy robią. Trochę było szumu, ale na koniec Depholcy uznali, że to nie ich sprawa. Skoro bowiem anvaska czy marimalska ładacznicą i łowczyni okazji wychodzi za bogatego starca, bez przymusu, z chęci łatwego życia, to to jej wyłączny problem.

„Podłe serożerne śfinie z tych Depholców!”

- Ale że on to wyznał... - pokręcił głową Debren. - Tu, w Anvaszu, to pewnie ciężkie przestępstwo. Może... może nie był złym człowiekiem i sumienie się w nim odezwało? W obliczu tragedii? Cudownie ocalony, wyznał winy i...

„Nie ma w śfiecie sprawiedliwości” - napisała wyraźnie rozgoryczona Amma.

- Wyznał - wzruszył ramionami Pirr - bo dostał bardzo porządny wycisk.

- Co? Jak to? Rozbitek? Od kogo? - Debren sam sobie odpowiedział: - To wierzyciele od łodzi, tak? - Pirr milczał. - Zobaczyli, że odpływa ich własnością, ruszyli w pościg i dzięki temu ocalał. Z mordą obitą, ale... Ha! Zaiste, niezbadane są wyroki boskie.

„Nikt go nie ścigał” - zaprotestowała Amma. - *„Otpłynął po prostu. Kogo to ophodziło? No i na sztorm szło.”*

- Nie mówię, że ocalał. - Pirr zerknął na rozgoryczoną dziewczynę. - I że wierzyciele. Nie rzucaj takich oskarżeń, bo niewinnym ludziom kłopotów narobisz. To ktoś inny. Ktoś... no, mocniej zmotywowany. Pewnie mający żal o jedną z tych potopionych kobiet. Pewnie jej niedoszły... Jakoś znalazł Bryberykanina nocą, w sztormie, pośrodku cieśniny. Owszem, wyłowił. Ale potem wypytał tak, że nie było co zbierać. Kraby zjadły resztki.

- Hę?

- Tak że - garbus nadal patrzył na dziewczynę - zostały pomszczone. Łajdak nigdy więcej żadnej kobiety nie oszuka. Rodziny mściciel dyskretnie poinformował, stąd o tym wiem. A że łódź poszła na dno... To pewnie i lepiej. Mniej cierpiały, niż płonąc żywcem.

Miał nietęgą minę. Debren przyjrzał mu się uważnie.

- Wiedziałeś? - Tamten zwlekał z odpowiedzią. - Boże, Pirr... Wiedziałeś, prawda? Czuję, że z tym nowym miastem w Bryberyce to bujda! Osadnik nie osadnik, każdy chłop chce mieć urodziwą kobietę, a nie... Do roboty czy łóżka mogli sobie czarnoludzką niewolnicę wziąć. Albo dziką Denariankę. Ponoć piękne bywają.

- Nie wiedziałem - mruknął Pirr.

- I że nie pójdą do zamtuza, też wiedziałeś. Handlarzom żywym towarem zwykle o to idzie, ale one były brzydkie. To dlatego tak łatwo zaufały. Bo jeśli kobiety latami nikt nie chce, to kiedy w końcu ktoś powie: „Chodź”, ona gotowa nie iść, a pobiec.

- Debren, gdybym wiedział, nie straszylbym bab skalpowaniem, nudą, siwymi niedźwiedziami zagryzakami, zbiegłymi niewolnikami, grubiaństwem pastuchów konnych, seryjnymi dewiantami, samotnością i innymi okropnościami, z których słynie Nowy Świat. Prawdą bym nastraszył. Stosem.

- A może - rzucił ponuro Debren - czuję, że za prawdę oberwiesz żelazem pod żebro? Bałeś się, że Bryberykanin zamknie ci usta...

- Nie baw się w Cherlaka Shomsa; nie wnioskuj z paru znanych faktów, bo ci to ewidentnie nie wychodzi. A nade wszystko nie zarzucaj mi tchórzostwa.

- Bo mnie wyzwiesz? - Debrenowi zadrżał głos. Garbaci uchodzili za silnych i zajadłych w walce, o krasnoludach w ogóle szkoda gadać - bez młota nie podchodź - a ten tutaj był skrzyżowaniem

garbusa z bardzo wyrośniętym krasnoludem. W uczciwej walce zgruchotałby go na miazgę.

- Najwyżej od idiotów - wzruszył garbem Pirr. - Nie zwykłem się pojedykować. Pojedyunki nie dowodzą racji, a jeno tego, kto lepiej walczy. Ale przypominam, że dyskusja zaczęła się od planów Ammy. Czyli pójścia do smoka. A trzeba odwagi, by wizytować smocze jaskinie.

„Co ma do żeczy tfoja odwaga?”

- Ano ma. Jeśli Debren pójdzie po rozum do głowy i się z tobą pożegna, ktoś inny musi ci towarzyszyć. Chcę, byś mi ufała, bo bez tego sobie nie poradzimy.

Oboje zapatrzyli się w niego szerzej pootwieranymi oczyma. Choć ust udało się Debrenowi nie rozdziawić. Podświadomie już jakiś czas temu uznał, że Pirr będzie z nimi do końca. Inna sprawa, że ten koniec widział przy bramie rezerwatu, gdzie strażnicy lub przyплыw rozsądku zatrzyma Ammę i skłoni do powrotu.

„Hcesz iść ze mnom? Do smoka? Dlaczego?”

- Kobieta - przypomniał sobie Debren. - Mówiłeś o jakiejś. Ją też...? To znaczy... jakiś smok ją... no, zabił?

- Powiedzmy: przyczynił się do śmierci. I niech wam tyle wystarczy, bo nie mam ochoty o tym mówić.

- I to z powodu tej kobiety gotów jesteś...?

- Znasz lepszy powód? - uśmiechnął się krzywo Pirr.

Debren nie odpowiedział. Amma tak.

„Pieniondze. Robisz to dla pieniendzy, psyznaj sie.”

- Mniejsza o moje motywy. Potrzebujesz kogoś, kto wprowadzi cię do rezerwatu. I będzie z tobą do końca. Jakikolwiek koniec wybierzesz.

Przyglądała mu się nieufnie.

„Na śmierć ze mnom pójdiesz?”

- Ja nie idę tam umierać - podkreślił. - To Debren umrze, jeśli go zabierzesz. Smok jest rozumny. Po co miałby zabijać niegroźnego jurystę?

- Jurysta też z mięsa - podsunął powód Debren. - Nie zanadto aby uwierzyłeś w smoczą rozumność?

- A ty je masz za bezmyślne zwierzęta?

- Nie. Ale nawet te najmądrzejsze są całkiem inne niż my. To, co dla ciebie brzmi logicznie, dla smoka wcale nie musi. I niby skąd smok ma wiedzieć, że to akurat pan jurysta go nawiedził i nie wypada go zjadać?

- A skąd, że akurat dziewczica? - Debren nie potrafił szybko odpowiedzieć. - Sam widzisz. Gdyby się ani trochę nie wyznawał na ludzkich sprawach, nie zwracałby nikomu głowy dziewczicami. Żarłby owce. I pastuchów.

- Chcesz powiedzieć - zaczął Debren ostrożnie - że umiesz się z nim... porozumieć? Bez pomocy telepaty?

- Chcę powiedzieć, byście się o mnie nie martwili. Baronowi służę, baron sprzyja smokowi, bo smok i Veror to wrogowie. Czyli jesteśmy po tej samej stronie i nie ma powodu mnie zjadać.

- Ja to rozumiem, ale czy smok...? Zaraz! - olśniło go zniecacka. - A jeśli to nie telepata, tylko on sam przekazuje posłańcom żądania? Jeśli to smok włada telepatią?

- To tym łatwiej mu wytłumaczę, że byłby głupcem, zżerając tak cennego sojusznika. Ale to nie...

- Nie rozumiesz?! Smok zabił twoją kobietę! Jeśli wyczuje, jak ich nienawidzisz...

- A - mruknął Pirr. - O to ci chodzi.

„Nie weźmie cie” - oznajmiła Amma. - „Zwierzenta od razu zwęszom wrogość. Fszystko byś mi popsuł.”

- A twojej nie zwęszy? - Wzruszył ramionami.

- Ona ma nie po kolei w głowie! - Debrena irytowało, że ignoruje się jego racjonalne zastrzeżenia. - Ale myślałem, że ty masz więcej rozumu!

„Ja wrogości nie czuje” - zaczęła Amma i dokończyła płynnie: - *„hendoż się Debren.”*

- Nie czujesz? - zapytał cicho Pirr. - Jak to? Piekielna bestia, gad... I chce cię zjeść. A przedtem jeszcze...

Czekała, ale nie dokończył. Zaczęła więc pisać:

„Jak mnie zje, to morze z głodu. Tesh wiem, co znaczy głud. A jeśli pszettem...” - zawahała się, dokończyła jednak z wyzywającą śmiałością: - *„To i to wiem: jak bardzo tego potrafi brakować. Wienc nie czuje nienawiści. Nie robi niczego, o czym na okrongło sama nie maże.”*

Jej oczy zalśniły wilgocią. Pewnie dlatego trąciła konia piętami. Oszołomiony Debren dogonił ją dopiero tuzin kroków dalej. Pirr jeszcze później. Ale Pirr przynajmniej zdążył przejść do porządku nad jej wyznaniem.

- Tu zaraz będzie karczma - uprzedził. - Dobre miejsce, by się pożegnać, Debren. Poczekasz na jakiś wóz i bezpiecznie dojedziesz...

- Jeszcze nie powiedziałem, że się żegnamy!

Prawie warczał. Sam siebie nie rozumiał. Bo to nie oferta Pirra tak go zmroziła. Do tego, że prawnik lezie za Ammą, zdążył przywyknąć. Ale to, co powiedziała...

Chciał wierzyć, że źle ją zrozumiał, że niefortunnie się wysłowiła - ale czuł, że jednak nie.

Gotowa była oddać się smokowi. Nie tylko na pożarcie. Jako kobieta też.

Był na nią wściekły, a na siebie jeszcze bardziej. Bo przecież od początku mu to powtarzała. Jest dziewicą, idzie do smoka. Niby po

co, dzuma i syfilis?! Po co zawracałaby mu głowę tym dziewictwem, gdyby nie dopuszczała myśli, że smok ją dziewictwa pozbawi?

Jeszcze rok temu po prostu wzruszyłyby ramionami. Albo się zląkł, zmartwił i oburzył - na smoka. Bo nie przyszłoby mu na myśl, że jakakolwiek kobieta może dobrowolnie zrobić coś takiego. I jeszcze - aż go od tej myśli skręcało - jeszcze czerpać z tego... no, może nie aż radość. Ale w każdym razie nie wyć z odrazy.

Cholerny Trapenakis ze swoimi cholernymi mitami staroilleńskimi. Nawbijał mu w głowę pogańskich opowieści o bogach spółkujących ze śmiertelniczkami pod postaciami byków, ptactwa, węży i diabli wiedzą czego jeszcze, o herosach rodzących się z takich pokładzin - i o matkach, które jakoś sobie z rozpacz i wstydu nie wbijały noży w pierś, tylko żyły dalej jak gdyby nigdy nic, a czasem nawet ochoczo podtrzymywały sodomiczne związki. Mity, trzeba przyznać, były ciekawe i Debren sam zachęcał druha do opowiadania. A teraz żałował. Bo wraz z wiedzą o illeńskiej mitologii Trapek wpoił mu przekonanie, że niektóre kobiety tak mogą. Normalne, miłe, przyzwoite, niekiedy nawet wspaniałe. Mogą zalec w łożu z potężnym samcem, który nie jest człowiekiem, i odczuwać z tego powodu satysfakcję. Ba, nawet miłość.

Rok temu nie zrozumiałby Ammy.

Chciałby mieć znowu tamte szesnaście lat.

Cóż, miał siedemnaście. Był dorosłym mężczyzną i potrafił podejmować trudne decyzje.

- Przemyślałem to sobie - burknął. I, nie patrząc na dziewczynę, oznajmił: - Pożegnamy się w tej karczmie.



Karcznię, koślawą, drewnianą budę, odróżniał od chłopskiej

chałupy jedynie konowiąż. Gospodarz, widać realista, przyciął belkę z myślą o czterech góra koniach. Po stanie dróg, krzyżujących się kopę kroków dalej, widać było, że tłumy gości go nie nawiedzają. Debrena zaskoczyła więc nagła eksplozja dźwięku. Dudy? Tutaj? Z takich maleńkich, położonych na uboczu zajazdów dobiegał czasami gwar, lecz niemal nigdy muzyka.

Dudziarz wydmuchał, co miał w worku, i zamilkł równie gwałtownie, jak dał o sobie znać. Debrenowi przyszedł na myśl podpity muzykant, któremu zabrakło tchu albo który nie trafia już łokciem w mieszek. I chyba miał rację.

- Graj, chłopie! - upomniał się bełkotliwie mężczyzna, który stanął w progu. Był w skórzanym fartuchu rzemieślnika, w dłoni zaciskał kufel. Raczej nie pierwszy, bo kiwało nim jak majtkiem w czasie sztormu. - „Córę młynarza”! I kolejka dla wszystkich! Ja stawiam!

Pirr, sunący zdecydowanym krokiem w stronę karczmy, zatrzymał się zniecacka. Zapomniał o prowadzonym koniu, nie wyplątał dłoni z uzdy i szarpnięcie za rękę omal nie rzuciło go na kolana.

Karosz, zdziwiony oporem, stanął. Człowiek w fartuchu, choć widać było, że maśli mu się wzrok, wyszczerzył ku nim zęby i pomachał ręką. Resztki piwa chlusnęły mu na ramię, więc zmienił rękę - lecz machał dalej.

- Idziemy... skrótem - wymamrotał Pirr. Ściągnął konia na porośnięte chwastami karczowisko. Najwyraźniej zamierzał obejść karczmę szerokim łukiem.

- Tędy? - zapytał od niechcienia Debren.

- Dobrodzieju! - wydarł się piwosz w fartuchu. - Twoje zdrowie!

- Przypomniałem sobie właśnie - Pirr mówił teraz głośno, zagłuszając następne okrzyki z oddali - że źle mówią o tym miejscu. Gospodarz to Conshończyk. Znaczy: pijak i awanturnik. Nie dość, że gości nie pilnuje, sam potrafi przylać. Głównie jak go ktoś

Anvashem nazwie. I koszmarnie gra na dudach. Skóra ponoć cierpnie. Lepiej będzie, jak poczekaś na okazję przy bramie rezerwatu.

- Tu miałem czekać.

- Nie widzisz? Popijawę okoliczni urządzili. A wiesz, jak się kończą wizyty obcych na wiejskich popijawach.

„Gdy o dziefki idzie.” - wtrąciła się Amma. - *„A tu nie pujdzie. Oni za staży, Debren za młody, dzieciuh dla nih, a dziewczek nie ma, bo rodzice w bezpieczne miejsce posłali. Pszypominam, rze smok szaleje.”*

Pirr nie próbował polemizować. Włókł konia skróttem przez chaszczę i wykroty ku wiodącej na południe drodze, choć już po paru krokach widać było, że znacznie szybciej i wygodniej dotarliby tam, trzymając się gościńca.

Piwosz w fartuchu nie krzyczał już: jakiś kompan ciągnął go z powrotem do środka, a dudziarz przypominał o sobie, zagłuszając ewentualne nawoływania.

- Nic mi nie będzie - wzruszył ramionami Debren. I nawet w to wierzył: ledwie dwa przepite głosy podjęły pieśń o córce młynarza, co to dręczy i nie daje zasnąć. Więcej niż pięciu ich tam nie było, a po przejściach z Boomhonsem, rajfurami i smolarzami nie obawiał się paru pijanych kmieci. Ba, może nawet z ochotą skopałby im zadki. Ulżyłoby mu. Bo teraz, choć w końcu zachował się jak rozumny, dorosły mężczyzna, lekko mu z podjętą decyzją nie było. Amma zasługiwała na to, by rzucić jej suche, zdawkowe: „Żegnaj”. Każdy by to przyznał. Ale...

„No właśnie, Pirr.” - Posłała mu podszyte troską spojrzenie. - *„Jak z nami nie idzie, to lepiej nieh go pszy rezerwacie nie oglondajom. Bo kto wie, co bendzie? My zginiemy, to kozła ofiarnego zrobiom z Debrena.”*

- Ja tam nie idę ginąć - przypomniał garbus. - Ale dobrze. Zaraz będą rozstaje. Pójdziemy do bramy, a Debren prosto. Za klepsydrę dojdzie do wsi. Najmie wóz i pojedzie do Plotterby. Po drodze zahaczy o wieżę Factorby'ego. Mistrz podpisze mu zaliczenie praktyki...

- Niby dlaczego miałby podpisać?

- A niby u kogo kupuję podtrzymywacze iluzji? - Pirr poklepał się po porośniętym rzadką brodą policzku. - Za duże sumy u niego zostawiam, by miał nie uwzględnić prośby najlepszego klienta. Puści cię, zaręczam.

- Mam wyjechać? Dlaczego?

- Bo Amma ma rację. Kto wie, co będzie. A smok to obiekt strategiczny. Jeśli, odpukać, coś mu się stanie, królewski kontrwywiad dobierze ci się do skóry. Mogą cię uznać za demokratycznego sabotażystę. Im szybciej opuścisz Anvash, tym lepiej.

- Im szybciej? Plotterby jest na północy. A ty mnie posyłasz na południe. Stąd prędzej bym...

Obejrzał się i zamilkł. Dopiero teraz dostrzegł furę, skrytą przedtem za rogiem karczmy. Dziwną furę. Niby był to typowy chłopski wóz, ale koła... koła wyglądały jak wyszabrowane z sześciu różnych fur. Sześciu, bo choć pojazd miał dwie osie i poruszał się na czwórce kół, po bokach zawieszono dwa dodatkowe. Jak tarcze na burcie staroświeckiego, drakleńskiego drakkara. Te były największe: choć umocowane wysoko, niemal ocierały się o ziemię. Ale i tylna para wyraźnie przewyższała średnicą przednią, skutkiem czego fura zad miała uniesiony niczym koga rufę i zdecydowanie nie nadawała się, przykładowo, do przewozu beczek.

W dodatku każde koło, choć te jezdne dobrano w pary o jednakowych rozmiarach, było inne. Od pełnych, przez klasyczne

sześcioszprychówki z równobocznych trójkątów i łukowych wstawek tocznych, po nowoczesne ażurowce, w których liczba cienkich szprych dochodziła do paru tuzinów.

- O! - Przez chwilę nie był w stanie powiedzieć niczego mądrzejszego. Potem jednak, bardziej dla żartu, wskazał ręką: - Nawet wóz już czeka.

Pirr miał wyjątkowo posępną minę.

- Życie ci niemiłe? - warknął. - Czymś takim chciałbyś jechać?

„Co to za dziwoląg?”

- Nie wiem. - Garbus nadal powarkiwał. Może z powodu konia. Karoszowi dokuczyło brnięcie przez chaszczę; trzeba go było ciągnąć. - Jakiś wynaturzony pomysł durnego mutanta. W okolicy roi się od ofiar Dedetusa. Chore, nieobliczalne umysły. Dewianci. Przepije taki do ciebie, a potem znienacka kuflem czaszkę rozłupie. Dobrze ci radzę, Debren: z nikim nie gadaj, wal do portu i odpływaj.

Debren nie polemizował. Przyszedł mu na myśl pewien wozak spod Dumayki, który właśnie ze swego zaprzęgu uczynił narzędzie gwałtu. Łotr, zatrudniony przy wyrębie lasu, kursował furą-ciągnikiem po górskich drózkach Biesich Czadów i ochoczo podwoził zmierzające na jarmark góralki. Sadzał pasażerkę na koźle, obok siebie. Koziół, co potem ustaliła ekspertyza, okazał się celowo skrócony, więc ofiary, chcąc nie chcąc, tuliły się do uczynnego furmana. Jedną ze stóp musiały trzymać na wspólnym podnóżku - kolejna przeróbka fury - przydeptując na każdym wyboju łapę wozaka. Wreszcie, za sprawą chytrze wbitych haków, naiwne góralki czy to same z siebie, czy po życzliwej porady wozaka, podciągały wyżej zagrożone rozdarciem spódnicę, odsłaniając nogi. Potem, zawleczone w krzaki i pohańbione, mogły już tylko beczeć i wysłuchiwać wykładu o prowokatorkach, które same chciały, obmacywały znacząco, pokazywały kolana i kusiły

przydeptywaniem, więc jeno się do reszty skompromitują, idąc ze skargą do drabów. O dziwo, rozumowanie wozaka okazało się słuszne. Gdy po paru udanych próbach noga mu się powinęła i jakaś odważniejsza doniosła w końcu na niego, sąd skargę oddalił. Pół klepsydry obejmowania chłopa w pasie, orzekł sędzia, tudzież upartego naciskania obnażoną nogą na męską stopę, to sygnały na tyle czytelne i bodźce na tyle długotrwałe, by każdy normalny chłop poczuł nieodpartą wolę bożą i skorzystał z jawnego zaproszenia. Wozaka mógł pogrążyć raport biegłego o celowych przeróbkach fury, ale biegły rzeczoznawca wyznaczył sześciomiesięczny termin i sąd odstąpił od rozpatrzenia tego wniosku oskarżenia. Wóz zbadano później, gdy zaginęło parę następnych kobiet. Ktoś niezadowolony z pracy Draberii Obywatelskiej tudzież wymiaru sprawiedliwości nie czekał na wyniki śledztwa, tylko nadział furmana na dyszel jego osławionej fury. Niesłusznie skądinąd: po roku okazało się, że te zaginione to sprawka wilkołaka. Tych, na szczęście, nie pohańbiono, a jedynie zjedzono.

Tak czy inaczej, Debren rozumiał, czemu nietypowy pojazd może budzić mroczne podejrzenia. Wszelkiego typu perwersi często używali takich. Nie szukając daleko: to właśnie tu, w Anvaszu, legendarny Cherlak Shoms wytropił posiadacza złowrogiej Burej Karety, która krążyła po zaułkach Tamburka, porywając ladacznice.

Mając w pamięci te posępne historie, przyjął za dobrą monetę argumenty Pirra. Posłusznie pomaszerował na południe traktem, który miał go możliwie szybko doprowadzić na północ. Te wielkie, dodatkowe koła, zamocowane do pochyłej fury, faktycznie mogły budzić niepokój, gdy się tak człowiek zastanowił. Bo pewnie poręczniej i bardziej podniecająco jest niewolić rozpiętą na takim kole porwaną dziewczynę? Albo też - ostatecznie to dekadenski Wschód - porwanego młodzieńca?

Właśnie tego typu podejrzania sprawiły, iż wszystko potoczyło się inaczej. Bo zbliżając się do rozstajów opatrzonych tabliczką: KRÓLEWSKI SMOCZY REZERWAT TRICKLEY, Debren miał jasno sprecyzowany plan. Jak na dorosłego mężczyznę przystało. Pożegnać się, życzyć powodzenia, a potem odejść. I spróbować wymazać z pamięci tę dziwną, ni to piękną, ni odrażającą dziewczynę.

Niestety, przy słupie z tabliczką natknęli się na chłopca. Jasnowłosego, z wiejska odzianego dziesięciolatek stał, patrzył bezradnie to w jedną stronę, to w drugą i chyba rozważał, którą z dróg wybrać. Na ich widok zdjął czapkę i uklonił się grzecznie, ale zagadywać nikogo nie próbował. Minęliby go bez słowa, gdyby nie nadmiernie rozbudzona wyobraźnia Debrena.

- Zgubiłeś się? - zapytał.

- Eee... ja, panie?

- Nie powinieneś tak łązić sam. Nie wiesz, że tu nieopodal smok mieszka?

Bardziej niepokoił go właściciel pochyłej fury, ale jak tu wytłumaczyć maluchowi, że wujkowie proponujący podwiezienie bywają groźniejsi od smoka?

- Eee... no wiem, panie. Tutejszy żem.

- Ze wsi? - wtrącił się prawnik.

- No.

- To dobrze. - Pirr przeniósł wzrok na Debrena. - Odprowadzicie się nawzajem. Jego smok nie zje, ty nie zabłądzisz. I wypytasz po drodze, u kogo by podwodę nająć.

- Podwody szukacie? - ucieszył się chłopiec. Po czym jeszcze szybciej zgasił uśmiech. - Ojejku...

- Co? - zapytał Debren.

- No bo... oj, to się matula jeszcze mocniej zeźli. Nie dość, że

tatko przepadł z pieniędzmi, to jeszcze teraz okazja mimo nosa przeleci. Awantura będzie.

Wyglądał na szczerze zmartwionego.

- Z pieniędzmi? - zmarszczył brwi Debren. Przyszły mu na myśl pożądlive spojrzenia Korrisa i synów, kierowane na sakwę Purchawca. - Co się stało? Na jarmark pojechał? Nie przez most aby? Trollowy?

- Debren, to nie twoja... - zaczął Pirr.

- E, nie... Ale klientka koła w końcu odebrała. Krewniak ją zniecka odwiedził, pieniądze przywiózł. Dziś, do południa. Stały, stały... od zimy będzie. Tatko się zamartwiał, a matula aż płakała. Bo drogie okrutnie. Szybkobieżne, wybojoodporne. A sprzedać komu innemu nijak, bo nie pasują do zwykłej fury. I kogo na takie stać? Materiału na nie poszło za... oj. - Chłopiec zakrył usta dłonią. Po czym uśmiechnął się przepraszająco. - Mam nie gadać. Sekret warsztatu.

- Tata jest kołodziejem? - upewnił się Debren.

- Najlepszym - pochwalił się chłopiec. - U samego Verora robił, karety nawet. A dla króla to opancerzoną taką, z gniazdami na magiczne osłony i... Ale mamę poznał i się na wieś przeniósł, tak ją kochał. A jeszcze i dlatego, że z Verora złodziej, jak z każdego manu... manuchałturnika. I źle płacił. To tatko własny warsztat...

- Jedźmy - ponaglił Pirr.

- Czeka! - Debrena olśniło. - Czy on aby nie jeździ takim dziwnym wozem z sześcioma kołami? Tył wyżej...

Nie kończył, bo malec radośnie potrząsnął głową.

- Reklamową furą? Toście go widzieli, panie? Gdzie?

Pirr okazał się szybszy.

- Nieważne. Dam ci parę denarów - małemu rozbłyły oczy - a ty tego tu pana czarodzieja odprowadzisz szybko do wsi i znajdziesz

mu podwodę.

- Eee... nie mogę. - Lśnienie radości zastąpiły załóżki łez. - Matula kazała znaleźć tatkę jak szybko się da. Bo nas w domu nie było, jak klientka z owym krewnym przybyli. Jeni sąsiedzi opowiedzieli, co i jak. I nie mogła matula tatki upilnować. Więc wypłatę zabrał i gdziesik polazł. A on, jak polezie, to może i bez jednego denara wrócić. I z głodu pomrzemy, a warsztat zlicytują.

- Zaprowadzę cię - ulitował się nad malcem Debren. Oczy Ammy uśmiechnęły się do niego znad kwefu. Smutno, ale też ciepło. Serce podeszło mu do gardła. Jeszcze nie teraz, pewnie nie z nią, ale chciałby przeżywać takie chwile. Gdy kobieta pochwali go spojrzeniem za troskę okazaną dziecku. Bo to będzie ich, wspólne...

- Daj spokój! - zaprotestował Pirr. - Nie mamy czasu!

- Wy nie, ale ja mam.

- Łajno tam... Rób, jak mówię. Weź małego do wsi, wynajmij wóz i gnaj do Plotterby. A ty - posłał chłopcu gniewne spojrzenie - do domu wracaj. Prędszej matce serce pęknie, jak cię smok porwie i zje.

- Smok nie porywa dzieci! - zaprotestował jasnowłosy.

- Łajno tam... To okrutne, bezduszne bestie, zdolne...

- Nie porywa! Może inne smoki! Ale nie nasz!

- No właśnie, Pirr - wtrącił się Debren. - Kto wie, co bestii do łba strzeli. Nie mogę małego tak samopas puścić. Jak coś mu się stanie...

- A czy ja mówię, by samopas? Idź z nim. Ale do wsi, nie do karczmy.

- Do karczmy tatko poszedł? - ucieszył się mały. - To przednio! Bom się bał, że do kamratów z posterunku. A to daleko. I po trunki do więdzmy łażą. I jak poleżą, to kamień w wodę. A do karczmy raz-dwa...

- Przy karczmach - rzucił Pirr przez zęby - smoki właśnie

najczęściej chłopców porywają. To dobre miejsce na łowy. A z chłopca dobra ofiara. Lekki, łatwo z takim odlecieć, mięso młode, a świadkowie pijani.

- Ja się tam nie boję - zaskoczył Debrena kandydat na smoczy posiłek. - Chrzestny mówi, że jak kto dla smoka dobry, to i smok dla niego. I jak się raz czy drugi komu trza szepnie o obcych, co to o drogę do jaskini przepytują albo się z ciężkim orężem kręcą po okolicy, to smok o ostrzeżeniu zapamięta i krzywdy życzliwemu nie zrobi. Ani nikomu z jego rodziny. A chrzestny...

Urwał. Chyba zdał sobie sprawę, że mówi o czymś równie delikatnym, jak ceny materiałów do wyrobu kół.

- Odprowadź go do domu, Debren.

Bardzo władczo to zabrzmiało. Chłopiec wolał nie ryzykować i nie sprawdzać, czyje zdanie przeważy.

Odwrócił się zniemacka i popędził na północ.

Pirr poderwał dłoń do szyi. Błyskawicznie, odruchowo. Po skryty pod opończą amulet? Na jarmarkach handlowano takimi, co to niby dodają sił, odwagi, celności w oku, chyżości w nogach i tak dalej. Debrena rozbawiło, że cynik i sceptyk Pirr mógł się dać nabrać przekupniom. Ale Pirr oczywiście nie puścił się w pogoń, wzmocniwszy uprzednio mięśnie magią zawartą w amulecie. Nie zerwał też z ramion - choć pewnie o to szło - opończy.

To Debren próbował gonić małego. Na jednym kroku się skończyło. Dłoń w rękawicy opadła na jego ramię.

- Zostaw. Nic mu nie będzie.

- A jeśli...?

- Zostaw. - Debren nie wyszarpywał się, ale chyba było widać, że głównie przez grzeczność, bo Pirr zawahał się, po czym, jakby wbrew sobie, powiedział: - Pójdiesz z nami. A my czasu nie mamy.

Zaskoczył oboje. Amma sięgnęła po rylec.

„Cały czas go pszeganiasz. Co ci sie tak odmieniło?”

Dobre pytanie, pomyślał Debren.

Pirr zwlekał z odpowiedzią. Tak jakby dopiero musiał ją wymyślić. Ale, z drugiej strony, złożenie w słowa świeżo zrodzonych myśli może potrwać.

- Słyszeliście: tutejsi kolaborują ze smokiem. A jeszcze kołodziej... Głowę dam, że szpieguje.

Debren wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

„Kołodziej? Czemu on?”

- A kto jest cenny w roli szpiega? Ten, kogo agresor może do agresji potrzebować. Przewodnicy, dostawcy oręza, prowiantu, koni...

- Wiem - pochwalił się Debren. - Ojca co roku sprawdza Draberia Bezpieczeństwa. W cechu podpisuje zobowiązania o dochowaniu tajemnicy. Bo gdyby na wojnę szło, wcześniej będą wielkie zamówienia na groty i wróg by się dowiedział... Ale szpiegów mają państwa, a nie...

- Jak słyszałeś - wskazał uciekiniera Pirr - niektóre smoki też mają.

- Ale... kołodziej?

- Autor *Smoków w dziejach Anvashu* opisuje parę wypraw przeciw różnym bestiom. I wiesz, co je łączy?

Debren zmarszczył brwi, pomyślał.

- Wozy? - zapytał cicho. - Używali wozów?

Pirr popatrzył na niego z uznaniem. Amma - jak na szaleńca. Zabolało. Nie czuł się genialny, ot, dodał dwa do dwóch. To raczej ona nie popisała się bystrością. Była odważna, a kiedyś piękna. Ale... po raz pierwszy tak dobitnie poczuł, że nie jest dla niego.

Z żoną czasem się człek kocha, ale głównie rozmawia. Trzeba mieć o czym.

- Rycerze - wyjaśnił Pirr - brali je do przewozu kopii. Optymiści z myślą o łupach. Pesymiści na wypadek ran. Czarodzieje, by smocze truchło zabrać. Spece od zasadzek dla skrycia tuzina kuszników pod plandeką. Wojsko wiozło zapasy i amunicję. No i ciągnęło maszyny.

- Rozumiem, po co wozy. Ale kołodziej?

- Ludzkość wyparła smoki z urodzajnych okolic. Przetrwały te żyjące w lasach, górach i na bagnach. Wszędzie, dokąd trudno dojechać. Mądry łowca smoków zabierze zatem ze sobą albo kogoś, kto naprawi uszkodzony wóz czy maszynę, albo przynajmniej zapasowe koła. I w tym celu odwiedzi okolicznego kołodzieja. A także dlatego, że nikt inny tak dobrze nie doradzi, czym, po której drodze i jak szybko można jeździć. Zaś szybkość wozów jest kluczowa przy polowaniu na smoki.

- Szybkość wozów? - uniósł brew Debren.

- Czasem zdarzy się jeszcze, że błędny rycerz zawita przed smoczą jaskinią i rzuci wyzwanie. Ale coraz rzadziej. Dziś na smoka, jeśli już, ruszają zbrojne kupy, przeważnie strzeleckie i wsparte maszyną.

„*Albo wiedźminy*” - dorzuciła Amma.

- Wiedźmini nigdy nie podnosili miecza na smoki. A w dodatku - uśmiechnął się Pirr - wiedźminów już nie ma. To niepoprawne politycznie, uwłaczające słowo. Sugeruje zabijanie czarownic. Zwłaszcza odkąd Kościół zaczął nasyłać na nie najemnych łowców, a ci, by prestiżu sobie dodać, ochrzcili się wiedźmiarzami. Sami wiedźmini zaczęli wtedy postulować, by nazywać ich łowcami biesów. Czyli biesiarzami. Mieli dość tłumaczenia prostaczkom subtelnej różnicy i walenia w pyski za składanie uwłaczających ofert.

- Najpierw - uzupełnił Debren - próbowali podkreślać, że potwory zabijają. I wymyślili nazwę: „Depotworator”. Tyle że prosty lud i tę

przekręcał. Na deprawatora.

- Sam widzisz: z prostym ludem bywają problemy. Nie chcę, by cię kolaborujący kołodziej uznał za łowcę smoków i zdzielił kłonicą w kark.

- Eee...

- Żadne „eee”. Tak się to może skończyć. *Smoki w dziejach* zawierają stosowny opis. Mówi o tym, jak smok z Glasedynn wziął i spalił wszystkie warsztaty kołodziejskie w promieniu dnia jazdy od swej pieczary. Bo choć dookoła paskudne bezdroża, jak to w górach Conshonii, i ścigający go co rusz łamali koła, kołodzieje raz-dwa im nowe szykowali. I się łowy przedłużały. No to smokowi nerwy puściły i w logistykę wrogów uderzył.

Debren przyjrzał mu się uważnie.

- Widzę, że pilnie przestudiowałeś tę księgę.

- Mówiłem ci: interesuję się smokami.

- Potrafię to zrozumieć. Ale nie rozumiem, czemu burmistrz tak się zalił na brak źródeł pisanych.

- Cóż... Mehatt to nie Trickley.

- Taaak... - Popatrzył na drobną sylwetkę w oddali. Mały nadal biegł. - A tak szczerze: nie zmyślasz czasem?

- Widziałeś księgę - mruknął jurysta. Powinien raczej się zaśmiać albo oburzyć...

- Księgę tak. Ale czy w niej o kołodziejach pisali...

- Sam możesz przeczytać.

- Jak do Mehatt wrócę? - skrzywił usta Debren.

Pirr poklepał sakwę z trupim kółkiem.

- Jak ją bezpiecznie otworzę. I... dyskretnie. Wybacz, ale muszę na osobności. Sekret adwokacki.

- Co? Masz ją? Jakim cudem?

- Życzliwość przeora? - uśmiechnął się Pirr. - Pożyczka? Nam się

teraz bardziej przyda.

- Tak, ale... Pożyczył ci coś tak cennego? Toż to własność klasztoru! A jak opat inspekcję przyśle? Mają pięć manuskryptów, nie ma cudów, by nie zauważyli...

Urwał. Coś mu nie pasowało, ale może nie zorientowałby się, co. Sam Pirr mu pomógł.

- Sześć - poprawił. Uśmiech nieco mu przygasł.

- Pięć. Pamiętam. Tipp się nimi chwalił.

- Ten nowicjusz? Cóż. Od drew tam jest, nie studiowania cennych ksiąg. Byłeś w bibliotece, widziałeś. Może nie zwróciłeś uwagi, ale zapewniam: sześć ich było.

Debren wyteżył pamięć. Pirr zdjął z półki drugą, tę czystą, niezakurzoną. Pierwsza stała taka z nadłamanym rogiem, ta za *Smokami w dziejach* była duża, następna oprawiona w czerwień... I jeszcze dwie. Czyli jednak sześć. To Pirr miał rację, nie Tipp. No i chłopak powiedział o manuskryptach, że są ponoć grubaśne. Ponoć. Zatem nie widział ich, a jedynie znał ze słyszenia.

- Prawda - przyznał. - Było sześć.

Pirr, nie ciągnąc tematu, ruszył w stronę Królewskiego Smoczego Rezerwatu Trickleley. Debren powłókł się za nim. Próbował zrozumieć, czemu nadal gnębi go coś, co właśnie zostało wyjaśnione.



Miłą za rozstajami zaczęły się wzniesienia. Stary las porastał stoki. Strome, upstrzone głazami zbocza przechodziły znienacka w urwiska, a w dolinkach między wzgórzami połyskiwało wiele błotnistych bajorek. Teren przypominał Debrenowi przedgórze Biesich Czadów i sławne uroczysko Kozuchówka, gdzie pierwszy i -

po prawdzie - ostatni w lelońskiej historii raz tłum wiejskich uchodźców samodzielnie wybił widłami wielki kummoński czambuł. Właśnie dzięki obronnym walorom terenu.

Droga, którą wędrowali, choć przeraźliwie wyboista, kamienista i podła, wyglądała na jedyny dostępny dla wozów szlak. Tak dalece jedyny, że dwóch jadących z naprzeciwka furmanów miałyby problem: prawie nigdzie nawet pobocza nie było na tyle dużo, by mogli się minąć.

- Kiepska ta droga - zauważył Debren.

- Poprzedni komendant próbował ją poszerzać. Za pieniądze Verora. Rozumiesz: polityka faktów dokonanych. Jak będzie połowa dobrej drogi, można się powołać na poniesione koszty, łatwe korzyści, trud robotników i przeforsować dobudowanie brakującej reszty. Przez rezerwat.

- I co? Król zabronił?

- Nie mógł. Dopiero za granicą rezerwatu zaczyna się królewszczyzna. To tutaj to własność prywatna.

- Ale - rozejrzał się Debren - nie poszerzyli.

- Nieszczęśliwy wypadek. Komendant za szybko konno pędził. Uderzył o coś głową. Hełm mu wgniotło, pęknięty kark, trup na miejscu.

Debren zerknął w górę, ale akurat nisko wiszących konarów nigdzie nie było. Pod tym względem o szlak zadbano: gałęźnice miały marne szanse upolować samotnego podróżnego. Biorąc pod uwagę, że droga wiodła z posterunku do karczmy, zapobiegliwość strażników budziła zrozumienie.

- Nie mówię, że o gałąź - zrozumiał Pirr. - O coś.

- Aha. I to wystarczyło, by wstrzymać prace?

- Nie to. Nowy komendant nie przydzielił miernicznym ludzi do ochrony. I zabrakło chętnych miernicznych.

- Dlaczego?

- Bo trzech kolejnych uderzyło o coś głową.

- Pęknięty kark? - Debren przyjrzał się uważnie najpierw jemu, potem okolicznym zarośłom.

- Raczej czaszka. Ci hełmów nie nosili. Ale efekt podobny. Trup na miejscu.

„Smok ich zabił?” - Amma starała się nadrabiać miną, lecz widać było, że im bliżej są rezerwatu, tym więcej wysiłku musi wkładać w owe starania.

- Smok na pewno nie. Po pierwszym zgonie mieli go na oku. Veror złożył w sądzie wnioski o aresztowanie smoka jako podejrzanego o zabójstwo mierniczego.

- Chciał aresztować smoka? - zdumiał się Debren.

- Nie jest idiotą. Naturalnie, że na to nie liczył. Ale procedurę uruchomił i komendant, chcąc nie chcąc, musiał sprawę zbadać. Pieczarę wzięto pod obserwację. Dzięki temu wiemy, że kiedy ginął drugi mierniczy, smok zjadał owcę. Dwóch strażników i woźnica byli świadkami.

- Rozumiem. A po drugiej stronie? - Pirr uniósł pytająco brwi. - No, ten zabity mierniczy. Mówisz, że zginął akurat wtedy. Znasz czas. Czyli ktoś coś widział.

- Kobieta - mruknął Pirr. Bez zapału jakoś. - Przygruchał wdowę z okolicznej wsi i wieczorem zabrał do lasu. Ciemno było, drzewa... No i nikt się nie spodziewał... Krótko mówiąc, nie zauważyła dokładnie, co i jak. Zeznała, że coś czarnego z nieba spadło, trzasnęło jej niedoszłego gacha w łeb i z powrotem odleciało w górę.

- Coś? Czyli co?

- Nie wiadomo. Coś. Małe i mocne, skoro czaszkę połamało. Wdowa mówi, że może ptak. Bo nic większego. Sprawę badała

draberia z Trickley i tutejszy szeryf. Zdaniem szeryfa to robota gałęźnicy mutanta, uzbrojonej w kamień. Bo połamanych gałęzi się dopatrzył. Jego zdaniem bestia podkradła się, trzasnęła w łeb, zamiast dusić, a kiedy wdowa zaczęła krzyczeć, spłoszyła się i umknęła wraz z kamieniem. Śledczy z draberii znalazł z kolei jakby odciski wielkich łap. Ustalił, że zawinił niedźwiedź. Czarny, dlatego go kobieta nie widziała, i z pałą, stąd rana jak po zabójstwie tępym narzędziem.

„Ptak, gałęźnica i niedźwieć s pałom.” - napisała Amma. Tylko tyle, ale wymowa była oczywista.

- No wiem - wzruszył ramionami Pirr. - Dziwnie brzmi. Ale nie ja prowadziłem dochodzenie. A poza tym... poza tym jesteście prawie na miejscu. Debren... Przygotowałeś zakłęcie?

Amma zatrzymała konia. Zaciśnięte na wodzach palce pobieleły. Twarz dla odmiany podeszła purpurą.

- No... tak. - Debren miał nadzieję, że on trochę mniej przypomina buraka. - To znaczy: dwa.

- W czym problem? - zapytał spokojnie Pirr.

- Pasywne jest... no, mniej pewne. I musiałbym...

- Pod kieckę jej zajrzeć i palcami nakładać. - Widząc zdziwione spojrzenia, wyjaśnił: - Na stosowaniu iluzji ciut się znam. - Poklepał masywną żuchwę. - Ale o aktywnych zaklęciach Factorby nie wspomniał.

- Bo to nie dla ciebie. Nawet gdybyś umiał moc czerpać i sam podtrzymywać czar. Żeby kształtować pole w skomplikowane formy, i to dynamicznie, trzeba mistrza.

- Pole?

- Siłowe. Ekspert potrafi uformować z niego dowolny kształt i precyzyjnie nim poruszać. Przykładowo: cudzą twarz tuż przed własną doczarować. Uśmiechać się nią i tak dalej. W dotyku ta

druga jest jak realna.

- A ten drugi czar? Pasywny?

- Musimy o tym...?

- Nie wymagam szczegółów.

Amma kiwnęła głową, pokazując, by mówił.

- Różne zaklęcia działają na różne zmysły badającego. Patrzy i widzi... no, błonę. Jak włoży palce i bada dotykiem, to też... Ale jeden bodziec jest względem drugiego nieco przemieszczony, bo... Oj, to skomplikowane. Aha, no i to boli. Ponoć mocno. Trzeba czasowo zdeformować ścianki... To znaczy: można znieczulić, ale wtedy z kolei... Tak że w sumie dobry medyk może się zorientować, że coś jest nie w porządku. No i jeszcze... wszystko czuć magią.

Amma przełknęła ślinę.

„Wytszymam bul. Rób co trzeba i mnom sie nie martf.”

Ale to nie Debren się martwił.

- Jest coś jeszcze, tak? - domyślił się Pirr.

- W naszym przypadku to bez znaczenia. - Pirr zignorował go i wpatrywał się wyczekująco. Debren westchnął i wyjaśnił: - Wiele pacjentek zgłasza się do iluzjonisty... no wiecie: szukając w pośpiechu męża. Bo nie uważały i są brzemiennie. Z takimi, co to ani myślą się żenić.

Amma popatrzyła na niego z gorzkim uśmiechem.

„Ja bżemienna nie jestem.”

Omam nie palnął, że wie. Na szczęście zdążył się zreflektować. I na szczęście mógł patrzeć na Pirra.

- To mocno inwazyjna iluzja i często wywołuje pozacykliczną miesiączkę. U niektórych kobiet przez następne trzy, cztery miesiące, maksymalnie pół roku, mogą występować problemy z płodnością. Ale to mija - pocieszył nie wiadomo kogo. Bo Amma chyba nie oczekiwała tego typu pocieszenia. A może nawet na

odwrót? Przypomniał sobie odrażającego dziada z sąsiedniego szalasu. Lepiej mieć problemy z płodnością, mieszkając obok takiego.

- Zaraz... Chcesz powiedzieć, że te wszystkie dziewczęta, które biegają po iluzjonistach, to faktycznie dzieciobójczynie? I idiotki? Bo taniej by im wyszło...

- Nie, nie... Normalnie robi się tak, jak chciał burmistrz Smih. Zabieg medyczny. A magia, jeśli już, to chirurgiczna, no i do maskowania szwów. To ciąży nie zagraża. Ale wymaga więcej czasu. I medyka.

- Rozumiem. - Pirr odczekał chwilę, a potem oznajmił stanowczym tonem: - Czyli zakłęcie pasywne odpada.

Zaskoczył przede wszystkim Ammę. Debren sam by tak zdecydował, gdyby go zapytano. Ranić kobietę, sprawiać jej ból i, choćby czasowo, pozbawiać płodności? Czułby się ostatnią szmatą. Zwłaszcza że to on ryzykował mniej, wybierając czary pasywne.

„Czemu?”

- Temu. Nie ma o czym gadać.

Debren mężczyzna ścierpiałby to, choć nie podobało mu się, że akurat Pirr wychodzi na szlachetnego obrońcę jej kobiecości. Debren czarodziej, zawsze dociekliwy, sceptyczny i racjonalny, nie potrafił się oprzeć.

- Aktywne jest lepsze, ale muszę być niedaleko, by podtrzymać pole. Góra kilka kroków. Masz pewność, że to się da załatwić? A jeśli nas rozdziela i...?

- Nie ma o czym gadać. Rzucaj czar i idziemy. A ty, Amma, oddaj mi krócićę i proch. To zbyt osobliwy posag, nawet jak na smoczą narzeczoną.



Wzgórza, a wraz z nimi ściany lasu, rozstępowały się stopniowo na boki, odsłaniając rozległą kolistą polanę, porośniętą wrzosem i trawą. Po jej lewej stronie połyskiwał mały staw. Po prawej widać było spory drewniany odwach, wykoślawiony ze starości, pustą zagrodę dla owiec i niedużą stajnię. Pośrodku, oddzielona od stawu paskiem drogi, strzelała w niebo wysoka wieża. Jeszcze bliżej, przed przegradzającym drogę szlabanem, ustawiono klatkową szubienicę, ale klatka była pusta i uwagę Debrena przyciągnęła właśnie wieża. Bardzo osobliwa wieża.

Przede wszystkim nie spodziewał się czegoś tak wielkiego. Wieża strzelała w niebo na siedem kondygnacji. Co prawda tylko czworokątny cokół, wysoki na dwie, był z kamienia, ale budowla i tak budziła respekt. Niejedno miasto szczyiłoby się taką. Tym bardziej raził kontrast z resztą czysto symbolicznych umocnień, na które składały się dwa odcinki płotu z palików i faszyny. Oba zaczynały się przy szlabanie i kończyły w miejscach, gdzie dolinka spotykała się ze wzgórzami.

- Wieża? - Debren nie krył zdziwienia. - Tutaj?

- Przeciwsmokowa - wyjaśnił oględnie Pirr. I wskazał palcem w górę, na zwieńczenie baszty.

Debren przyjrzał jej się ze wzmożoną ciekawością, tyle że zaczynając od dołu. Nad kwadratowym, kamiennym przyziemiem robiła się drewniana i okrągła. Właściwie to wielokątna, lecz słupów tworzących szkielet ustawiono wzdłuż okręgu ponad tuzin i w praktyce przekrój zbliżał się do kolistego. Dzięki temu załoga, osłonięta ścianami z krótkich, poziomo kładzionych belek, mogła posyłać pociski w dowolną stronę. To akurat nie przesądzało, czyjej napaści oczekiwał projektant. Sterczące ze ścian pale, opatrzone żelaznymi grotami - już tak. Było ich sporo, w tym część naprawdę długich, niemal sążniowych - wykorzystano pewnie przedłużone

dźwigary podłóg - przez co całość przypominała nowoczesną maczugę z walcową, najeżoną hufnalami głowicą. Wyglądało to złowroźnie i mogło nastraszyć wojaka z poboru, ale raczej nie przysłużyłoby się obronie, gdyby atakować mieli ludzie. Wojna psychologiczna była ostatnio w modzie i architekt mógł wyczytać w fachowym piśmiennictwie, że poborowemu z łapanki taka wieża nasunie skojarzenia z kolczastą bestią, jedną z tych, co to nimi starzy wiedźmini straszą młodych - przez co morale poborowego mocno spadnie. Ale widać było, że wieżę wybudowano dawniej, gdy żołnierze byli twardsi, a psychologią pola walki nikt sobie głowy nie zawracał. Wczesnowieczni wojacy tylko by ręce zatarli, widząc taki prezent od głupiego budowlańca. Wystające belki ułatwiały zaczepienie drabiny, względnie podciąganie na przerzuconych łańcuchach kociołków z płonąca smołą. A topornik lub ogień tuż za drewnianą ścianą to murowana recepta na upadek fortyfikacji.

Tak - ten element wyglądał wybitnie przeciwnie. Debren nie miał pojęcia, jak daleko smok potrafi ziać ogniem, lecz przed próbami taranowania wieży owe iglaste pierścienie ewidentnie broniły.

Tylko po co smok miałby aż tak ryzykować?

Dopiero teraz uniósł wzrok i popatrzył tam, gdzie Pirr wskazywał: na zdecydowanie najdłuższą z belek, odstających od sylwetki wieży. Czyli na ramię żurawia. Opleciony linami wysięgnik, zaopatrzony w przeciwwagę, sterczał dzięki niej pionowo jak maszt. Żuraw ustawiono na zwieńczeniu ściany, w miejscu, gdzie powinien zaczynać się typowy dla takich konstrukcji stożkowy dach. No, ostatecznie pomost bojowy, otoczony blankami. Ale w tak wysokich, a przez to kosztownych wieżach, tylko sporadycznie stosowano odkryte pomosty. Może w ciepłych i suchych krajach. W Viplanie jednak deszcze w połączeniu z mrozami były dla budowli

groźniejsze od napastniczych armii. Był zatem pewien, że wieża miała dach. Potem przestała mieć. Teraz próbowano go odbudować. Te trójkątne konstrukcje obok żurawia to najwyraźniej zaczątek wieźby.

- I co? Smok przyleciał i dach spalił?

- Spalił? - zdziwił się Pirr. Debren poczuł, że powiedział coś głupiego, zaczął się więc tłumaczyć:

- Remontują, więc uznałem... Gadasz o smoku, pokazujesz żuraw... Pomyślałem, że to jego robota. - Zmarszczył brwi, tknięty mroczną wizją. - Jeno nie mów, że nie palił, tylko ogonem trzasnął.

„*Asz taki wielgahny?*” - Amma wyraźnie pobladła. Trudno było to przegapić, bo odkąd Debren przywołał iluzję, czerwień nie schodziła z jej twarzy. Nie dotknął jej nawet, czarował kucnąwszy dobry łokieć od brzucha, iluzja, o ile niczego nie spieprzył, nie powinna uwierać, grzać, chłodzić czy w jakikolwiek sposób dawać o sobie znać - a jednak Amma pociała się i płonęła soczystym rumieńcem. Aż do tej chwili.

- E, bez przesady. - Pirr posłał jej spojrzenie, które chyba miało pokrzepiać. - To nie tyranodrakon. Albo się jest dużym, albo się lata; coś za coś.

- Ale ogniem zieleje? - upewnił się Debren.

- Jak to smok - uśmiechnął się krzywo garbus.

- Nie wszystkie latacze potrafią.

- Ten tak. Dawno by nie żył, gdyby nie miał się czym bronić. Smoki, widzisz, wywołują agresję odwrotnie proporcjonalną do ich mocy bojowych. Im słabsze, tym większą. A naszego od dawna nikt nie atakował.

- To on atakuje? - wskazał basztę Debren.

- Ech ty, lełoński sekretnej agencie... Od razu widać, że żaden z ciebie demokratyczny szpieg. Remont - zarechotał Pirr. - Dobrze! No,

ale skąd cywil ma wiedzieć... Toć u was wszystko, co wojskowe, pod cenzurę podpada, od konstrukcji dzidy poczynając. Ten twój niby-żuraw to nie żaden dźwig do robienia remontów. To trebusz. Do robienia na odwrót. Czyli rozwalania fortyfikacji. Takowa...

- Wiem, co to trebusz! - oburzył się Debren. Choć poczerwieniał. Nie wiedział, czy wstydzi się własnego gapiostwa, czy wyśmiewanej na Wschodzie sovrojskiej szpiegomanii, która kazała utajniać wszystko, łącznie z nazwami grodów na mapach wojskowych. Zamiast nazw podawano numery w nadziei, że wrogich wywiadowców to zmyli, zdrajcom utrudni zdradzanie, a wojska najeźdźców pobłądzą w największym ponoć państwie świata. Numery co pewien czas zmieniano, a demokratycznego mocarstwa nikt od Wojny Globalnej nie śmiał najechać, więc, póki co, błędzili wyłącznie sovrojscy wojacy, wyposażeni w nieaktualne mapy. W Lelonii, prawda, nie zaszło to aż tak daleko. Ale na tle Anvashu, gdzie każdy cywil mógł zająć do kramu i kupić aktualne szkice twierdz, rejestry floty czy księgi traktujące o stanie liczebnym, uzbrojeniu tudzież rozlokowaniu królewskich regimentów, także Lelonia wyglądała zabawnie. Bo, powiedzmy sobie szczerze, w dobie nowoczesnego, średniowiecznego wywiadu skutecznie utajnić dawało się praktycznie tylko to, co zapisane na papierze. Czyli plany wojenne, technologie wyrobu wyrafinowanej broni, zakłęcia. Tymczasem jego własny, Debrena, ojciec, służąc w wojsku jako poborowy pikinier, wylądował na trzy miesiące w rocie karnej - bo napisał w liście do domu, ile waży jego pika. Babcia się zamartwiała, czy syn przepukliny nie dostanie, więc napisał, że nie, spokojnie, bo w ich regimencie mają ciągle ten sam co dziadek na Wojnie Globalnej model '97, nawet lżejszy, bo rdza sporo zjadła, więc trzeba było ćwierć funta grotu zeszlifować. No i potem ganiał z dwakroć cięższą piką, w karniackim kirysie z brązu, pokutując za

zbrodniczą bezmyślność.

„A ja nie wiem” - wyznała Amma. - „*Powiec, Pirr.*”

Szli coraz wolniej. Całkiem jak skazańcy, skracający krok na widok szafotu. Albo - co bardziej pasowało - szubienicy.

Pirr zaczął tłumaczyć, na czym polega idea strzelania z trebusza i czym różni się on od balisty lub onagera. Debren nie bardzo słuchał. Zagapił się na rdzawą żelazną klatkę, zawieszoną na ramieniu szubienicy. Klatka była pusta, za to na podtrzymującej ją belce siedział...

- Sokół.

Pirr urwał w pół zdania.

- I koń - wskazał wzrokiem Debren. - Chyba... chyba nas jednak wyprzedził.

Nikt nie zapytał, o kim mowa. Może poznali stojącego przy odwachu siwego wierzchowca: byli przecież z Trickley. A może, tak jak on, wypatrzyli sajdak, przytroczony do siodła. Łuk, który z niego wystawał, był krótki, pewnie kompozytowy. W łuczniczym mocarstwie, za jakie uchodził Anvash, paradoksalnie, niemal nie spotykało się takiej broni. Odkąd wyspiarze wynaleźli swój sławny długi łuk i na polach bitew wykuła się jego legenda, broń krótsza od sążnia praktycznie wyszła z użycia. Poważnemu mężczyźnie po prostu nie wypadało pokazywać się z czymś, co wsparte o ziemię sięga najwyżej do piersi i co może napiąć chłopiec, starzec lub baba. Ponoć to właśnie jakiś anvaski łucznik, o głowę niższy od swej broni, wymyślił popularne w całym Viplanie i ochoczo podchwyczone przez rycerzy powiedzenie: „Słabeusze noszą kusze”. Debren nieco w to powątpiewał, bo rymowało się wyłącznie w staromowie, której prosty piechur z Wysp nie miał raczej prawa znać. Podejrzewał, że to wolne tłumaczenie innego, już rdzennie anvaskiego powiedzenia, które z kolei ani w szlachetnej staromowie, ani w ustach rycerza nie

brzmiało dobrze: „Gdy masz jaja, a nie zbuki, bijesz się na długie łuki”. Tak czy inaczej, obie opinie oddawały stosunek wyspiarzy do ich narodowej broni.

Tylko cudzoziemiec mógł tak jawnie obnosić się z babskim orężem. Cudzoziemiec albo... elf. Bo w kwestii łuków, wyższości jednych nad innymi i temu podobnych, elfy traktowały ludzkie mody i wymądrzanie się tak, jak posiwiały marszałek traktuje wywody zasmarkanego pięciolatka z drewnianym mieczykiem. Nie komentując, nosiły broń najlepiej przystającą do ich potrzeb.

Cudzoziemiec nie miał tu czego szukać. A zatem...

I faktycznie, ledwie Pirr ruszył ku przegrodzonej szlabanem bramie, z bocznych drzwi odwachu - zapewne kwatery komendanta - wyszedł sekretarz rady, Keloalen.

Jak na elfa przystało: wypatrzył ich od razu. Debrenowi przemknęła myśl, że może to dzięki telepatycznej więzi z pozostawionym na czujce sokołem. Nie spodobała mu się ani ta myśl, ani nonszalancja, z jaką elf dosiadł siwka i ruszył stępa ku bramie.

Pirr spochmurniał, a Amma wyraźnie nie wiedziała, co zrobić z twarzą. Nim pokonali kilkadziesiąt kroków, dzielących ich od szlabanu, przez jej oczy przewinął się i strach, i nadzieja, i wdzięczność. Cóż, nie miała pewności, czy ten przystojny mężczyzna w eleganckich żółtych rajtuzach jest wrogiem, czy na odwrót - aniołem zbawcą, któremu zawdzięcza parokrotne ocalenie.

W Debrenie obie ewentualności budziły sprzeciw. Nie chciały żyć ze świadomością, że ocalił ich ktoś mający w oczach tyle chłodu. No i... tak urodziwe rysy.

- Mecenas Pirr? - Głos Keloalena nie promieniował ciepłem, jednak, jak to u elfa, elegancja zgrabnie maskowała niechęć. - No proszę. Jakież miłe spotkanie.

- Wielce - mruknął garbus. Na tle rozpartego w siodle gładysza jeszcze bardziej garbaty, pokraczny i paskudny.

Debren nie patrzył na Ammę. Bał się, że ujrzy w jej oczach tęsknotę. Keloalen był przystojny, w żyłach obojga płynęła ta sama krew elfów. Gdyby wyciągnął teraz, nawet bez jednego słowa, kawałek czarnego bazaltu... Dał do zrozumienia, że to on...

Odeszłaby z nim. Na pewno.

Wartownik, pryszczaty młokos, nie unosił szlabanu. Rozglądał się za kimś, kto mu powie, że wolno. Z odwachu wiało jednak pustką. Sądząc po gwarze i zapachach, garnizon właśnie zasiadł do kolacji.

- Cóż to: baronowi znudziła się zabawka? - Elf zerknął z uśmiechem na Ammę. - On was przysłał? Czy może pokpiłeś sprawę i panna ci umknęła? Wybierając smoka, zamiast was? Co i nie bardzo dziwi...

- To drugie - wyznał zaskakująco szczerze Pirr.

- Cóż, nikt nie jest doskonały... Ale bez obaw. Właśnie odbyłem pogawędkę z komendantem. Nie ma zamiaru wpuścić do rezerwatu nikogo, kto nie jest do tego uprawniony. Tak dalece nie ma, że...

Życie dokończyło za Keloalena.

- Dziesiętniku! - huknął ktoś władczo z komendanckiej kwatery. - Gdzie, do kroćset, jest klucz od szubienicy?! Ponoć kłusownicy już w drodze!

Wystraszony wartownik w pośpiechu podniósł szlaban. Elf skłonił się, ni to Ammie, ni Debrenowi, trącił siwka ostrogą i odjechał w stronę lasu. Sokół poderwał się z szubienicznej belki, poszybował w niebo. Dziewczyna popatrzyła tęsknie za jednym i drugim.

Szlaban opadł. Przed samym nosem Pirra.

- Niepoważnym wstęp wzbroniony - wyrecytował formułkę pryszczaty. Chyba nie wykuł jej dostatecznie dobrze.

- My do komendanta - wyjaśnił spokojnie jurysta.

- Niepoważnym...

- Tak, słyszałem. Ale to dotyczy rezerwatu. A ja chcę tylko pomówić z dowódcą. Do tego jestem upoważniony.

Z odwachu niespiesznie wyszedł dziesiętnik. Spiesznie nie bardzo mógł. Miał krótkie nogi, jak to krasnolud, a w dodatku od kolan w dół obie drewniane. Był w koszuli, ale Debren w lot rozpoznał weterana. Tylko stary wojak, zamiast laską, mógł się podpierać bojowym młotem.

- Nie ma klucza, komendancie! - odkrzyknął, odgryzając kawałek trzymanego w dłoni, chyba zajęczego uda.

- Jak to: nie ma?! To zamtuż czy bojowa placówka Królewskiej Straży Leśnej? - Krasnolud żuł, więc nie odpowiadał. - Jak mamy kłusowników wieszać?

- Nie ma! - powtórzył dziesiętnik. - Wziął i ostatecznie pękł!

Debren przyjrzał się szubienicy. Klatka faktycznie miała kłódkę. Była też mała, a wspornikowi, na którym wisiała, brakowało dodatkowych dwóch stóp długości potrzebnych, by powiesić skazańca. To dlatego w pierwszej chwili wziął ją za element raczej dekoracyjny i symboliczny. Prawdziwa szubienica klatkowa wygląda inaczej. Idea jest taka, by skazanego, gdy już wyda ostatnie tchnienie, kat mógł samodzielnie (pachołkowie kosztują) wepchnąć drągiem w drzwiczki zawieszanej obok klatki. Z myślą o tym klatki robiono spore i z dużymi drzwiami. Ktoś kiedyś wyliczył, że tak jest bardziej ekonomicznie, a zabiegi z bujaniem trupa i upychaniem go w klatce przy pomocy drąga mocno zwiększają popularność egzekucji. Po wszystkim klatkę zamykano i przez następne tygodnie, miesiące, a nawet, daj Boże, lata szczątki łotra mogły wisieć na widoku, służąc dobru społecznemu i odstraszać potencjalnych niegodziwców od popełniania niegodziwości. W małych miasteczkach, gdzie ciężkie zbrodnie zdarzały się rzadko i

między jedną a drugą egzekucją potrafił upłynąć nawet rok, tego typu szubienice były nader popularne. Kosztowały oczywiście więcej, ale rozmaite organizacje charytatywne ochoczo dopłacały różnicę: pozwalało to wyeliminować patologie i wieszanie niewinnych włóczęgów tylko po to, by szubienica nie świeciła pustkami, co, jak wiadomo, rozzuchwala zbrodniarzy. Wielkie grody, mocniej nękanie przestępczością, nie musiały inwestować w ten bardziej kosztowny system prewencji: ciała wisielców nie rozkładały się aż tak szybko, by nie znalazł się kolejny łotr, nim poprzedni zgnije i odpadnie.

No, ale to tutaj nie pasowało do schematu. Albo w okolicy kłusowały wyłącznie gnomy oraz niziolki, i to do ich postury dopasowano wymiary klatki, albo...

Tak, raczej to drugie: skazaniec trafiał do środka niepowieszony. Anvash był liberalny, a na prawa człowieka i nieлюдzia kładziono tu duży nacisk, więc Debren zastanawiał się przez chwilę, czy klatka nie jest może humanitarnym zamiennikiem tyczek i pali, na które nabija się poćwiartowane zwłoki naprawdę groźnych zbrodniarzy. Uznał, że nie o to chodzi. Kłódka wyraźnie sugerowała, że skazańca pakowano do środka żywego. Klatka była mniejsza od typowej, bo wypełniano ją jeszcze na ziemi, wygodnie, upychając ręką czy kolanem, nie drągiem. Oraz pewnie po to, by temu w środku nie umierało się wygodnie. No i mniejsza, co oczywiste, mniej kosztuje.

- Na kłusowników. - Basowy głos huknął mu wprawdzie dużo niżej niż nad uchem, ale na tyle blisko i nieoczekiwanie, że Debren niemal podskoczył. - I żeby jasne było: tu za kłusownika liczy się każdy, kto bezzasadnie przelezie choć krok za ogrodzenie. Zaostrzony rygor.

Dziesiątnik. Debrenowi nie chciało się wierzyć, że krasnolud zdążył tak szybko dokuśtykać do bramy.

- Mamy sprawę do komendanta - Pirr skinął krasnoludowi głową.
- Pirr z Trickley, mecenas wyaplikowany.

- Wy... że jak?

- Znaczy - podpowiedział strażnik - że włosy wyskubał. Moja luba... - zaczerwienił się i urwał.

- Znaczy: łysy? - Krasnolud wzruszył ramionami. - Że niby mądrej głowy włos się nie trzyma? Eee... Nie przechwalajcie się, panie jurysto. Zwłaszcza, że sami przyznajecie: dodaliście sobie powagi, niepoważnie skubiąc łeb. Gadajcie lepiej, w czym rzecz. Bo mi kasza stygnie.

- Wolałbym...

- Komendanta za rozmówcę? Też bym wolał, ale on nie zwykł pod bramę biegać i każdego osobiście wypytywać. No, słucham, panie wy... wypli... wyskubany mecenasie.

Pirr chyba zastanawiał się, czy nie pada ofiarą kpiny. Debren od razu wyczuł, że to raczej wina relacjonatorów, piszących do brukowych kronik. Pismacy, chcąc uchodzić za mądrzejszych, z lubością przeplatali narrację terminami brzmiącymi możliwie uczenie. A że większości ludzi nie stać ani na szkoły, ani na kupowanie zadrukowanego papieru - nawet takiego, który po przeczytaniu ląduje w nocniku bogacza, by potem, wraz z zawartością nocnika, spływać rynsztokiem i oblepiać miejskie bruki - relacji ze świata głównie wysłuchiowano. Zwykle w karczmach, gdzie koszt publicznych odczytów wrzucano w cenę trunków. Nic dziwnego, że słuchacze, powtarzający potem z rozmytej chmielem pamięci, przekręcali co drugie trudne słowo.

- Ta oto dziewczica Amma - oznajmił Pirr oficjalnym tonem - przybywa na apel smoka i wnioskuje o wpuszczenie jej na teren Królewskiego Rezerwatu Trickley.

Przez brodatą twarz krasnoluda przemknął cień. Zadarł głowę i

choć Amma, po uwzględnieniu wysokości konia, przewyższała go dwukrotnie, przez chwilę przypominał zatroskanego dziadka, spoglądającego na małą, głupiutką, niesforną wnuczkę.

- Naprawdę tego chcesz, panienko?

Zdziwiona, zawahała się, lecz potem tym mocniej pokiwała głową. Patrzył jej w oczy, więc nie powtórzył pytania. Odwrócił się i odszedł bez słowa.

Pilnujący bramy młodzik odchrząknął:

- Darujcie, że się wtrącam... Ale... jeśli panienka nie dziewica i nie do smoka... Bo staremu komendantowi też przysyłali z Trickleley... no, panny, powiedzmy... Ludzki był człek, szło się dogadać. Ale z tego nowego okrutny karierowicz i służbista i...

Trzy spojrzenia przyklejone do jego pryszczatej twarzy sprawiły, że utknął. I znów poczerwieniał.

- Tak? - Pirr wystarał się o przyjazny uśmiech.

- Bo on tu jedną nimfę gościł. Nocami. Rozumiecie. A potem raz zaspiała i ją kucharz przyłapał, gdy się wymykała. Bo normalnie to na zmianie Holsego... no, dziesiętnika. A Holse to były bosman, na wartę mówi wachta i od razu lezie na wieżę, smoka wypatrywać. Siedzi tam jak w bocianim gnieździe i nie bardzo patrzy, co się w dole dzieje. Choć po mojemu, to po prostu nie chciał jej widzieć. No ale kucharz, świnia jedna... I wyszło na to, że z niej kłusowniczką. Taki tu mamy rygor. Jak kto wlezie, to nie ma zmiłuj: kłusownik. A komendant, zamiast kucharza obsobaczyć i kazać mordę na rygiel albo powiedzieć, że to sekretna informatorka, co z donosem szła... bo mamy takich, operacyjne działania też prowadzimy... to wziął i własną miłośnicę powiesił. - Trzy głowy obróciły się ku szubienicy. - No, właśnie tam. Dobrze choć, że potem sumienie się w nim odezwało i nie kazał jej brzucha rozpruwać.

- O... okaleczacie ich? - Debrenowi zaschło w gardle. Starał się

nie myśleć o szubienicy, ale jeśli zakłęcie iluzyjne mu nie wyjdzie, jeśli ktoś połapie się w oszustwie...

- E, nie... No co wy? Wiadomo, że za kłusownictwo się w Anvashu wieszają. Można w klatce, bo nie napisali, że w klatce nie. Ale okaleczać? Co to my: dzikusy jakiegoś? Demokraci? Nie w tym rzecz. O to poszło, że nimfa Holsemu klucz wyrwała, gdy ją zamykał. I połknęła.

- He?

- Bardzo płakała. Że nie chce umierać z pragnienia i głodu. I tak okrutnie ściśnięta w tej klatce. Więc pewnie pomyślała, że jak zje klucz, to ją trzeba będzie rozciąć i raz-dwa skona. Choć po prawdzie tego komendantowi w twarz nie wykrzyczała. Więc może faktycznie tak zaplanowała, jak komendant podejrzewał. Że poczeka, a jak klucz... no wiecie... to drzwiczki otworzy i ucieknie.

„Hyba tego nie powiedział na głos??!!”

Wartownik tylko uśmiechnął się bezradnie. Najwidoczniej nie potrafił czytać.

- No więc jak komendant na to wpadł, kazał, by warta stale przy szubienicy stała i się patrzyła... no, wiadomo. To go wtenczas nimfa opluła. I wykrzyczała, że klątwę na nas rzuca, a na niego największą, łajdaka bez serca. No i się chłopaki trochę przelękli. Bo taka klątwa umierającego, a jeszcze nieludzia... wiadomo. Więc kucharz wymyślił, by brzuch potworzycy rozciąć, bo klucz to mienie królewskie... Gadał, jakie to mocne soki trawienne mają zwierzęta w żołądku i że jego zdaniem kluczowi to zaszkodzi. A tak naprawdę to mu szło o to, by szybciej nimfę uśmiercić. Nim gorszych klątw nie narzuca. Na niego zwłaszcza. Ale Holse powiedział, że kłusowników się wieszają, nie rozcina, i że chyba kucharz chce komendantowi świnie podłożyć. I komendant zabronił...

- Musimy o tym...? - Pirr umilkł, uciszony władczym gestem

Ammy. Amma chciała wysłuchać do końca.

- I co się stało? - zapytał cicho Debren.

- Ano, dokładnie to nie wiadomo. Bo jak komendant poszedł, to Holse wymyślił, by czasu nie tracić. Bo nim nimfa wysra klucz... znaczy... no, nim go...

- Wysra - podpowiedział Pirr.

- No... tak. No więc, mówi, nim ona tego, to my tu do usranej śmierci będziemy na deszczu moknąć, bo ile taka chudzina mogła zjeść? Miłością, głupia, żyła. A dokarmiać jej się nie da, bo kodeks nic nie mówi, by wisielca karmić. Jeszcze jacyś obrońcy praw skazanych pozwą nas, że bezczestimy zwłoki. W dodatku te soki trawienne, co to kucharz mówił, przeżrą caluśki klucz i mienie królewskie uszczerbku dozna. Ale, powiada dziesiętnik, jakby tak gorzałką dziewczkę poić, to się raz dwa porzyga, bo ile taka nimfa może wypić. I na pewno klucz wyrzyga.

- I?

- No i... popili. Znaczy... niby to ona miała, ale nie chciała, więc Holse wymyślił, by stać obok, czasem ciut wypić ze smakiem, pozapraszać do kompanii, a wtedy jej w gardle zaschnie i... No i się ostatecznie uchlało dwóch z warty i sam dziesiętnik. A nimfa wzięła i uciekła.

Oczy Ammy rozbłysły radośnie. Debrena coś zaszczypało, i pod powiekami, i w gardle. Trochę na myśl o nimfie, ale bardziej z powodu Ammy. Większość kobiet nie lubiła leśnych panien. Za piękne były, zbyt pożądane, za łatwe. To trochę jak z mężczyznami i elfami. Pomyślał, że niewiele brzydkich dziewczyn tak by zareagowało. A ona... ona przez chwilę była niemal szczęśliwa.

To nie w porządku, że akurat ją pożre smok.

- A klucz? - zaskoczył go pytaniem Pirr. Wartownik też wyglądał na zdziwionego. - No, klucz. Dziesiętnik mówi, że ostatecznie pękł.

Czyli co: nie zabrała go?

- Eee... no... no nie.

Chłopak próbował zrozumieć, do czego zmierza ten dziwny garbus. Debren miał inne zmartwienie.

- Ammo... - Położył rękę na łąku siodła, tuż przy jej udzie. - Ammo, przemyślałem to. Ten człowiek... to znaczy komendant... z takim służbistą i asekurantem...

- Komendant nie jest człowiekiem - sprostował wartownik. - To półe... znaczy: multirasowy Ostrouchoanvash.

- Półelf?! - Debrenowi zupełnie wyleciała z głowy polityczna poprawność. - Amma, wracamy!

Szarpnął konia za wodze. I to był błąd. Bo karosz owszem, zakręcił posłusznie w miejscu, ale skutkiem tego na chwilę, zamiast przodem, ustawił się bokiem do szlabanu. Co wystarczyło dziewczynie.

Postawiła stopę na belce, szybko przerzuciła drugą nad końskim grzbietem, odbiła się - i wylądowała tyłem po tamtej stronie.

W Królewskim Smoczym Rezerwacie Trickley.

Wartownik tylko zassał powietrze - i znieruchomiał. Debren też znieruchomiał. Na moment czy dwa.

- Nie rób tego - powiedział cicho i szybko Pirr. - Ty to nie ona, nie wyłgasz się...

Placyk między odwachem a wieżą był pusty. Żadnych koni w polu widzenia. Wartownik... Chyba nie sięgnie po miecz tak szybko, jak by mógł. Nie po to tyle gadał, by teraz skrzywdzić Ammę.

Debren zrobił krok do przodu, jego dłonie spoczęły na belce szlabanu. Skoczyć górą? Ślizg dołem? Nieważne. Byle ta durna nie zaczęła przed nim uciekać.

- Debren... Zostaw to mnie. Nic nie...

Nie słuchał Pirra. A może to nie Pirr, tylko głos rozsądku? Po

tamtej stronie belki jest śmierć. Tamci mają w stajni świeże konie i elfa za dowódcę. Na gościńcu dogonią ich bez trudu, a jeśli zjadą w las, elf, choćby półkrwi, pójdzie po śladach nie gorzej od myśliwskiego psa. No i to ludzie króla. Jak się uprą, podniosą alarm w całym królestwie. W każdym porcie będą go wypatrywać. Musiałby chyba dotrzeć do Conshonii, hen, daleko na północ, by w ogóle próbować opuścić Wyspy.

Beznadzieja. I w imię czego?

Zanurkował pod belkę. Ale jakoś wolno. Za wolno na ucieczkę. Jakby przewidział, że nie będzie uciezki.

Że Amma, choć z błaganiem i przeprosinami w oczach, odskoczy od niego.

- Zatrzymać ich! - dobiegł od strony odwachu ostry, władczy okrzyk. - Zatrzymać kłusowników!

Wartownik, bez cienia zapału, wyciągnął miecz.



- Reprezentacja prawna - upierał się Pirr - każdemu się należy. Nie żyjemy w demokracji, panie Nolton.

- Wiem. To królewski rezerwat. I to właśnie król nadał mi prawo sądzenia kłusowników w trybie doraźnym.

Komendant Nolton sprawiał wrażenie gorącego zwolennika owego trybu. Kazał co prawda wprowadzić zatrzymanych do swej kwatery, ale dziesiątnika, mrużąc coś o przyniesieniu picia, zbył pańskim ruchem dłoni. Sam nie usiadł za stołem ani przesłuchiwanym nie proponował siadania na którejś z ustawionych naprzeciwko ław. Posłał za to pod szubienicę dwóch ludzi z drabiną: mieli sprawdzić, czy klatka da się otworzyć i czy wytrzyma podwójne obciążenie. Dwaj inni dostali rozkaz zameldowania się z

rohatynami. Zostali ustawieni przy drzwiach w charakterze dodającej powagi asysty.

Debren pociłby się jak szczur, gdyby nie był tak zajęty podtrzymywaniem zaklęcia. Po Ammie ciężko było poznać, co myśli i czuje. Nie patrzyła na niego. Miał nadzieję, że to nie dlatego, że coś spała i tam, w samym środku swej kobiecości, odczuwa jego dotyk.

Chciałby jej tam dotykać, pewnie. Ale nie tak. Skręcał się na myśl, że dziewczyna może podejrzewać go o ukradkowe obmacywanie.

- To samo prawo o rezerwatach - nie dawał za wygraną Pirr - powiada wyraźnie: ludność okoliczna ma nieść zwierzyńnie wszelką pomoc, zaś straż leśna ułatwiać jej to.

Sprawiał wrażenie pewnego siebie. To podnosiło na duchu. Podobnie jak widok króciicy, tkwiącej ostentacyjnie za jego pasem. Po opróżnieniu lufy i przesypaniu prochu z rożków - kojarzących się ponoć wojskowo - do sakiewki na hubkę, broń, zdaniem prawnika, przeszła z kategorii „niebezpieczne narzędzia” do kategorii „nowoczesne krzesiwa” i jako taka nie powinna budzić zastrzeżeń strażników. Faktycznie: nie budziła. Rożki Pirr, nie pytając nikogo o zgodę, cisnął w las.

- Ten zapis - zaprotestował Nolton - dotyczy owiec! Jedzenia, a nie dziewczic!

- Prawo nie precyzuje rodzaju pomocy. Poza tym skąd wiecie, że smok nie chce owej dziewczicy właśnie zjeść?

- Skąd? Stąd, że sama do niego lezie! - Elf czystej krwi zachowałby pewnie spokój, ale ludzka część natury komendanta źle znosiła gadanie Pirra. Debrena to nie dziwiło. Też miewał ochotę grzmotnąć tamtego po łbie.

- Nie sama - podkreślił jurysta. - Jeno na apel smoka tudzież władz Tricklely. Które to władze, z tego, co wiem, uprzedziły

rezerwat o możliwym przybyciu dziewic.

O tym Debren nie słyszał. Z kwaśnej miny gospodarza poznał jednak, że Pirr wie, co mówi.

- Gród nie ma nijakiej jurysdykcji nad...

- Smokowi to powiedzcie, panie Nolton. Który, że tak ujmę, szcza moczem na ludzkie jurysdykcje. I to od burmistrza naszego grodu żąda dziewicy.

- Współczuję - rzucił przez zęby półelf.

- Król Dewart Zielonka też współczuł. Nie przypadkiem uchodzi za ojca nowoczesnej ekologii. Rozumiał, że w ekologicznej niszy każdy stwór musi dla siebie miejsce znaleźć i jakoś żyć po ludzku. Dlatego wprowadził zabronił smoki na ich ziemi niepokoić, ale dał też takim jak Trickley grodom przywilej dokarmiania bestii.

- Przywilej? - zdziwił się Debren. - Znaczy... jeszcze ją mieli na swój koszt...?

- Wbrew pozorom, można na tym zarobić. Niektórzy przynajmniej. Ale też jeno niektórzy władają grodami. Rzecz w tym, że smok musi jeść, a hodowcy hodować owce. Smok zje chore, kulawe, dające kiepską wełnę; co mu tam, obojętne. Natomiast hodowcy nie jest obojętne, jakie ma stado. Więc jeśli ktoś zorganizuje, by kiepskie sztuki kupować trochę powyżej ich rynkowej ceny, ku zadowoleniu hodowców z ościennych hrabstw, a potem sprzedawać hodowcom z otuliny rezerwatu albo straży leśnej trochę poniżej rynkowej ceny owiec pełnowartościowych... Jeśli dostanie na taki handel królewski monopol... Rozumiesz.

Debren rozumiał. Nolton udawał, że nie.

- Co mają do rzeczy owce? - wzruszył ramionami.

- Zaiste nic - przyznał spokojnie Pirr. - Bo przywilej nie precyzuje, czym ma Trickley smoka dokarmiać.

- Jak to czym? Owcami! Wiadomo, że smoki jadają...

- Latające. I też jeno te większe. Bo małe, wiwerny przykładowo, zajacem nie pogardzą albo kaczką. O, albo rybką. A znów smoki nieloty...

- Służę w Królewskiej Straży Leśnej! - poczerwieniał komendant. - Nie musicie mnie zoologii uczyć!

- Więc wiecie, że smok latacz owce preferuje, bo są optymalną dla niego zwierzyną łowną. Ważą tyle, by zdołał z porwaną odlecieć, a znów nie tak mały, by musiał całymi dniami uganiać się za drobnicą. Ale gdybyście tu dłużej pracowali, wiedzielibyście, że z Trickley podrzuca się też smokowi całkiem inne mięsiwa. A to ryby, a to wołu, żywego lub w półtuszkach... Jeśli smokowi jedzenie przed pieczarę dostarczyć, nie wybrzydza. I wieloryba zeżre, o ile nie musi z nim latać. Poza tym nie dokarmiamy gada wprost. Dużo więcej dóbr, niekoniecznie jadała, idzie na wspomnienie hodowców z otuliny rezerwatu. Którym smok po prostu porywa owce i którzy bez tej pomocy...

- Dość o jedzeniu - uciął komendant. - Otrzymałem poważne sygnały o planowanym zamachu kłusowniczym na życie i zdrowie smoka. Nie zamierzam więc...

- Poważne sygnały? Niech zgadnę: Keloalen.

Nolton zignorował uwagę i dokończył:

- ...ani o pół palca od procedur odstępować.

- To znaczy? - zapytał ostrożnie Pirr.

- Przepis mówi: komendant jest w prawie zarządzić badania dostarczonej żywności. I na koszt dostawcy zamówić ekspertyzę biegłego znachora.

- Weterynarii - dodał jurysta. - Całość cytujcie. Poza tym przytaczacie artykuł dwunasty, o dokarmianiu zwierzyny. Który ma się nijak do kobiet, wezwanych przed oblicze smoka. Bo nie ma pewności, że cel wezwania jest kulinarny. Ba, istnieje poważne

domniemanie, że całkiem o co innego chodzi niż pożarcie. Ale nawet gdyby, to znachor weterynarii nic tu nie ma do roboty. Nie żyjemy we wczesnowieczu. Dziś nikt już nie podważa biologicznego człowieczeństwa ludzkiej kobiety. Jej pełna podmiotowość prawna to co innego, ale człowiekiem w ujęciu biologicznym bez wątpienia jest i jeno medyk może opiniować w kwestii zdrowia niewiasty oraz jej... hmm... zjadalności.

Przy drzwiach zaskrzypiało, zachrzęściło łuską pancerza. W progu stanął dziesiętnik Holve, już na służbowo, w zielonym kubraku strażnika leśnego, karacenie (prywatnej chyba, bo nikt inny nie nosił tu zbroi) i pasie z herbem królestwa, czyli Lwem z Morza. Chciał coś powiedzieć. Komendant powstrzymał go, unosząc dłoń.

- Nie traktuj mnie jak idioty, Pirr. Wiem, że baba i owca to nie to samo. To jedynie wy, ludzie pełnej krwi, potraficie je czasem pomylić - wymownym ruchem odgarnął włosy, choć nosił je dość krótko ścięte i spiczaste, elfie czubki uszu cały czas były na widoku.
- Przytaczam ci ten zapis, bo mam zamiar na zasadę analogii się powołać. I zbadać tę twoją... dziewicę.

Debren nie był pewien, czy dostrzega triumfalny błysk w oku prawnika. Ale chyba tak.

- No wiecie! - udał oburzenie Pirr. - O pannie mowa! Jak możecie jej cnotliwość kwestionować?

- Nie kwestionuję - zełgał Nolton. - To tylko konieczna formalność. Holve! - zwrócił się do krasnoluda. - Poślij gołębia do Dertudy. Niech niezwłocznie...

- Właśnie chciałem... - zaczął dziesiętnik. Ale skrzywiony boleśnie Pirr wszedł mu w słowo.

- Co za Dertuda? Moja klientka nie ma czasu do stracenia! A gród Trickley tym bardziej! Jeśli będziecie nas tu bez sensu

przetrzymywać, a w tym czasie smok poleci, ludzi wymorduje i miasto z dymem puści...

- I niby ona ma temu zapobiec? - zakpił leśnik.

- Smok żąda dziewicy. Gdy ją dostanie, znów zapanuje spokój. Macie coś przeciw temu, komendancie?

- Nic a nic - zapewnił Nolton. Zabrzmiało szczerze.

- Zatem... wpuściecie nas do rezerwatu? - Pirra, jak to prawnika, szczerzość niepokoiła. - Niezwłocznie, jak stanowi przepis?

- Ani mi w głowie łamać przepisy.

- Wszystkich troje? - doprecyzował Debren.

- Skoro, jak twierdzi mecenas, potrzeba dwóch opiekunów, by pannę smokowi dostarczyć... Nie mam zamiaru niczego utrudniać. Jako królewski urzędnik robię tyle, ile do mnie należy. - Debrenowi ulżyło. Jak się okazało: przedwcześnie. - Wejdziecie w pierwszym dostępnym terminie.

- Co znaczy: pierwszym dostępnym?

- Mecenas - uśmiechnął się złośliwie Nolton - przywołał artykuł dwunasty. Czyli go zna. Więc wie, że w dalszych paragrafach reguluje się kwestie techniczne. Jak na przykład zakaz wpuszczania do rezerwatu dwóch grup darczyńców jednocześnie. To zbyt ryzykowne.

- Nie ma dwóch - zauważył Pirr.

- Uprzedzam na wszelki wypadek. I jeszcze uprzedzę, że owa ekspertka, znachorka akuszerii i zielarstwa Dertuda, mieszka dość daleko w trudno dostępnym mateczniku. I może potrwać, nim tu dotrze. Więc możecie, mecenasie, zawrócić i stanąć na nocleg w karczmie.

- Właśnie chciałem... - ponowił próbę krasnolud.

- Tylko ja? - upewnił się Pirr.

- Niestety - rozłożył ręce komendant. - Nie mogę zwolnić waszych

towarzyszy. Wdarli się na teren chroniony, nie wiadomo: prawnie czy nie. Nim się to ustali, muszę ich traktować jak kłusowników. Czyli powiesić.

Debren poczuł się jak zdzielony pałką. Ammie urosły oczy. Nawet Pirr wyglądał na z lekka oszołomionego.

- Nie możecie tak po prostu... - zaczął protestować.

- Nawet muszę. Dla waszego pocieszenia: w dowód dobrej woli zastosuję zaostrzoną procedurę.

- Dla pocieszenia? - zapytał słabym głosem Debren.

- Prywatnie nawet wam wierzę. I przykro mi, że tak wyszło. Ale wdarliście się bez zezwolenia... cóż... Dobrze, że czyn miał znamiona zuchwałego. Bo zuchwałych kłusowników prawo nakazuje karać surowiej, czyli wieszać w klatce. Zwyczajnych wolno normalnie, za szyję. Pół pacierza i trup. A w klatce umiera się... ho ho... przy deszczach nawet i tydzień. No, ale aż tak długo Dertuda chyba nie każe na siebie czekać. Nawet jak popiła. Chociaż... z tym jej artretyzmem... A i wóz ma niesprawny.

- Klatka? - zmarszczył brwi Pirr. - Które z nich masz zamiar...?

- Oboje - uśmiechnął się Nolton. I był to wyjątkowo paskudny uśmiech. - Razem się wdarli, razem zawisną. Mogę wam iść na rękę, ale jeno w granicach prawa. A prawo mówi jasno: kłusownika się wiesza. Niezwłocznie.

Debren sięgnął do rękawa. Uwierzył, głupiec jeden, w Pirra, zaufał jego pewności siebie - ale na szczęście nie bezgranicznie. A Pirr, też na szczęście, nie wypaplał tamtym, że mają do czynienia z magikiem. Nikt zatem nie zaglądał mu w rękawy, nie sprawdzał, czy aby lewy nie skrywa różdżki.

- Jak się który ruszy...! - zaczął. I na tym poprzestał. Próbował wyszarpnąć spod mankietu chwycony w dwa palce koniec różdżki. Bezskutecznie. Potrzebowałby tuzina, by wygrać z obręczą żywych

kajdan, w jakie zmieniała się krasnoludzka dłoń.

- Chodź, chłopcze - wszedł mu w słowo Holse.

- Jak się ruszy? - Nolton uniósł brwi. Jego dłoń wymownie opadła na rękojeść krótkiego miecza. - A cóż to ma być? Groźba?

Nie dostrzegł końca różdżki. Strażnicy z rohatynami, stojąc z tyłu, nie mieli na to żadnej szansy. Ale zaraz krasnolud wykrzyczy ostrzeżenie i...

- Spokojnie, chłopcze. - Dziesiętnik, póki co, nie podnosił głosu. - Nie rób nic głupiego.

Debren usłuchał. Lepiej rozważyć kolejność ciosów, a dopiero potem walić, kopać i miotać zaklęcia.

- Właśnie, Debren - podchwycił Pirr. - Żadnych głupich... Zaufaj mi. To cudzoziemiec - wyjaśnił szybko najeżonemu Noltonowi. - Słyszycie ten akcent? Co innego chciał rzec, jeno słowa pomieszał. Bał się, że któryś z nich - wskazał włóczników - potrąci pana dziesiętnika. A na drewnianych nogach ciężko ustać.

Krasnolud, zamiast pokazać mu po krasnoludzku, pięścią, kto tu może mieć problemy z utrzymaniem się na nogach, o dziwo, pokiwał głową. Po czym zabrał dłoń z nadgarstka Debrena. Komendant cofnął swoją z rękojeści, wzruszył ramionami i wskazał wyjście.

Debren uznał, że cokolwiek zrobi, lepiej robić to na zewnątrz, skąd bliżej i do lasu, i do konia. Dał się zatem wyprowadzić przed odwach.

Pirr, Amma i półelf wyszli za nimi. Strażnicy z rohatynami - niestety też. Było tu też paru innych leśników, ci jednak mniej się liczyli: dopiero skończyli jeść, kufle z przydziałowym piwem mieli jeszcze pełne i każdy pewnie trzy razy pomyśli, nim zmarnuje cenny trunek, skacząc za zbiegami. Ale krasnolud i ci dwaj włócznicy...

Zanim wymyślił, jak by się tu wyrwać i czym powalić

najgroźniejszą trójkę, problem przestał być aktualny. Z przystawionej do szubienicy drabiny ktoś kiwał do komendanta uspokajająco, że tak, wszystko w porządku i można wieszać - ale kawałek dalej...

- Co ona tu robi? - zmarszczył brwi Nolton. Widok hulającej po łące dwukółki zaskoczył go niemiło. Debren myślał przez chwilę, że komendant boi się o szlaban: wóz gnał właśnie co koń wyskoczy wprost na zaporę i przez moment pachniało staranowaniem. Potem jednak woźnica wykręcił z fantazją, zatoczył ciasny krąg i zastopował przed wjazdem - a z czoła półefla nie znikwały bruzdy. Czyli nie o całość bramy chodziło.

- Nie daliście mi powiedzieć - wrzucił ramionami Holse. - Gołębia nie trza słać, bo Dertuda sama z siebie przyjechała.

Wartownik podniósł szlaban i zaprzężona w łysiejącego gniadosza dwukółka zajechała między studnię a odwach. Debren przyjrzał się koniowi: placki odsłoniętej, brzydtko zabliznionej skóry całkiem nie pasowały do dziarskiego galopu. Sam koń też zresztą nie pasował do wozu. Pomijając koła, było to niezgrabne pudło z krzywymi dyszelkami, najwyraźniej sklecone przez kogoś, kogo nie stać na cieślę. Za to koń i koła...

Gniadosz wyglądał, wypisz wymaluj, jak rycerski rumak: był wielki, a zarazem jakby stworzony do cwału, skoków oraz energicznych manewrów, wymaganych na polu bitwy. Cenny i drogi, mówiąc inaczej. Miał się do wiejskiego wozu tak, jak kareta do krowiego zaprzęgu.

Koła dało się opisać tak jak konia: mogły udźwignąć wiele i hulać po wertepach. Podobnych wieloszprychowców używano pewnie w starożytnych rydwanach. No i w nowoczesnej kawalerii, ta jednak - przynajmniej lełońska - swe szybkobieżne pojazdy towarzyszące niechętnie wystawiała na widok publiczny, wobec czego Debren nie

miał porównać. Ale gdyby wybuchła poważna wojna i powyciągano trzymane na czarną godzinę koła bojowe, prawdopodobnie właśnie tak, jak stojący przed nim wóz, wyglądałyby tabory i baterie machin brygad konnych. Błyszczące nowością cacka lśniłyby świeżym drewnem i metalem na tle poczerńiałej, zużytej starzyzny.

- Nowe? - pokiwał głową Nolton. - No, no... Niezłe.

- Wołajcie mnie teraz: Błyskawiczna Dertuda - zaskrzeczała starym głosem siedząca na koźle kobieta. Jak dla Debrena, miała ze sto lat i wyglądała dokładnie tak, jak ludzie wyobrażają sobie leśne czarownice: mnóstwo zmarszczek opatulonych w wystrzępione łachmany.

- Wykupiłaś? - zdziwił się Holse. Z szacunkiem pociągnął dłonią po grubej, ani trochę rdzawej obręczy. - Czy może kołodziej zmiękł? Przyznaj, więdźmo: urok rzuciłaś.

- Wykupiłam. Za złoto. - Staruszka wyszczerzyła dumnie mocno przerzedzone uzębienie. A potem...

Nie, tego Debren nie był pewien. Miała rozmaślony wzrok, nawet z odległości paru kroków wyczuwał zalatujący gorzałką oddech. Później, schodząc z wozu, omal nie runęła pod kopyta wyłysiałego gniadosza - czyli za dużo z jej spojrzeń wnioskować nie należało. Ale przez chwilę wyglądało, jakby radosny, szczerbaty uśmiech zaadresowany był do Pirra. Który - co też zastanawiało - nagle zaczął patrzeć wszędzie, tylko nie na nią.

Nawet komendant czegoś się dopatrzył. Obrócił głowę, by przyjrzeć się juryście, lecz właśnie wtedy Dertuda zaczęła złazić z wozu, kończyny jej się poplątały, a Holse podskoczył, by przytrzymać spadającą. Debren rzucił się przytrzymywać z kolei krasnoluda, włócznicy z rohatynami poruszyli się niespokojnie, niepewni, czy to nie wstęp do ucieczki - i sprawa uśmiechu odeszła w zapomnienie.

- Gdzie z łapami, krasnoludzie! - zachichotała Dertuda. - Sio paluchy z mego tyłka! Za stara żem na takowe igraszki. No, to gdzie macie tę pannę? To ta?

Nie bez wysiłku skupiła mętny wzrok na Ammie.

- Ta - przytaknął bez entuzjazmu komendant. - Podaje się za dziewczycę. Sprawdź to, skoro już jesteś.

Zerknął w stronę szubienicy, jakby tęsknie, ale potem skinął ręką, pokazując drzwi swej kwatery.

- To okiennice pozamykaj, synku. - Dertuda dziabnęła guzowatym palcem jednego ze strażników. - Znam ja was, chłopów. Zaraz byśta zaczęli podglądać.

Strażnik zerknął pytająco. Nolton znów popatrzył na zachód, ni to na szubienicę, ni na wylot drogi, po czym zdecydowanie pokiwał głową.

- Racja. Zamknąć okiennice, świec donieść więcej i rozpalić. Ma być porządnie zrobione. A ty, Dertuda, nie spiesz się. Pewnie ci się po tej jeździe ręce trzęsą. Więc spokojnie: odsapnij, a potem badaj. Nie pali się. Może byś coś zjadła? Albo mleka wypiła, hę?

- Bez obaw. - Pirr nieoczekiwanie ujął dłoń Ammy. Posłała mu oczami słaby uśmiech. - O Dertudzie mówią, że nie ma lepszej znachorki. Raz-dwa się uwinie.

- Nie musi być raz dwa - przypomniał elf.

- Na babach i koniach to się znam - przyznała starucha. Po czym chwiejnym krokiem minęła stojących i podeszła do konowiążu. Jej twarz rozjaśnił uśmiech. - A kogóż my tu mamy? Nowy nabytek, panie półelfie?

- Multirasowy Ostrouchoanvashu - sprostował chłodno Nolton. - Jesteś królewskim ekspertem, więc mów, jak na urzędnika przystało. Bo to mnie potem będą rozliczać, że ksenofobii nie zwalczam w podległym sobie...

Dertuda zignorowała go. Wyjęła zza pazuchy marchewkę, podsunęła pod pysk uwiązanemu do belki karoszowi Pirra. Mile zdziwiony koń parsknął przyjaźnie, delikatnie wyjął prezent z dłoni, zaczął chrupać. Wiedźma roześmiała się, pogładziła go po nozdrzach, zwichrzyła grzywę.

- Aleś śliczny! Dawnom takiego nie widziała. Nie to co mój Łysek. No, ale ciebie żaden głupi rycerz na smoka nie brał. Nie spaliła cię bestia do żywego mięsa...

Pirr szarpnął nagle głową, spojrzał na pokrytego bliznami gniadosza. Cofnął się też w stronę drzwi, pociągając za sobą Ammę. Wychwycił zdziwione spojrzenie Debrena. Lecz to nie do niego się zwrócił.

- Twój koń walczył ze smokiem, Dertudo?

- Ano, trafił mu się durny pan. Poprzedni komendant, świeć mu Boże, to nie to co pan Nolton. Jak dawali, brał w sakiewkę i ślepił na zawołanie. I raz wpuścił do rezerwatu błędnego rycerza. Jeny koń po nim został. Popalony cały. Musiał, biedaczek, pod zionięcie podbiec. Ledwie odratowała. Ale - zakończyła optymistycznie - przez to Łysek dłużej pożyje, bo na wojnę nie trafi. A ja szybciej do pacjentów dotrę. Na tych nowych kołach zwłaszcza. Zamierzam - wskazała wóz - na bokach wymalować: „Błyskawiczna Dertuda” i do porodów aż do Plotterby jeździć. W mieście dobrze płacą. A znów baby są słabsze, dobrobytem rozpieszczone, więc bardziej fachowej pomocy potrzebują. Tak że, Panie Boże, odpuść nieboszczykowi łapówkarstwo, bo w sumie na dobre wyszło.

- Amen - dokończył Pirr. I, już bezpośrednio Debrenowi, wyjaśnił:

- Pytam, bo smok mógł zapach zapamiętać. Zapach groźnego wroga. Jak teraz na nas przejdzie... rozumiesz. Ty też się odsuń od tego konia.

- Dawno Łyska macie, pani znachorko? - zapytał Debren,

przezornie cofając się od zaprzęgu.

- Drugi rok będzie.

- Na wszelki wypadek - zadysponował Pirr - zabierzcie wóz dalej, pani Dertudo. Pod wieżę może?

Dertuda zabrała, bez słowa. Zapewne, tak jak Debren, nie miała pojęcia, czy smok zapamiętuje zapachy wrogów na dwa lata, czy raczej na dwa pacierze. I czy zalicza do wrogów rycerskie konie. Ale gdy nie wiesz, dmuchaj na zimne - Debren wyznawał taką zasadę, więc gładko przypisał ją znachorce.

Poza tym miał większe zmartwienia. Okiennice pozamykano i Dertuda z Ammą znikły w komendanckiej kwaterze. A on nie był pewien, na ile deski osłabią moc wiązek podtrzymujących zakłęcie. Dżuma i syfilis. Nie dość, że odległość, że drewno chłonęło magię, to jeszcze nie widział, w którym miejscu izby znajduje się dziewczyna. Jak się sprawdza taką cnotę? Badaną trzeba kłaść? Ale czy na łożu gospodarza, czy lepiej na stole? A może powinna siedzieć? Dżuma... Nie miał pojęcia, jak i gdzie będą to robić, musiał więc słać energię to tu, to tam. Kręcił się zatem przed odwachem, od czasu do czasu, niby to drapiąc w łokieć, generował wiązkę - i czekał na katastrofę. Bo, mimo zadowolonej z siebie miny Pirra, gawędzącego z dziesiętnikiem na wdzięczny temat szybkich wozów, przeczuwał, że coś się popieprzy.

O dziwo, nie kojarzył tych złych przeczuć z komendantem. Może dlatego, że Nolton znikł z pola widzenia, wchodząc do wieży. Ale Dertudy też nie było widać, a jednak niepokój Debrena skupił się właśnie na niej.

Jak się okazało - niesłusznie. Wyszła z odwachu po paru ledwie pacierzach. W dodatku cała uśmiechnięta.

- Ha! Dawno żem nie widziała tak znakomicie zachowanego dziewictwa! - oznajmiła gromko już od progu. Debrena nie zdziwiło

zatem, że drepcąca za nią Amma omal nie umknęła z powrotem do sieni, a kiedy jednak wyszła na podwórze, twarz miała czerwoną i mokrą od potu. Cała załoga posterunku, ze skrobiącym kocioł kucharzem włącznie, wyległa przed odwach i gapiła się na nią. Niemal tuzin męskich spojrzeń spłoszy i uliczną dawkę, a cóż dopiero posiadaczkę ćwierćwiekowej cnoty.

- Doskonale. - Pirr skinął władczo na najbliższego z leśników. - Goń zatem po komendanta. Bo wy, panie dziesiątniku - zwrócił się do krasnoluda - sami pewnie nie macie prawa nas przepuścić?

- Ano nie mam. - Hols zerknął z ukosa na Ammę. - I, po prawdzie, na wasze szczęście.

Pirr uniósł brwi. Jak dotąd, w kwestii wyższości koła wieloszprychowego nad klasycznym poszóstnym, wyraźnie się zgadzali, choć kwestia była delikatna, bo Kościół uparcie obstawał przy tezie, iż właśnie ten wzór, najbliższy popiątnemu Świętemu Kołu Machrusowemu, cieszy się szczególnymi względami Boga. Jak wiadomo, Syn Boży umarł za ludzkość na uszkodzonym kole, któremu zabrakło szóstej szprychy i które jego kaci specjalnie, na pośmiewisko, wygrzebali w jakimś śmietniku. Tak więc to koło o sześciu szprychach przysłużyło się zbawieniu rasy ludzkiej. Czym zawsze nadrobi wszelkie ewentualne niedostatki fizyczne lub technologiczne - jeśli już ktoś się już upiera, by ufać w spekulacje uczonych mędrków i przywoływać ich mętne wyliczenia jako argumenty. Co prawda, wiele się zmieniło od wczesnowiecza, kiedy to kołodzieja bluźniercą, eksperymentującego z inną niż sześć liczbą szprych, skazywano na łamanie jedynie słusznym kołem - ale i tak temat był śliski. Ktoś, kto zignorował teologiczne argumenty rozmówcy albo chociaż uparcie pomijał milczeniem kwestię związków sześcioszprychowości z boskością, mógł zostać oskarżony o obrazę uczuć religijnych. Samo poruszenie tematu nietypowych

kół dowodziło, że jeden rozmówca ufa drugiemu i darzy go sympatią. Nic zatem dziwnego, że Pirr poczuł się zaskoczony.

- Do smoka ją wiedziecie - wyjaśnił Holse. - Po oczach widzę, że nie jest otumaniona. Czyli dobrowolnie idzie. Ale... Gdyby to ode mnie zależało, nie puściłbym was. To jawne samobójstwo, a samobójstwo jest złe.

Debren zerknął z nadzieją na dziewczynę. Słyszała wszystko. No i w końcu z ust kogoś, kto nie miał interesu, by ją przekonywać co do jednej lub drugiej racji. Bo oni z Pirrem jakiś tam mieli. Cokolwiek mówili, mogła ich podejrzewać o chęć skorzystania na udzielanych radach.

Z Holsem inna sprawa. Nie dość, że neutralny - to krasnolud. Co prawda, Amma nie musiała podzielać zdania Debrena w kwestii krasnoludów: że przy wszystkich swych dziwactwach są najbardziej racjonalną i zrównoważoną z rozumnych ras. Większość ludzi uważała przecież inaczej. Głównie dlatego, że krasnoluda dobrego machrusanina spotykało się jeszcze rzadziej niż krasnoluda jarosza, pacyfistę lub abstynenta.

- Czasem bardzo ciężko jest żyć. - Pirr popatrzył wymownie w dół, na drewniane szczudła Holsego. - Nigdy nie naszła cię myśl...?

Amma nie wyglądała na wstrząśniętą. Choć niby powinna, bo to jej życie tak łatwo spisano na straty.

Może dlatego Holse nie rozbroił oponenta szybką odpowiedzią. Mimo że, jak się okazało, mógł.

- Nie naszła - powiedział po chwili, w dodatku łagodząc słowa uśmiechem. - Ja, widzisz, w machinerii całe życie służę. Morskiej niby, ale nikt bosmana machinerzystów nie oderwie od balisty czy katapulty, by posłać na maszt. W bateriach nadbrzeżnych tym bardziej biegać nie trzeba. Jak mi ta irbijska łańcuchówka nogi pogruchołała, tom po prostu usiadł na baryłce i mówił chłopakom,

jakie nastawy dawać, zamiast samemu kliny wbijać i ładunki odmierzać. I nim padłem, zwaliliśmy Irbijczykowi grotmaszt, a pół rufy pokryliśmy ogniem. Abordażem go nasi wzięli, ale po bitwie kapitan osobiście przyszedł i mówił, że gdyby nie nasz ostrzał, wywinąłby się drań, bo wiatru łapał więcej. I jeszcze mówił, że na jego okręcie zawsze się dla mnie znajdzie miejsce, bo do machin głowy trzeba i serca, nie nóg. - Przeniósł wzrok na Amnę. - Tak więc mam szczęście, bo ze mnie fachowiec i świata jestem potrzebny. Choć nie powiem - wskazał wieżę - inny pokład się marzy. Ale żeby od życia uciekać... Nie, nigdy tak nie miałem. To i nie będę ci prawił kazań. Tyle tylko powiem: zastanów się. Tuzin razy, a potem jeszcze raz.

Skinęła głową. I, choć tylko oczyma, odwzajemniła uśmiech. Miała w nich łzy, ale uśmiechu więcej.

„Doby s ciebie człowiek, Cholse” - napisała.

Debren nie miał pewności, czy dziesiętnik odczytał i zrozumiał. Krasnoludy miały wrodzoną smykałkę do mechaniki, więc dobry machinerzysta wcale nie musiał być od razu piśmienny. Holse zerknął na tabliczkę, ale nim się jej przyjrzał, kucharz zadudnił chochlą w oskrobywany z przypalanej kaszy kocioł.

- Patrzajta, chłopcy! - zawołał. - Znów kogoś niesie!

Z lasu wypadł na łąkę samotny jeździec. W tym samym miejscu znikł Keloalen, więc Debren przez moment dopatrywał się w nim wracającego elfa. Ale to nie był sekretarz rady miejskiej Trickle. Sokole pióra, które błysnęły w zachodzącym słońcu, nie oblepiały skrzydeł siedzącego na ramieniu ptasiego chowańca.

Powiewały, krwawo i złowroźnie, na czapce Boomhonsa.



- Nie podważam orzeczenia Dertudy - powtórzył Nolton, nie siląc się na bycie przekonującym. - Nie słuchacie, panie Pirr. Mówię jeno, że w świetle nowych okoliczności muszę rozpatrzyć, kogo pierwszego wpuścić do rezerwatu.

Boomhonsa, trzeba mu oddać sprawiedliwość, póki co nie wpuścił. Wozobronca i jego koń - ciężka, odczepiona od dyszla klacz - czekali po drugiej stronie opuszczonego szlabanu. Koń skubał pnącza, porastające płot z faszyny, a spieszony jeździec przechadzał się nerwowo wzdłuż zapory, zerkając to na odwach, to w stronę lasu. Chyba nie zełgał w sprawie ciągnącej za nim grupy.

- Debren, jesteś z demokratycznego kraju. Kolejki to wasza codzienność. Oświeć nas w kwestii, kto ma pierwszeństwo: ten, co przybył pierwszy, czy ten, co po nim.

Debren stęknął w duchu. Pirra najwyraźniej ponosiło. To nie był ton i słowa, mogące zjednać półelfa. Rozumiał rozczarowanie jurysty - zwycięstwo sprzątnięto im dosłownie sprzed nosa - ale w ten sposób niewiele zyskają.

- Pan komendant - próbował załagodzić - jeno... pomyśleć musi. A jak pomyśli, sam dojdzie do wniosku, że to my powinniśmy iść przodem.

- Nie przodem - sprecyzował Nolton. - Na terenie rezerwatu może się znajdować jedna zwarta grupa donatorów, inspektorów i tak dalej. Dopiero gdy jej pobyt ulegnie zaprzestaniu, może wejść inna.

- Ulegnie zaprzestaniu?

- Grupa wyjedzie albo... cóż, to smoczy rezerwat...

- Aha.

- Oczywiście w tym drugim przypadku nie mogę się zadowolić stwierdzeniem, że poszli, nie wrócili, więc ich smok zeżarł. To niby oczywiste, ale jest cała lista procedur, które muszę spełnić, nim uznam, że nikogo żywego już tam nie ma, i będę mógł wpuścić

następnych.

- Byliśmy pierwsi - upierał się Pirr. Po czym wskazał znachorkę, popijającą piwo z przyniesionego przez Holsego kufła. - Ekspert stwierdził, że Amma kwalifikuje się do wejścia. Choćby dlatego musicie...

- Muszę kierować się dobrem króla. A w interesie króla jest, by smok żył i dał życie innym. Ten tam - półelf wskazał Boomhonsa - twierdzi, że go Trickleley przysłało. Z darami, które jako jedyne zapobiegną masakrze.

- Łajno prawda. To szumowina, którą burmistrz do lochu by posłał, gdyby nie brak wolnych miejsc.

- Cóż, mecenasie... Wasze słowa przeciw jego. Oczywiście wyśle gońca z zapytaniem, ale dobrze wiemy: nim ktoś coś oficjalnie potwierdzi, dwa dni miną. I jeśli żadnego z was nie wpuszczę w tym czasie, obaj oskarżycie mnie o sprowadzanie niebezpieczeństwa powszechnego dla życia lub zdrowia ludzkiego albo mienia w znacznych rozmiarach.

- To Smih jest w Trickleley burmistrzem - powiedział cicho Pirr. - A baron opp Trickleley pierwszym w hrabstwie feudałem. Póki co, Veror, liberalna opozycja i Keloalen mogą im najwyżej piach w tryby sypać. Ale to oni kręcą trybami. Chcecie, komendancie, by was tryby zmieliły?

To już była jawna pogróżka. Debren wstrzymał dech.

- W tym problem - powiedział zaskakująco spokojnie komendant - że trybami mojej maszyny obraca się w Tamburku. A tam, na dworze i w ministerstwach, akurat odwrotnie to wygląda. Veror podpisał kontrakt na wozy bojowe dla armii. Nawiasem mówiąc - skinął w stronę zaprzęgu znachorki - na takich jak te kołach. Piekielnie drogich. Ciekawe, że wiejska akuszerka zafundowała sobie akurat dziś coś, nad czym królewski skarbnik włosy drze z

rozpaczy. Nader ciekawe.

Pirrowi nawet nie drgnęła powieka.

- Dertuda, słyszałem, zamówiła koła miesiące temu.

- Słyszałeś? Pewnie się przy piwie chwaliła?

- Nie znamy się, jeśli o to pytasz.

- Spotkaliśmy syna kołodzieja - wyjaśnił Debren. Ale na prawnika wolał nie patrzeć. Bał się, że pod wpływem kolejnego podejrzliwego spojrzenia Pirrowi spadnie maska z twarzy. A nie powinna. - I się tak zgadało.

- Oczywiście. Czysty przypadek. Ale widzisz, Pirr, wasi konfratry to dociekliwe bestie. Jak ich po fakcie Veror wynajmie i każe szukać dziury w całym, to mnie takowymi wątpliwościami pogrążą. Muszę się umieć z każdej decyzji i z każdego braku decyzji wytłumaczyć. Dlatego wybaczcie, ale skoro już powziąłem wiedzę, że druga ekspedycja ratunkowa tu zmierza, a nie wiem, która skuteczniej Trickleley ocali, wolę poczekać, argumenty wyważyć i dopiero wtedy dokonać wyboru.

Odwrócił się, by odejść.

- Keloalen to elf - zdzielił go kolejnym atutem Pirr. Komendant zatrzymał się, potem powoli zwrócił twarzą do jurysty. - Nic nie sugeruję. Ale wiesz, jak sądy na takie rzeczy patrzą. Jeden elf dogaduje się z drugim, a potem giną ludzie. Wielu, wielu ludzi.

Debren poruszył ręką, ukryta różdżka przesunęła się bliżej mankietu. Rozejrzał się. Gangarinem po przyzbie, gdzie przysiadło najwięcej leśników, potem biegiem po stojącą przy studni Ammę... Nie, dzuma, jak zacznie biec, nie będzie mógł czarować, a rzucą się pewnie wszyscy, cały tuzin wzmocniony Boomhensem... Więc lepiej...

Ale Nolton, wbrew oczekiwaniom, nie sięgał po miecz, nie wybuchał wściekłością ani nawet nie zgrzytał zębami. Cedził przez

nie tylko:

- Mam nadzieję, Pirr, że na ciebie padnie. Że pójdziesz tam, a ta bestia cię zezre. Ale po kawałku, nie od razu. A najpierw przypali, jak tę biedną szkapę.

- Po prostu nas przepuść, Nolton. Bo jedno ci mogę przysiąc: prędzej się ze smokiem uporam niż ta banda szumowin. A jak smok będzie grzecznie na rzyci siedział, to i ty się utrzymasz na stołku komendanta.

Trudno powiedzieć, na ile przekonał gospodarza. Zaraz potem z lasu wytoczył się furgon Kompanii Wozobrońców Boomhonsa i komendant odszedł, kierując się do bramy.

- I co teraz? - zapytał cicho Debren. Pirr lekceważąco wzruszył ramionami.

- Spokojnie. Mamy dziewicę, a oni tylko...

Urwał. Debren pojącał przez chwilę w duchu, po czym nazwał rzeczy po imieniu:

- A oni tylko całe stado smoczego jada.

Owiec i baranów było dobre pół kopy. Aż trzy owczarki musiały się uwijać wokół pobekującej gromady. Kolumnę zamykał drugi zaprzęg, w przeciwieństwie do pojazdu wozobrońców - odkryty. Kiedy ukazał się zza gałęzi, Debren ponownie jęknął. Tym razem na głos.

- I jeszcze... - policzył szybko - siedem dziewic?!

Pirr zmełł przekleństwo w zębach.

- Nie liczba ważna, a jakość - rzucił dziarsko. - Nasza jest za to legalnie przebadana.

Zawirował na pięcie i odszedł pospiesznie. Dertuda odstawiła kufel, ale nie zdążyła ruszyć do bramy. Złapał ją pod ramię, odciągnął, ignorując zdziwionego Holsego.

Źle to wyglądało. Debren ponownie porachował potencjalnych

wrogów. Tych groźnych, bo uzbrojonych. Doszło trzech: z posterunku akurat wyruszał patrol. Dopiero po chwili przypomniało mu się, że leśnicy przestali być zagrożeniem i są już tylko przeszkodą.

To raczej ludzi z za szlabanu powinien się obawiać. Tu, na oczach królewskich strażników, nic nie zrobią, ale jeśli Nolton przegna całe towarzystwo, każe nocować za ogrodzeniem i tam czekać na decyzję... Na koźle i obok wozu doliczył się trzech mężczyzn - oprócz woźnicy zjawili się Kobert i Puchacz - ale nawet jeśli zakrytym wozem nikt więcej nie przyjechał, ci trzej plus Boomhons oznaczali dwukrotną przewagę. Choć prędzej czterokrotną. Bo Ammę trudno liczyć, gdyby doszło do walki, a Pirr... Pirr, jak wiadomo, wojuje siłą argumentacji.

Ciekawe, czy o tym samym pomyślał: o nocy, którą mogą spędzać w sąsiedztwie tych awanturników. Może dlatego negocjował półgłosem z Dertudą? Z gestów łatwo było poznać, że mówią o dwukółce i odjeżdżaniu nią. Chciał się zabrać ze znachorką? Pomyśl niezły, Łyska żaden z koni pociągowych nie dogoni, choćby go Boomhons błyskawicznie wyprzągnął i w pościg ruszył wierzchem.

Pytanie, czy gdyby rydwanem Dertudy uciekało czworo, nie dwoje, też poszłoby tak łatwo. I czy Pirr nie postawił sobie właśnie takiego pytania.

Bo jeśli tylko swój ratunek negocjuje?

Debren wypchnął z głowy ponure wizje i po prostu czekał. Powinien u boku Ammy, ale została przy studni, chyba onieśmielona asystą włóczników. A stamtąd mniej by słyszał. Stanął więc gdzieś pośrodku, między odwachem, bramą a wieżą, i próbował rozeznaczyć się w sytuacji.

Na początek dowiedział się, że niesłusznie posądzają Pirra. Dertuda wspięła się wprawdzie na kozioł swego wózka, ale

machnęła lejcami, nie czekając na nikogo więcej. Czyli nie o ucieczkę prawnikowi chodziło.

Debren potrząsnął głową. Dżuma i syfilis, co mu po łbie łązi? Nic złego się przecież nie działo. Ba, może nawet coś dobrego. Zrobił, ile mógł, Amma to widziała, więc jeśli teraz odprawia ich z kwitkiem, oboje przeżyją, a ona nadal będzie go lubić. Trudno o lepszy finał.

Więc czemu wszystkie mięśnie miał spięte tak, że aż chwilami dygotał? Bo nieszczęście wisiało w powietrzu? Od kiedy to czarodziej - no, niech będzie: przyszyły - wierzy w takie przesady?

Owczę stado rozsypało się po poboczach, zaczęło skubać trawę. Dwa psy - kudłate owczarki conshońskie - fachowo rozstawiły się po bokach, trzeci, chyba przywódca, przytruchtał bliżej bramy i gromadzących się tam ludzi. Zza furgonu wozobrońców ukazała się bosonoga, odziana w łachmany pasterka z różgą w ręku. Włosy, skołtunione, luźno rozsypane, w połowie przesłaniały bladą, kościstą twarz. Na sznurku prowadziła jagnię.

- A ty dokąd, Dertuda? - Nolton powstrzymał gestem przyszczatego, który brał się za podnoszenie belki.

- Do domu, synku - zaskrzeczała. - Noc idzie. Niebezpiecznie samotnej kobiecie po nocy lasami podróżować.

- Odsuń wóz, Patyczek! - popisał się kurtuazją Boomhons. - Pani chce przejechać!

Wielkie, ani trochę patyczkowate chłopisko siedzące na koźle strzeliło lejcami, zacmokało. Zaprzęg, choć zredukowany do trzech koni po tym, jak Boomhons zabrał kobyłę, sprawnie zatoczył trzy czwarte kręgu i stanął skosem przed bramą, zwalniając przejazd.

- A badania? - zdziwił się komendant.

- Jakie badania? - odwzajemniła zdziwienie Dertuda.

- Nie widzisz? Pełen wóz następnych dziewic.

Pirr ruszył w ich stronę. Szybko. Przynajmniej na początku, póki owczarek, kręcący się przy szlabanie i merdający przyjaźnie ogonem, nie popatrzył na niego, nie nastawił czujnie uszu i nie zaczął powarkiwać.

Jurysta zwolnił. Pies uniósł nos, powęszył, po czym przywarł niżej na przednich łapach, zjeżył się i zawarczał dwa razy głośniej. Pirr stanął.

- Ano nie bardzo widzę - oznajmiła beztrosko Dertuda. - Kurza ślepotą mnie ostatnio nęka, a to już prawie słoneczko zaszło... Nie poradzę nikogo więcej zbadać.

Pirr zrobił krok, po czym znów stanął, powstrzymany już nie warczeniem, a regularnym szczekaniem.

- Kpisz, Dertuda? Otrzeźwiej. Mamy poważny kryzys, a ty chcesz akurat teraz...?

- Nie będę tym tam pod spódnicę zaglądać, bo mi jeszcze co paskudnego na ręce przelezie. Oślepieś, Nolton? Toć to same ladacznice, najbardziej uliczne z ulicznych.

- Hej, wiedźmo! - Trudno orzec, czy Boomhons chciał ją straszyć, czy przekrzyczeć ujadającego psa. - Nie obrażaj zacnych mieszkanek Trickleley!

- Stara durna ropucha! - zawtórowała mu któraś z siedzących na drugim wozie kobiet. Ta akurat miała prawo czepiać się wieku, bo chyba nie przekroczyła trzydziestki. Ale pozostałych, gdyby nie ich odkryte głowy, wianki i warkocze, nikt nie podejrzewałby o bycie gromadą dziewiczych panien. Ani nawet, szczerze mówiąc, przypadkowo zebranych ladacznic. Zdarzają się w tym fachu starsze, pewnie, ale nie aż w takich proporcjach.

- Cisz! - huknął Nolton. - Czyj to pies? Zabrać go!

Ale owczarek sam się wycofał, chyba spłoszony ruchem Pirra. Nie szczekał już. Szczерzył jedynie zęby. Po bokach stanęły za to dwa

inne, solidarnie zjeżone psy i to wystarczyło, by prawnik zrezygnował z podchodzenia.

Kudłata pasterka nie reagowała. Jagnię beczało; napinając sznurek, próbowało dosięgnąć pyszczkiem jakiejś smakowitej kępy. Dziewczyna, głucha na jego skargi, stała, gapiąc się na staw. Więcej inicjatywy wykazał wielki baran z czarnym zadem. Przestał rwać trawę, zadarł łeb, zaczął węszyć. Dopiero teraz Debren skonstatował, że i w stadzie proporcje odbiegają od typowych. Więcej samców niż samic. Cóż: zwierzęta szły na rzeź. Ale jak na rzeźne, stado liczyło znów zbyt wiele owiec, wyglądających na młode, zdrowe i płodne - czyli drogie. Widocznie ktoś kupował wszystko, co pod ręką, nie patrząc na ceny.

Boomhons? Niby to on negocjował przy bramie, ale pańskiej pychy dowodzącego więcej miał w twarzy woźnica drugiego pojazdu. W ogóle, gdyby nie lejce w ręku, Debren nigdy nie uznałby go za woźnicę: mężczyzna odziany był w kosztowny kaftan, beret ze strusim piórem i ciżmy okute srebrem. Pasował do wozu oraz pasażerek jeszcze mniej, niż one do dziewiczych wianków i warkoczy.

- Masz umowę, Dertuda - przypomniał Nolton. - Obowiązek o każdej porze przybyć i zbadać. Już nie wspomnę, że poza ryczałtem kasujesz za każde badanie. Nie rozumiem zatem - posłał ponure spojrzenie Pirrowi - skąd ta nagła niechęć do zarabiania. Zeszłej niedzieli sama mi tu skomlałaś o robotę, bo koła niespłacone i...

- Od zeszłej niedzieli długi diabli wzięli - zaśmiała się Dertuda. - Podnoś szlaban, synku, nic tu po mnie.

- Prawda - podchwycił prawnik. - Nie znasz przepisów, Nolton? Król zabronił urzędników po nocach w robocie trzymać. A właśnie zmierzch zapadł. To nic - uprzedził - że słońce widać. Na wzgórzach jesteśmy, to dlatego. W ujęciu geograficznym za horyzont już

zaszło, więc jest po zmierzchu. Zapytajcie dziesiątnika. We flocie służył, to wam ów paradoks objaśni.

Nolton przez chwilę przeżuwał coś w ustach; może ślinę do spluwania, może klątwę. Powstrzymał się jednak.

- Powiedz lepiej, Pirr, czemu te psy tak się na ciebie szczerzą? Poznały się, coś za jeden? Owce kradniesz? Czy może je nocami po stajniach molestujesz?

- Mnie zwierzęta nie lubią, bo według nich podejrzenie się czają - jurysta poklepał wymownie garb. - Nic nie poradzę. Konie, psy... Owce, skoro pytasz, też.

Parę osób się zaśmiało. Parę przytaknęło ze zrozumieniem. Któraś z kobiet zaczęła: „Jam nie owca, mnie możesz śmiało...”, ale urwała, szturchnięta przez inną. Pirr cofnął się. Psy przestały się jeżyć.

Ich przywódca obwarczał za to Debrena.

- Podnoś - mruknął komendant. Pryszczały oparł się o przeciwwagę, jednak szlaban nie powędrował w górę. Chłopak nie miał szans przeważać odzianego w lśniący kaftan patrycjusza. Mężczyzna, choć jeszcze nie gruby, na jadło wydawał nie mniej niż na kosztowne stroje. Na szykowną broń najwyraźniej już mu brakło, bo przypasał prosty żołnierski miecz, rażąco skromny na tle reszty.

- **Z**araz - rzucił sucho. Spojrzenie, posłane Debrenowi, suche już jednak nie było. Trudno określić ogień mianem suchego. - Jak rozumiem, ta baba jest tu potrzebna, byśmy mogli wjechać do rezerwatu?

Nolton jednym spojrzeniem ocenił kaftan, rajtuzy z delikatnego sukna, złoty łańcuch.

- Dobrze rozumiecie, panie...

- Jestem rajca Hurhaker i w Trickleby kandydowałem na burmistrza. I jeszcze zamierzam kandydować. Tym razem z powodzeniem. Więc traktujcie mnie poważnie.

Debren pogratulował sobie stania daleko. Może nikt nie zauważył, jak zdrętwiała mu twarz.

Hurhaker! Alfi też się nazywał... Przez chwilę myślał nawet, że to rajfur jakimś cudem przeżył upadek z dachu. Aż tak źle nie było, ale dobrze też nie. Ta mina, wrogi płomień w oczach... Ani chybi krewny. Sądząc z wieku, pewnie brat. Kuzyn chyba nie. Kuzyn rajca nie łapałby pierwszego z brzegu miecza, nie skakał na kozioł byle fury, narażając swój autorytet poważnego polityka.

Boże, jeszcze i to... Mściciel.

- Wszystkich traktuję poważnie - zapewnił Nolton. - I jednakowo. Dokładnie w myśl przepisów.

- Oni - rajca wskazał palcem - weszli. Więc i nas wpuście. Nie zwykłem przed bramą sterczeć.

- Weszli jako asysta dziewicy, którą smok wezwał. I uprzedzeni, że oszustów się tu pętłą traktuje. - Komendant skinął w stronę szubienicy. - Mam obowiązek wieszać każdego, kto pod fałszywym pretekstem spróbuje dostać się do rezerwatu.

Zrobiło się cicho.

- To ich od razu powieś - poradziła Dertuda. Zbyt pijana, by trzymać język za zębami. - Bo ta w żółtych drewniakach nijak dziewictwa nie udowodni. Sama od niej poród odbierałam. Jeśli drugą Rimmą Niepokalaną nie jest i następnego Machruska nie powiła, to...

- To wasz ekspert od dziewic? - zdziwił się boleśnie Boomhons. - Stary, pocziwy Anvash na psy schodzi.

- Zawracaj, Dertuda - warknął Nolton. Ponaglony gestem strażnik złapał chomąto Łyska, pociągnął konia, a zatem i dwukólkę, z powrotem przed odwach.

- Wasza wola. - Dertuda nie próbowała sięgać po lejce. - Co mi tam. Najwyżej łatwo sobie dorobię. Już możesz zacząć pisać protokół, Nolton: dajka, dajka, po siedmiokroć dajka. Zjem własne ciżmy, jak choć jedna z nich...

- Ostatni raz pytam, panie rajco. - Komendant zdawał się jej nie słyszeć. - Na pewno tego chcecie? Nawet jeśli działacie w dobrej wierze i tylko wprowadzono was w błąd względem cnotliwości tych oto kobiet...

- Otwieraj.

Nolton skinął przyzwalająco. Boomhons napał na obciążnik, rajca zawrócił, wspiął się na wóz, strzelił lejcami. Konie przekłusowały pod wędrującym w górę szlabanem, wciągnęły wóz na teren Królewskiego Rezerwatu Trickleley. Debren rozejrzał się za Pirrem, ale prawnik był już przy własnym koniu. Ucieka? Dżuma i syfilis...

Nie o konia jednak szło, a o sakwę z trupim kółkiem. Skarbczyk Purchawca powędrował pod pachę jurysty. No tak, głupio pozostawiać na widoku torbę pełną pieniędzy, kiedy geograficznie zapadł zmierzch, a dookoła pełno podstarzałych ulicznic.

Debren próbował zrozumieć, na co tamci liczyli, biorąc ze sobą

takie kobiety. Kiedy wóz Hurhakera minął bramę i mógł się lepiej przyjrzeć twarzom, zdumiało go nagromadzenie szpetoty. Dajki wyglądały staro, a w dodatku chyba nigdy przedtem nie olśniewały urodą. Upačkane bielą, różem i czernidłem twarze przypominały tandetne maski, a jasne stroje, dziewicze wianki i warkocze tylko podkreślały wrażenie brzydoty.

O dziwo jednak, strażnicy odwzajemniali słane im z wozu uśmiechy. Może piwo dawali tu uczciwe, a może okolica była bardziej odludna, niż przypuszczał. Albo to jemu zdążyło przewrócić się we łbie. Za długo przebywał z Ammą, odwykł od kobiet normalnych, co rusz zaglądając w otoczone długimi rżesami oczy jak ze snu.

Fura z trickleykami wjechała na teren rezerwatu, ale gdy Patyczek próbował pójść jej śladem, komendant wstrzymał go, unosząc dłoń.

- Co masz na wozie?

- Toć napisane - wyręczył podwładnego Boomhons. - Z eskortowania podróżnych żyjemy. Tyle dobra strach samopas puścić. Owiec pół kopy, dziewic siedem... No to strzeżemy.

- Gród was najął? - zapytał Pirr. Z daleka, choć psy już nie szczekały. - Masz na to jakiś papier?

- Moje słowo - zmierzył go leniwym spojrzeniem wozobronca - bardziej się nawet od pergaminów liczy.

Za plecami komendanta dziewczki zsuwały się z fury. Fachowo, odsłaniając przy okazji tyle nóg, ile tylko się dało. Tej najmłodszej, od Dertudy ropuchy, pospieszyło z pomocą dwóch naraz mężczyzn. Trójka wyznaczonych na patrol nieszczęśników wlokła się wzdłuż płotu, omal nie wyłamując sobie wykręconych do tyłu szyj. W twarzach mieli rozpacz. Los potraktował ich okrutnie: odchodzili z miejsca, w które Bóg znienacka sypnął manną. Śmiech i

dogadywania kobiet, choć w uszach Debrena brzmiały drętwo i sztucznie, niosły zapowiedź atrakcji, o których szeregowy strażnik rezerwatu mógł jedynie pomarzyć.

- No i owce - przypomniał sobie Nolton. - Zdrowe są? Macie glejt od znachora weterynarii?

Boomhons spojrział na rajcę, ale Hurhaker, choć dojechał wozem gdzie trzeba, nie złąził z kozła. Siedział sztywno, tylko głowa obracała mu się nerwowo, całkiem jakby był kogutem, a kobiety, które przywiózł, stadkiem kur, sfruwających pomiędzy wygłodniałe lisy.

- Glejt? Odkąd to smokowi glejty potrzebne?

- Bez glejtu stada nie puszczę. A nuż Trickley owce zatrulo, by się smoka pozbyć? Albo mutanty podesłało? Nowy jestem w okolicy, ale słyszałem o tych mutantach.

Twarz Boomhonsa wyrażała szczere niezrozumienie. Cóż, wozobrońca, zwłaszcza wyspecjalizowany w zabijaniu smoków, nigdzie nie jest tutejszy.

- To w owcach problem? - upewnił się. Po czym wzruszył ramionami. - To trudno, niech tu zostaną. Pasterkę mamy, właściciel ją gratis do stada dorzucił. Popilnuje, a jak będziemy wracać od smoka...

- W owcach też - przerwał mu Nolton. - Ale w was problem większy. Chcecie razem z tymi... niewiastami wjechać, tak? Z bronią, jak znam życie?

- Ano znacie życie - przyznał Boomhons, uśmiechając się przypocholebnie, ale i zimno zarazem. - Co by to był za wozobrońca bez broni? Wozomówca bardziej. Do zbójów i biesów mógłby co najwyżej mowę wygłosić.

Raz jeszcze zerknął na Hurhakera, lecz ten nadal nie złąził z kozła. Schylił się i masował łydkę. Debren nie był pewien, czy nie

łypie spode łba na Ammę. Wyglądała na zmieszaną. I chyba ulżyło jej, kiedy podszedł Holse, zagadnął o coś. Jeden z włóczników wytrwał na posterunku u jej boku, ale drugi, choć z rohatyną na ramieniu, wmieszał się w gromadę strażników i kobiet w wiankach. Któraś zachichotała nerwowo, uszczypnięta w zadek.

Dowódca patrolu popisał się podoficerską bystrością, wypatrzył dziurę w ogrodzeniu i zatrzymał patrol celem jej załatania. Wiele mu to nie dało, ale mógł chociaż pogapić się z daleka na szczęśliwszych kompanów.

- Do rezerwatu nikt nie wchodzi z bronią inną niż osobista - oznajmił komendant. - Nawet my, by smoka nie drażnić. Jak nie wiecie, co w świetle prawa osobista znaczy, to wyjaśniam: najwyżej miecz, a i to nie za wielki i czysto samoobronny. Wiedźmiński, przykładowo, absolutnie wykluczony. A z normalnych jeno taki, co pionowo do pasa przywieszony, o ziemię nie zawadza.

- Taki? - Boomhons klepnął przypasany do boku kord. Nolton przytaknął. - Chcecie, by nas smok zeżarł? Tym to mu mogę resztki kamratów z zębów wydłubywać.

- Nie będzie okazji - uspokoił go komendant. - Bo może, jeśli badania wyjdą pozytywnie, może, podkreślam, wpuszczę rajcę i te tam... dziewice. Ale nie was.

Kobieta w żółtych drewniakach, ta od niepokalanego poczęcia, przysunęła się do Pirra. Podobnie jak większość pozostałych, oprócz warkocza nosiła na ramionach chustę, którą, mimo ciepłego wieczoru, opatuliła się jak ktoś zmarznięty. Debren pomyślał, że może Dertuda coś pomieszała: w pozie tej kobiety nie było ani odrobiny pewności siebie, która powinna chyba cechować uliczną wyjadaczkę. Amma, gdyby zdecydowała się dorabiać w ten sposób, równie trwożliwie podchodziłaby do pierwszego klienta.

Połowa spośród pozostałych robiła podobne wrażenie. Niby się

wdzięczyły, uśmiechały, zagadywały - ale trochę jak gromada zakonnic, którym przyszło odgrywać jakieś oryginalne jasełka, wcielając się w role nierządnic.

No, ale ostatecznie, dajki czy nie, znalazły się w rolach kogoś innego - nigdy przedtem nie wieziono ich przecież smokowi. Może więc po prostu szło o to, by zjednać sobie strażników i by ci zatrzymali cały konwój? Burmistrz próbował zastraszyć rodziny łotrzyków z marginesu. Może to właśnie efekt tych zabiegów? Żony, siostry i matki, które zgodziły się poświęcić za gnijących w lochu bliskich, ale, naturalnie, robią to bez cienia zapachu?

Chociaż, przykładowo, ta młoda, zielonooka, ciągnąca kucharza w stronę kuchennych drzwi... Na stłamszoną ofiarę szantażu nie wyglądała. Raczej na ulicznicę, która złowiła klienta i próbuje szybko wykonać usługę.

Spod lasu na południu dobiegło beczenie. Któraś z owiec zawędrowała aż tam, szukając smakołyków między wrzosami. Jeden z owczarków już gnał w jej stronę, ale to nie owca sprawiła, że oba pozostałe rzuciły się jego śladem. Coś mignęło w koronie drzewa. Pewnie jedna z tutejszych gałęźnic, specjalistek od walenia kamieniami w łeb. Debren pomyślał z uznaniem o psach. Kamienie kamieniami, ale taki bies potrafił wciągnąć na drzewo dorosłego mężczyznę. Z dużo lżejszym owczarkiem nie miałby problemu, więc mądre psy brały się za nadrzewnych zbójów w możliwie licznej gromadzie.

W sumie gałęźnica zjawiła się w samą porę. Boomhons przysunął się bliżej komendanta, coś mu perorował półgłosem. Niby z Noltona był służbista, ale to chyba lepiej, że Pirr mógł w końcu podejść bliżej i podmuchać na zimne. W obecności jurysty komendant nie pozwolił sobie wepchnąć sakiewki z łapówką.

Kobieta w żółtych drewniakach jakby o tym samym pomyślała - bo

ruszyła za Pirrem niemal biegiem. No, w każdym razie na tyle szybko, że pogubiła buty.

Podniosła od razu - ale tylko jeden. I potruchtała śladem garbusa, zostawiając drugi na ziemi.

- Komendancie Nolton... - rzucił ostrzegawczo Pirr. Boomhons jednym spojrzeniem ocenił sytuację i z miejsca uznał się za pokonanego. Cofnął się, wzruszył ramionami jak ktoś mówiący: „No trudno, próbowałem”.

Po czym wetknął dwa palce w usta i zagwizdał.

Gwizd zlał się w jedno z szelestem opadającego brezentu. Ktoś szarpnął za zatyczki, złożona z dwóch połówek płachta rozeszła się na grzbiecie, ukryte wewnątrz obciążniki błyskawicznie pociągnęły połówki w dół, odsłaniając pałaki i stojących na wozie mężczyzn. No i napiętą balistę.

Niektóre z kobiet gwizd zaskoczył. Inne nie. Ale i spośród tych w pełni przygotowanych nie wszystkie wykorzystały atut zaskoczenia.

Spod narzuconych na ramiona chust, z rozszerzonych rękawów, a w jednym wypadku nawet spod spódnicy wyskoczyły w sumie cztery noże. Tylko - a może aż - dwa wbiły się w brzuchy stojących obok mężczyzn. Należało doliczyć jeszcze kucharza, który zawył gdzieś w kuchni. Ale już czterdziestolatka o nalanej twarzy, choć też wyciągnęła nóż, od razu wypuściła go, poderwała dłonie i zwymiotowała na nie. Nerwy zawiodły. Inna, krótkowłosa brunetka, której na czas bycia dziewczicą dosztukowano warkocz, tyle że koloru blond, skoczyła do konowiazu. Szarpnęła wodzami, uwolniła karosza, zaczęła drapać się na siodło. Ta broni w ogóle nie wyjęła.

Żółte Drewniaki też nie. Swoją nóż zgubiła: wypadł spod chusty, gdy brała zamach. Za to butem posłużyła się dobrze: podeszwa wystrugana z lipowego klocka wyprzedziła zbyt późno poderwaną dłoń Pirra, waląc jurystę w środek twarzy. Trysnęło krwią z

rozbitego nosa, garbus poleciał w tył, wylądował na zadku.

- Wachta pod broń! - wrzasnął Holse.

Pryszczaty przy bramie nawet próbował. Ale, odwrócony twarzą do podwórza, wyciągnął miecz tylko po to, by wymienić go z Kobertem na nóż - wbity mu między łopatki. Dopiero teraz Debren uzmysłowił sobie, że przybysze, ci, którzy zechcieli się pokazać, nim z wozu opadła płachta, mieli przy sobie zaskakująco mało broni.

Chcieli uspić czujność leśników - i udało im się. Co prawda, wóz wozobrońców był tuż obok, a na nim oręza pewnie w bród, ale decydująca część ataku miała trwać momenty i zdobyty w walce miecz liczył się dużo bardziej niż taki, po który trzeba było zawracać.

Kobert zyskał długą broń, nim komendant w ogóle sięgnął po swoją. Ale Nolton był półkrwi elfem i wbicie mu znienacka czegoś ostrego nie było proste. Boomhons próbował, wyprzedzając cios sztyletu kopniakiem, komendant zdążył jednak przyjąć kolano na udo, odskoczyć, wykorzystując siłę ciosu, i sięgnąć po miecz.

Włócznik służbista, który pozostał przy Ammie, ruszył na pomoc dźgniętemu w brzuch kompanowi. Hurhaker wyszarpnął spod kozła okrytą derką kuszę. Strzelił do dziewczyny, ale akurat w tej chwili strażnik wbiegł między nich.

Ugodzony w pierś, runął na krasnoluda. Przewrócił go, przygniótł do studni.

- Rznąąąąć!!! - zawyła ospowata baba, ta najmocniej zbryzgana krwią. Po pierwszym ciosie, w brzuch, chlasnęła jeszcze zgiętego strażnika przez gardło. Złapała jego padającą rohatynę i skoczyła w stronę Ammy. - Za Alfiego, wywłoko! Za moje bezrobocie!

Debren miał już różdżkę w ręku, nie zdecydował jednak jeszcze, komu i jakim zaklęciem przywalić.

- Uciekaj, Amma! - krzyknął. Holse się nie liczył, ona stała jak

wmurowana, więc machnął ręką na rozsądek i wycelował w ospowatą. Gdzie indziej było więcej wrogów w jednym miejscu, to od nich powinien zacząć, ale...

Nie zdążył posłać błyskawicy. Już wcześniej dostrzegł procę, rozkręcaną nad pałakami wozu - procarz stanął na beczce - lecz zignorował ją. Pełno tu było groźniejszych od niego: czymże jest żak w porównaniu z zawodowcami, mającymi bronić smoka przed rycerzami, a Anvashu przed smokiem? Nie pomyślał więc, że może się stać pierwszorzędnym celem.

- Debren! - Okrzyk Pirra niewiele pomógł. Trochę się przesunął, ale kamień czy kula z lanego metalu i tak połamałaby mu ramię.

Jajem?!

Zaśmierdziło faktycznie jak od zbuka, choć zarazem i ostro, aż łzy w oczach zawirowały. Za to nie bolało.

Obejrzał się. Przy bramie Nolton wywijał mieczem, powstrzymując Boomhonsa. Szło mu nieźle. Patyczek wyciągał z wozu pikę. Hadgold obrócił balistę w prawo, rąbnął w kierunku lasu oraz posłanego tam patrolu. Z maszyny, zamiast bełtu wielkości oszczepu, wyleciało coś krótkiego i grubego, co tuż po starcie rozpadło się na wiązkę mniejszych smug. Bełty, kule? Za szybko odleciały, by Debren zdążył poznać.

Nieważne. Co z Ammą? Usłuchała, uciekła?

Nie uciekła. Próbowwała ściągnąć zastrzelonego włócznika z drewnianych nóg krasnoluda.

- Leż, jurysto! - wydarł się Puchacz, stojący za płotem i mierzący do Pirra z kuszy. - Bo ubiję!

Hurhaker odrzucił kuszę, wyszarpnął miecz z pochwy, odszukał wzrokiem Debrena.

- Mój brat! - wskazał go ostrzem. - Zamordowałeś go, sovrojski psie! Teraz umrzesz!

Skoczył z kozła. Pęd powietrza podwiał kaftan, odsłonił rąbek kolczugi. Ale chyba właśnie zbroja ocaliła chłopaka, bo kolanom dociążonego nią rajcy zabrakło mocy i brat Alfiego runął na twarz.

Zakrwawiona baba z dziobami po ospie zamachnęła się rohatyną, mierząc w plecy Ammy. Krasnolud, nadal przywalony zwłokami, odepchnął dziewczynę jednym ruchem drzewca i nim padła, cisnął młotem. Młot ugodził ospowatą w goleń. Na tyle mocno, by obalić. Zawyla.

Inni też wyli. Kucharz w kuchni, jeden z pchniętych w brzuch, kobieta wywijająca nożem i próbująca trafić strażnika, który odpierał ciosy kuflem i też na nią krzyczał. Wrzeszczał ze strachu strażnik zapędzony za konowiaz i darła się ta, co go zapędziła - niewiele mniej przerażona, ale uzbrojona w trzymany nad głową sztylet.

- Z drogi! - przebił się przez wrzawę pisk z grzbietu karosza. - Bo rozjadę!

Nie czekając na efekt, krótkowłosa zdzieliła konia piętami. Zwierzę pognało przez kotłowaninę. Szlaban opadł, więc uciekinierka odbiła na południe, gdzie siedział na ziemi dotychczasowy właściciel konia. Pirr zerwał się, próbował chwycić uzdę, ale karosz uskoczył. Jurysta, ugodzony kolanem amazonki, zbryzgał je krwią i padł na ziemię.

- Dwóch! - obwieścił triumfalnie Hadgold, łapiąc berdysz i zeskakując z wozu. - Jeden padł, drugi ranny czmycha w las! Trzeci tu biegnie! Kobert, twój jest!

Ospowata, siedząc, cisnęła rohatyną. Krasnolud dostał w pierś, ale karacena chyba wytrzymała. Bo zaraz potem zaczął wstawać. Przy pomocy Ammy, za to z włócznią w rękę. To ważne, bo kobieta wrzeszcząca przy konowiazie odwróciła się i pobiegła w ich stronę. Chyba po to, by uciec, ale nożem wymachiwała nadal. Dziesiątnik

nastawił rohatynę, osłonił oboje. Odskoczyła.

- Leż, bo strzele! - darł się Puchacz.

- Strzelaj, nie gadaj! - wrzasnął na niego Boomhons. Patyczek wyciągnął w końcu pikę, ale cała Kompania Wozobrońców, póki co, wciąż była po tamtej stronie płotu.

- Do wieży, Debren, Holse, Amma! - Krzyk Pirra uświadomił chłopakowi, że szale walki nadal się ważą i nikt nie może jeszcze mówić o zwycięstwie. Strażnik z kuflem trafił napastniczkę w skroń i choć ani nie ogłuszył, ani nie rozbroił, udało mu się podnieść czyjś porzucony nóż. Drugi, ten z patrolu, który przetrwał salwę z balisty, biegł na pomoc. Ktoś chyba wcześniej wbiegł do wieży albo za wieżę, więc może po broń, może wróci... Kucharz nadal krzyczał, czyli żył. Napastnicy mieli przewagę, lecz płot zastopował ich główne siły i jeśli Nolton utrzyma tę linię jeszcze przez pacierz...

- Już nie żyjesz, jurysto! - zawołał Puchacz. Podbiegł do płotu... A właściwie próbował.

Trudno powiedzieć, że owca wpadła mu pod nogi. Odskakiwała i raczej to on się na nią wpakował; tak czy inaczej: wyłożył się z kuszą jak długi.

Nolton odbił sztych piki i omal nie ciął Hadgolda przez środek łysiny. Wozobrońca odtoczył się spod szlabanu. Boomhons chciał leźć górą, ufny w osłonę pikiniera, ale też niemal nie oberwał. Komendant, skacząc to w lewo, to w prawo, wykorzystywał przewagę liczebną napastników, chowając się za jednymi przed ciosami innych. Był na tyle szybki, że żaden z tamtych nie ryzykował susa nad lub pod belką - wyczuli, że Patyczek z piką może nie pomóc.

Pirr podniósł się, trochę chwiejnie, może z winy rozbitego, i to po dwakroć, nosa, może przez sakwę, której ani na chwilę nie porzucił.

Żółte Drewniaki, stojąca przez jakiś czas nieruchomo, podbiegła,

by mu przyłożyć. Debren przegapił ich starcie: posyłał właśnie gangarina Hurhakerowi. Gdyby tak obezwładnić rajcę i wziąć na zakładnika...

Nigdy nie dowiedział się, na ile by im to pomogło. Bo czar... nie wyszedł. Ani ten, ani następny. Omal nie zabiło go własne zdziwienie. Zamiast uciekać lub walczyć, próbował poprawiać błyskawicą, potem telekinezą - a tamten gnał na niego z uniesionym mieczem.

Ocalił go... żółty drewniak. Nadleciał, trzasnął rajcę prosto w czoło, i to tak, że z nogą w środku nie zrobiłby tego mocniej. Głową Hurhakera aż szarpnęło w tył. Padł na wznak, jak ktoś mocno oszołomiony, a padając rąbnął w klepisko potylicą i oszołomił się jeszcze bardziej.

Debren spojrzał w tył. Właścicielka buta, piszcząc ze strachu, umykała w stronę stawu. Minęła się ze strażnikiem, który wybiegł zza wieży, uzbrojony w bosak. Zawahał się, nie próbował jednak dźgać kobiety.

Zaraz potem trafiła go kula z procy.

- Magika, Kuleczka! - skarcił miotacza Boomhons. Ale zły nie był. Hadgold wziął się na sposób, odbiegł kawałek na południe i tam zaczął przełazić przez płot. Komendant nie mógł się rozdziwić, więc lada moment linia ogrodzenia padnie.

- Wieża! - ponaglił Pirr.

Debren, wciąż oszołomiony, próbował trafić czarem przełazącego przez płot Przyłbicę. Użył całej mocy... i spłodził niteczkę światła, tak wątłą, że gdyby nie wieczorna szarówka, sam by jej nie dostrzegł.

Dopiero teraz do niego dotarło. To jajo... Może i wydmuszki użyto - wojsko nie znalazło dotąd równie taniej i funkcjonalnej otoczki jak wzmocniona skorupka jaja - ale to wewnątrz nie było typową

zawartością zbuca.

Pochłaniacz mocy magicznej! Nie zetknął się z jego bojową wersją, ale wiedział, że w takiej postaci - szybko parujących, lepkich cieczy - stosuje się rozmocniki w nowoczesnych armiach. Podczas Wojny Globalnej używano dymów i oparów, technika poszła jednak naprzód. Dziś nie trzeba już podchodzić wroga z wiatrem, a potem długo okadzać, by porazić chmurą spalin jego czarodziejów i pozbawić ich zdolności rzucania zaklęć. Silniejsze, stężone lub ciekłe pochłaniacze były na tyle skuteczne, że dało się je wystrzeliwać w dzbanach czy baryłkach albo - w przypadku sił specjalnych - miotać ręcznie, właśnie pod postacią wzmocnionych gliną lub żywicą jaj.

I tyle jego wiedzy. Jak długo to draństwo działa, nie miał pojęcia. Co skądinąd było bez znaczenia, bo teraz wszystko liczyło się w momentach, a nawet domowa podróba wojskowego środka nie mogła zejść poniżej pacierza.

Inaczej mówiąc: właśnie przestał być czarodziejem. Póki rozmocnik działa, ssąc z żywej tkanki każdą nadwyżkę mocy, nie rzuci najsłabszego nawet zaklęcia.

Trudno o gorszą chwilę. Na północy Kobert starł się z dowódcą patrolu - i ściał go od trzeciego złożenia mieczy. Hadgold omal nie dopadł bezbronnego Pirra - jurystę ocaliła koniokradka, zawracając zza wieży i wpadając między nich, co opóźniło szarżę łysego. Komendant cofał się, z trudem parując fachowe pchnięcia piką, a Boomhons podnosił szlaban i poganiał procarza, pokazując, by wjeżdżał. Strażnik zza konowiązu czmychnął drogą wiodącą w głąb rezerwatu. I tylko ten z nożem podsyczał płomyk nadziei: udało mu się wymanewrować dwie machające ostrzami ladacznice i wpaść w główne drzwi odwachu. Zatrzasnął je za sobą, potem pewnie zabarykadował. Odwach miał wysoko umieszone, wąskie strzelnice,

więc jeśli leśnik się pospieszy i złapie łuk, może jeszcze napsuć napastnikom krwi. Ale to dopiero potem. A teraz...

Teraz trzeba było uciekać.

Debren podbiegł, chwycił upuszczony miecz rajcy. Zawahał się, czy nie pchnąć leżącego, odskoczył jednak, rozgrzeszając się w myśli kolczugą skrytą pod kaftanem.

- Wjeżdżaj! - pogańiał procarza Boomhons. - Czort wie, ilu ich w środku siedzi!

Więc o to chodziło! O strażników, którzy mogli ukrywać się w odwachu. Bez toporów i większej ilości broni miotającej ciężko by było sobie z nimi poradzić, jeśli już zdołają się zabarykadować. A wszystko, co potrzebne do szturmowania budynków, wozobroncy mieli na wozie. Masywny pojazd, w przeciwieństwie do drabiniastej fury Hurhakera, byłby też niezłą barykadą w razie ostrzału.

Po prawej Pirr pochwycił upuszczony bosak i walczył z Hadgoldem. O dziwo, skutecznie: berdysz co rusz chybiał umykającego drzewca, a niecierpliwa próba przeskoczenia za linię zaopatrzonego w hak żeleźca kosztowała Przyłbicę pchnięcie w biodro. Tak jak rajca, wozobronca ukrył zbroję pod kubrakiem, ale żadna elastyczna zbroja nie zapewnia bezkarności przed mocnym ciosem. Hadgold zawył, oberwał drzewcem przez łeb, zalał się krwią - i odtąd poczynął sobie ostrożniej.

Na lewo działa się gorzej. Dertuda otrząsnęła się z osłupienia w złym momencie. Strzeliła batem, kiedy krasnolud i Amma przebiegali przed dwukółką. Inny koń zawahałby się pewnie, ale Łyska szkolili na rycerskiego wierzchowca, którego przeznaczeniem jest szarżować na ludzi, obalać ich i tratować.

Oboje, dziewczyna i krasnolud, wyładowali pod dwukółką. Chyba po żadnym nie przetoczyło się koło, ale Debren nie miał pewności. Wóz pognął śladem uciekającego w głąb rezerwatu strażnika, a oni

pozostali na ziemi.

Nie mógł patrzeć w tamtą stronę - choć wszystko się w nim rwało, by biec, padać na kolana przy Ammie, macać kolejno każdą jej kość. Nie stać go było na taki luksus.

Zaprzęg Hurhakera też się przesunął i z za wozu wypadła nagle na Debrena ospowata wiedźma, uzbrojona w młot krasnoluda. Kiepsko trzymała się na nogach, nadrabiała to jednak furia, a on nie potrafił przełamać oporu przed wbijaniem miecza w kobiece ciało. Bronił się zatem, próbując wytrącić jej broń. Cofał się też w kierunku Pirra, bo choć do drzwi wieży było stamtąd dalej, to przynajmniej odciągał wiedźmę od Ammy i Holsego.

Rzygająca opróżniła żołądek, doskoczyła do półprzytomnego rajcy, złapała pod pachami, zaczęła odciągać na bok. Koniokradka z dosztukowanym warkoczem omal nie stratowała Boomhonsa: udało jej się wcisnąć w prześwit między podporą szlabanu a wjeżdżającym do rezerwatu furgonem. Klęczący na koźle Kuleczka smagnął ją procą. Zakolebała się, ale nie spadła; pokłusowała dalej. Tyle że zniosło ją z drogi we wrzosowisko, między owce.

W progu kuchni stanęła najmłodsza z ladacznic, zielonooka, zalana krwią, pewnie kucharza. Ścisnęła rożen z dymiącym, pieczonym zającem. Z północy, biegiem, wracał Kobert. Dwie kobiety z nożami, te, które zapędziły strażnika do odwachu, przyczyły się pod ścianą, za plecami cofającego się Noltona. Żadna nie próbowała atakować. Patyczek, wielkie chłopisko z wielką piką, radził sobie imponująco dobrze i z faktu, że komendant jeszcze żył, łatwo było wyciągnąć wniosek, iż lepiej nie włączyć mu pod miecz.

Boomhons chwycił kuszę z mijającego go wozu.

- Jurystę, Puchacz! - warknął. I sam strzelił. Debren myślał, że do niego, ale bełt poleciał dalej.

Obejrzał się. I stracił miecz: akurat tym razem ospowata trafiła

mocno i dobrze, szczęściem w broń, nie w niego. Rozbroiła go jednak skutecznie. Tyle dobrego, że od impetu sama padła na kolano.

Holse nie padł. O dziwo, bo ledwie się podniósł po tym, jak przejechał po nim wóz, a ciut wcześniej rohatyna wgniotła pancierz w żebra. Obrywając bełtem w pierś, ktoś taki powinien runąć i więcej nie wstać. Tym razem zbroja nic nie dała: nawet rycerska płytówka rzadko pomoże, gdy strzelają z bliska i z kuszy na korbę. Krasnolud zatoczył się, podparł rohatyną - ale utrzymał na nogach. A potem odszedł, ciągnąc wleczoną najpierw na plecach, potem na czworakach Ammę.

Puchacz, jakby z ociąganiem, podniósł kuszę do ramienia. Może bał się trafić Hadgolda? Ale łysy, na pół ślepy od lejącej się do oczu krwi, sam odskoczył bliżej płotu, odsłaniając Pirra.

To był łatwy strzał. Przeciętny kusznik miał szansę trafić w cel wielkości jajka. Puchacz trafił...

- W łydkę?! - ryknął oburzony Boomhons. - Ty łajzo!

Ospowata zamachnęła się młotem. Debren, w końcu lżejszy o miecz i wywoływane nim wyrzuty sumienia, zakręcił się i kopnął ją w goleń. Chyba tam, gdzie przedtem trafił Holse, bo krzyknęła i upadła, wypuszczając broń.

- Omsknęło mi się! - pisnął Puchacz. - O, za to okup weźmiemy! Juryści na złocie siedzą!

Na razie Pirr siedział na klepisku z mocno wykręconą, lewą nogą. Bełt przeszedł na wylot, więc pewnie szło o to, by nie opierać go o ziemię, nie potęgować bólu. Bo musiało boleć. Dużo krwi, a, co gorzej, blisko środka podudzia. Pirr oberwał chyba w kość, a jeśli tak, noga była złamana, a on jednego kroku na niej nie zrobi. Nie krzyczał, ale to Debren przypisał szokowi. Tylko dlatego skoczył na pomoc, widząc zrywającego się do biegu Hadgolda. Zszokowany

ranny nawet nie podejmie próby obrony. On, Debren, miał marne szanse, ale Pirr miał żadnych.

Biegnąc, obejrzał upadek karosza. Koń wpadł na owce, przewrócił dwie, ale to nie na nich się potknął. Obalił go baran o czarnym zadzie. Wyglądało, jakby wcześniej przewidział, na co się zanosí, bo wpadł na rozchwianego wierzchowca już w pełnym biegu. Cios w bok był tak mocny, że koniem zarzuciło o dobre kilka stóp. Odzyskałby równowagę, gdyby nie inny baran, podbiegający z przeciwnej strony i atakujący kolano. Karosz runął, rżąc przeraźliwie, przygniótł i amazonkę, i barana. Próbował wstać, ale już kilka innych zwierząt gnało z pomocą Czarnemu Zadowi.

Tylko dzięki wywołanej na wrzosowisku wrzawie oraz krwi zalewającej oczy Hadgolda Debren przeżył starcie. Jego przeciwnik obejrzał się, zmarnował okazję do dobrego cięcia. Trafił chłopaka, owszem, ale gdy byli już blisko, więc jedynie styliskiem berdysza.

Debren upadł, a Hadgold, tym samym ruchem, próbował wybebeszyć Pirra. Na zamach brakło miejsca, lecz dwuręczna, bojowa siekiera z przodu wystawała szpicem daleko poza koniec drzewca i z powodzeniem mogła zastąpić miecz czy grot gizarmy. Starczyło pchnąć.

Przyłbica pchnął. Mocno. Zgrzytnęło jak nożem na osełce. Zbroja ze stalowych kólek chyba inaczej dźwięczy, przyjmując cios - ale ostatecznie Pirr nie żelazo w sakwie dźwigał, tylko srebro, względnie miedź, więc mogło zabrznieć inaczej. Debren zresztą był trochę ogłuszony i nie wszystkim zmysłom ufał.

Nie wierzył na przykład oczom: barany i owce to nie wilki; nie rozrywają na strzępy tarzających się rozpaczliwie koni. A za płotem właśnie coś takiego się działo. Tuzin małych białych stworzeń zważyło się na jedno duże i czarne po to, by zagłębiać zęby w jego brzuchu, wyszarpywać kawały skóry i mięsa, rozbryzgiwać krew

ofiary.

Kobiety na szczęście nie widział. Mógł się łudzić, że po prostu leży przywalona przez konia i te bestie jedynie deptają ją racicami.

Jeden z owczarków, ogłupiały na widok tego, co się dzieje, próbował interweniować, szczekaniem odpędzić stado od ofiar. Jakiś baran dopadł go z boku, grzmotnął łbem. Dwie owce pospieszyły z pomocą. Conshończyk, przeturlawszy się trzy razy, zerwał się i śmignął do lasu, rezygnując z pakowania się w nie swoje awantury. Pozostałe psy, widać mądrzejsze, nawet nie próbowały zaczynać. Ujadały tylko z daleka.

- Owce mutanty! - wrzasnął wystraszony Puchacz. I szczupakiem przesadził płot. - Chodu, kamraci!

Kuleczka ściągnął lejce, wyhamował, nim wóz zderzył się z furą Hurhakera. Sięgnął po kamień, by pomóc Patyczkowi, ale pomoc okazała się zbędna.

Nolton, skutecznie odbijając ciosy piki, wycofał się pod odwach. Obejrzał się nawet, nie dostrzegł jednak zagrożenia. Zielonooka miała dość sprytu, by nie atakować otwarcie. Chwilę wcześniej skryła się w kuchni i dopiero stamtąd cisnęła różnem. Na oszczepnictwie kiepsko się znała, pocisk skoziółkował, bardziej uderzył, niż zranił. Nolton obrócił się jednak, by ciąć atakującego z tyłu wroga - i ten moment wykorzystał Patyczek.

Dźgnął półelfa w bok, płytko, mądrze, by nie uwięzić grotu, cofnął pikę, poprawił uderzeniem w głowę padającego. Waląc się na ziemię, Nolton był już martwy.

- Tamtego, Kuleczka! - wskazał kordem Boomhons. - Ma nie być świadków!

Debren przegapił szczegóły kopniaka, który Pirr wymierzył Hadgoldowi. Aż dziw, bo kopniak musiał być wyjątkowo mocny, czyli poprzedzony porządnym zamachem. Słaby nie posłałby takiego

osiłka niemal pod płot. Ale bardziej go zdumiało, że jurysta poderwał się zaraz potem i to Debren, a nie postrzelony w kość Pirr, został siłą dźwignięty na nogi.

- Biegiem do wieży! - ryknął mu w ucho garbus. Ruszył posłusznie, tam, gdzie go pchnięto, czyli w kierunku stawu. Kątem oka dostrzegł wylatujący z procy pocisk: Kuleczka wziął na cel albo Dertudę, albo umykającego na wschód leśnika. Nie ich w każdym razie.

- Na wóz, chłopaki! - darł się Puchacz.

Coś białego przesadziło płot, trzasnęło w zadek ruszającego do kolejnego ataku Hadgolda. Wozobronca padł, rycząc ze złości. Napastnik przebiegł po nim jak gdyby nigdy nic i zaszarżował na Pirra. Inny baran, źle wymierzywszy odległość, zawisł na ogrodzeniu. Debren zdążył zauważyć, że lewy róg odłamał mu się, pozostawiając spiczasty, ostry jak grot kikut. I że pół wyszczerzonego pyska aż paruje od krwi. Może końskiej, może kobiecej.

- Uciekaj! - krzyknął Pirr. - I drzwi zamknijcie, natychmiast! Na mnie nie czekaj! Ammę ratuj!

Zdążył podnieść bosak, ale trzymał go w jednej tylko ręce: druga, chyba na zasadzie bezwiednego skurczu, nadal tuliła do boku sakwę. Debren zawahał się. Hadgold wstawał, zaraz ruszy w pościg... A za wieżą była Amma, zupełnie bezradna. Pirr ma przynajmniej bosak...

Zwierzę, które obaliło Habgolda, wykazało chwilę później, że to całkiem skuteczna broń. Inna rzecz, że samo nie popisało się jako wojownik. Zamiast wykorzystać impet i dopaść jurysty, zatrzymało się zniecacka, zawęszyło, spojrzało w bok. Półprzytomne, nienawistne spojrzenie wędrowało potem parę razy z Debrena na Pirra i z powrotem. Dopiero wtedy chłopak zorientował się, że to

nie baran, a zwykła, całkiem nieduża owca. Tyle że wściekła.

Ostatecznie, choć stał dalej, wybrała za ofiarę jego, nie Pirra. Zabeczała, wyszczerzyła złowrogo zęby, trójkątne teraz niczym groty, niepodobne do użębienia pocziwego trawożericy. Rozdziawiła zaślinioną, zakrwawioną paszczę i ruszyła z kopyta. Debren zacisnął pięści, panicznie powtarzając sobie, że musi trafić w nos, bo jeśli trafi między szczęki, bestia po prostu zmiażdży mu dłoń. No i nie dostać kopytem w kolano czy goleń - bo kość strzeli z hukiem. Machrusie... Obyś z piekła nie wylazł, Dedetusie, trucicielu bezmózgi.

Pirr wpadł między nich, ale już o jakimś zręcznym pchnięciu trudno było mówić. Owca po prostu wpakowała się na bosak. Od razu też padła trupem. Uderzyła jednak w hak na tyle mocno, że kuśtykający na zdrowej nodze jurysta poleciał do tyłu. Debren, zamiast ku wieży, skoczył go podeprzeć. Sam siebie zdumiał mocą mięśni. Pirrowi jakby ubyło trzy czwarte wagi.

Hadgold na szczęście nie ruszył za nimi. Zawrócił, podbiegł do płotu, by zarząbać zawieszzonego na nim barana. Może w odwecie za powalenie i upokorzenie przez owcę, może po to, by zabezpieczyć sobie tyły. Znikł Debrenowi z oczu za narożnikiem wieży i już się nie pojawił.

I dobrze, bo kiedy przed samymi drzwiami uciekinierzy wpakowali się na Ammę i Holsego, Debrenowi zaczynało brakować cudownie zwielokrotnionych sił.

Krasnoludowi zabrakło nawet tych zwykłych. Prawy bok, nogę i kawał protezy pokrywała krew. Z ust też krwawił: pół brody zlepilo się w czerwone strąki. Lewym, zmiażdżonym na końcu szczudłem - robota dwukółki - próbował się odpychać, czynił to jednak niemrawo. Leżał na wznak, przemieszczając się mozolnie tylko dzięki Ammie. Chwytem pod pachami zdołała dowlec go przed

drzwi wieży - i tu utknęła. Masywne, dociążone zbroją ciało nie dawało się przeciągnąć przez wysoki próg.

- Odejdź! - Debren bardziej ją pchnął, niż odsunął. Posłał jej śladem Pirra, skoczył nad krasnoludem i, szarpiąc za ramię, wtaszczył go do środka. Akurat na tyle szybko, by ocalić całą czwórkę.

Ledwie zatrzasnął drzwi, coś uderzyło o framugę. Ktoś próbował wepchnąć ostrze w zamykającą się szczelinę. Gdyby zdążył, pacierz później podbiegłaby reszta, a w przepychankach z szóstką wozobronców nie mieli szans.

Zgrzyt ciężkiego rygla obwieścił ułaskawienie.

- O Machrusie... - westchnął Debren. - Mało co...

Ten z zewnątrz widział to podobnie. Rozgoryczony doznana w ostatniej chwili porażką, kopnął w drzwi, przywalił im ręką i mieczem. Zaraz potem Holse wyszeptał:

- Na górę... Mnie... zostawcie.

Ledwie go było słyhać, choć tu, za masywnymi kamiennymi ścianami kazamaty, było cicho jak w lochu. Ciemno też prawie jak tam, lecz na szczęście u góry murowane przyziemie miało kilka strzelnic. Wpadające przez nie światło nieco rozpraszało mrok.

Debren rozejrzał się. Pusto. Tylko jakieś skrzynie, schodki na galeryjkę dla strzelców i drabina pośrodku. Drabina wiodła do wjazdu w sklepieniu. Wiotka, delikatna jak na dwudziestostopową, dawała się zapewne lekko i szybko wciągać na górę. Czyli smok smokiem, ale o zabezpieczenie przed ludzkim szturmem też zadbano. Po rozbiciu drzwi załoga wieży mogła z powodzeniem schronić się na wyższych kondygnacjach.

- Trzeba mu zdjąć pancierz. - Pirr wskazał krasnoluda. - Ja to zrobię. Wy na górę, ale już.

Ten na zewnątrz walił w drzwi, bardziej ze złości niż z nadzieją

ich rozbicia. Ile by trzeba dźgać kordem?

- Zostaw... - wymamrotał Holse. - Na... górę... lećcie.

Debren ani myślał odchodzić. Zdjąć pancierz, łatwo powiedzieć. A co, kiedy pancierz przybito do żywego ciała bełtem grubości kciuka? Co, jeśli Pirr spróbuje go po prostu ułamać, jak rycerze z wczesnowiecznych eposów, co to pogardliwie strzepywali tkwiące w nich strzały, by zaraz potem pościnać łby tchórzliwym poganom? Albo strzały robili kiedyś dużo cieńsze niż dziś bełty, albo bardowie nie mieli pojęcia, jakie bzdury plotą.

- Sam nie poradzisz - ocenił Debren. - Delikatnie trzeba... I mocno zarazem. To robota na kilka rąk.

Ściągnął kaftan, zdarł z siebie koszulę. Kaftan Amma od razu zwinęła, wsunęła krasnoludowi pod głowę.

- Dawaj tu z balistą, Kuleczka! - dobiegł z zewnątrz stłumiony okrzyk Boomhonsa. - Drzwi zawarli!

O dziwo, uspokoiło to Debrena. Zdał sobie sprawę, że tamtym nie pójdzie łatwo. Balista nie balista, drzwi sporo zniosą. Czyli jest czas, można się zająć rannym.

Przykucnął nad nim, złapał zębami koszulę, by ją rwać na szarpie. Pirr puścił bosak, odłożył sakwę. Chwycił go nieoczekiwanie i postawił z powrotem na nogi.

- Na górę, rozumiesz? Stąd się nie obronimy!

Pchnął Debrena w stronę drabiny. Trochę nim zakolebało, ale ustał mimo jedynej sprawnej nogi.

- Też ranny jesteś! - zaprotestował Debren. - Zemdlejesz i co? Holse się wykrwawi! Ty też...

- Nic mi nie jest. Poradzę sobie.

- Ale Amma nie. - Debren wyciągnął swój kozik, rozłożył ostrze. - Ręce ma słabe. A trzeba przytrzymać bełt, żeby ani drgnął. Ja trzymam, ty tniesz. - Ciachnął koszulę nożem, wręczył dziewczynie.

- A ty szykuj szarpie.

Nóż rzucił Pirrowi. Garbus złapał zręcznie, ale od razu zaprotestował:

- Debren, oni zaraz rozwalą drzwi! A wtedy po nas! A na górze jest trebusz. I pewnie kamienie.

- Tam... - wychrypiał Holse - nie... strop za...

- Nie dacie rady beze mnie. - Debren usiłował podejść do krasnoluda. Pirr wyciągnął ramię, powstrzymał go.

- Żadne „wy”. Amnę też weź. Nie rozumiesz, co mówię? Holsemu wiele teraz nie pomożecie. A tam, na górze, jeszcze nas możecie ocalić. Ale we dwoje. Liczy się każda para rąk i oczu. To profesjonaliści. Tuzin strażników wytłukli i co? Żaden nawet nie został ranny.

Sensownie to brzmiało. I kusząco. Mniejsza nawet o napastników - ale nie musiałby patrzeć, jak Pirr piłuje brzechwę i ile bólu, mimo najwyższej ostrożności, zadają rannemu.

- No i te durne ostrza na smoka - dorzucił Pirr. - Na smoka może dobre, ale sterczą tam jak drabiny. Pewnie już jeden z drugim się po nich wspinają. Jak się nie pospieszycie, wleżą na górę przed wami. I po nas będzie.

Dżuma i syfilis, miał rację. Architekt nie pożałował pali, wieża miała ich jak łysawy jeź kolców. Ktoś odważny i sprawny może wdrapać się na jej czubek.

Amma postukała się w pierś, jej palce wspięły się szybko po wymaginowanej drabinie. Zakończyła, dotykając Debrena i wskazując krasnoluda.

- Ona... nie... - Holse próbował wyciągać rękę i łapać stopę dziewczyny. - Sama nic... Tam... nie ma...

- Co? - pochylił się nad nim Debren. - Co mówisz?

- Mówi - warknął Pirr - że jej nie wolno ślać do walki samej. I ma

rację. Nie jesteś wojak, aleś pewnie słyszał, jak to na wojnie wygląda. Zdrowi walczą, lżej ranni ratują ciężiej rannych. Takie są zasady. Lepiej ich przestrzegaj, jeśli chcesz żyć. Bierz Ammę i na górę!

Resztki oporu Debrena przełamał krasnolud.

- Idźcie - wychrypiał.

Debren, świadom, ile cennego czasu zmarnował, pognał po drabinach niczym yougoński dziki niziołek drzewny, zwany małpą. Wspinaczka okazała się długa i, nieoczekiwanie, dość ryzykowna. Powyżej murowanego cokołu wieża była bowiem pusta w środku, pozbawiona kondygnacji z prawdziwego zdarzenia. Owszem, przy ścianach przebiegały pomosty dla strzelców, a co parę łokci krzyżowały się rozpory, środek jednak wyglądał jak wielki komin. Kolejne drabiny wisiały nad coraz bardziej bezdenną i mroczną przepaścią. Lekkie, chwiejne, bo mocowane do pojedynczych haków za pośrednictwem kawałków liny, huśtały się przy każdym ruchu. W dodatku wszystko sprawiało wrażenie starego, nadzartego wilgocią, próchnicą i rdzą, gotowego rozpaść się na kawałki. Było też ślisko. No i ciemno. Upływ czasu zaszкодził też okiennicom. Większość, pewnie z obawy przed ognistymi zionęciami smoka, była pozamykana, ale kilka rozsypało się ze starości, dzięki czemu Debren nie wspinał się całkiem na oślep. Właz na pomost bojowy też zamknięto. Tylko dlatego, że kłapa wypaczyła się, pod koniec wspinaczki wypatrzył szczeliny i pasemka sączącego się światła.

Nie zdziwił go zatem widok zapuszczonej platformy bojowej. Sto wędrowek tutaj to jak dobra bitwa - ktoś w końcu musiał spaść. Pewnie dlatego żaden strażnik tu nie zaglądał, jeśli naprawdę nie musiał. On, przykładowo, wcale nie poczuł się pewniej niż na tych, pozał się Boże, drabinach. Drewniana podłoga skrzypiała pod stopami, widok w dole zapierał dech, ścianki przedpiersia były

niskie, ledwie do bioder, i pozbawione zębów krenelażu, zaś obrotowa podstawa trebusza zdawała się tylko czekać, by złapać wiatr, wykonać obrót i zepchnąć go znieńcka w siedmiopiętrową przepaść. Debren myślał zawsze, że tego typu maszyny sadowi się na potężnych płozach, które same, pod ciężarem, zagłębiają się w grunt. Czyli - o żadnej obrotowości mowy być nie może. Tymczasem tu, choć trebusz był duży, wyobraźnia od pierwszej chwili rodziła wizję monstrualnej broni, wykonującej zaskakujące obroty i miażdżące nieostrożnych.

Wszystko to za sprawą łożyska, na którym posadowiono ramę. Żelazne prowadnice tworzyły koło, po którym musiały toczyć się ukryte pod płozami rolki. Z żelaza wykonano też sporo elementów kołowrotów, przekładni, drągów, lewarów i drobniejszego oprzyrządowania, służącego do obracania maszyny, napinania jej i ładowania pocisków. Była to najbardziej rozrzutna konstrukcja, z jaką się Debren zetknął, ale, jak to w życiu bywa, akurat tego, czego potrzebował, w wyposażeniu trebusza nie było. Nigdzie mianowicie nie dostrzegł kamienia, belki nabitej kolcami, dzbana na płonący olej czy innego pocisku, tradycyjnie wystrzeliwanego z maszyny.

To zakrawało na ironię losu, bo sam trebusz, choć prowadnicę nadzierała rdza, a drewno poczerniało ze starości, wyglądał na sprawny. Głównie dzięki mnogości lin. Olinowanie, jak wiadomo, najszybciej znika ze spisanych na straty, porzuconych urządzeń. Tymczasem czego jak czego, ale lin tu nie brakowało.

Łomot w drzwi słyszał od dłuższej chwili, lecz do tej pory przypisywał go wozobrońcom. To nawet uspokajało, bo skoro biją w drzwi siekierą, to znaczy, że nie używają balisty. A nie ulegało wątpliwości, że machina, o ile tylko strzeli odpowiednim pociskiem i trafi, gdzie trzeba, wybije zawias za jednym zamachem. Może nawet od jednego strzału wyłamie rygiel?

Ucieszył się, że z jakichś powodów tamci nie strzelają. A potem zerknął w dół i radość mu przeszła.

Trochę dziwne, bo na pozór było jeszcze lepiej. Nikt nawet nie rąbał drzwi toporem. O deski i żelazne okucia waliły... baranie łby.

Wyglądałoby to całkiem śmiesznie, gdyby nie widok stłoczonych na pojazdach ludzi. Wozobroncy, którzy obsiedli furgon z balistą, byli tylko zaniepokojeni - broń w rękach i wysoki, bojowy wóz o pełnych burtach zapewniał im bezpieczeństwo - ale kobiety miały powody się bać. Drabiniasta furmanka Hurhakera, na którą pouciekały, nie była dla zdecydowanego barana fortecą nie do zdobycia. Od tyłu mógł na nią wskoczyć, z boku przepchnąłby się między szczeblami. Nawet z przodu, gdzie para koni teoretycznie stwarzała osłonę, nie było dobrze. Ktoś próbował zawracać wozem, wpakował go w ciasną przestrzeń między wieżą a studnią - po czym utknął z dyszlem ostro skręconym w bok i tylnym kołem przyblokowanym przez cembrowinę. Dobry woźnica wyprowadziłby furmankę z pułapki, ale Hurhaker stał po prostu na koźle, a lejców bardziej się trzymał, niż próbował nimi powozić.

Niżej, na wozie, stłoczyły się cztery spośród dziewczyc nożowniczek. Niektóre nadal ścisnęły noże, nie prezentowały się jednak bojowo. Dookoła, po całym podwórzu, walały się trupy strażników, ale spojrzenia kobiet biegły dalej, za ogrodzenie. Debren nie bardzo się zdziwił. Ci martwi mężczyźni dokoła zginęli po części z ich rąk, nie liczyli się zatem. Może dla sumienia. Ale teraz ważniejszy był strach, a straszna była poszarpana kupa mięsa, widoczna na wrzosowisku.

Trup konia i trup kobiety, która próbowała na nim uciekać. Owce i barany niemal ogołociły oba ze skóry - a teraz panoszyły się na całym terenie posterunku.

Pomijając kilka, które atakowały drzwi wieży, zwierzęta

zachowywały się normalnie - o ile uznać za normę stado, kręcące się nerwowo po obejściu, ignorujące kępy trawy i węszące zakrwawionymi pyskami za kimś następnym do zagryzienia. Część baranów miała ułamane w szpic rogi, ale sądząc po tym, jak co rusz szczyrzyły zęby, taktykę ataku przejęły raczej od swych odwiecznych prześladowców, wilków. Dopaść wielką gromadą, przewrócić, wgrzyźć się w ofiarę, rozszarpać.

Debren, podobnie jak ci na dole, wyraźnie czuł, że mutantów nie opuścił jeszcze duch bojowy. I właśnie dlatego zaskoczył go panujący na podwórzu spokój. Ludzie, pochowani na wozach, czekali w bezruchu, jak armia przed bitwą, lecz stado owiec, nawet zmienionych mutacjami w mordercze bestie, na pewno armią nie było. Ani wilczą watahą, też potrafiącą cierpliwie wypatrywać okazji. Nie umiał więc wyjaśnić sobie, skąd to nagłe zawieszenie broni. Zwłaszcza że drzwi wieży nieustannie dudniły od ciosów. Tam, na wozach, czekała łatwiejsza zdobycz. Dlaczego te durne bydlęta nie atakowały?

- Yyy!

Odwrócił się. Amma wskazywała coś w dole. Podbiegł, lawirując między podporami trebusza.

Dostrzegł właścicielkę żółtych drewniaków. Kobieta musiała uciec do lasu i teraz, uspokojona ciszą, wracała. Najpierw powoli, jednak od stawu już lekkim truchtem. Pomyślał, że boi się oskarżeń o dezercję.

- Yyy! - Amma szturchnęła go; gestykulując pokazywała to kobietę, to podwórze przed odwachem. Debren nie był pewien jej intencji, ale zawołał:

- Hej, ty! Wracaj do lasu! Nie idź tam!

Zadarła głowę, skrzyła, jakby w obawie, że w ślad za słowami pośle kamień - ale nie zwolniła. A Debrenowi zabrakło przekonania

do wznoszenia dalszych okrzyków. Żółte Drewniaki najwyraźniej przegapiła atak stada na konną uciekinierkę i w owcach nadal widziała tylko owce. O dziwo: jak gdyby słusznie. Już teraz minęła dwie, zaraz miała minąć pierwszego barana - i nic się nie stało. Zwierzęta rzucały jej spojrzenia, nie próbowały jednak atakować czy choćby podbiegać bliżej.

Nie rozumiał tego.

- Uważaj! - pisnęła jedna z siedzących na furmance. Dezerterka zawahała się, zwolniła. Szła jednak dalej, niepewnie rozglądając się po zasłanym trupami podwórzu. Nie wiedziała, na co jej każą uważać.

- Zaczekajcie, jeszcze ja! - zawołała. Wyładowane ludźmi wozy skojarzyły jej się widocznie z odjazdem.

- Mój miecz! - skorzystał z okazji Hurhaker. - Przynieś go!

Kobieta posłusznie skrzyła i wyszarpnęła spod baranich racic porzuconą broń. A potem, ośmielona biernością gapiącego się na nią tryka, podniosła pierwszy ze swych pogubionych butów. Chyba ten, którym zdzieliła Pirra: Debrenowi wydało się, że dostrzega plamę krwi na przyciśniętym do brzucha drewniaku. Pewności jednak nie miał. Bo zaraz potem krwi zrobiło się zbyt wiele, by odróżnić starą od nowej.

Baran, jakby ochłonawszy z wywołanego jej bezczelnością zdumienia, podbiegł do kobiety, trzasnął ją łbem w udo. Lewy róg miał ułamany w szpic, więc już ten pierwszy cios rozdarł i spódnicę, i ciało. Ale dopiero kolejny atak, zębami na twarz obalonej ofiary, zaowocował potężnym rozbryzgiem czerwieni i wrzaskiem bólu.

Zęby, najwyraźniej też uformowane złamaniami w kostne noże, zdarły nieszczęsnej pół nosa i policzka, ale dajka zdołała wstać i pobiec przed siebie. Zgubiła jednak i miecz, i swój żółty drewniak, a gołe ręce to mało przeciw trójce, a potem już szóstce owiec i

baranów. Mutanty nadbiegały ze wszystkich stron, próbując podcinać kobiecie nogi i wilczą modą rozszarpać jej gardło. Chwył żadnemu nie wyszedł, ale jedna z owiec wgryzła się w pierś uciekinierki i zawisała tam już na dobre niczym upiorne, złąknione krwi niemowlę. Żółte Drewniaki, zataczając się pod ciężarem napastniczki, zdołała jednak dobiec do wozu. Ale wdrapać się nań już się jej nie udało.

Powstrzymała ją ospowata. Kopniakiem w twarz.

- Gdzie?! - zawyła inna dajka. - Bo za tobą wleżą!! Odejdź! Won!

Z początku wyglądało na to, że nie ma racji. Zwierzęta zbiegające się coraz liczniej, szarpały uciekinierkę za nogi i pośladki. Tyle mogły sięgnąć zębami: kobieta, choć niemal obdarta z ubrania i spływająca krwią, zdołała się podnieść i, używając koła jak drabiny, ponownie próbowała się wgramolić się na tył fury. Baran, który wskoczył za nią, z początku wgryzł się w jej rękę. Dopiero kiedy sąsiadka ospowatej doskoczyła i chwytem za gardło próbowała zepchnąć Żółte Drewniaki na ziemię, zwierzę zmieniło obiekt ataku i skoczyło na nią.

Ktoś dźgnął barana nożem. Ospowata złapała go i, wierzgającego w agonii, rzuciła w środek stada. Nim jednak w ruch poszły inne, czerwone jeszcze od krwi strażników noże, Hurhaker przekreślił szanse na skuteczną obronę. W najmniej stosownym momencie wrzasnął na konie i zdzielił je batem.

Wóz ruszył - tylko o dwa łokcie, za to gwałtownym zrywem - bezmyślny furman runął na szykujące się do walki kobiety, a tylne koło, obróciwszy się, wywindowało i przerzuciło przez burte poszarpaną do kości, lecz wciąż walczącą posiadaczkę żółtych drewniaków.

Na czworakach, wyjąc z bólu i przerażenia, kobieta skoczyła między poprzewracane towarzyszki. Dopiero tam pozbyła się

wczepionej w pierś owcy: zwierzę puściło ofiarę i natychmiast zakleszczyło zęby na czyjejs rękę.

- Teraz, Hadgold! - zakomenderował Boomhons. - Póki drzwi widać!

Balista stęknęła, wypuła kulisty pocisk. Odległość była niewielka, więc Debrena nie zdziwił trzask pękających desek i zgrzyt kamienia o metal: ciężko byłoby chybić w drzwi. Gdy ma się do czynienia z nieobliczalnymi mutantami, lepiej nie prowokować ataku, dlatego tamci nie próbowali strzelać. Teraz jednak barany pobiegly masakrować kobiety i Hadgold zyskał okazję do strzału. A właściwie: do serii strzałów. Połowa podwładnych Boomhonsa nadal warowała z bronią w rękę wzdłuż burt, ale reszta gorączkowo napinała balistę i szykowała pociski.

Żaden nawet palcem nie kiwnął, by ratować ginących na sąsiednim wozie. Inna sprawa, że niewiele dało się zrobić. Hurhaker poprzewracał wszystkie kobiety, Żółte Drewniaki zwała się na nie ze swą owcą i nim ktokolwiek zdołał wyplątać się z tego kłębowiska, na samej górze wylądowały dwa barany.

Gdy zrzucano pierwszego, na wozie było już pół tuzina innych. Nie wszystkie i nie od razu wgryzły się w ludzkie kończyny; nie każdy miał tyle szczęścia i swobody by, jak tryk o czarnym zadzie, wbić się rogami w brzuch ospowatej i paroma energicznymi szarpnięciami dorobić się triumfalnego wieńca z parujących ludzkich jelit. Kobiety miały noże, więc parę zwierząt zostało zabitych. Napadnięte jednak, w odróżnieniu od napastników, nie próbowały współdziałać, miotały się panicznie, usiłowały wypełzać z kłębowiska, kryć pod wóz i uciekać, każda na własną rękę, nie oglądając się na towarzyszki - przegrały zatem w niespełna dwa pacierze.

Tyle to musiało potrwać, choć Debren nigdy nie pokusiłby się o

ocenę - czas płynie inaczej w takich chwilach. Przez rozpaczliwe krzyki umierających, rzenie przerażonych koni i triumfalne pobekiwania mutantów przebiły się jednak jeszcze dwa trzaski, towarzyszące wystrzałom z balisty. Czyli dwa cykle: naciągnij-załaduj-wystrzel! A wiedział, że jeden zajmuje obsłudze balisty tej wielkości od piętnastu do trzydziestu momentów. W ostatnie wakacje sprawdził to z klepsydrą w ręku. Ojciec, jako członek cechu, w razie najazdu Kummonów miał obsługiwać całkiem podobną kuszę wałową i zabrał go na doroczne ćwiczenia. Waląc glinianym śrutem do pływających po Lejczu kaczek, osiągnęli wynik dwudziestu sześciu momentów, a nie ulegało wątpliwości, że profesjonaliści Boomhonsa byli lepsi od dumayeckiej milicji.

Czyli - czterdzieści momentów. Tyle zajęło stadu wyprucie ze sterty ludzkiego mięsa ostatniego tchnienia, zmiażdżenie racicami ostatniej wierzgającej kończyny. Tylko konie rżały i waliły kopytami dłużej. Ale wkrótce i one ucichły.

O dziwo - wcale nie dlatego, że podzieliły los pasażerów. Jedna z owiec beczała żałościwie, zdzielona w zad wierzgnięciem, sparaliżowana od krzyża w dół, a na jej pobratymcach zupełnie nie zrobiło to wrażenia. Nie próbowali się mścić, jakby rozumiejąc, że zaprzężone do dyszla czworonogi nie mają nic wspólnego z ich dwunożnymi wrogami.

Debren nic z tego nie rozumiał. Dzik, niedźwiedź, nawet inteligentniejszy od nich smok - każda istota oprócz człowieka atakuje także wierchowca, jeśli przyjdzie jej walczyć z jeźdźcem. Ludzie starają się tego nie robić, bo koń to cenna zdobycz, ale zwierzęta nie myślą takimi kategoriami. Co prawda, koń pociągowy to nie wierchowiec, ale skoro barany rzuciły się na wóz i wszystkich, którzy na nim przebywali, powinny chyba...

Szarpięcie sprowadziło go na ziemię. A dokładniej: na deski.

Potknął się o podstawę trebusza, trochę potłukł zadek, ale nie miał żalu do Ammy.

- Dżuma i... Dzięki. - Przełknął z wysiłkiem ślinę, patrząc na bełt, dygocący w ramieniu maszyny. Moment później, a dygotałby w jego czole. - Zagapiłem się.

Nie był pewien, czy ocalała mu życie. Ale raczej tak. Z tej odległości dobry kusznik nie powinien chybić w ludzką głowę, a on wystawił na strzał znacznie więcej.

Bezmyślny głupek.

Ale ta jatka w dole... Każdego by wzięło. Pięć zagryzionych, rozprutych, zatratowanych kobiet. No i radny.

Tyle krwi. Całe podwórze pełne krwi i trupów.

- Dość! - dobiegł go rozkaz Boomhonsa. - Może same sobie poradzą. Dwa zawiasy chyba puściły. Jedź pod stajnię, Patyczek.

Chrzęst kół, stłumiony trzask, młaśnięcie. Oburzone i urwane „Nie możesz...?” Puchacza. Woźnica nie odpowiedział, Debren nie wyjrzał, ale i tak zrozumiał: furgon przetoczył się po jakichś zwłokach, łamiąc kość, może czaszkę, i rozgniatając ciało.

Bitwa dobiegła końca. Rozpoczęła się oblężenie.



- Jak oddasz dziewczkę, wyjdiesz z tego żywy!

Debren oczekiwał czegoś podobnego. Niemal każdy opis każdego oblężenia zaczynał się od propozycji, którą napastnicy składali napadniętym. Tak nakazywał rozsądek, tradycja, a ostatnio nawet przepisy. Co prawda przestępców przepisy mniej obowiązują, ale nawet oni często stosowali się do owego obyczaju: świadczyło to o dobrej woli i w razie schwytania dawało szansę na lżejszą karę.

Podszedł bliżej przedpiersia, wyjrzał ostrożnie, gotów do

błyskawicznego odskoku. Pomijając walenie baranim kopytem w drzwi, było cicho, zatem szcęk spustu powinien wystarczyć za ostrzeżenie. Ktoś, kto chciałby strzelić do niego z lasu, mógł co prawda zrobić to dyskretniej, ale obrzeża polany Debren obejrzał wcześniej. Nikogo nie dostrzegł. Trzej jeźdźcy, posłani w pogoń za zbiegami, polowali chyba faktycznie na zbiegów, nie na niego.

- Jak zaraz stąd odjedziecie - posłał w dół kontrpropozycję - to was nie potraktuję żadnym zaklęciem!

Widział teraz całą trójkę. Boomhons, Puchacz i Kuleczka nie zamierzali złączyć z wozu, choć ledwie parę pacierzy temu ich kamraci, nie niepokojeni przez owcze stado, wyprowadzili ze stajni trójkę koni, dosiedli ich i odjechali. Jedne zwierzęta interesowały się trawą, inne waleniem w drzwi wieży. Koni Hurhakera, zaprzęzonych do pełnej trupów furmanki, żaden baran nie próbował atakować. Mimo to pozostali wozobroncy woleli nie ryzykować. Ich furgon stanął przy ścianie, chroniącej tyły, załadowane kusze leżały na podporędku, a zamiast kamiennej kuli, przeznaczonej do niszczenia umocnień, Kuleczka ułożył w rynience balisty dzban, pewnie z ładunkiem śrutowym. Najwyraźniej Boomhons nie był pewien swych czworonożnych sojuszników.

- Rozebrałeś się? - Wypatrzył odkryte ramiona Debrena. - Sprytnie, ale nic ci to nie da. To silny rozmocnik i oparami działa, nie przez zamoczenie. Starczy gdzieś obok trafić. A jak podpalić i podgrzać, to jednym jajkiem całą magię z tej wieży wykurzy. Powiedz mu, Puchacz.

Wyłupiastooki skwapliwie pokiwał głową.

- Istne cudo. Jeno drogie, że strach, więc lepiej się dogadajcie, panie czarodziej, bo nas z torbami...

- Zawrzyj pysk - warknął Boomhons. - A ty go, chłopcze, nie słuchaj. O oficjalnych cenach gada, a ja to okazyjnie kupuję, za

śmieszne denary. Więc nie będę żałował. A poza tym nie muszę na was drogiej amunicji wytracać. To drewniana wieża. Chwila-dwie i w ogniu stanie.

To, na szczęście, Debren zdążył przemyśleć.

- Po pierwsze - wystarał się o niedbały ton - wieża jest przeciwnymokowa. Macie za durni tych, co ją postavili? Myślicie, że nie zadbali o ochronę przed ogniem? Od tego zaczęli. Toż smok, wiadomo: ogniem zieję, że strach.

- Nie każdy - uściślił Puchacz. - Czytałem...

- Ten nie zieję! - wszedł mu w słowo Boomhons.

- Zieję. Ktoś was w błąd wprowadził. Pewnie po to, by najemnika nie straszyć. Albo cenę zbić. Ale ja rozmawiałem z burmistrzem: smok spalił dwa wozy i most. Chyba nie myślicie, że krzesiwa użył, hę?

- Chłopcze! - wzruszył ramionami wozobrońca. - Jak tę spróchniałą rudere z dymem puścimy, to też pójdzie na konto smoka. Takie bajania mnie nie przekonują. Nie ma to jak smok w okolicy, gdy ślady chcesz zatrzeć. Niejeden rycerz rabuś specjalnie po to jakiegoś jaszczura pod bokiem hoduje. Dla alibi. Kto wie, czy zbóje się pod smoka nie podszyli. Albo i sami kupcy. Ogień podłożyli, by asekurację wyłudzić... stare chwytty.

- Dertuda konia pokazywała! Cały popalony! A został jej po błędnym rycerzu, który się na smoka wyprawił!

- Ta pijana wiedźma? A cóż ona wie o smokach? Albo paleniu rycerskich koni? Mało to dziś w bitwie ognistego oręża? Jak nie czar, to fugas z illeńskiego ognia, a temmozany to już całkiem się w pole nie ruszą bez paru fur oleju ziemnego. Pewnie gdzieś wcześniej biedna szkapa dostała płomieniem po grzbiecie. I dlatego to ją rycerz na smoka wybrał. Dobrego konia szkoda. Rycerz, nie powiem, czasem walkę z gadziną przeżyje, ale koń to już naprawdę

sporadycznie. Więc nie warto cennego brać.

- To były świeże oparzenia!

- Może babie alembik z okowitą wybuchł i konia poparzył. To teraz na smoka zwala. Alkoholicy tak robią: to się zwie wyparcie. Ale dość o tym. Przyjmij do wiadomości, że albo dziewczkę oddasz, albo was usmażymy.

- A po drugie - przypomniał sobie Debren - to mamy tu trebusz. Jak zaczniecie strzelać, to i my zaczniemy.

Tym razem trafił lepiej. Boomhons musiał chwilę pomyśleć. Niestety, w myśleniu okazał się niezły.

- To rudera - postukał pięścią w chroniącą tyły wozu ścianę odwachu. - Zasięgnąłem języka: nie jako rezerwat to budowali, a jako fortalicję, chroniącą przed smokiem. Poduszkowiec te wzgórza zamieszkiwał, więc...

- Że co?

Boomhons pokręcił głową, wyraźnie porażony ignorancją rozmówcy. I tylko machnął ręką.

- Smok poduszkowy - wyręczył wodza Puchacz. - To taki, co wyżej i dalej latać nie umie, jeno skacze z wysoka i szybuje tuż nad ziemią lotem ślizgowym, na takowej jakby poduszce powietrznej. A i do lądowania czasem mości sobie zawczasu specjalne sienniki. Stąd nazwa.

- Aha - Debren podziękował wstrzemięźliwym skinieniem głowy. - No i co to ma do rzeczy?

- To ma - wyjaśnił Boomhons - że rzecz się działa dawno. Dwa wieki temu wytępiono w Anvaszu ostatnie poduszkowce. Właśnie metodą budowy fortów na trasach ich ślizgów. Potem latający smok tu zamieszkał, przeciw któremu budowa fortyfikacji nie miała sensu. A ostatnio smoki objęto ochroną, więc osadzono tu straż leśną. Ale przez wiele lat żaden zbrojny garnizon tu nie stacjonował.

Inaczej mówiąc: wszystko to starzyzna. Założę się, że ani trebusz nie działa, ani pocisków do niego nie macie, bo je dawno rozkradli.

- Nie widzicie lin? - obruszył się Debren.

- Chłopcze, nim do sektora prywatnego poszedłem, nasłużyłem się w wojsku. I wiem, jak wygląda machina uszykowana na pokaz, by inspekcję zadowolić. Tak właśnie. Mnóstwo lin, a pod spodem rdza, próchno i bryły ziemi zamiast kul. W Sovro całą taką fortecę widziałem, z płótna i desek, podpartą tyczkami. Nieźle udawała murowaną. Tradycję tam mają, by w rocznicę rewolucji nową twierdzę do użytku oddawać, a że gospodarka cienko przędzie, to taką kronikarzom i oficjelom pokazali. Więc daruj, ale nie uwierzę, póki nie zobaczę choć jednego głazu. W locie.

Debren przeżył gorzkie porażki. Dobrze, że się ściemniało i nie widzieli jego twarzy. Na wszelki wypadek splunął, niby to na ostatniego barana, niemrawo kopiącego w drzwi zadnią nogą.

- Jeszcze czego - wzruszył ramionami. - Mam wam pokazywać naszą amunicję? Nic z tego.

Udało mu się tylko z baranem: zwierzę kopnęło jeszcze raz i odeszło, jak parę innych przed nim. Boomhons, niestety, nie łapał za lejce i nie odjeżdżał.

- Żegnaj zatem - skłonił się szyderczo swym pierzastym kołpakiem. - Kuleczka, dawaj kulę. Bydlęta chyba mają dość. Pole ostrzału nam się zwolniło.

Fakt: żaden kolejny baran czy owca nie kwapiły się do drzwi. Nie odeszły jednak daleko od wieży, co dowodziło, że nie odpuściły uciekinierom, choć najwyraźniej pierwsza fala szału opadła.

Niedobrze. Debren już wcześniej uznał, że to atak na któregoś z członków stada wywołuje zbiorową furję, a wozobrońcy chyba podzielali jego zdanie. Trzymali się więc z boku, by nie prowokować mutantów. Teraz, gdy ostatni tryk odstąpił od drzwi, znów mieli

rozwiązane ręce. Kuleczka bez ociągania zabrał sprzed ciężkiy śrutowy pocisk, uniósł wyżej wymierzoną w podwórze broń, starannie ułożył kamienną kulę.

Debren przyklęknął nad krawędzią włazu, by nie ułatwić wrogom podsłuchiwania.

- Pirr, do licha! Zaraz zaczną strzelać!

- Nie schodźcie! Nic tu po was!

Słyszał to już. Trzykrotnie, odkąd po raz pierwszy zapytał, czy tamten nie potrzebuje pomocy. Tyle że przedtem miało to sens: wszyscy troje wierzyli w możliwość szturmu. Ale czas płynął, nic się nie działo, a oblegające siły stopniały do połowy. Mając pięciu ludzi, Boomhons mógł zaryzykować atak górą. Z dwoma - już nie.

- Zejdę do ciebie! Sam nie dasz rady...

- Siedź, gdzie jesteś! Bo jak odstrzelą którąś z drabin, już tam nie wrócisz! Chcesz Ammę samą zostawić?

Pewnie że nie chciał. Trzymała się jakoś, ale wyglądała na oszołomioną. Zdążyła polubić krasnoluda.

Ale on też Holsego polubił. I dlatego ciężko mu było wysiedzieć tu, na górze.

- Jak niby mają odstrzelić? W środku?

- Masz pewność, że pocisk nie przebije ściany? A jak zapalającym strzelą? Ogień odetnie nas od Ammy i co wtedy?

Lelońskie kroniki, przy okazji straszenia agresywną polityką państw feudalnych, donosiły co rusz o takich nowinkach jak amunicja przebijająco-palna, a przynajmniej badania nad nią. Czyli, teoretycznie, Boomhons mógł pozyskać ją z tego samego źródła, które zaopatrywało go w jaja z rozmocnikiem. Ale właśnie gdzieś w „Mównicy Ludu” czy może „Wojaku Wolności” Debren wyczytał, ile takie zabawki feudałów kosztują i ilu to nieszczęsnych chłopów pańszczyźnianych umrze z głodu, by zaspokoić militarystyczne

zachcianki ich panów. Ceny były porażające. A coś drogiego chyba trudniej skraść z wojskowych składów. No i nielekką potem, kupione na czarnym rynku, zmarnować w byle awanturze.

Inaczej mówiąc: wątpił, by Boomhons użył takiego bełtu, nawet jeśli jakiś posiada. Na szczęście miał mocniejszy argument niż demokratyczna propaganda. Tę Pirr najprawdopodobniej po prostu by wyśmiał.

- Oboje zejdziemy - zaproponował. - Tu i tak nic...

- Ani się waż! Zobaczą, że was nie ma, i zaatakują!

- Jak zobaczą? Z dołu nic nie...

- Z lasu! Na pewno któryś siedzi na drzewie i was podgląda. Nie lekceważ ich, Debren. To zawodowcy.

„Poradze sobie” - napisała Amma. - *„A morze ja zejde?”*

Łomot w dole, a zwłaszcza żalosny trzask desek, ułatwił Debrenowi decyzję.

- Zostań. I zamknij klapę, gdyby coś się działo. Widno jeszcze, to od razu zauważę.

Szybko opuścił nogi we właz. Starał się nie myśleć o tej, pozał się Boże, twierdzy, w której nie było nawet małego kamyka nadającego się do rzucania w dół i zwracania uwagi. Jak bronić takiej wieży? Mieli gołe ręce przeciw mieczom tamtych. Ale właśnie dlatego postanowił zejść na dół. Musi znaleźć coś, co przedłuży ich ramiona, pozwoli odpychać leżących na górę napastników.

W połowie drogi usłyszał odległy zew rogu. Omal nie zawrócił. Bo jeśli to znak, jeśli obserwator dostrzegł jego odejście i tamci ruszą na samotną dziewczynę?

Opanował się. Przedpiersie, choć niskie, osłaniało platformę i póki siedzieli z Ammą, nikt nie mógł mieć pewności, czy tam są. A przeważnie siedzieli.

Ruszył w dół. Nie dane mu było jednak dotrzeć do kazamaty czy

choćby stropu nad nią. W którymś momencie usłyszał szmery, spojrzał pod nogi i wyłowił z mroku sylwetkę Pirra. Głównie dzięki opasce z poszarpanej koszuli, bielejącej pod kolanem przestrzelonej nogi. Garbus, schylony przy włączu, kładł coś długiego na posadzce. Może drabinę, może bosak.

- Miałeś nie złazić - rzucił sucho, choć bez wielkich pretensji. - Wracaj na górę.

Debren ograniczył się do zawisnięcia w połowie rozchwianej drabiny.

- Drzwi? - Na wszelki wypadek stłumił głos. - Wyłamali? Dlatego...?

Przez rozbite drzwi powinno wpadać światło. Ale ciemność niczego nie dowodziła. Może Pirr zamknął klapę.

- Nie. Ale zaraz wyłamią, jak im pozwolimy.

Oczy Debrena coraz więcej dostrzegały w mroku. Ale nieruchomy kształt na prawo od nóg prawnika dostrzegł za późno. Zaczął mówić trochę wcześniej, i to tonem, którego nikt nie słuchałby z przyjemnością.

- Zostawiłeś go?! Samego?! Ty tcho...

Ugryzł się w język. Za późno.

Machrusie... Jakby mało nieszczęść. Jeszcze i to. Naskoczył na człowieka, który szóstnicę wcześniej kazał mu uciekać, zamykać drzwi i nie czekać na siebie. Inaczej mówiąc: poświęcił się, by ich oboje ratować.

- Wracaj na pomost - powiedział Pirr łagodnie. Czym do reszty pogiębił Debrena. „Chędoż się, szczeniaku” zabrzmiałoby lepiej. Rachunki trochę by się wyrównały.

Wisiał więc na drabinie i nie potrafił ruszyć ani w górę, ani w dół. Szukał słów i nie umiał znaleźć.

Kłapa nad przyziemiem nie była chyba zamknięta, bo słyszał

jakieś szurania, stłumione klątwy.

- Kule ktoś zbiera - wyjaśnił Pirr. - Za wiele ich chyba nie mają. Marna amunicja przeciw zbójom czy smokom. Mamy szczęście, że ich te barany spowolniły.

Debren zrozumiał: tamci nie strzelali, bo po raz wystrzelone pociski musieliby schodzić między mutanty. Teraz, gdy stado odstąpiło, wszystko pójdzie dużo szybciej.

Ale pomyślał o tym wyłącznie mimochodem.

- Jakim cudem...? Pomagał ci? - popatrzył z nadzieją na leżącego krasnoluda. - Nie jest z nim tak źle?

Musiał trochę poczekać na odpowiedź.

- Debren... przykro mi. Nie taszczyłbym go na górę, ale... No, nie żyje. Nie bolało go już.

Więc jednak.

Zszedł na dół. Choć tyle mógł zrobić dla Holsego: pożegnać się. Dopiero z bliska dostrzegł, że tamten nadal jest w zbroi. Pirr chyba nie próbował jej zdejmować. Może to i lepiej: zaoszczędził konającemu dodatkowych cierpień.

- Wiem, co pomyślisz - mruknął jurysta. - Ale on by zrozumiał.

Ułożył drabinę na zamkniętej klapie, a potem, zgrzytając łuską pancerza o kamienie, przykrył całość ciałem krasnoluda. Pod koniec chłopak otrząsnął się, próbował pomóc.

- Ciężki - sapnął. - Na Machrusa, jak tyś go tu wciągnął, Pirr? I to z taką dziurą w nodze?

Prawie zapomniał o ranie jurysty - swój bełt garbus zdążył wyciągnąć - ale trudno przegapić podskakiwanie na jednej nodze.

- Chyba oszczercy mieli rację. - Uśmiechnął się ponuro Pirr. - Względem tej mojej krasnoludzkiej krwi. Co jak co, ale siły tom zawsze miał dużo. Widać matka się w jakiegoś brodatego zapatrzyła.

- Żartujesz... - bąknął niepewnie Debren.

- Nie znałem jej. Kto wie, z kim mnie spłodziła. Coś mi się widzi, że człowiek to nie był.

Podniósł bosak, wręczył Debrenowi.

- Idź przodem. Byle szybko.

Nie dało się szybko: Debren dowiedział się w praktyce, dlaczego wojska tyle trudu zadają sobie przy wielomiesięcznym obleganiu twierdz, zamiast nazwozić drabin i po prostu przeleźć górą w parę pacierzy. Nikt do niego nie strzelał, nie lał wrzątku ani nie ciskał głazów, ale wystarczyło zająć ciężkim drągiem jedną dłoń, by na dystansie pięciu pięter trzykrotnie omal nie zleciał. Dopiero pod koniec wpadł na myśl, by przytrzymywać się drabiny zaczepionym gdzieś wyżej bosakiem.

Nic dziwnego, że Pirr co rusz trącał go kapturem w podeszwy sandałów. Włókł się nieprzyzwoicie wolno. Nim znaleźli się między podporami trebusza, głośny trzask obwieścił kolejne trafienie w drzwi.

Za to potem wszystko poszło błyskawicznie. Pirr, grzechocąc przy każdym ruchu, wykonał trzy susy na zdrowej nodze, dopadł przedpiersia, upuścił pod stopy rozpiętą sakwę. Z sakwy, jeszcze głośniej grzechocąc, wysypało się kilka kamieni. Coś Debrenowi przypominały, ale nie było czasu patrzeć, bo całą uwagę ściągnął na siebie ten jeden, którym garbus rzucił.

Na nieszczęście było jeszcze dość widno, przynajmniej tu, na górze. Na drugie nieszczęście: Boomhons akurat spojrział w ich stronę. No i wieża miała te siedem pięter, co znaczyło, że nawet mocno rzucony kamień musiał przez chwilę lecieć do celu.

Bo gdyby nie to wszystko do kupy wzięte, napastnicy straciliby dowódcę. Właśnie od tego pierwszego rzutu.

Zresztą i tak niewiele zabrakło: Boomhons przykucnął w ostatnim

momencie. Kamień wyrznięt w ścianę odwachu, odbił się i zdążył jeszcze zerwać opierzony kołpak z jego głowy, choć pod wozobroncą rozjechały się stopy i unik zakończył dużo niżej, lądując na zadku i łokciach.

- Uwaga na gó...! - spóźnił się z ostrzeżeniem Puchacz. Kuleczka, zajęty naciąganiem balisty, w ogóle nie dostrzegł zagrożenia. Ale, trzeba mu oddać honor, nie wyskoczył też na łokieć w górę, gdy tuż obok huknęło jak od krasnoludzkiego młota. Rozejrzał się i dalej robił swoje, energicznie kręcąc korbą.

Pirr podniósł następny kamień i posłał go w kierunku wozu. Trudno powiedzieć, czy aż tak chybił, czy może zmienił taktykę. W każdym razie pociskiem oberwał po zadzie jeden z koni. Bolesne rzenie rozniosło się nad całą polaną, zwierzę skoczyło naprzód, porwało za sobą pozostałą dwójkę. Szarpnięty gwałtownie furgon potoczył się w stronę lasu. Na nogach, głównie dzięki korbie, pozostał już tylko Kuleczka. Ale i on dał spokój machinie, rzucając się ku ławce woźnicy i lejcom.

- Hamuj! - krzyknął Puchacz.

- Jedź dalej! - warknął Boomhons. - Bo nam tu łby porozwalają, w rzyć chędożeni!

Pirr rzucił jeszcze raz, mierząc w oddalający się wóz, ale tym razem spudłował jeszcze bardziej haniebnie. I po czwarty kamień już nie sięgnął.

Okazało się, że dobrze zrobił. Boomhons nie ryzykował: furgon umknął nie pod las, rosnący kopę kroków od wieży, a dalej w prawo, ku wylotowi drogi. Tam wprawdzie stanął, nie próbując kryć się za drzewami, ale Puchacz, który zastąpił Kuleczkę przy korbie, dał sobie spokój już po pierwszym obrocie. Zrezygnował z napinania maszyny i, pokazując palcami, tłumaczył coś dowódcy.

- Łajno stamtąd widzą, nie drzwi. - Gdyby nie upiększająca iluzja i

nawyk chowania zębów, Pirr szczyrzyłby je teraz szeroko i radośnie.
- Ech, szkoda, że więcej nie zostawił... Można by nasypać w trebusz i rąbnąć, jak się na nocleg rozłożą.

- Hę? - Debren oderwał spojrzenie od naradzających się wozobrońców. - Zostawił? Nocleg?

Jurysta podniósł sakwę. Dopiero teraz Debren rozpoznał skarbczyk Purchawca. W połowie pusta, otwarta i z dziurą po ostrzu Hadgolda, torba wyglądała jakoś inaczej. No i, zamiast monet, wypełniały ją kamienie.

- Keloalen. Był tu. W wieży. I, na nasze szczęście, naszykował sobie zapas amunicji.

„*Te kamienie? To jego?*” - *Amma podniosła jeden z nich.* Posłała Debrenowi wymowne spojrzenie.

- Taki jak przy bramie - mruknął, patrząc na czarne, wyżłobione pośrodku, jajowate bryły. - I u burmistrza. Bazalt. - Przeniósł wzrok na Pirra. - Skąd to...?

- Nie wiem, czy z tego wyjdziemy - powiedział spokojnie jurysta. - A te pieniądze nie są moje. No i uciekać z nimi ciężko. Więc je... schowałem. Jak poszukacie, znajdziecie. Ale mam nadzieję, że nie będziecie szukać.

- Miałeś w tej sakwie pieniądze?

- I księgę. - Pirr poklepał grzbiet *Smoków w dziejach Anvashu*. - Manuskryptu nie chowałem. Wilgoć bywa gorsza od zbójów. No i optymistycznie zakładam, że może nam się jeszcze przydać. - Popatrzył na wozobrońców, oddalonych o przeszło sto kroków. - Stamtąd nie ostrzelają drzwi, za ostry kąt. A bliżej nie staną, bo kamień doleci. Czyli nasze szanse mocno wzrosły.

To akurat Debren rozumiał. Las okazał się ich sprzymierzeńcem: tu, naprzeciw drzwi, rósł na tyle blisko wieży, że dobrze rzucony kamień dolatywał między drzewa. Czyli do fury z balistą doleci tym

bardziej. Niby można zdemontować maszynę, zawlec dalej w głąb puszczy, wyszukać prześwit i stamtąd ostrzelać wejście do wieży, ale to potrwa. A zmierzch tuż-tuż. No i z daleka, nawet za dnia, trudniej trafić. Dochodził też problem zbierania amunicji: teraz, gdy obrońcy dorobili się kamieni, ludzie Boomhonsa nie będą mogli robić tego bezkarnie. Tak, szanse mocno wzrosły i to było dla Debrena jasne. Ale inne rzeczy już nie.

- Keloalen przywiózł tu kamienie? Po co? I skąd wiesz, że akurat on?

- Po co? By rzucać. Widziałeś, jak ich używa. To znaczy: on albo jego sokół, nie mam pewności. A wiem od Holsego. Zanim zmarł... - Amma drgnęła, więc odczekał parę momentów, dając jej czas na oswojenie się z tą myślą. - No, ciut mi powiedział. Dzielny był chłop. Do samego końca starał się nam pomóc.

„Nie rzyje?” - Posłała spojrzenie w stronę wjazdu. Któreś z kolei, ale Debren dopiero nad tym się zastanowił. Pewnie łudziła się nadzieją, że ranny krasnolud czeka gdzieś tam, na dole, i że jeszcze po niego wróca.

- Nie becz - mruknął Pirr. - Tak właśnie by wołał... W walce. I w dobrej sprawie. No, nie becz.

Oczy miała pełne łez. Debren niemal ze wstydem powrócił do tematu elfa i kamieni.

- I co: Keloalen tak po prostu tu przyjechał, poszedł do wieży i zostawił wór bazaltowych kul?

- Nie po prostu. Schował je. A wieżę zwykle się zamyka. Mieliśmy szczęście, że akurat... O kamieniach wiedziałby komendant, nikt więcej. A elf elfowi zawsze pomoże.

- To jakim cudem Holse powiedział ci o kamieniach?

- Żadnym. Kamienie znalazłem przypadkiem.

- Przypadkiem - mruknął Debren. Sam nie wiedział, co go naszło.

I czemu teraz. Ostatecznie Boomhons mógł machnąć ręką na ostrożność, zajechać przed drzwiami i wdać się w wymianę ciosów. Jeśli ma na wozie tarcze i hełmy, a pewnie ma, kamienie nie muszą być tak zabójczą bronią. Więc to kiepska chwila, by dzielić włos na czworo. O walce i przeżyciu powinien myśleć, a nie...

- Wiem, jak to brzmi - uśmiechnął się Pirr. - Jeden z tych cudownych przypadków, co to sędziego do łez potrafią rozbawić. Ale tak się składa, że umiem to udowodnić.

Amma przestała się mazać i, patrząc to na jednego, to na drugiego, wzrokiem żądała wyjaśnienia.

- To nie sąd - spasował Debren. Opaska uciskowa nad udem garbusa spełniła swoje zadanie, krew już nawet nie sączyła się przez nogawkę, ale nim Pirr zajął się sobą, wylał jej całkiem sporo. A potem złapał bosak i to jemu, Debrenowi, kazał uciekać. - Po prostu... no...

- Rozumiem: dziwaczna historia, to się dziwisz. Ja też. Ale wszystko trzyma się kupy. Widzisz: okazuje się, że mają tu sekretny korytarz. Pod ziemią. I to o nim mi Holse powiedział. Na wypadek, gdybyśmy musieli uciekać. O korytarzu prości strażnicy nie mieli pojęcia, ale dziesiętnikowi komendant już musiał powiedzieć.

- Korytarz? - ożywił się Debren.

- Stary - ostudził jego zapał prawnik. - Nie wiem, czy da się nim przejść. Zobaczymy. Ale wejście nadawało się na kryjówkę, więc Keloalen skorzystał. Holse mi powiedział, gdzie to jest, zajrzałem, no i kamienie tam leżały. Po prostu wysypane na ziemię, więc schowałem pieniądze i spakowałem je do sakwy.

„Toś od krula mondrzejszy” - skomentowała Amma. - „Bo tu nie ma czym szczelać. Takom wielgahnom kapatulte ustawili, a ani kamienia. Tak władza nasze podatki trfoni.”

- Siecią mieli... - Pirr urwał. Wychwycił jednak pytające spojrzenie

Debrena, więc dokończył bez zapału: - Na smoka ten trebusz szykowali. No, a smoka kamieniem w locie trafić... Co innego sieć zarzucić. Ciężkiej i daleko nie da się ręcznie, więc ktoś wymyślił, że trebuszem.

- Sieć? - Debren był pod wrażeniem. - Nigdy nie słyszałem... Sieć! Ha! Genialna koncepcja!

- Głupia raczej.

- No coś ty! Opleciony siecią smok rymnie od razu o ziemię. Że też nikt wcześniej... - Kręcił z niedowierzaniem głową. - A niby takie proste! Na tym właśnie geniusz polega. I pomyśleć, że we wczesnowieczu ktoś na ów koncept wpadł. Może nawet trzysta lat temu!

„I pszes tszysty lat w smoka nie fcelował. Geniusz.”

Trochę zbiła Debrena z tropu. Ale nie do końca.

- No... bo pewnie... - Nagle znalazł wyjaśnienie. - Smok się po prostu bał zaatakować!

Pirr parsknął niczym mocno zniecierpliwiony koń.

- Durna sieć miałaby powstrzymać rasowego smoka? To łajno nigdy im się nawet nie rozwinęło! - Oboje posłali mu zdziwione spojrzenia. Zreflektował się, zmienił ton na cierpko-ironiczny. - A ty lepiej trochę pomyśl. Jak wieża może szachować latacza? Tyranodrakona, rozumiem. Ciężki, ledwie łązi, byle mokradło czy górka go zatrzyma, więc faktycznie mocny fort na przełęczy może przed takim okolicą bronić. Ale co za problem oblecieć wieżę z dala i...

- Nie rozwinęło się? - Debrena to jedno zaciekawiło.

- Na boki - mruknął bez entuzjazmu Pirr. - Co z tego, że zdzielisz smoka w łeb kulą zwiniętej sieci?

- Fakt. I trafić tuziny razy trudniej. - Czarna magia to nauka ścisła, więc Debren, jako pasjonat i czarodziej z powołania, lubił

takie teoretyczne rozważania. - Trzeba jakoś zrobić, by po wystrzale brzezi rozleciały się na boki. Trafić łatwiej, opleść łatwiej, smok uniku nie zdąży wykonać... Hmm... tylko jak? Obciążniki?

- Myśl - doradził Pirr lekko złośliwym tonem. - Wojskowi ćwierć tysiąclecia się nad tym głowili.

- Wojskowi? To skąd o tym wiesz? Prace nad wdrożeniem tak nowatorskiej broni trzymają zwykle w najściślejszej...

Dalszą dyskusję przerwał im Boomhons. Z balisty śmignęła kamienna kula. Debren nie był pewien, w który kawałek wnęki uderzyła, ale na pewno nie były to drzwi: kamienie nie rozpadają się od zderzenia z drewnem.

Boomhons zerwał z głowy kołpak, cisnął nim o ziemię. Potem omal go jeszcze nie rozdeptał - na widok dłoni Pirra. Uniesiony ku niebu i szyderczo wyprostowany środkowy palec do reszty wyprowadził go z równowagi.

Wyrwał Puchaczowi kuszę i strzelił w prześmiewcę, choć miało to jeszcze mniej sensu niż mierzenie w drzwi, widziane z ukosa i z tej perspektywy niewiele szersze od kuli. Pirr i cała reszta przykucnęli, kryjąc się za przedpiersiem, nim w ogóle wycelował. Bełt śmignął górą, odleciał w siną dal. Ale jakąś korzyść Boomhons osiągnął: zamieszanie przyciągnęło uwagę mutantów. Tryk z czarnym zadem postanowił na nowo zmierzyć się z opornymi drzwiami. Owca, która tropem smacznych traw dotarła w miejsce opuszczone przez furgon, zabeczała nagle gniewnie, zaczęła bić kopytami w ślady po ludziach i koniach.

- Dziwne - wskazał ją Debren. - Całkiem jakby coś chciała w ziemię wdeptać.

- Nie oczekuj wielkiego rozumu po owcy.

Owca, faktycznie mało rozumna, trzasnęła racicą w jakiś kamień, chyba pokieroszowała nogę i dała za wygraną. Pewnie boleśnie

zdumiona, że na miękkiej ziemi trafiło jej się zniecka coś tak twardego.

Trochę później Debrenowi przemknęła myśl, że może to bazaltowe jajo, którym omal nie oberwał Boomhons.

Nikt więcej nie marnował bełtów, ale wozobroncy nie odtrąbili odwrotu. Furgon ruszył wzdłuż lasu, z wyraźnym zamiarem ustawienia się na wprost drzwi. Pirr stanął w wykroku, zamachnął się, cisnął kamieniem. Z początku wyglądało na to, że fatalnie. Kłusujący zaprzęg podjechał jednak w miejsce upadku akurat wtedy, gdy bazaltowe jajo kończyło tam swój lot. Jeden z koni został trafiony w bok, cała trójka spanikowała, pognąła dwa razy szybciej i Kuleczka nawet nie próbował strzelać z podskakującego wozu. Furgon minął wieżę, zwolnił dopiero za stawem, okrążył go i, trzymając się ogrodzenia, objechał teren posterunku.

- Psia jucha - pokręcił głową Pirr. - A w wóz mierzyłem... No nic, może z trebuszem pójdzie nam lepiej. Napnijcie go, tylko nie za mocno. Aha, i nie ruszaj kamieni Keloalena. Mało mamy, a ty chyba tak daleko jak ja nie ciśniesz. Szkoda by było marnować.

Pokuśtykał do wjazdu. Dopiero teraz Debren przyjrzał się jego przestrelonej goleni. Luźne nogawice utrudniały orientację, ale opaska uciskowa trochę zwęziła nogę i z wiedzy Debrena o ludzkiej anatomii znów wyszło, że kość podudzia powinna ucierpieć. A jednak Pirr nie poruszał się jak ktoś ze złamaną nogą.

- A ty dokąd?

- Zejdę na dół, poszukam czegoś, czym można strzelać. Trzeba ich postraszyć. Żeby się wynieśli z tą swoją balistą. No, chyba że piorunami już możesz...? - Debren pokręcił głową. - Więc idę.

- A twoja noga?

Garbus wzruszył ramionami.

- Do łażenia po drabinach silne ręce wystarczą.

- Ja pójdę. Ty lepiej rzucasz, a mnie nie boli...

- Ale ty jesteś czarodziejem, reprezentantem świata konkretnej nauki. Nie to co ja. Zdradzę ci, Debren, najtajniejszy sekret: tak naprawdę juryści na niczym realnym się nie znają. Jeno na kupie sztucznych przepisów, które sami powymyślali, komplikując ile wlezie, a które rozsądny król może w każdej chwili skreślić, robiąc bezwartościowych głupków z uczonych prawników. Matematyki i balistyki nie da się w ten sposób unieważnić. Na tym wasza wyższość polega, ekspertów technicznych.

- Trebusz - zrozumiał Debren.

- Pomyśl, jak z niego trafić.

- Pomyśl? - jęknął. - Do tego prób potrzeba! Albo ważonej amunicji i tabel! Niby skąd mam wiedzieć... - Pirr przyglądał mu się ze spokojnym uśmiechem, więc dokończył z westchnieniem. - No dobrze. Spróbuję. Ale - kucnął i wyciągnął bazaltowy kamień z torby - ale kilka będę musiał do prób poświęcić.

- Kilka możesz - zgodził się Pirr. - Powodzenia. Pomóż mu, Amma. To cholernie ciężki trebusz.



Trebusz faktycznie był ciężki. Na szczęście konstruktorzy uwzględnili to, projektując windy naciągowe z odpowiednim przełożeniem, ich było dwoje, a ładunek doświadczalny znikomo mały. Debren, który zaczął od prób wyprowadzenia wzorów na zasięg maszyny - kołatało mu się w pamięci, że to ponoć nic bardzo skomplikowanego - dał sobie szybko spokój, ale przynajmniej zdążył przemyśleć kwestie proporcji długości ramion oraz mas pocisku i przeciwwagi. Skrzynia obciążnika była wielka, kamień Keloalena maleńki, czyli, by nie posłać go o ćwierć mili w głąb lasu, należało

unieść przeciwwagę tylko trochę.

Tak też zrobili. Ciężko poszło, ale zdążył nie tylko ochłonać po wysiłku. Potem zdążył też zziębnąć - nim rozgryzł sposób działania mechanizmu spustowego. Następnie znów się spocili, bezskutecznie próbując obrócić trebusz. W końcu Debren wpadł na to, by użyć specjalnych zaczepów i wind naciągowych, ale do tej pory zrobiło się znacznie ciemniej. Co miało ten minus, że pierwszy kamień odleciał po prostu... dokądś. Żadne nie zauważyło, dokąd. Debren za długo patrzył na procę, Amma, rozsądniejsza, wypatrywała zagrożenia ze strony wozobrońców. Ludzie Boomhonsa nie przegapili ich krzątany. W każdej chwili mogli więc wykorzystać zaferowanie Debrena, posyłając im salwę bełtów.

Na szczęście nie zrobili tego. Barany wyręczały ich w robocie, tłukąc w nadwerężone drzwi, z lasu wrócił pierwszy jeździec, którego meldunek należało przyjąć, a Boomhonsa ciekawiło chyba, co zademonstruje machina wroga. Czekał zatem cierpliwie, nie przeszkadzając.

Ale i on się rozczarował. Po ruchach głów, wypatrujących pocisku we wszystkich możliwych sektorach nieba, Debren poznał, że tamci też nie mają pojęcia, dokąd poniosło kamień. Któryś wygwizdał go nawet szyderczo i zaczął znosić chrust na ognisko. Nie rozpalili go jednak tam, gdzie stali. Boomhons okazał więcej przezorności.

I słusznie, bo z następnym bazaltowym jajem poszło Debrenowi lepiej. Z czarowaniem nadal miał problemy, ale do tej pory wykrył już obecność mazidla na niektórych elementach trebusza. Widocznie Holsa, stary machinerzysta, postarał się o utrzymanie urządzenia w jakiej takiej gotowości. A wysmarowany mazidłem kamień łatwo było przypalić magicznym płomykiem, który niczego by raczej nie podpalił, lecz wystarczająco wyraźnie świecił w półmroku.

Maleńki ognek śmignął z goniącej za ramieniem trebusza procy, przeleciał wysoko nad furgonem wozobrońców i znikł między koronami drzew dwieście kroków dalej.

Chwilę później Boomhons zarządził odwrót. Nie za daleki, bo jakiś czas potem płomienie ogniska zamajaczyły ledwie kilkadziesiąt kroków w głębi lasu - ale te kilkadziesiąt kroków zmieniało bardzo wiele.

- Złękli się - obwieścił triumfalnie Debren. Nie uznał za stosowne dodawać, że obawa tamtych dotyczy raczej uciążliwego noclegu, niż położenia kogoś trupem już przy okazji następnego wystrzału. Bazaltowe jaja były za małe, by miotać nimi celnie, no i trudno byłoby zaszkodzić nimi wrogom, gdyby, przykładowo, spali pod wozem.

Cóż - może Pirr wyszuka cięższe pociski.

Póki co, Debren eksperymentował z kamieniami Keloalena. Czwartym zdołał wystraszyć wracającego z lasu Patyczka. Spłoszony koń omal go nie zrzucił, gdy parę stóp obok trzasnęło o ziemię świecące coś. Ale tym razem Debren nie czuł ani odrobiny triumfu. Bo to czarne i okrągłe, co tamten nabił na czubek piki...

Głowa leśnika? Więc i temu się nie udało.

Pierwszy jeździec, ten, który wrócił drogą, też chyba nie o porażce meldował. Brak świadków był ważny, królowie nie puszczają płazem mordowania swych leśników. Czyli przeżyła co najwyżej Dertuda. Gdyby ją dopadli, któryś zjawiłby się z dwukółką lub przynajmniej Łyskiem.

Pozostawał strażnik, który zabarykadował się w odwachu. Debren o nim zapomniał, ale Boomhons nie. Gdy szarówka wieczora zgęstniała w nocny granat, furgon wytoczył się z lasu na dogodną pozycję i samotny ognek pomknął w stronę kwater leśników.

Trzasnęło pękającą gliną, bryznęło olejem, który z miejsca

zapłonął od nawiniętego na dzban lontu. Pocisk nie był duży, ale nie miało to znaczenia. Podsycany olejem płomień, jeśli nikt nie spróbuje go gasić, rozpełźnie się wcześniej czy później po drewnianej ścianie. A ukrywający się w odwachu mężczyzna nie próbował. Pożar zaczął się od kwatery komendanta, a nie było tam drzwi do izb żołnierskich. Póki ogień się nie rozprzestrzeni, tamten może nawet nie wiedzieć, że budynek płonie.

- Hej, ty! - zawołał Debren. - Ogniem strzelają!

Więcej nie mógł zrobić. Nie miał zresztą pewności, czy ktoś nadal tam jest.

Płomienie z wolna ogarniały dach, przelewały się na frontową ścianę. Pojaśniało na tyle, że Debren bez wysiłku odczytał ryte w glinie runy.

„Teras nas spalom?”

Na szczęście wrócił Pirr i to jemu przypadło w udziale udzielanie odpowiedzi.

- Wątpię - sapnął, siadając obok dziewczyny. - Na dole jest studnia, a tam - wskazał drugą, zamkniętą klapę w powale - lina do wciągania cebrów. Cebrzy też są. I konwie na każdym piętrze. Strzelnic dużo, a pod nimi specjalne parapety, by woda szerzej się rozchodziła. Tak że każdy kawałek ściany da się ze środka zalać. Musieliby w wielu miejscach szybko podpalać, by się pożar rozszerzył. Jedna balista nie nadąży. No i to wieża.

- Wieże lepiej płoną - zauważył Debren. - Ciąg większy, jak w kominie.

- Ale pożar dalej widać. Wątpię, by Boomhons ryzykował. Co innego odwach: niski, nikt nie wypatrzy łuny.

Zadyszał się, ale nie czuć go było potem - ani świeżym, ani, co dziwniejsze, starym. Sianelem jeszcze trochę tak, choć pachnidło wywietrzało. Dominowała woń wilgotnej ziemi. Inna sprawa, że

bardziej od Pirra pachniały dwa nieduże, zaszyte na ślepo worki, które przydźwigał. Debren uniósł jeden. Stary materiał rozłaził się w rękach. To w środku, choć z pozoru twarde, to ani kamienie, ani stwardniałe wapno. Po prostu zbrylona ziemia.

- Co to jest?

- Ściany tunelu tym wyłożyli. - Pirr westchnął. - W tym problem. Nijakich kamieni, drewna tylko na parę podpór i strop. Ściany są z worków. No i się zapadło.

- Nie da się przejść?

Tamten zwlekał z odpowiedzią.

- Załaduj trebusz. - Trącił worek. - Muru tym nie rozbijesz, ale jak w człowieka lub konia trafi...

Debren ocenił wagę: ze trzydzieści funtów. Niby nie tak wiele, ale wleźć z dwoma takimi po drabinach, z poranioną nogą... Może faktycznie coś było na rzeczy z tym krasnoludzkim ojcem. Nieważne. Co innego było ważne.

- Nie da się przejść? - powtórzył pytanie.

- Cóż... zależy kto.

Debren oczekiwał krótkiego: „Nie!”, więc na chwilę zabrakło mu konceptu.

„Co to znaczy?” - wyręczyła go Amma.

- Sprawdzalem - Pirr wystarał się o nijaki ton. - Na tuzin sposobów. Nawet bez ubrania. Nie przecisnę się. Ale wy, owszem. Szczupli jesteście i bez garbów.

Zaległo milczenie. Długie, na dobre pół pacierza.

- A co z tobą? - zapytał cicho Debren.

- Nic. I nie patrz tak. - To było do Ammy. - Ani myślę tu ginąć. Raczej wygodnie kłopoty przeczekać. Z tą nogą - poklepał się po kolanie - i tak nie pobiegam. I gdybyśmy wszyscy uciekli, tamci zorientują się, ruszą w pościg. Co innego, jeśli od czasu do czasu

ktoś im z trebusza przywali. Nie pomyślą, że kogoś tu brakuje.

„Pszekopiemy się” - zdecydowała. - „Jak mało zasypało to sie uda. A jak durzo, to i my nie pszejdziemy.”

Debren nie zdążył poprzeć jej planu.

Gdzieś w dole szcęknał rygiel. Podnieśli się, wyrzeli. Przed odwachem, w cieniu, kulił się strażnik. A właściwie - próbował. Trudno połączyć przysiad z naciąganiem długiego, anvaskiego łuku.

- Hej, wy, w wieży! - zawołał cicho. Uniósł na moment twarz, ale od razu powrócił do gorączkowego rozglądania się na boki. - Otworzycie drzwi?

Debren nie zdążył odkrzyknąć, że tak, zaraz.

- Milcz - syknął Pirr.

- Ale...

- Debren, jesteś chyba z tych, co dotrzymują słowa. Więc trzy razy pomyśl, nim coś obiecasz.

Trzy razy Debren nie zdążył. Zaraz potem wieczorną ciszę przerwał piskliwy kobiecy okrzyk:

- Ucieka do wieży! Łapcie go!

Strażnik szarpnął ramieniem, dociągnął cięciwę do ucha. Nie było jednak komu posłać strzały: zabójczyni kucharza nie wychyliła z budynku nawet nosa. Łucznik zawahał się, po czym, wciąż z napiętą bronią, ruszył przez podwórze. Widać było, że nie wie, na kogo bardziej uważać: skrytych w ciemności kuszników Boomhonsa czy okupujące posterunek barany. Jedne drzemały, inne zdawały się go ignorować - ale tuż obok odbłask płomieni tańczył po kałużach krwi, po półnagich trupach zagryzionych, zatłuczonych racicami kobiet.

- Musimy mu pomóc. - Debren próbował podejść do wjazdu. Prawnik zastąpił mu drogę.

- W lesie ma większe szanse. Myślisz, że czemu nie atakują? O to im właśnie chodzi: byśmy otwarli drzwi.

- Ucieka! - darła się schowana w kuchni zielonooka.
- Puść mnie.
- Wiesz, że mam rację.
- Pirr, nie ma czasu na...
- Na myślenie zawsze jest. Tyle zachodu, a teraz co? Podpalili odwach i sobie poszli? Pozwolili mu uciec? A na koniec jeszcze i ogłuchli?

Był większy, silniejszy, ale nie dlatego Debren spasował. Po prostu Pirr miał rację.

No i był jeszcze inny sposób. Może lepszy.

Skoczył do drugiego wjazdu, tego z liną do studni. Po uniesieniu klapy dało się ją wciągnąć razem z zamocowanym na końcu cebrem. Na szczęście pustym, więc trwało to ledwie kilkanaście momentów. Strażnik, sądząc po gestach obserwującej go Ammy, akurat dotarł do drzwi. A raczej w ich pobliżu - bo o same drzwi nadal walił raciami któryś ze zmieniających się przy robocie baranów.

- Linę spuścimy! - zawołał Debren półgłosem. Płomienie, trawiące połowę odwachu huczały coraz głośniejsze, była więc nadzieja, że ten w dole zrozumie, a zabójczyni kucharza nie. - Wdrap się! - Obrócił twarz. - Pomożesz ciągnąć, Pirr? Sam chyba nie dam rady.

- Noga mnie boli - burknął prawnik. I zamiast po linę, sięgnął do sakwy. Wyjął od razu trzy kamienie, dwa na zapas, do lewej dłoni. Debrenowi przemknęła myśl, że ani przedtem, ani teraz nie próbował ściągać rękawicy, choć przy rzucaniu raczej nie pomagała.

Potem nie myślał już o juryście. Zaczął opuszczać ceber. Niżej raz i drugi stuknął nim o zastrzone pale.

Pirr stał obok, trzymając na wysokości ramienia gotowy do rzutu kamień. Rozglądał się, wypatrywał zagrożeń. Zdaniem Debrena - zbyt daleko. Jeśli tamci nie podejną pod płonący odwach, stąd, z

góry, nikt ich nie wypatrzy.

W końcu ceber dotarł do miejsca, z którego nie chciał opadać niżej. Z występu nad kazamatą raczej by spadł.

- Masz? - zapytał Debren półgłosem. Strażnik nie odpowiedział, ale dwa szarpnięcia za sznur były dostatecznie wymowne. - Złap się! Podciągniemy!

Koniec liny miał pętlę, pewnie dałoby się ją zaczepić do któregoś z kołowrotów, ale nie było na to czasu. No i windy służyły do unoszenia wielkich obciążeń: napinania trebusza, obracania go, windowania na górę ciężkiej amunicji. Nawet jeden człowiek mógł wiele zdziałać, tyle że kosztem spowolnienia tempa. A im się spieszyło.

Na szczęście miał do pomocy Ammę. Stała obok, jej palce zacisnęły się na linie obok palców Debrena.

- Nie tu - rzucił przez zęby Pirr. - Z tyłu stań. Bo cię któryś zastrzeli.

Usłuchała. Pomysł okazał się jednak kiepski. Sznur zjeżdżał w szczeliny między belkami - i blokował się. Debren wychylił się i złapał go na zewnątrz, ale przy takim układzie pomoc Ammy przestała mieć znaczenie. Zorientowała się, więc znów stanęła obok, sięgając za parapet.

- Nie tu! - warknął Pirr. - Nie pokazuj się!

- Inaczej nie poradzimy!

- Niech sam włazi! On dla was łba nie nadstawiał!

Zignorowali go, ciągnęli oboje. Pirr nie raczył pomóc, ale przynajmniej nie oponował. Cofnął się tylko, jakby nie chcąc stać w jednym szeregu z głupkami i wystawiać się na posłane im bełty.

Debrenowi po raz kolejny przemknęło pytanie o jego odwagę. Dziwny człowiek: raz niemal bohater, a kiedy indziej... I w dodatku głupio postępował. Gdyby zastąpił Ammę, szybciej wtaszczyłiby

strażnika na górę. A każdy moment zwłoki to okazja dla wozobrońców. Całe szczęście, że najwyraźniej przegapili.

Nie dokończył myśli. Był nagi do pasa, ale Pirrowi, okazuje się, starczyło sił, by obalić go szarpnięciem za nogawice. Amnę przewrócił łatwiej, chwytem za kołnierz.

Wylądowali na deskach. Linę Debren zdołał utrzymać, choć prześliznęła mu się w dłoniach. Zapieкло, omal nie wypuścił konopnej plecionki.

- Zdurniałeś?!

Krzyk oburzenia zlał się z trzaskiem łupanego drewna, warkotem pocisków, mknących górą. Debren oberwał po twarzy odłamany kawałkiem przedpiersia. Dołem belki były na szczęście dość grube, by zatrzymać kule. Bo to kul użyto. Metalowych: jedna, odbita od trebusza, spadła na gramolącego się z desek Debrena. Nie zabolalo. Ale w machinę trafiło więcej, a spadła ta jedna. Czyli pozostałe ugrzęzły w drewnie. Pewnie płytko - kula, nawet mocno rozpędzona, to nie bełt - gdyby jednak napotkały na swej drodze ludzkie ciała...

- Siedź! - Ammie Pirr nie pozwolił wstać. - To z balisty, ale kusze im jeszcze zostały!

Debren, mimo piekących dłoni, zerwał się, zaparł stopą o krawędź przedpiersia. Ciągnął, byle szybciej. Pirr, zamiast pomóc, zaczął rzucać kamieniami. Jeden, drugi...

Przy trzecim brzęknęło blachą (hełm? tarcza? stalowe łączysko kuszy?) i ktoś krzyknął, by uważać. Debren nie rozpoznał głosu, nie wyczuł nawet, czy pobrzmiwa w nim ból, czy tylko strach. Zapomniał o całym świecie, bo wyrywający mu się z dłoni ciężar nagle... zelżał.

Znów poleciał na tyłek, tym razem odepchnięty własną nogą. Puste wiadro było zbyt lekkie, by go zatrzymać.

A strażnik nawet nie krzyknął. Runął w dół, obił się parę razy o

belki i pacnął o ziemię. Raczej nie mógł przeżyć: ze cztery piętra przeleciał.

Debren siedział, dmuchał w obolałe dłonie i przeżuwał gorycz porażki.

- Mało brakowało - warknął Pirr, niemal wyszarpując mu linę z dłoni. - Na drugi raz masz mnie słuchać!

Wciągnął ceber, nie dbając, że hałasuje. Nikt jednak nie strzelił: widocznie całą salwę wozobroncy posłali strażnikowi. Pirr przekuśtykał w poprzek pomostu i opuścił ceber w czeluść wodnej klapy. Pod koniec pozwolił mu swobodnie spadać i Debren usłyszał stłumiony plusk. Czyli faktycznie była tam studnia. Ukryta w grubej ścianie kazamaty, dostępna dopiero z jej sklepienia - dlatego ją przeoczył.

- Zejdź na dół, Amma. No, już.

Dziewczyna posłusznie znikła we włazie. Pirr wciągał wiadro w tempie kogoś, kto ciągnie samą linę. A oczywiście okazało się pełne wody.

- Podpalą nas? - domyślił się.

- Mogą próbować - rzucił sucho jurysta. - Zabierz ją stąd. Przez studnię schodzi się do tunelu. Trafisz.

Przeszedł się dookoła pomostu, polewając wodą możliwie dużą powierzchnię. I od razu posłał pusty ceber w drogę powrotną. Lina aż zasyczała, trąc o rękawice.

- Co chcesz zrobić?

Stłumiony plusk. Kolejna porcja wody zaczęła wędrować na szczyt wieży.

- To zależy od ciebie - mruknął Pirr. - Zdecyduj: idziesz z Ammą do smoka czy wracasz. Jeśli idziesz, to idź. Przetrzymam ich tu, a potem się wymknę. Jeśli wracasz... - zawahał się - no, to może ze mną się zgodzi iść. Chyba że i ona chce zawrócić.

- Wymkniesz się? - Debren nie krył sceptycyzmu. - Niby jak? Mówiłeś...

- Tak jak wy: przez tunel. Tylko będę musiał pokopać, poszerzyć przejście. Potrwa, ale da się zrobić.

- Razem możemy...

- Nie. Kopałbym i tak ja, bom najsilniejszy. Wy byście bezużytecznie czekali obok. I na co? Na kulawego, który marsz opóźni? - Wyciągnął ceber, chlusnął na trebusz, posłał naczynie po kolejną porcję wody. - Póki będę wieży bronił, nie przyjdzie im do głów, że ktoś stąd uciekł. Czyli nie będą zbiegów po lesie szukać.

- W nocy i tak by nie...

- Mają psy. Widziałem, nie uciekły - uprzedził pytanie Debrena. - A właśnie, psy... Wykąpcie się w studni. Cali i dokładnie, w ubraniach. Wy i wszystko, co ze sobą weźmiecie. Wszystko, rozumiesz? Musicie zmyć zapach. To bardzo ważne. Swoje księgi, niestety, musisz zostawić. Nie bój się - skomentował nieszczęśliwą minę Debrena - jak ja przeżyję, to i one. Opuszczę linę, byście się nie potopili. Jeśli zdecydujecie się iść do smoka, to pamiętaj: pod koniec jeno drogą. Po bokach są bagna, mateczniki pełne gałęznic i inne paskudne miejsca. Nie wolno iść lasem. Może pierwszą milę. Potem musicie wrócić na drogę.

- Jesteś ranny. Sam nie dasz rady...

- Dam. To jak? Do smoka czy do Lelonii?

Debren nie zdążył odpowiedzieć. W oddali szczęknęła balista, moment później dzban z olejem roztrzaskał się na ścianie. Błysnęło nowym ogniem. Pirr schylił się, zajrzał do wnętrza wieży. Potem rozbijał wciągane wiadro, zręcznie umieścił na którejś z galeryjek dla strzelców.

- Załaduj trebusz. Workiem, nie kamieniami.

Znikł we włazie. Debren posłusznie ułożył worek w skórzanej

obejmie procy i wyrżał znad przedpiersia.

Pokazał pół głowy, ale i tak go wypatrzyli. Aż dwaj posłali mu bełty. Na szczęście wystarczyło przykucnąć. Niżej lecący pocisk przebił wprawdzie belkę przedpiersia, lecz dalej nie poleciał.

Debren wyrżał ponownie, poluzował jeden z naciągów, zakręcił korbą drugiego, naprowadził ramię trebusza na zapamiętany kierunek, a potem zabrał się do ściągania belki w dół. Nie miał pojęcia, ile razy worek przewyższa wagą kamienie Keloalena i jak daleko poleci - ale cóż mu szkodziło spróbować? W dole Pirr postukiwał najpierw konwią, napełnianą z cebra, potem okiennicami. Słysząc go było wyraźnie, bo Boomhons wziął na cel któreś z górnych pięter. Pewnie mierzył w platformę bojową, tylko po prostu przecenił moc balisty.

Debren też przecenił zgromadzoną w trebuszu energię. Choć uniósł skrzynię obciążnika wyżej niż przy strzelaniu kamieniami, worek gruchnął o ziemię dobre kilkanaście kroków przed wozem z balistą.

Ale i to wystarczyło: wozobrońcy, zamiast napinać swoją maszynę, rzucili się do odciągania furgonu. Nie było to wcale głupim, panicznym manewrem. Bo choć przygotowanie trebusza do kolejnego strzału musiało potrwać, odholowanie wozu też stanowiło problem. Boomhons, zapewne w obawie przed salwą kamieni, wyprzągnął konie i ukrył w lesie. Za dyszel musieli chwycić ludzie.

Wyścig trwał kilka pacierzy i został wygrany przez wozobroców. Debren tak się zmachał, kręcąc kołowrotami, że szczegóły strzału już przegapił. Znikający w lesie wóz wypatrzył, ale worek... Już po fakcie przypomniał sobie, że mógłby spróbować go rozświetlić magicznym blaskiem.

Cóż, przepadło. Za to Pirr dwiema czy trzema konwiami wody stłumił pełzające po ścianie płomienie.

Potem wrócił na pomost. Przez chwilę obaj milczeli, zajęci pracą przy kołowrotach. Dopiero układając w uchwycie procy drugi worek, Debren rzucił cierpko:

- Mieli nie palić wieży.

- Przeceniłem ich rozum. Albo nie doceniłem zuchwałości. Mniejsza z tym. Co postanowiłeś? Zawracasz?

Debren przeciągnął dłonią po worku. Udało się, nasączył płótno bladym światłem. Dobrze. Wracała mu zdolność czerpania mocy i korzystania z niej.

- Nie wiem. To Ammy decyzja.

- Miałeś jej pomóc wejść do rezerwatu. Pomogłeś. Twoja rola skończona.

Powstrzymał Debrena, nie pozwolił szarpnąć za dźwignię spustową. Najpierw popatrzył w mrok, obrócił trebusz o ułamek rumba. Dopiero wtedy skinął głową. Lepiej widział w ciemnościach. Kolejna krasnoludzka cecha. Po masywnej budowie, sile, wytrzymałości na ból. Może faktycznie jego matka... Wprawdzie wyrósł za wielki jak na mieszańca, ale w tej cholernej okolicy nic nie było takie, jak trzeba. Owce zagryzały ludzi, żółwie srały srebrem. A młode dziewczyny szukały śmierci.

Trebusz zastękał, skrzynia przeciwwagi opadła, zadudniła o podstawę pomostu, proca wyrzuciła worek. Poleciał w gwiazdy, blednąc stopniowo, potem zanurkował między czupryny drzew. Spadł gdzieś blisko furgonu, bo ktoś krzyknął, przestraszony nagłym łomotem.

Dobrze. Kolejny strzał, który mógł trafić. Tamci tuzin razy pomyślą, nim wyjadą z lasu. Worki nie były szczególnie groźne, jeden worek to najwyżej jeden trup, ale Boomhons nie mógł mieć pewności, że następnym razem nie nadleci porcja kamieni.

- Rezerwat jest tam - Debren z goryczą wskazał las. - Póki co,

wpakowałem ją do obleganej wieży.

- Nic jej nie jesteś winien. - Pirr znów kręcił korbą. - Ja to co innego. Czerpałem i nadal będę czerpał korzyści z tego, że jest, że żyje... i że cierpi. Cóż, tak się ułożyło. Nie jestem dobry, trudno. Ale zły też bywa użyteczny. Starczy, by korzyści czerpał. Więc możesz spokojnie odejść. Zaprowadzę ją, gdzie trzeba. Mam w tym interes.

- Czyli dokąd zaprowadzisz? Do barona?

- Dokąd zechce.

- Interes masz w dostarczeniu jej baronowi.

- Niekoniecznie. Jeśli pójdziemy do smoka i dzięki temu Trickleley ocaleje... Kto wie, może zostanę następnym burmistrzem? A ulubieńcem grodu to już na pewno.

Debren skłął się w duchu. Nie miał czasu roztrząsać motywów Pirra, ale jeśli już, nieodmiennie dochodził do wniosku, że tamten po prostu wysługuje się baronowi. Ambicji politycznych zupełnie nie brał pod uwagę.

Wszystko złożyło się nagle w logiczną konstrukcję. Na parę momentów. Bo potem konstrukcja zatrzęszczała.

- Ale jeśli zawrócimy - zmarszczył brwi - to nici z twego burmistrzowania.

- Nie powiem: wolałbym, by Amma poszła dalej - przyznał Pirr. Kręcił korbą bez widocznego wysiłku. - Ale z jej powrotu też wyciągnę korzyści. Raz, że baron mi zapłaci. Dwa, że po tej jatce - wskazał ruchem podbródka płonący odwach - Smih wyleci z fotela. Ostatecznie Boomhons głosi się obrońcą Trickleley, te dajki były stamtąd, a radny Hurhaker nawet ze stronnictwa burmistrza. Król będzie wściekły z powodu wybitej straży i ktoś za to zapłaci. Założę się, że burmistrz. Ja, który próbowałem po dobroci i rozumnie miasto ratować, mam spore szanse stać się jego następcą.

Debren pokręcił głową.

- Niech cię szlag, Pirr... To wszystko dla kariery? Posady? Tylu zabitych, tyle nieszczęść, a ty...?

- Co ja? W odróżnieniu od ciebie potrafię podać rozsądny powód. Ba, wzniosły nawet. Jak ci powiem, że młody burmistrz prędzej żonę znajdzie niż byle jurysta, choć obaj jednakowo garbaci, to się pewnie skrzywisz. Ale co mi tam twoje skrzywienia. Urodziwy wyrosłeś, więc nie musisz aż takich zabiegów czynić. Ja muszę. A nic nie poradzę, że mi tęskno do kobiety. I jeśli tak na to spojrzeć, to mam szlachetniejsze od twoich motywacje. Bo ja dla żony to robię. I dla kochania. A ty? Ani Ammy nie kochasz, ani się z nią nie chcesz żenić.

Debren, nie bardzo wiedząc, co robi, zablokował mechanizm spustowy, odczepił naciąg. Teraz należało rozejrzeć się za amunicją, ale żaden nie podszedł do włazu.

- Nie mówiłem... Ja po prostu...

- Pewnie: ty nic nie mówisz, nie obiecujesz. Jeno robisz dziewczynie nadzieję. No, idź. Pomów z nią. Cokolwiek zdecydujecie, ty i ona, nie ma sensu tracić czasu.



Wyruszali w dobrym momencie: chwilę wcześniej nadwerężone drzwi przegrały z racicami i gromada baranów wdarła się do kazamaty. Debren założył kaftan, leżący obok zwłok Holsego.

- Idę przodem - oznajmił Ammie. Ujął linę i ostrożnie zszedł w głąb studni. Rozszerzała się nad wodą, więc wylot korytarza pozostał niewidoczny aż do końca. Ale był tam: Pirr zostawił na dole płonące łuczywo.

Minął je, pograżył się w czarnej jak inkaust wodzie.

Była cieplejsza, niż przypuszczał. Cóż, zasługa stawu tuż obok.

Gdyby nie cembrowina napierająca zewsząd jak ściany grobowca, byłaby to nawet znośna kąpiel. No i gdyby nie obawa, że jakieś żyjące na dnie studni monstrum właśnie szykuje się do odgryzienia mu stopy. Zanurzył głowę tylko na parę momentów, ale i tak wydało mu się to najdłuższym w życiu nurkowaniem.

Zaraz potem na dół zeszła Amma. Kucnęła na krawędzi korytarza, ułożyła tam króciwę, sakiewkę z prochem oraz tabliczkę. Zastygła, widząc, jak Debren kręci głową.

- Zwęszą nas.

Sama wykąpała tabliczkę i króciwę. Sakiewkę podniosła, jednak na tym poprzestała. Popatrzyli sobie w oczy. Debrenowi przemknęło przez myśl, że inaczej wyobrażał sobie tę chwilę. Długie podchody, zbieranie na odwagę. A tu proszę: życie samo się upomniało. Może to i dobrze.

- Nawet jak cały nie zamoknie - powiedział cicho - to straci wiele mocy. Nie zabijesz smoka czymś takim.

Kiwnęła głową na znak, że podziela jego pogląd. A potem zsunęła się do wody. Wraz z sakiewką.

Długo nie wypływała. Pomyślał nawet, że może wybrała studzienną wodę zamiast smoczycich kłów. Czy może po prostu - odechciało jej się żyć?

Odłożył tę kwestię. Pomógł jej wyjść z wody, podniósł łuczywo i ruszył w głąb podziemi.

Korytarz schodził stromo w dół, po czym skręcał. Murowane ściany kończyły się wraz z fundamentami wieży. Dalej była tylko kamienista ziemia lub worki, wzmacniające miejsca, gdzie zabrakło kamieni. Gdzieniegdzie zastosowano drewniane ramy. Całość nie budziła zaufania, ale trzymała się nieźle. Aż do miejsca zawалу.

Łuczywo dawało niewiele blasku, więc Debren nie mógł się przyjrzeć - lecz wyglądało na to, że ściany runęły nie tak dawno.

Inna sprawa, że Pirr, próbując badać i poszerzać pozostały po katastrofie otwór, zrył całe osuwisko.

Nieważne. Liczył się ciasny prześwit.

- Ja pójdę. Jakby co, pchaj moje nogi. Albo ciągnij.

Zawał miał kilka łokci grubości, ale gdy Debren wlaźł w dziurę cały, okazało się, że nie jest źle. Największa zawalidroga, belka leżąca zaraz na początku, nieoczekiwanie gładko wypadła spod zwałów ziemi, gdy tylko odepchnął się nogą. Od razu zrobiło się luźniej. A dalej było jeszcze szerzej. Nie aż tak, by mógł wygodnie pełznąć - napierająca na jego stopy Amma bardzo mu pomogła - ale poradziłby sobie także sam. Co oznaczało, że Pirra dałoby się tędy przeciągnąć. Na siłę, podrapanego - ale by się dało.

Cóż - strach ma wielkie oczy. Jurysta zawędrował tu sam; nie mógł liczyć, że ktoś mu pomoże, gdyby utknął. Im poszło łatwo, bo byli we dwoje, szorowali o ziemię brzuchem i bokami, ale nie garbem, zaś przez większą część drogi Debren był pchany, a Amma ciągnięta za rękę.

Nieważne. Grunt, że nic się nie zawaliło, a od samego przeciskania się dziura zrobiła się szersza. Co znaczyło, że Pirr zdoła ją poszerzyć jeszcze bardziej.

Debren chciał ruszać, ledwie dziewczyna znalazła się po jego stronie zawaliska. Złapała go, wyjęła rylec.

„Pirr tesz sie zmieści. Wruce po niego i zawołam.”

Czyli widzieli to podobnie. To znaczy: kwestię dziury. Bo co do reszty już się różnili.

- My idziemy - pokręcił głową. - On zostaje.

„Zabijom go.”

- Załogi takich wież miesiącami się bronią.

„Ale jeden ranny? Dźwi wybite. Potpalajom. Nie morzemy go zostawić. Nie rozumiesz? On sie poświęca!”

- Ucieknie, jak tylko zrobi się gorąco.

„Gdy sie wierza zapali? I co, bendzie kopał? Zanim poszerzy dzióre, żar go zabije. Albo dym.”

O tym nie pomyślał. Jeśli przykryć nieduży loch wielkim, płonącym stosem... Żar i dym idą w górę, nie dotrą aż do zawału - ale czy nie wykradną Pirrowi powietrza? A waląca się wieża? Może uszkodzić tunel!

Nie, dość. To dopiero potem, na koniec długiego pożaru. A Pirr nie jest tak głupi, by czekać do końca.

- Amma... przecież słyszałaś. Bał się z nami iść. Z jego nogą... Pewnie nawet się ucieszył, że ta dziura taka ciasna. Los zdecydował za niego.

Przyglądała mu się, marszcząc czoło.

„Los?” - Z miny Debrena poznała, że nie rozumie. - *„Ta belka dziwnie lerzała.”*

- Czemu by miał...? - Sam zgadł, gdy tylko postawił pytanie. - Żeby zostać? Ale... po co?

Też nie wiedziała. Jeśli mieli rację, Pirr albo unikał większego niebezpieczeństwa, albo na odwrót - właśnie to większe świadomie na siebie brał.

Tchórz czy bohater? Zagadka nie do rozwikłania.

- Tak czy siak, chce tu zostać - podsumował. - A nam kazał iść. Więc chodźmy. Bo czas tracimy.

Wątpliwości pomogły: Amma złożyła tabliczkę i ruszyła za nim.

Sto kroków dalej korytarz się skończył. Wyglądało na to, że po prostu ślepa ścianą i przez chwilę Debren miał serce w gardle. Potem dostrzegł końcówki korzeni, sterczące z worków. Nie rzucały się w oczy, bo worki, w odróżnieniu od poprzednich, zaopatrzone w pętle, też zwisające ze ściany, a dużo od korzonków grubsze.

Do reszty uspokoił go widok przerdzewiałej motyki, niedbale

rzucanej w kąt.

- Zasyпали - wyjaśnił Ammie. - Z wierzchu pewnie trawa rośnie, może krzaki. Trzeba chwilę kopać, ale za to nikt przypadkiem wejścia nie odkryje.

Szarpnął za jedną z pętli. Wyrwał kawał worka i tyle, ale potem, gdy pierwszą porcję ziemi wydłubał motyką, niektóre worki dawały się wyciągać w całości. Robota szła więc sprawnie i gdyby na zawalonym wejściu nie wyrósł jakiś krzew, przebiliby się w szóstnicę, góra kwadrans. Korzenie ich spowolniły, zwłaszcza że im bliżej byli powierzchni, tym bardziej Debren uważał, by nie hałasować. Głupio by było wystawić głowę wprost pod pałkę wozobroncy.

Na szczęście było tak, jak przypuszczali: wylot tunelu ukryto na przeciwległym zboczu jednego ze wzniesień otaczających polanę. Już za plecami ewentualnych czujek oblegających. Oczywiście bezpieczniej byłoby pociągnąć korytarz jeszcze dalej, ale oznaczało to większe koszty i też niczego nie gwarantowało: gdyby oblegający mieli rozkładać się obozem, to właśnie trochę dalej.

Debren zgasił łuczywo, przebił się przez warstwę mchu i przez chwilę nasłuchiwał. Nic, cisza.

Wyczołgał się, zabierając motykę. Marna broń, ale lepsza od żadnej. A okazało się, że broń może być potrzebna. Odeszli pół setki kroków, gdy nagle coś zaszeleściło w zaroślach. Zajaśniała owcza wełna, a w chwilę potem rozległo się żalosne meczenie.

- Dżuma i syfilis! - Debren padł na kolana, złapał owieczkę za pysk, uciszył. Ale zło już się dokonało. Zza drzew dobiegło pytająco-ostrzegawcze, dużo bardziej dorosłe: „Beee?”

- Amma, biegiem! Weź motykę!

Nie był pewien, czy mądrze robi. Jagnięca skarga mogła nie obchodzić tryka mutanta, a cóż dopiero zbirów Boomhonsa. Za to

hałas wywołany biegiem przez gęstwinę ludzi zainteresuje na pewno. Z drugiej jednak strony, jeśli usłyszą i zareagują tylko zwierzęta, lepiej, by dopadły uciekinierów daleko od polany. Większa szansa, że wozobroncy niczego nie zauważą i nie dołączą do pościgu.

Pobiegli zatem. Amma z motyką, Debren - dźwigając i kneblując dłonią wrywające się jagnię. Nie od razu spostrzegł, że holuje też uczepioną do owcy sznurkiem młodziutką i chudą jak patyk pastereczkę.

Trudno. Nie było czasu, by coś z tym zrobić. Mając czas, też by tego nie zrobił - nie mógł ot tak, wyrwać dziewczynie z ręki sznurek, obalić i porzucić na pastwę nieobliczalnych bestii. Choć powinien był. Opóźniała ich.

Noc była pogodna, przyświecał księżyc, więc co nieco widzieli. Mogli biec, nie objając się o drzewa.

Dwa stajania od polany dogonił ich pierwszy baran. Pędził przez las równoległe do nich i przez moment Debrenowi zaświtała nadzieja, że ich nie zauważy. Ale ledwie to pomyślał, zaczepił ramieniem o krzak. Na moment wypuścił jagnięcy pyszczek. Malec skorzystał z okazji, poskarżył się żalonym meczaniem.

Baran usłyszał - i skręcił w ich stronę.

- Amma, motyka! - krzyknął Debren. Cisnął jagnięciem w bok, złapał rzuconą mu broń, skoczył między dziewczynę a tryka. Potem podbiegł parę kroków dalej. Bo dziewczyny były dwie.

Najpierw myślał, że to właśnie nadmiar potencjalnych ofiar zdezorientował barana. Ale nie, bo tryk...

Tryk w ogóle na niego nie patrzył. Jego uwagę przyciągało jagnię i tylko jagnię.

Debren zastygł z uniesioną bronią. Gównianą po prawdzie: motyka była za lekka, tępą od rdzy. A baran z tych dużych,

ważących prawie tyle, co dorosły mężczyzna. Gęsta wełna ochroni go przed ciosem jak przeszywanica knechta, a ułamane w szpic rogi gładko wejdą w ludzki brzuch. No i zęby. Też spiczaste, wilcze.

Wygra tę walkę. Jeśli tylko zaatakuje - wygra.

- Odejdźcie - rzucił Debren półgłosem. - Powolutku.

Starał się nie poruszać, więc nie bardzo widział, co robią dziewczyny. Ale wyczuł, że nic. Tak jak on, stały i czekały. Dżuma i syfilis.

- Cofajcie się - spróbował jeszcze raz. - Ostrożnie.

Jeśli baran skoczy w pościg, będzie okazja go zdzielić, a potem runąć z góry i obalić. Może w zapasach jakoś... Miał kozik. Jeśli zdoła rozłożyć ostrze... Tylko ten drugi baran... O Machrusie... i jeszcze trzeci?!

Mało go pocieszyło, że trzeci okazał się owcą. Bo właśnie ona pobiegła dalej, zamiast, jak samce, zatrzymywać się i węszyć nieufnie. Nie zdzielił jej w łeb tylko dlatego, że baran z czarnym zadem był za blisko i to na niego należało zaoszczędzić ten pierwszy i jedyne porządny cios.

- Gdzieście wtedy były, owieczki? - Usłyszał pełen skargi, ale też jakby senny głos pasterki. - Czemuście wtedy nie pomogły? Tak krzyczeli, a wy nic. Głupie owce.

Owca, ignorując pretensje, podbiegła do jagnięcia, obwąchała. Debren stał z uniesioną motyką. Czekał. Barany też czekały. Lekki podmuch niósł w ich stronę zapach studziennej wody, ziemi i strachu. Po kąpieli Debrena i Ammy niczym innym nie było chyba mocno czuć. Ale już pasterka... Jeśli mutanty reagują na zapach człowieka...

Nie reagowały. Bo choć Amma poruszała się, prowokowała je, bezmyślnie skrobiąc coś w glinie, choć wyciągała tabliczkę ku Debrenowi, a więc i zwierzętom - nie uznały tego za wyzwanie i nie

zaatakowały.

Zamiast tego odeszły. Ot tak, po prostu.



Z pasterką nie szło się dogadać. Dopiero klepsydrę po tym, jak Debren dał sobie ostatecznie spokój z bezskutecznymi próbami, wymamrotała znienacka: „Burona” - dzięki czemu dowiedział się, jak jej na imię. Ale potem znów zamilkła i po prostu szła za nimi, nie reagując ani na jego pytania, ani na przyjazne gesty Ammy.

Cóż, dobre i to. Nie hałasowała przynajmniej.

Nie szukał drogi. Pamiętał rady Pirra, by właśnie jej się trzymać - ale nie zamierzał ich słuchać. Po pierwsze: nie miał pewności, czy tamten po prostu nie chce go zniechęcić. Po drugie: skąd Pirr wie, na ile groźnie jest w sąsiedztwie smoczej pieczary? Z plotek? Plotka wyolbrzymia realne zagrożenie. I po trzecie, najważniejsze: głównym zagrożeniem był Boomhons, a on będzie szukał zbiegów właśnie na drodze.

Szli zatem lasem. Przedzierali się przez puszcę na wschód, w głąb rezerwatu. Teren był podły, pełen jarów, pagórków i wiatrołomów, gdzie wielkie, obumarłe ze starości drzewa padały i tworzyły istne zasieki. Ogromne bogactwo dobrego drewna, którego nikt nie próbował zbierać. Wypisz, wymaluj: wyższe partie Biesich Czadów, tyle że bez górskich szczytów i zarośniętych pogorzeliisk z czasów Wojny Globalnej oraz starć z pokresiacką partyzantką. Na szczęście to był Anvash, więc szansa, że coś paskudnego wyskoczy nagle z zarośli, była nieporównanie mniejsza. Debren pocieszał się też statystyką zasłyszaną od Pirra wcześniej, nim zaczął go straszyć: że tam, gdzie poluje smok, przestają polować inni drapieżcy. Nabrzmiały w Biesich Czadach problem zbiorowych

mógł czy nieuprzątniętych pobojuwisk też raczej nie dotyczył okolicy. Smok ofiary zjada do końca, a wiadomo: gdy znika szkielet, znika ryzyko powrotu nieumarłych.

Teoretycznie nie było się zatem czego bać. A jednak nie potrafił uwolnić się od przeświadczenia, że coś obserwuje ich z ciemności. Coś groźniejszego od szajki Boomhonsa. Racjonalna część jego umysłu protestowała, ale racjonalizm, nawet uczonego maga, schodzi na drugi plan. Górę biorą odruchy.

I właśnie przez nerwowy odruch wpakował się w kolejne kłopoty. Bo mógł ich uniknąć. Gdyby tylko odczekał moment czy dwa, najpierw pomyślał lub choć dobrze popatrzył. Niestety, zareagował jak żółtodziób.

Kiedy Amma zacharczała zniecka, a zaraz potem zaczęła sunąć w górę, między skrzypiące i szeleszczące gałęzie, po prostu rąbnął z różdżki w drzewo tym, co miał najmocniejszego: rozbrygową kulą ognia.

Jedno, co dobre - podziałało natychmiast. Kilka łasztów dębowej korony straciło połowę liści i drobnych gałęzi, trzy konary runęły w dół, płonąca gałęźnica, skrzecząc przeraźliwie, pognąła na czubek drzewa w beznadziejnej ucieczce przed trawiącym ją ogniem. Dwie inne, też płonące, lecz już martwe, pacnęły o ziemię obok niedoszłej ofiary. Ta, chwalić Boga, panicznie zdzierała z gardła bezwładne już, lecz zapętlone macki - co znaczyło, że nagłe podciągnięcie nie zerwało kręgów szyjnych. A mogło. Tego typu śmierć przytrafia się zwykle woźnicom lub jeźdźcom, spod których wóz lub koń odjeżdżają niczym stołek spod wieszanego skazańca. To dlatego gałęźnice preferują drogi, nie ścieżki. Pieszy ma większe szanse na stawianie oporu - no i dłuższe umieranie, jeśli opór nie pomoże - bo przeciętnie duża gałęźnica nie potrafi zafundować dorosłemu człowiekowi energicznego szarpnięcia. Ale na szyi Ammy splotły

swe macki aż dwie równocześnie i gdyby zgrały ruchy...

Tylko tym mógł się pocieszać. Że może zapobiegł nieszczęściu. Choć raczej nie: raz podniesioną ofiarą nie da się już porządnie potrząsnąć. Najgłupsze, że o tym wiedział, że znał starą zasadę: jeśli twój schwytyany towarzysz przeżył pierwszy atak i majta nogami, nie spiesz się, tylko patrz, myśl i dobrze celuj. Bo na dwóch ludzi żadna gałęźnica nie napadnie w pojedynkę. Ten z napadniętych, który uniknął pętli na gardle, musi uporać się z co najmniej dwójką biesów.

On niby uporał się z trójką. Ba, przeczesał wybuchem taki szmat dębowej korony, że nic więcej stamtąd nie wychynie. Ale cena była jednak za wysoka.

Całą jego moc diabli wzięli. Teraz mógł tylko bezsilnie patrzeć, jak z sąsiedniego drzewa opada lśniaca macka, jak żywa pętla zamyka się z lepkiem młaśnięciem na gardle Burony i jak pasterka zaczyna wędrować do góry.

Potem nawet patrzeć nie mógł. Raz, że zwałił się na niego odłamany eksplozją konar, przewrócił, wychłostał drobniejszymi witkami i oślepił, a dwa, że od nadmiaru użytej mocy magiczny płomień niemal natychmiast zgasł, stłamszony magicznym podmuchem. Coś tam się tliło, a na ziemi wesoło płonęły tłuste trupy biesów, kiedy jednak Debren wygramolił się spod gałęzi i spojrział w górę, wypatrzył głęboką czerń zamiast napastnika.

- Amma! Łap ją! - krzyknął i na chybił trafił posłał żalostną parodię błyskawicy. Od razu zresztą puścił różdżkę, padł na kolana i zaczął macać, szukając motyki pod płataniną gałęzi.

Bies nie był silny albo może trafił mu się niedogodny układ konarów - w każdym razie miotające się rozpaczliwie, boscie nogi pasterki oddalały się od ziemi względnie wolno. Sam zdążyłby je złapać. Tylko co dalej? Nawet starą i niedołączną gałęźnicę ciężko

ściągnąć z drzewa; biesy potrafiły się go trzymać nie tylko piątką pozostałych macek, lecz także plackowatym korpusem. Przeciąganie się, choćby ze szczeniciem, skończyłoby się uduszeniem Burony, względnie zerwaniem jej kręgów szyjnych.

Ale chwycić unoszoną ofiarę oczywiście należało. Im wyżej umknie z nią napastnik, tym mniejsza szansa na odwrócenie katastrofy. Jeśli zdąży sięgnąć potwora ostrzem motyki...

Miał szansę: Amma dopadła pasterki, opasała oburącz jej łydki. Gdyby tylko w porę wygrzebał motykę...

Spóźnił się. Nim podbiegł z bronią, potwór opuścił się niżej i zniecka smagnął Ammę jedną z wolnych macek. Podziałało: instynktownie odskoczyła. Szybko pokonała odrazę, ponownie łapiąc nogi Burony, lecz teraz sięgnęła już tylko kostek. A i to rękoma uniesionymi nad głowę.

Debren musiał podskakiwać. Jeszcze się dało. Gdyby od razu dojrzał do męskiej decyzji, ocaliłby Buronę. Ale niełatwo walić żelastwem w kobiecą szyję.

Potem do niego dotarło, że dziewczyna tak czy siak umrze - tyle że przegapił okazję. Potwór wpełzł po wygiętej gałęzi o stopę wyżej i nawet podskakując z całych sił, Debren nie potrafił dosięgnąć motyką morderczej pętli. Mógł tylko bezradnie patrzeć, jak Amma staje na palcach, a potem, świadoma krzywd wyrządzanych dodatkowym obciążeniem, zwalnia uchwyt.

Gałęzią i tymi na niej podrzuciło o następną stopę. Burona zamachała nogami, chwytem rąk za mackę-linę próbowała ulżyć gardłu. Gałęźnica, mimo pięciu innych macek w odwodzie, nie próbowała przeszkadzać. Debren pomyślał, że jeszcze nie wszystko stracone.

- Łap! - wcisnął Ammie motykę. - Podsadzę cię!

Złożył ręce w strzemię. Ale uniesiona dwa łokcie nad ziemię,

napierająca mu udami na głowę Amma padła chyba ofiarą tej samej co on niemożności: zdzielenia żelazem kobiecej szyi. Miotająca się Burona do reszty utrudniła sprawę. Z przodu żywa pętla, osłonięta ramionami ofiary, zrobiła się zresztą niedostępna. Amma, nim cokolwiek działała, oberwała piętą ratowanej. Oboje razem z Debrenem zwalili się na ziemię.

Zanim się pozbierali, gałęźnica była pół sążnia wyżej. A zaraz potem sążeń. Na tyle daleko, że nie widzieli już ani kawałka biesa. Tylko po szarpaninie dziewczęcych nóg, też zresztą stopniowo niknących w mroku, Debren mógł się domyślić posunięć pająkkształtnego zabójcy.

Potwór wlaził na drzewo.

Nim dotrze do połowy pnia, Burona będzie martwa.

I nic się nie dało zrobić. Debren odszukał upuszczoną różdżkę, nie próbował jednak czarować. Jeszcze nie teraz. Tylko trochę, przy oczach, by cokolwiek widzieć. Musiał odczekać, uciuć trochę mocy, no i w końcu pomyśleć. Spieprzył wszystko wprost tragicznie, ale właśnie dlatego nie może powtórzyć błędu i najpierw czarować, a dopiero potem się zastanawiać.

Niczego nie wymyślił. Chyba się po prostu nie dało, ale nie zdążył dojść do tego gorzkiego wniosku.

Zaszeleściły krzaki, jakiś cień zamajaczył między nimi, w górze syknęły smagnięte czymś bardzo szybkim liście, twardy przedmiot mocno, głośno zderzył się z drewnem. Chwila przerwy - i znów to samo. Tym razem pacnęło, zamiast zadudnić, chyba o coś miękkiego, ale tego Debren nie był pewien, bo bolesny skrzek gałęźnicy zagłuszył wszystko inne. Łącznie z odgłosami, jakie wydaje dziewczęce ciało, przebijające się z góry na dół przez koronę drzewa. A potem walące ciężko o ziemię.



- Nie masz sakwy?

Przy sobie Pirr jej nie miał. Poza tymi, którymi miotał, zostały mu tylko dwa kamienie. Debren zwrócił na to uwagę, bo wyrzuty sumienia, które nim targały, obracały się głównie wokół bezmyślnego szafowania amunicją. Magiczną wprawdzie, ale jakaż to różnica?

Omalaż nie zabił dziewczyn. Oba. Z Ammą po prostu mu się udało. Gdyby nie Pirr, patrzyłby teraz, jak kobiety, którymi miał się opiekować, zwisają martwe z gałęzi.

- Sakwa? - zdziwił się Pirr. - Omalaż was biesy nie wytlukły, a ty mnie o księgi pytasz? Zmiana tematu na mniej niezręczny, tak? Drogą miałeś iść!

- Nic, nic, nieważne - wymamrotał. Nie miał siły tłumaczyć, że nie chodzi o tę z księgami, tylko z amunicją. Usiadł. W końcu dopadł go wstrząs pozakłębny. I tak dobrze, że teraz. Mógł od razu po rozwaleniu tego nieszczęsnego dębu. Drzewo, okazuje się, straciło nie tylko trzy konary, które pospadały, cudem nie łamiąc nikomu kości. Główny pień też ucierpiał: rozłupało go kilkadziesiąt stóp nad ziemią. Nie runął jedynie dlatego, że puszcza była stara i korony drzew splotły się w jedną wielką sieć.

Pięknie. Gdyby ktoś z Akademii widział ten, pożałuj Boże, pokaz magii... Byłyżak Debren z Dumayki dostałby klepsydrę na spakowanie się i opuszczenie murów uczelni. Bo Akademia to nie byle uniwersytet, gdzie uczą regulek, a w najlepszym razie myślenia. Czarodziej mocą umysłu potrafi zdziałać zbyt wiele, by dopuszczać do tego fachu panikarzy, pochopnie miotających zaklęcia. Znasz regułki i umiesz logicznie myśleć? Mało! Musisz jeszcze nad owym myśleniem panować. Zawsze i wszędzie.

Mdliło go, był kiepski, nie nadawał się na czarodzieja, nie potrafił obronić kobiety i właśnie sam sobie udowodnił ostatecznie, jakim żalonym jest smarkaczem.

- Przesadziłeś z magią? - pokiwał głową Pirr. - Myślałeś, że to smok? Ale one nie czają się na drzewach.

Debren miał za dużo dumy i za mało siły, by mówić, że tyle to wie. Dźwignął się i podszedł do dziewczyn. Na szczęście obie klęczały. To dobrze. Ktoś, kto połamał kości, raczej by leżał. Dookoła płonęły odłamki gałęzi i trupy biesów, więc widział bladą twarz pasterki.

- Nic ci nie jest? - zapytał. Żadnej odpowiedzi. Tylko Amma podniosła głowę, pokręciła nią lekko.

- A co do sakwy - Pirr podszedł bliżej - to została... no, z wierzchowcem. Chyba po niego pójde.

Debren nie miał pewności, czy to on najpierw umilkł, czy Burona weszła mu w słowo.

- Spóźniak - wychrypiała, uśmiechając się ni to smutnie, ni głupio do garbatego mężczyzny. - Znow się spóźnia. - Przez chudą twarz przebiegł bolesny grymas, oczy pociemniały. - Tyle krwi... Nie przyleciał na czas. Pozabijali wszystkich. Tyle krwi. I owce uciekły.

Amma, zza jej pleców, pokazywała juryście, że z głową dziewczyny nie wszystko jest jak trzeba. W sumie sam powinien odgadnąć: nieruchoma twarz pod skołtunioną szopą włosów; puste, mętne oczy... Pirr nie powinien więc wyglądać na poruszonego.

A wyglądał.

- Co ona tu...? Skąd...? - Wpatrywał się w dziewczynę wzrokiem, o którym Debren potrafił powiedzieć tylko jedno: że radosny nie jest.

- To ta pasterka od owiec Boomhonsa. Nie pamiętasz?

- Nie widziałem jej - mruknął Pirr. Debren odtworzył w pamięci scenę przy szlabanie. Burona trzymała się za wozami; faktycznie, mógł jej nie dostrzec.

- Mutanty nas goniły... no i pobięła za nami.

- A ty oczywiście musiałeś ją zabierać?

- A co miałem zrobić? Odgonić?

Przynajmniej wzrokiem Pirr go nie gromił: jego uwagę pochłaniała dziewczyna o pustej twarzy. Burona siedziała jednak, macała obolałą szyję i nie odwzajemniała spojrzenia, więc po paru momentach prawnik raczył przenieść gniewny wzrok na Debrena i odpowiedzieć:

- Trzeba było. Jej by mutanty nie ruszyły. Całe życie przy owcach; takich nawet one raczej nie...

„Rze owce pasie to od razu wieśniaczka?” - zaprotestowała Amma. - *„Tesz sie chciałam najonć. Dziewkom wypaśnym dobrze płacom. I karmiom. I dah nad głowom.”*

- Może jest z grodu - gładko spasował Pirr. - Ważne, że niespełna rozumu. Czyli, tak jak córka hodowcy, która od małego żyła z owcami, nie boi się ich. A zwierzęta wyczuwają lęk. I właśnie złąknionych atakują.

Debren miał ochotę powiedzieć, że dotyczy to normalnych zwierząt. Ale nie podjął dyskusji. Zabierając Buronę, popełnił błąd. Kolejny z serii.

- Dobrze, żeś się zjawił. W samą porę.

Próbował dziękować - i też nie wyszło. Tamten jakby się skulił w sobie.

- Szczęśliwy traf - powiedział szybko. - To znaczy... no, szukałem was. Wyczułem, że nie usłuchasz i poleziesz lasem. Ale że znalazłem w takiej chwili... Traf.

„Zabłondziliśmy?” - Popatrzyli zdziwieni na Ammę. Dopisała: - *„Dogoniłeś nas, choć rześ kulawy. Pewnie w kulko hodzimy, co?”*

Pirr zawahał się z odpowiedzią. Niby nic dziwnego: noc, bezdroże, środek dzikiej puszczy. Ale Debrena naszło

przeświadczenie, że to nie dlatego.

- Teraz prawie dobrze idziecie. Choć nie drogą. Dlatego na was trafiliśmy.

- Ty i koń? - upewnił się Debren.

- Jechałem wierzchem. Dlatego was dogoniłem. Ale też trochę - uśmiechnął się z zakłopotaniem Pirr - dzięki alchemicznemu wspomaganiamu.

- He?

- Eliksir. Dla konia. Sił dodaje, choć przy okazji oszołamia. Koń, podejrzewam, niewiele z cwału pamięta. A człowiek... Cóż, jest okazja sprawdzić.

Brzmiało to mętnie, ale Debren ani o nic nie pytał, ani nie próbował iść za nim w zarośla. I dobrze zrobił: kawał drogi sobie oszczędził. Przestał słyszeć potrzaskiwania łamanych gałązek, potem długo nie słyszał niczego, a potem, znów długo, narastały odgłosy powrotu. Zdążył znaleźć odpowiedni, suchy konar, sporządzić namiastkę pochodni i przypalić ją od martwej gałęźnicy,

Ale nie czas go zastanowił, a dźwięki. Nie brzmiało to jak prowadzony przez gęstą puszcę koń. Choć owszem, wierzchowca słyszeć było z większej odległości niż pana. Lecz nie dlatego, że był wielki i czworonożny. Po prostu zataczał się jak pijany, co rusz wpadając na przeszkody. Miał dwie nogi, dwie ręce i zdecydowanie był człowiekiem.

Kiedy weszli w krąg światła, Debren go rozpoznał. Puchacz. Bez broni, za to objuczony sakwami Debrena i Purchawca. Chyba bolała go głowa, bo ścisnął ją oburącz. Albo tego pochłał, albo tego oberwał.

- Konia się nie dało - wyjaśnił Pirr. - Więc wziąłem wartownika. - Doszukał się niezrozumienia we wzroku Debrena. - Nogę mi przestrzelił, to niech dźwiga za karę.

- On? Ciebie? - Pewnie to garb i luźne szaty dawały takie złudzenie, ale, w ocenie Debrena, prawnik ważył może i dwakroć tyle co chudy wozobrońca.

- A co, myślałeś, że ja jego?

- No nie... Ale... Klepsydrę już idziemy. Pewnie ze cztery mile odeszliśmy. A wyście później ruszyli...

- Cuda współczesnej alchemii. I sam mówisz: później ruszyliśmy. Więc się Puchacz mniej zmęczył. Logiczne.

- Ale... - Debrena zatkała tego typu logika.

- To proste - wyjaśnił Pirr. - Polazłeś przez najgorsze wertepy. My szczęśliwie trafiliśmy na ścieżkę.

- Ścieżkę? - zdziwił się Puchacz. Żeby nim nie kołysało, wsparł się plecami o drzewo. - O Machrusie, mój łeb... Musisz tak walić?

- Bałem się, że krzyku narobisz i twoi się zbiegną.

- Teraz, mówię - stęknął wozobrońca. - Przed chwilą.

- Bredzi - wyjaśnił jurysta. - Dostał w łeb przy wieży, a potem eliksir. Może nawet nie pamięta, jak mnie tutaj niósł.

- Hę? - zdumiał się Puchacz. - Ja? Ciebie?

- O, sami widzicie. Luka w pamięci.

- Gdzie my jesteśmy? - Rozejrzał się. - Gdzie wieża?

„*Nic nie pamięta?*” - Amma zmierzyła garbusa podejrzliwym spojrzeniem.

- Elixir - wyjaśnił Pirr. - Nie patrz tak. Nie ten osławiony, do gwałcenia. Mój jest do konia.

- Elixir gwałtu? - zainteresował się Debren.

- Ja nic nie piłem! - zaprotestował wylupiastooki.

- Piłeś. I dlatego nie pamiętasz, żeś pił.

- Ktoś widział, jak go...? - Debren przypomniał sobie o rzeczach ważniejszych. - Nie gonią was?

- Nie - rzucił zdecydowanie Pirr. - Możecie...

- Na pewno gonią! - zaproponował Puchacz. I dodał z dumą: - Boomhons raz powiedział, że jest jego prawa ręka. Znaczący, konkretnie, to prawy półgłówek. Wiecie: od myślenia. Bo reszta to ćwoki. Silne, ale głupie pacholki.

- Kiedy znikną wartownicy - wyraził swoje wątpliwości Debren - poszukiwania się wszczynają.

- Właściwie to on nie stał na warcie. Wieżę ostrzeliwał. Z kuszy, bełtami zapalającymi.

- Tym gorzej. Warta stoi, inni śpią. Mogą nie wiedzieć, że wartownicy przepadli. Ale w walce...

- Z paru stron strzelali, w pojedynkę. Pewnie do tej pory nikt się nie zorientował.

- Boomhons tak - stęknął Puchacz. Głowa go bolała, lecz nie tylko dlatego stękał. - Zabij mnie. Widział, że cię nie zastrzeliłem i groził, że jak znów będę symulował uczciwą walkę... Na pewno od razu wypatrzył, że od mojej strony płonące bełty przestały nadlatywać. I teraz myśli, że zdezercerowałem. Będzie szukał.

- Łajno znajdzie - bagatelizował Purr. - Przez myśl mu nie przyjdzie, że akurat smokowi w paszczę polazł.

- Psy go powiodą.

Purr zaważał się, po czym oznajmił ponuro:

- Nie ma psów.

- Sam mówiłeś... - zaprotestował Debren.

- Jak: „Nie ma”? - obruszył się Puchacz. - Przed chwilą dwa wróciły! Znaczący... - pomacał głowę - od tamtej pory przed chwilą.

- Pobiegły za nami - mruknął Purr z posępną miną. - A ja je zabiłem.

Unikał wzroku Ammy. I słusznie. Patrzyła na niego jak na zwyrodniałego mordercę. Debrenowi też zrobiło się jakoś nieprzyjemnie. Owczarki conshońskie są duże, silne, odważne - ale

też poczciwe i wyjątkowo przyjazne ludziom.

No, ale fakt: Pirra jakoś nie lubiły. Więc łatwiej mu przyszło... Zaraz. Na pewno łatwiej?

- Zabiłeś dwa psy? - zmarszczył czoło. - Kamieniami?

- Nie żartuj. Miałem kilof. Ten z tunelu. Na końcu narzędzia leżały, nie pamiętasz? Motykę ty zabrałeś. A ja kilof. Nietrudno psa ubić, gdy się ma broń.

Debren zerknął na Ammę. Była jednak zbyt poruszona samą śmiercią, by roztrząsać sposób jej zadawania.

- Nie widziałem tam - bąknął - żadnego kilofa.

Pirr mierzył go przez chwilę mało serdecznym spojrzeniem. W Debrenie zdążyło narosnąć przeświadczenie, że oto znów popisał się jakąś bezmyślnością.

- Ciemno było. - Pirr odczekał parę momentów i już wyzbytym niechęci tonem oznajmił: - Potem kilof wyrzuciłem, bo ciężki. Ale swoje zrobił. Psy was nie zwęszają. Możecie śmiało wrócić na drogę. Tu, w gąszczu, widzieliście: biesów pełno. Bliżej pieczary smok celowo ich nie rusza, by go jak złe psy przed zamachowcami strzegły. I tak szczęście, żeście na bagna nie wleźli.

Kwestię trasy Debren zdążył przemyśleć.

- Dezertera może nie, ale nas właśnie na drodze będą szukać. Pewnie już szukają. Nikt nie broni wieży, więc wiedzą, że uciekliśmy.

- Niekoniecznie. A nawet jeśli... Puchacz strzelał od zachodu. On znika, my znikamy, więc co myśli Boomhons? Że jedno się z drugim wiąże. Czyli: zgarnęliśmy go, uciekając na zachód. Do ludzi. Tam nas będzie szukał.

- Wie, że szliśmy do smo... - Debren urwał. - Zachód? To jak go z tyłu zaszedłeś? Wyjście z tunelu jest od północy. A od zachodu łąka. I ani jednego krzaczka.

- Debren... - W głosie garbusa zadrżało coś pomiędzy złością, zniecierpliwieniem i... groźbą? - Przeżyjemy, to ci wszystko z detalami opowiem. Będiesz mógł się po oberżach chwalić wyprawą na smoka. Ale póki smok żywy, może lepiej sprawami ważnymi się zająć?

Święta racja. Debren skinął głową i miał szczerzy zamiar ruszać w drogę. Tym razem to nie on zawinił, że nie ruszyli. No - powiedzmy, że do pewnego stopnia nie on.

Bo kiedy Amma wyciągnęła rękę i pomogła wstać Buronie, postępujący Puchacz wydał dużo głośniejszy jęk.

- O nie! To ta pasterka? Rozum postradaliście?

Zaczął się cofać w krzaki.

- A ty dokąd? - Pirr złapał go za kołnierz.

- Z nią do smoka? Nie idę! Możesz mnie zabić, a nie...!

- Nie panikuj, was nikt do smoka nie ciągnie. Ni ciebie, ni jej. Obłąkana - wyjaśnił Debrenowi - i na pewno nie dziewica. Do niczego się nie przy...

Debren zasyczał ostrzegawczo.

„Czemu jom obrażasz?” - napisała gniewnie Amma. - *Rze biedna, to od razu pószczalska dajka?”*

- Nie powiedziałem... Nie o to mi...

„To czemu gadasz rze cnote postradała. Znasz jom?”

- Ja? Ją? Niby skąd? No, może gdzieś przypadkiem...

- Daj spokój, Amma - mruknął Debren. - Rozumu nie ma, więc nie upilnuje... I pewnie już ją ktoś... To dlatego ojciec ją oddał. Chłopi ochoczo wyzbywają się zhańbionych córek. A jeszcze obłąkanych...

- Sierotą jest - sprostował wozobronca. - Córką innego owczego farmera. Jej rodzinę wyrznął sławny zbój Purchawiec, zaś jego z kolei zaraz potem smok pożarł.

- Purchawiec? - ożywił się Debren. - Słyszałem o tym! Ale... nie

ustalono, kto właściwie owych zbójów...

- Smok - zapewnił Puchacz. - Gadaliśmy z sąsiadem zabitych. To on stado nam sprzedał i ją dodał. Przy okazji Boomhons o smoka go wypytał. Stąd wiem, jak było.

- I jak było? - zmrużył oczy Pirr.

- Korris mówił, że szeryf dokładnie zbadał sprawę - trwał przy swoim Debren. - Nie ustalili, co zaszło. Brak wiarygodnych świadectw.

- Szeryf przyjechał, popatrzył i pojechał - rzucił lekceważąco Puchacz. - A sąsiad sierotę przez rok na garnuszku trzymał. I to on trupy znalazł. Więc lepiej wie. Smok - wskazał oskarżycielsko dziewczynę - na pomoc jej przyleciał. Widać na nałożnicę ją sobie upatrzył.

- Tak wam powiedział sąsiad?

- Stado pasła od małości, a nigdy jej gad nie tknął. I owiec dużo mniej kradł.

- A kto miał większe stado? - zapytał jurysta.

- No... niby prawda: sąsiad - przyznał Puchacz. - Ale stado stadem, a sąsiadowi smok zżarł dwóch pastuchów!

- Pasterze - pouczył go Pirr - niekiedy strzelają. No a jak do smoka strzelają, smok zjada. Usiłowania zabójstwa nie można płazem puszczać. To demoralizuje.

- Po to chyba pastuch jest, by stada bronił?

- Tutejsi wiedzą: smok parę owiec zabierze, lecz do ruiny hodowcy nie doprowadzi. A ludzi pierwszy nie atakuje. Podejrzewam, że głupie pastuchy strzelały nocą, na słuch. Za dnia prędzej w portki by narobili.

Debren oczekiwał polemiki, lecz Puchacz, o dziwo, pokiwał obolałą głową.

- Ano fakt. Mały nie mały, zawsze to smok. A pasterze ponoć

okrutnie chlali. Macie rację: mądry smok dokucza hodowcom z umiarem. Ot, jak dziedzic pańszczyzną, a proboszcz dziesięciną. Da się żyć. Zwłaszcza w dziczy, skąd strach przed smokiem dziedziców i kościelnych przegna. Bywa, że takowy farmer ma nawet mniejsze koszty niż inny. Jeno o tym mało kto wie. Większość ludzi smok przeraża.

- Mały jest, powiadasz? - podchwycił Debren.

- Wzrostem? Jak konny rycerz.

- Tak mówi ów sąsiad? - upewnił się Pirr.

- On gada to, co każdy: że wielkości stodoły. - Puchacz usiadł na odłamany konarze. - Ale to bzdury.

- To skąd znasz rozmiary?

- Burona widziała też rycerza na pegazie. Nim smok przyleciał. Z lasu drogą wyjechał, popatrzył, co się w obejściu dzieje, i zawrócił. To daleko i pod słońce wtedy było, więc się pomyliła. Patrzył, ale smok. Widać skrzydła na chwilę rozłożył. Stąd ów niby pegaz. Smok, gdy się przodem ustawi i łeb nisko trzyma, może sylwetką rycerza przypominać. Zwłaszcza dziewczce, co to ją gwałcą i która rozpaczliwie wypatruje zbawcy.

- Daleko i pod słońce... - skrzywił się Pirr. - A świadek akurat gwałcony. No to mógł być jak stodoła. Ale też, równie dobrze, jak psia buda.

- Takich małych już w Anvashu nie ma. Kłusownicy wybili. A znów wielki by się na ścieżce nie zmieścił. A on ścieżką nadszedł.

- Myślałem - zdziwił się Debren - że latające smoki...

- Latają? Owszem. Tak jak koń biega. W potrzebie.

- No tak... Ale... szeryf znalazł pod lasem ślady podków. Nie mów, że smoki u was podkute chodzą.

- Smok to był. - Puchacz pozbył się toreb, demonstracyjnie kładąc je Pirrowi pod nogi. - Podkowy? Widać wcześniej ktoś przejechał.

Bo potem i siłą by konia nie przeciągnął. Smok naszczał mianowicie na przydrożne drzewa. Sąsiad z psem szedł i za cholerę go nie mógł zmusić... Stąd wie. Żaden zwierz przez tak oznakowany pas nie śmie przełazić. Gdyby któryś z Purchawcowych atak przeżył, konno w las by nie umknął. Musiałby łąkami, a tam by go latacz dopadł. Ten gad, powiadam wam, to doświadczony, srogi ludobójca. Ani myślę na niego chodzić z tą tutaj dziewczką.

- Właśnie z nią szedłeś - przypomniał prawnik.

- Niechętnie. I w silnej kompanii. A Boomhons obiecał, że ją zostawi, gdy bramę przejdziemy. Wziął ją, by o smoka wypytać. Oraz jako sierotę, chorą i nieletnią. A, i dziewicę. Młoda, to teoretycznie... Prawo stanowi - wyjaśnił - że gdy smok napastuje dziewice, starców, chorych i dzieci, to wolno ich bronić. Na to Boomhons liczył. Że w razie czego się wyłgamy. Z dajek Hurhakera niektóre pod starców podpadały, bo ulicznica po czterdziestce to istny wrak, chore to bez wyjątku, wiadomo, no ale za dziecko i od biedy dziewicę ona jedna mogła uchodzić. Tom za wiele nie protestował. Ale trochę tak.

- Co masz przeciw Buronie? - zapytał Debren.

- To, że smok już raz jej bronił.

- Uwierzyłeś w te bajania sąsiada? - zaśmiał się Pirr. - Że są kochankami? Ta chudzina i smok?

- Będziecie się jeszcze bardziej śmiać - uprzedził wyłupiastooki. - Ale wam powiem, że rasowy smok, z tych rozumnych, jest jak ludzki rycerz.

- Silny i groźny? - nie zrozumiał Debren.

- Bogaty i panny do niego lgną - zakpił Pirr.

- Honorowy i dumny - zignorował kpinę Puchacz. - Na rycerski sposób właśnie. Gdy ktoś chce się smoka pozbyć, wynajmuje błędnego rycerza. A wiecie, czemu?

„Bo prostak nie sprosta?”

- Bo rycerzowi smok pojedynku nie odmówi. Jak jeden szlachcic innemu. Hańbą by się okrył.

- U nas w Lelonii - oznajmił urażony Debren - także prosty lud niejednego smoka...

- Nie mówię, że rycerza potrzeba, by gadzinie sprostać. Mówię, że w pojedynkę szanse ma co najwyżej rycerz lub magik. I elficki snajper. No, może jeszcze wiedźmin. Ale oni na smoki nie chodzą. Podobnie jak elfy i czarodzieje. Pozostaje zatem rycerz.

- Nikt nie każe w pojedynkę...

- Pewnie: można wojsko posłać. Ale wtedy smok robi to samo, co dzielny rycerz na widok wojska: wymyka się obławie i podszczypuje wroga tam, gdzie wróg słabszy. I ani mu w głowie honorowa walka pyskiem w twarz. „Wy na mnie kupą, to ja was nocą, ogniem, z lotu koszącego, najlepiej śpiących.” Takowe jest smocze myślenie.

- Czas tracimy - zniecierpliwił się Pirr. - Debren, o, tam jest droga. Nie dalej niż...

- Nigdzie nie idę! - zaprotestował Puchacz.

- Spokojnie, ty odpoczywasz. Elikسير działa pulsacyjnie - wyjaśnił Debrenowi. - Koń ma na przemian przypływy i odpływy sił. Po to, by go przypadkiem nie zajeździć. My zatem tu zostaniemy, by Puchacz sił nabrał, a wy...

- Też nie idźcie - poradził wozobrońca. - Nie po próżnicy tyle gadam o smoczej rycerskości. Bo tak jak rycerz chłopów ciśnie daninami, ale w zamian chroni, tak rasowy smok staje niekiedy w obronie tych, którym owce podbiera. I po mojemu - wskazał Buronę - to właśnie jej przypadek. Na ambicję mu Purchawiec nadepnął, mordując i plugawiąc wasali. Stąd taka sroga pomsta.

- Eee - wzruszył garbem Pirr. - Zaraz tam pomsta... Normalnie: zabił i zjadł. Jak to smok. Pewnie z głodu.

- Z głodu smok paluchów nie odgryza i nie pluje nimi detalicznie w różne strony.

- Że jak? - uniósł brwi Debren.

- Czas tracimy - przypomniał Pirr. - Powinniście...

- Ano tak. Był w szajce Purchawca jeden, co go Utopiec wołali. Bo lubił ofiarę topić. I onże braciszka Burony w studnię wrzucił. Wiadomo to po guziku, który mały w dłoni ścisnął, a który z syreną był. Utopiec właśnie takie nosił. A znów na jednym z odgryzionych palców ten sąsiad znalazł pierścień Utopca, też z syreną. Widać nieboszczyk gustował w wodnych pannach. A smok nie gustował w dzieciobójcach.

- Palce jakieś znaleźli?

- Kto znalazł, ten znalazł... Sąsiad schował pierścień dla siebie. Więc paluchy zakopał, by szeryf nie pytał o brakującą biżuterię. Ale właśnie dlatego wie, co mówi. A mówi: palce obgryzione i wyplute. Przez smoka.

Pirr prychnął lekceważąco.

- Palce i ich ślady nie mają znaczenia w kryminalistyce. Co innego nogi: po odcisku ciżmy niejedno poznasz. Ale palce? No, chyba że kto w rękawicach zbrodni dokonywał. Typ rękawicy co nieco może drabowi podpowiedzieć. Goła ręka tropów nie podsunie. Sam Cherlak Shoms próbował raz w śledztwie wspomóc się odciskami palców zbrodniarza. Na pergaminie wyraźne zostały, krwią odbite. I nasz geniusz na genialny pomysł wpadł. Jak wiadomo, linie losu i charakter człowieka są na dłoni zapisane. Shoms założył, że bardzo dobry chiromanta mógłby spróbować ich przebieg ekstrapolować, mając wgląd na same tylko palce. A w tym wypadku ich odciski. Wówczas, mając los i charakter, można by spośród podejrzanych sprawcę dopasować. Cherlak wziął zatem najlepszego w świecie chiromantę i sam dedukował, ile wlezie. A też im nie wyszło. Ustalili

wprawdzie, że ze zbrodniarza jest pyszałek, złodziej, blagier i wiarołomca o umysłowości mało wybitnej, że dewot, pielgrzymujący, ile wlezie, że żonę zdradza, po pijanemu jeździ i z nadmierną szybkością, za wojną gardłuje, a nigdy w wojsku nie służył, bo platfusa symulował albo studia. Nic to jednak nie dało, bo rzecz, jak na złość, działa się pośród posłów do parlamentu. Więc nie mów, że ty potrafisz wywnioskować wiele z paru obgryzionych palców.

- Shoms nie jestem - przyznał Puchacz. - Ale na smokach się znam. Otóż gdy coś z nieba na sześciu zabijaków zlatuje, ściganych i w trakcie popełniania zbrodni, więc czujnych; gdy wybija ich do nogi, wyszarpując flaki, a na koniec dzieciobójcy kolejno odgryza palce...

- Skąd wiesz, że kolejno? - podchwycił Debren.

- Bo w stawach gryzł. Nie da się jednym chapnięciem.

- Eee, smoki tak nie robią - pokręcił głową Pirr.

- No to może demon - zakpił Puchacz. - Też ponoć lata i ogniem zijeje.

- O zianiu Korris nie mówił - bąknął Debren.

- Utopca poparzył ognistym oddechem. Na palcach zostały ślady. - Puchacz odczekał chwilę i oznajmił stanowczo: - To smok, jak amen w pacierzu. I nie zwykły, a ciężko urażony w dumę suwerena. A kto wie, może też w dumę kochanka. Smoki niby w ludzkich babach nie gustują, ale ostatecznie ten dziewicy żąda. Więc może coś jest na rzeczy w tych plotkach o nim i Buronie.

Pirr nie oponował. Amma też dała się przekonać. Debren jednak miał wątpliwości.

- Niby racja, ale coś mi nie pasuje. Owe flaki. Korris mówił, że po izbach flaki się walały.

- Sam widzisz! Tak to zwykle wygląda po smoczej bitce. Smok

rzadko gryzie. Oczy, gardło i wnętrze paszczy woli chronić. Nawet wielkiego można zabić, gdy tam się go celnie trafi. Na to liczą rycerze. Więc smok raczej ogonem wali, konkretnie takim kostnym żądłem, co się w języku fachowym pik nazywa, wiecie, od kształtu, podobnego do karcianej figury... no, albo pazurami właśnie. A jak pazur człeka sięgnie, flaki lecą. Pik, gdy podostrzony, też potrafi pięknie rozplątać. Tak, że akurat z flaków najłatwiej poznać, że to smoka robota.

- Po izbach - podkreślił Debren. - Rozumiecie?

Wyłupiaste oczy Puchacza rozszerzyły się jeszcze bardziej. Pirr swoje dla odmiany zmrużył. Jedna Amma nie złapała, w czym rzecz. Debrenowi zrobiło się przykro. To z nią wolałby rozumieć się w pół słowa. Ją chciałby podziwiać za lotny umysł.

- Konny do chałupy nie wjedzie - wyjaśnił. - Za duży. Więc i smok, choćby był ledwie tej wielkości... To jakim cudem flaki w izbach?

Prawnik potrzebował tylko paru momentów.

- Szyja - wyjaśnił. - Wzrost wzrostem, ale gdy z boku smoka oglądać, nijak się go do konia i rycerza nie da porównać. Dużo dłuższy jest. Pewnie samą szyję do domu wetknął. I masz odpowiedź. A teraz musicie już...

- Szyja? Wtedy zagryzłby tych od flaków, a nie wybebeszył. Łapą musiał, nie pyskiem. A łapy ma krótkie.

Popatrzyli po sobie niepewnie. Amma pierwsza zdobyła się na komentarz:

„To morze anioł? Ognisty miecz też by opażenia zostawił?”

- Anioł? - zdumiał się Puchacz.

- Mieliśmy do czynienia... no... z niezidentyfikowanym obiektem latającym - wyjaśnił Pirr. - Hmm... Kiedy się tak zastanowić... Może masz rację, Ammo. Ostatecznie kogo ma anioł stróż strzec, a anioł zemsty mścić, jeśli nie gwałcone pastereczki? Cynik ze mnie i

sceptyk, jeśli idzie o religię, ale ten przypadek istotnie wygląda na...

- Na anioła - przerwał mu wozobrońca - by dziewczka nie pyskowała, że się spóźnił. - Debren drgnął, inni znieruchomieli. - A tak! Żaliła się sąsiadowi. Że za późno spóźniak przyleciał. Tak o nim gada: spóźniak. Bo się zjawił, gdy już zbóje jej bliskich pomordowali. Nawet mu napyskowała. W hysterii niby, ale mi nie powiecie, że prosta, pobożna machrusanka ze wsi ma śmiałość aniołowi wytyki czynić. Co innego smokowi. Smoka znała, od lat jej owce podbierał. Swojak poniekąd. I pewnie w zamian ochronę obiecywał. A gdy przyszło co do czego, zawiódł.

Przez chwilę było cicho. Pirr ochłonął pierwszy.

- Nie słyszałem, by smoki wchodziły w takie układy.

- A kto by się chwalił, że kolaboruje z piekielną bestią? Kościół smoki hurtem wyklął. Zresztą to pojedyncze przypadki. A i te są zwykle takowe... no, niepisane. Nikt nikomu niczego wprost nie obiecuje; ot, subtelnie daje do zrozumienia. Zresztą jak by się mieli dogadać? Wszak każdy gad to niemiec, po ludzku nie umiejący gadać.

- To ma sens - mruknął Debren.

- Burana jest obłąkana, przypominam - rzucił chłodno Pirr. - Nie wnioskuje wiele z jej słów. A najwięcej sensu ma, byś wreszcie ruszył w drogę. Bo was Boomhons...

- Ciebie też spóźniakiem nazwała - wszedł mu w słowo Debren. Pirr spojrzał na niego spode łba.

- Debren, jak nie chcesz iść, mów to wprost. A nie jakimiś banialukami wymarsz odwlekaj. Zaraz jeszcze wydedukujesz, że to ja jestem ten smoczy anioł gargulec, który nic, jeno lata po okolicy i ratuje panny.

Debren poczerwieniał.

- Ja... O to mi tylko szło, że ona tak samo o tobie jak o tamtym... A

przecież nie sposób cię wziąć za smoka. Nie zjejesz ogniem, nie latasz... Nawet się nie biłeś. Jeno kamieniami rzucałeś. Dlatego się dziwię, że...

Puchacz zmarszczył brwi.

- Kamienie? Co za kamienie?

Debren popatrzył na niego zaskoczony. Potem zerknął na skarbczyk. No tak, zamknięty. To tłumaczyło pytanie wozobrońcy. Dźwigał, lecz nie wiedział, co.

- Chodź, Amma - zniecierpliwił się Pirr. - Teraz znów o kamieniarstwie zamierzają rozprawiać. Do świtu nie...

Ale dziewczyna, zamiast do niego, podeszła do drzewa. Schyliła się, podniosła coś, podała wozobrońcy.

W blasku pochodni zaśniła czarna gładź. Oczy Puchacza też zaśniły. Zagwizdał cicho.

- Tym rzucałeś? - Popatrzył na Pirra. - To już rozumiem, czemu się dziewczynie mylicie: ty i ten smok.

- Nie mylimy się! Ona jest obłąkana i... Czemu?

- Bo tak właśnie wyglądają smocze pociski.

- Smocze... co? Pociski? Smoki ogniem zieją. I parą wodną. No, sporadycznie kwasem plują. Ale kamienie? Nigdy, w żadnej księdze nie wyczytałem...

- A w ogóle czytaliście jakoweś? - zdziwił się, z domieszką szacunku, Puchacz. - No, no... Pogratulować. Wielka to dziś rzadkość. Ktoś biblioteki z nich oczyszcza.

- Jak to? - Zaintrygował Debrena. - Gdzie?

- Wszędzie. Niedługo w całym Viplanie będzie jak za Drewnianą Kurtyną. Cenzura na samo słowo: „Smok”.

- U nas nie ma żadnej cenzury! - oburzył się Debren. I, widząc parę rozbawionych spojrzeń, doprecyzował: - To znaczy... na smoki, miałem na myśli.

- Oficjalnie nie - zgodził się Puchacz. - U nas też nie ma. Ale spróbuj zdobyć wiarygodne źródło, traktujące w sposób poważny o smokach. Sam się przekonasz. Nowych nie wydają, a stare, niby dla ochrony zabytków, poznikały z księgozbiorów. Albo im karty wydarto. Albo, jeśli w klasztorze, przeor za cholerę nikomu nie pokazuje.

- Pierwsze słyszę - ironizował Pirr. - Światowy spis bibliofilów w temacie: „Smok”? Puchacz, czy ja ciebie za mocno nie stuknąłem? A może to ten eliksir?

- Nic w tym niezwykłego, jeśli pomyśleć. Bo cóż to jest smok? Dziś, w epoce niebywałego rozwoju cywilizacji?

- Ginący gatunek? - zapytał niepewnie Debren.

- To też. Alem miał na myśli: ważny element strategii supermocarstw. Nie słyszeliście, że się wyścig zbrojeń coraz bardziej w trzeci wymiar przenosi? I przyszła wojna ma być już powietrzno-lądowa?

- Od wieków taka jest. Gołębie pocztowe, sokoły zwiadowcze, czarodziejskie lewitowanie... Smoków też, choć sporadycznie, już w wojnach używano. Niby co się zmieniło?

- To chociażby. - Puchacz wskazał króćcę, osadzoną za paskiem Ammy. - Alchemikalia rozbuchowe.

- Proch? - zdziwił się Debren. - Co on ma do smoków?

- Ogólnie mówię. Co do prochu, fakt: to ślepy zaulek sztuki wojennej. Ale są lepsze środki powietrznego rażenia. Ogień illeński, gaz błotny, olej ziemny, kopalniak krasnoludzki... A zwłaszcza bumceryna. Ta ponoć pole walki zrewolucjonizuje, jeśli do poważnej wojny dojdzie. Ale mniejsza o alchemię. Niektórzy mówią, że nie ma to jak stary, dobry kamień, byle z dostatecznie wysoka zrzucony. W czasie Wojny Globalnej próbowali tresować smoki i używać do bombardowań, ale technikę mieli do rzyci i więcej to kosztowało,

niż dawało korzyści. Dziś jest inaczej. Kamień przechodzi renesans. Metody celowania wynaleźli takie, że smok na milę nad gród wzleci, stamtąd głaz spuści i raz na trzy razy trafi, gdzie trzeba. Wiesz, jakie to stwarza możliwości taktyczne? Most przeszkadza? Trach! I po moście. Brama do rozbicia? Po co maszyny ściągać, dni tracić albo i tygodnie? Nalot eskadry smoków... i po bramie. Wrogi wódz dowodzi zza pleców armii? Beczka tłuczni spuszczona na sztab... i armia zostaje bez dowództwa. A transport powietrzny? Odkąd krasnoludy wynalazły balon, coraz poważniej myśli się o jego militarnym wykorzystaniu. Kto zaś lepiej niż smok potrafi eskortować taki powietrzny statek? Ciągnąć pod wiatr? Albo wrogi atakować? A system wczesnego ostrzegania? Sokoła można puścić na zwiady, pewnie, ale z meldunkiem musi wrócić, to zaś trwa. Smokowi sadzasz na grzbiecie maga z kryształową kulą i meldunki masz w czasie rzeczywistym. No, ale najważniejsza oczywiście jest broń masowego rażenia. Do jej skutecznego użycia smoki są wręcz niezastąpione.

- Tyle to wiem - rzucił Debren z lekką urazą. - W kronikach można wyczytać.

- Tyle tak - zgodził się Puchacz. - Diabeł tkwi w szczegółach. Dlatego nikt dziś nie publikuje niczego na temat smoków. Sekretny, nieformalny zakaz. Bo byle drobiazg wróg mógłby potem wykorzystać do pokonania naszych smoków albo ulepszenia własnych.

„Ulepszenia?” - zdziwiła się Amma. Puchacz lekko się zmieszał. Ale odpowiedział.

- Jeno nikomu nie powtarzajcie... Nie wiem, jak inni, ale nasz król... no, kojarzy smoki w pary. Dla uzyskania lepszego potomstwa. O pożądanym cechach. Udźwig, zasięg, odporność na ostrzał i magię... Takie tam.

- No a kamień? - przypomniał sobie Debren. I wyjął bazaltowe jajo z ręki wozobrońcy. - Od niego zacząłeś.

- Boomhons, nim do sektora prywatnego poszedł, służył w armii. Nad Zatoką Pryszczatą, co to ją teraz politycznie poprawnie każą nazywać Olejową. Że niby nie ropa z ziemi Beżowików wypływa, jak z pryszczycy, a olej ziemny. Słowa „ropa” też nie wolno... no, nieważne... Nasz kontyngent wspierał zaprzyjaźnionego sułtana krainy Omak. To na południe od Wielkiej Beżowii. Sułtana chcieli obalić fundamentalni partyzanci temmozańscy. Używali latających dywanów, gdyż ich Kseran sponsorował, i dużo ptaków do łączności, bo telepatia i semafony to dla Beżowików zbyt wyrafinowane nowinki. Więc nasi posłali jednostkę przeciwlotniczą, no a z nią Boomhonsa. To wtedy zetknął się ze smoczymi kamieniami.

- Beżowicy mają smoki? - zmarszczył brwi Pirr.

- Na szczęście nie. Marnie by Wschód wyglądał, gdyby do swych zasobów rop... oleju ziemnego dodali jeszcze własne smoki. Ale wiecie: my tam Pazrelitów wspieramy, więc Sovrojcy, na złość, wspierają wielbłądziarzy. Sprzedają im broń i czasem testują w lokalnych wojenkach swoje nowe wynalazki, niby to pod temmozańskim sztandarem. To oni smoka przysłali. O ile to był smok.

- Hę? Jak to: o ile?

- Mały był, więc raczej smoczę. Choć to ciężko wyczuć, gdy o Sovro idzie. U nich przeważnie małe i nieogniste rosną, jako że klimat dla gadów niekorzystny. Więc może to dorosły, a tylko nieduży bombardował forty i karawany. Bo ogniem nie ział, jeno bombardował. Nocami. Przy pomocy takich jak ten kamieni. Stoi wartownik, w mroku wroga wypatruje i nagle łup! Kamień mu czaszkę rozbija. No, ludzi jeszcze szło jakoś chronić: daszki, ciężkie

naramienne hełmy... Ale jak karawanę na noclegu latacz dopadł... Połowę zwierząt potrafił wytłuc. Całe miesiące nasz kontyngent szarpał. Dwa wysunięte forty trzeba było ewakuować. Schwytani partyzanci bestii nie widzieli. O Sovrojce tylko opowiadali, smoczej treserce.

- Kobieta? - ożywił się Pirr. Zawahał się, ale zapytał: - Wiesz, jak wyglądała?

Zniósł dzielne trzy zdziwione spojrzenia. W końcu Puchacz odpowiedział:

- Jak to baba u temmozan: czarny worek ze szparą na oczy. Nie przymierzając... - zerknął na Ammę. - A co?

- Nic - mruknął jurysta. Milczał chwilę, po czym wyjaśnił: - Pomyślałem, że może... elfka.

Już tylko spojrzenie Puchacza wyrażało brak zrozumienia. Inni byli zaskoczeni - ale rozumieli. Choć Debren odniósł wrażenie, że tę elfkę Pirr wymyślił dopiero teraz, na odczepnego.

- E, nie - pokręcił głową wozobronca. - Baba jak rzepa. W barach to... - Rozłożył ręce. - Na narady do partyzantów przychodziła sama, bez opieki mężczyzny czy tego swojego smoka. Bo smoka nikomu nie chciała pokazać. A Beżowicy, wiadomo: babę bez chłopca obok biorą za nierządnicę i od razu próbują... Więc ich szejkowi rękę złamała, bo się dobierał. A ochronie, co skoczyła pomagać, dwie mordy obija. No, w każdym razie nie była z niej wiotka elficka piękność.

- A kamienie? - upomniał się Debren. - Czemu myślisz, że smok używał właśnie takich? Bo bazalt? I jajowate?

- Za głupiego mnie masz? Też mi argumenty... Otóż smoka w końcu stracili. Magią. Rozbuchnął się i...

- Co? - zdumiał się Pirr. - Jak? Smoki nie...

- E, to akurat nic wielkiego. Nasze smoki zwiadu strategicznego

też tak do lotu szykują. By w razie czego wróg jeńca nie wziął, sekcji zwłok nie mógł przeprowadzić i badań aparatury. Metody rozbuchu są różne: magia, gaz w zakorkowanych czasowo kiszka, bumceryna, czarny proch... No i ten sovrojski smok na strzępy się rozpadł. Pół mili nad fortem. Ale czaszki znaleźli spore kawałki. I się okazało, czym jest smoczy kamień.

- Amunicją - podsunął trochę niepewnie Debren.

- Ba, ale czemu taką? Zresztą teraz toś mądry. A tam eksperci miesiąc kombinowali, nim ustalili, co i jak.

- Albo - Pirr nie krył sceptycyzmu - tylko uznali, że ustalili. Skleciwszy średnio dziwaczną teorię.

- Teoria głupia nie jest. Mówi, że takie bryłki lawy, wcale nie obłe, jajowate, ale dowolne, byle nie za wielkie, smok opiekun daje do żucia młodemu.

- Kamień do żucia? - zaśmiał się Pirr. - Nawet krowy nie są tak durne, by skałę żuć. Eh, Puchacz, czy ty aby smoków nie obrażasz?

- Nie - odpowiedział z powagą wozobrońca. - Bo to ich mądrości dowodzi. W Sovro jest zimno, zatem smoki kwasodyszne występują częściej od pirozaurów. I mają podobny problem z kwasem, jak gryzonie z zębami. Potrzebują go dużo, bo tym dłużej smok pożyje, im większą porcją kwasu może na wroga strzyknąć. Ale gdy się kwas obficie wydziela, trzeba go jakoś spożytkować, tak jak zęby rosnące królikowi. Inaczej nadkwasota smokowi grozi. Gryzoń zatem gryzie, co popadnie, zaś smok żuje kamienie. Od tego mu się wewnątrz paszczy utwardza i hartuje, to jedna dodatkowa korzyść. Druga, że im więcej się żuje, tym więcej do gęby napływa, człękowi śliny, a smokowi kwasu, więc się organizm do zwiększonej produkcji wdraża. A trzecia, uboczna, że takie obracane w gębie bryły kamienia wygładzają się i nabierają jednakowego kształtu. Całkiem jak z koła tokarskiego zdjęte.

- Ale bzdury - pokręcił głową prawnik. - Widać, że słońce zdrowo łby ekspertów smażyło. Jak to w Beżowii.

- Jednakowego? - Debren słuchał zafascynowany. - To ma dla smoka jakieś znaczenie? Że jednakowy?

- Akurat takie, jak dla strzelającego wymiary pocisku. Daj parę różnych strzał choćby Bobinowi Czapie, a za cholere nie trafi w to samo miejsce. Bo grunt to powtarzalność amunicji. Pociski muszą być możliwie jednakowe, wtedy trening daje efekt.

- Jaki trening?! - zirytował się Pirr. - Smoki, jeśli trenują, to walkę wręcz i zianie! Nie żucie skał!

- **O**miotaniu mówię, nie żuciu. A co do bzdur: tak się składa, że kamienie idealnie pasowały do resztek podniebienia i ozora zestrzelonego smoka. Właśnie wąski ozór, obracający kamieniem w paszczy, powoduje owo wyżłobienie w środku. Inaczej smok nie umie, ale to dla niego nawet lepiej. Bo zdaniem Boomhonsa, bestie znalazły zastosowanie dla owego wcięcia. Chwył im mianowicie ułatwia.

- Jaki znów chwyt? Bredzisz, człowieku! Widziałeś kiedyś smoka? Dęba staje i czasem coś w pazury przednich nóg zdoła złapać, więc się je łapami nazywa, ale tak naprawdę to nogi, nie ręce! Za masywne, za krótkie, nie tam, gdzie trzeba, ulokowane, by nimi ciskać!

- Nic nie mówiłem o ciskaniu łapą - zdziwił się wozobronca. Pirr zamilkł, jakby speszony. - O chwytaniu mówię. Rozumiecie: zapasowej amunicji. - Rozcapierzył palce. - O, tak to robią. Po cztery kamienie w łapę, wciskane między palce, co w sumie daje szesnaście bomb. Siedemnastą smoczek może w pysk zabrać. Jest co na wroga spuszczać. A spuszcza właśnie lekkim spluwaniem.

Debren i Amma byli pod wrażeniem. Pirr krzywił się jak po nakarmieniu cytryną.

- Piękna teoria, żal, że gołosłowna. Kamień biedaczce do rozwalonego pyska upchnęli i to ma dowodzić...

Sam urwał. Debren dopiero unosił brwi. Pytanie zadał w chwilę później, już w ciszy:

- Biedaczce?

Przez następne trzy długie momenty garbus zastanawiał się nad odpowiedzią. Jak dla Debrena: dość długo.

- Smoczycy. Bo myślę... no, że samica to była. Opiekunkę jej dali,

nie opiekuna. Na pewno nie przypadkiem. W temmozańskim kraju, zauważcie, rzecz się działa. Tam się kobiety od mężczyzn możliwie ściśle izoluje.

„Z Sovro byli” - wyreczyła Debrena Amma.

- Wiem: równouprawnienie tam mają. Z bab oraczów robią. Ale po co sobie temmozan zrażać, jeśli można posłać bojowy zespół jednej płci? Poza tym... Myślę, że to samica, bo skoro smok taki mały... A szczenięcia by do takiej misji nie dali. Weźmy choćby ów samobójczy rozbuch po zestrzeleniu. Dzieciak w imię sprawy raczej się nie rozerwie. - Debren nie wyglądał na przekonanego, bo Pirr dodał: - Poza tym trochę i treserkę miałem na myśli. Dlatego mi się powiedziało: „Ona”. Bo pewnie na smoku leciała.

- Boomhons nic nie mówił... - zaczął Puchacz.

- Smoczyce na strzepy rozdarło, to cóż dopiero kobietę? Ale myślę, że to ona kamienie zrzucała. Bo kto się z miotaniem kamieniami kojarzy? Smoki? No nie! Ludzie! I wielkość kamieni: jak do ludzkiej ręki. Szczenie, owszem; ale już smoczy podrostek używałby większych kamieni. Dorosły smok jeszcze większych. A gdzie ślady takowego proceduru? Jakież relacje, legendy choćby?

Po niewyraźnej minie Puchacza dało się poznać, że nie znajduje odpowiedzi.

- Może były - powiedział cicho Debren. - W starych księgach, co to je teraz kontrwywiady usunęły z bibliotek. A że kamienie małe? Może to kwestia nawyków.

- Słucham?

- Jeśli się ktoś za młodu nauczy celnie spuszczać kamienie, potem niechętnie je zmieni na cięższe. Bo mu wyćwiczoną celność diabli wezmą.

Pirr posłał mu posępne spojrzenie.

- Duży kamień bardziej wrogom szkodzi.

- Ale taki - Debren podrzucił bazaltowe jajo - mniej waży. A też człowieka zabije. Po co rozsmarowywać na miazgę jednego knechta jednym wielkim głazem? Lepiej tuzinem małych jaj wybić tuzin knechtów.

- Smoki nie zrzucają kamieni. Nigdy o tym nie słyszałem. To karkołomna hipoteza oparta na wątplych...

- Też nie słyszałem - przyznał. - To znaczy: o gromadnych polowaniach na smoki. W ostatnich czasach. Jakoś... nauczyliśmy się pokojowo współistnieć. My i one. Więc niby gdzie miałeś słyszeć o nękających nalotach?

- Na jakim świecie ty żyjesz? Kroniki co rusz...

- ...o pojedynkach piszą - dokończył Puchacz. - Rycerzy ze złymi smokami. Ma chłopak rację. Pojedynki to nie wojna. A i one głównie nielotom się przytrafiają. Latacze są chronione w połowie państw Viplanu. Mają wyznaczone rezerwy, zwykle wystarczająco duże, by nie musiały leżeć ludziom w szkodę. Owszem, smoki zbóje też się zdarzają, jak ludzie, i w takich właśnie Boomhons się specjalizuje. Ale zasadniczo nie istnieje w Viplanie problem smoczej agresji. Więc nie ma też świeżych, wojennych doświadczeń.

Pirr westchnął ciężko.

- Cóż to jest: zjazd smokologów?

Debren z zadumą popatrzył na kamień.

- Próbujemy zrozumieć, co się tu dzieje.

- Tu?! Mowa była o sułtanacie Omak! Nad Zatoką Pyszczatą, w samym środku beżowickich krain! Masz pojęcie, jak to daleko? Do niedawna najwięksi luminarze geografii pisali o tym rejonie na mapach: „Tereny psiogłowców”.

- Ustalono - sprostował Puchacz - że psiogłowcy bardziej na wschód żyją, w południowej Yougonii.

- Chędożę psiogłowców. Jak którego zobaczę, może w istnienie

uwierzę. I to samo dotyczy smoka plującego kamieniami przezutymi na wcięte jajo.

Był zirytowany, ale Debrena to nie wzruszało.

- Zbóje Purchawca mieli się na baczności - myślał na głos. - Szeryf na nich polował, draby i Komnata Skarbowa. I co? Tak się dali zaskoczyć? Przegapili smoka?

- Nie wiadomo, czy przegapili - zauważył wozobrońca.

- Inaczej do domu by pierzchli. Utopiec sam pewnie w studnię by skoczył. Czy gdziekolwiek, gdzie ciasno i smok nie sięgnie.

- No, niby... - przyznał Pirr. - Ale do czego zmierzasz?

- Keloalen używa kamieni. A jeśli... dwóch ich było?

- Dwóch?

- On i smok. Może Burona naprawdę widziała jeźdźca? Naprawdę na czymś skrzydlatym? Może, jak ta Sovrojka w Omake, Keloalen do boju przesiadł się z konia na smoka? Wzleciał wysoko, zaatakował od słońca, niepostrzeżenie, kamieniami połowę zbójów wybił...

„Elf by prędzej z łuku szył.”

- A właśnie nie. Właśnie dlatego kamienie, że prędzej kilka zrzuć z nieba na ziemię. Wolniej lecą, świstem innych nie ostrzegą. A jak już zaatakowani zobaczą, że kamrat od kamienia padł, to gdzie napastnika wypatrują? Gdzieś blisko i na ziemi. Paru można trafić, nim się zorientują. Zresztą kto wie, może i łuku użył. A potem, w izbie, miecza. Albo magii? Piorunów, jak anioł? Ale Burona zapamiętała kamienie, spóźnione ratowanie, i teraz jej się Pirr z elfem myli, bo też kamieniami rzucał.

Dopiero gdy skończył mówić, dotarło do niego, jak dziwacznie to brzmi. Ale prawnik jakoś nie wybuchnął śmiechem, nie stukał się w czoło.

- A właśnie, Puchacz... - przypomniał sobie. - Coś was łączy z niejakim Keloalenem?

- Owym elfem? Pewnie. To on Boomhonsa na smoka najął. Znaczący: w imieniu innych. Ale z nim Boomhons gadał.

Pirr milczał przez chwilę. Zastanawiał się.

- Zlecenie jakie było?

- Wiadomo: smoka ubić. Burmistrz chce z gadem negocjować, iść na ustępstwa i dziewice mu słać. Więc opozycja, mimo że z nich ugodowe liberały, chcąc nie chcąc, musi na odwrót, twardo. Gdyby Smih mobilizację ogłosił, podżegaczem wojennym by go okrzyknęli, o dialog apelowali i ochronę przyrody. Polityka, wiadomo.

- To... cyniczne - oburzył się Debren. - A dobro ludu?

- Dobro ludu - pouczył go Pirr - polega na wybraniu przez lud lepszej władzy. Tak to widzą kandydaci na lepszych władców. Ale powiedz, Puchacz: skoro smoka chcecie zabić, to czemu ich też? - Wskazał Ammę i Debrena. - Wygląda, że sojusznikami jesteście.

- Ich to Hurhaker chciał. Z zemsty, za brata, no i by objąć po nim schedę. Głównym rajfurem Trickley zostać. Bo tego się nie dziedziczy: następcą musi zabić tego, co poprzednika zabił. Tylko wtedy jego władzy nie kwestionują. Boomhons owszem, w oberży Debrena próbował się pozbyć, jako konkurencji. Ale potem już nie.

Następne pytanie Pirra brzmiało jakby ostrożnie.

- Keloanen coś o nich mówił? Coś nakazał? - Wozobronca wzruszył ramionami. - Czyli on was na Ammę nie nasłał? Ta jatka przy bramie rezerwatu... po prostu chcieliście być pierwsi w kolejce?

- No... chyba tak.

- A czemu drudzy się zjawiliście? Wy wozami, my pieszo... Powinniście byli nas wyprzedzić.

- Wyjechaliśmy dopiero rano. Nocą nikt, o dziwo, łapówki nie chciał wziąć i bramy cichaczem uchylić. A jeszcze Hurhaker się przyczepił. Musieliśmy czekać, aż baby skrzyknie, wóz załatwi... Elf

się uparł, by go zabrać. Ze względów politycznych. Jako alibi. To poplecznik burmistrza, więc na Smiha by spadła wina, gdyby coś się popieprzyło. No i z rajcą łatwiej nas mieli do rezerwatu wpuścić. Boomhons się krzywił, ale jak się ugadali, że w razie czego, gdyby się po dobroci nie dało, dajki nam przy strażnikach pomogą, ustąpił. Aha, i stado trzeba było kupić. To też nas opóźniło.

- Spory kawał z trasy zboczyliście po te barany. Kto zdecydował, które stado kupić? Keloalen?

- Nie wiem. On dał pieniądze, ale już go z nami nie było przy zakupie. Pojechał przodem. By komendanta przed Ammą ostrzec. Choć z drugiej strony za bardzo się nią nie przejmował. Boomhons chciał machnąć ręką na Hurhakera, dajki i owce, strzelić z bata i pognać. Na to elf, że nie, że dajki i stado obowiązkowo, by w razie czego na burmistrza zwalić. A z Noltona, uspokajał, jest formalista, więc dziewczka kontroli cnoty nie przejdzie. Ale na wszelki wypadek pojechał przodem.

Debren nie zdążył pozbierać tego do kupy i wyciągnąć wniosków. Wyraźnie zadowolony Pirr zrobił to za niego.

- Było tak - wyjaśnił. - Keloalen u liberałów się zahaczył, bo oni sprzyjają mniejszościom. Ale znów jako elf sam cichaczem sprzyja smokowi, bo ten lasu broni. No i teraz, gdy się nagle interesy liberalne i smocze rozeszły, musiał wybierać, za kim się opowiedzieć.

- I wybrał dobrą posadę? - upewnił się Debren.

- Każdy wybierze. Ideałów w garnek nie wrzucisz. Tyle że do dobrych posad rzadko dochodzą prostoduszni i szczerzy. Elf nie elf, z Keloalena musi być niezły krętacz. Więc postanowił zleceniodawców przechytrzyć. Niby w ich imieniu z Boomhonssem knuje. Niby chce smoka zgładzić. A tak naprawdę... Cóż, nie spekulujmy. Po faktach osądzmy. Otóż najpierw nocą, siłą, przez

straże, uciekacie wy. Bez urazy: niegroźna dla smoka para, która tę korzyść daje, że albo kryzys zażegna, dziewicę smokowi dostarczając, albo, w najgorszym razie, nieudolnym zamachem pobudzi jego czujność. Profesjonalnego smokobójcy Boomhonsa przez bramę jakoś nie puszczają. Potem ktoś was ratuje przed bandą rajfurów. Tym energiczniej, im bardziej widzi, że dla smoka nie stanowicie zagrożenia. No bo skoro z bandą drobnych łotrzyków nie umiecie sobie poradzić... Potem sokół za wami leci. Na Trollowym Moście ktoś z nieba sfruwa za plecy Coklana, strzela do Korrisa, a na koniec, widząc tłum mutantów, wzywa na odsiecz smoka. Jeszcze wcześniej, przed świtem, ktoś informuje rajcę Hurhakera, że mu Debren z Dumayki brata ubił...

- Ja nie... sam spadł! To znaczy... ptaszysko go... Tak ten furman mówił. Że ptaszys... - Debren zamilkł, porażony innym wspomnieniem. - Zaraz... zaraz...

- Mniejsza o to. Ważne, że rajca zdążył się wywiedzieć o misji Boomhonsa. Sekretnej przecież. I dopadł go z propozycją współpracy. A przez to opóźnił...

Debren nie słuchał. Chłonał oczyma ciemność. Nie tę leśną, otaczającą ich teraz. Tę miejską, sprzed doby.

- Na rany Machrusa... - wymamrotał. - On... on znał moje imię! - Popatrzył na Ammę. - Ten Łańcuszek, pamiętasz? Stał nad nami z bosakiem, miał zabić. A potem nagle mówi: „Albo nie, Debren, rozmyśliłem się.”

- O Keloaleni mieliśmy... - przypomniał Pirr.

- Powiedział do mnie: „Debren”! A nikt mnie tam nie znał. - Jęknął. - Dżuma i syfilis, ślepy byłem... I głuchy. Cały czas nad nami latał. Pomagał. Ptaszysko? To on stał za Łańcuszkiem. Złapał go za kark, trzymał nad przepaścią i groził, że puści.

„Cień widziałam, muwiłam ci.” - napisała z wyrzutem Amma. -

„Nie wieżyłeś. I muwiłam, rze urodziwy.”

No tak. Debren nigdy nie widział anioła, ale spośród śmiertelników, których widywał, urodą pewnie właśnie elfom najbliższej było do skrzydlatych wojowników Boga.

- Wybacz... No i dlatego przeżyliśmy. To on szeptał Łańcuszkowi, co mówić. O skrupułach. Łańcuszek nawet nie znał tego słowa. O, a na koniec księgi mi rzucił.

- Keloalen? - zapytał Pirr. Jakby niepewnie. Debren odwzajemnił się jeszcze bardziej bezradnym spojrzeniem.

- Chyba on... No bo kto inny?

Pirrowi stwardniał głos.

- Debren, jedno zapamiętaj. Nigdy przenigdy nie rozpowiadaj o tym lataczu. Bo to spekulacje. Cóż z tego, że wszystko pasuje? Niczego Keloalenowi nie udowodnimy. Rzucisz oskarżenie, on się wybroni... Nic gorszego jak taki bezkarny zabójca, co to wiadomo, że ma krew na rękach, a nie idzie go skazać. Ludzie będą rozgoryczeni. W Trickley mniej, bo wiadomo, na kogo padło, ale nim plotka zawędruje do Tymburka, Alfi okaże się świętym, a jego szajka gromadą mnichów i zakonnic. Może dojść do pogromu elfów. Albo i wszelkich nie ludzi. A tobie - wyjął kamień z ręki Debrena - na głowę coś takiego może spaść. Rozumiesz?

- Uratował mnie...

- Nie łudź się: ją. - Pirr wskazał Ammę. - Ciebie jeno przy okazji. I nie wiem, czy zębami nie zgrzyta, że musiał ratować. Bo teraz za dużo o nim wiesz.

- ...więc słowem nie pisnę - dokończył Debren. - To chciałem rzec... Ale jak to: za wiele? Ja nic...

- A niech was diabli! - jęknął Puchacz. - Nie mogliście o tym na osobności? Nie dość, że smoka mam na karku, że Boomhonsa, to teraz jeszcze elfów spiskowców!

- Święta racja - przyznał Pirr. - Żywy trup z ciebie. No, chyba że wyjedziesz naprawdę daleko, a i tam gęba na kłódkę. Sugeruję... Bryberykę. Elfów tam nie ma.

- Nowy Świat?! Wiesz, ile podróż kosztuje?!

- Pożyczę ci. Bryberyka to kraina wielkich możliwości. Dorobisz się i mnie spłacisz.

- A jak nie? - zainteresował się Puchacz.

- To trudno. Tam, przy wieży, mogłeś mnie zabić. Doceniam, żeś nie zabił.

„W noge ci szczelił” - zauważyła Amma. - „Otpukać, jeszcze morzesz jom stracić. Usionć lepiej.”

- O okup mu szło - bąknął Debren.

- Jeno tak gadałem - sprostował Puchacz. - By się Boomhons nie ciskał. Ja, widzicie, uczciwy jestem. Do tej pory prawa nie łamaliśmy. Na odwrót: ludzi broniliśmy przed zbójami i smoczymi rabusiami. Dopiero teraz chciwość Boomhonsa zaślepiła.

- Stać mnie na spłacanie dłużników - oznajmił wyniośle Pirr. - Ale pamiętaj: na pozbycie się takich, co mi zagrażają, stać tym bardziej. Prawnik jestem, więc litości nie znam. Jeśli się dowiem, że gadasz, choćby bez nazwisk, o kimś z Trickleley, kto cichaczem smoka wspomaga, lata i kamienie na ludzi spuszcza... Elfy usłyszą plotkę, znajdą cię, wypytają i trafią do mnie. Zatem gęba na skobel. Bo nawet w Bryberyce cię dorwę. Jasne?

Puchacz, szeroko uśmiechnięty, skwapliwie kiwał głową. Dopiero teraz do Debrena dotarło, że był przecież jeńcem, chwilowo użytecznym, ale, być może, spisany na straty. Że po wszystkim Pirr pewnie odda go katu. Prawdopodobnie tylko ogłupienie końskim eliksirem sprawiło, że wozobrońca nie trząsał się i nie skomlał o litość.

- Was też to dotyczy. - Pirr powiódł wzrokiem po pozostałych. -

Jeśli smok was nie zeżre, macie milczeć. Nie uśmiecha mi się do końca życia chodzić w kolczudze i czekać, aż mi elfowa strzała garb przebije.

- Aż tak się boisz? - Debrena zdziwiła ta ostrożność. Ostatnio Pirr nie zachowywał się zbyt rozsądnie.

- Nie rozumiesz? Jeśli mamy rację, a elfy sekretnie pomagają smokom w sporach z ludźmi... Szpiegując, knując, a nawet skrytobójczym kamieniem... Ujawnienie tego doprowadzi do nieobliczalnych konsekwencji.

„Wojny?”

- W skrajnym przypadku... tak. Więc nie licz, Debren, że cię ocali ucieczka za Drewnianą Kurtynę. Wasze elfy i nasze elfy to przede wszystkim elfy, a dopiero potem demokraci albo feudaliści. Wszędzie cię dopadną, jeśli głupim gadaniem zagroźysz całemu gatunkowi.

- Nie zamierzam - Debren popatrzył mu w oczy. - Żadnemu gatunkowi, nigdy. Ekologia uczy, że światu wszyscyśmy potrzebni, choć niektórzy na dziwne sposoby.

Przez chwilę mierzyli się spojrzeniami. Na koniec Pirr nieznacznie skinął głową.

- Wierzę ci. - Westchnął. - No, trudno. To wszystko zmienia. Teraz, gdy wiemy, że Keloalen trzyma ze smokiem, nie możesz iść dalej z Ammą.

- Hę? - zdumiał się Debren. - A to niby czemu?!

- Bo to elf. Nie ma cudów, by was w lesie nie wyśledził, zwłaszcza jeśli wie, dokąd zmierzacie. Nie wie za to, co zrobisz. Daruj szczerść, Debren, ale złotodziób z ciebie. Masz talent, to widać, ale tym gorzej. Bo nikt, z tobą włącznie, nie ma pewności, co ci do łba strzeli i co możesz wyczarować. Gdyby to drzewo - Pirr wskazał na zmasakrowany dąb - było smokiem, to byłby to teraz bardzo

martwy smok. Takich jak ty żaden ochroniarz nie dopuści w pobliże chronionej osoby. Nie ma mowy. Keloalen musi cię zabić. Po prostu musi. Nie może ryzykować.

„On nam pomaga!” - zaprotestowała Amma.

- Tobie, nie jemu. Chce, byś się spotkała ze smokiem. Bez Debrena nie dotarłabyś tutaj, więc owszem, do tej pory Debren był dla Keloalena użyteczny. Ale zaraz przestanie być. Stanie się największym zagrożeniem.

- Niekoniecznie. - Debren raczej myślał na głos, niż starał się przekonywać oponenta. - Keloalen chce ratować smoka. Dlatego Ammę sprowadził. Zamierza spełnić gadzie żądanie i załatwić problem po dobroci. Ale związki elfów i smoków muszą pozostać tajemnicą. Bo masz rację: od tego może zależeć przetrwanie elfów. Ludzkość byłaby wstrząśnięta nowiną o ich sekretnej pakcie ze smokami. On zatem musi pozostać w cieniu. To dlatego używa smoczycich kamieni, nie łuku czy magii: by nikomu nie przyszło do głowy kojarzyć elfów z tym wszystkim. W razie śledztwa skojarzą smoki. I to sovrojskie. Czyli kamień w wodę: za Drewnianą Kurtyną nie będą szukać. No, ale teraz, by działać skrycie, Keloalen musi użyć w rozmowach tłumacza. Kogo? Mnie. Sprytnie to wykombinował. Iluzja, telepatia... tych specjalności się wymaga od czarodzieja, gdy wyprawa płynie odkrywać nowe lądy i trzeba będzie od zera poznawać obce języki. No, a ja iluzjonizm u Factorby'ego praktykuję... Ha! Założę się, że to do tego byłem mu potrzebny. Bo Ammę mógł tu przecież ściągnąć sam. Poszłaby za nim. Ma ten swój elfi wdzięk, umie latać, czarować... Gdyby się postarał, wmówiłby jej nawet, że jest tym aniołem...

„Za naiwnom mnie masz?!”

- No, to kimś w rodzaju anioła.

Pirr pokręcił głową.

- On nie jest aniołem. Ma na uwadze interes dwóch gatunków, delikatnie mówiąc, konkurencyjnych wobec ludzkiego. I już teraz powinien cię zabić. Dla świętego spokoju. Więc nie nadużywaj życzliwości losu. Zabieraj się do domu. Ammę - uprzedził protest - ja odprowadzę.

- Ty? - Tego Debren nie oczekiwał.

- Odbiło wam, panie mecenas? - stęknął Puchacz.

„Dlaczego?”

- Bo mnie Keloalen nie ruszy. Dogadam się z nim.

- Albo i nie - rzucił ponuro Debren. Propozycja była kusząca i właśnie to zwarzyło mu humor.

- Nie bardzo mam wybór. - Pirr uśmiechnął się niewesoło. - Elixir się kończy. Bez niego Puchacz mnie nie poniesie. Co znaczy, że albo dopadnie mnie Boomhons, albo biesy. Paradoksalnie, tylko u boku smoka będę bezpieczny. Ale muszę przyjść z Ammą. Bez ciebie.

Logiczne. Sensowne. Debren nie potrafił znaleźć argumentów przeciw.

Ale szukał. Wbrew sobie, bo przecież chciał żyć.

„On ma racje.” - Amma pierwsza podjęła decyzję. Oczy miała smutne, ale wilgoci w nich nie wypatrzył. - *„Tak będzie lepiej dla wszystkich. Wracaj do domu, Debren. Zwalniam cie z parasola. Ić i rzyj.”*

- Ja... - Nie znalazł słów.

„Tyleś dla mnie zrobił co nikt nigdy. Dziękuję. Sukom bym była, dalej cie ciongnonc. A nie jestem. Morze gżeszna, ale bardzo zła to nie. Ić, Debren. Bondź szczęśliwy. Mnie to nie dane, ale ty morzesz.”

- Idź - skinął głową Pirr. - Poradzimy sobie bez ciebie, obiecuję. A z tobą... Bez urazy, ale trudniej będzie.

- Zaraz! - obruszył się Puchacz. - Jak on wraca, a ty idziesz do

smoka, to ja...? Chcesz powiedzieć...?

- Cóż, ty z Debrenem nie pójdziesz.

- Mam cię nieść?! Do jaskini tej bestii?! - Wozobronca cofnął się o krok. - Rozum postradałeś?!

- Sam dokuśtykam. Ty weź Buronę i ruszaj w stronę posterunku. Powiesz Boomhonsowi, że to Debren cię porwał. I że teraz uciekają na północ. On i Amma.

„Mam iść z Debrenem?” - nie zrozumiała dziewczyna. Ale na samą myśl oczy wyraźnie jej rozblęły. Oczy Pirra, dla odmiany, jakby sposepniały.

- Możesz - powiedział cicho. - Jeśli na północ... to możesz z nim. Nikogo do niczego nie namawiam.

- Zaraz - Debrenowi coś nie pasowało. - Na północ, jeśli oboje? A Puchacz ma mówić, którądy nas gonić?

- Nie was. Ciebie. Ale jeśli Amma rezygnuje... - Z tonu jurysty nie dało się niczego wyczytać. - Poczekaj, Puchacz. Trzeba zdecydować, kto co robi. Bo jeśli oni oboje wracają, ani słowa o północy. Powiesz Boomhonsowi...

„Ja ide do smoka” - Runy były duże, zdecydowane. Pirr nie od razu zdobył się na postawienie pytania:

- Jesteś... pewna?

Zmazała runy i jeszcze większymi nakreśliła:

„Ide do smoka. Na fschód.”

- To żegnaj. - Puchacz zaczął się cofać. - Znaczy... żegnajcie. Do widzenia, znaczy. Pójdę już, bo jeszcze Boomhons zacznie gdzie indziej szukać, nie na północy, i...

Spojrzenie Pirra wystarczyło, by osadzić go w miejscu. Dziwne, bo było mniej posepne niż przed chwilą.

- Więc jeszcze to jedno dla niej zrób, Debren. Rusz przez bagna na północ i pociągnij pościg za sobą. Daj nam czas. Z moją nogą...

no, potrzebuję więcej czasu.

„*Jak to?*” - Była bardziej zaskoczona od Debrena.

- Słyszałem o Boomhonsie - powiedział cicho Pirr. - Jest... skuteczny. Nie mówię tylko o zwalczaniu smoków. I z ludźmi sobie radzi, ze zbójami. Samemu Bobinowi Czapie kilku kamratów ubił. Wytropi nas. Chyba że złym tropem pójdzie i trochę czasu zmitręży.

- Mam go od was odciągnąć? - W Debrenie kłębiły się sprzeczne odczucia. - Wywabić na bagna i...?

- Bez „i”. Żadne walki, zasadzki. Po prostu uciekaj. Im szybciej, im bardziej naturalnie, tym lepiej. Keloalen... z nim też pewnie trochę nam zejdzie. Nim się zdecyduje ujawnić, nim się dogadamy... Żle by było, gdyby w trakcie rozmów dopadła nas zgraja smokobójców.

„*Jego majom dopaść?!!*” - Rylec aż zgrzytał o deskę.

- Mnie nic nie będzie - zapewnił Debren.

- Obiecujesz?

Dziwaczne pytanie. Tak może pytać naiwne dziecko, ale żeby stary sądowy wyjadacz?

„*Jakie obiecywanie? Zabijom go! Nie zgadzam...*”

- Musimy pogadać - przerwał jej garbus. - Na osobności. Debren, najpierw ty.

Nie czekając na pozwolenie, złapał chłopaka za łokieć i odciągnął na bok.

- Zerknąłem do twych ksiąg - oznajmił.

- Co? - Debren drgnął. - Nie wiesz, że...?

- Przeżyłem, nie oślepiłem. Nietakt wybacz. A teraz do rzeczy. Łosiowe Stopy. Umiesz rzucić ten czar?

- Co? No... umiem. Z pamięci nie, ale z księgi...

- Masz dość mocy, by długo po błocie brodzić?

- No... a ile to będzie, owo długo?

- Czyli: nie wiadomo? - upewnił się Pirr. - Z rzucaniem piorunów też pewnie krucho, co?

- Poradzę sobie - mruknął Debren. I w przypływie szczerości dodał: - Jakoś tam.

Pirr westchnął. Wyjął spod oponczy nieduży flakon.

- Od Factorby'ego. Weź. Wspomaga podtrzymywanie moich zaklęć upiększających. Magię wzmacnia, inaczej mówiąc.

- Wspomagacz? - ożywił się Debren. - Jakiego typu?

- Nie znam się na tym. Drogi, więc chyba dobry. A Factorby zapewnia, że nie wchodzi w kolizję z żadnym powszechnie stosowanym, legalnym zaklęciem. Takich używasz? - Debren przytaknął, dopiero po chwili przypominając sobie o gangarinie. Ale, ostatecznie, przy łożeniu po bagnach gangarin jest równie przydatny jak, powiedzmy, kowadło. - Świetnie. Mam jeszcze inną miksturę. Ale to jeno na czarną klepsydrę, gdybyś jednak ugrzązł i tonął. No, albo musiał na drzewo wleźć czy na stromą ścianę jaru.

- Co to takiego? - zainteresował się Debren.

- Nie pytaj. Bierz i pij, gdyby cię konieczność naszła. Ale tylko wtedy, rozumiesz? Błota i wspinaczka. Do tego eliksiru, by zadziałał, trzeba niestety dodać zaklęcie. Dostaniesz je zapisane. Odczytasz w mroku? - Debren uspokajająco pokiwał głową. - Świetnie. Więc dołożę i drugą... no, powiedzmy: instrukcję. Tę w jeszcze większej ostateczności przeczytasz. Gdyby pierwsza źle działała.

- Czyli jak? Do czego właściwie jest to zaklęcie?

- Nie ma czasu tłumaczyć. Bierz i stosuj. W ostateczności, przypominam.

- Ryzykowne? - domyślił się Debren. - To może przeskanuję ile się da ze składu eliksiru, zerknę w formułę... Pokaż, a nuż coś znajomego...

- Potem. W torbie zostały. Ale i potem żadnych badań. Nie ma czasu i to... no, cudza tajemnica. W ogóle nie powinienem ci tego dawać.

- To nie dawaj - wzruszył ramionami Debren. Ufał Factorby'emu, Pirrowi w zasadzie też, ale obu równocześnie, w tej akurat kwestii, już niekoniecznie. Zanosilo się na klasyczny, omawiany na wykładach przypadek zastosowania dobrej skądinąd magii w niewłaściwy sposób.

- Nie słuchasz, Debren. Powiedziałem: na czarną klepsydrę. Jeśli znasz czar Łosiowe Stopy i wypijesz wspomagacz, powinieneś śmignąć przez bagna jak młody wodnik. Ale że z tobą nigdy nic nie wiadomo, więc dla pewności... Nie chcę, by Amma po tobie płakała.

Debrenowi zrobiło się jakoś dziwnie.

- Może... - musiał odchrząknąć - może z nią jeszcze pogadam? Może zmądrzała. Moglibyśmy wszyscy...

- Jak chcesz - powiedział Pirr zaskakująco łagodnie. I od razu zmienił głos na rzeczowy: - A wracając do drugiego eliksiru... Wszystko, czego nie użyjesz, ma zniknąć. Wylej płyn, flakon utop, formuły zniszcz, nie czytając. A jeśli czar zastosujesz, o efekcie spróbuj zapomnieć.

- Jak to? Rozumiem: formuły... Ale eliksir? Pewnie drogi, skoro aż taki sekret... Nie spotkamy się, ale i tak muszę zajrzeć do Factorby'ego. Zostawię u niego i ci odda.

- Tak, a przedtem rzuci się badać.

- Bez formuły nie zdoła szybko...

- Kto wie, kiedy i czy w ogóle do niego dotrę. A to nie moja własność, powtarzam. Z moich rzeczy zabierzesz... to znaczy... no, chwilowo moich... - Pirr zaplątał się i wyraźnie go to rozzłościło. - Cholera, wziął w łapę, a i tak ledwie czyta, więc w sumie... O księdze mówię - wyjaśnił. - Tej o smokach, od przeora Mehatt.

- Co z księgą? - nie zrozumiał Debren.

- Zabierzesz ją. Skoro i tak swoje dźwigasz... Bo swoich, jak rozumiem, nie zgodzisz się zostawić?

- Nie są moje. Nie mogę. Factorby łeb by mi...

- Nowe mu odkupię - zaproponował Pirr, ale wyraźnie bez przekonania. Chyba wyczuł, że nie ma szans.

- I tak łeb mi urwie, bo dwie przestrelone. Ale jeśli oddam księgi i wytłumaczę, może mi da zaliczenie praktyki. Maruda z niego, ale nie jest zły. Umie docenić starania.

- Może wcześniej niż ty do niego dotrę. Albo choć wiadomość prześlę. Mógłbym...

- Zabieram księgi - uciął dyskusję Debren.

- Tak myślałem. Więc zabierzesz jedną więcej. Dam ci sakwę Purchawca, lepiej chroni od mokrego. A na wypadek, gdybym nie zdążył, nim wsiądziesz na statek... *Smoków w dziejach Anvashu* też nie próbuj mistrzowi oddawać.

- To co mam...?

- Zatrzymaj księgę.

- Odeślę - zdecydował Debren. - Do Mehatt.

- Nie odsyłaj. I nie... - Pirr zawahał się, dobre pół pacierza walczył z wątpliwościami. - Albo... A niech tam... Przeczytaj. Wtedy pewnie zrozumiesz... no, co dalej z tym zrobić. A czego nie. Ale - rozpogodził się - najpewniej skończy się tym, że ktoś ją odbierze. Ja sam albo ktoś ode mnie. Lada dzień, więc się nie martw.

Debren nie zamierzał. Ani o jakieś księgi, ani nawet o przeniesienie ich przez bagna.

Martwił się pożegnaniem.



Rozmowa z dziewczyną zajęła Pirrowi dużo więcej czasu. Odeszli w las na tyle daleko, że Debren stracił z oczu pochodnię. Tylko wątle odblaski podtrzymywały w nim nadzieję, że nie umknęli cichaczem. Ale pewności i przy odblaskach nie miał. Mogli wetknąć polano w ziemię.

Sam by pewnie tak odszedł, gdyby los zamienił ich miejscami. Bez drętwych słów, łez, umykających spojrzeń, wiszących w powietrzu pytań. Co mogli sobie z Ammą powiedzieć? „Żegnaj”? „Szkoda, że nie...”? „Miło było poznać”? „Lubię, pragnę, ale żeby aż kochać, to nie...”?

Te kwestie były ich wspólne, dla obojga. Potem mówiliby już inaczej. Jeśli szczerze, to on o strachu, niezgodzie na umieranie tak młodo, gdy życie jest jedną wielką obietnicą. A ona - o braku nadziei.

Bo nie miała jej w sobie. Strach jeszcze tak, nawyk życia - owszem. Ale wiary, że to życie przyniesie jeszcze coś dobrego, już w niej nie znajdował. Była jak śmiertelnie ranny wojownik, co to ochoczo wywija toporem i którego przy życiu, paradoksalnie, trzymają tylko atakujący wrogowie. Zabrać takiemu wrogów, a opuści broń, zalegnie i umrze, bo wraz z walką skończą się siły.

Co może mieć z życia ktoś, komu odebrano połowę twarzy? Nie, nie ktoś - kobieta. Kobiety są po to, by kochać i być kochanymi, a nie budzić grozę swym widokiem.

Nigdy nikogo nie pocałuje. Nie ma czym.

- Biedna dziewczka - przerwał milczenie Puchacz. Debren zerknął na Buronę, zwiniętą w kłębek, śpiącą chyba. - Nie ta. Tej już dobrze. O przyszłość się nie martwi.

Dżuma i syfilis. Jakby zajrzał Debrenowi w głowę.

Ale to oczywiście żadna telepatia. Nietrudno rozgryźć kogoś takiego jak Amma. A Puchacz nie był głupi.

- Myślisz, że chce tego smoka zabić? - zapytał. - To znaczy: spróbować?

- Myślę, że umrzeć tu przyszła. Gdzie indziej nie dało się z sensem, więc przyszła tutaj. I to nie jest tchórzostwo, Puchacz. Zapamiętaj: ona nie jest tchórzem. Nie znam odważniejszej.

Dopiero gdy tamci wrócili pod rozwalony czarami dąb, Debren zauważył, że Pirr zabrał obie sakwy. Teraz wręczył Debrenowi tę lepszą, odziedziczoną po Purchawcu.

- Trochę cuchnie - ostrzegł. - W coś musiałem po drodze... Ale w środku sucha. Nie utop, a nic księgom nie będzie. Samobija wyjąłem. Tutaj masz - wręczył Debrenowi złożony karteluszek - pierwszą formułę. Druga jest w sakwie, razem z eliksirem do niej. - Zawahał się, zerknął na Ammę. - Chyba powinieneś wiedzieć: na tabliczce spisaliśmy. Nie mam więcej papieru, pergaminu, niczego, a to spory kawał... hmm... instrukcji użycia.

- Tabliczka? - Posłał dziewczynie niemal przerażone spojrzenie. - Twoja?!

- Debren...

- Oszalała?! Zabrałaś jej...?! To jakbyś drugi raz...

W porę ugryzł się we własny język. Ale oczywiście zrozumieli, czego nie dopowiedział. Amma uniosła rękę, położyła mu na ramieniu łagodnym, matczynym gestem.

- Debren, myśmy tam wszystko omówili. A wy... Amma mówi, że się bez rylca i gliny umiecie pożegnać. To jej decyzja. Tobie ta tabliczka może być teraz bardziej potrzebna. No i - Pirr uśmiechnął się krzywo - sumienie Ammie uspokoi. Ty może od nas pościg odciągniesz, a ona od ciebie, być może, błoto. Znów będziecie kwita.

- Tak mu powiedziałaś?

Skinęła głową.

- Musicie już iść, Puchacz. - Pirr schylił się, obudził Buronę. - Hej, pastereczko... Czas w drogę. - Posłał wozobrońcy twarde spojrzenie. - I niech jej się nic nie stanie. Masz o nią dbać.

Dziewczyna, nie bardzo przytomna, ziewnęła, rozejrzała się. Po czym, z miną kapryszącego, urażonego przedwczesną pobudką dziecka, odepchnęła Pirra.

- Spóźniak - rzuciła oskarżycielsko.

- To u ciebie teraz najgorsza obelga, co? - Odwzajemnił się łagodnym uśmiechem. - Puchacz, odprowadzę was kawałek, musimy jeszcze pogadać. A wy - zerknął na Ammę - macie kwadrans. Nie więcej.

Wozobrońca ujął rękę Burony, pociągnął we wskazanym kierunku. Pirr nie ruszał jeszcze za nimi. Patrzył na drugą z dziewczyn i wyraźnie na coś czekał.

Stali tak i stali... i stali...

- No co? - Debren pękł pierwszy.

- Mówiłem poważnie. - Pirr zignorował go; wpatrywał się wyłącznie w Ammę. - Możesz... Trudniej będzie, ale też się powinno udać. To tylko stary smok. Cóż on wie o...?

Pomachała rękami, co symbolizowało latanie, i nakreśliła w powietrzu runę pytajnika. Potem wskazała Debrena i nakreśliła aż trzy identyczne, tylko większe zawijasy.

- Może wyjmę... - Debren nie zrozumiał, więc zaczął odpinać sakwę. Obojgiem pozostałych szarpnęło, jakby niewidzialne nici łączyły ich z klamrami i paskami.

- Nie! - zaprotestował Pirr. I, już opanowanym tonem, wyjaśnił: - Tam naprawdę nie ma już miejsca.

- Kawałek można zmazać i potem na nowo...

- Zostaw tabliczkę w spokoju. Cholera... No, trudno. Nie pora na fałszywą skromność... Ona ci tego nie powie, a gdyby mogła pisać, i

tak do rana by się zbierała na odwagę. I biła z myślami, bo pewnie sama nie wie, czego chce. Tak jak ty. Jak my wszyscy - dodał ciszej. - Więc ją wyręczę. I gdybyś miał coś złego pomyśleć, to o mnie. Bo źle odczytałem intencje. - Nabrał powietrza. - No więc... Jeśli jej mocno pożądasz... tylko nie myl tego z miłością, Debren, o pożądaniu mówię...

Słuchali go oboje, coraz bardziej spięci. Amma raz i drugi unosiła rękę, by nią machnąć i przerwać - ale ostatecznie nie uniosła.

- Nie kochasz jej i ona to wie. Nie poślubisz i to też wie. Wie, że ją lubisz. Nawet, że pożądasz. Tylko nie wie, na ile mocno. Bo jeśli mocno i... no, po... po tym, co byście ewentualnie... - Pirr musiał odchrząknąć. - Krótko mówiąc, jeśli całe pożądanie z ciebie nie ujdzie, to możecie w ten właśnie sposób się pożegnać.

Debren czuł się jak zdzielony pałką. Ciężką i mocno. I tylko zemdleć nie potrafił. Choć chybaby chciał.

Powiedzieć też by coś chciał. Cokolwiek. Byle nie sterczeć z głupią miną i nie ociekać potem.

- Miałem ci tego nie mówić. Rozmawialiśmy z Ammą. Do smoka ją prowadzę, wiadomo po co. Nie ma między nami miejsca na pruderię i sekrety. Stałem się jakby jej medykiem. Więc mi powiedziała. Więcej niż chce, byś wiedział. Ale nie wiem, na ile więcej i czego ci mam nie mówić. No to mówię tyle, ile uważam, że porządny człowiek może usłyszeć, nie tracąc ani odrobiny szacunku dla kobiety. Bo nie stracisz ani odrobiny, Debren. Słyszysz? Wyrwę ci nogi z rzyci i będę nimi po łbie walił, jeśli kiedykolwiek cokolwiek złego o niej pomyślisz. I to nie jest przenośnia. - Pirr odczekał chwilę, chyba nie tyle z myślą o podkreśleniu pogroźki, co dlatego, że zmieniał tonację. - Amma nigdy w życiu szczęścia nie zaznała. Więc jeśli teraz choć trochę lżej jej będzie umierać, to winny jestem tę przysługę. Pamiętajcie, że jeno z przyjaźni włożę między was z

buciorami. I z szacunku. Tak wyszło.

Stali, nie patrzyli na siebie. Pocili się i trwali w trwożliwym bezruchu. Dopóki Pirr nie wymruczał czegoś o kwadransie, gwizdaniu i nie odkuśtykał w las.

A potem zaczęli się spieszyć. Kwadrans to ledwie ćwiartka klepsydry. Czterdzieści pięć pacierzy.

Przeraźliwie mało.



Chyba to ona wzięła go za rękę i powlokła pod rozłupany czarem dąb. Debren nie zapamiętał dużo więcej z początku ich czterdziestopięciopacierzowej nocy. Chociaż była to pierwsza noc, jaką spędził z kobietą.

Albo może - właśnie dlatego?

Chyba to ona ściągnęła z Debrena wszystko, co na sobie miał. Próbował się odwzajemnić, pomagać przy zdejmowaniu wilgotnej sukienki. Wywinęła się, trwożliwie i zręcznie zarazem.

Bała się, że sięgnie i po chustę? Tego chyba nie, aż tak nie pogłupieli. No, ale przypadkiem, szarpiąc się z suknią, faktycznie mógł zaczepić. Oboje się spieszyli.

To z pośpiechu czy przejęcia zupełnie nie zapamiętał widoku jej piersi? Tego też nie wiedział. Serce waliło mu z kopę razy na pacierz, nie bardzo wiedział, co się dzieje z nim, z nią i z całym światem dokoła. Głupie, bo przecież już raz był nagi i dotykał jej, też praktycznie nagiej, a trwało to znacznie dłużej. No i w łóżku.

Teraz jednak było inaczej. Wtedy mieli po prostu razem spać. I spali. On przynajmniej. Wprawdzie tylko dzięki zaklęciu, bo przyrodzenie omal mu nie pękło od nadmiaru krwi - ale nie liczyło się to za miłowanie z kobietą.

To teraz - już tak. Choć dziwacznie to robili.

Posadziła go pod drzewem, odwróciła się tyłem, usiadła między jego rozepchniętymi udami. Nie na nim - na mchu. Jeszcze nim choć trochę oprzytomniał, więc potem, przez jeden czy dwa z tych czterdziestu pięciu pacierzy, gryzł się wątpliwościami, czy czasem znów się nie wygłupił, nie zaniedbał czegoś, co mężczyzna powinien robić w takiej sytuacji i czego Amma oczekiwała.

Ale nie. Tak właśnie miało być.

P-R-O-S-Z-E

Pisała po nim, jak wtedy, w szturmowanej przez żółwijce beczce. Równie szybko, ośmielona wiedzą, że się rozumieją, tyle że delikatnie i pieśczośliwie, palcem po bosej stopie. Drugą ręką wymacała z tyłu jego dłoń, przeciągnęła sobie pod pachą, naprowadziła na pierś.

Wiele miękkości tam nie miała, nie da się wyhodować porządnych piersi na trzech funtach owsa tygodniowo. W ogóle: samą skórę i kości do siebie tulił. Ale tulił, bo mimo wszystko była piękna. A na czubku niewielkiego pagórka niemal z niczego, jak wyczarowana, dojrzała specjalnie dla niego, pod opuszkami jego, Debrena, palców, duża, twarda wisienka.

S-Ł-U-H-A-J S-I-E M-N-I-E

- Dobrze - szepnął, a potem po raz pierwszy ją pocałował. Tam gdzie mógł: w ramię. I w obojczyk. W kark, w szyję. W odsłonięte ucho. Całował Ammę, a ona kręciła się, układała nogi jego i swoje tak, by było najlepiej, by dzielili się całym ciepłem, którym tylko mogli się podzielić, a zarazem nie utrudniali ruchów jedno drugiemu.

Jeszcze przez chwilę myślał, że uniesie w końcu biodra, nasunie się na to, co na nią czekało i co musiała doskonale wyczuwać pośladkami. Nie uniosła.

Wzięła za to prawą dłoń Debrena i poprowadziła w tajemniczą podróż, do krain, które znał wyłącznie z opisów i opowieści, jak tropikalne dżungle Nowego Świata, i o których od paru lat coraz częściej śnił po nocach.

Było właśnie tak, jak to sobie wyobrażał, będąc smarkaczem i marząc o odkrywaniu nieznanymi krain na dalekim Południu: gorąco, mokro, lepko... i niesamowicie. Trochę strasznie, lecz nade wszystko wspaniale. Bał się akurat na tyle, by wzmagало to podniecenie i czyniło przeżycie bardziej intensywnym. O panice nie było mowy. Miał przewodnika. Na pewno nie takiego, do jakich wzdychali irbijscy konkwistadorzy: potrafiącego jasno powiedzieć, co, jak i kiedy robić, a potem poprowadzić najkrótszą, najwygodniejszą drogą ku największym i najsłabiej bronionym skarbow. Ale to nawet lepiej. Z niepewności Ammy, z jej wahań, prób, z przepraszających pomruków czerpał pewność, że jest tą, za którą ją brał: porządną dziewczyną, wiedzącą o tych rzeczach niewiele więcej od niego i niemal równie zagubioną w nowych doznaniach.

N-I-E W-H-O-Ć W-E M-N-I-E P-R-O-S-Z-E

Te runy, gdyby przetrwały na skórze, byłyby już bardziej koślawe. Pisała lewą ręką, to po łydkach Debrena, to po grzbiecie jego dłoni, pieszczącej jej piersi.

Cała była szorstka od gęszej skórki. Jak Debren. I spocona tak, że aż chłodne strumyki popłynęły spod pach. Jak Debrenowi. I oboje stawali się coraz bardziej śliscy, tam, w dole... Gdzie nie byli razem, tak jak powinni, ale gdzie i tak było dobrze. Obojgu.

Choć, oczywiście, niejednakowo dobrze. Przez jakiś czas i bał się, i tęsknił do samoistnego spełnienia, jak te sprzed paru lat, gdy, jeszcze zupełnie nie rozumiejąc, o co chodzi, czemu i za jakie grzechy, budził się w środku nocy z mokrym brzuchem i pod mokrą

pierzyną. Pragnął Ammy, w tej chwili na tyle mocno, że przyjąłby taki finał z większą radością niż zażenowaniem. Ale, naturalnie, same pragnienia nie wystarczyły. Nie mężczyźni. Mężczyzn, w odróżnieniu od dorastających chłopców, tak stworzono, by nie grzeszyli czynem od samych tylko myśli czy nawet patrzenia na kobietą golizną i przytulania się do niej. Ród ludzki by wtedy wyginął. Więc nie dane mu było zaznać ostatecznej rozkoszy. Na szczęście los zetknął go z żakiem Trapenakisem, potomkiem starożytnych Illeńczyków, nekromantą, demokratą (jak mawiał: od dziewięćdziesięciu pokoleń) i ekscentrycznym nihilistą, który, mimo nieśmiałości Debrena w tych kwestiach, zdążył uświadomić mu, na czym miłowanie tak naprawdę polega. I że wcale nie musi polegać na równoczesności tudzież robieniu dzieci.

Przydało się teraz.

Znalazł w sobie dość zrozumienia, czułości, a nawet radości, by powierzyć dłoniom Ammy swoje własne i wspólnym staraniem zaprowadzić dziewczynę tam, dokąd pragnęła dojść. Nie pognął za nią, nie wykorzystał okazji, choć od pewnego momentu chyba już mógł. Chyba nie zdobyłaby się na protest, gdyby uniósł ją i nasadził na siebie albo nawet pchnął, obalił i zaległ na niej, zastępując dłoń tym, co powinno zostać użyte. Rozsądku - bo to rozsądek sprawiał, że robili to tak, a nie jak Bóg przykazał - starczyło jej na pierwsze pacierze. Może pięć, może dwadzieścia: Debren, choć niby tylko siedział, całował i pieścił, też się zatracił w tym wszystkim, nie umiał więc ocenić, ile czasu upłynęło. Nie mógł jednak przegapić zmian w zachowaniu dziewczyny, jej coraz szybszych ruchów, paznokci wbijanych mu w udo, głośnego oddechu, stopniowo przechodzącego w pojękiwanie. Śliskości. Rąk wyrzuconych z nienacka za plecy, przyciskających głowę Debrena do jej karku. Wygięła przy tym ciało jak łuk, myślał nawet, że to już... Ale nie, dał

jej więcej niż te może pięć, a może dwadzieścia pacierzy; po pięciu albo dwudziestu jedynie zapomniała się na tyle, by oddać mu się całkowicie i bez reszty. Od tej pory mógł ją mieć.

Nie wziął. Trochę ze strachu, że poszłoby im gorzej, trochę dlatego, że wyraźnie tego nie chciała. Przedtem, gdy jeszcze trzymała swą cielesność na wodzy. A on... był czarodziejem. Kimś, kto w każdych okolicznościach ma obowiązek myśleć racjonalnie. Pewnie, gdyby ich wprost zapytać, akademicy nauczyciele, wbijający mu tę podstawową zasadę, uśmiechnęliby się i przyznali, że w łóżu i ramionach kobiety można odejść od tej reguły. Ale to nie było łóżo, a i on nie przypadkiem znalazł się, jeśli można tak ująć, po przeciwnej stronie kobiecych ramion. Więc, choć jak po paru kuflach, nadal myślał.

Głównie o śladach, jakie by w niej zostawił. To pewnie dlatego wzbraniała się przed zrobieniem tego normalnie. Można się potem umyć, ale przecież niewiasty myją się czasem, także tam, a dzietność od tego nie spada. Czyli: wszystkiego nie da się wypłukać wodą ani wytrawić mydłem - a mydła nawet nie mieli. Szła do smoka jako dziewica, na tym dziewictwie opierały się wszelkie jej nadzieje. Więc co: miał zrujnować jej życiowe plany ukrytą wewnątrz bioder pamiątką, którą smok być może zwęszy? Pewnie by nie zwęszył, ale samo podjęcie takiego ryzyka czyniłoby mężczyznę niegodnego względów kobiety, której losem ryzykował.

Nie mógł jej tego zrobić. Choć jej nie kochał. A może właśnie dlatego.

Na szczęście pragnął Ammy, od początku do końca. To wystarczyło: pocałunki w kark, lewa dłoń, błędząca po wychudzonym ciele, coraz zręczniejsze ruchy prawej, uczącej się szybko, gdzie, jak szybko i z jaką siłą, ciepło jego ciała - no i jego podniecenie, które przetrwało próbę czterdziestu pięciu pacierzy.

Bo Pirr niemal idealnie to wyliczył. Jego gwizd dobiegł z oddali dosłownie kilkadziesiąt momentów po tym, jak Amma wydała niesamowity, gardłowy odgłos, jak nagłym szarpnięciem odrzuciła mokrą i lepłą rękę Debrena, przewróciła go na bok i, zwinięta w kłębek, nadal wstrząsana spazmami, wtuliła czoło w pierś chłopaka. Zdążyli jeszcze poleżeć chwilę, on zdążył zrozumieć, co to wszystko znaczy, a ona ochłonać, zmięknąć i powrócić na ziemię stamtąd, gdzie była. Przytuliła się, teraz już cała, opasała go nogą, pozwoliła choć trochę pobyc między kobiecymi udami. I tak właśnie, jak nasyconych miłością kochanków, dopadł ich w zastępstwie słodkiego snu mały słodki gwizd.

Alfi Hurhaker nie wymierzyłby z tym lepiej.



Z Boomhonsem Pirr jeszcze lepiej wyliczył. Debren nasłuchiwał jeszcze chlupotu oddalających się kroków - Pirr i Amma odeszli korytem strumyka, by zmylić ewentualny psi pościg - kiedy z drugiej strony dobiegło szczeknięcie.

Więc jednak: znalazł się trzeci, brakujący owczarek.

Tego, ostatniego już, ścigający nie puścili luzem, więc przez szóstnicę albo dwie odgłosy pogoni zbyt blisko do Debrena nie zbliżyły. Na tyle tylko, na ile im pozwolił, czekając na północ od strumienia i próbując się upewnić, czy wozobrońcy pójdą za nim. Gdyby nie poszli, musiałby robić swoje - obiecał to tamtym dwojgu - ale ponieważ gnania na łeb na szyję już na nim nie wymuszono, chciał sprawdzić, czy pomaga Ammie, czy tylko sobie.

Wyglądało na to, że Ammie też. Przewidywania Pirra sprawdziły się: ścigający pokręcili się, poszli w górę strugi, w dół, pies obwąchał pewnie wszystkie gałęzie, sięgające nad wodę - po czym

zaszczekał triumfalnie. Pobiegli za Debrenem.

Musieli biec, przynajmniej chwilami, bo i on większość trasy pokonał biegiem. Nie wspomagali oczu magią, ale blasku pochodni i księżycy w zupełności im wystarczało. Las był rzadki, złożony ze starych dębów, między którymi, zapewne z winy ryjących co rusz dzików, nic godnego uwagi już później nie wyrosło.

Paskudny las. W rejonach oddalonych od cywilizacji właśnie takie straszyły szkieletami, bielejącymi w koronach drzew. Dzik to zdobycz trudniejsza od woźnicy - spróbuj powiesić za szyję dziką świnię - więc gałęźnic bywało w takich lasach mniej, za to te, które już bywały, musiały być silniejsze od typowych albo sprytniejsze, albo choć bardziej zgrane w ramach polującego wspólnie stada. Tak czy inaczej: niebezpieczne.

To z myślą o nich Pirr napoił Debrena całym zapasem wspomagacza. Łosiowe Stopy nie wymagały wielkiego wydatku mocy i tym, co Debren uciulał, poradziłyby sobie bez eliksirów. Ale już na leśne biesy, no i na ścigających, trzeba było mieć energożerne pioruny lub błyskawice.

Wypił więc wszystko, choć Factorby, jak to on, nie popisał się w roli kompozytora smaków i eliksir kojarzył się Debrenowi z nalewką na szczybach. Ale może to zapach. I nie samego eliksiru. Może to jego ubranie tak zajeżdżało, po wizycie w lochu. No, albo sakwa z księgami.

Nie miał kiedy sprawdzać. Biegł tam, gdzie się dało; przez wały jeżyn przeciskał się na czworakach w tempie młodego dzika - a i tak odgłosy pogoni nie cichły. Niby dobrze, to znaczy, że nie poznali się na podstępie, nie zwątpili w sens ścigania kogoś, kto, zamiast do smoka, zmierzał ku granicy rezerwatu. Ale z pacierza na pacierz zaczynał się coraz bardziej niepokoić.

Zakładanie na nogi zaklęcia musi potrwać. Nie pamiętał, ile. A

miał nad ścigającymi przewagę na tyle małą, że słyszał szczekanie psa. Czyli chyba za małą. Chyba. Nigdy się nie zastanawiał nad takimi rzeczami.

Dżuma i syfilis. Wszystko z powodu Ammy, a ona nawet... No, pocałować na pożegnanie nie mogła. Ale, powiedzmy, przytulić? Tymczasem nic z tego.

Odeszła. Znikła z jego życia. Ot tak, po prostu.

Dżuma i syfilis, jakie to ma znaczenie? Było, minęło. A teraz kupa zawodowych zabójców goni go przez las.

Na szczęście wspomagacz Factorby'ego faktycznie wspomógł czarowanie. Mimo słabnących nóg oraz rwącego się oddechu, mocy Debrenowi starczało. I na sobie widzenie, i na kilka błyskawic, którymi mógł ostrzegawczo smagnąć parę podejrzanych gałęzi oraz jedną mackę, ewidentnie zwisającą w zasadzce. Co prawda był już tak zziajany, wbiegając pod to drzewo, że niemal uderzył czołem w swój niedoszły stryczek - ale gałęźnica, okazuje się, też się zagapiła i nie wykorzystała okazji. Umknęła w górę, nim w ogóle poderwał różdżkę. Chyba przeraził ją, i to jeszcze nie czarem, a samym sobą.

Dziwaczny przypadek: nigdy nie słyszał, by miały w zwyczaju przysypiać albo pogrążyć się w zadumie akurat w trakcie polowania, z kończynami zawieszonymi tuż nad drogą czy ścieżką. Może padło na zniedołężniałą starowinę.

Potem już uważał. Jeśli nie mógł ominąć niskiej, mocno oblepionej listowiem gałęzi - słał przodem czar.

Rozbłyśki oczywiście go zdemaskowały - czego dowodem podniecenie w okrzykach z tyłu - warto jednak było. Aż trzy razy przebiegł pod konarami, z których coś w pośpiechu umknęło. Gdyby nie magia, stado pewnie by zaatakowało. Bo to ze stadem miał do czynienia. Za dużo tych spotkań jak na samotne biesy, kolejno budzone tupotem nóg. Żaden las nie wyżywi tylu drapieżców na tylu

przypadkowo wybranych drzewach. Po prostu pająkkształtni łowcy potrafili poruszać się po koronach drzew szybciej, niż on po ziemi, koordynować działania i wyprzedzać potencjalną ofiarę na tyle, by co pewien czas zastawiać pułapki.

Przebił się przez wszystkie. Bestie bały się go, czuły, że coś jest nie tak. Raz i drugi ustąpiły pola, nim w ogóle je wypatrzył i zabrał się do rzucania zaklęcia - a mimo wszystko ponawiały próby. Instynkt łowcy brał górę nad strachem i dopiero gdy ofiara docierała na odległość paru kroków, odwaga się kończyła, a potwór śmigał w panice wysoko na drzewo.

Uparte jednak były, długo nie rezygnowały. I dobrze. Z nim omal im nie wyszło, więc wozobrońcom, gorzej widzącym w mroku, powinny dać się we znaki. Tamtych było więcej, więc udanego polowania gałęźnicom nie wróżył - ale już same próby spowolnią pościg.

Po półmilowych podchodach biesy faktycznie zmieniły plany łowieckie. Usłyszał ostrzegawczy okrzyk, gwałtowne psie ujadanie i odgłosy walki. Na brzeg płaskowyżu, a zarazem skraj bagien dobiegł niemal zadowolony.

Może z tej ulgi, może ze zmęczenia, a może z winy kawałka otwartego nieba nad głową zapomniał o ostrożności. Zawinił też pośpiech. Gdyby miał czas pomyśleć...

Nie miał, więc po prostu zbiegł z urwiska tak, jak było najwygodniej, piaszczystym żlebem, którym pewnie chodziły do wodopoju okoliczne zwierzęta. Gałęzie tam nie sięgały, poczuł się bezpieczny, myślami był już na dole, przy bagnie i Łosiowych Stopach.

I właśnie tam, w połowie zejścia, zniecka zapadła się pod nim ziemia.

Na szczęście bestia, czymkolwiek była, ambitnie czyhała na dziki

i to do nich dostosowała rozmiary pułapki. Zamiast złamać goleń w ciasnej, lecz głębokiej dziurze, w której utknąłby zajęc czy sarnie nogi, Debren wpakował się obunóż do względnie płytkiego, za to obszernego wykopu. Dzika świnia miała w nim zaryć na parę kluczowych momentów swym masywnym łbem i króciutkimi kończynami. Człowiekowi idącemu wiele by to nie pomogło, bo oprócz zamaskowanego wykopu na ofiarę czyhał sam gospodarz. Debren jednak nie schodził, a zbiegał, więc z rozpędu poleciał szczupakiem naprzód, a nie pionowo w dół.

Potwór spóźnił się z reakcją. Zamiast zębami czy ich odpowiednikiem, chwycił odlatującą kończynę przednimi odnóżami, co wprawdzie chłopaka zastopowało, lecz już poza obrębem wykopu.

Debren, jeszcze nim rymnął o ziemię, wierzgnął wolną nogą. Trafił, a tamten nie zdołał chapnąć stopy paszczą. Może nie miał dostatecznie wielkiej? Może wcale nie był duży i tylko przerażenie ofiary rozděło go do rozmiarów wieprza? Może kopniak zdołał go oszołomić? Debren nie miał pojęcia, co go zaatakowało i czy to czarne, wciągające pod ziemię, to już cały bies czy tylko, powiedzmy, macka, łapa lub chwytaaczka skrytego we wnętrzach skarpy, naprawdę gigantycznego monstrum.

Nie miało to znaczenia. Mógł zrobić tylko jedno.

Błyskawica. Taka jak te do odpędzania, choć przecież nie zabijania, gałęźnic.

Rąbnął więc energooszczędną błyskawicą, bo tak było najszybciej. W ostatnim stosownym momencie: czarne wyłaziło z nory, podciągając się na jego nodze. W chwili aktywacji czaru pysk potwora miał już na wysokości uda, a na ponowne kopnięcie ani miejsca, ani czasu. Tak naprawdę, nie powinien też mieć przyrodzenia, bo potwór tym razem popisał się szybkością i zyskał

okazję do wbicia kłów w to najwrażliwsze z męskich miejsc. Chyba zastopowała go sakwa z księgami. Zaplątała się między ofiarę a napastnika, zdezorientowała go, sprawiła, że zamarł na decydujący o wszystkim moment.

Chwalić Boga, choć podziemny, miał ślepie. Tyle Debren zdołał wypatrzeć w nagłym rozbłysku: odbicie światła w czymś lśniącym, co służyło do patrzenia. A oberwać błyskawicą po oczach, po wyjściu z podziemnego mroku...

Nic dziwnego, że biesa wymiotło z powrotem pod ziemię i że była to ucieczka z gatunku sromotnych. Uwolniony nagle Debren poszorował brzuchem po dnie żlebu, zjechał ze dwa sążnie, obrócił się na wznak, próbował wstawać, wywalił się na stromym, zjechał następny sążeń. Ale ledwie wyhamował, zerwał się i, po chwili wahania, pognął z powrotem na górę.

Za późno. Czarne znikło z wilczego dołu. W ścianie wykopu ziała równie czarna dziura, prowadząca do głównej nory, ukrytej pewnie głęboko, głęboko pod ziemią.

- Ty wszawy, łajnożerny, w rzyć chędożony...

Ugryzł się w język. Czarodziej nie klnie przy robocie. Fakt, trzeba mieć niesamowitego pecha, by bluzgi i złorzeczenia zgrały się merytorycznie z jakąś magiczną formułą - ale odnotowano takie przypadki i skutki były okropne.

Poza tym - nie miał czasu stać tu i rozpaczać nad rozlanym mlekiem. Choć w kategoriach mleczarstwa spotkało go coś porównywalnego ze zdechnięciem jedynej krowy.

Ten wszawy bies, nim czmychnął, capnął jego różdżkę. Bezmyślnie, odruchowo - ale jaka to różnica?

Na polu bitwy czarodziej bez różdżki jest jak procarz bez procy, z samymi kamieniami. Niby nadal może przywalić wrogom, nawet na śmierć - tyle że z bliska, słabiej i mniej precyzyjnie. Inaczej mówiąc:

praktycznie dał się rozbroić.

Potem zaliczył kolejną wpadkę: wyciągnął księgę, sprawdził formułę i rzucił czar tak szybko, że dorobił się Łosiowych Stóp jeszcze na płyciźnie. Niby nic w tym złego, bo na nieznanym bagnie lepiej dmuchać na zimne, ale ponieważ - zgodnie z dopiskiem pod zaklęciem - przezornie zaopatrzył się też w kij, przez następne pół kopy kroków każde dźgnięcie w błoto potęgowało gorycz.

Wody i mułu było tu ledwie do pół łydki - spokojnie przebiegłby do pierwszej wysepki. Na wielkich, plackowatych płatach pola siłowego też naturalnie tam dotarł, ale znacznie później, wkładając niepotrzebnie wiele wysiłku w podtrzymywanie czaru, odrywanie go od błota i rozgarnianie nim wody. Jakby tego było mało, przekonał się - czego w dopiskach i komentarzach już nie raczono dopisać i skomentować - że zaklęcie, choć zapewne rewelacyjne na nieprzebytych moczarach, gorzej sprawdza się na tych płytszych i przez to zarośniętych. Pole, wchodząc z błotem w relację odpychania, już na czystą wodę miało nie reagować (w uwagach dopisano: „Niestety”), ale na zasadzie efektu ubocznego i niepożądanego, trochę reagowało ze wszystkim, co materialne. Debren zdrowo się więc naszarpał, wlokąc ciężkie jak kamienie stopy przez wodorosty, trzciny i rosnące na płyciźnie krzaki.

Miał wrażenie, że ciągnie za sobą dwie żelazne kule, jak szczególnie groźny skazaniec. Gdyby nie kij, upadłby kilka razy. Nie umiał znaleźć równowagi między prącym do przodu ciałem a stopami, które to ślizgały się gładko, gdy pole cięło wodę wąską krawędzią, to znienacka hamowały, gdy dołem zassało błotną gładź lub zgięło się i, niczym żagiel wiatr, łapało opór materii.

Pokonanie tych trzydziestu kroków kosztowało go więcej wysiłku i nerwów niż wspinaczka na drzewo identycznej wysokości. To dlatego na wysepce dezaktywował zaklęcie. Uznał, że łatwiej i

szybciej będzie przebiec przez barykady obumarłych gałęzi i lasek sitowia, a kolejny czar nałożyć po drugiej stronie.

Może faktycznie było szybciej. Ale sporo czasu mu przy tym zeszło. Wbrew zasadzie, by nie kombinować przy świeżo poznanym zaklęciu, próbował nieco zmienić kształt pól zamocowanych do stóp, no i schrzanił aż dwa podejścia. Za pierwszym razem to przy lewej nodze ślizgało się wprawdzie jak płoza w dobrych saniach, za to prawe utkwilo w czymś i ani drgnęło. Za drugim pola skleiły się i próbując zrobić pierwszy krok, Debren wyłożył się jak długi. Tyle dobrego, że czarował z pamięci, sakwę zdążył zamknąć i nie zalał książek.

Roztrzęsiony kolejnymi wpadkami, nie ryzykował więcej: wyjął księgę i przywołał Łosiowe Stopy, czytając bezpośrednio z pergaminu, wolno, uważnie, runa po runie.

Potem przebrnął do kolejnej suchej kępy. Już przez porządne, głębokie mokradło, w którym bez pomocy magii można by utknąć, a nawet utonąć. Poszło lepiej, szybciej, zaczął łapać metodę, a uboższa roślinność stwarzała mniej problemów. Ale zło już się dokonało.

Zabrakło mu kilkudziesięciu stóp, po przebyciu których stałby się niewidoczny z południowego brzegu. I szczęście też mu nie dopisało. Bo samych pochodni oraz ludzkich oczu mimo wszystko tamtym chyba by nie wystarczyło. Mokradła poprzetykane były wysepkami, na wysepkach rosły drzewa, ich korony zatrzymywały księżycowe światło i Debren miał szansę pozostać niezauważonym.

Tyle że nie sami ludzie przybiegli tu za nim. Były też psy (trzy?!), które zwęszyły znajomy zapach i zanosły się ujadaniem - oraz...

Keloalen?!

Do szczęścia zabrakło dosłownie paru kroków. Tuż przed Debrenem wyrastała z toni spora wyspa, konary porastających ją

drzew już teraz sięgały nad jego głowę, a skalne zęby, pnie i zarośla osłoniłyby go, gdyby tylko zdołał dobrnąć do brzegu. Kiedy jednak obejrzał się przez ramię, elf jedną ręką wskazywał towarzyszom kierunek, drugą wyciągał z sajdaka kompozytowy łuk - i na wszelkie: „Co by było, gdyby” oraz: „Co on tu, cholera, robi?” zrobiło się za późno.

Mógł dać się zastrzelić albo walczyć.

Obrócił się, zawadzając prawym polem o lewą łydkę. Cudem utrzymał równowagę, wymierzył z kija, zaczerpnął, ile mógł, mocy ognia i posłał elfowi błyskawicę.

Jak na przypadkowo znaną, ubłoconą, na pół spróchniałą gałąź i taką odległość - wyszło nawet niezłe. Wyładowanie minęło wprawdzie elfa o szerokość tuzina stojących w szeregu elfów, przypaliło za to krzak, spektakularnie, sypiąc iskrami i odłamkami, okorowało rosnące dalej drzewo, a resztką mocy wzbiło z urwiska potężną chmurę kurzu. Keloalen padł na kolana, ktoś na brzuch, jeden z ludzi krzyknął, inny instynktownie wygarnął z kuszy w mrok. Psy zaczęły ujadać i skomleć.

- Czary, kryć się! - darł się któryś z wozobrońców.

Krycia się Debren już nie obejrzał: magie wody i ognia weszły w kolizję, w głowie mu zaszumiało, Łosiowe Stopy nagle odeszły w niebyt, a on, z okrzykiem strachu i sercem w gardle, zapadł się w bagno.

Głębokie tu było. Niby wysepka tuż obok, a od razu ugrzązł po pachy. I bynajmniej nie zastopował go twardszy grunt pod nogami - bo i tam było tylko błoto. Ocalił go, choć pewnie nie na długo, kij.

Trafił nim, kawałek z boku, w coś stałego, co nie ustąpiło pod naciskiem. A dokładniej: nie od razu. Bo potem, kiedy Debren próbował się odpychać - i owszem.

Znieruchomiał, przerażony. Twarde, a tonie. Przez moment

wyobraźnia podpowiadała kolejnego żółwijca. Ale to oczywiście nie to. Raczej odłamana gałąź, których mnóstwo wałało się po moczarach, zapadając się z czasem coraz głębiej i ginąc z oczu. Ale przez jakiś czas, nim zbutwiały, wzbogacając pokłady mułu, unosiły się gdzieś tam, w połowie drogi między wodną taflą a dnem mokradła.

Jaki nacisk może znieść takie coś?

- Szyj! - upomniał się ktoś daleko, w innym świecie, który nic Debrena nie obchodził. - Czemu nie szyjesz?

Jeśli nawet Keloalen odpowiedział, jego słowa umknęły uwadze tonącego chłopaka. Bo tonął. Wolno, to fakt. Kij prawie hamował ten proces, bezruch mu trochę pomagał, sakwa Purchawca chyba też, choć gdyby mógł, uwolniłby się od niej - ale zapadał się i czuł to wyraźnie.

Dziwne, że akurat wtedy spłynęło na niego opanowanie.

Bo rozumiał, że już po nim. Pierwsza wysepka i trzciny trochę przesłaniały widok, ale widział i pochodnie, i czubek głowy klęczącego w pozycji strzeleckiej Keloalena. Co znaczyło, że także elf, gdy tylko wstanie, wypatrzy jego sterczące z błota popiersie i bez trudu naszpikuje dowolną liczbą strzał. Elfy nieźle widzą w ciemnościach, a z łuku strzelają znacznie lepiej niż nieźle.

Debren rozważał dostępne możliwości.

Ponowne przywołanie czaru i ucieczka? Wykluczone: po pierwsze to domena wody, nawet dla ekspertów trudna z uwagi na swą niestabilność. Ta część mocy wymknęła mu się i nie uzbiera dostatecznie szybko odpowiedniej dawki. Ale nawet gdyby - nie ma sensu przywoływać Łosiovych Stóp, bo teraz, gdy nogi miał głęboko w błocie, czar wprawdzie powstrzymałby go przed zapadaniem się, lecz równie skutecznie blokowałby ruch w górę.

Po drugie - ci na brzegu. Keloalen właściwie, bo ludzie chyba nie

wypatrzą go z tej odległości. Ale sam elf wystarczy, by zabić. Poza tym, gdyby łuku było mało, wystarczy, że wskaże tamtym kierunek: mieli czas, mieli pewnie zapas bełtów, więc jak nie pierwszą, to dziesiątą salwą trafią w niewidoczny cel. Tak, to Keloalena należało się pozbyć w pierwszej kolejności.

Proste, oczywiste - i niewykonalne. Debren owszem, utrzymał nad powierzchnią bagna lewą rękę i może nawet wygiąłby ją na tyle, by skierować palce z grubsza, gdzie należy. Ale powalić kogoś czarem z palca, z tej odległości... Nierealne. W dodatku, ledwie spróbował ułożyć rękę inaczej, dookoła zabulgotało, zaśmierdziało błotnym gazem, a on osunął się ćwierć łokcia niżej.

Nad powierzchnię wystawała już tylko głowa.

- Poddaj się! - dobiegł go twardy, ale i podszyty odrobiną niepewności okrzyk elfa. - Mamy amulety!

- I pochłaniacze mocy! - dorzucił Kobert.

Widzą go? Raczej nie. Strzelaliby, zamiast wołać. Dobrze mu wyszła ta błyskawica, zrobiła wrażenie. Nadal się chowali. Chociaż...

- I w nikogo żeś nie pocelował, szczyłu! - dorzucił triumfalnie nieznany Debrenowi głos. - Dalej, chłopcy! Z kuszy go! I w stodołę młokos nie trafi!

Psy nadal ujadły. Co najmniej dwa. Ale raczej trzy, bo skomlał jeszcze inny. Zdumiałby się, bo niby skąd aż tyle, skoro dwa Pirr zatłukł kilofem - tyle że nie było czasu myśleć o psach.

Tonął. Dwa pacierze, nie więcej. Potem nad nosem zamknie się tafla mulistej wody i...

Pirr. I eliksir Pirra. Ten drugi, na czarną klepsydrę. Chyba już nie może być czarniejszej.

Skłamał w sprawie psów. W smoczym rezerwacie trudno liczyć na zdobycie dwóch nowych w miejsce zatłuczonych kilofem. Zmyślił

też kilof. Nie przegapiliby z Ammą tak dużego narzędzia.

Nieważne. Nic już nie było ważne. Poza eliksirem.

Ostrożnie, jedną dłonią wystającą z błota, otwierał sakwę, wyjmował flakon, rozkładał karteluszek z formułą.

Wielkich nadziei sobie nie robił. Wiarygodność Pirra zesłała właśnie, nomen omen, na psy. A eliksir - nagle to zrozumiał - był prawdopodobnie tym samym cholerstwem, które garbus zaaplikował Puchaczowi.

Mikstura do morderczej jazdy konnej, po której wierzchowiec, tyle że ludzki, nic nie pamięta? Innymi słowami, ale co do faktów dokładnie tak samo, opisywano osławiony eliksir gwałtu. Złowrogą potworność, którą matki straszyły dorastających synów, a zapłakane żony młodych mężów, wymykających się do karczmy. Bo w karczmach, jak głosiła ponura wieść, coraz częściej podstępne czarownice dolewały nieszczęśnikom do piwa wywaru, czyniącego z nich bezwolne, za to jurne zabawki do dudkania. Pół biedy, gdy na samą wiedźmę padło: ta ciągnęła młodzika gdzieś na odludzie, wykorzystywała i porzucała, zhańbionego, słaniającego się na nogach, z dziurą w pamięci, lecz zasadniczo całego i zdrowego. Zwykle też bez głębokiej traumy w podświadomości, bo, dla spotęgowania własnej przyjemności, czarownica przeważnie upiększała się czarami i psychika porwanego doznawała mniejszych cierpień. Gorzej, gdy z czasem eliksir zaczął trafiać w ręce chutliwych staruch. Te zbierały się w szajki - zakup specyfiku wypadał wtedy taniej - by potem, jedna po drugiej, korzystać ze zdobyczy tak intensywnie, że mało któremu z uprowadzonych udawało się przeżyć orgię. Zaś ci, którzy przeżyli, nabawiali się trwałą impotencją, ciężkiego babowstrętu i na dodatek paru wstydliwych chorób. Podmywali się też co rusz mydłem i w ciepłej wodzie, co biło rodziny po sakiewce i okrywało hańbą.

Pirr, jak niejeden Anvash z wyższych sfer, mógł gustować w chłopcach i korzystać z tego paskudztwa identycznie jak więdźmy. Mógł teź eksperymentować z nim przy kobietach: Debren nie za bardzo wiedział, jak można by wykorzystać część składników, która dodawała gwałconemu mężczyźnie jurności - tradycja machrusańska głosi, że kobieta jedyną satysfakcję czerpie z myśli o poczęciu, no, w ostateczności, o dostarczeniu rozkoszy mężowi - ale nie musiał wysilać wyobraźni w kwestii wymazywacza pamięci. Z ladacznic pewnie co druga za odpowiednią stawkę zgodziłaby się iść do łóżka z paskudnym garbusem, ale gdyby Pirrowi wpadła w oko normalna dziewczyna, podstępny gwałt był jego jedyną szansą. No, a gwałciciela najskuteczniej uchroni amnezja ofiary.

Pirr mógł teź mówić prawdę. Specyfik, wzmacniając jurność, sił jako takich teź pewnie dodawał, co mogło się przydać jeźdźcowi. Nawet amnezja konia była korzystna: zwierzę, choćby je niemal na śmierć zajeździć, nie obrazi się na pana. Co prawda, konie chyba nie mają tego zwyczaju - Debren nie był pewien - ale Pirra jego karosz wyraźnie nie lubił, więc tu akurat...

Za duzo niewiadomych. Mając wybór... Ale nie miał wyboru. Odczytał formułę, opróżnił flakon i zastygł, o kilka palców głębiej niż na początku operacji.

Woda sięgała mu teraz podbródka.

- Utonął?

- Fale się rozchodzą - dobiegła go odpowiedź Keloalena. - Jeszcze się rusza.

Jego samego nie widzieli, ale bajorko, pogrązone w wiecznym bezruchu, było fatalnym miejscem do dyskretnego poruszania się.

- Hej, ty, Debren! - zawołał Kobert. - Poddaj się, to cię wyciągniemy!

Debren omal nie odpowiedział. Pewnie chodziło o ustalenie

kierunku i zasypanie go bełtami, ale co tam. Bełt w mózgu jest lepszy od wody i błota w płucach. Poza tym, by wyciągać, mogli użyć liny. Gdyby rzucili mu linę, a on zdołał ich zaskoczyć, szarpnąć i przyciągnąć ją do siebie... Mała szansa, prawda. A szansa, że nie zanurzy się przy tym głębiej, nie utonie, tylko zdoła potem zarzucić linę na ten konar w górze, to już w ogóle jedna na tysiąc. Ale co miał do stracenia?

Otwierał już usta - kiedy poczuł...

Nie miał pewności, co konkretnie. Zakręciło mu się w głowie, zabrakło tchu i jakby... wzlatywał? Gaz błotny go podtruł i wypierał? Słyszał o bąblach, zbierających się w głębi moczarów i potrafiących eksplodować z nienacką, często paskudnie, prosto pod nogi i w twarz pechowego wędrowca, który nakłuł kijem z pozoru twarde dno. O błotodysznych biesach też słyszał i przez chwilę, w przypływie paniki, właśnie któremuś z nich przypisywał fakt, że się unosi. Coś podlaźło mu pod nogi, wyczuło obecność, zaczęło się wynurzać...

Odruchowo dźgnął kijem w obronie stóp, które tamto coś pewnie zamierzało poodgryzać, pooplatać mackami. Nie wrzasnął, że się poddaje albo nawet, by strzelali, bo po prostu tchu mu zabrakło.

- Rusza się! - alarmował Kobert. - Patrzajta, jaka fala! Rychtować kusze! I amulety!

Ostatnie, co Debren zapamiętał, to widok Keloalena. Elf, zamiast z łuku, mierzył do niego z czegoś trzymanego oburącz, chyba zwisającego z szyi.

Potem bagno pomknęło w dół, poczuł uderzenie w głowę i świat pogrążył się w mroku.



Było ciepło, dobrym, słonecznym ciepłem, które nadeszło po zbyt zimnej, nieprzespanej nocy. Był też ból. Właściwie wszystkiego, od głowy poczynając, a na stopach kończąc. Choć najbardziej dokuczały, pewnie dlatego, że świeże, siniaki na bokach.

Nie widział ich, nic nie pamiętał, ale od razu zrozumiał, skąd się wzięły, no i że muszą tam być. Ktoś go mianowicie skopał, i to solidnie.

Siedział oparty o młody grab, wysunięty kilkanaście sążni przed skraj lasu. Przed sobą miał stajanie, może dwieście kroków wrzosowiska. Za plecami, a także o kopę kroków z lewej i prawej, szumiała wiekowa puszcza, w której ptaki zwoływały się do porannych łowów. Z przodu, na wschodzie, słońce wychylało zza skalistego wzgórza połówkę czerwonej tarczy. Tam, gdzie nie było skał, wzniesienie porosło krzewami, więc Debren od razu wypatrzył wydeptaną pośród zieleni drogę. Łączyła kamienną platformę, wieńczącą wzniesienie, z pieczarą u jego stóp.

Nawet gdyby smok okazał się schludny, chodził jadać i wypróżniać się gdzieś dalej, Debren i tak domyśliłby się, na co patrzy. Ale smok miał trzysta lat i, jak wielu starcom, zwłaszcza samotnym, nie zależało mu już na robieniu dobrego wrażenia. Przed wejściem do jaskini bieliły się sterty i całe dywany z kości i czaszek oraz zieleniły radosną, przygnojówkową zielenią skupiska roślinności, ochoczo wyrastającej na stertach smoczego nawozu.

Czyli: smocza kwatery. I odskocznia na szczycie. Smoki-latacze, nawet młode i energiczne, lubiły ułatwiać sobie starty, wyruszając do lotu z takich właśnie miejsc.

Ku wzgórzu, z lasu za plecami Debrena, więc od bramy rezerwatu, wiodła słabo widoczna dróżka. Pewnie ta, którą strażnicy przywozili smokowi żywność. To właśnie na dróżce wozobroncy zatrzymali i wyprzęgli swój furgon.

Skalna platforma była pusta, przed jamą też ani śladu smoka, ale tak czy inaczej ognisko, kociołek z bulgocącą kaszą i wyprężony kryty wóz zupełnie nie pasowały do takiego tła. Może gdyby z furgonu zwisały szczątki martwej bestii, a biwakujący opijali zwycięstwo... Ale nie: cięższa broń leżała na podorędziu, co drugie spojrzenie kierowano ku jaskini, na głowach wozobrońców lśniły hełmy, niżej pancerze i skórzane ochraniacze, a łby uwiązanych w lesie koni okryto derkami, by oszczędzić zwierzętom zbędnego strachu. Sakwę Debrena ktoś bezceremonialnie opróżnił - pewnie szukał różdżki - wysypując księgi między trawy i wrzosa. Mogły być cenną zdobyczą, a jednak leżały bezładnie obok wozu, pootwierane przy upadku. Nie padało, więc niby mogły poczekać. Ale wszystko to dowodziło, że ludzie Boomhonsa nie myślą jeszcze o gromadzeniu łupów.

Czyli: do bitwy, póki co, nie doszło.

- O! - ucieszył się Puchacz. - Obudził się!

Podszedł do chłopaka i podsunął mu własny, w połowie opróżniony kubek. Debren sam by naczynia nie uniósł. Ręce skrępowano mu za plecami i od łokci w dół niemal ich nie czuł.

Dygotał w przemoczonym ubraniu, jednak piwa, choć zimne, napił się z ochotą. Dla nabrania odwagi.

Złapali go. I chyba tylko jego. Nic nie wskazywało, by Pirr i Amma dostali się w ich ręce. Byli tu wszyscy: cały półtuzin wozobrońców, a także śpiąca pod wozem Burona, zielonooka dajka, elf Keloalen oraz trzy conshońskie owczarki. Tylko sokoła brakowało. Całe towarzystwo, z wyjątkiem Kuleczki, który ukradkiem wyjrzał spod płachty wozu, siedziało wokół ogniska, posilało się suchym prowiantem i czekało na kaszę. Nie ma mowy, by dwójkę jeńców zaprowadzono gdzieś dalej i zostawiono bez straży. Mogli co prawda przebywać w wozie, ale raczej nie. Przeszkadzaliby w

obsłudze balisty.

Boomhons nawet nie musiał wstawać, by rozpocząć przesłuchanie. Choć rozpoczął fachowo, waląc jeńca po łbie, co miało mu uświadomić, kto tu rządzi.

Tym razem jeszcze nie bolało: użył do rzutu nie całkiem obgryzionego, kurzego uda. Puchacz, trafiony rykoszetem, odsunął się szybko.

- Masz gadać - oznajmił Boomhons. - Jak nam pomożesz, to cię oszczędzę. Niewiast i dzieci staram się nie zabijać. Klienci coraz częściej nosem na to kręcą. Poprawność polityczna, rozumiesz.

- Mam siedemnaście lat. - Debren sam nie był pewien, co chce przez to powiedzieć.

Keloalen, siedzący na dyszlu, wstał i ruszył w jego stronę. Sajdak z kompozytowym łukiem kołysał mu się u biodra, wesoło migotały opierzenia strzał. Spod kołnierza błysnęło złotem łańcucha. Tego od amuletu. Samego amuletu Debren i tym razem nie miał okazji obejrzeć.

- Pozwolisz, mistrzu Boomhons? - Elf, nie czekając na zgodę, stanął nad Debrenem. - Też mam pytanie, istotne dla Trickle. Gdzie jest ten garbaty pyskacz, chłopcze?

- Pirr?

- Dokop mu - doradził Boomhons. - Pytaniem na pytanie niegrzecznie odpowiadać, a już szczególnie głupim.

- Nie wiem - powiedział szybko Debren. - Gałęźnice nas opadły... Spanikowaliśmy i każdy pognął w swoją stronę.

- Pognął, powiadasz. - Keloalen nie skorzystał z podpowiedzi i nie kopał. - Pewien jesteś?

- Mało nóg nie połamał.

- Nóg, powiadasz? Taaak... - Elf odczekał chwilę. - To jak wyjaśnisz - wskazał owczarki, siedzące dookoła ludzkiego kręgu i

cierpliwie oczekujące resztek - że się psom trop urwał? I w żadnej wodzie: na suchym. Był, był i nagle... To twoja robota? - zapytał myląc łagodnym tonem. - Czarów użyłeś, to sam wiem. Pytam: jakich?

- Dokop mu - powtórzył Boomhons. - Jenó nie za mocno. Bo go chcę o poważne rzeczy wypytać.

- W ogóle nie kopcie - bąknął Puchacz. I, ośmielony brakiem reakcji, dodał: - To magik, we łbie ma inaczej poukładane niż my. Od samego myślenia omdleć potrafi, taki to dla maga wysiłek. Puknąć takiego, a weźmie i zemrze. Sami widzieliście - popatrzył po kompanach. - Lekko o gałąź tryknął, a przez pół nocy nieprzytomny.

- Udawał - rzuciła oskarżycielsko zielonooka. - Już ja wiem, jak takie żaki robią. Na noc cię najmie, razem z izbą w zajeździe, do świtu na tobie używa, aż siennik potem do szycia, a rano niby zasypia. I jak ty razem z nim, naiwna, zaśniesz, możesz być pewna, że się bez płacenia wymknie. Takie z nich, żaków chędożonych...

- Milcz, durna! - warknął Hadgold. - Już ja wiem, jak symulanta kopać. Jakem dziesiętnikował w łucznicach, co rusz jeden z drugim zasraniec padał i udawał, że go marimalski mag czarem poraził. Więc nas specjalnie szkolili, gdzie przykopać, by krzywdy nie uczynić, a symulanta na nogi postawić.

Zaskoczył Debrena. Boki bolały, wewnętrznych obrażeń chyba nie doznał, czyli Przyłbica nie chwalił się bezpodstawnie. Naprawdę postawiłby na nogi każdego, kto miał w sobie choć trochę przytomności. Sądząc po ilości skopanych miejsc, sprawdzał stan jeńca nie jeden raz, pewnie co klepsydrę - i nic?

Co się, do licha, stało tam, na bagnach? Czym mu przyłożył ten cholerny elf? Bo to, ani chybi, robota jego amuletów. Debren oberwał po głowie, świeży guz dowodem, ale od takiego guza nie mdleje się na całe klepsydry. To czary. Czuł ich posmak. Resztki osadu zostały

w mózgu. Czarna magia, domena ziemi, tyle umiał ustalić. Ale poza tym coś obcego, całkiem nieznanego. Magia elfów.

- Poważne - pouczył Boomhonsa Keloalen - to są interesy mego stronnictwa. Twoich klientów, przypomnę. To oni cię najęli i oni oczekują korzyści. A co najmniej braku strat. Byłoby zaś stratą niepowetowaną, gdyby Pirr wrócił żywy do Trickleley i zaczął zeznawać.

- Ubijemy smoka - wzruszył ramionami Boomhons - burmistrz ze stołka zleci, twoje liberały władzę przejmą, a wtedy pies z kulawą nogą nie zechce słuchać...

- Póki smok żywy, wolałbym Pirra martwego. A i po wszystkim, prawdę mówiąc, też. Nie zapominaj, że wysieklicie królewską straż. Owszem, spreparuje się dowody ich kolaboracji ze smokiem, dostarczania mu dziewic i szkodliwych owiec. Ale wszyscy łatwiej to przełkną, jeśli nikt poważny nie będzie rozповідаł, że było inaczej.

- Trza było sokoła pilnować - zarechotał Hadgold. - A tak odleciał i nie ma kto jurysty tropić.

- Pirr jest ranny. Ciężko. Nie mógł uciec. Ukrył się. A on - elf trącił cizmą Debrena - wie, gdzie.

- Nie mam pojęcia - zapewnił Debren. - I nie macie racji względem jego rany. Lekka jest. Uciekli i są daleko. Pewnie właśnie donoszą o was szeryfowi. Założę się.

- Nie radzę - ostrzegł go Keloalen. Sięgnął jednak do sakiewki. Wyjął z niej coś małego, podsunął chłopakowi pod nos. - Co to jest, twoim zdaniem?

- Kawałek kości... I co to niby ma do rzeczy?

- Znalazłem go w wieży. Zakrwawiony był, leżał obok zakrwawionych szarpi i bełtu tego nieudacznika. - Keloalen wskazał zmieszanego Puchacza. - Nie wiem, jak można z tuzina kroków aż tak spudłować, ale wiem, że przynajmniej w nogę ta łajza dobrze

trafiła.

Debren patrzył z niedowierzaniem. Potem go olśniło.

- To nie Pirra! Opatrywał krasnoluda, to na pewno...

- Też tak pomyślałem: kawałek krasnoludzkiego żebra. Dlatego obejrzałem zwłoki. Rozkroiłem nawet, by do środka zajrzeć. I wystaw sobie: nie. Kości nigdzie...

- Jem! - zaprotestował Kobert. - Musicie o krojeniu trupów gadać? I to jeszcze nieludzi?

- Właśnie, panie elf - poparł go Boomhons. - Nic zem nie mówił, gdyście bełty zbierali, bo wiem, że biegly balistyk może czasem po pocisku dojść, kto i z której broni strzelał. Chcecie ślady zacierać? Wasza sprawa. Ale do tego smarkacza też mam parę pytań, i to ważniejszych, więc bądźcie łaskawi...

- Pirr całkiem zgrabnie kuśtykał - upierał się przy swoim Debren. - Nie ma cudów, by z połamaną nogą. Ba, połamaną... Kawałka kości by mu brakowało. Z bólu by wył, to raz. A dwa, że by się wykrwawił, nerwy poszarpał, władzę w nodze postradał, bo takowy ostry szpikulec...

- Czarami - przerwał mu łagodnie elf - niejedno da się zdziałać. A ty jesteś czarodziejem.

- Pochlebiacie mi. Ale nawet nie znam nikogo, kto potrafiłby dokonać takich cudów. Ból zablokować? Owszem. Ale co z połamaną w szpic kością? To nie Pirra - potrząsnął głową. - Pewnie ktoś tam coś jadł, może szpik wydłubywał...

- Surowe? Świeżą krew na tym znalazłem.

- Komendant dyskretnie śniadał na uboczu - zakpił Boomhons. - Elfy z naturą się jednoczą, a cóż bardziej naturalnego niż surowe mięso? No, dość żartów - spoważniał. Wstał, podniósł kuszę, podszedł do nich. - Mów, smarkaczu, po coś tak naprawdę do smoka szedł.

No właśnie, smok. Debren chwilami zapominał o dziurze, ziejącej w zboczu góry. Jak dla niego, ludzie byli groźniejsi. Ale czemu wozobronców tak mało niepokoi sąsiedztwo smoczej jamy? Niby uważali, a stajanie to dostatecznie dużo, by wroga wypatrzeć, uszykować się i przygotować do walki - lecz przecież nie stamtąd nadciągnie zagrożenie! Skoro smok do tej pory nie zaatakował, musiał przebywać na polowaniu. A to oznacza, że pojawić się może z dowolnej strony.

Byli aż tak głupi, by tego rozumieć? Chyba nie, skoro rozbili biwak z dala od skraju lasu. Tu ich smok nie zaskoczy. Więc może to podstęp? Może chcą zmylić gada tym pozornym lekceważeniem?

- Porwała mnie. Widzieliście sami: kamrata wam ustrzeliła. Musiałem jej słuchać.

- Taaak... Uznajmy, że wierzę. Ale nim cię dziewczka porwała, burmistrz cię sprowadził. W jakim celu? I czy na pewno sam tylko burmistrz?

- Do czego zmierzasz? - zainteresował się Keloalen.

- Dało mi to myślenia to jego latanie na bagnach.

- Moje? - upewnił się Debren. Czyli jednak dobrze zapamiętał. Ale przecież... Zdziwiony, wskazał wzrokiem elfa. - To on mnie tak... Nie wiem, jakim czarem, ale to Keloalen... Z amuletu mi przywalił.

- Bzdura - prychnął elf. - Magią miotałeś, tom się amuletem osłonił. Nie wiem - popatrzył na Boomhonsa - może odbił zaklęcie. Ale guza chłopak sam sobie zafundował. Kryliśmy się przy ziemi, więc pewnie chciał nas czarem poderwać wyżej i tam piorunami spalić.

- Ja? - zaśmiał się gorzko Debren.

- A niby kto? - Keloalen posłał mu posępne spojrzenie. - Mnie nie zmylisz. Za długo w polityce siedzę. Smih byle kogo by do tej misji nie ściągnął.

- Hej! - ożywił się Patyczek. - A może by mu tak dłonie odciąć? Bo nas jeszcze jakimś czarem znienacka...

Debren czuł, jak bardzo blednie. Śmierć śmiercią, ale kalectwo, i to takie... Tak go zmroziło, że nawet nie potrafił... sam nie wiedział: protestować, błagać czy straszyć?

Na szczęście Boomhons nie wybierał się po topór.

- Wojownik z niego żaden. - Wzruszył ramionami. - Trzy razy żeśmy się starli i po trzykroć brał w łeb. A w najlepszym razie do wieży zmykał. Nie, Patyczek. Nie będę się ośmieszał, tnąc ręce każdemu szczeniakowi, który mógłby mi coś teoretycznie zrobić. Bo oni, gdy do praktyki przychodzi, w gacie jeno robią.

- Mógłby nam pomóc - wyczuł okazję Puchacz. - Mieć w odwodzie bojowy czar nigdy nie zawadzi.

- Chędożę jego bojowe czary. Spieprzy w krytycznym momencie, jak zawsze. No, ale te inne... Powiedz no, chłopcze - Boomhons uniósł podbródek jeńca, popatrzył mu w twarz - jak to jest z tym twoim lataniem?

- Ja nie latam, przysięgam! - Nawet święta prawda nie przechodziła łatwo przez ściśnięte strachem gardło.

- Ładnie tak łąć? A kto z bagna wzleciał i łbem o konar rąbnął? Kogo trzeba było na kiju taszczyć?

- No wiem, ale to... To nie mój czar! Dostałem eliksir, od Pirra. Na wzmocnienie. Koniowi go daje, dlatego najszybszego ma w całym Anvaszu. Odepchnąłem się, z całych sił, bom tonął, no i widocznie... Elik sir był dla konia, więc człowiekowi mógł dodać nadludzkich sił. Ale to nie żadne latanie, a jakby wyskok. - Najpierw się wygadał, a dopiero potem zastanowił, czy powinien. - Nie zadzierajcie lepiej z Pirrem. Widzicie, jakimi środkami dysponuje. Samobija ma, magiczne mikstury... Nie złapiecie go. A gdyby nawet, może wam czymś tak przywalić, że...

- Nie interesuje nas garbus. - Elf otwierał usta, by protestować, ale Boomhons zbył go machnięciem. - Na smoku się skup. Na jego lataniu i jego jurności.

Zaskoczenie, chyba bardziej niż gest, uciszyło Keloalena. Debren też niewiele rozumiał.

- Że jak?

- Nie kręć, chłopcze, bo z ekspertem rozmawiasz. Obaj wiemy, jakim sposobem tak ciężkie bydlę wzlatuje w powietrze. Lewitazyna. Cudowny składnik smoczej krwi. Ale co nieco już o nim wiemy. To choćby, że się jak nasienie wytwarza, od chuci. I że starcom, tak jak nasienia, coraz bardziej go z wiekiem brakuje.

- Nie znam się na...

- Ręk ci nie poobcinam, ale nogi już mogę. Na kikutach ciężko chodzić, więc raz-dwa sobie przypomnisz, jak latać. To jak będzie? Zaczyniesz gadać?

- Ja naprawdę nie...

- Hej, Hadgold, pozwól tu z czymś ostrym. - Łysol odłożył miskę, zaczął rozglądać się za jakimś katowskim narzędziem. - Berdysz nie, od wstrząsu gotów omdleć, słabowity jest. - Hadgold błysnął zębami i odczepił dwuręczną piłę, wiszącą przy burcie wozu. - O, lepiej. Więcej czasu, by gówniarz zmądrzał.

Debren, raczej głupiejac pod wpływem strachu, szarpnął się w więzach. Zdziałał tyle, że poczuł dłonie. Machrusie słodki... Całkiem odrętwiały. Nawet gdyby cudem zerwał sznury, najslabszego zaklęcia nie puści przez palce. A musiałyby najmocniejsze. Oprawców, licząc z zielonooką dajką, było ośmioro.

- To nic nie da - mruknął Keloalen.

- Hę? - Hadgold zmierzył go mrocznym spojrzeniem.

- Pirrowi uciszył ból w przestrelonej nodze, więc co dopiero samemu sobie. Będzie udawał, że cierpi, wrzeszczał, a w duchu się

z nas podśmiewał.

Łysol tylko parsknął pogardliwie, oparł piłę o ziemię, zaczął sprawdzać palcem stan zębów, wygrywając na wygiętym ostrzu ponurą melodię. Ale na Boomhonsie uwaga elfa zrobiła wrażenie.

- Coś w tym jest - mruknął.

- Obetnij mu ręce, mówię - nastawał Patyczek. - Dla maga to koniec kariery, tego na pewno się przelęknie.

- Kość Pirrowi zaleczył - przypomniał Puchacz.

- I co, myślisz, że obcięte dłonie zaleczy?

- A masz pewność, że nie?

Pewności nikt chyba nie miał, bo nikt się nie rwał z wyśmiewaniem. Debren czuł serce w przedsionku gardła, ale przynajmniej przestało wspinać się wyżej.

- No to - przerwał ponurą ciszę Patyczek - trza go straszyć wywałaszaniem. Nasz inwizytor mówił, że może i coś tam magia potrafi, ale w jednym magik Bogu nie dorówna. Mianowicie cudu tworzenia życia nie powtórzy.

- Że co? - zdziwił się Kobert.

- Jądra nikomu nie odrosną od czarów, bo to z jąder życie pochodzi. A tworzyć życie umie jeno Bóg.

Hadgold wyszczerzył radośnie zęby, odrzucił piłę, wyjął nóż, schylił się nad Debrenem, sięgając między jego uda. Chłopak próbował kopać, ale tylko rozbawił łysola.

Nie wybroniłby się. Gdyby nie Boomhons.

- Czeka, Przyłbica... Myśl niezła, ale po kolei. Wpierw chcę sprawdzić moją hipotezę.

- A jak to on ciebie zahipotezuje? - zaniepokoił się Kobert. - Chcesz z niego posłuszne narzędzie zrobić, by czarami raził smoka? Niegłupio, ale nie tędy droga. Na mózgi się z magikiem nie siłuj. Lepiej łańcucha użyj i dyszla. Raz widziałem...

- Durniu! - parsknął Puchacz. - Maga dyszłem tłuc? Po głowie pewnie? Już widzę, jak potem będzie czarować... A tak w ogóle to Boomhons nie o hipnozie...

- Milcz - uciszył go Boomhons. - Coś widział, Kobert?

- Właśnie takiego magika, w niewolę wziętego, cośmy go przeciw pobratymcom wykorzystali. Wezyratczycy dopadli nasz tabor, jedną szarżę odparlim, do drugiej się szykowali. A nam wpadł w ręce ichni magik. To go rotmistrz, wiele nie myśląc, do dyszła kazał łańcuchem. I na migi pokazuje, bo po ludzku poganin nie umiał: „Szarża pójdzie, to cię własni kamraci rozjadą. Chcesz, to zdychaj, nie chcesz, to czaruj, a życie ocalisz.” I wystawcie sobie, w lot dzikus wszystko pojął. I tak zaklęciami z dyszła bił, żeśmy z jego pomocą szarżę złamali.

- Z dyszła?

- A co, różdżkę mieliśmy mu oddać? A jeśli fanatyk? I znienacka to nam by przywalił? A dyszel się ku Wezyratczykom obróciło, o forkiet ciężkiej kuszy oparło... Nijak na boki i w tył obrócić, szybko zwłaszcza. Za to do przodu dawał, że hej! Jeden pacholek magika potem mi mówił, że z takiej różdżki czary nawet mocniej idą, jeno że okrutnie nieporęczna, dlatego czarodzieje nie stosują.

Wszyscy zgodnie przyrzekli się najpierw dyszłowi furgonu wozobrońców, potem Debrenowi. Debren poprzestał na dyszlu. Dopiero teraz odnotował obecność łańcucha, którym chyba podciągano go do góry z wnętrza wozu, no i grotu, nasadzonego na wolny koniec. Grot był paskudny, ostry, z zadziorami i ostrzami sterczącymi na cztery strony, wykonany ze skutych na krzyż żeleźców halabard. To po obfitości ostrzy dało się poznać, że Boomhons nie zamierza zastosować fury w roli tarana i nie w tym celu uzbroił dyszel. Drąg, uniesiony zapewne wyżej niż teraz, miał bronić wozu przed szarżującym lub nisko lecącym smokiem.

Na szczególnie skuteczną zaporę nie wyglądała, Debrena nie zdziwiła więc decyzja Boomhonsa.

- Ano, nie zaszkodzi spróbować. Smok, jak je znam, prosto na wóz pomknie, więc pierwszy zginiesz, chłopcze. Chyba że go skutecznie czarami spowolnisz.

- Dobrze - zgodził się gładko Debren.

- A Pirr? - upomniał się Keloalen. - Niech w walce pomaga, nieźła myśl, ale najpierw niech powie...

- Najpierw - przerwał mu Boomhons - to go wykorzystam do sprawdzenia mej hipotezy. I bez łaski, Debren. Nie chcesz mówić, wolisz udawać głupiego... twój wybór. Najwyżej na stryczku skończysz. Daj linę, Hadgold. - Zerknął do góry. - O, na tamtą gałąź.

- Chcesz go powiesić? - zdziwił się elf. A może... zaniepokoił? Debrenowi, z braku innych iskierok nadziei, zaświtało nagle, że tamten, choć nie wprost, jak gdyby stara się utrzymać go przy życiu.

No i przedtem leciał za nimi, pomagał... Chyba...

Bo kto, jeśli nie on?

- Chcę zobaczyć, jak lewituje. A nic lepiej do lewitacji nie pobudza od zawieszenia za szyję.

- I ognisko pod spód - podpowiedział Patyczek. - Czym się taki bezbożny czarodziej od wiedźmy różni? A wiedźmę, wiadomo: stos najmocniej przeraża. To i maga pewnie też.

Debren próbował wyjaśniać, że to nic nie da, bez przekonania jednak. Logika wozobrońców nawet do niego przemawiała, no ,a argumentować wbrew logice...

Odwiązali go. Kobert przerzucił linę przez najgrubszą gałąź. Pociągnął na próbę. Ugięła się. Cóż, młode drzewko. Patyczek podszedł do kupy zgromadzonego przy ognisku oręza, wybrał stosownej długości spisę, wrócił. Podparł gałąź rozwidlonym w

motyle skrzydła ostrzem, naparł na drzewce. Stopka zapadała się w murawie, z braku kamieni podłożył więc pod nią piłę. Znów sprawdził wytrzymałość konstrukcji. Tym razem ledwie drgnęła. Ostrze piły, ku rozczarowaniu Debrena, ani myślało pękać, tylko końce z uchwytami uniosły się nieznacznie. Puchacz, wyraźnie niepokieszony, ukradkiem starł błoto z pętli. Miły gest.

- Aha, i tabliczkę dajcie - przypomniał sobie wódz wozobrońców. Kobert i Hadgold, nie wiedzieć czemu, zarechotali. Patyczek splunął z odrazą. Kobert złapał dajkę za tyłek. Odskoczyła, gniewnym ruchem pokazała mu wyprostowany palec, a potem gest odliczania monet. Ale już innym posłała profesjonalny uśmiech.

- Na co ci te bezceństwa? - skrzywił się Keloalen.

- Dobrze wymyślił! - ujęła się za Boomhensem zielonooka dajka. - Tu kostucha, tu rozkosze we wprawnych niewieścich uściskach. Łatwy wybór. Jeśli ten młodzik - przeciągnęła się wymownie - ma choć krztę męskości w portkach, to mnie wybierze, nie kostuchę.

- Amma jest chuda - zaprotestował Puchacz - ale na swój sposób urodziwa. Nie przypadkiem baron...

- O śmierci mówię, durniu - ofuknęła go. - Nie o tej wywłoce. A baron się na niej w porę poznał. Na jej zwierzęcej rozwiązłości, przekraczającej wszelkie miary.

- Z piekła nie wyjdzie, suka bezwstydną - przyznał Patyczek. I znów splunął. Mierzył pod nogi Koberta, który wracał z wozu. Trafił w ciżmę, lecz, ku rozczarowaniu Debrena, awantury nie wywołał. Posłaniec niczego nie zauważył. Gapił się na coś, co wryto w glinie.

- Pokaż no jeszcze raz. - Zielonooka zajrzała Kobertowi przez ramię, pokręciła głową, jakby niepewna, z której strony czytać tekst. - Aha. No, jak dla was, panie Boomhons, to te figurki, kromie trzeciej, zrobię żakowi za skromne...

- Bez łaski. - Boomhons wyrwał im tabliczkę. - I zejdź mi z oczu,

piękna, bo każę kołek przed jaskinią wbić i cię za nogę uwiązać. Może smok wylezie, jak taką smakowitą owieczkę zwęszy. Ludzi mi rozpraszasz.

- Hej, Boomhons! - zaniepokoił się Kobert. - Obiecałeś nam ją po walce!

- Za opłatą - zastrzegła. - No, chyba że do udziału w łupach dopuścicie. Nie chcę wiele. Nasienie smocze jeno. Pigularze je na afrodyzjaki biorą. Jak mi dacie...

- Smok jest w jaskini? - upewnił się Debren.

- Skrył się, jak tylko nas ujrzał - wyjaśnił Puchacz. - O, i dymek widać - wskazał wzgórze. - Pewnie przez jakąś szczelinę uchodzi. A skąd dym w jaskini? Wiadomo: ze smoczego oddechu. Siedzi tam, nie uciekł.

Zabiłby Debrenowi tęgiego klina, gdyby przedtem większego nie zabili mu pozostali - gadaniem o tabliczce.

Co Pirr tam, do licha, powypisywał? Skąd owe głupawe śmieszki? I co niby ma znaczyć robienie „tych figurek” jemu, Debrenowi? Formuła do zaklęcia może zawierać opis układu palców dłoni czarodajnej, ale nawet jeśli Pirr nie znał fachowych terminów i układ po prostu narysował, to niby jak jakaś durna ladacznica...?

Nic z tego nie rozumiał.

- Zwiążę mu ręce - wykazał się inicjatywą Hadgold.

- Czekać - wstrzymał go Keloalen. - Może mu do lewitowania potrzebne?

- A jak całkiem odleci? - zaniepokoił się Patyczek. - Wiedźmy ulatują, diabelskie nasienia.

- Jeno na miotle - pouczył go Puchacz. - A w ogóle powiadam wam: to zły pomysł. Smok skrył się, zamiast z miejsca na nas skoczyć. Czyli: knuje coś. Rozważny wojownik, znaczy. Gdy taki zaatakuję, lepiej mieć maga po swojej stronie. - Kobert odepchnął

go, założył pętlę na szyję Debrena. - Niż jego upiora za plecami.

Pętla opasała szyję, ale Kobert nie dociągnął węzła. Zastygł, wpatrzony w wyłupiastookiego. Na innych słowa Puchacza też zrobiły wrażenie. Patyczek przeżegnał się znakiem koła, zielonooka cofnęła się odruchowo.

- Jaki znowuż upiór? - warknął Hadgold.

- Upiory - wyrecytował szybko Puchacz - biorą się z nagłej śmierci zadanej w niesłusznej sprawie w drastycznie okrutnych i niesprawiedliwych okolicznościach.

- I nocą - dopowiedział spokojnie Boomhons. - Martwić się będziemy, jak doczekamy tu nocy.

- Kołkiem go przebić - przeżegnał się Patyczek. - Osinowym. - Rozejrzał się gorączkowo. - Poszukam.

- Nie trzeba. - Keloalen też zachował spokój. - Upiór nie bierze się ot tak, szast-prast, z niczego i od razu. Narodzić się musi, a to trwa. Tygodnie co najmniej.

- Gdy rzecz dotyczy zwykłego człeka - sprecyzował wyłupiastooki.
- Ale magik, kiedy się wścieknie, że go bezpodstawnie mordują, może na swą duszę zaklęcie rzucić. I zaraz po zamordowaniu zmienić się w upiora.

Debren nie słyszał o takim przypadku. No, ale ostatecznie rzadko się zdarza, by ktoś zadał czarodziejowi bezpodstawną śmierć w drastycznie okrutnych okolicznościach. Tylko skończony idiota celebrowałby mordowanie magika. Jeśli już, mordowało ich się szybko i zniecka. Tylko taki sposób dawał szansę, że mordowany nie wyciągnie z rękawa jakiegoś zabójczego zaklęcia, a gildia czarnoksiężników nie wywęszy sprawcy i nie pomści konfratra.

- Nie martw się, Puchacz - pocieszył podwładnego Boomhons. - Nie będzie upiora. Z tej prostej przyczyny, że nie przewiduję zgonu. Szczeniak nie jest na tyle twardy, by zachować sekret kosztem

życia. Pofrunie, zaręczam ci. Starczy, że poczuje oddech kostuchy.

- A jak w nas czarem uderzy? - nie ustępował Patyczek. - Lepiej mu ręce skrępować, powiadam. Jak żem za knechta w inkwizycji służył, jedna wiedźma kawałkami stosu po gapiach cisnęła. Ludzi poparzyło, dwa kramy z dymem poszły i trybuny dla oficjeli. Żle, suce, ręce w śledztwie połamali, a na łańcuchy magistrat poskąpił. I jak się sznury przepaliły, zdołała rękę uwolnić, podnieść i magią zaatakować. Węglami aż do ojca inkwizytora doniosło. Diabelska sztuczka, bez dwóch zdań. Habit w piekielnym ogniu już dołem stawał, ale Bóg wiernego sługę ocalił. Choć ojciec pościł, w tym nic nie pijąc, a jeszcze się odwodnił, bo go mdliło od tego patrzenia na tortury, Pan moczu mu zesłał wielką obfitość i błogosławiona struga ogień ugasiła. Dziś ów habit za relikwię służy. No, ale powagę ceremonii diabli wzięli. A jeszcze wiedźma, suka podstępna, od tego wysiłku zaraz potem trupem padła i się od męki sianem wykręciła.

Debren nie słuchał: myślał gorączkowo. Lewitacja z kartki? Bzdura jakaś... Musiałby podeptać całą posiadaną wiedzę, by uwierzyć. Na szczęście był dopiero żakiem, a o najskrytszych sekretach magii nie wiedzieli pewnie nawet jego wykładowcy. Czyli była jakaś brzytwa, której mógł się łapać.

No i był ten guz na ciemieniu. Wspomnienia mogły mylić, od zawrotów w głowie może się człowiekowi przywidzieć latanie - ale opuchlizna dowodziła, że faktycznie grzotnął łbem o konar. Czyli wzleciał. Jeśli nie za sprawą elfa, to znaczy, że własnymi siłami.

A może Keloalen kłamał? Może to jego czary wyrwały tonącego Debrena z błota?

Teraz zaczynał wzlatywać za sprawą Hadgolda i liny. Na szczęście gałąź była szorstka, sznur stawiał opór i od pierwszego pociągnięcia wieszany stanął jedynie na palcach. Pod lewą stopą nadal wyczuwał trawę, pod prawą gładź piły.

- Czekaj... formuła! - Boomhons pokazał, by poluzować linę. - Miałem karteczkę...

Tam, na bagnach, Debren miał też eliksir, ale to mniejszy dramat. Resztki mogły nadal krążyć we krwi. Lecz jeśli kartka przepadła, to po nim. Zawisnie. I pewnie skończy jako upiór. Bo choć tamci mieli powody, by go zabić, akurat na gałęzi zadynda bezzasadnie, na skutek idiotycznego nieporozumienia.

Chyba że Keloalen znów... O ile to on. I o ile tym razem zechce pomóc Debrenowi. Bo przecież nie musi. Chyba trochę próbował - żywy Debren mógł go naprowadzić na trop Pirra, a Pirr miał to, na czym mu zależało, czyli Ammę. Ale jawne niesienie pomocy oznaczałoby konflikt z wozobrońcami.

Boomhons wyciągnął z zakładki pasa zwinięty papierek, rozłożył, podsunął mu przed oczy.

- No, czytaj i lewituj. Kamyczek, szykuj jajo.

- Co za jajo? - nie zrozumiał Keloalen.

- Mamy rozmocnik skuteczny na magię ognia i powietrza, a częściowo na pozostałe.

- Pochłaniacz mocy? - Keloalen zerknął w stronę jaskini. - Na smoka szykujecie? A jeśli...?

- Nie bój się, to nie wszystko, cośmy naszykowali. Do balisty mam kartacze, każdy z dwoma tuzinami bełtów maczanych w paraliżującej toksynie. Starczy, że jeden trafi, a bydłę co najmniej na pacierz władzę nad członkami straci. Jak trafi połowa, smok trupem padnie. Mam też harpun wirujący. Straszliwa broń. Magią napędzana, z samoklepki. Grot uderza w przeszkodę i odpala zakłęcie. Harpun jak śruba wkręca się w ciało. Nawet na sążeń głęboko, jeśli za wiele kości nie napotka. Mam też dwa krasnoludzkie samonapinacze tubowe, do szybkiego przeładowania. Kładziesz między łączysko a cięciwę, jeden ruch i machina znów

gotowa do strzału. Cacuszko. Trzy salwy oddamy, nim się smok do lotu poderwie. Nie ma cudów, by poważnych obrażeń nie doznał. Z kusz go dobijemy i po robocie. Mam jedną snajperską, z dalocelownikiem kulowym i bełtem prostolotnym. Gdzie wymierzysz, tam trafisz, byle się cel nie ruszał. Jak smok stanie w progu groty i się będzie gapił, to jednym strzałem w oko go ugodzę. W mózg dostanie i zdechnie.

- A jak nie będzie stał i się gapił?

Debren słyszał niepokój w głosie elfa, nie umiał jednak wyczuć, czy martwi go zabójcza moc tych wszystkich narzędzi, czy na odwrót, ich potencjalna nieskuteczność.

Elf, obrońca lasów czy agent liberałów - która część jego natury tak naprawdę wzięła górę?

- Nic się nie bój - ciągnął Boomhons. - Z trzystuletnim dziadygą poradzimy sobie i konwencjonalnym orężem, nawet bez strzelania. Widzisz tę odskocznnię na górze? Głowę dam, że stamtąd musi wystartować, by w ogóle wzlecieć. Stary jest, niedołączny. A nawet gdyby młody... Zdradzę ci sekret, Keloalen: smoki jeno dlatego większość walk wygrywają, że się za nie ludzie niewłaściwie biorą. Bo to albo rycerz sam jeden, albo, dla odmiany, wielka kupa knechtów, uszykowana w ciasnym szyku, jak do bitwy z chorągwią jazdy. Rycerza smok zwykle powali, choć nie powiem, często kosztem ran. Zaś knechtów rozgoni, bo im psychika nigdy nie wytrzyma i każdy czmycha za plecy kamratów. No, a gdy się rozpierzną, to potem już jatka... Metoda prawidłowa jest taka. - Wskazał swoich podwładnych. - Paru fachowców, specjalnie do tej roboty przeciwiczonych i z odpowiednim sprzętem. No i z jajami jak kamienie, he, he. Smok, jeśli lata, nigdy nie jest tak naprawdę wielgachny i sztuką walki nadrabia. A na sztukę walki wystarcza lepsza sztuka, ot i cały sekret. Wiemy, co i jak, więc sobie

poradzimy i bez czarów. Ale po co ryzykować? Po co ceną amunicję tracić? Smok, póki go nie uziemisz, zawsze może straty zadać. Więc najlepiej mu magię unicestwić i zdolności latania pozbawić. Jajo z rozmocnikiem nie tak wiele kosztuje, a, jak to mówią, pancernego Pan Bóg strzeże. Nie zaszkodzi sprawdzić, czy rozmocnik podziała na smoczą magię. A głowę dam, że to ta sama, dzięki której szczeniak lewituje. Dlatego go tu przysłali: by starej gadzinie podreperował zdolności latania.

- Burmistrz go przysłał - zmarszczył brwi elf. - Jaki by miał interes...?

- To ty w polityce siedzisz. Sam sobie odpowiedz. Ale jedno wiem: większa chwała spadnie na burmistrza, który miasto ocali przed latającym, pełnosprawnym smokiem niż przed zdychającym starowiną. Skoro już Smih umyślił, by pokojowo rzecz załatwić i dziewice gadowi słać, to lepszy dla niego groźny wróg niż niedołęźny.

Debren słuchał ich jednym uchem. Wolno, uważnie, by nie pomylić ani jednej runy, odczytał cały ciąg. Znaki nie układały się w słowa czy choćby zgrabniejsze dźwięki. Typowe asylabiczne zaklęcie, żadnego rymu, żadnej logiki. Jedna z tych formuł, co to bez księgi ani podchodź. Ogarnęło go zwątpienie, bo gdyby faktycznie służyło do lewitowania, niemal na pewno wzbogacono by je o samogłoski: współczesna magia pozwala uczynić to niemal bezboleśnie, a praktyka uczy, że jeśli nawet dodane komponenty osłabiają działanie czaru, warto je wprowadzać. Po prostu dla bezpieczeństwa. Walcząc, operując chorego czy, powiedzmy, lewitując nad przepaścią, lepiej się opłaca wydać więcej mocy, niż rąbnąć się na jednej runie i kogoś uśmiercić.

No trudno. I tak nie miał wyjścia.

Przeczytał, mózg dostał to, co powinien dostać... i nic się

oczywiście nie stało. Poczuł mrowienie, ale bardziej od własnego strachu niż cudzych zaklęć. W dodatku mrowiło go nie tam, gdzie trzeba: w ośrodku zarządzającym magią ognia. Niby na obrzeżach, ale nadal był to co najwyżej magnetyzm. A lewitacja, ta klasyczna przynajmniej, wykorzystuje domenę ziemi.

- Chwilę - powiedział. - Muszę się skupić.

Dali mu chwilę. Nawet dłonie pozwolili unieść, może dlatego, że ledwie nimi władał po wielu klepsydrach niedokrwienia. Inna sprawa, że ryzykowali niewiele: Kobert trzymał kuszę, inne czekały nieopodal, załadowane, a Patyczek podniósł pikę i ewidentnie szykował się do przebicia nią odlatującego magika.

- Aha - przypomniał sobie Boomhons. - Tabliczka. Chcę mieć pewność, że daje z siebie tyle, ile może.

Zielonooka podniosła ją z ziemi, ale nie zdołała podać. Patyczek zastąpił jej drogę.

- Nie godzi się - rzucił przez zęby, patrząc na wodza ni to prosząco, ni wyzywająco. - Toż to pornografia. I to najtwardsza z twardych. W glinie ryta.

- Puść ją.

Zdziwiony Debren przyjrzał się im raz jeszcze. Ale Patyczek i dajka mówili o tym samym: o tabliczce Ammy. Pogłupieli?

- To grzech. Samo patzenie, posiadanie nawet. A ty chcesz owych bezceństw... - drągał aż splunął - użyć!

- Oj, nie marudź... Toć nie na ten sposób.

- „A któren na goliznę wszeteczną a porubstwo malowane lubo dłutem ryte patrzeć będzie” - zaczął cytować Patyczek - „ku temu gniewny archanioł zstąpi i...”

- Patyczek...

- „A którzy wespół z nim oczy ową zgnilizną sycą lub choć ze skargą nie biegną, tym odjęte będą plugawe oczy i w pył rzucone, i

ogniem niebieskim palone...”

- ...bo cię zaraz palnę, dewocie w rzyć chędożony - dokończył spokojnie Boomhons.

Był o głowę niższy, dużo chudszy. A mimo to podziałało: dryblas oddał mu tabliczkę, cofnął się o krok.

Boomhons zerknął na glinę, uśmiechnął się pod nosem. A potem podsunął rysunki Debrenowi.

Bo głównie rysunki przyciągały uwagę. Tekstu było nawet więcej, ale w runy trzeba się wczytać. Obrazy biją po oczach błyskawicznie.

Patrzył na nie z niedowierzaniem. Kiedy indziej pewnie by spłonął ze zmieszania albo zemdłał, bo kiedy zdołał przesunąć wzrok na podpisy, stało się oczywiste, komu zadedykowana jest ta najbardziej grzeszna z grzesznych tabliczek, jakie kiedykolwiek wryto. Amma nie ograniczyła się do szkicowania: napisała też, co chciałaby z nim robić i o robienie czego poprosiłaby go, gdyby mogła, a im Bóg pozwolił. W sumie było tego wystarczająco wiele, by przyzwoity młodzieniec umarł ze wstydu, postradał zmysły albo pognał wstąpić do klasztoru.

Ale on nie był bogobojny, no i lada chwila mieli go powiesić, więc tylko... zdziwił się. I pomyślał, że szkoda.

Bo nie kłamała.

Mogli to wszystko... te wszystkie... figurki.

Choć nie po to pisała i nie dlatego rysowała. Chyba domyślał się, czemu miał służyć ten osobliwy list pożegnalny. No więc: nie temu w pierwszym rzędzie. Trochę ją poznał. Nie posunęłaby się tak daleko poza granice przyzwoitości, a nade wszystko dumy, gdyby nie podarowany przez Pirra pretekst.

Ale z pretekstu już skorzystała i to tak, że w każdej innej chwili serce by mu pękło - z żalu. A przyrodzenie, po prawdzie też, ale z pożądania.

Tyle że kobiety są ważne dla żywych. A on umierał. Boomhons cofnął tabliczkę. Hadgold napiął linę.

- Hej, zaraz! - zaprotestował Debren. I trochę w przypiływie rozpacz, trochę w przypiływie geniuszu, zażądał: - Hełm mi dajcie!

Puchacz podbiegł do wozu, zanurkował we wnętrzu.

- No, dość tych żartów - uznał Boomhons. - Nie chcesz po dobroci... Dalej, Przyłbica.

I tym razem skończyło się na półzwise. Nim stopy Debrena całkowicie oderwały się od ziemi i piły, powrócił wyłupiastooki. W rękach ścisnął pordzewiałą łebkę.

- Hełm? Zdurniałeś, Lelończyku?! - zdumiał się Kobert. Zaskoczony Hadgold poluzował linę.

- Śmierć sobie chce ułatwić - domyśliła się dajka.

- Że niby: bardziej honorowa? Bo w żołnierskim przyodziewku? No, faktycznie coś w tym...

- Głupiś. Cięższy będzie, to szybciej się udusi.

- Czy ja wiem? - zastanowił się Kobert. - Jakby tak kirys, nagolenniki... Ale łeb ma wyżej pętli. Zatem hełm... - zawahał się, ściągnął własny szyszak, podrapał się po spoconym ciemieniu. - Ha, trudny problem. Jak myślicie: mocniej go od tego...?

- Cisza! - huknął ich dowódca. - Co ty mi tu, chłopcze, za idiotyzmy...?

- Widzieliście... - bronił się Debren. - Tak mną lewitacja cisnęła, że omal łba o konar nie rozłupał. To co, chcecie, bym teraz rozłupał?

Keloalen jakoś nie kwapił się z pomocą. Na szczęście Boomhons sam pojął ideę. Wyrwał Puchaczowi hełm, wcisnął na głowę wieszanego. Debren jęknął w duchu, rozejrzał się gorączkowo.

- Nie ten! - zaprotestował. - Hadgold, twój kapalin!

- Co?! Chędoż się, gówniarzu! Jeszcze czego!

Puchacz już ściągał własną łebkę, dobrze utrzymaną, bez śladów rdzy, po prawdzie wygodniejszą w polowym boju od opatrzonych szerokimi rondami, szturmowych kapalinów. Ale przecież nie o walkę chodziło.

Na szczęście Boomhons dał się ponieść ciekawości.

- A co złego jest w tym?

Debren miał za mało czasu i wyobraźni, by wymyślić zręczne kłamstwo. Ale od czego są półprawdy?

- Większa powierzchnia, w poziomie licząc, ułatwia lewitację. Kapalin ma rondo, lżej będzie... Jeno mi pasek zapnij, Puchacz. Sam nie poradzę. Dłoni nie czuję.

Najgorsze, że to ostatnie nie było półprawdą. Czucie wracało, ale bólem. Władzę w palcach nie bardzo.

Szkoda gadać: nie zdoła rzucić manualnego czaru. Chyba że nogą. Ale i to za parę pacierzy. Odkąd oprzytomniał, gromadził moc, tylko co z tego, skoro za chwilę zużyje większość do całkiem niebojowych celów?

- Daj mu hełm, Przyłbica.

Hadgold, choć bez entuzjazmu, usłuchał dowódcy. Puchacz, jakby czując, że wiele od tego zależy, założył kapalin Debrenowi i starannie dopiął pasek.

Zaraz potem Hadgold Debrena powiesił.

Nie silił się na podciąganie wysoko i w pierwszej chwili chłopak nawet nie za bardzo się przeraził. To znaczy: w stosunku do tego, na ile już był przerażony. Wieszanie kojarzyło mu się zawsze z dyndającym gdzieś wysoko nieszczęśnikiem, więc przez parę momentów nie docierało jeszcze do niego, że zaczął umierać. Bo przecież wciąż miał ich wszystkich tuż obok, przed oczami, ot, jakby oglądanych z wysokości kreciego kopca. Stali blisko, przyglądali mu się, niemal mógł sięgnąć niektórych ręką...

Oczywiście nie próbował. Obie ręce powędrowały do góry. Instynktownie próbowały ulżyć szyi, rozluźnić dławiący ucisk stryczka. Bez skutku: nadal ich nie czuł. Nic nie zwojował. Dusił się tak ewidentnie, że żaden z wozobrońców nie próbował mu przeszkadzać w próbach ratowania się.

Widzieli, że próby nic nie dają.

- No, lewituj - zachęcał Boomhons. - Oszczędź sobie cierpienie. I tak pofruniesz, ptaszku, albo w górę, albo do nieba, już ja cię zmuszę. Pewnie to sekret, takie latanie, pewnie ci kazali chronić tajemnicę. Ale wiesz: żyje się raz. Warto zdychać dla cudzych sekretów?

Miał rację: Debren zdychał. Strasznie było. Strasznie. Każdy kolejny moment przynosił cierpienie, które rosło i rosło, rozlewało się po wszystkich zakamarkach ciała, a gdy już się rozlało, narastało, dwoiło się, troiło, rozszarpywało wolę i odwagę. Wyłby, gdyby mógł.

Po części wyłby z bezsilności i rozczarowania. I goryczy. Pomysł był niegłupi, udało mu się wydobyć z zakamarków pamięci i wyartykułować stosowne zaklęcie. Ba, nawet podziałało. Tylko że...

Tylko że Boomhons miał rację, a on był żalonym gówniarzem, który panikował i knocił wszystko, za co się zabrał. Bo na śmierć zapomniał o ostrzu spisy.

Piła zadziałała, jak przewidział: odepchnęła kapalin, który z kolei ciągnął w górę pasek i podczepiony pod niego podbródek Debrena. Od tyłu rondo i głowę podpierał napięty sznur, więc takiego zawieszenia na żuchwie powinno wystarczyć, by zmniejszyć ucisk na gardło i przepuścić przez nie trochę powietrza. Plan nie był zły: chwila wierzgania nogami, potem bezruch... Uznaliby go za martwego i albo zostawili, albo opuścili, a on w tym czasie uzbierałby więcej mocy, doczekał się czucia w rękach i podjął walkę. Przy ataku z zaskoczenia, zwłaszcza gdyby zaczął

wywrzaskiwać: „Jestem upiorem!” i wywołał panikę, może jakoś by... I gdyby elf pomógł...

Ale przegapił coś tak oczywistego, jak drugi kawał żelaza, tym razem nad głową. Półprawda zaserwowana Boomhonsowi była pod tym względem prawdziwa: czar działał skuteczniej dzięki płaskiemu kształtowi kapalina - to dzięki temu mało masywna, za to płaska i równolegle położona piła prawie wygrała z ostrzem spisy. Tyle że ostrze, mimo iż nie płaskie i niekorzystnie ułożone, znalazło się dużo bliżej i robiło dokładnie to samo, co piła: odpychało hełm.

Dwa przeciwnie skierowane czary znosiły się niemal doszczętnie. W sumie, kosztem ogromnego wydatku mocy, ważył tylko trochę mniej. I dusił się dłużej, boleśniej.

Wieki to trwało. A przecież nie dotarł do kresu męczarni. Daleko mu było do omdlenia, kiedy nagle coś uderzyło go w stopy i runął na trawę. Świat pomroczył, lecz oczy nadal postrzegały kształty, a nawet, szczątkowo, barwy. Tylko dźwięków nie był pewien.

Ktoś krzyczał? Czy tylko mu się wydawało?

Tych obok słyszał lepiej.

- Zdurniałeś? Kapalin mi kopiesz? W zębach go przyniesiesz!

- Ja kopię?! Chędoż się, Przyłbica!

- A co, sam odfrunął? Jak cię palnę, to...

Aha, czyli czar trzymał. Któryś musiał odpiąć pasek, no i rzuciło hełmem... Debren zbyt był pochłonięty łapaniem tchu, by się tym zamartwiać. Żył. Pewnie jeszcze tylko parę chwil. Ale oddychał. A parę chwil to dużo.

Z chwil zrobił się pacierz. Nic się nie działo.

Rycerz, którego okrzyk przerwał egzekucję, nadjeżdżał stępa. Inna rzecz, że nie o samą godność szło: kropierz jego ogiera lepił się do spienionych boków. Rumak ledwie się włókł, jak każdy koń po zbyt długim biegu. Sporo zresztą dźwigał: kropierz, mimo iż

zdobiony haftowaną narzutą, był bitewny, z grubej skóry, kolczej plecionki i blach, zaś jeździec, zakuty w pełną płytówkę, miał nie tylko kopię i półtoraręczny miecz, lecz nawet czekan przy siodle. Tylko tarczy brakowało do pełnego rynsztunku zabieranego na ciężką bitwę.

Giermek, ciągnący za sobą aż cztery podjezdki, został z tyłu: gdyby nie przytroczone do któregoś z luzaków zapasowe kopie, migające proporcami pośród zarośli, Debren w ogóle nie wypatrzyłby go w leśnej lizjerze.

Najszybszego z przybyszów dostrzegł na końcu. Nie patrzył w górę, a sokół zleciał na ramię Keloalena wprost z bezchmurnego nieba.

- Znalazła się zguba - mruknął Boomhons. On jeden nie ujął mocniej broni ani nawet nie zerknął, by sprawdzić, jak daleko leży coś cięższego, przydatnego przeciw rycerskiej jeździe. Ale na zadowolonego też nie wyglądał.

- Cóż - posłał mu uśmiech Keloalen. - To nie kwestia zaufania, mistrzu. Po prostu zbyt wiele zależy od wyniku tej walki. Pancernego Pan Bóg strzeże.

- Uwaga, jakiś chędożony rycerz! - doleciał od strony wozu podniecony półgłos Kamyczka. Przyczajony wewnątrz furgonu, miał ograniczone pole obserwacji.

Inni zdążyli już zrozumieć, że nadciągający z zachodu jeźdźcy to nie wrogowie. Co najwyżej: konkurencja.

- Posłałeś po niego sokoła - stwierdził kwaśno Boomhons. Zmrużył oczy, by lepiej widzieć szczegóły. - To na herbie to białoklifowiec z Verdo? Pisklę, po proporcjach sądząc? Taaa... Albo to paleontolog, specjalizujący się w wymarłych gadach, albo przodek tego pana dokonał bohaterskiego czynu związanego z ową jaszczurką. Pewnie z łuku smocze szczenię przypadkiem ustrzelił, gdy oboje polowali na

kaczki. A może nawet nie ustrzelił, jeno zdechłe znalazł? Bo się zdobyczą udławiło? Ta gula w gardle symbolizuje zapewne zbyt wielki kęs... A, nie, cofam... To wszak ludzka dłoń. I nie w gardle, a na nim zaciśnięta. Ha! Jeśli trafnie proporcje oddano, smok musiał być wielkości indyka. O, a to czarne w dole to pewnie jajo. Kształt akuratny, no i ogon z niego jeszcze nie cały wylazł. Czyli wprost z gniazda pisklę upolowane, zaraz po wykluciu. Albo nawet przed. Zaiste, heroiczny bój praszczur pana rycerza musiał stoczyć. Nie dziwota, że cały kropierz tak dumnymi herbami ohaftowano. I że dziś prawnuk uważa, iż smokobójstwo ma we krwi.

- Zabawne - przyznał elf. - Doradzam jednak zakończenie heraldycznych recenzji. Niech cię nie zmyli pokraczny smok w starym herbie. Herbów się nie zmienia, za dużo z tym zachodu. Ale zbroję baron ma nowszą. Stal bułatowa z aplikacjami pasywnymi i aktywnymi. Nie wiem, ile za nią dał. Wiem, że płatnerz na koniec drobne poprawki wprowadził i tyle za nie dopisał do już opłaconego rachunku, że jedną wioskę trzeba było sprzedać. Nie dam więc głowy, czy do przyłbicy wzmacniacza słuchu nie dodano. Przy zbroi tej klasy nie ma sensu oszczędzać.

Debren słyszał o tej nowince. Inni chyba też, bo Kobert, zbierający ślinę do głośnego charknięcia, splunął wprawdzie, ale z cicha, mało wyzywająco.

Keloalen wyszedł jeźdźcowi naprzeciw. Rycerz nie na niego jednak patrzył. Przyglądał się Debrenowi.

Miał lat dwadzieścia, a może trzydzieści pięć - i jedną z tych urodziwych, wiecznie chłopięcych twarzy, które w pełni uzasadniają taki rozrzut w ocenie wieku. Smukły, nawet w kompletnej zbroi płytowej. A zarazem barczysty - co zapewne i bez zbroi rzucało się w oczy. Piękny. Silny. Męski. Debren oddałby połowę życia, jakie mu zostało, by wyglądać tak jak on. Bo kobiety, od zasmarkanych

pięciolatek poczynając, a na siwych staruszkach kończąc, z miejsca się w takich zakochują. Błękitne jak niebo oczy, włosy, sądząc po kiełkującym zarostcie, smoliście czarne, rysy herosa z illeńskiego posągu...

Debren nie był dziewczyną, a mimo to... zaczął od uśmiechu. I to właśnie takiego, jakie, bez wątpienia, posyłały młodemu rycerzowi wszelkie napotkane panny, wdowy i połowa mężatek. Uśmiechu, który, choć nieświadomie, prosił: „Okaz mi względy, nie odtrącaj”.

Dobrze choć, że zdawał sobie sprawę, co się dzieje i na ile to głupie. Bo przecież nie zostaną przyjaciółmi.

Nim jeszcze Keloalen rozpoczął ukłon, o prezentacji nie mówiąc, odgadł, z kim zetknął go los.

- Panie baronie, pozwól sobie przedstawić: mistrz Boomhons i jego zacna kompania wozobrońców. Mistrzu, to baron opp Trickleby herbu Dzierżysmok.

Jeśli baron skinął głową, nie rzucało się to w oczy: jego przyłbica wspierała się o rozbudowany w kołnierz obojczyk zbroi, toteż pionowych ruchów głowy nie powtarzała. Obracała się jednak gładko, co pozwoliło zaoszczędzić baronowi nadmiaru słów. Wystarczyło jedno, połączone z wymownym zwrotem głowy ku jaskini.

- Żyje?

- Niestety - powiedział Keloalen. Po czym przemyślał sprawę i uzupełnił: - Niestety tak.

- Zaszczyt poznać, mości baronie - uchylił kołpaka Boomhons. Od zamiętania ziemi piórami był jednak daleki. - Ale niepotrzebnie się fatygowałeś. Poradzimy sobie z bestią, to jeno kwestia czasu. Jak tylko jeńca przesłucham - wskazał Debrena - wykurzę gada z nory i w pacierz trupem położę.

- Chyba - podpowiedział usłużnie Puchacz - że jaskinia głęboka

albo mocno przewiewna i okadzanie nie...

- Zawrzyj pysk, Puchacz.

- A dziewczka? - Rycerz nie zaszczyił wyłupiastookiego choćby przelotnym spojrzeniem. Boomhonsowi patrzył bliżej ramienia niż twarzy, dając odczuć, o ile bardziej niż tylko o wysokość rumaka góruje nad tak marnym rozmówcą. Debren, nie wiedząc kiedy, podniósł się z ziemi. Siedząc, czuł się jak skrzat, któremu przyszło stanąć przed mitycznym cyklopem wielkości baszty.

Keloalen zawahał się. Nie ryzykował jednak kłamstwa.

- Zgubiliśmy ślad. Ale mam podstawy sądzić, że też jest w jaskini.

- A Pirr? Byli razem, napisałeś.

- Jego ślad też zgubiliśmy. Nie na bagnach jednak. Jest ranny, a mimo to oboje znikli. Czyli albo użyli czarów, albo... coś ich w niebo uniosło.

- Gałęźnice? - Baron zmarszczył brwi.

- Miałem na myśli smoka. Jest wielce prawdopodobne, że wyleciał im naprzeciw i zabrał do siebie.

- A to ten studencina magii?

Baron zaskoczył Debrena. I spojrzeniem, z pozoru beznamiętnym, lecz poślany prosto w oczy, i jawnie wypowiedzianą obelgą. Był starszy, lepiej urodzony, nieskończenie bogatszy. Był, to się czuło, rasowym wojownikiem, a nie zastraszoną żakiem, ganianym po dachach podgrodzia przez bandę rajfurów, ladacznic tudzież pijanych furmanów. No i - to najbardziej bolało - większość kobiet wolałaby jedną noc z nim niż małżeństwo z Debrenem. Choć jedna noc z rycerskim synem hańbi, zaś małżeństwo z dobrze rokującym czarodziejem niesie obietnicę stabilizacji i względnego dobrobytu.

Krótko mówiąc: nawet więcej ich dzieliło niż olbrzymiego cyklopa i maluśkiego skrzata. A mimo to olbrzym zniżył się do ubliżania skrzatowi.

- Nie taki znów studencina - uniósł się honorem Boomhons. - Pokonać go nie było łatwo. Dodatkowa premia mi się należy. Czaruje okrutnie i umie lewitować, a wiedzcie, że w historii magii jeno kilku arcy mistrzów...

- Dudkałeś ją? - zignorował go baron.

Debren zawahał się. Jego pożegnanie z Ammą... Nie był pewien, jak to nazwać. Potem zreflektował się i szybko pokręcił głową. Ale było za późno.

Opp Trickley poczerwieniał na twarzy.

- Czyli gwałt - rzucił przez zęby. - Zapłacisz za to, sovrojski przybłądo.

- Ja niewiast nie gwałcę - powiedział cicho Debren.

- Po dobroci nigdy by z tobą... - Baron zawahał się, lecz dodał: - Stokroć lepszych od ciebie nie chciała.

- Wieszac perwersa? - Hadgold usłużnie napiął linę.

- Kogo? - nie zrozumiał Kobert.

- To taki, co różne paskudy chędoży, tudzież chłopów, małe dzieci, zwierzaki, obnaża się, a bywa, że i...

- Zaraz! - zaniepokoił się Keloalen. - Jedno pytanie, baronie: będzie Pirr milczał, gdy mu nakażecie? Bo jeśli nie, musimy garbusa znaleźć. I to szybko. A do tego potrzebne zeznania tego szczeniaka.

Debrenowi ulżyło. Elf chyba nadal starał się mu pomagać. Wysyłając sokoła po barona, też się pewnie starał. Tylko nie pomyślał, iż dwóch mężczyzn plus dziewczyna to układ rzadko rodzący męską przyjaźń.

- Pirr robi, co rozkażę - oznajmił wyniośle rycerz. Hadgold zrozumiał to po swojemu i pociągnął za sznur. Nim jednak Debren zawisł, baron uniósł dłoń. - Ale z wieszaniem się wstrzymaj, kacie. Dziewka jest kaleką i niespełna rozumu. Tudzież, masz rację, niebywałą paskudą, której jeno perwers mógłby dotknąć. Za

pohańbienie takiej i obleśne obcowanie cielesne stryczek to zbyt łagodna kara. No i za deptanie mego honoru. Obiecałem ją chronić. Jak teraz w oczach ludzi wyglądam? Śmiesznością próbowałeś mnie okryć, Sovrojcu.

- Z Lelonii jestem - mruknął Debren.

- I jeszcze pyskujesz? Związać go. Po wszystkim zabiorę cię na swój zamek. Znam świetnego kata w Tamburku. Umie zbrodniarza tygodniami przy życiu trzymać. Pod koniec zbrodniarz pół tego waży, co na początku, a żyje i czuje. Odechce ci się, przybłądo, anvaskich dziewczek.

Debren poczuł lodowaty dreszcz. Przez chwilę żałował, że opp Tricklej nie nadjechał parę pacierzy później. Potem jednak, bardzo nieśmiało, powróciła odrobina nadziei.

- Z całym szacunkiem, baronie - głos Boomhonsa zbytnio szacunkiem nie ociekał - ale to moja robota i mój zarobek. Chcecie pomóc, wasza wola. Na udział w łupach jednak nie liczcie. Najtrudniejsze już za nami. Teraz starczy dziadygę smoka z nory wykurzyć i zarznąć.

Giermek barona dowlókł się z luzakami w poblize wozu. Był młodszy od Debrena, bogato odziany, lecz bez zbroi. Dziecinna jeszcze twarz i krótki mieczyk nie robiły wrażenia, więc choć zapachniało zwadą, zignorowano go. Ludzie Boomhonsa poprzesuwaliby się w bardziej dogodnych miejscach wyłącznie z myślą o baronie.

- Pomóc? - uniósł brew opp Tricklej. - Nie stać cię. Króla czasem stać. Przybyłem po dziewczkę. No, teraz i Sovrojca wezmę. Smoka i łupy możesz zachować.

- Wielkie dzięki.

- Zwiąż gwałciciela, Scalpelott. - Baron skinął na giermka. - Na luzaka z nim. Jeno dobrze do siodła przytrocz. Bo to wszak

bezbożny demokrata. Rzucić się gotów, samobójczo kark złamać i katu się w ten sposób...

- Zaraz! - warknął Boomhons. Giermek, przekładający nogę nad końskim grzbietem, znieruchomiał. - To wasz jeniec, baronie? Bom myślał naiwnie, że mój.

- Boomhons... - syknął elf.

- Lewitować potrafi. Za sam jego mózg, choćby w słoju sprzedany, do sekcji, niejeden słojem srebra zapłaci. A za całego i żywego dużo więcej. Niby czemu miałbym taką zdobycz z ręki wypuszczać?

- Bo to zbrodniarz - wyjaśnił baron. - Gwałciciel.

- Sameś ją zgwałcił! - oburzył się Debren. - I jeszcze pociąłeś, łajdaku! A teraz męki zadajesz!

- Zaś zbrodniarzy - dokończył spokojnie rycerz - karać przykładowie należy, a nie w słojach dla zysku sprzedawać. Ale dobrze: gdy kat z nim skończy, wyślę ci mózg. Aczkolwiek wątpię - skrzywił się - by ktoś za organ takiego psychopaty choć miedziakami zapłacił.

- Psychopatią to on nie włada - sprostował Kobert. - I całe szczęście. Gdyby umiał myślami psom rozkazywać, nigdy byśmy go nie wytropili.

- Z psami może się nie dogadywać, plwam na to - wzruszył ramionami Boomhons. - Ale wiesz, Kobert? Myśl mi nasunąłeś. Bo skoro miał smoka w lataniu wspomóc, może coś jest na rzeczy z tym mówieniem do zwierząt? - Chwycił Debrena pod brodę. - Umiesz do smoka przemówić? Hę? Wiele nie wymagam: jeno by przed grocę wylazł.

- Nie umiem.

- Widzisz? - podchwycił Keloalen. - Czas tracimy. Oddaj go panu opp Trickley w zamian za asystę i stanie w odwodzie, a sami bierzmy się do...

- Bierzmy? Nic innego nie robię, jeno próbuję robotę kończyć! W

czym mi, zaraza, przeszkadzacie! Ale dość tego! Wieszaj smarkacza, Przyłbica, a ty, Kamyczek, jajo szykuj. Puchacz i Patyczek: baryłkę z wozu podtoczyć pod jaskinię, przygotować zadymę, ale jeszcze nie palić. Może sam wyskoczy, jak was usłyszysz, wtedy się zaoszczędzi...

Debren odkaszlnął znacząco.

- Mistrzu Boomhons... wybaczcie...

- Czego?

- W kwestii owego sprawdzania rozmocnika... Toż już raz sprawdziliście: przed wieżą. Rzuciłem jakiś czar? No nie rzuciłem. Bom nie mógł. Więc teraz będzie to samo: moc stracę i zawisnę na stryczku. Jaki z tego pożytek?

- Jednego demucha mniej - zarechotał Hadgold. - Wyście rodzzonego króla zabili, psiekrwie.

- To ci z Sovro. Nasz zbiegł, jak Globalna wybuchła. Armię porzucił i umknął, rząd na emigracji tworzyć.

- Jednego czarownika mniej - splunął Patyczek. - Magia to diabelski wynalazek.

- Ale czasem użyteczny. - Debren wyczuł wahanie Boomhonsa. - Co wam szkodzi się zabezpieczyć, mistrzu? Siądę przy tym dyszlu, wspomogę w walce.

- Mistrz Boomhons - zakpił baron - nie potrzebuje pomocy. Pozostało jeno dziadygę wykurzyć i zarznąć.

Wozobrońca posłał mu ponure spojrzenie.

- Bylibyście łaskawi w las odjechać, panie baronie?

- Bo?

- Bo stojąc tu, smoka płoszycie. Za błędnego rycerza was bierze. A to starej daty gadzina i w takowych, ignorant niedzisiejszy, postrzega główne zagrożenie.

- Jak widać, z wiekiem przybywa smokom rozumu.

- Żeście to niby tacy groźni? No, niech wam będzie... Ale wszak

nie idzie o to, by go odstraszać.

- To prawda, panie baronie - poparł Boomhonsa Keloalen. - Lepiej będzie, jeśli się oddalicie.

Debren miał nadzieję, że dorzuci: „Z jeńcem”. Z baronem miałyby większe szanse niż z baronem plus bandą wozobrońców.

- Bo jeszcze smoka ubiję? - domyślił się opp Trickley. - I niecała zasługa stronnictwu liberałów przypadnie? Spokojnie. Nie będę ze smokiem w szranki stawał.

- Honoru by to memu panu nie przyniosło - zabrzmiał z boku łamany emocją i trochę mutacją głos. Wszyscy popatrzyli na giermka. Chłopak poczerwieniał, ale dokończył dzielnie: - Nie na darmo panowie opp Trickley Dzierżysmokiem się pieczętują. Tutejsze gady hołd im przed wiekami złożyły i nie śmieją ich do walki pozywać. Prędeż taki na grzbiecie legnie i gardło pod miecz podstawią. A jakież to honor kapitulanta ubić? Nijaki. Ba, dyshonor nawet.

- Co on chędoży? - skrzywił się Hadgold. - Wina gówniarzowi daliście, panie baron? Opił się i bredzi?

Giermek poczerwieniał jeszcze bardziej, sięgnął do pasa, wyciągnął rękawicę. Uniósł ją, ale nie zdążył cisnąć łysolowi w twarz. Baron był szybszy.

- Nie, Scalpelott. Raz, że to prostak i też by ci to honoru ujęło, jak mnie walka z tym tu smokiem. A dwa, że obiecałem twemu ojcu w rycerskim pasie do domu cię odesłać, nie w trumnie. Żadnych pojedynków zatem.

Chłopak skłonił mu się z mieszaniną urazy i ulgi.

- Hołd? - Boomhons zerknął ciekawie najpierw na jeden z herbów, zdobiących kropierz, potem na właściciela herbu. Baron niedbale zakołysał kopią, rozwijając proporzec. Jak się okazuje: też z dłonią, smoczym gardłem w dłoni i czarnym jajem na końcu smoczego

ogona.

- Przodek tej oto bestii - wskazał jaskinię - dziewicę porwał, więził, a nawet zniewalał, uprawiając okrutną zoofilię. Okoliczne rycerstwo skrzyknęło się tedy przeciw smokowi. W wyprawie uczestniczył mój praszczur, Drawet Tęgi. Z całego hufca pościgowego on jeden przeżył, taka gadzina była straszliwa i mordercza. Ale że smok też w walkach ucierpiał, Drawetowi w końcu uległ. Za swego pana go uznał, najlepsze ziemie mu oddał, pod budowę zamku i na pola. A także zaprzysiął, w imieniu swoim oraz spadkobierców, nigdy na potomka Draweta Tęgiego pazura ni kła nie podnieść. Za co mój pradziad łaskawie życie mu darował. Od tej pory suwerenami smoków jesteśmy, a oni naszymi wasalami, co owa dłoń na smoczym gardle symbolizuje.

- A dziewica? - upomniał się Debren.

- Czy to ważne? Przekazy o niej milczą, więc pewnie zginęła w zamieszaniu. I dobrze, bo żyć z taką hańbą...

- A jajo? - zaciekał się Puchacz. - I czemu czarne? Z kształtu też coś mało smocze. Za długie w proporcji...

- Bo to nie jajo - wyręczył pana giermek. - Smok nie podjął uczciwej walki ze ścigającym go hufcem. Chował się, kluczył, umykał, nagłe naloty czynił, a na koniec w jaskini jak w twierdzy się okopał. Właśnie z niej pan Drawet wywlókł go za gardło. Ów czarny owal symbolizuje wejście do jaskini. Zauważcie tę cienką, różową obwódkę. Ta z kolei symbolizuje krew, w srożej walce przelaną.

- Smok wybił cały hufiec, a nory nie zdołał wybronić przed ostatnim rycerzem? - Boomhons skrzywił się sceptycznie. - No, powiedzmy.

- Uważaj. - Proporzec zafurkotał i nim ktokolwiek zdążył zareagować, grot kopii, zatoczywszy łuk, oparł się o pierś wozobrońcy. Po momencie Kobert i Puchacz już mierzyli z kusz, ale

dla nikogo nie ulegało wątpliwości, że co najwyżej pomściliby dowódcę, gdyby baron miał ochotę zabijać. Baron jednak, póki co, jedynie ostrzegał: - Waż słowa. Cenię profesjonalistów, ale choć potrzebny mi jesteś, to nie jesteś niezastąpiony.

Przez chwilę było cicho. Boomhons wpatrywał się w grot i chyba oczekiwał drżenia. Kopia była nowoczesna, z przeciwwagą, pewnie drążona w środku, ale też długa i jako taka trudna do utrzymania w bezruchu.

A mimo to baron utrzymał. I to na skos. Debren przełknął z wysiłkiem ślinę. Wielkich nadziei sobie nie robił, lecz nawet te małe rozsypały się w proch. Po minach wozobrońców poznał, że tuzin razy teraz pomyślał, nim zadrą z rycerzem. Komuś, kto tak robi kopią i chadza w bułatowej zbroi, lepiej nie dmuchać bez potrzeby w kaszę.

- Ja też - powiedział powoli Boomhons - cenię profesjonalistów.

Skinął głową, lekko, lecz z uznaniem. Baron przyjął przeprosiny. Kopia, z chyżością właściwą wędkom, powędrowała ku niebu. Keloalen ukradkiem otarł pot z czoła.

- Nie znałem tej historii - wyznał.

- Bo nie obnosimy się z nią - przez usta barona przemknął mroczny uśmiech. - Kiedyś Kościół by się krzywił, a dziś... Odszkodowania, rozumiesz. Suweren coraz częściej bywa pozywany za szkody czynione przez wasala. Na psy świat schodzi. Coraz mniej rycerzy, coraz więcej jurystów. Na szczęście księga, w której tę historię opisano, zaginęła. Nikt nam niczego nie udowodni.

Elfowi nagle rozbłysły oczy.

- Jeśli to twój wasal - popatrzył z nadzieją na wylot jaskini - może go po prostu wywołać na zewnątrz?

Spojrzeniu barona brakowało entuzjazmu.

- To... kiepski pomysł.

- Nie usłucha? - odgadł Boomhons. - Taa... Feudalizm to najlepszy system, ale nikt jeszcze nie wymyślił, co zrobić, by ci cholerni wasale zawsze słuchali rozkazów.

Opp Trickleby łypnął ponuro i zaczął obmyślać sposób powiedzenia tego samego, ale w sposób nie przynoszący mu ujmy jako suwerenowi ze zbyt małym autorytetem. Na szczęście miał giermka.

- Honorowe by to nie było - wybawił go Scalpelott.

- Niby czemu?

- Bo to będzie wyglądać, jakby mój pan w tchórzliwą pułapkę smoka zwabił.

- Tchórzliwą? - zdziwił się Boomhons. - Czyli jaką?

- W uczciwej zwabiony ma jakieś szanse, zaś wabiący walczy i może polec. Tu zaś walki być nie może, bo smok pod słowem honoru nie ma prawa mego pana zaatakować. Hańbą się okryje, kto zabija całkiem bezbronnego, i to w oparciu o dany przez niego parol.

- Srole-parole - splunął Hadgold. - Pańskie wydziwianie. Liczy się, by szybciej ubić, niż ciebie ubiją.

- I to piekielnik, ów smok - poparł go Patyczek. - A piekielnika można na dowolny sposób niszczyć i zawsze to Bóg za zasługę poczyta.

Boomhons popatrzył wyczekująco na rycerza.

- Czyli - podsumował - będziecie tu honorowo stać i patrzeć, jak bestia nieszczęsną dziewicę plugawi i pożera?

Scalpelott aż podskoczył z oburzenia.

- Jak śmiecie?! Honor nakazuje rycerzowi obronę dziewic, starców, kalek... Mój pan na pewno...!

- Milcz, młokosie - uciszył go baron. - Wiele się jeszcze musisz nauczyć, nim cię do pasowania rekomenduję. Tego choćby, że nie przystoi rycerzowi potykać się o plugawe rynsztokowe dziewczki, co z własnej woli wdały się w złe towarzystwo. Dziewica? Nie słyszałeś?

Gziła się, za pieniądze pewnie, z tym demuchem. Teraz do smoka polazła, płatną zoofilię uprawiać. A może też szpiegostwo na niekorzyść gatunku ludzkiego.

Giermek, czerwony na twarzy, zasznurował usta. Keloalen, nagle czymś zaniepokojony, zmarszczył czoło.

- Zaraz... To właściwie po coście tu przyjechali?

- Honoru bronić. Zadbać, by moje słowo coś u ludzi znaczyło. Obiecałem ukarać krzywdzicieli dziewczki. Sovrojec ją skrzywdził, więc zdechnie w mękach. Smok krzywdzi, trudno zatem, też do jego śmierci doprowadzę. Ale nie sam. Wy to w mym imieniu zrobicie.

- I tak mieliśmy smoka usiec - zauważył przytomnie Puchacz. - Czyli niepotrzebnie tak gnaliście, panie.

- Bez urazy, Boomhons, ale to jednak smok. Może to on was, nie wy jego, trupami położy. Gdyby do tego doszło, sam będę musiał dziewczkę odzyskać i do grodu odprowadzić.

- To nie staniecie wraz z nami do boju? - upewnił się Boomhons. Okryta przyłbicą głowa poruszyła się w geście przeczenia. - No, bez łaski. Jenó się nie płaczcie i nie przeszkadzajcie. Puchacz! Com o baryłce mówił? Już mi z kadzidłem pod jaskinię, zadymę robić! Patyczek pomoże ci pchać, ale ty ustawiasz i olej lejesz. Kobert, forkiety wbij i snajperkę narychtuj. Hadgold, pod dyszel magika. Przywiąż... - zawahał się - albo nie, łańcuchem przypnij. W boju nie ma czasu pilnować, jeszcze się uwolni.

- Od liny?! - zaprotestował Debren. - A gdzie tam! A łańcuch w czarowaniu przeszkadza, mogę nie zdołać...

- To nie zdołasz i cię gadzina capnie. Twój problem.

- On ma przeżyć - rzucił zimno baron.

- Przeżyje - odparł równie zimno Boomhons. - Smok nie doleci do wozu. Zabierzcie konie do lasu.

- I dziewczkę chcę żywą. Jak ją udusisz dymami...

- Ma na imię Amma! - nie wytrzymał Debren. - Do łoża chciałeś z nią iść, bydlaku; mógłbyś choć...

Baron zatoczył kopią leniwy z pozoru łuk. Debren oberwał drzewcem nad uchem, padł na ziemię.

Przez następne parę pacierzy mozolnie odzyskiwał zmysły. Wzrok wrócił mu dopiero przy wozie. Siedział wsparty szyją o dyszel, przywiązany doń łańcuchem. Teraz straszącą ostrzami belkę podparto parą forkietów. Od strony dyszla ogniwa łańcucha szepiono drewnianą przetyczką, wbitą młotem. Bez narzędzi - ani nie podchodź. Drugi koniec, poowijany wokół tułowia i ramion Debrena, Hadgold związał rzemieniem: wbijania przetyczek jeniec by nie przeżył. Tu węzły dałoby się rozsypać, bo trochę swobody ręką pozostawiono - ale nie szybciej niż w pół klepsydry.

Jednym słowem: o uciekaniu mógł zapomnieć, choćby w bitewnym zamęcie wszyscy o nim zapomnieli.

Zresztą na razie nie zanosilo się na bitwę. Wozobroncy wbijali w ziemię forkiety pod ciężkie kusze, ustawiali i kołkowali pawęże, rozkładali gdzie trzeba broń drzewcową, nadziaki i topory. Oręża było dużo, po kilka sztuk na człowieka: widać przewidywano łamanie pik, zakleszczanie się ostrzy między smoczymi gnatami czy wreszcie pospieszne uskoki, które łatwiej wykonać, porzucając ciężką broń i chwytając inną parę susów dalej.

Kuleczka dostał rozkaz ułożenia kartacza w korytku balisty, a Puchacz z Patyczkiem chyłkiem, okrężną trasą wzdłuż skraju lasu, potoczyli baryłkę w stronę jaskini.

Ten manewr musiał potrwać. Ich kamraci, choć z kuszami na podorędziu, rozsiedli się i czekali cierpliwie. Debren też czekał. Nie bardzo wiedział, na co. Trudno powiedzieć, że nudziło mu się przez te kilkanaście pacierzy: myśli o bitwie, a potem kaźni w zamkowym lochu skutecznie zabijają nudę. Ale zbierając moce do czarowania,

co myślenia nie wymagało, a nawet trochę z intensywnym myśleniem kolidowało, nie miał nic więcej do roboty, jeśli chodzi o aktywne ratowanie skóry. Musiał zdać się na los i ewentualnie Keloalena. Więc - by jakoś odpędzić ponure wizje - zahaczył wzrokiem o księgi.

Wysypano je z sakwy obok przedniego koła, niedaleko, i na moment zaświtała mu myśl o jakichś cudownych, morderczych czarach, które mógłby wyczytać z manuskryptów Factorby'ego. Ale akurat te księgi, magiczne, leżały grzbietem do góry lub zamknięte. Runy, jak na ironię, ukazywała niebu - i oczom Debrena - jedyna zupełnie bezwartościowa pozycja, a mianowicie *Smoki w dziejach Anvashu*.

Ba - gorzej niż bezwartościowa. Można rzec, że z wartością ujemną. Pierwszy odczytany fragment brzmiał:

I wypruł im smok flaki, żywych i krzyczących ostawiając, a nim skonali, flakami owymi z góry na konie ciskał, panikę szerząc, od której trzeci koniowodny zatratowan został.

Nie, zdecydowanie nie tego potrzebował.

Mimo to czytał dalej. Wolno szło, bo widział runy nogami do góry, a spore fragmenty przesłaniały łądygi traw. Na szczęście trochę wiało i falująca przeszkoda raz po raz ukazywała zakryte znaki.

Lecz poszli dalej tropem smoczego szczenięcia...

Tak naprawdę nie było tam niczego użytecznego. Nie na dwóch stronach, które mógł, kawałek po kawałku, ogarnąć wzrokiem. Powinien był dać sobie spokój, bo za samo gapienie się na księgę - w odbiorze wozobrońców: magiczną - mógł oberwać w ucho. Albo i gorzej.

Głupota. Zobaczą, co robi, dzielą w łeb, koncentrację diabli

wezmą. Po co mu to? Co go obchodzi jakaś obrosła pajęczyną historia sprzed wieków? Właśnie rezygnował, właśnie rozsądek brał górę - kiedy coś mu zadzwoniło w głowie.

Drgnął. Te słowa, prawie ostatnie na stronie... Od razu przesłoniła je trawa i przesłaniała przez następne kilkanaście momentów, do kolejnego podmuchu.

Za długo.

Zdażył uwierzyć, że przeczytał co innego, niż wykaligrafowano inkaustem. Potem, gdy poźółkłe łądygi skłoniły się przed wiatrem i wzrok zastąpił wyobraźnię, było już za późno. Pobudzona ciekawość wzięła górę nad rozsądkiem. Mętne przecucie pokonało chłodną kalkulację.

Zamiast siedzieć i gromadzić moc, szczerze zaczerpnął z tego, co uzbierał, i wygenerował mały wir powietrzny nad księgą.

Kartka stawała niemal pionowo za każdym razem, lecz dopiero przy czwartym podejściu upadła inaczej, niż leżała na początku. Odsłoniła dwie kolejne strony.

Mógł czytać dalej.

Skończył w momencie, gdy Puchacz i Patyczek dotarli przed wylot jaskini. Zachodząc z boku, byli niewidoczni z wnętrza, ale nawet z tej odległości Debrenowi wydawało się, że słyszy zgrzyt kostnych odłamków, po których toczyli beczkę.

Nic się jednak nie stało. Gad nie wysunął z jaskini nawet kawałka paszczy. Nie skorzystał też z okazji, jaką dawało ustawianie beczki już w samym wejściu i polewanie jej olejem. Kompani osłaniali Puchacza przy tej robocie, mierzyli w mrok otworu ze wszystkiego, co mieli do strzelania, ale chyba każdy czuł, że sprytny smok może bezkarnie spalić zuchwalca zionięciem z głębi groty.

Nie uczynił tego. Nie wybiegł, nie zaryczał, nie rzucił się na bezczelnych intruzów. Nie zrobił żadnej z tych rzeczy, które,

zdaniem bardów, robią smoki w podobnych okolicznościach.

Obaj zadymiarze, z wyraźną ulgą, biegiem, wrócili w sąsiedztwo wozu. Keloalen z nasmołowaną strzałą czekał już przy ognisku, lecz Boomhons nie dawał jeszcze znaku. Szykował do strzału snajperską kuszę.

Broń, ciężką i ewidentnie skrytobójczą, zaopatrzone w wielokrążkowy napinacz. Wbudowany w masywne łożo, pozwalał naciągać cięciwę drobnymi, niewidocznymi z daleka ruchami przedramienia, a nawet samego tylko nadgarstka. Duże przełożenie spowalniało strzelanie, lecz miało i dobre strony. Ktoś schowany w krzakach może przeładowywać taką broń, pozostając niemal w bezruchu. Żaden liść nie zadrży, nie zdradzi pozycji strzelca.

Równie osobliwy jak naciąg był forkiet. Przytwierdzony na stałe, przegubowy i krótki, służył - nie do wiary - do strzelania leżąc! Przy czym, o dziwo, zdawał się zapewniać stabilniejsze podparcie od typowych forkietów, sięgających podbródka. Boomhons, chcąc przymierzyć się do strzału i wybrać pozycję, musiał zalec na brzuchu. Za to potem, gdy leżał, broń ani drgnęła. Widać było, że tylko wiatr lub zbyt nerwowe szarpnięcie za spust mogą ocalić nieostrożnego smoka przed poważnymi kłopotami.

Najważniejszy nie był jednak napinacz czy podparcie, a celownik w postaci magicznej kuli. Nie użyto, co prawda, jednej z tych kryształowych, pozwalających magowi widzieć odległe o wiele mil miejsca lub nawet inne wymiary - aż takiego cuda, póki co, nikt nie próbował konstruować. W małej klatce nad łożem osadzono szklany odlew, który jednak dzięki polaryzacji w magicznym polu przybliżał oglądane przezeń widoki. Tego typu kule, stosowane coraz częściej przez zwiadowców, oprócz wielokrotnie niższej ceny miały jeszcze jedną istotną przewagę nad klasycznymi, kryształowymi. Dawały się mianowicie obsługiwać z samokleпки, czyli bez znajomości magii, a

nawet run. Każdy, w tym niemy analfabeta, mógł uaktywnić spisane przez czarodzieja zaklęcie. Wystarczyło przeciągnąć pergaminowy zwój przez zamontowany w klatce samoczytnik.

Boomhons biedził się z tym dobrym pacierzem. Zwój, okazuje się, należało osadzić na kołowrotku i przewinąć z jednego wałka na drugi powolnym, jednostajnym ruchem. Debren dowiedział się też, nie bez skrytej satysfakcji, że odpalaniu samokleпки towarzyszy rozbłysk mocy. Nawet gapowaty i roztargniony czarodziej nie przeoczyłby czegoś takiego i pewnie trudno byłoby niepostrzeżenie wziąć go na cel. Ale fakt: dla pozbawionych zmysłu magicznego całe zawirowanie było niedostrzegalne.

Prostolotnego bełtu, póki co, Boomhons nie aktywował. Widocznie zaklęcie trzymało krócej i nie chciał go marnować, póki nie ujrzy smoka.

A smok się nie pokazywał.

- Podpalać? - upomniał się Keloalen.

- Damy mu parę pacierzy. Może się baryłki zląkł. Zobaczy, że nieszkodliwa, to może choć wyjrzy. Nie chcę bez potrzeby kadzidła tracić. Wykurza, że strach, ale i kosztuje słono. - Boomhons obejrzał się z kwaśną miną w stronę lasu. - I dziewczki nie chcę struć. Baron byłby zły.

Czekali zatem. Elf, zaciekawiony snajperką, przykucnął obok, przyglądał się szczegółom.

- A jak z tego mierzyć?

- Patrzysz w kulę, to tutaj czerwone światełko naprowadzasz na cel i... - Boomhons zaklął nagle, zamierzył się pięścią. - Zgasło! Znów, cholernik, zaklęcia nie wgrał! Szlag by go... - Urwał, zerknął na Keloalena, szukając chyba kpiącego uśmiešku. - No nic, powtórzyć trzeba. Za którymś razem zasraniec odpala. Ale ja do tego nerwów nie mam. Hej, Kobert, rusz tyłek i...

- Tą korbką się kręci? - upewnił się Keloalen. - Chyba więcej delikatności trzeba. A ty jak kołowrotem w kamieniołomie...

Boomhonsa znów poniosło.

- Gadasz jak ci chędożeni wytwórcy samoklepek! A to za szybko przeciągane, a to za wolno! Albo czytnik przestarzały, nie dość kompatybilny z naszym niezawodnym zaklęciem najnowszej generacji! Albo kolizja zachodzi z lokalnym polem magicznym, nie firmy wina, doradzamy przejść gdzie indziej i stamtąd strzelać... Tak jakbym sobie mógł po polu bitwy wte i nazad ganiać! Co rusz się pieprzy i nigdy z ich winy! Zawsze to klient coś źle robi. Względnie sprzęt ma stary i rozregulowany. Ostatnio mi jeden taki poradził, bym nową kuszę kupił. Nie czytnik, nawet celownik, całą kuszę od razu! Szwagier akurat okazjnie tanio sprzedaje. Zastraniec! Całą kuszę, wystaw sobie! Bo krzywo zaklęcie spisali! I to drukiem pisząc, nie ręcznie! No, zęby potem w sakiewkę musiał zbierać...

Kobert wyjął broń z jego rąk, spokojnie poprzekładał rolki ze zwojem, zaczął przewijać pergaminową wstęgę. Debren tylko westchnął z zazdrości. Owszem, w krajach demokratycznych wytwarzano już samorzucające się zaklęcia. Ale całą produkcję, póki co, przejmowało państwo. A gdyby coś nawet trafiło na rynek, kosztowałyby pewnie tyle co kamienica.

No, za to przynajmniej wojsko ma dużo nowoczesnego oręża i jest on, jeśli wierzyć „Wojakowi Wolności”, całkowicie niezawodny. Nie to co kusza Boomhonsa.

Przy kolejnej próbie czerwone światełko pojawiło się w kuli, lecz zgasło po paru momentach. Kobert przewijał zwój po raz trzeci, kiedy z lasu na południu wyskoczyła garbata sylwetka.

Pirr, choć wsparty na kiju, raczej przebiegł, niż przykuśtykał tę kopę kroków, która ich dzieliła.

- Nie szyc! - wołał z daleka. - Posługa prawna! I psy trzymać! To rezerwat, tu w ogóle nie wolno z psami...

Owczarki, jakby świadome nielegalności swego pobytu, tym razem nie okazały mu wrogości. Najstarszy wyciągnął nos, zaczął wąszyć, ale kichnął raz, drugi i dał sobie spokój. Pozostałe dwa całkiem zignorowały prawnika: Burona, która obudziła się chwilę wcześniej, podkarmiła je właśnie resztkami z kociołka i misek. Pirr dotarł w pobliże wozu bez przeszkód, chwilę przed baronem. Rycerz miał bliżej, ale ruszył później, pieszo i z godnością.

Keloalen sięgnął po łuk, nałożył strzałę. Niespiesznie, jakby czuł, że nic z tego.

- Stój, elfie - warknął baron. - Gdzie dziewczka, Pirr?

- Nie szyc też w beczkę i smoka! - wydyszał garbus, już ciszej i z bliska. - Walka nie ma sensu, Boomhons. Chyba że lubisz walczyć za darmo.

Skłonił się baronowi, unosząc dłoń do kaptura. Nie patrzył na Debrena. I dobrze. Bo Debren nie czuł się jeszcze na siłach wymieniać z nim spojrzeń.

Na szczęście dookoła byli inni.

- Co znaczy: darmo? - zaniepokoił się Boomhons.

- Łże, kręci i straszy - orzekł Keloalen. - Jak to prawnik. Zastrzele go, nim ci ludzi otumani.

- Ammy nie ma w jaskini - zignorował obu Pirr, zwracając się do barona. - Przykro mi, panie, ale już po niej. Utonęła w bagnie. Jedno, co dobre, że smok, poruszony twą tragedią... bom mu wyklarował, jak ci na niej zależało... no więc zgodził się odstąpić od wszelkich żądań. - Dopiero teraz popatrzył na Boomhonsa. - Okoliczności uległy drastycznej zmianie. Nie ma smoczych gróźb, więc nie będzie nagrody za smoczy łeb. Ba, kara by była. Za umniejszenie królewskiego potencjału strategicznego.

Wozobrońcy przyglądali mu się z niepewnymi minami. Jeden Kobert, pochłonięty równomiernym przewijaniem samokleпки, robił swoje, wypatrując czerwonego światełka. Ale może po prostu Kobert lepiej znał swego dowódcę.

- Chędożę okoliczności - warknął Boomhons. - Mam czmychać przed zdzięcinniałym starcem? Dziś odstępuje od żądań, a jutro zapomni, że odstąpił, sklerotyk trzystuletni, i znów zażąda...

- Bez zgody barona - uprzedził go Pirr - nikt smoka nie ma prawa tknąć. Panowie opp Trickley są suwerenami wzmiankowanej bestii, zatem tylko oni...

- Nie żyje? - przerwał mu smoczy suweren. Jego twarzy Debren nie widział, ale sądząc po głosie, była albo bledsza niż zwykle, albo na odwrót, bardziej czerwona.

Pirr spojrzał mu prosto w oczy.

- W mojej obecności - oznajmił uroczyście - Amma pożegnała się z tym światem. - Jego spojrzenie zahaczyło o skulonego pod dyszłem Debrena. - Przykro mi.

Mówił do obu. Obaj uwierzyli. Choć Debren inaczej.

Baron długo przyswajał tę wiedzę. Zdążył nadbiec giermek, nie tylko z bukłakiem, ale i dwoma kielichami.

- Pan Pirr! - ucieszył się. - Miło was...

Baron wyrwał mu bukłak, przechylił, ignorując podsuwany kielich. Musiało nim wstrząsnąć. Arystokrata nie zachowuje się tak na oczach spóółstwa. Debrenowi przez chwilę było go niemal żal.

Byłe zauroczenie nie przechodzi w tak ciężką nienawiść. Zalała mu za skórę, to widać. Nigdy by nie uwierzył, gdyby sam czegoś podobnego nie doświadczył. Między nimi było całkiem inaczej, ale rozumiał, że Amma jest z tych, co mogą odmienić całe męskie życie.

- Utonęła? - wycharczał baron. - Tak... po prostu?

- Przykro mi - powtórzył Pirr. - Wiem, ile dla ciebie znaczyła...

hmm, opieka nad nią. Boleję. Ale trzeba patrzeć w przyszłość. - Chrząknął, zmieniając ton ze współczującego na rzeczowy. - Sugeruję, byś odprawił tych ludzi. Zaliczkę wzięli, więc krzywda im się nie stanie. Pewnie opiewała na połowę kwoty, czyli połowę jest imć Boomhons stratny, lecz z drugiej strony patrząc, nie wytracił tu połowy ludzi i cennego sprzętu. A darmo zyska sławę pacyfikatora smoków, co to nie tylko przemocą, lecz i układami potrafi ustrzec okolicę przed bestią.

- Ty mnie tu pod włos nie bierz! - splunął sławny pacyfikator. - Smoczy skarb, ot tak, mam zostawić? Od wojska się wymiguje, od płodzenia królowi młodych smoków takż... Jakim cudem? Bo w łapę urzędnikom daje! I medykom! Znaczy: ma z czego. Bo to nie w kij dmuchał takiego smoka w rejestrach wojskowych skryć albo inwalidzkie papiery wystawić komuś, kto lata i owce porywa. Ryzyko wpadki wielkie, to i łapówki muszą być wysokie. Czyli na złocie gad musi siedzieć. I nie dziwota: trzysta lat ciułał. A i jego ciało niejednego geriatryka zaciekawia. Eliksię młodości zawsze w cenie. Skóra na ciżmy, kły, pazury... Łuski na pancerze. To chodząca góra pieniędzy i ani mi się śni...

- Odsyłam was - przerwał mu cicho baron.

- Hę?

- Nie jesteście już potrzebni. Precz. Chcę zostać sam.

Wozobrońcy ocenili minę wodza, po czym kusze Hadgolda i Patyczka powędrowały do ramion. Ciężkie, przeciwpancerne kusze. Nawet bułatowa zbroja nie zatrzyma bełtu, wystrzelonego z takiej, jeśli strzelać z bliska i w odpowiednie miejsca. A oni raczej wiedzieli, gdzie mierzyć. No i przyłbica była otwarta.

Baron nie raczył skomentować pogróżki ani słowem, ani sięganiem po miecz. Od czegoż ma się prawników?

- Odradzam. - Pirr też nie wyglądał na wstrząśniętego.

- A ja - wsparł się pod boki Boomhons - odradzam włożenie między nas a smoka. Zamówiłem już sól i balsamy, by ściervo zakonserwować, wozy do Plotterby, a w Plotterby nawet kogę. Zadatki opłacone. Nie zamierzam tracić pieniędzy, bo wieki temu jakiś wczesnowieczny panek smocze jajo z gniazda podpieprzył i kidnappingiem wymusił wasalność na rodzicach pisklaka. Zresztą gdzie dokumenty na to wszystko? Hę? Nie ma, prawda?

- Słowo mego pana więcej znaczy... - zaczął Scalpelott, ale urwał, czując nóż przy gardle. Zielonooka, z braku dostatecznie mocnej kuszy, zajęła się nie panem, a pozbawionym blach giermkim.

- Też odradzam - zwrócił się do dajki Pirr. - Jego ojciec znaczy nawet więcej niż baron. Ścigaliby cię, złapali i oddali najlepszym katom.

Nóż zadrżał, ale nie cofnęła go. Jakby przeczuwając, co powie Boomhons.

- Garbusie, ledwie co wysiekliśmy królewski garnizon. Myślisz, że mnie nastraszyś gniewem jakiegoś arystokraty? W Anvashu nie ma dla nas przyszłości, z martwym baronem - skłonił się ironicznie rycerzowi - czy bez. Ale pies chędożył Anvash. Dla smokobójcy to kiepski rewir, a i z wozobronstwa nie da się wyżyć na przyzwoitym poziomie. Ten zasraniec, Bobin Czapa, rynek całkiem zepsuł. Bogatych rabuje, biednym rozdaje, więc się hołota całymi kupami za byle zbójem snuje, zebraniem męczy, drabów i szeryfów na trop naprowadza, a czasem nawet sama zbójowi łup wydrze, bo jej się ubzdurało, że takie jej teraz prawo. No i podupało anvaskie zbójectwo, nieopłacalne się stało. Zbóje masowo za granicę interes przenoszą, przez co wozobroncom przyjdzie z głodu zdychać. Więc tak czy inaczej odpływamy stąd. Nic, mówiąc inaczej, nie mamy do stracenia.

- Macie - pouczył go baron. - Życie.

Teraz i Puchacz, choć wyraźnie niepocieszony, dołączył do grona mierzących w niego z kusz. Keloalen uniósł dłonie, deklarując neutralność. Sokół jeżył się na jego ramieniu, deklarując chęć wydrapywania ślepi każdemu, kto neutralność naruszy.

- Bułatowa zbroja - zmrużył oczy Boomhons. - Tak droga, że nikt jej nie sprawdza inaczej niż w bitwie. Bo byle rysa o ułamek cenę zbija, a ten ułamek to majątek. Widywałem naiwnych, którzy zaufali reklamie i ginęli w takich od pierwszego bełtu.

Pirr zawahał się, niepewny, czy powinien to mówić. Ale w końcu powiedział:

- To nie kwestia zbroi. I nawet nie tego, że baron jest siódmy w rankingu najlepszych rycerzy Anvasu. Jego... wróżba broni. U samej Damstruny zamówiona, gdy dzieckiem był. Otóż wyszło Damstrunie, a wiesz, że nie ma lepszej, że tylko jednego typu wróg może barona uśmiercić.

- Damstruna - Boomhons próbował podtrzymać kpiący uśmieszek, ale wiele go to kosztowało. - No proszę.

- Co to za wróg? - zapytał Keloalen.

- Przepowiednia, jak to one, wygłoszona była kwiecistą mową. Nieprecyzyjna. Ale niepodważalny sens jest następujący: by barona zabić, trzeba skończyć minimum sto lat. Masz tyle, Boomhons? Albo któryś z twoich?

Nikt Pirra nie wyśmiewał, nie podważał jego słów. Debren nawet przeskanował pobieżnie pasma pokrewne telepatii. Bez skutku. Tamten nie użył żadnej sztuczki. Po prostu mówił szczerze. Jakby wbrew sobie, i to właśnie ten wewnętrzny opór, widoczny spod drętwego uśmiechu, przekonał słuchających.

No, może pomogła jeszcze postawa barona. Opp Trickley był zły, rozczarowany, nawet zagubiony - ale na pewno nie wystraszony. Jakby w ogóle nie dopuszczał myśli, że pół tuzina profesjonalnych

smokobójców może utłuc samotnego, spieszzonego w dodatku rycerza.

Kusze wozobrońców opadły. Poza jedną: Kobert dopatrzył się w końcu czerwieni w celowniku i podniósł snajperkę, by ocenić rezultaty. Mierzył jednak w stronę góry.

- To prawda - mruknął rycerz. - Nie w waszej mocy mnie pokonać. Więc wynoście się. Pókim dobry.

- Memu panu, jako poniekąd nieśmiertelnemu - wyjaśnił Scalpelott, dzielnie ignorując ostrze przy gardle - niehonorowo bójki wszczynać. Stąd owa ledwie siódma lokata w rankingu. Na samych turniejach nie uzbiera się dość punktów, trzeba dodać oceny z legalnych wojen i nade wszystko pojedynków. A odkąd się wieść rozeszła, że niepokonany, ciężko o przeciwnika na ostre. Więc nie prowokujcie go. Bo wiele punktów za was nie dostanie, ale zawsze kilka.

- A może - zastanawiał się Puchacz - wróżce szło o summaryczny wiek wrogów?

- O jednostkowy - uciął wątpliwości Pirr. I znów przyjęto jego słowa jak ostateczną prawdę. Jeszcze przed chwilą Debrena mocno by to zdziwiło. Ostatecznie kto rozumny święcie wierzy juryście?

Ale teraz...

Dżuma i syfilis. Prawie nie czuł strachu. Tak bardzo zwyciężyła w nim ciekawość.

Coś wisiało w powietrzu. Coś niezwykłego.

- Minimum sto lat - powiedział, jakby do siebie, Boomhons. Przez chwilę wyglądał jak ktoś przegrany, nagle jednak w jego oczach zapłonęły iskierki nadziei. - Ha! Smok ma minimum sto!

Debrenowi hełm zasłaniał twarz barona, lecz po minie Boomhonsa poznał, że strzał trafił w pustkę.

- Teraz to bez znaczenia - oznajmił rycerz. - Skoro dziewczka nie

żyje... Owszem, bezpieczniej i bardziej honorowo byłoby mi to was po nią wysłać do smoczej pieczary. Ale utonęła. Nie jesteście zatem potrzebni. Zwalniam was. Pirr, ciebie też zwalniam. Ze skutkiem natychmiastowym. I nie przychodź po referencje.

- Referencje? - zdziwił się garbus. - Wszyscy mnie tu znają bez żadnych referencji.

- Wyjeżdżasz. Twój garbaty widok będzie przywoływał bolesne wspomnienia. Dopuszciasz, by utonęła. Rozumiem, że zrobiłeś wszystko, by przeżyła. Dlatego cię nie ukarzę. Ale nie ma tu już dla ciebie miejsca. Wynoś się.

- A skarb? - jęknął Patyczek. - Smocze bogactwa?

- Zabiję każdego, kto za szóstnicę nie będzie pół mili stąd. Czy to jasne? Nie potrzebuję was. Precz.

Puchacz odłożył kuszę, pognął po uwiązane w lesie konie. Dajka schowała nóż, zaczęła słać giermkowi przepraszające uśmiechy. Inni, choć niby zostali, też wyglądali na pokonanych. Debren rzucił zaniepokojone spojrzenie Pirrowi i zaniepokoił się jeszcze bardziej: tamten wyraźnie unikał jego wzroku.

Co się dzieje? Tak po prostu się rozjadą? Tamci w świat, a on do zamkowego lochu?

A może znów sobie coś uroił, znalazł nadzieję gdzieś, gdzie wcale jej nie było? Jak z Keloalenem? Wyczytał jakąś bajkę w starej księdze i na tak kruchej podstawie...

- I co, baronie? - przerwał ponurą ciszę dziwnie raźny głos Koberta. - Sami do groty pójdziecie? Ostrogi w łajnie paprać, honor deptać i może śmierć znaleźć?

Wszystkie głowy odwróciły się w jego stronę.

- O czym mówicie? - wyręczył pana giermek.

- O tej, co to jej baron obiecał bronić. - Ruchem kuszy Kobert wskazał wzgórze. - Po mojemu, do obrony dziewczek zalicza się też

uwalnianie ich ze smoczych łap.

- Co ty bredzisz, człowieku? - Tym razem dziwił się pan. Giermek podbiegał do Koberta, wyrywał snajperkę z jego rąk. - Ona nie żyje. Mój własny jurysta...

- Były - przypomniał ponuro Pirr. Zerknął na Koberta, potem na wylot jaskini i poluzował sznur, przytrzymujący opończę. Jak ktoś, komu nagle zrobiło się duszno.

- Utonęła w bagnie? - zaśmiał się Kobert. - To jakim cudem właśnie ją widziałem?

Próbował klepnąć kulę, nie trafił jednak: Scalpelott odsunął się, wymierzył snajperkę w stronę jaskini.

- Dziewka? - nie dowierzał Boomhons. - Jak to?

- Łże - spróbował szczęścia Pirr. - Nie słuchaj ich, panie. Wszystko zrobią, by zamordować smoka i ...

- Tam ktoś faktycznie jest! - przerwał mu podniecony Keloalen. Poderwał ramię, ale zaraz opuścił. - Był.

Wpatrywali się w czerń groty, pogłębianą słonecznym blaskiem w tle wzgórza. Przez to światło Debren ledwie widział ustawioną w przedsiionku baryłkę. Ale elf...

- Elfy widzą w mroku! - Boomhons od niedowierzania szybko przeszedł do ataku. - Nasza kula też światło wzmacnia. A jak dwóch ludzi... i, ten... nie ludzi... no, jak dwóch kogoś widziało, to pewnie ktoś tam jest.

- Smok - podsunął Debren.

- Smoka od baby odróżniam - zapewnił Kobert.

- To... niewiasta - powiedział cicho Scalpelott. Opuścił kuszę. - Trzech widziało. Mignęła mi jeno, ale...

Baron popatrzył na garbusa. Tym razem Debren cieszył się, że widzi tylko tył hełmu.

- Pirr? - Zazgrzytało jak okucie pochwy przy wyjmowaniu miecza.

Prawnik potrzebował paru momentów, by się pozbierać. Ale tym razem jeszcze się pozbierał.

- Dajki im pomagają. - Wskazał zielonooką. - Pewnie drugą podesłali smokowi, by cię oszukać.

- Machrusanki jesteście! - oburzyła się. - Nie damy smokom! Ja to nawet nieludziowi bym nie dała, a co dopiero... A tobie też żadna nie da, garbusie, jak powiem dziewczynom, jakieś tu nas szkalował!

- Była w chuście na twarzy - dorzucił giermek. Wyraźnie mało szczęśliwy z powodu pogrążania jurysty.

- Pirr?! - Teraz brzmiało to już jak cięcie klingą.

- To ona. - Boomhons splunął w dłonie, zatarł je jak drwał przed robotą. - Ha, wylazło szydło... No nic, wykurzamy gada, chłopaki. Na trzystuletniego pan baron nie będzie wszak osobiście lazył. Bo go bestia zdolna po trzykroć uśmiercić. Keloalen, mógłbyś baryłkę przypalić?

Elf wyjął nasmołowaną strzałę, ruszył do ogniska.

- Czekał - powstrzymał go Pirr. - I wy też. Baron zgody nie wyraził. Skąd wiecie, że strachu nie przełamie i sam nie pójdzie potykać się ze starowiną?

- Strachu? - zdumiał się Scalpelott. Debren przyznał mu rację. O co, jak o co, ale o bojaźliwość nie dało się opp Trickleya posądzić.

- Trzysta lat - uśmiechnął się krzywo Pirr. - Trudno liczyć, że tknięty demencją starzec pamięta, co wieki temu inny smok innemu rycerzowi obiecał. A nawet jeśli, to że skojarzy prawnuka owego rycerza. Raczej zerknie na uwłaczający smokom herb i się wścieknie. Taaak... Tym razem to ty się boisz, Trickley. To ty śmierci w oczy zajrzysz, nie jakiś nieszczęsny rogacz.

- Rogacz? - nie zrozumiał Scalpelott.

- Mąż zbałamuconej żony. Narzeczony panny niecnie wykorzystanej. Ojciec rozdziwiczony córki. I tak dalej. Myślisz, że

jak się twój pan na siódmą lokatę wywindował? Ba, do trzeciej kiedyś w rankingu dotarł? Na wojny wszak nie jeździł, bo gładkich niewiast tam za mało. A tuzinami je przez łoża i wiązki siana przepuszczał. Powiadali, że ubrań nie używa, bo albo goły, na kolejnej babie, albo w zbroi, kolejnego rogacza w pojedynku tnie. Tyle że to już przeszłość, prawda, baronie? Bo cię Amma w ziemię wdeptała. Pewność siebie straciłeś. W kompleks popadłeś i impotencję. Lekką z początku, ale to starczyło. W świat wieść poszła, że opp Trickley pogłaskać jeno może. No, a która baba za pogłaskanie na hańbę się narazi? Odmawiać ci zaczęły, a im więcej odmawiało, tym gorzej ci szło z tymi, co jednak uległy. I tak skończyły się łózkowe podboje. A wraz z nimi pojedynki, bo nie ma rogacza, kiedy nie ma czym rogów przyprawić. I tak oto z trzeciego rycerza królestwa imć baron zleciał na siódme...

- Milcz - wycedził opp Trickley. - Ty plugawy...

- Dlatego tak się nad nią pastwisz, łajdaku. Bo ci za jednym zamachem odebrała i ulubioną uciechę, i wymarzoną sławę pierwszego miecza Anvashu. We łbie ci się przewróciło, uwierzyłeś, że żadna ci nie odmówi, a tu prosta dziewczka... Tobie, półboskiej istocie, powiedziała: „Nie”. A skoro takie nic mogło, to i każda inna może. Całą pewność siebie nagle diabli wzięli. Najpierw tę do bab, a potem trochę i do walki. Bo skoro własny, przyrodzony miecz zawiódł, to kto wie: może ten stalowy też w końcu zawiedzie? Zacząłeś unikać co trudniejszych walk...

- Scalpelott, zetnij mu łeb - wycharczał baron. - Nie będę brudził miecza takim...

- Pa... panie! - Giermek poczerwieniał, spłynął potem, ale ani drgnął. - Honor mi nie pozwala...

- O honorze mu mówisz? - zaśmiał się Pirr. - Od razu widać, że krótko u niego giermkujesz. A cóż on o nim wie, ten oprawca

bezdolnych dziewcząt? Toż nawet ze mną, kalekim gryziopiórkiem, nie śmie spraw załatwić jak mężczyzna z mężczyzną. Odsyła bez referencji, bohater. To ci rycerska odpowiedź na obelgi. Tak cię uczyli? Że portek już przy babie nie zdejmujesz, to wiemy. Ale że rękawicy przy takim, co cię jawnie obraża, to dla świata nowość.

Baron omal nie wyrwał sobie dłoni, zdzierając z niej pancerną rękawicę. Był bliski rozstrzygnięcia pojedynku samym aktem wyzwania, bo cisnął nią z taką pasją, że trafiony w twarz Pirr ległby ze zgruchotaną czaszką.

Na szczęście garbus zdołał się uchylić. Żelastwo śmignęło mu nad karkiem, przeleciało parę sążni, rąbnęło w jeden z forkiatów, obalając go i odrywając widełki.

- Kodeks nakazuje - pouczył Pirr - wyzywaniem ją rzucić. Pod nogi względnie w twarz, a nie w siną dal. Czyżbyś chciał się w ten sposób od walki wykręcić? „Próbowałem, lecz cóż, w nerwach żem nie wymierzył, a wszak nie uchodzi za rękawicami biegać i do skutku...”

Baron zaczął ściągać drugą rękawicę, ale w porę dostrzegł to, co Debren: uginające się nogi Pirra, wykrok, pochylenie sylwetki. Był wojownikiem, umiał rozpoznać bojową postawę. Pewnie - w odróżnieniu od Debrena - nie przeszło mu przez myśl, że tamten mógłby zaatakować, wyczuł jednak trafnie, na co się zanoszą. A zanoszą się na następny unik. I hańbiące ganiecie po wrzosowisku w poszukiwaniu rękawic do kolejnych prób wyzwania. Ganiałby giermek, lecz i tak w świat poszłaby plotka ośmieszająca barona na parę najbliższych lat.

Zamiast dwóch funtów pancerza, w stronę prawnika pomknęła zatem ślina. Debren odniósł jednak wrażenie, że i tym razem Pirr zdołałby się uchylić. Gdyby chciał.

Wyglądało na to, że w ogóle nie próbował.

Niespiesznie wytarł plwociny z nosa i brody.

- Wobec tak jawnej obrazy - oznajmił spokojnie - mam prawo zażądać satysfakcji. Natychmiastowej.

- Prawda - potwierdził giermek. - Rękawica pod stopy daje swobodę odnośnie terminu, ale cios w twarz...

- Chłopcze - warknął baron - nie ucz mnie. Wiem: tu i teraz. I dobrze. Stawaj, garbusie. Dajcie mu miecz.

Wozobrońcy popatrzyli po sobie, nikt jednak nie kwapił się z pożyczaniem oręża. Przy pasach mieli krótkie miecze albo i kordy. Całkiem przydatne, by w bitewnym zamieszaniu dobić trafionego czymś groźniejszym smoka, ale na płytową zbroję za słabe. To raczej mało ich wzruszało, nie mogli jednak nie pomyśleć, co się stanie z bronią, którą Pirr spróbuje blokować oburącz potężne cięcia. Połamany kord to zbyt słona cena za przyjemność oglądania, po prawdzie, nie tyle ciekawej walki, ile egzekucji.

Dajka pobiegła śladem rzuconej rękawicy.

- Daruj, panie, ale miecz... Jeno twoim coś by przeciw takiej zbroi... A pewnie nie pożyczysz mu...

- Co tam mamroczesz, Scalpelott?

Pirr, ignorując obu, ruszył w stronę wozu. Teraz, gdy nie biegł, widać było, jak mocno utyka i jak dalece potrzebne mu podparcie w postaci kija.

- Sto do jednego na barona - rzucił bez przekonania Kobert. Nikt nie podjął zakładu.

- Formalnie - argumentował giermek - tyś jego pozwał, panie. Zatem jemu przysługuje prawo wyboru oręża. Nie możesz upierać się przy mieczu, zwłaszcza że tu nie ma drugiego odpowiednio dużego do walki z opancerzonym...

- Mam się może rozebrać? - parsknął baron.

- No... honor by nakazywał bez zbroi...

- Gorąco jest - zakpił rycerz. - Pancierz na białiznę założyłem. Toteż właśnie honor nakazuje w zbroi pozostać. Nie każ mi się w kalesonach pojedynekować, błagam.

Wozobrońcy zarechotali. Giermek poczerwieniał. Zielonooka, z przymilnym uśmiechem, oddała baronowi rękawicę. Naciągnął ją,

nie zaszczycając kobiety spojrzeniem.

Pirr był już przy dyszlu. Kuśtykał tak żałośnie, że nikt nie próbował zastępować mu drogi. Patyczek ograniczył się do pytania:

- A ty tam czego?

- Noga boli. - Garbus trącił Debrena kijem. - Niech magik znieczuli.

Debren wyczuł znajomy zapach. Sianel. Dużo sianela. W ziołach się wytarzał? Czy może jakiś kolejny flakon, wyjęty spod przepastnej opończy?

- Precz! To jeniec. No, won, powiadam...

- A właśnie, noga - przypomniał sobie Keloalen. - Kawalek piszczeli znalazłem. Jakim cudem ty w ogóle...?

- Panie! - ujął się za Pirrem Scalpelott. - On ledwie chodzi! Honor nakazuje...

- Dobrze. Ale uprzedzam: jeśli po zabiegu omdlenie będzie symulował - baron posłał Debrenowi posępne spojrzenie - leżącego zabiję, a dla ciebie dodatkowo drugiego kata sprowadzę. Byś i nocami męki zaznawał.

- Niehonorowo leżącego... - zaczął giermek.

- Sam się o zabieg doprasza. Ja uczciwie uprzedzam: za trzy pacierze zaczynamy walkę.

- Trzy pacierze - skinął głową Pirr. Stał nad siedzącym przy dyszlu Debrenem, uniósł rękoma przestrzeloną nogę, niezdarnie oparł o belkę. - O, tu boli.

Łańcuch nie pozwalał Debrenowi ani wstać, ani unieść dłoni wyżej niż do pasa. Zaczął się gramolić, wykorzystując luzy żelaznych pęt, jednak niemal od razu znieruchomiał. Bo nagle...

- SŁYSZYSZ MNIE?

Bezdźwięczny głos, rozlegający się wprost w głowie. Stłumiony. Dziwaczny. I... jakby znajomy.

Na szczęście nie dla Keloalena. Elf nie uganiał się dwie noce temu po dachach podgrodzia.

- Co to było? - Rozejrzył się. - Kto to powiedział?

Debren jęknął w duchu. Diabli nadali. Stał dużo dalej, a mimo to...

- Niby co? - zdziwił się Boomhons. Ale już Patyczek posłał czujne spojrzenie parze przy dyszlu. Też coś do niego dotarło? Ruszył w ich stronę.

A Debrena naszło zwątpienie. Bo jeśli pomylił się co do osób? Jeśli to elf użył telepatii? A potem po prostu sprawdzał, czy ktoś oprócz adresata cokolwiek usłyszy? Sądząc po reakcji Patyczka: było się czego obawiać.

Więc który? A może żaden z tych dwóch? Może po prostu smok? Cóż tak naprawdę ludzie wiedzą o smokach?

Dżuma i syfilis... Raz kozie śmierć.

- Balista na wozie - wyszeptał, ustami niemal w but Pirra. - Szybkostrzelna, trujące kartacze. Barona przed dyszel wyprowadź. Prosto przed dyszel.

- Auu! - szarpnął nogą Pirr. - To czar? - Patyczek podszedł do nich bliżej. - Hej, ty! Nie podłaź!

Władczy gest ręki był tak zaskakujący, że drałgal faktycznie stanął.

- Do mnie mówisz, garbusie? - zdziwił się.

- Czuję, jak mi czucia w nodze ubywa. Chcesz, by ciebie pole objęło? Czucie stracić przed walką ze smokiem?

Patyczek splunął i odstąpił. Debren, głównie po to, by zmniejszyć dystans między swymi ustami a uszami prawnika, uniósł się do półprzysiada. Niechcący trącił czołem łydkę garbusa.

- Auu! - zaprotestował Pirr. - Uważaj trochę, smarkaczu! Ty w ogóle wiesz, co robisz?!

Skrzywił się okropnie i splunął na odsłonięty dyszel.

A konkretnie na łańcuch.

A jeszcze bardziej konkretnie: na drewnianą przetyczkę, zastępującą kłódkę.

- Wiem, co robię - zapewnił Debren. Bardzo chciałby usłyszeć coś podobnego od Pirra. Usłyszał tylko elfa.

- Który to? - upomniał się Keloalen. Marszczył przez chwilę brwi, po czym spojrzał w stronę jaskini. - Smok?

- Co smok? - ożywił się Boomhons.

- Chyba... telepatię słyszałem. Dziwną jakąś, ale...

- Smok telepata? - zaniepokoił się Kobert. - Ej, Boomhons, bierzmy się lepiej za gadzinę. Póki nie wyszpieguje naszych planów.

- Racja. Panie baronie, nic mi do waszych rozliczeń z jurystami, ale bądźcie łaskawi odejść na stronę i tam garbusa trupem kłaść. Bo my tu musimy...

- Czekać macie - rzucił sucho rycerz. - Pirr, masz jeszcze pacierz. Wybierz sobie broń. Byle nie kuszę.

- Na co czekać? Keloalen, bierz łuk i podpalaj...

- Aż skończę. Ani się waż! - Elf cofnął rękę od sajda. - Plany uległy zmianie. Dziewka żyje, więc musicie tak robić, bym ją odzyskał. A przy tak trudnej robocie wolę was dopilnować. - Boomhons otwierał usta do protestu. - Spokojnie, to jeno chwila zwłoki. Postaram się, by zdychał długo, ale położę łajdaka w parę momentów.

Tą rozmową zagłuszyli: „Uciekaj, skacz wysoko, czaruj” Pirra. Ruchów nie da się jednak zagłuszyć. Patyczek obserwował dwójkę przy dyszlu, więc Debren nie zdążył zrozumieć, co się właściwie stało. Sięgał juryście do goleni, tamten pochylił się, ni to z bólu, ni żeby z bliska patrzeć na zabiegi, zetknęli się głowami... Ale zamiast szybkiej wymiany słów, kaptur garbusa przesunął się jeszcze dalej,

coś zakłuło Debrena z boku szyi, prawie w karku.

- Wybacz - mruknął Pirr... i już go nie było. Niemal biegiem umknął parę sążni dalej.

- Co wy tak... gadacie? - wymamrotał Patyczek. Zrobił dwa kroki, zatrzymał się jednak, widząc puste dłonie chłopaka. Debren uniósł je demonstracyjnie: żadnych noży czy różdżek. W głowie zaczynało mu się kręcić i szumieć, ale nie aż tak, by pogubił się w ocenie sytuacji.

Wiedział, że to nie tylko w głowie szumi. A rozdygotany jak powietrze nad ogniskiem świat naprawdę mocniej dygoce nad oplutą przetyczką. Oparł łokieć o dyszel, zasłonił rękawem, ile mógł.

- Walka sezonu! - darł się Pirr, biegnąc i wywijając kijem, aż furczało. - Panie, panowie! Ujrzyście bój, jakiego nie dane wam było oglądać!

Dotarł aż za linię wysuniętych ku jaskini forkietów. Wyglądało to nawet na ucieczkę. Nie uciekał jednak: po prostu odbiegł na tyle daleko, że każdy, kto patrzył na niego, siłą rzeczy nie ogarniał wzrokiem Debrena.

Debren pogratulowałby mu, gdyby swym zachowaniem Pirr nie schrzanił jego własnego planu.

Bo baron, uznawszy galopadę za początek pojedynku, zatrzasnął przyłbicę i ruszył za przeciwnikiem. Gdyby Pirr biegł w lewo, przeciął linię dyszel-jaskinia...

Ale tego właśnie nie zdążyli ustalić. Debren znów zachował się jak młokos, nie wyszeptał wszystkiego, co ważne - i narobił więcej szkód niż korzyści.

Zrozumiał to, widząc, jak Pirr wbiega przed dyszel, zerka w jego stronę - i zawraca. Skutkiem czego i baron, zamiast, jak dotąd, łagodnym skosem w lewo, kieruje się po prostu dalej od wozu.

Nadal była szansa, że gdy zacznie się walka, znajdzie się na

kierunku wskazywanym przez dyszel. Niestety, nawet różdżka z prawdziwego zdarzenia nie gwarantowała przeniesienia stosownej mocy na tak dużą odległość.

Za daleko odeszli. W dodatku podparty forkietami dyszel spoglądał nieco ku górze. Im dalej od wozu, tym wyżej biegła linia wytyczona jego osią. Nic z tego nie będzie. Tylko moc zmarnuje. Więc może jakiś inny czar?

Ale za bardzo kręciło mu się w głowie. Czuł się jak... pijany? Niby lekko, lecz zarazem dziwnie niepewnie.

- W prawo! - krzyknął w przyпіływie desperacji. Parę osób popatrzyło na niego ze zdziwieniem. Patyczek podejrzliwie. Pirr usłuchał. Ale... - W twoje prawo!

No, teraz to już wszyscy gapili się na niego nieufnie. A Pirr, choć przerwał marsz w prawo Debrena, w swoje prawo jednak nie poszedł, uparcie trzymając się północnej strony linii dyszel-jaskinia.

Dżuma i syfilis... To przez to straszenie balistą. Zrozumieli się najgorzej, jak mogli, czyli połowicznie. Pirr uznał - zgodnie z prawdą - że chłopak spróbuje czarować i czary pójda po linii dyszla. Ale ta balista zamieszała mu w głowie. To w niej dopatrył się oręza Debrena. Łatwiej zakłębem zwolnić cudzy spust niż wygenerować piorun.

No, nieważne. Teraz musiał zatrzeć złe wrażenie, wywołane okrzykami. Bo jeśli ktoś się czegoś domyśli...

Dziwnie się czuł. Lekko. Jakby spadał. Jakby powietrze zmieniło się w wodę i próbowało go unosić.

Strach? Nieważne. Nie zemdleje. Nie teraz.

- Grota z tyłu! - wyjaśnił, niby to Pirrowi. - Smok może wyskoczyć! Tu bliżej się bijcie! Bezpieczniej!

Bliżej to nie „prawo” ani „twoje prawo”, ale nikt się nie połapał. Głównie dzięki baronowi, który sam zaczął zachodzić od prawej,

odcinając prawnika od wzgórza. Przez co, niestety, od wozu się oddalił. Fatalnie.

- Hej, baronie! Podejdź tu lepiej! Za blisko jaskini stoisz, smok cię zeżre!

Zamknięta przyłbica skrywała twarz rycerza. Debren nie był pewien, czy zaszczycono go spojrzeniem.

- Mój pan - pouczył go Scalpelott - nie lęka się...

- A powinien - postarał się o szyderczy ton. - Tym razem imć Tęga Dratwa nie ma co liczyć na zmiłowanie.

Nie wszyscy zrozumieli, ale baron tak. Znieruchomiał. Niestety: daleko od końca dyszła i zanadto z boku.

Dobrze, że choć Pirr cofał się w stronę wozu.

- Że jak? - zdziwił się Hadgold.

- On barona obraża - odgadł Patyczek. - Kpiąc z miana praszczura. Mogę go, panie rycerz, w waszym imieniu...

- Dobrze słyszałeś, opp Trickley! - Debren padł na kolana. Klęczący budzi większe wątpliwości w kwestii rzucania obelg, bardziej jednak szło o możliwość uniesienia dyszła. Koniec dociążono ostrzem, a jego uwiązano za blisko początku. Kiepski układ. Czuł się coraz lżejszy, ale silniejszy nie bardzo. Ramieniem pójdzie łatwiej. - Dratwa, nie Drawet! I nie żaden rycerz, a nedorobiony szewc! Majstersztyku do cechu nie zdał, więc się na pomocnika cyrulika najął!

- Co ty pieprzysz?! - zadudniło spod hełmu. I baron ruszył, prosto na wóz. - Szewc? Mój przodek?!

- Bredzi - rzucił nerwowo Pirr. Obejrzał się, sprawdził, gdzie stoi, i przemieścił się... dzuma i syfilis: dokładnie między nich! - Ze strachu. Zresztą każdy protoplasta rodu kimś innym musiał być, nim rycerzem został; to chyba oczywiste? Ważne, że dawno pas zdobył. Walcz ze mną, Trickley, smarkaczem potem się zajmiesz.

- Walczcie, panie! - podchwycił Patyczek. - Ja zaś ozór mu oberżnę, by was bredniami nie rozpraszał!

Debren ocenił szanse. Daleko, a Pirr przesłonił sobą pancerną sylwetkę. Jeśli sam Pirr, pół biedy: ciało słabo ekranuje magnetyzm. Lecz jeśli oprócz kija ma przy sobie broń... Ostrze, schowane, powiedzmy w rękawie, może rozpruć całe przedramię, gdy je zmienacka szarpnąć polem. Albo, uchowaj Boże, kolczugę skrył pod ubraniem... Tamtego osłoni, a sam padnie prosto pod miecz...

- Zatrzymaj go, Drawet! - krzyknął. Rycerz, milcząc, szedł dalej, ale na szczęście Scalpelott skoczył między Patyczka a wóz, zastąpił drogę.

Pirr uniósł kij. Boże... Jedną ręką?! Na pełną płytową?

Drugą ręką ściągał opończę. Rychło w czas.

- Tęga Dratwa! - darł się Debren. - Tak go wołali, bo grubymi nićmi haftował młokosom sztuczne blizny! By męsko wyglądali! Cyrulik was spłodził, cały wasz ród! Ale nie w tym rzecz! Z drogi, Pirr!

Patyczek minąłby giermka - w brygantynie i hełmie ważył o połowę więcej - ale Pirr w końcu usłuchał, a rycerz skrzyżował spojrzenie z wykrzykującym spod dyszla szaleńcem. I doszukał się czegoś więcej niż szaleństwa.

- Czekaj! - To starczyło, by znieruchomieli wszyscy, z Pirrem włącznie. - O czym ty gadasz, demuchu?

Debren napiął łańcuchy, wskazał księgi.

- Tam to stoi napisane, czarno na białym. O wyprawie. Jak smok padł struty, a tłum zbrojnych młode smoczę ścigał. I niewiastę, przez smoka pohańbioną. Jak zbiegowie jednego po drugim zabijali, w zasadzkach, nocnych bojach, broniąc jarów i ścieżek przez bagna. Ona z łuku szyła, smocze szczenie naloty czyniło, kamienie ciskało i przynosiło jej wystrzelone strzały. Jak na koniec dziewczyna...

- Co ty pieprzysz?! - zdumiał się Boomhons. - Niby że co: hańbiona branka gadowi w walce pomagała?

Baron, wolno, jak lunatyk, podchodził bliżej.

- Zwyciężyli: mały smok, niewiele od człowieka większy, i niewiasta jego ojca. Poranieni, słabi. I prawda: w jaskini się skryli, ledwie żywi. I tam natknął się na nich Dratwa, ostatni ocalały z wyprawy. Ale potem...

Zawahał się. Nie zdąży sensownie zmyślać, a prawdą może wszystko popsuć. Lecz póki płynęły słowa, szczere, głoszone z przekonaniem, baron szedł niczym zahipnotyzowany. Więc trudno: mówić i wierzyć, że tamci nie myślą dość szybko.

- ...potem nie było finałowej walki, heroicznego rycerza Draweta. Był cyrulik Tęga Dratwa, który swymi grubaśnymi nićmi pozszywał rany smoczej nałożnicy.

- Łżesz - rzucił niepewnie Scalpelott. - Herb... herb jednoznacznie pokazuje. Za gardło wywlókł z groty...

Patyczek minął go, ruszył na Debrena.

- Wywlókł! - Debren podbił belkę ramieniem, strącił z forkietowej podpórki. - Ale dziecię, z łona matki! Akuszerstwem szlachectwo zdobyliście, Trickley! Pomocą przy rodzeniu smokoluda! Babską sromotkę na herbie nosicie, nie żadne smocze jajo!

Patyczka, jak i innych, na chwilę aż zamurowało od potworności obelgi. Na to właśnie Debren liczył. Na parę momentów pełnej niedowierzania zwłoki.

Zrobił, co mógł, by go nie powiesili. Przy wieszaniu mu to nie pomogło, lecz dzięki niewykorzystanej mocy, miał jej teraz dość na dalekosiężny czar. Jeśli tylko geometria dyszla będzie sprzyjać, jeśli to dziwaczne ostrze z dwóch skutych halabard nie rozproszy wiązki...

No i jeśli to, co się z nim działo, to ogłupiające uczucie lekkości,

nie odebrało mu władzy nad własną magią...

Baron ocknął się i skoczył skracać go o głowę.

Pirr ruszył o ułamek momentu później. Lecz już po momencie był trzy razy dalej niż - to się czuło - wściekły do nieprzytomności i nie żałujący nóg rycerz.

To nie wyglądało jak bieg - wyglądało jak wystrzelenie człowieka z trebusza.

Dwaj rośli mężczyźni zderzyli się, aż huk wrócił echem spod lasu. Żaden nie padł, co było małym cudem. Duży cud objawił się w idealnej srebrzystości pancerza. Blachy, zadudniwszy jak dzwon, powinny spływać krwią - krwią głupca, który z kijem zaatakował siódmy, a przejściowo nawet trzeci miecz Anvashu. Właśnie dlatego, że Pirr trafił w zbroję - i, nawiasem mówiąc, zgruchotał kij na szczapy - baron, który nie silił się na parowanie, po trzykroć powinien ociekać czerwienią. Bo ciął przeciwnika mieczem, bo trzasnął go pięścią albo po prostu dlatego, że wpadł na niego i rozkwaślił twarz przyłbicą.

- W górę, Debren! - wrzasnął Pirr. - Skacz!

Języka, okazuje się, też sobie nie odgryzł. Uniknął klingi, stalowej pięści i ciosu z byka, odrzuciło go tylko. Daleko, lecz w dobre miejsce: pod forkiet. Wylądował na zdrowej nodze, z niej się wybił, złapał forkiet, dał susa, znów zderzył się z szarżującym baronem.

- Trup... nie... o psia... - Hadgold nie nadążył z komentowaniem. - A niech go...

W jego głosie górowało zdumienie, lecz Debren słyszał głównie to potykanie się o niedokończone słowa. Bo choć Pirr zaliczył kolejny cud i zdołał odeprzeć trzy potężne ciosy ciężkiego miecza, wszystko to trwało momenty, a z forkietu, jak przedtem z kija, nie zostało niemal nic.

Patyczek, gapiąc się w bok, na walczących, szedł w stronę

Debrena. Debren, trochę panikując, a trochę z wyrachowania, widząc, że za chwilę baron znajdzie się bliżej, ryzykownie zawiesił zaklęcie magnetyzujące i trzasnął dryblasą lekkim gangarinem.

Udało się: głównego zaklęcia nie zerwał, a Patyczek zaplątał się we własne nogi i rymnął na ziemię.

- Jak łazisz, łajzo! - huknął na niego Boomhons. - I nie gapić się, jeno kusze w dłoń! Szyć do każdego, kto tu podlezie! Srał pies pojedynki! Na smoka polujemy!

Debren znów wstrzymał się z czarowaniem. Tamci dwaj, walczący, o dziwo usłyszeli, a nawet znaleźli dość zimnej krwi, by wyciągnąć wnioski.

Baron przestał szarżować w kierunku wozu, a Pirr ułatwił mu tę zmianę kierunku, po raz pierwszy ustawiając się do Debrena bokiem, nie plecami.

Z braku oręża cisnął opończę. Baron zbił, nie dał się oślepić. Pirr zyskał jednak na czasie, zdążył chwycić jeden z przygotowanych na smoka toporów. Debrenowi mignęły plecy jego kaftana, grube jak u Tęgiej Dratwy ścięgi, przeciągnięte żmijką nie przez jedwab, a przez wszyte weń pierścienie. Gdzieś już widział coś takiego...

Gwizd miecza i odskok, świst i następny unik, potem brzęk zderzających się ostrzy. Topór pomknął ku opancerzonym barkom z taką szybkością, że baron nie podjął ryzyka, odruchowo odbił klingą, zamiast tylko osłabić cios, przyjąc na blachy, a samemu dźgnąć. I wyglądało na to, że mądrze zrobił - bo aż iskry poszły.

- Machrusie... - westchnął Scalpelott. Oczy miał szeroko rozwarte, a w oczach coś bliskiego zachwytowi.

Rycerskiemu synowi, w przyszłości też rycerzowi, nie mogło się nie podobać to, na co patrzył. Bój, jakiego nie dane mu było do tej pory oglądać. Walka sezonu. Pirr, okazuje się, nie rzucał słów na wiatr.

Garbaty jurysta nieoczekiwanie okazał się przeciwnikiem godnym siódmego miecza Anvashu. Bo choć z początku baron go lekcewał i parę sukcesów należało przypisać owemu lekceważeniu, od pewnego momentu rycerz wziął się do roboty już na serio - i właśnie wtedy oberwał po raz pierwszy. Zaryzykował, próbował poprawić pchnięcie, ale Pirr odskoczył z isticznością swobodą. Zapomniał o obronie i topór, ślizgając się po jelcu, ugodził go we wnętrze łokcia. Wiele zbroi miało tam wstawki z kolczej plecionki i uboższemu szlachcicowi podobny cios poważnie osłabiłby rękę, zapewne wytrącając miecz. Przed kompromitacją uratował barona skomplikowany, wielosegmentowy nałokietnik.

Przed kompromitacją - lecz nie przed przegraną. Pancierz sprawiał, że i bez broni byłby górą. Debren pomyślał nawet, iż właśnie bez miecza poszłoby mu łatwiej. Bo Pirr nie był jakimś nadludzkim mocnym rębaczem czy wytrawnym szermierzem; problem z nim sprowadzał się do niemożności przytrzymania go w jednym miejscu i sięgnięcia klingą. Krążył, cofał się bez przerwy i w krytycznych momentach robił to na tyle szybko, że miecz doganiał tylko żeleźce lub, co najwyżej, drzewce topora.

Najprościej byłoby odrzucić broń, ewidentnie za ciężką do takiej walki, podbiec, parą wolnych rąk złapać garbusa, a potem zatłuc lub udusić. Pirr do błyskawicznych uskoków używał wyłącznie zdrowej nogi, więc baronowi powinno się to udać. Pozostał jednak przy mieczu.

Może zresztą słusznie. Kilka przyjętych na drzewce cięć sprawiło, że przy którymś z kolei skrzyżowaniu broni nadwreżony topór pękł Pirrowi w rękach. Jurysta odskoczył za późno i czubek miecza sięgnął jego boku.

Zazgrzytało jak przy ostrzeniu noża. Spod rozprutego kaftana wyleciały dwa czarne, połączone sznurkiem kamienie - jakby

obcięta końcówka wielkiego różańca. Jajowate, w środku wcięte. Pirr runął na plecy. Spod pierwszego sztychu odturlał się w lewo, spod drugiego w prawo, a cięcia w krok uniknął niewiarygodnym przewrotem, który z pozycji leżącej wypchnął go saltem, całego w locie, i ustawił na przygiętych nogach pięć stóp dalej. Na nieszczęście baron nie zdążył popaść w osłupienie. Rozpęd poniósł go na Pirra, na cięcie zabrakło miejsca, więc pancerne ramiona zamknęły się żelazną pętlą na garbatych plecach. Skończyła się szermierka, zaczęły zapasy.

- Co on: kamienną kolczugę nosi? - zdumiał się Kobert. - Widzieliście to...?

Baron próbował rozbić przeciwnikowi twarz uderzeniem głowy. Na szczęście hełm, pomyślany na znoszenie najcięższych, łamiących kark ciosów, sztywno trzymał się dołu zbroi i wymagało to skłonu całą górną połową ciała. Pirr dostał w kaptur, nie za mocno jednak. Oddał podwójnym uderzeniem pod pachy. Też wiele nie zwojował.

- Zaraz - Boomhons zmarszczył brwi - ja gdzieś już takie związane jaja...

Kamienie znikły w trawie, ale Debren uznał, że już pora. Nie tylko dlatego, że zepchnięty z forkietów dyszel miażdżył mu ramię, z przetyczki niemal dymiło, a Boomhonsa zaraz olśni w kwestii bazaltowych jaj. Zdecydował się, bo baron zaczął wygrywać. Nie zwalniając uścisku, obrócił miecz ostrzem w dół i pchnął, ruchem samego nadgarstka. Lepiej nie mógł, w wyrównanych zapasach swoboda ruchów zawsze jest mocno ograniczona. Nie potrzeba jednak zamasztych ruchów, by rozciąć niechronione zbroją ciało. Z łydki Pirra połała się krew.

Akurat z prawej, tej zdrowej.

To przesądzało o wyniku walki. Rycerza w pełnej płycie można powalić, siąść na nim i trzymać - ale nie da się zrobić mu wielkiej

krzywdy gołymi rękoma. Baron, nawet gdyby przegrał zapaśnicze starcie, mógł spokojnie poleżeć pod pozornym zwycięzcą, odczekać, aż krwotok odbierze przeciwnikowi siły, a potem oswobodzić się i dobić wykrwawionego. Ale i na to się nie zanosilo. Ugodzony w jedyną sprawną nogę Pirr zaczął się chwiać: lada moment to on wyrznie grzbietem o ziemię, przygnieciony przeszło dwustu funtami barona i jego blach.

- Uwaga! - krzyknął Debren. - Aplikacje zbroi!

Wozobrońcy spojrzeli na niego, potem znów na walczących. Osiągnął, co chciał: gdy czar pomknął do celu i, ku uldze czarującego, zadziałał, w odczuciu świadków Debren stał się kimś, kto próbował ostrzegać. Przynajmniej przez pierwsze momenty nikt nie wiązał go z tym, co przytrafiło się baronowi. A przytrafiło się coś osobliwego.

Bezgłośnie, bez żadnego widocznego znaku, każdy kawałek żelaza zaczął odpychać wszystkie inne kawałki.

Skrytymi pod blachą kończynami rzuciło nagle na boki, luźne płytki fartucha stanęły dęba. Zasłona hełmu skoczyła ku pióropuszu z taką energią, że przy inaczej osadzonej przyłbicy złamałaby nieprzygotowanemu kark. Dłonie i stopy umknęły od tułowia najdalej, jak mogły. Ciągnięte niewidzialnymi sznurami w czterech odmiennych kierunkach, uczyniły z barona pionowo rozpiętą rozgwiadę - mało kto zdołałby utrzymać się na nogach w takich okolicznościach. A mimo to rycerz, choć rozkrzyżowany niczym Machrus na Kole Popiątnym, nie upadł, nawet gdy Pirr klapnął tyłkiem o ziemię i przestał stanowić podparcie.

Tylko miecza baron nie zdołał utrzymać. Niewidzialna siła obróciła klingą w wyłamującym nadgarstek młynku i kompletnie zaskoczony baron, ratując dłoń, odruchowo rozprostował palce. To właśnie po prędkości odlatującego w dal miecza Debren mógł

ocenić faktyczną siłę zaklęcia.

Wyszło, trzeba przyznać, śpiewająco.

A potem równie dobrze trzymało.

Widział, jak rycerz próbuje ściągać ramiona w dół. Dygotały coraz mocniej, w miarę jak zgniatanymi nimi pole magnetyczne stawiało rosnący opór. Porzucony topór Pirra, oddalony o ładnych parę stóp, równie mozolnie obrócił się wokół białego w ziemię czubka, kreśląc kikutek drzewca powolny łuk. Machrusie... Ależ to ma kopa!

- Hej! - rzucił niepewnie Hadgold. Na szczęście nie patrząc na Debrena. - Co wy, panie baron...?

- Triumfalna poza? - podsunął bez przekonania Puchacz. Debren przyznał, że coś w tym jest: owe ramiona, wyrzucone w górę i na boki, uniesiona osłona hełmu... Tyle że przyłbice, otwierane po zwycięskiej bitwie, ukazują całkiem inne oblicza. Nie tak ogłupiałe i wściekłe.

- Panie?! - zaniepokoił się Scalpelott.

Ciągle nie rozumieli. Nikt, nawet sama ofiara czaru. Świetnie, tyle że Debren nie umiał wykorzystać tych bezcennych momentów. Trochę z winy szoku pozaklęciowego. Rzucił już mocne czary, teraz jednak było inaczej. Miał wrażenie, że wysiłek oderwał mu duszę od ciała i że właśnie pod postacią duszy unosi się nad swą przywiązaną do dyszla, materialną formą. Niby częściowo jeszcze w niej zatopiony, lecz już pozbawiony czucia, zwiewny jak dym.

Niesamowite to było. Ta lekkość...

Miał wrażenie, że przez ranę na karku - bo to chyba była rana? - stopniowo wycieka mu spod skóry nie tylko odrobina krwi, lecz wszystko, co składało się na ciężar jego ciała: cała reszta krwi, mięśnie, kości, trzewia. Że pozostaje pusta skorupa, pęcherz tak lekki, iż wystarczy nieostrożnie trącić, by wzleciał hen, pod samo niebo.

- Aplikacje? - przypomniał sobie Keloalen. - Baronie? Zbroja wam się aktywowała? To jakieś obronne czary?

Pirr zerwał się na klęczki, splunął na dłoń, przycisnął oplutą rękawicę do świeżo zranionej łydki. Szarpnęło nim, jakby to nie ślina, a sól trafiła na ranę.

- Chędożony płatnerz! - wrzasnął baron. - Scalpelott!

Chwiał się, rozstawione szeroko stopy rozjeżdżały mu się stopniowo. Widać było, że lada chwila albo wykona poprzeczny szpagat, albo runie, na twarz lub plecy. Giermek zerwał się do biegu, pognął na ratunek.

Dobrze? Bo jednego mniej?

Źle. Odślonił Debrena, no i przyciągnął spojrzenia w jego stronę. Spojrzenia od razu wróciły do dziwacznej sceny przerwane go znienacka pojedynku, jednak nie wszystkie. Patyczek zmarszczył brwi, coś go zastanowiło.

Pirr wstał, zerknął na uniesiony fartuch rycerskiej zbroi. Staął na lewej nodze, cofnął prawą do zamasytowanego kopniaka. Zakolebało nim, lecz nie upadł.

- Stać! - krzyknął. Scalpelott zwolnił. - Bo mu jądra w gardło wkopię! Nic nie zostanie! Miazga! Wałach!

Giermek zatrzymał się, przerażony. Rozrzucone szeroko nogi czyniły z jego pana całkowicie bezradną ofiarę.

- Ty psie! - warknął opp Trickle. - Kopnąć? Rycerza? Nie ośmielisz się! Na pal cię każę...

- Sopranem - przerwał mu Pirr. - Jako kastrat. Chyba że się zaraz poddasz i tę bandę odprawisz. No już!

- Nie godzi się! - zaprotestował Scalpelott. - Panie Pirr, nie widzicie, że się baronowi zbroja popsowała? Pewnie się odchylacz strzał sam uaktywnił.

- Odchylacz tak nie działa - pokręcił głową Puchacz.

- Odpraw ich, Trickle - zignorował obu garbus.

- Chędoż się!

- Bo ci przykopię.

- Bezbronnemu?! - protestował giermek. - Noga?! Poniżej pasa?

Honorowy z was człowiek, nie wierzę, byście...

- To uwierz. Babę z ciebie zrobię, Trickle. Chyba że mnie wysłuchasz i swym autorytetem wpłyniesz na...

- Zabić go!!! - ryknął baron. - Boomhons!!!

Pirr zamachnął się mocniej i zapoczątkował serię nieszczęść.

Najpierw spod kaftana wysunął mu się kolejny kamień. Ten nie spadł, ginąc w trawie; zawisł na sznurku, łączącym go z pasem, a może z następnym czarnym jajem.

Potem Patyczek wypatrzył dymek nad dyszlem.

- Magik wóz podpala! - wyrzucił oskarżycielsko palec.

A na koniec Boomhonsowi wróciła pamięć.

- Smocze kamienie! - Rąbnął się w czoło. - Takie jak w Omake! U smoka tej sovrojskiej wiedźmy!

Debren szarpnął łańcuchem. Błąd. Po minie Boomhonsa było widać, że odnalezione wspomnienie nie uruchomiło jeszcze procesu wnioskowania. Mieli trochę czasu. Powinien dać szansę Pirrowi negocjatorowi, no i pozwolić działać jego ślinie. Z przetyczki sporo ubyło, ale okazało się, że pod spodem przetrwało trochę zdrowego drewna.

Pokryta skwierczącą mazią przetyczka stawiała opór, więc szarpnął mocniej. Drewno i popiół rozpadły się, owszem, za to nagły zryw łańcucha zgniótł luźne dotąd oploty w ciasną kulę. A brzęk i zgrzyt zwróciły uwagę tych, którzy jeszcze nie zrozumieli, na co się zanosi.

Jedno co dobre: nikt nie dostrzegł, że trzyma go przy dyszlu już tylko za ciasno owinięty łańcuch. Że parę potrząśnięć, a potem

łagodnie pociągnięcie sprawia, iż odzyska wolność. Szarpiąc żelazną smyczą i nie próbując rzucać zakłęb, Debren spadł do roli problemu na później. Jedynie Patyczek uznał za wskazane już teraz przywołać go do porządku. Uniósł kuszę, wymierzył.

Inni znów patrzyli na Pirra. Z kuszy żaden jeszcze nie celował, ale Keloalen wyjął łuk i nakładał strzałę na cięciwę.

Patyczek, na szczęście, ograniczył się do celowania. Może dlatego, że jeniec natychmiast znieruchomiał.

- Ostatni raz ostrzegam, Trickley! - Pirr wyczuł, że czas im się kończy. - Najmij ich i odeślij stąd!

- Łajno mi możesz! - rzucił triumfalne baron. - Jestem niezdolny do walki. To by była zbrodnia.

Pirr opuścił nogę, stanął prosto, sztywno. Jak ktoś, kto dumną postawą próbuje zamaskować piętno klęski.

- I podłość - dorzucił Scalpelott. - Znam was, panie. Nie uderzycie bezbronnego.

Keloalen poluzował naciągniętą już cięciwę. Ale Debren czuł, że nie o to Pirrowi chodziło. Nie o zmylenie wroga. On naprawdę...

- Co, strach ci zadek ścisnął? - Zakłęcie puszczało; baron, choć z wysiłkiem, przyciągał rozkrzyżowane ramiona coraz bliżej bioder. Zaśmiał się szyderczo. - Przypomniałeś sobie, co wyszło Damstrunie? Za młodyś, by się ze mną zmierzyć. Kopę lat musisz poczekać.

- Kopę bez roku - powiedział cicho Pirr.

- O, toście starzy - ucieszył się Scalpelott. - To dobrze. Od walki można odstąpić, nie hańbiąc niczyjego honoru. Obyczaj stanowi, że się starcom odpuszcza zniewagi i rękawic nie rzuca, bo wynik pojedynku z góry...

- Odpuszczę zniewagę - zgodził się Pirr. - Niech się stąd tylko zabiera. I Boomhonsa zabierze.

Giermek zamilkł z głupią miną. Baron, tylko po części z wysiłku, spąsował.

- Ty odpuścisz?! - Ramiona opadły o następne pół stopy, dłonie prawie sięgnęły bioder. Czar był jeszcze dostatecznie mocny, by uniemożliwić dotknięcie jednej blachy inną, ale skręcając się i pochylając, rycerz niemal osłonił pachwinę rękawicą. - Jak psa zatłukę!

Pirr zmrużył oczy, jego dłoń opadła, zagarnęła zwisający na sznurku kamień.

- Nie uderzysz bezbronnego! - przeraził się Scalpelott. - Juryści nie przemocą dochodzą swych racji! Sam mówiłeś! Żeś w gębie mocny i nie musisz zniżyć się...

- Nie uderzę - zgodził się nieoczekiwanie garbus. Ale kamień oderwał od sznurka. Debren nie miał pewności, na czym polegała sztuczka. Chyba po prostu na ruchu palców, z których część trzymała jajo, a część szarpnęła sznurkiem. Tylko... jak mocne trzeba by mieć palce, by w ten sposób...? Więc może to ta ślina na rękawicy?

- Pewnie, że nie - zaśmiał się baron. Zakołysał się, zdołał przyciągnąć jedną nogę bliżej drugiej. Widać było, że jeszcze pacierz, dwa, a zapanuje nad zbuntowaną zbroją. - To tchórz. Niby taki mocny w pysku, a nawet baby nie ma śmiałości sobie ugadać. Nigdy żadnej...

- Tylko ci w gębę napluję - dorzucił spokojnie Pirr.

- Coś powiedział?! -

- Nie uchodzi - zaprotestował giermek. - Kodeks...

- ...dopuszcza splunięcie - wszedł mu w słowo jurysta. Lewą ręką sięgnął do kołnierza. - Gdy niewiasta z rodu dozna pohańbienia. Wtedy nawet w obecności monarchy...

- Co ty pieprzysz?! Jaki ród? - Baron ni to się zaśmiał, ni zgrzytnął

zębami. - Nie mów, żeś i ty Ammę wychędożył na bagnach i teraz za żonę uważasz! Trzeba jeszcze mieć czym wychędożyć! I nie widzę, byś cały obrzygany chodził. A tym by się skończyło. Spójrz na siebie, obleśny garbusie! Żadna nawet na ciebie nie spojrzy! Powiadasz, że twoja matka zmarła przy porodzie? Prawda, ale nie tak jak inne. Do fosy pewnie skoczyła, gdy cię z niej wyjęli i pokazali, jaką poczwarę powiła!

Dłonią sięgał już podbrzusza. Sparowałby kopnięcie, a niczym więcej Pirr nie mógł mu zagrozić. Debren pomyślał, że prawnik przegapił najlepszy moment.

- Nie pokazali - mruknął Pirr. - Nie dane im nas oglądać. Taki ich nieszczęsny los. Ale właśnie dlatego...

- Co tam mamrociesz?

- Mówię, że właśnie dlatego w pysk ci muszę napluć. Bo choć to im się od nas należy. Okazać szacunek. W imieniu dziecka, które samo nie może. I ukarać krzywdzicieli.

- Niby mnie? - Zakłęcie trzymało resztkami mocy, baron zdobył się już nawet na wzruszenie ramion. - Jakoś nie pamiętam, bym garbuskę pohańbił. Fuj, co za obrzydliwy pomysł. O kim mowa, jeśli wolno zapytać?

- O mojej ciotce. I przyszłej teściowej.

- O, to aż dwie skrzywdziłem... No proszę.

- To jedna i ta sama. - Pirr bez pośpiechu pociągnął za najwyższy z guzików. Nikt nie widział jego pleców, ale Debren od razu skojarzył wyłazące spod kołnierza sznurki. To te przeplecione żmijką przez wszyte w kaftan pierścienie. Wiedział też już, z czym mu się skojarzyły.

Najśmieszniejsze, że właśnie ludziom Boomhonsa powinny dać do myślenia. Bo były, wypisz wymaluj, inną wersją ich patentu na szybki zrzut furgonowej płachty.

Spiął mięśnie. Ale nie: żaden nie podrywał kuszy, nie sięgał po broń. Owszem, zerkali czujnie, tyle że ku jaskini. Poza Patyczkiem. Patyczek mierzył w środek piersi Debrena.

- Ciotka i teściowa w jednym? - zmarszczył brwi Puchacz. - Zaraz... To jakby trochę...

- Kazirodcze - zaśmiał się baron. - I nie dziwota. Garbusy się z garbuskami parzą, bo inni ich nie zechcą, a że garbatych mało, na kuzynki pada, a może i...

- To całkiem jak pośród baronów, prawda? Też ich mało i też się w rodzie chędożą, by obcych do koryta nie dopuszcząć. Jeno że oni nie z musu, a z chytrości.

Debren nie był pewien, czy Pirr okraślił szyderstwo błyskiem zębów. Stał pod słońce, no i nigdy przedtem...

Ale nic już nie będzie jak przedtem.

Coś musiało być na rzeczy, jakieś kuzynowskie małżeństwo w nieodległej przeszłości, bo baron spurpurowiał.

- Scalpelott! - warknął. - Nie stercz tak. Mój miecz!

Giermek zawahał się, ale usłuchał, pobiegł.

Gdy na moment przesłonił Patyczka, Pirr cisnął kamieniem. Wyglądało nawet, że to w Scalpelotta mierzył. Chłopak zatrzymał się, oszołomiony, gdy czarne jajo świsnęło mu nad głową. Ale to Patyczkowi się dostało. Trafiony w ramię wozobronca zawył i wypuścił kuszę z rąk.

Baron, widząc zamach, przytomnie osłonił rękoma krocze, potem jednak, gdy kamień pomknął w zupełnie inną stronę, jak wszyscy popatrzył na trafionego.

Pirr splunął.

Część śliny trafiła rycerzowi na hełm, ale uniesiona w porę ręka i dół zasłony nie dopuściły plwociny do oczu. Z niższymi partiami twarzy było już gorzej.

Opp Trickey zachwiał się, oburącz próbował dosięgnąć policzków i padł na wznak.

Debren nie miał pewności, czy dostrzegł ulatujący z wnętrza hełmu dymek. I czy baron zawył. Wrzask Patyczka, bolesny i wściekły, zagłuszył inne dźwięki.

- Łajzo jedna! - Kobert nie połapał się jeszcze, w czym rzecz. - W naszego trafiłeś!

Keloalen, bardziej podejrzliwy, wyciągał strzałę.

- Smok! - Pirr wskazał za ich plecy. - Legnij!

Zbił z tropu nawet Boomhonsa. Inna sprawa, że tamten miał snajperską kuszę, a w dłoni bełt prostolotny, którego nie zmarnowałyby na byle gryziopiórka. Pozostali trzej, mogący naszpikować Pirra zwykłymi, tanimi bełtami, padli odruchowo albo, jak Hadgold, próbowali celować w tył i witać pociskami pikującego gada. Kamyczek, ostrzeżony krzykami, szarpnął za sznur. Płachta z groźnym poszumem zjechała po pałakach, odsłoniła wnętrze wozu.

Scapelott, o dziwo, zachował się najprzytomniej: podbiegł do pana, tylko zerknął w głąb hełmu, krzyknął: „Wody!” i, nie zwalniając, pognął w stronę wozu.

Patyczek, nie próbując podnosić kuszy - prawa ręka zwisała bezwładnie - zawrócił chwiejnym biegiem, złapał leżącą w trawie pikę.

- Bukłak! - darł się z daleka giermek. - Z winem! Rzućcie mi, panie!

Burona, siedząca najbliżej naczynia, w ogóle nie zareagowała. Spokojnie wylizywała miskę, gapiąc się na Pirra. Zielonooka niby spojrzała, gdzie trzeba - ale leżąc na brzuchu, piszcząc i zakrywając oburącz głowę. Chyba już czuła na potylicy podmuch smoczego ognia. Scalpelott sam musiał pobiec po bukłak. I pobiegł, jak na przyszłego rycerza przystało. Po najlepszej z tras, skosem, by nie

skakać nad kusznikami, którzy lada chwila zerwą się z ziemi, no i by przy okazji wyeliminować część wrogów.

Konkretnie: Debrena.

Zdążył podnieść miecz barona i widać było, że przebiegając obok dyszla, zamierza go użyć. Pierwszy zrozumiał, co zaszło: że oto jeden współnik, by ocalić drugiego, zmarnował najlepszą okazję.

Bo to nie w Patyczka powinien Pirr rzucać. Należało zacząć od dowódcy lub najgroźniejszego z przeciwników. Od Boomhonsa, bo nie nałożył hełmu, a jego powalenie wywołałoby chaos. Od Keloalena - bo miał najbardziej szybkostrzelną broń i elfi talent do łuku. Dwa pierwsze kamienie powinny być przeznaczone dla tych dwóch, choć tu już o kolejność można by się spierać.

Z faktu, że Pirr zaatakował Patyczka, jasno wynikała rola Debrena. Zwłaszcza po pokazie ze zbuntowaną zbroją. Musiała mieć magiczne aplikacje, dlatego pan i giermek nie zorientowali się od razu, nie trzeba jednak geniusza, by odgadnąć, że tego typu sztuczki to najpewniej robota wrogiego czarodzieja.

A na wrogą magię nie ma jak szybkie żelazo.

Debren padł na kolana - choć należałoby raczej powiedzieć, że pociągnął się w dół, łapiąc dyszel, bo uczucie lekkości narosło w nim do tego stopnia, iż nie był już pewien, czy sam ciężar ciała wystarczy. Próbował chować się pod belką - przynajmniej przed cięciem mogło go to ocalić - ale łańcucha zabrakło na głęboki skłon.

- Bezbronny! - wydarł się, pokazując puste dłonie.

Musiał je błyskawicznie cofnąć spod ostrza. Było tuż. Pomknęło dalej, ku gardłu... i znikło.

Chwycił się odruchowo za szyję. Rozprutą?

Nie.

Zdążył, cholernik. Zatrzymał sztych w ostatniej chwili. I już był przy ognisku, już łapał bukłak, zawracał, skakał nad którymś z

rozbiegających się owczarków.

Nie zabił. Darował życie.

Może dlatego, że nie na długo? Bo już, w zastępstwie jego miecza, do Debrena zbliżała się pika.

Pirr wyszarpnął do końca linki, łączące przód i tył kaftana. Wyciągnął spod luźnej teraz tkaniny kolejny, czterojajowy odcinek kamiennego różańca, urwał jedną bazaltową bryłę, rzucił nią, trafił Keloalena i uskoczył przed posłaną przez elfa strzałą.

Debren zaplątał się we własne nogi i stracił bezcenny moment, bo nigdy przedtem nie widział takiego uniku. Pocisk powinien był trafić Pirra w okolice pępka. Nadlatującą strzałę zwykle widać i odruchowy skłon może ocalić kogoś, kogo przesadnie ambitny łucznik próbuje od razu położyć trupem, dziurawiąc czaszkę, gardło czy nawet serce. Strzały posłanej niżej nie sposób oszukać w ten sposób, a znów wyskok powyżej własnych bioder to wyczyn nieosiągalny dla większości wojowników. No i, po prawdzie, bezsensowny. Mając tak nieludzkie wyczucie przewidywanej trajektorii lotu i tak boski refleks, łatwiej po prostu uskoczyć w bok. Pirr chyba aż takiego wyczucia i refleksu nie miał: zwyczajnie mu się poszczęściło. Ale...

Ale to, że wzleciał, nie miało już nic wspólnego ze szczęściem.

Pomknął wyżej bioder, strzały, głów tych, co stali, a potem i pałaków furgonu - bo spod rozpołowionego kaftana wyskoczyły na wolność... skrzydła.

To ich widok sprawił, że elf znieruchomiał z drżącym po wystrzale łukiem, w ogóle nie próbował uchylać się przed kamieniem. W ogóle przegapił rzut.

Inna sprawa, że jajo nadleciało wyjątkowo szybko. Odgłos zderzenia bazaltu z czaszką zabrzmiał jak stuknięcie zamykanej trumny - ostatecznie i beznadziejnie.

Prawdopodobnie zmarł, nim zdążył upaść.

- Szyć w latacza! - ocknął się Boomhons. - Kamyczek, z balisty go!

Debren potrząsnął łańcuchem. Patyczek już nadbiegał, więc, zamiast stać i dalej potrząsać, skoczył ku końcowi dyszla. Łańcuch rozwijał się jak serpentyna i lada moment sam, bez potrząsania...

Skrzydlaty, smukły teraz, choć nadal barczysty mężczyzna wzlatywał coraz wyżej. I ciskał kamieniami. Nadal celnie, lecz już nie z tak idealną precyzją. Hadgold dostał w rondo kapalina, więc tylko zadzwoniło mu w uszach i stracił hełm. Kamyczka przed bazaltowym jajem ocalił pałak wozu. Przed kolejnym uskoczył. A zaraz potem dopadł balisty, przyklęknął za obrotową belką, do której była zamocowana, zaczął naprowadzać maszynę na cel.

- Nie szyć w latacza! - wydarł się Puchacz. - Na smoka kartacz zachować! Wyłazi z groty!

Trudno orzec, czy uratował Pirra. Może nie, bo nabrawszy wysokości, tamten wykorzystał ją teraz do szybkiego spadania zygzakowatym ślizgiem. Machina Kamyczka, choć mocowana przegubowo, zenitowa, do ostrzeliwania latających wrogów, miała raczej razić z dystansu duże, ciężkie i słabo manewrujące smoki, a nie coś, co śmiga blisko i bardziej jaskółczą modą. Celownicemu przeszkadzała też ciasnota, panująca na furze, no i pałaki: przy mierzeniu w bok musiał uważać, by nie wylecieć za burtę i nie wpakować bełtów w któreś z całkiem masywnych żeber. Nie zaryzykował więc strzału przez pierwsze kilka momentów, a potem, spłoszony przez Puchacza, pożałował cennego pocisku na słabszego z wrogów.

I mądrze zrobił. Z jaskini faktycznie coś wyłaziło.

Debren nie zdążył spojrzeć. Pika była za blisko. Mając jedną tylko sprawną rękę, Patyczek złapał ją nie tam gdzie trzeba i ostrze ciążyło w dół - ale i tak omal nie przebił Debrenowi kolana. Chybił

jednak. Grot pomknął dalej, a pikinier miał teraz stracić sporo czasu na wywlekanie długiego drąga z powrotem na swoją stronę dyszla. Debren powinien był uciec. Ale znów schrzanił sprawę.

Za szybko mianowicie uciekał.

Łańcuch rozsmarował przeżartą kwasem przetyczkę. Rozwijając się gładko w długi wąż, pomknął po belce śladem zbiega i nagle zadzwonił o halabardowe ostrze.

Debren przebiegł jeszcze kilka kroków - w dziwacznym stylu, z głową daleko wyprzedzającą nogi - po czym, szarpnięty znienacka, padł na plecy i... zawisł?

No nie, aż tak to nie działało. A nawet jeśli, to na niego samego - a przecież owinęli go paroma łokciami żelastwa, którego ciężar powinien mocno ciągnąć w dół. I ciągnął, ale właśnie samym ciężarem żelaza, który miał się nijak do wagi ludzkiego ciała. Debren stuknął więc o ziemię, łokciami i piętami, owszem. Tyle że niczym więcej. Samego odruchowego amortyzowania upadku wystarczyło, by, zamiast rymnąć plecami i potylicą, odbił się od podłoża i znów wzleciał. Nogami ku górze, bo to nimi mocniej się odepchnął. I... na półtora sążnia?!

- Goła Amma! - Usłyszał krzyk Pirra. - Wyobraź ją sobie! I że ją chędo...!

Przelatujący obok bełt zmusił garbusa do gwałtownego zwrotu.

- Smok! - To krzyczał Puchacz. - Chodu, chłopaki!

Zerwał się, podbiegł do ogniska, szarpnął Buronę, pociągnął w stronę lasu. Hadgold, który doskoczył do furgonu, próbował pożegnać go kopniakiem, nie sięgnął jednak, a potem już nie zawracał sobie głowy dezserterem: ścigał z wozu coś długiego i grubego, owiniętego w szmaty na szerokim końcu. Wiosło?

Kobert i Boomhons mierzyli w górę, nie strzelali jednak. Starczało im, że trzymają Pirra na dystans. Krążył dostatecznie wysoko i

przede wszystkim szybko, by uniknąć większej części nawet dobrze wystrzelonych bełtów. Ale i samemu sobie utrudniał przez to bombardowanie. Dodatkowo utrudniał mu je sokół Keloalena: śmigając dookoła, wypatrując okazji, by parą wyłupanych oczu pomścić śmierć pana. Taktyka wozobronców miała więc sens. Co prawda nie na dłuższą metę, bo ktoś rzucający nawet mało celnie, w końcu wytlucze tych, którzy w ogóle nie odpowiadają - nie zanosilo się jednak na długotrwałą wymianę pocisków.

Kamyczek potrzebował raptem trzech momentów, by wystrzelić kartacz. Wystarczyłyby dwa, ale kamień Pirra trzasnął w drewno obok celowniczego. Kamyczkiem zakolebało, klapnął na tyłek. Spust pociągnął trochę przypadkowo.

Debren opadał akurat po swym piętowo-łokciowym wyskoku. Głównie dlatego nie oberwał po nogach żadnym z dwóch tuzinów bełtów, a tylko prowadnicą kartacza. Skórzana, lekka rura zaraz po wylocie z maszyny przegrała z oporem powietrza, wyhamowała i poleciała w dół, dzięki czemu to od niej dostał potężnego klapsa w stopy.

Zabolało, ale też ocaliło mu życie. Bo impetu zderzenia wystarczyło na obrócenie niemal nieważkiego ciała i tym razem spadł lepiej: nogami w dół. Na skos wprawdzie, bliższy leżenia niż pionu, więc w normalnych warunkach zaraz potem grzmotnąłby plecami o ziemię. Warunki nie były jednak normalne i desperacki kopniak wymierzony podłożu znów wyniósł go w powietrze.

Wzleciał nie tylko nad grot piki, lecz i powyżej dyszla, a nawet ramion Patyczka. Zdołał się też obrócić. Tamten stał jednak za daleko na kopnięcie w twarz.

Kamyczek zanurkował pod łożę maszyny. Kolejne czarne jajo musnęło belkę, zabręczało o hełm. Trafienie, lecz nieskuteczne. Lekko oszołomiony machinerzysta zerwał się, wepchnął żelazny

cylinder między stalowe łączysko a grubą cięciwą, szarpnął uchwytem. Krasnoludzki samonapinacz rozprężył się terkocząc, pchnął linę, przemieścił aż za samoczynny zatrzask. Dwa momenty - i balista znów czekała na pocisk. Kamyczek nie ładował jej jednak: czując, że kolejny kamień już być może mknie w dół, skoczył po zapasową pawęż, osłonił się nią od góry.

- Oberwał! - W głosie Boomhonsa triumf zmagął się z niepewnością. - Zaraza, samym skrajem wiązki! Jak mierzysz, łajzo?! Popraw, ale już!

- Starczy na dziadygę! - Kobert tylko zerknął przez ramię. - Dukat, że padnie! Dobij gada, Przyłbica!

Zaraz potem strzelił do Pirra. I od razu legł na wznak, wbił stopę w strzemiączko, zaczął naciągać kuszę lewarem. Debrena ogarnęło zwątpienie. Mało który kusznik znał takie sztuczki, nie mówiąc o tym, że mało który wpadłby na myśl, iż tak właśnie należy to robić. Leżąc i patrząc na krążącego w górze wroga. By uchylać się przez kamieniami, odsłaniać hełmem czy choćby i kuszą.

Hadgold, w biegu odwijając szmaty, pognał z domniemanym wiosłem w stronę jaskini. Znikł Debrenowi z oczu, nim słońce załśniło na odsłoniętym grocie, ale było oczywiste, że to nie żadne wiosło, a sławetny harpun-świder.

Zielonooka dajka złapała topór i ostrożnym truchtem pobiegła za Przyłbicą.

Źle to wyglądało. Puchacz uciekł, lecz pozostali nie spanikowali. Choć ani Debrena z jego czarami, ani bombardującego Pirra-latacza zupełnie nie mieli w planach. Profesjoniści, dzuma i syfilis. Przyszło im zniecka walczyć na trzech frontach - więc walczyli na trzech i na wszystkich radzili sobie nieźle.

Nawet ten połamaniec, Patyczek.

Miał do dyspozycji tylko lewą rękę, a broń ewidentnie dwuręczną.

Mimo to cały czas atakował.

Debren ważył teraz mniej niż zero - jak krasnoludzki balon - i sam z siebie pewnie by się wnosił. Łańcuch, owijający go paroma oplotami, trochę jednak ciągnął ku ziemi. I dobrze, bo zamiast bezsilnie lewitować, mógł się odbijać i skakać w wybraną stronę. Niestety, zupełnie nie umiał wyliczyć potrzebnej do skoków siły.

Za pierwszym razem wyniosło go jak wtedy, na bagnach: o wiele za szybko i za wysoko. Dobrze, że żadne drzewo nie wyrosło tym razem nad jego głową i tylko poobcierał boki, gdy łańcuch szarpnął zniecierpliwioną. Patyczek, też zaskoczony wysokością skoku, pchnął dużo poniżej sandałów Debrena, więc wypadło remisowo.

Jeden zdążył wylądować, drugi cofnął pikę i wziął kolejny zamach. Na szczęście Patyczek nie zaryzykował natychmiastowej powtórki. Był za wolny. Chyba zrozumiał, że niecelne pchnięcie może go drogo kosztować: magik wylądował między nim a ostrzem piki i resztę walki stoczą na pięści. A tu Debren miał dwukrotną przewagę, co dwie sprawne ręce, to nie jedna. Nóż gdzieś się wozobroncy zawieruszył, miecza raczej nie zdążyłby wyciągnąć. Wolał trzymać przeciwnika na dystans.

Znieruchomiał. Debren zaryzykował rzut oka przez ramię, na pole głównej bitwy.

Daleko, z końcem ogona jeszcze w jaskini, szarozielony smok potykał się właśnie, chwiały na boki. Bełty kartacza opierzone bardzo kolorowo, by móc ocenić efekty strzału, więc Debren od razu wypatrzył te dwa, które utkwili w ciele gada. Lewa przednia łapa i grzbiet, też z lewej. W tamtą stronę zniosło całą wiązkę.

Bliżej Scalpelott odciągał dłonie barona od twarzy, lał wino w otwartą przyłbicę. Rycerz wił się i szarpał, trochę jak płonący człowiek - nad krzykiem jednak zdołał zapanować. Hadgold biegł w stronę wzgórza, wolniej teraz, zerkając za siebie. Skręcił też, by

zejść z linii drugiego strzału. To pewnie z myślą o nim zwolnił. Ale mimo wszystko biegł, a nie stał, co dowodziło wiary w moc toksyny. Najwyraźniej i dwóch bełtów powinno starczyć, by bestia osłabła, pozwalając wbić sobie harpun.

Mały jakiś ten smok. Debren oczekiwał większego. Niby latacze to nie tyranodrakony, wielkie jak korab czy stodoła nie rosną, ale żeby wzrostu dużego konia... No, może wielbłąda... Co prawda, stwór miał krótkie nogi i gdy padł na pierś, leżącego konia zdecydowanie przewyższał w kłębie. A od głowy na długiej szyi po koniec jeszcze dłuższego ogona mierzył pewnie więcej niż wielokonny zaprząg... W sumie jednak, oglądany od przodu i ze złożonymi skrzydłami, nie robił dostatecznie imponującego wrażenia.

Zwłaszcza na kimś, kto widział w nim potencjalnego sojusznika i zbawcę.

- Amma, zabierz stryja! - dobiegł z góry mocno strwożony okrzyk Pirra. - Do jaskini! Nie mieszajcie się!

Czyli jednak... On też nie postrzegał gada jako władcy pola bitwy, który wpadnie i rozpędzi wrogów na cztery wiatry.

Debren zdążył dostrzec wybiegającą ze smoczej pieczary dziewczynę. Potem Patyczek spróbował szczęścia i trzeba było ratować się skokiem.

Dał susa w bok. Mądrze: pikinier, nauczony doświadczeniem, oczekiwał wysokiego wlotu i od razu tam, do góry, posłał grot. Pika była naprawdę długa, ciężka przez to, więc ciosy zadawane jedną tylko ręką przypominały strzelanie: raz posłany w określonym kierunku grot nie dawał się już odchylić w inną stronę. Trzeba było szarpnąć bronią ku sobie i powtórzyć pchnięcie.

Patyczek powtórzył. Chybił, ale Debren pogratulował sobie wyboru taktyki. Nie w górę, a na boki. Szybciej spadał, szybciej

mógł zmieniać kierunek, co okazało się ważne, bo tamten znał się na rzeczy. Nadrabiając pracą ciała, nóg i doskonałym wyczuciem broni, zadawał ciosy niewiele wolniej, niż Debren wykonywał uniki. Gdyby wyskoczyć za wysoko w górę i dać mu okazję do dwóch pchnięć w jednym locie... Kiepsko mogło być. Debren nie miał, jak Pirr, skrzydeł, którymi mógłby odpychać się od powietrza. Zasada strzały, lecącej w raz obranym kierunku, obowiązywała go w większym stopniu niż pikę Patyczka.

Na szczęście lekkie ciało dawało się lekko przemieszczać nie tylko w górę. Po paru coraz pewniejszych unikach Debren wyczuł już swoje możliwości na tyle dobrze, by podjąć próbę uwolnienia łańcucha.

Z tym jednak był problem. Ogniwo łańcucha, nawleczone zbyt mocnym szarpnięciem na skierowany ku wozowi hak halabardy, nie zamierzało się zsuwać. Inna rzecz, że nie mógł ciągnąć w odpowiednim kierunku, bo właśnie od strony wozu atakował Patyczek. Jedno, co się dało zrobić, to doskakiwanie, luzowanie łańcucha i „puszczanie fali” w nadziei, że lekkie szarpnięcie zsunie ogniwo z haka. Gdyby Patyczek nie przeszkadzał, po paru próbach pewnie by się udało. Ale, oczywiście, przeszkadzał. Raz po raz zadawał pchnięcia, zmuszając Debrena do napinania uwięzi.

Dobrze choć, że w górze Pirr dwoił się i troił, angażując uwagę całej reszty. I że pod kaftanem faktycznie miał całą kolczugę nanizanych na sznurki bazaltowych jaj. Przed pociskiem raczej by go nie uchroniły - grot ześliznąłby się po owalnej gładzi - stanowiły za to duży zapas łatwo dostępnej i nie krępującej ruchów amunicji. Było czym bombardować tych w dole. Głównie Kamyczka.

Pawęż nie do końca pomogła machinerzyście. Trzymając ją jedną ręką i podpierając głową, niby osłonił się przed wszystkim, co leciało z góry, ale też w praktyce oslepił i spowolnił ruchy. Pirr

błyskawicznie to wykorzystał, nadlatując nad wóz lotem koszącym i ciskając kamieniem niemal poziomo. Trafił tylko rykoszetem, chyba po nogach, obalił jednak Kamyczka i jeszcze bardziej spowolnił ładowanie balisty.

Kobert i Boomhons - ten po przeładowaniu kuszy, z bełtem prostolotnym w zębach - wystrzelili po jednym pocisku. Któryś zdołał przestrzelić skrzydło, ale nie zrobiło to na postrzelonym żadnego wrażenia. Pirr śmignął nad ich głowami i rozłupałby pewnie tę niechronioną hełmem, gdyby Boomhons przytomnie nie zanurkował za podpartą kołkami pawęż. Zerwał ją potem z podpórek i trzymał pod ręką, więc Pirr nie powtórzył ataku.

Głównie z braku czasu. Debren czuł, że uporałby się z parą kuszników, jeśli nie rzutami, to atakując wręcz - ale kosztem pozostawienia Kamyczka w spokoju. A spokój był wszystkim, czego celowniczy balisty potrzebował, by rozprawić się ze smokiem.

Bo smok najwyraźniej utknął. Dźwignął się wprawdzie po pierwszym upadku, próbował iść, ale postrzelona noga, wyraźnie pozbawiona czucia, ugięła się pod nim. Dopiero wtedy rozpostarł skrzydła. A dokładniej: próbował.

Z lewym skrzydłem wyszło jak z nogą. Drugi bełt, wbity w grzbiet, wprowadził najwyraźniej toksynę w któryś w odpowiedzialnych za latanie nerwów lub mięśni. Wielka skórzano-łuskowa płachta, zamiast zgarnąć parę łasztów powietrza i wypchnąć smoka w przestworza, opadła na ziemię jak strącone wiatrem, schnące prześcieradło.

Omali nie przykryła Ammy. Dziewczyna wybiegła z jaskini jakiś czas temu, ale potem stanęła przy boku smoka, manipulując... przy króciocy chyba?

Debren nie był pewien. Znów musiał odskoczyć, wywinąć się ostrzu piki. Próbował schwytać drzewce, ale na to Patyczek był za

starym wygą.

Boomhons i Kobert, przyczajeni przy pawężach, mozolnie napinali ciężkie kusze. Sokół krążył wokół Pirra, nadal nie mając odwagi zaatakować wprost. Kamyczek miotał się, próbując przewidzieć, skąd nadleci kolejny pocisk, osłonić się z tego kierunku tarczą lub burtą wozu i równocześnie ładować balistę. Gdyby użył samonapinacza, pewnie już by się z tym uporał, ale właśnie w układany na maszynie cylinder Pirr trafił kamieniem i krasnoludzkie cudo potoczyło się gdzieś na dno fury. Wóz był na tyle przeładowany sprzętem i dobytkiem, że Kamyczek stracił zgubę z oczu. Rezygnując z poszukiwań, podskoczył, umieścił pawęż na dwóch pałkach i pod jej osłoną zaczął napinać balistę ręcznie. To musiało potrwać.

Walka, nieoczekiwanie, zaczęła się przeciągać.

To zawsze oznacza jedno: że strony osiągnęły względną równowagę. Debrenowi zaczęła świtać słaba nadzieja.

Traktaty o sławnych bitwach uczą, że w takich chwilach o wszystkim decydują odwody.

Amma się nie liczyła. Ale smok...

- Wyrwij z niego bełty! - krzyknął. - Trutka!

Zatrute groty pokrywa się zwykle gęstą pastą, a te nowocześniejsze żłobkuje - wszystko po to, by pęd powietrza nie zdmuchnął zabójczej powłoki i by możliwie dużo wniknęło jak najgłębiej w ciało ofiary, zamiast zostać na pancerzu, odzieży czy, w tym przypadku, łuskach. Była szansa, że po pierwszym szoku smok pozbiera się jakoś. Byle Amma zdążyła wyrwać bełty, nim krew rozpuści całą pastę, wypłucze skrytą w rowkach część.

W lot pojęła, w czym rzecz. Dwa momenty - i miała w garści pierwszy bełt, ten z grzbietu.

Potem Patyczek zaatakował i Debren stracił ją z oczu. Na

szczęście dyszel, bliżej Debrena oparty o ziemię, bliżej pikiniera wyrastał z wysoko zawieszzonego wozu, więc wystarczyło uskakiwać w stronę przeciwną do zajmowanej przez Patyczka, by opóźnić kolejne pchnięcia. Przełożenie nad belką spowalniało pikiniera; Debren mógł próbować uwolnić łańcuch - albo rozglądać się.

Wybrał spojrzenie. Chyba słusznie.

- Uważaj, Amma! - wrzasnął. - Pirr! Kusza!

Wskazał ręką. Za późno: Kobert strzelił. Bełt śmignął nad wrzosami, biegnąca ku smoczej nodze Amma potknęła się, upadła. Debren łudził się przez chwilę, że ze strachu, bo bestia, czując, jak wyrrywają jej z grzbietu pocisk - w pośpiechu, więc pewnie z kawałkami mięsa - gniewnie szarpnęła szyją, obróciła ku dziewczynie wielgachną paszczę. Niejeden rycerz padłby z wrażenia...

Ale nie: widać było, że mało sobie robiła z sąsiedztwa gada. Że oswoiła się z jego bliskością przez te parę klepsydr, które spędzili razem. Nie dlatego upadła.

Trafił ją, bydlak.

Pirr przywalił mu za to całą wiązką kamieni. Niestety, Boomhons ubezpieczał kompana, więc leciały z daleka. Kobert zdążył zanurkować za pawęż.

Patyczek przelazł przez dyszel i znów próbował przebić Debrena. Trzeba było wywijać się dalekim skokiem. W locie spojrzał przez ramię. Bogu dzięki - wstawała!

Z bełtem sterczącym z lewego ramienia, zataczając się, pod koniec już na kolanach, dopadła smoczej nogi. Stopę dalej kiwała się wielka jak kufer paszcza, w której zniknęłaby od razu po biodra i do której Debren wolałby nie zbliżać się na mniej niż ćwierć mili. Smok był ranny, obolały i pewnie przestraszony. Choćby odruchowo mógł capnąć zębiskami jak pirackie sztylety...

Ale to ona capnęła zębami. Debren myślał nawet, że smoka. Na szczęście nie: wgryzła się w końcówkę bełtu. Może za mało brzechwy wystawało z rany, może nie wierzyła w siłę palców, a może bała się zgubić broń.

Bo tę idiotyczną gnomową pukawkę nadal uparcie ścisnęła w ręce. A pod pachą coś jeszcze.

Przez chwilę był o to wściekły: bez króciicy, pomagając sobie dłonią, zrobiłaby to szybciej!

Potem zmienił zdanie. Gdy serce skoczyło mu do gardła na widok zrywających się do biegu postaci. Rzucili się w jej stronę prawie równocześnie: zielonooka i Hadgold.

Prochowy arbalet to żadna broń, ale i tak lepsza od gołej, chudej pięści.

- Uwa...! - Połknął końcówkę ostrzeżenia. Co jej po uważaniu, nie ma najmniejszych szans, nie przeciw łowcy smoków i tej morderczynie! - Uciekaj, Amma!

Obejrzała się, nie wypuszczając przy tym bełtu. Kawał chusty zjechał z nosa i policzka. Może dlatego jeszcze szybciej obróciła twarz, wróciła do pracy. Jakby nie nadbiegająca śmierć ją przeraziła, a myśl o wzroku Debrena.

- Zarznię sukę! - wydarła się triumfalnie dajka. - Dla was, panie baron! Temperamentna baba, tego wam trza! Weźcie mnie, a znów dudkać będziecie, aż wióry polecą!

- Uciekaj! - Debren też się darł, ale bez przekonania. Jakby czując, że nie zostanie wysłuchany.

Znał ją. Upartą oślicę. Nie da za wygraną. Wyrwie ten bełt z gadziej łapy albo da się zarębać.

Nic nie mógł zrobić. Ledwie samego siebie ocalił przed mknącą ku piersi piką. Pirr chyba próbował, wysoko w górze coś przecięło błękit nieba, śmignęło w stronę wzgórze. Pewnie by zdążył, ale...

- Z drogi! Won, Przyłbica! Szyć będę!

Kamyczek. Właśnie wpychał rurę kartacza w prowadnicę balisty. Machrusie słodki...

Pirr skręcił gwałtownie, próbował zawrócić. Zderzył się z rozpędzonym sokołem, oberwał gdzieś w twarz, potężnie, bo ptak zleciał na ziemię bezwładnie niczym worek, a zakrwawionego, wyraźnie oszołomionego jurystę zniosło w bok. Prosto na grab, niedoszlą szubienicę Debrena. Wpakował się w gąszcz korony, utknął, omal nie zginął od bełtu Boomhonsa. Przeżył, wyplątywał się, zrywał do lotu. Ale widać było, że nie zdąży.

Hadgold zatrzymał się, obejrzał, uskoczył w bok.

- Szyj! - krzyknął. Kamyczek wskazał kobiecie plecy, oddzielające go od smoka. - Chędożyć dajkę! Szyj!

Na szczęście dla siebie zielonooka zorientowała się, w czym rzecz. Spojrzała w tył i padła jak długa.

Patyczek, choć nie stał w osi wozu, przezornie ukucnął. Debren wybił się i skoczył.

Dwa tuziny bełtów! Któryś musi przynajmniej drasnąć dziewczynę. A to wystarczy, by zabić takie chuchro: przeciwsmokowa toksyna na pewno do słabych nie należy.

Łańcuch był krótszy od dyszla, więc gdyby rzucił się wprost, po linii belki, nie sięgnąłby Kamyczka. Nadziałby się za to na pikę. No i zwyczajnie nie panował nad tym, co robi. Wybrał kierunek, o reszcie zdecydował strach.

Strachu musiało być wiele, bo wyniosło go wyżej i dalej, niżby chciał. Najpierw napiął łańcuch, potem, wciąż lecąc w górę, pociągnął do pionu także dyszel. Patyczek próbował sięgnąć go piką, wybrał jednak zły moment, niemal apogeum lotu Debrena. Chłopak przeleciałby nad wozem - na szczęście dyszel, choć przegubowo mocowany, rąbnął o pudło fury i zastopował, skutkiem

czego napięty łańcuch najpierw zatrzymał Debrena, a potem pociągnął w dół.

Spadał, kiedy Kamyczek nacisnął spust. Machina musiała być wymierzona już wcześniej, więc celowniczy pozwolił sobie na spojrzenie do góry. I trudno go było winić: lądujący na karku wróg zabija szybciej niż źle trafiony smok. Kartacz pomknął zresztą dokładnie tam, dokąd miał polecieć. A parę bełtów nawet doleciało.

Tych skrajnych. Które, zgodnie z prawem rozsiewu, pomknęły w lewo i o parę stóp ominęły smoka oraz Ammę.

Cała reszta, zamiast w gadzie i dziewczynie, tuż po starcie ugrzęzła w dyszlu. Łączny impet kilkunastu bełtów był na tyle duży, że belką szarpnęło. Lądujący na pawęży Debren pomknął z powrotem tam, skąd nadleciał.

Patyczek też dał się zaskoczyć. Znów chybił, choć o jakimkolwiek uniku nie było mowy. Nawet gdy Debren spadł w końcu na ziemię, ocalił go nie refleks i jakaś przemyślana obrona, a zwykłe, odruchowe wzięcie nóg za pas.

Czas był najwyższy: Patyczek wychiwał pika, z tyłu błysnął miecz Scalpelotta. Giermek wylał całe wino z bukłaka, zrobił dla pana, co mógł, i teraz, chyba spłoszony gwizdem bełtów nad głową, rozglądał się po polu bitwy.

Na szczęście poharatany grotami dyszel upadku już nie przetrzymał. Pękł. Debren, choć nadal obciążony łańcuchem, kawałkiem belki tudzież żelastwem z jej końca, przestał być uwiązany do fury. Mógł odbiec, a nawet zamachnąć się tym, co zwisało z łańcucha.

Ciężkie, nieporęczne - ale odbiło grot piki.

Z mieczem by sobie nie poradził. Scalpelott jednak nie zaatakował.

- Zabiję! - ostrzegł łamiącym się głosem. - Każdego, kto spróbuje

tknąć mego pana!

Kuleczka, któremu nikt i nic nie spadało przez chwilę na łeb, wykorzystał okazję, zanurkował między zalegające furę kłamoty. Szybko pojawił się z powrotem: z triumfalną miną i samonapinaczem w rękach.

- Zaraz poprawię! - krzyknął do Boomhonsa. - Już po smoku! Jeden moment!

Hadgold czekał, wsparty o harpun. Dajka wstawała. Boomhons ułożył w korytku kuszy prostolotny bełt.

To w jego stronę wystartował z drzewa Pirr.

Boomhons przytomnie padł na brzuch, zakrył się przewróconą pawężą. To spod niej, leżąc, zamierzał celować.

Kobert, z drugą pawężą w garści, doskoczył i stanął obok, gotów osłaniać wodza przed atakami. Porzucił kuszę, wyciągnął kord. Zorientował się, że czas bazaltowego gradobicia dobiegł końca. Pirr, po tym jak rzuciło nim w koronę grabu, stracił całą amunicję: delikatne sznurki nie wytrzymały gwałtownego wyrywania się z objęć gałęzi.

Debren jęknął w duchu. Właśnie teraz!

- Balista! - ostrzegł latacza. Pirr zrozumiał, łopocąc skrzydłami, wzbił się wyżej, by zaraz potem wykorzystać te kilka stóp do nabrania pędu i ostrego skrętu. Ale i Patyczek nie próżnował: doskoczył do wozu, nastawił pikę, zapierając koniec o burtę. Pirr nie zaryzykował odbijania grotu bezbronną dłonią - poderwał się, przeleciał nad wozem. Zyskał tyle, że strącił z pałaków pawęż, osłaniającą Kamyczka od góry.

Od razu zaczął zawracać. Wyraźnie wolniej niż na początku walki. Debren wypatrzył mokrą plamę na jego boku. To ten strzał Boomhonsa. Bełt nie utkwiał w ciele, ale krwi było dużo. Albo grot ześliznął się po żebrach, prując skórę i mięśnie, albo wszedł

głęboko i Pirr wyrwał go odruchowo. Tak czy siak, wyglądało to na poważną ranę.

- Za nim, Patyczek! - krzyknął Boomhons. - Druga burta! Kobert, pomóż! Chronić balistę!

Kobert pognał w stronę fury. Pikinier obiegił ją, znów stanął twarzą w twarz z Pirrem.

A właściwie: twarzą w pysk.

Bo to, co na niego leciało, nie przypominało już gruszkogłowego, brodatego jurysty. Proporcje czaszki się zgadzały, ale z iluzji nie pozostał ślad i nad wóz nadlatywał... no, po prawdzie potwór.

Debren sam się trochę przeraził.

Skóra niby ludzka, tylko gdzieś tam łuskowata, nad lejkowatymi uszami nawet trochę włosów, ale ta paszcza poniżej płaskiego, ledwie wysklepionego nosa... Potrzask na niedźwiedzie, nie paszcza! W proporcji do ciała, szczęk i wypełniających je zębisk miało to monstrum nawet więcej niż jego wujaszek smok!

Normalny człowiek zawyłby ze zgrozy i czmychnął pod wóz. Patyczek zaimponował Debrenowi, zagarniając drzewce pod pachę złamanej ręki, zapierając się mocniej i spokojnie czekając na nadlatującego potwora.

Pirr zerwał rękawice, cisnął nimi, prawie trafił pikiniera w twarz. Sprytnie, z wdziękiem... Spod rękawic powinny błysnąć rycerskie sygnety, nie łuskowate paluchy z długimi szponami. Bo gest, ta fantazja, właśnie szlachecka była, nie gadzia. Trwało to jeden moment, ale Debren już wtedy zdążył zrozumieć, że piękniejszej szarży pewnie w życiu nie obejrzy.

Od razu więc odgadł, że nagły zwrot nie oznacza ucieczki. Pirr nie stchórzył. Odbił w bok, gdy dostrzegł, że atak nic nie da. Cel właśnie znikł.

To nie pikinier nim był. Chodziło o Kamyczka. W chwili, gdy ten

padł na brzuch, cały manewr stracił sens.

Stwór, do niedawna będący Pirrem, wznosił się ciasną spiralą, żegnany gniewnymi błyskami grotu piki i dwóch wymierzonych w niebo kordów. Debren pogratulował mu rozwagi. Patyczka może by powalił, lecz zaraz potem siła rozpędu rzuciłaby go na pozostałych. Opanowanych, opancerzonych wyjadaczy... W najlepszym razie skończyłoby się to czwórką martwych i konających. A potem Boomhons, Hadgold i dajka wyróżniliby pozostałych. Najpierw smoka. Przywódca wozobrońców zrywał właśnie pokrowiec z prostolotnego bełtu. Zaraz aktywizuje samoklepkę, wyceluje i...

Smok ryczał, lecz bardziej bezradnie niż groźnie. Nie wstawał, choć dwójka napastników dotarła całkiem blisko.

Było coś przejmująco żałosnego w widoku rozchwianej dziewczęcej sylwetki, wychodzącej im naprzeciw. Smok, którego musi bronić bezdomna żebraczka...

Amma wybiegła przed niego, podniosła króciwą. Hadgold i dajka zawahali się, zatrzymali, popatrzyli za siebie.

Po co ryzykować, skoro można z daleka, strzelając...

- Pomóż im, Debren! - Dobiegł z góry znajomy głos.

Za późno jednak było. Kobert wlaź na furę i Kamyczek, ufny w osłonę dawaną mu przez kompanów, odrzucił kord. Oparł o burtę oszczep, mający posłużyć za pocisk, chwycił cylinder samonapinacza. Z góry spadały na niego krople krwi. Pirr, niemal nie poruszając skrzydłami, lewitował wysoko nad wozem. Jedną ręką zatykał ranę, drugą macał, szukając jakiegoś zapomnianego kamienia. Ale nawet gdyby znalazł... Zbroje wozobrońców miały w założeniu chronić przed ciosami smoczego ogona, ich kaftany były więc mocno pikowane, zaś pancerze należycie usztywnione.

Nierealne. Całych pacierzy by trzeba i worka kamieni.

A pozostały momenty.

Debren ruszył biegiem, podrywając łańcuch i próbując wywijać nim jak dwuręcznym kiścieniem. Ale połowa dyszla i skute żeleźca dwóch halabard ważyły zbyt wiele, a jego kiścień nie miał trzonka. Omal sobie nie zmiażdżył palców, gdy ogniwa zacisnęły się na nich. Kikut belki grzmotnął o burtę, nie sięgając nawet wnętrza wozu, o baliście czy jej celowniczym nie mówiąc.

Pirr wywinął kozła, zanurkował w desperackim ataku. Patyczek nastawił pikę, Kobert poderwał kord.

Samonapinacz wylądował w korytku balisty, rura zaczęła się rozpręzać, pchać grubszą od kciuka cięciwę. Kamyczek przywarł pochylony nad mechanizmem spustowym, gotów wspomóc samoczynny zatrask w przypadku, gdyby samoczynność nie zadziałała.

- *Mknę wprost do celu, mój przyjacielu* - zaczęła reklamowym sloganem samoklepka bełtu Boomhonsa.

Paszczka pikującego potwora była niemal na wysokości grotu piki, gdy Pirrowi wrócił rozsądek. Podobne do nietoperzowych skrzydła energicznym ruchem zakrzywiły trajektorię i latacz, zamiast wyrzucić w wóz, śmignął za burtę. Tylko coś mniejszego spadło...

...kapnęło?

Jak określić upadek grudy śliny, zdolnej wypełnić połowę kufła?

I przeżreć linę w ułamek momentu? Bo tyle jej to zajęło. Przetyczka łańcucha Debrena opierała się znacznie dłużej, ale widocznie Pirr rozrzedził kwas śliną.

Zwęglona wydzielina cięciwa pękła zniecka, rura samonapinacza skoczyła Kamyczkowi prosto na pierś, niewiele wolniej od wystrzelonego z balisty bełtu. Odrzuciło go na Koberta. Stał jeszcze przez chwilę, wytrzeszczając oczy, po czym rzygnął krwią ze zmiażdżonych płuc - i runął na dno wozu.

Hadgold obrócił się i pobiegł w stronę smoka. Dajka za nim.

Boomhons też zerknął w stronę wozu, ale zaraz potem zastygł nad celownikiem. Debren pomyślał, że jeśli dobrze trafi, w oczodoł albo środek rozwartej w kolejnym ryku paszczy, smok wypadnie z gry i cała trójka rzuci się na niego.

Stracili kompana i balistę, lecz nadal byli górami. Póki Amma nie pociągnęła za spust.

Krócica, co jej się czasem zdarzało, wypaliła.

Hadgold chyba dopuszczał myśl o strzelaniu mu w twarz z prochowej procy gnoma Pistolo, bo gnał z przezornie pochyloną głową. Hełm stracił już wcześniej, okazało się jednak, że przezwisko nosi nie na wyrost.

Krócica, co też jej się czasem zdarzało, trafiła. Może nie idealnie, ale niejeden, któremu kawał ołowiu obił się o głowę tak, że zdarł pas skóry i zalał krwią ucho, co najmniej by padł. Hadgold tylko się potknął.

Kula, odbita rykoszetem, pomknęła dalej i ugodziła dajkę. Dokładnie w jedno z zielonych oczu. Kobieta, nim runęła między wrzosa, obróciła się wokół osi, ukazując krwawą dziurę w miejscu oczodołu.

Niewiele by to pomogło, gdyby zdzielony przez łeb Hadgold zapanował nad bronią. Harpun jednak, choć nie wypadł mu z rąk, zanurkował grotem w dół i, poczuwszy opór, znienacka zaczął wgryzać się w ziemię.

Amma wypuściła zawiniątko, ściskane pod pachą, padła na kolana, sięgnęła do pasa.

Po drugiej stronie Pirr, szorując brzuchem po trawie, poderwał w locie jedną z przyszykowanych na smoka spis. Już uzbrojony, zaatakował wóz. Hadgold szarpał się z umykającym w głąb ziemi harpunem, do pasa przesłonięty pyłem, wzbijanym przez wirujące ostrze. Amma, przytrzymując krzesiwo kolanami, waliła w nie

krzemieniem. Krzesiwo? Oszalała?

Debren rzucił gangarinem - i chybił. Boomhons nawet nie drgnął. Wstał wprawdzie, ale dlatego, że coś przesłoniło mu cel. Ciężką kuszę, choć teraz bez podpórki, trzymał zupełnie nieruchomo.

Kobert zręcznie odbił spisę, pchnął barkiem na pałąk, rozbijając przeciwnika. Pirr, zamiast wypuścić drzewce i odlecieć po inną broń, wylądował na burcie, odepchnął go kopniakiem, wskoczył do wnętrza wozu. Patyczek już biegł, by zaatakować od tyłu, gdzie burta była niższa, a pałąki mniej przeszkadzały.

Hadgold zapanował w końcu nad harpunem, wyrwał z ziemi wirujące wściekle ostrze i ruszył na smoka. Po drodze miał Amnę, ale nikomu z patrzących przez myśl nie przyszło, że poświęci jej choć chwilę uwagi. Ot, przebiegnie po niej, może uprzednio zaszczyciwszy kopniakiem. O ile zamierza zaatakować gada wręcz.

Bo ostatecznie to był harpun, nie pika; ciężki, lecz jednak pomyślany do rzucania.

Smok, wyczuwając niebezpieczeństwo, nabrał tchu i zionął ogniem. Jak się okazało: jednak potrafił.

Na odległość sążnia. No, może dwóch.

Tak czy inaczej, rozpaczliwie za blisko. A i po tym jednym, kusym i trwającym moment zionięciu, rozkaszał się, prychając kłębami dymu. Debrenowi przeleciały przez myśl słowa Pirra: „Stary, zniedołężniały, już sobie nie radzi, biedaczysko...”

O tak - w wieku trzystu dwudziestu siedmiu lat smoki, jak widać, bywają żałośnie nieporadne. Całkiem jak starzy ludzie. Słabe. Nieruchliwe. Bezbronne.

Boomhons musiał to wiedzieć - dlatego tak uparcie trzymał się idei strzelania ze snajperskiej kuszy. Przewidział, że podtruty gad, z samej gadjiej natury nie lubiący wiercić się bez sensu, znieruchomieje w końcu i stworzy okazję do pewnego strzału.

Taką jak teraz.

Gdy Hadgold, ostrzeżony ognistym zionięciem, zatrzymał się i gorączkowo rozważał szanse, a smok, wykaszlawszy się w końcu, znieruchomiał z groźnie zadartym ogonem i na poły rozdziawioną paszczą.

Z nastroszoną łuską, rozpostartym zdrowym skrzydłem i wyszczerzonymi kłami wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać smok, mający odstraszyć wroga samym widokiem. Ale to, co w świecie dzikiej przyrody, a nawet błędnych rycerzy i pikinierskich czworoboków znakomicie się sprawdzało, okazało się śmiertelnie niebezpieczne na współczesnym polu walki.

Gdzie chwila majestatycznego, groźnego bezruchu może oznaczać nieuchronne trafienie w oko.

Debren nie miał pewności, czy to nie Hadgold ocalił smoka. Ale chyba nie. Podjął decyzję i zamachnął się wirującym ostrzem odrobinę później, gdy bełt mknął do celu. Myśl Ammy pojawiła się trochę wcześniej.

„PRZYPAL SMOKU!”

Właściwie nie tak to odebrał. Nie jako słowa. Nie był elfem, nie umiał przemawiać do zwierząt, a nawet gdyby, to rodzaj telepatii, jaką posługiwały się smoki, różnił się i od ludzkiej, i od elfowej. Usłyszał tylko jakiś niejasny pogłos wewnątrz mózgu, treści bardziej się domyślił. Ale wnioskując po efektach...

Bo smok usłuchał. Nabrał tchu - dziewczyna przycupnęła spory kawałek przed nim, nieco z lewej - i, z widocznym wysiłkiem, wypuścił z paszczy strumień płomienia. Podkreślony, węższy dzięki temu. Za szeroki jednak, by Ammie mogło się upiec.

Ogień przysmażył jej uniesioną dłoń, zawadził o głowę, zwęglił chustę i połowę włosów. Nie oblepił na szczęście, zgasł prawie od razu, lecz samego strachu, o bólu nie mówiąc, powinno wystarczyć

do sparaliżowania zamiarów dziewczyny. Powinna instynktownie uciekać albo, bardziej rozumnie, paść i tarzając się w trawie, tłumić płomienie.

Zapanowała nad paniką, nad przerażeniem palonej żywcem, odczekała, upewniła się, że ściskany w dłoni woreczek też zajął się ogniem - i dopiero wtedy nim rzuciła.

Sakiewka wylądowała pod nogami rozkraczanego, biorącego zamach Hadgolda. Harpun cofnął się, znieruchomiał, ruszył do przodu, szarpnięty ramieniem...

I wyfrunął w niebo, razem z niedoszłym miotaczem.

Płonąca sakiewka eksplodowała dokładnie między kolanami wozobrońcy, zdzierając mu portki, miotając stopami na wysokość ramion, a ramionami nad głowę. Pomijając kawałki ubrania, nic chyba od ciała nie odpadło - jednosiarkodwuwęglodrewnian saletry, nawet suchy, aż takiej mocy nie miał, a ten wykąpano w studni i potem pobieżnie wysuszono nad ogniskiem - lecz Debren nie zdziwiłby się, gdyby krok Hadgolda kończył się teraz w okolicach pępka. I zdziwiłby się, gdyby wozobrońca spadał na ziemię choć trochę żywy.

Bełt Boomhonsa przeleciał tamtędy wcześniej. Wybuch nie miał wpływu na to, że zamiast w oczodole i mózgu, wylądował między ślepiami smoka i zrykoszetował po kości. Po prostu stare smoki nie potrafią utrzymać majestatycznej postawy, przypalając dziewczętom petardy.

Harpun zatoczył łuk, spadł obok dymiących zwłok swego właściciela i, wgrzając się w podłoże, znikł po pewnym czasie wraz z całym drzewcem.

To jednak Debren przegapił. Patrzył w drugą stronę. Na Boomhonsa, rzucającego kuszę, pędzącego do lasu i koni. Na Koberta, który dał się zwieść pozorom, ciął Pirra w gołą dłoń,

pozwoił zbić ostrze ciosem pazurów, uwięzić je w uścisku drugiej, chronionej łuską łapy i jednym chapnięciem paszczy dać sobie odgryźć połowę twarzy.

Pirr miał ją nadal w pysku, gdy zeskakiwał z wozu. Wielki kawał krwawiącego mięsa, którym splunął Patyczkowi pod nogi.

- Diabelska moc - warknął pikinier - nie sprostą boskiej. Giń, szatański pomioście.

Pchnął, mocno i precyzyjnie, jak dobry knecht parą zdrowych ramion. Pirr uchylił się, złapał zębami drzewce, zwarł szczęki. Chrupnęło, grot został mu w ręce. Patyczek sięgnął po miecz, ale nie zdążył już wykazać wyższości wojowników bożych nad piekielnymi. Grot, furkocąc, pomknął ku jego twarzy, wbił się tuż pod brodą, rozdarł gardło i zgruchotał kręgi szyjne. Pikinier padł jak kukła, od razu bezwładnie. Pirr ruszył wprawdzie biegiem, ale wcale nie na niego.

Przeskoczył nad trupem, dopadł grabu, poderwał z ziemi któryś z rozsypanych kamieni.

- Ja do Bryberyki! - dobiegł z lasu wystraszony krzyk Puchacza. - Słowem nie pisnę, słowo! I Buronę poślubię! Kłopot wam ubędzie!

Boomhons, gubiąc czapkę, przebiegł między drzewami, skokiem przez koński zad wylądował w siodle, grzmotnął wierzchowca piętami. Na dystansie dwudziestu stóp przeszedł do cwału. Skręcił ku drodze, bo między drzewami koń nie ma przewagi nad biegnącym człowiekiem. To pomogło Pirrowi. Ale Debren i tak by na niego nie postawił.

Na szczęście nie było z kim się założyć. Bo choć odległość wzrosła do kopy kroków, kamień śmignął, wcale nie tak stromym łukiem, niemal znikł z oczu - po czym zszedł jeździec w potylicę i zwałił z siodła.

Już wtedy martwego.

Stali i gapili się. Debren czerwony z wysiłku, Scalpelott coraz bardziej blady. Ale choć miecz drżał mu w dłoni, sam wyszedł naprzeciw nadchodzącemu ociężałym krokiem stworowi.

- Stawaj. - Mówił cicho, chyba w obawie, że głos może go zawieść.
- Nie pozwolę zabić bezbronnego.

Pirr - to coś, co tak skutecznie udawało Pirra - zatrzymał się, łąpnął na obu żółtych ślepiami. Tylko one przypominały Debrenowi garbatego jurystę. Dołem, w okolicach domniemanego garbu, gdzie tak naprawdę luźny ubiór skrywał ciasno zwinięte skrzydła, iluzja zaczęła powracać mglistym falowaniem, ale resztę diabli wzięli. Potwór wyglądał dokładnie na tego, kim był: na dwunożnego człekopodobnego gada.

- Smokolud - Debren też mówił cicho, z niedowierzaniem. - Machrusie słodki... Jakim cudem nikt nigdy...?

Pirr splunął w dłoń i wtarł w nią porcję zaprawionej kwasem śliny. Zaskwierczało, zasmażyło brzegi rany.

- Żaden cud. - Głos, rwany zadyszką i obolały, podobnie jak oczy należał do dawnego Pirra. - Dbamy o to. Bardzo usilnie. I mało nas. Garstka ledwie. Nasze gatunki... no, nie krzyżują się tak łatwo.

Podszedł bliżej. Scalpelott przyjął postawę szermierczą. Pirr zatrzymał się. Ale w jego żółtych ślepiach Debren nie dopatrzył się śladów zdziwienia.

Cóż, życie. Jest mnóstwo bajek o smokach i rycerzach, ale tak naprawdę jedni i drudzy to elementy prozaicznego, wcale niebajkowego świata. Napędzanego walką o byt.

- Zabijesz nas, co?

Pirr nie odpowiedział. Stał i patrzył. Za ich plecy. Scalpelott obejrzał się, ale Debren nie próbował.

- Boże... - W głosie giermka zabrzmiało to wszystko, co sam nosił w sercu: groza, odraza i współczucie. - Co jej się...? Ona nie ma...

Szarpnął głową. Raczej nie tyle z myślą o wrogu, który mógł wykorzystać okazję. Pewnie zakrywała twarz poparzoną dłonią, resztkami spalonej chusty. Może nawet uciekła. A do niego dotarło, jak ranią takie spojrzenia.

- Nie wiedziałeś - kiwnął łbem Pirr. - Nowy jesteś.

- To baron? On jej...? - Miecz chłopaka opadł, ale po chwili znów powędrował do góry. - Nie wiedziałem.

- Ale - domyślił się Pirr - chcesz go bronić?

- Giermek musi. Honor tego wymaga.

Pirr rozejrzał się, kuśtykając przeszedł kilka kroków, podniósł jakiś topór. Machnął na próbę. Scalpelott pobladł jeszcze mocniej: topór nie powinien gwizdać jak witka. Miecz tak, ale nie ciężki topór.

- Nie chciałem tego - mruknął Pirr. - Szkoda.

Nie brali się jeszcze do walki, ale Debren szybko wkroczył między nich.

- Potem nas pozabijasz. Teraz leć i opatrz jej rany. Nie będziemy uciekać.



Debren usiadł na kikucie dyszla i mozolnie rozsupływał węzeł, przytrzymujący łańcuch. Mógł przeciąć, broni walało się dookoła aż nadto, ale wtedy wypadaloby pomóc Scalpelottowi przy opatrywaniu pana. Wielkie dzięki. Raz tylko, z daleka, zerknął w głąb przyłbicy - i wystarczyło. Baron zemdłał, nie krzyczał więc i nie wił się w męce, lecz i tak trudno było znieść widok zębów oraz dziąseł w miejscach, gdzie powinny być policzki. Kobert wyglądał gorzej, ale Koberta od razu zabiły szok i krwotok. Ten nieszczęśnik prawdopodobnie przeżyje. Żrąca ślina, poszarpawszy mu w strzępy

dolną połowę twarzy, jak na szyderstwo wypaliła i zasklepiła rany, pozbawiając szansy ucieczki w niebyt.

Obudzi się, poczuje, wymaca ręką...

Próbował o tym nie myśleć.

Pirr wyszedł z jaskini. Przestrzelona noga i bok musiały mu dokuczać, bo zamiast kuśtykać lub normalnie lecieć, wylewitował na stopę do góry, odepchnął się zdrową nogą i powoli przepłynął nad wrzosowiskiem.

- No proszę, nikt nie uciekł... - skomentował, rozsiadając się na burcie wozu. Debren, jak na podsądnego przystało, miał teraz stać przed nim i spoglądać do góry.

Smok, rozchwiany na trzech nogach, znikł w jaskini. Ammy nigdzie Debren nie wypatrzył.

- Baron uciekać nie może, a Burony nie zamierzasz zabić - powiedział spokojnie.

- Telepatia? - Z gadziego pyska ciężko było wyczytać emocje, ale w głosie wyczuł kpinę.

- Rozumowanie. Już raz ją ratowałeś. Z narażeniem życia, sądząc po tym - Debren wskazał pobojowisko. - Purchawiec też miał pięciu ludzi.

- Gorszych - wzruszył ramionami Pirr. - Zaskoczonych. Nie wyciągaj zatem wniosków. Ale zgoda: Burony nie muszą zabijać. Nikt jej nie traktuje poważnie.

- Scalpelott - wskazał giermka Debren - nic nie powie. O ile, naturalnie, przysięgnie milczenie.

- Bo honor? - podsunął Pirr. - I ja mam w to wierzyć?

Scalpelott, trzymający się z boku, lecz jeszcze w zasięgu słuchu, poczerwieniał. Nie odezwał się jednak.

- Nie zabił mnie, bo nie miałem broni. Został przy swym panu, na pewną śmierć. Tak, Pirr. Bo honor. Nie jest jeszcze pasowany, ale

na jego słowie można polegać.

Giermkowi zalśniły oczy. Złożył Debrenowi ceremonialny ukłon, który ten odwzajemnił równie poważnym, choć czuł, że w przypadku dwóch nastolatków wygląda to głupio. Pirr przekrzywił paszczę w szyderczy sposób.

- Zapominasz o jednym: smoki to zimnokrwiste monstra. Słowo: „Honor” nic dla nich nie znaczy. W przeciwieństwie do słów: „Przetrwanie gatunku”. A gatunek nie przetrwa, jeśli nasz najtajniejszy sekret...

- Za dużo mi o smokach powiedziałaś, bym w to wierzył. Nie, Pirr. Plunąłeś baronowi w twarz, choć mogłeś ją odgryźć. Ale nie wypadało. Bo bronić się nie mogłem. Albo twój stryj... Dziewicy zażądał, nie byle kogo.

- Amma nie jest dziewicą - cicho powiedział Pirr.

- Zależy, jaką definicję... - Debren urwał, najpierw przestraszony, a zaraz potem sparaliżowany myślą, że coś takiego mogło go przestraszyć. Zduszonym głosem dokończył: - On... nie przypadła mu do gustu?

Gruszkogłowy stwór popatrzył mu w oczy.

- Co? - Chyba się uśmiechnął. Chyba mało życzliwie. Ale pewności nie było. - Boisz się, że ci ją zwróci?

Spojrzenie Debrena życzliwe nie było na pewno.

- Zajmę się nią - warknął. - Jak będzie trzeba, to... A tak w ogóle... Co z nią? Mam nadzieję, że to nic...

- Nie pobiegłeś. - Tamten czytał mu w myślach. - Nie rzuciłeś się do opatrywania ran. Scalpelott tak, choć ma swego pana za skurwysyna.

Giermek poczerwieniał.

- No, tak bym tego nie... - zaoponował. - Znaczy...

- Nie chciała, bym biegł. - Debren był tego pewien, co trochę ulgi

przynosiło. Ale tylko trochę. - Ona...

- Nie chciała - zgodził się Pirr. - Niczego się tak nie boi, jak ujrzeć wstręt w twoich oczach. Chusta jej spłonęła; nie ma jak ukryć... Ale nie o tym mówię. Mówię, żeś nie pobiegl.

Debren odwrócił się, ruszył w stronę jaskini.

- Przeżyje - zatrzymał go głos zza pleców. - Drugi fakultet robiłem z medycyny. Trudno po każdej wizycie doktora zżerać, by nie wypaplał... Żartuję. - To był komentarz do niepewnej miny Scalpelotta. - Ma pękniętą kość, może nastąpić niedowład ręki. Ale naczynia nie ucierpiały. Rana czysta. Wyjdzie z tego.

Debren patrzył na jaskinię. Trochę tęsknie.

- A jak... - Scalpelott musiał odchrząknąć. - A jeśli zapach krwi... Rozumiem, że ten smok to wasz stryj, ale... Instynkt to potężna siła. Nie boicie się, że...?

- Nie zje jej. Chociaż - wymienili spojrzenia z Debrenem - uznał ją za godną. Przeszłaby mu przez gardło.

- Przez gardło - powtórzył tępo Debren.

- W legendach bywa trochę prawdy. Różnie bywało między naszymi rasami. Wojen więcej niż pokojowej koegzystencji. Stryj już nie, ale dziadek raz czy drugi wymusił na wrogim feudale córkę. I zjadł zakładniczkę w ramach wojennych sankcji. Co poradzić, że takie demonstracje najlepiej do wyobraźni przemawiały? Że potem jeden z drugim hrabia tuzin razy pomyślał, nim rozejm złamał i zdradziecko napadł na smocze gniazdo z piskletami? Nie pochwalam metody, ale to było dzikie wczesnowiecze. Inni ludzie, inne smoki, inna mentalność.

Milczeli przez chwilę.

- Oczywiście - dorzucił Pirr - Ammy nikt nie pożre.

- Co z nią zrobicie? - zapytał Scalpelott. Chrząknął i nieco uniósł miecz. - Uprzedzam, że nie pozwolę...

- Nie stanie się jej krzywda, to mogę obiecać. A teraz... zostaw nas. - Giermek niepewnie zerknął na zakute w stal ciało u swych stóp, potem nieufnie na gruszkogłowego stwora. - Nie bój się, nie tknę go.

Scapelott, z ociąganiem, ale odszedł i usiadł kilkanaście kroków dalej. Puchacz zerkał zza drzew, lecz nie próbował ani podchodzić, ani uciekać. Zostali sami.

- Nie stanie się krzywda? - powtórzył Debren. - Wróci do Trickley cała i zdrowa? I jeszcze mało pohańbiona?

- Nie o nią się martw. To was muszę zabić. Lojalność wobec własnej rasy nakazuje mi...

- Wstrzymać się z tym - wszedł mu w słowo Debren.

- Bo? - Pirr przyjrzał mu się uważnie.

- Bo rasa trwa dzięki ludzkiej niewiedzy.

- Zgadza się. I dlatego mam moralny obowiązek... Od małego wbijają nam w łeb pierwsze i najważniejsze przykazanie: że żaden świadek nie może...

- Przejrzałem cię. Nie ze wszystkim, fakt. Ale najważniejsze zrozumiałem wystarczająco wcześniej, by się zabezpieczyć. Jeśli mnie teraz zabijesz, świat dowie się o istnieniu... hmm... smokoludów? - Pirr skinął głową, akceptując słowo. - Ludzie zostaną ostrzeżeni, zaczną się rozglądać. I wyłapią was, jednego po drugim.

Mierzyli się spojrzeniami spod zmrużonych powiek.

- Łżesz - ocenił Pirr. - Nic nie wiedziałeś.

- Masz mnie za durnia? - uśmiechnął się pod nosem Debren. Chyba dobrze mu to wyszło. - Od początku szyłeś niemi grubymi jak u Tęgiego Dratwy. Tylko skończony kretyn by się nie zorientował. A ja magię studiuje.

Modlił się w duchu, by tamten nie próbował telepatycznych sztuczek. Boby wyczuł, że rozmawia właśnie ze skończonym

kretynem. Który do ostatniej chwili upatrywał tajemniczego latacza w elfie lub nawet jego sokole, a teraz łąże jak najęty, dygocąc ze strachu.

- Tak? A konkretnie? Co masz na myśli?

Jedno było dobre: teraz, po fakcie, o wieki za późno, Debren faktycznie przejrzał na oczy. I mógł wprost sypać rzeczowymi argumentami.

- Już przy Bramie Piwnej poznałem to bazaltowe jajo. Identyczne wpadło do burmistrza. Też jak z nieba. Wtedy nie pomyślałem o kimś, kto lata, ale za drugim razem... I zacząłem dyskretnie zerkać do góry.

- Nocą - przypomniał od niechcienia Pirr.

- Sowie widzenie. - Debren musnął kącik oka. - Och, krótkotrwałe i nieostre. Ale wystarczyło. Zauważyłem, że ktoś lata nad dachami, pomaga nam w ucieczce. Myślisz, że czemu nie użyłem porządnych, mocnych czarów?

- Bo nie znasz? - podsunął Pirr.

- Bo uznałem, że sam podołasz, a nie chciałem ryzykować łamania prawa. Pamiętaj: z demoludów jestem.

- Łziesz, Debren. Nie widziałeś mnie. To była najbardziej żalosna, paniczna i rozpaczliwa ucieczka, jaką w życiu widziałem. Cud, że to was pioruny nie wytlukły. I to nie Alfiego, a ciebie miałem ochotę zrzucić z dachu kopniakiem w rzyć. Tuzin razy mogłeś uśmiercić Ammę.

- Nie rozpoznałem cię - spasował Debren. - Ale potem, kiedy nas dogoniłeś... Zdradziłeś się od razu.

- Tak? Ciekawe czym.

- Choćby tym, żeś nas wypatrzył w mroku. Jazdą bez pochodni. Ale bardziej szybkością. Po prawdzie to raz po raz właśnie tym się zdradasz. Za szybki jesteś. Bajka o najlepszym koniu w okolicy

niejednemu zamydli oczy, lecz bez przesady. Tuzin mil gnał, potem osłabł, więc ty dalej biegiem? Ze świadkiem na rękach, bo o gałąź rąbnął i go ogłuszyło? Już to widzę: pastuszek, mały chłopczyzna, głową wali, a ty, wielkie chłopisko, ani draśnięcia. Frunąłeś z nim, taka jest prawda. W łeb dostał nie gałęzią, a od ciebie. Jak Puchacz. By się nie zorientował, że lotem podróżował. Tylko dlatego zdążyłeś na proces. No i koń to jedno, a machina urzędnicza drugie.

- Prokurator - domyślił się Pirr.

- I to na podgrodziu. Doganiasz mnie w środku nocy, straszysz bezmiarem popełnionych zbrodni, które prokurator zdążył już niemalże spisać w akt oskarżenia. To robi wrażenie, owszem. Gdyby nie Amma, czmychnąłbym raz-dwa za granicę. Ale, jak znam życie, w sprawie sąsiedzkiej awantury, paru rajfurów, dajek i pijanych furmanów prokurator w ogóle spod pierzyny by nie wylazł. Nie mówiąc o dokładnym przesłuchaniu świadków i dzieleniu się z tobą ich zeznaniami. Pewnie w ogóle nie wypuściliby go za bramę. Tak jak Boomhonsa do świtu przetrzymali.

- O tym wtedy nie wiedziałeś.

- Prawda, o Boomhonsie nie.

- Więc nie mogłeś tej wiedzy wykorzystać - uśmiechnął się gruszkogłowy stwór. Debren odnotował, że falują mu przy tym skórne fałdy w kącikach paszczy.

- Wtedy nie, ale...

- Więc nie było jak ostrzec ludzkości.

Debren spocił się. Miał nadzieję, że ten element Pirr przegapi. Przynajmniej na tym etapie, przed zasypaniem go salwą celnych obserwacji, dowodzących, iż popełniał błąd za błędem. Komuś przytłoczonemu własną niekompetencją trudniej przyłapać dyskutanta na wpadce.

- Nie mówię, że wnioskowałem z nieotwierania bram. Po prostu

nie zdążyłbyś wypytać prokuratora. O, i jeszcze z Verorem pogadać.... I powiedziałaś, że to opat ci zdradził plany burmistrza. A klasztor jest parę mil na zachód od Trickley i nijak nie mogłeś...

- Też później - przerwał mu Pirr.

- Hę?

- Powiedziałem ci to już za karczmą.

Debren wystarał się o obojętną minę.

- I co z tego?

- Nic - przyznał Pirr. - Tyle że ostrzeżenia dla świata nie złożyłeś na ręce karczmarza.

Debren zastanawiał się przez chwilę.

- Już mogłem - zapewnił. - Sikałeś w lesie, a Amma słyszała głosy zwierząt. Zwęszyły smoczy mocz, bały się, ostrzegały jedne drugie.

- Cóż - wzruszył ramionami Pirr. - Nie wiedziałem, że ma domieszkę elfiej krwi. Trochę mnie wystraszyła. Mogła coś wyczuć. Sama albo podsłuchując zwierzęta. Na konie i psy mam pachnidła, dezorientują je, ale te dzikie...

- I owczarki - dorzucił Debren. - Stad strzegą, przed smokami też, więc zawsze was wyczują, nie to co...

- Owczarki to przy wieży - przerwał mu Pirr. - Za późno, byś kogoś ostrzegł.

- Dertudę? - podsunął, choć z umiarkowaną nadzieją, Debren. - Jedno słowo do ucha. Starczyłoby, bo ta historia z poparzonym koniem dała jej do myślenia.

- Wykupiłem jej koła - błysnął kłami Pirr. - Jeśli to jej powierzyłeś sekret smokoludów, toś źle trafił. Wzięła ode mnie w łapę za wystawienie lewej ekspertyzy. Sama by się pograżała.

- Tak tylko mówię... - wycofał się Debren. - Przykładowo. Chociaż wiesz... Ludzka solidarność...

- To akuszerka. Ludzie chcą ją niesolidarnie spalić. A smok

pozwała mieszkać w lesie, czerpać opał, sidła stawiać. Inkwizytorów odstrasza. A wszystko to darmo, z sąsiedzkiej życzliwości. Nie zna mnie, ale gdyby się dowiedziała, że smok to mój stryj, słowem by nie pisnęła.

- To nie Dertudzie powie... znaczy: zostawiłem wiadomość. Bo wcale nie mówię, że to była rozmowa.

- Nie mówisz - przyznał Pirr.

- Ani nie mówię, że dopiero wtedy. Mogłem pozostawić ostrzeżenie już w karczmie. Choć owszem, potem doszły kolejne dowody i już większą pewność zyskałem... Choćby dzięki sokołowi.

Wymienili się spojrzeniami, ale nie był to najlepszy z pomysłów Debrena. Po gadzie, choćby z ludzkimi oczyma, ciężko poznać, że się zmieszał, złapany na krętactwie. Za to po siedemnastoletnim czarodzieju...

- Nie wiesz, co to było, prawda? - rozdziawił paszczę smokolud. Groźnie wyglądało, ale to był chyba szeroki uśmiech. - Gęś, gołąb czy ten chowaniec Keloalena.

- Sokół nie. Kłamałeś. Amma mówiła...

- Jastrząb. Amma nie widzi najlepiej; mam nadzieję, że to z głodu, a nie dziedziczne... Ale co do ptaszyska: z nieba mi wtedy spadło. Raz, że Ammę naszła myśl, by konia ukraść. Dwa, że uciekaliście potem lasami.

- Bałeś się, że na trakcie nas złapią?

- Mogli. A mnie zapamiętać, że z wami jadę. Źle by się stało, bo robię, co mogę, by nie być kojarzonym ze smokiem. Ale najbardziej szło o czas. Wy konno, ja na skrzydłach: tak było szybciej. A przy was nie mogłem latać. I łatwiej mi było czuwać nad wami, chronić przed gałęźnicami czy czymkolwiek, lecąc dyskretnie z tyłu.

- Sam zgadłem - pochwalił się Debren. - Dobrze grasz, ale twój koń gorzej. Widać było, że go ktoś zdalnie, telepatycznym

rozkazem, zmusił, by nas słuchał.

- Rozumiem. I co jeszcze mnie zdradziło?

- Wiedza o smokach. Wszystkie księgi kontrwywiady konfiskują, a tu jurysta z prowincji... A potem do Korrisów trafiłem. I usłyszałem historię o Buronie, smoku oraz sakwie Purchawca. No właśnie, sakwa... W stajni, nim mnie samobij ogłuszył, wymacałem, że to nie monety...

- Debren, nie przesadzaj - upomniał go, jakby z pobłażaniem, Pirr.

- To znaczy... no, dało się wyczuć, że nie pieniądze. Nie mówię, że kamienie rozpoznałem. Ale do myślenia to dawało. I u smolarzy miałem już jasny obraz sytuacji.

- Rozumiem - skinął głową smokolud. - Mogłeś zatem ostrzec ludzkość. Za pośrednictwem Korrisów.

Debren nie dał się przyłapać.

- To zbyt oczywiste. Ale trochę ludzi tam mieszka. Na smołowanej desce piękny list można napisać... Zresztą i po drodze... Wiem: śledziłeś nas. Ale z daleka. Miałem sto okazji, by spisać ostrzeżenie, podrzucić przy trakcie.

- Rozumiem. Wiedziłeś już wszystko. Wydedukowałeś jak Cherlak Shoms. Także to, że Korrisowie i żółwijce to żaden problem, bo wszak przyleci Pirr i uratuje.

Debren uśmiechnął się blado.

- Że sikając na beczkę, a przez dziury i na nas, nie pomyślałem. Ale przyznasz, że po tym już trudno było mieć wątpliwości. Jakiś bukłak z wodą święconą, co to znika, koń, który ucieka, wraca, by bukłak zgubić, znów ucieka... Smok akurat nadlatuje, a Cobin tak głupieje, by do niego strzelać... A ktoś inny strzela z łuku Coklana ich ojcu w plecy... Żółwijce nam swego pobratymca oddają... Naprawdę myślałeś, że dam się nabrać?

- Urodziłem się zbytnim optymistą - przyznał Pirr.

- Moje ciżmy - przypomniał sobie Debren. - Mogłem wypalić list na podszwach. Ktoś je znajdzie, odczyta i ostrzeże ludzkość. Albo pod mostem wyryć...

- Albo beczka - podsunął Pirr. - Nie sprawdziłem, czy czegoś w środku nie napisałeś.

Debren powtórzył sobie, że tamten urodził się zbytnim optymistą i jego spokój, by nie rzec: beztroska, wcale nie muszą dowodzić braku wiary.

- Mogłem wsunąć coś chłopakowi kołodzieja. Nie mówię, że list na papierze. Czarodzieje mają różne sposoby, by przekazać informację. Zdziwiłbyś się, jak sprytne. Albo zgubić przy karczmie. Ruch tam spory, ktoś by w końcu znalazł. A ty zmykałeś, nie patrząc za siebie.

- Wolałem uniknąć spotkania z kołodziejem. W swej naiwności - fałdy w kącikach paszczy zafalowały - łudziłem się, że niczego się nie dowiesz.

- Ale nie wyszło. Dertuda nie wytrzymała, pochwaliła się nowymi kołami. To jeszcze pół biedy. Nie skojarzyłbym z tym ciebie, choć się dziwnie gapiła. Ale chłopak mówił o jej krewnym, który nagle koła zasponsorował. A ciebie kołodziej dobroczyńcą obwołał.

- Nigdy nie mówiłem, że nie przekupiłem Dertudy.

- Nie chodzi o to, „że”. Sęk w tym, „kiedy”. Nijak nie mogłeś obrócić w obie strony. Bałeś się kołodzieja, bo żaden człowiek nie zdążyłby być przed południem w karczmie pod Trickley, potem u niego, z Dertudą, a potem znów pod Trickley. Tylko ktoś, kto lata...

- To wtedy się zorientowałeś? - spróbował szczęścia Pirr. Debren prychnął pogardliwie.

- Wtedy? Za tumana mnie masz?

- W Mehatt?

- Bo z liczbą ksiąg kręciłeś? I podrzuciłeś swoją, czystą, między

zakurzone przeora? I błyskawicznie znalazłeś stosowny fragment? I sakwa była mało wypchana? Bo wyгнаłeś mnie, kiedy przeor nadchodził, ze strachu, że go zdziwi szósty manuskrypt? Owszem, to ugruntowało moją pewność. Ale już ją miałem. Mogłem zostawić w Mehatt ostrzeżenie dla ludzkości. Ale mogłem i wcześniej. A tam, powiedzmy, tylko kolejne dorzucić. Tak dla pewności.

- Rozumiem. A po co księga, też zgadłeś?

- *Smoki w dziejach Anvashu*? By nam wmówić, że to latanie nad dachami to robota elfów i gargulców. Po lekturze całości, zwłaszcza historii Dratwy, ktoś bystry zacząłby podejrzewać, że bynajmniej, ale fakt: z tego fragmentu tak by należało wnioskować. Ostrouchy, elf czarodziej. Nie żaden udający garbusa smok. Sprytny manewr, choć więcej w sakwie musiałeś dźwigać.

- I co jeszcze?

- O swoje wpadki pytasz? - Temat był łatwiejszy i Debren trzymał się go ochoczo. - Twoje rzuty kamieniami. Albo drewniakami. Celne jak strzały Bobina. Szermierka na złamanej nodze. To, że lekki się robisz, gdy cię trzeba biegiem do wieży ewakuować. Cudowne odkrycie zapasu amunicji Keloalena. Wiedza o eksperymentalnym strzelaniu sieciami z trebusza. Wiedza o podziemnym wyjściu. O którym Holse pewnie nie miał pojęcia. Zbyt było zapuszczone, jak na trzymane w odwodzie przez aktualny garnizon. Ciasne przejście, które cię zatrzymało, choć wcale ciasne nie było. Kilof, którego nie było, i psy, które żyją mimo zatłuczenia kilofem. Reakcja Burony. Reakcja psów i baranów. Zmyliło mnie, że tylu ludzi atakowały, ale one po prostu skakały na każdego, kto dotknął nas lub konia i czuć go było potem twoim moczem. Wiesz, Pirr, najtrudniej było udawać, że się tych wszystkich absurdów nie dostrzega, i zachować kamienną twarz.

Pirr opuścił łeb, trochę jak zawstydzony, zbesztany przez pana

pies. Debren poczuł się nieswojo. Zwłaszcza gdy tamten znieńacka zaklaskał szponiastymi łapami.

- Brawo zatem. Urodzony z ciebie komediant. Znakomicie odegrałeś nieświadomego.

Kpi? No, to na pewno. Pytanie, na ile uwierzył.

- Wiem, co myślisz - zełgał Debren. - Że nie zorientowałem się w porę i tylko tak gadam, by cię wystraszyć.

- Gdzie jeszcze się zdradziłem? - zapytał Pirr. - Dobrze wiedzieć, by na przyszłość uniknąć błędów.

- No... z Bryberykaninem choćby. Wiedziałeś o jego planach. Skąd? Z męskiej rozmowy, przeprowadzonej pośrodku nocy, sztormu i Kanału Anvaskiego. Kraby zjadły resztki, ale główne danie przypadło smokowi, co?

- Pytasz nie wprost, czy jadam ludzi?

- Nie. Preferencje kulinarne i łóżkowe to prywatna sprawa czło... znaczy... istoty rozumnej.

- Jadam - wyznał Pirr. - Sporadycznie. Jeśli są źli i milczą. Nie uwierzysz, jak rozwiązuje język odgryzienie komuś dłoni. I zjedanie jej po kawałku na jego oczach.

Debren wzdrygnął się.

- Potworne, co? - upomniał się smokolud.

- Baron obiecał mi kata z Tymburka. I tygodnie konania. A nie sprzedałem na stos kopy kobiet.

- Pięćdziesięciu siedmiu - uściślił Pirr. - Ale nie o nie mi szło. Ammą mnie rozwścieczył.

Debren przyjrzał mu się uważniej.

- Jej przecież nic...

Musiał chwilę poczekać na wyjaśnienia.

- Ale chciał ją skrzywdzić. No i... zabrać.

- Zabrać? Baronowi?

- W rzydzi mam barona. Był mi potrzebny. Paru konkurentów wypłoszyłem, paru miało wypadki, ale ile można działać terrorem, a zarazem dyskretnie? Ludzie w końcu zaczynają coś podejrzewać. Potrzebowałem protektora. On nadawał się najlepiej. Czuje się suwerenem smoka, swym autorytetem niejednego kłusownika odstrasza. Albo urzędnika. Wiele znaczy, tu i w Tymburku. Jako jego jurysta wiedziałem, na co się zanosi, i w razie czego mogłem przeciwdziałać. Ot, choćby budowie drogi...

- Niedźwiedź z pałą - uśmiechnął się blado Debren.

- Jesteśmy od brudnej roboty. Takie... sekretne służby smoków. Wy, ludzie, też je macie. Każdy król. Oczy i uszy państwa, sznurki do pociągania z ukrycia, poruszania niewidocznych mechanizmów. Czasem skuteczniejsze od armii. I tak jak wasze służby, niekiedy musimy zabijać. Może tylko częściej. Bo jeśli lełoński kontrwywiad zdemaskuje anvaskiego szpiega, pies z kulawą nogą się tym nie zainteresuje. Wiadomo: szpiegów ma każdy. A o smoczach nikt się nie może dowiedzieć, że w ogóle istnieją.

- Teraz się dowie - zapewnił Debren.

- Bo ostrzegłeś ludzkość? A ja nie wiem, w którym momencie, i nie odszukam tego ostrzeżenia?

- Właśnie.

- Taaak... - Pirr zamilkł. Dobrze, że patrzył gdzie indziej, ale Debren i tak pocił się jak szczur, oczekując eksplozji śmiechu. Póki to coś mówiło, mógł się łudzić, dostrzegać w porośniętej łuska istocie kogoś podobnego do siebie. Gdy jednak z zębatej paszczy przestawały wypływać słowa, oczywistość biła po oczach. Byli sobie tak straszliwie obcy, że śmierć jednego z nich wydawała się najbardziej naturalnym z rozwiązań.

- Mogę zniszczyć wiadomości - przerwał ciszę Debren.

- Za?

- Koniec zabijania. To znaczy... - zawahał się, zerknął na leżącego nieruchomo rycerza. - Dżuma i syfilis...

- A widzisz - podchwycił Pirr. - Łatwo mówić: nie zabijaj. Tylko że potem rozgada taki, a nas wyrzną. Ile razy mam powtórzyć, byś pojął? To nie ludzkie przespiewki. Wam idzie o wyrwanie sobie paru zamków, o stawki celne czy podatkowe albo w którą stronę koło kreślić przy modlitwie. O duperele. My walczymy o przetrwanie. Mam puścić barona? Wykrzyczy na cały świat: smoki nas szpiegują! Ich bękarty udają ludzi! Bić garbatych! Nawiasem mówiąc: najgorzej na tym wyjdą uczciwie garbaci. Będą ich torturować, by wyznali, jak ukryli skrzydła.

Debren trzy razy otwierał usta, nim to wykrztusił.

- O niego... nie proszę.

- Aha, czyli barona pozwalasz mi zabić? Dzięki. Szkoda, że akurat jego.

- Szkoda?

- Przepowiednia Damstruny. Praktykujesz czarną magię, więc w białą, opartą na intuicji, pasmach losu i innych tego typu banialukach, pewnie nie bardzo wierzysz. Jak większość magów uczonych naukowo. Ale...

- Współczesna czarna magia stopniowo skłania się do uznania białej za... no, może nie od razu poważną...

- Cóż, smoki traktują wróżby serio. Nie chcę sprawdzać, jaką pałą potraktuje mnie pasmo losu, jeśli spróbuję zabić tę gnidę. Przez następne pięćdziesiąt dziewięć lat wolę nie ryzykować. Poza tym... no, obiecałem komuś, że on przeżyje. A mój przodek obiecał jego przodkowi.

Debren przyjrzał mu się z niedowierzaniem.

- Jak to? Chcesz go... puścić? Tak po prostu?

Pirr sięgnął pod kaftan, błysnął szkłem flakonu.

- To ta mikstura na latanie? - zdziwił się Debren.

- No pewnie: napoję barona, wzleci pod obłoki, a jak czar przestanie działać, pieprznie z wysokości paru mil i po kłopotcie... Nie. Nie ta, niestety. Samego napojenia nie starczy, formułę jeszcze trzeba dodać. A przy okazji: nie dałem ci mikstury. Pigularze takich nie warzą. Trzeba smoka za jęzor złapać i mu lewitazyny, powiedzmy, udoić.

- Za... jęzor?

- A myślisz, że jak smok ofiarę unosi? Niekiedy na wiele mil od pastwiska? Zwykle owcę, ale czasem i wołu? Mocą skrzydeł? Myśl naukowo. Masa przyrasta do potęgi kubicznej, a powierzchnia nośna tylko do drugiej. Dwakroć większy stwór waży osiem razy więcej, ale skrzydeł przybywa mu tylko czterokrotnie. Czyli od pewnego rozmiaru istoty są za ciężkie, by wzlecieć. My i parę innych istot magicznych mamy lewitazynę, która nam masy ujmuje. Ale owca swoje waży. Więc niektóre smoki nauczyły się dzielić lewitazyną z pochwyconym łupem. Sztuka polega na tym, by ogłuszyć, a nie zabić. Wstrzykujesz do krwiobiegu, rzucasz zaklęcie, owca robi się lekka... i lecicie.

Debrena nagle zapiekło w karku. I zaswędziało. Głupota, biorąc pod uwagę, że dzięki tej małej ranie zdołał przeżyć. A właśnie... jego przeżycie.

- Jednego nie rozumiem - wyznał. - Jeśli tak to planowałeś: że się ujawnisz... To po co mnie ratowałeś?

- Nie dlatego, że w kupie siła - zapewnił Pirr. - Sam bym sobie poradził. Przyznaję, pomogłeś mi. Z baronem, z którym w ogóle bym nie walczył, gdyby nie ty. Więc się pomoc zeruje. Stryja też nie liczę. Miał w grocie siedzieć. Nie poszło tak, jak chciałem, boś się dał złapać. Cały plan bitwy mi popsujesz. Owszem - kopnął dyszel - osłoniłeś stryja przed balistą. Za co kazał ci podziękować. O dziwo -

westchnął - to zauważył.

- O dziwo?

- Stary jest. Niedowidzi. Dwoję się i troję, by tu łowców nie dopuścić. Mógłby stryj nie przeżyć.

- Co byś zrobił, gdybym się nie dał złapać?

- To samo, ale w lepszym stylu. I nie narażając stryja, Ammy - skinął łapą w stronę giermka - tego smarkacza... Cholera, Debren: dałem ci wspomagacz magii, swoją nadwyżkę lewitazyny i ulubioną księgę, która może nas zdekonspirować. Musiałem ją obeszczuć, by zapach gałęźnice odstraszał. Powierzyłem ci najtajniejszą ze smoczych formuł magicznych. Amma omal ze wstydu nie umarła, rysując i spisując te sprośności, bom jej wyjaśnił, że to ci ułatwi wzlot, gdyby lewitazyna i formuła nie zadziałały dobrze. Miałeś nad nimi wiele pacierzy przewagi, po ciemku widzisz, czarujesz, po bagnie brodzisz jak łoś... Jakim cudem udało ci się nie uciec?!

Najbardziej zbliżona do prawdy odpowiedź, choć krótka, nie przeszła Debrenowi przez gardło. Siedemnaście lat to jeszcze za mało, by wyznać: „Bo jestem do rzyci”.

- To co jest w tym flakonie? - zapytał. - Nie wspomagacz i nie lewitazyna. Więc co?

Pirr nie odpowiedział. Obejrzał naczynko pod światło.

- Mało - westchnął. - No, trudno. Panie Scalpelott!

Giermek podszedł z mieczem w rękę. Debrenowi przemknęła myśl, że gdyby tak gangarin, a potem skok we dwóch... Z zaskoczenia mogliby... Pirr odwrócił się tyłem, szukał czegoś, grzebiąc w zalegających wóz pakunkach.

Latacz z uszkodzonym błędnikiem jest po dwakroć bardziej bezradny. To się może udać. Scalpelott już udowodnił, że ma rycerski refleks. Starczy krzyknąć...

Wychwycił nawet spojrzenie tamtego. Ale nie umiał.

Nie w plecy. Nie Pirra.

A potem okazja przepadła. Stwór obrócił się paszczą do nich. W rękach ścisnął bukłak i blaszany kubek. Odkorkował flakon, nakapał połowę zawartości do kubka, dolał trochę wina z bukłaka, zamieszał.

- Nawilżyć szmatkę - wyciągnął naczynie w stronę Scalpelotta - i na język baronowi kapać. Jak dziecku.

Scalpelott posłał Pirrowi podejrzliwe spojrzenie.

- To... lek?

- Cóż... poniekąd. Efekt uboczny jest taki, że mu faktycznie ulży. I wzmocni go, niewątpliwie. Skoro zajeżdżonego konia na nogi stawia... Ale nie będę łągał: w rzyki mam samopoczucie barona.

- Co to jest? - zapytał twardo giermek.

- Chyba nie...? - zaczął Debren.

- Właśnie tak. Konkretnie koński doping, ale w dużej mierze oparty na eliksirze gwałtu.

Scalpelott cofnął się, podrywając miecz.

- Chcesz go zgwałcić?! Ty chory, zboczony potworze!

Pirr wykrzywił paszczę, kłami dolnej szczęki omal nie drapiąc się w ucho. Wyglądało to koszmarnie, ale po głosie Debren poznał, że mina wyraża głęboki niesmak.

- Ja miałbym go...? Brrr... Wy, ludzie, macie zaiste plugawą wyobraźnię. Cóż: rasa, która do owiec potrafi się dobrać. Albo chłop do chłopca...

- To po co...? - bąknął Debren.

- A po co to wymyślili? Dla wymazania szkodliwych wspomnień. Elikvir wywołuje wsteczną amnezję. Płytką, trzydzieści do czterdziestu klepsydr. Ale to wystarczy.

Miecz wymierzony w pierś Pirra zadrżał nieznacznie. Scalpelott pomyślał jeszcze przez chwilę, po czym opuścił go na wysokość

bioder.

- Chcecie... pamięć memu panu odebrać?

Debren ocenił, że w głosie ma giermek więcej zdumienia i wahania niż świętego gniewu.

- Jeśli cię to pocieszy, lżej mu będzie bez tych wspomnień. Raz mu dziewczyna całusa i uśmiechu odmówiła, to impotencji się nabawił, a jej pół twarzy nożem wyrznął. Strach pomyśleć, czego by się nabawił i co ludziom porobił, gdyby przyszło mu żyć ze wspomnieniem tak sromotnie przegranej walki.

- Całusa i uśmiechu? - Scalpelott obejrzał się w kierunku jaskini. - Tylko dlatego...?

- To świetny wojownik - powiedział ciszej Pirr. - Może jeszcze zostać pierwszym mieczem królestwa. Ale wiesz co, chłopcze? Rycerskości się przy nim nie nauczysz. Rycerskość to coś więcej niż sprawny miecz. Zmień pana. Bo widzę, że masz zadatki... No, mniejsza. Taki jest mój warunek. Baron ma wypić eliksir. Zapomnieć. Nie prześladować mego stryja, mnie, Ammy i Debrena.

- Mnie? - zdziwił się Debren.

- A niby kto go pokonał? Zdradzieckim czarem w plecy? Nie łudź się: jeśli dodać Ammę, jesteś dla niego najbardziej znienawidzonym z wrogów. Nigdy ci nie daruje.

Debren z wysiłkiem przełknął ślinę.

- Za Drewnianą Kurtyną mnie nie dopadnie - rzucił niepewnie. - Feudał? Nie, w życiu... Nie odważy się...

- A pale runą, runą, runą - zanucił Pirr - i pogrzebią stary świat.

- Że co? - nie zrozumiał Scalpelott.

- Bard jeden - uśmiechnął się blado Debren - tak u nas śpiewa. Wywrotowiec po prawdzie. I łąj dak: feudalizm chce przywracać. Wyzysk człowieka przez człowieka. Ale...

- Brzmi ładnie - przyznał giermek. Pomilczał chwilę, potem

westchnął. - Nie ma takiej palisady, która by rycerza zatrzymała. A o demokracji mówią, że zmurszała. Tak się chwieje, że ją nawet cieśla Skoczypłot obali. Więc może za rok czy tuzin baron będzie mógł legalnie pojechać za Drewnianą Kurtynę. Dopadnie cię, jeśli będzie wiedział, kogo szukać. Zgoda zatem.

- Co? - Debren posłał mu zdziwione spojrzenie.

- Parol, panie Pirr. Zachowam w sekrecie to, com tu widział i słyszał. I napoję barona. Dobrze się składa: dwa dni temu polował, sam. Rany pójdą na karb biesa, który go śpiącego dopadł. Albo pożaru? Palił ognisko, zasnął... - Scalpelott skłonił się Debrenowi. - Wiesz, co znaczy honor. I ile znaczy dla mnie. Dziwne, że akurat demokrata... Cóż, nieważne. Wstawiłeś się za mną. U - tym razem, nawet bardziej uroczyście, ukłonił się Pirrowi - u straszliwego potwora, przed którym inny padłby na klęczki i o własny żywot błagał. Więc jestem ci to winien. Próbę ratowania życia. - Odetchnął głęboko, po czym, nieoczekiwanie, znów uniósł miecz. - Panie Pirr, macie go puścić wolno. Albo ze mną walczyć.

Debrena zatkało. Nawet Pirr wyglądał na zaskoczonego.

- Ja z tobą? Prawie smok z prawie rycerzem? - Wykrzywił pysk. - Cóż, wolę nie. O księżniczkę, to rozumiem. To się mieści w naszych etosach. Ale co świat o nas pomyśli, jeśli się o chłopaka pobijemy? Tfu, zgroza.

Scalpelott poczerwieniał. Szybko pojął, że to żart, ale miecz i tak opuścił.

- Po prostu napój barona, złoż przysięgę i jedź - powiedział Debren. - Resztę już my sami, między sobą...

- A ty? - Scalpelott pytał jego, patrzył jednak na tego, który tu rządził. - I inni? Mam was na śmierć...?

- Puchacz życie mi darował - wyjaśnił Pirr. - I ma dość rozumu, by milczeć. W Bryberyce pionierem zostanie. Kupię mu ziemię na

pograniczu, więc co najwyżej niedźwiedziom lub dzikim Denarianom o smokoludach naopowiada. Kto by zresztą wierzył w bajania z Nowego Świata. Burona się nie liczy. A Debren... Debren tak jak baron: zapomni.

Debren poczuł pustkę w głowie. Tego nie oczekiwał.

- Jak to? - zdumiał się Scalpelott. - Myślałem...

- Że jesteśmy przyjaciółmi? Bo przybiegłem go ratować? Owszem. I nawet cię lubię, Debren. Oraz mam dług wdzięczności. Ale... Żle się stało, żeś się zjawił w Trickley. W życiu Ammy i moim.

Amma i Pirr? Debren starał się nie dopuszczać do siebie myśli, że tych dwoje może być... no, właśnie wymienianych jednym tchem. Uparcie trzymał się frazy: „Amma i smok”. To smoka chciała zabić, jemu gotowa była dać się pożreć lub pohańbić. Mniejsza o to, w imię czego: dla sławy, pieniędzy czy ratowania Trickley. Ale smokowi.

A teraz sam Pirr okazał się kimś w rodzaju smoka.

Pytanie: kim jeszcze?

- W paradę ci wszedłem?

Pirr, nie odpowiadając, spłynął lekko z wozu, wręczył giermkowi kubek, wskazał barona.

- A my się przejdźmy, Debren.

Używając topora jako laski, ruszył... w stronę jaskini. Debren zawahał się. Elikسير gwałtu? Nie uśmiechało mu się to. A przy wozie leżała broń, nieopodal stały konie. No i nie było smoka. Czuł w sobie trochę mocy. Gdyby protesty nie poskutkowały, mógłby podjąć walkę i uciec, nim pokiereszowany gad dokuśtyka bratankowi z pomocą.

Poszedł jednak za Pirrem. Była tam, mogła na niego patrzeć. Więc co? Nie podejść do niej bliżej? Skoro mógł?

To prawie jak w twarz jej napluć.

- Najpierw się ucieszyłem - wyznał Pirr, nie patrząc na niego. - Ona nikogo nie ma. Nikt nie pomógłby jej uciec z grodu, nie poprowadziłby smokowi na pożarcie. Za dobrze barona znają. A ja sam... Nie wypadało się narzucać z propozycjami. Nie ufała mi. No, a gdyby odmówiła? Co, też eliksirem napoić? Przemocą? Ammę? Miałem z tym wielki problem. I oto jak z nieba spadasz ty...

- Na pożarcie? - To usłyszał najlepiej.

- Stereotypy. Tak połowa ludzi myśli. Druga zakłada, że stryja naszła ochota wydudkać ludzką dziewicę.

Szli wolno. Pirrowi, choć zapewne prawie nieważkiemu, dokuczwała złamana noga i przestrzelony bok.

- Ale - Debren postanowił wziąć byka za rogi - to nie stryja naszła ochota?

Smokoludy, okazało się, potrafią łypnąć ślepiem w bok, trzymając pysk prosto przed siebie.

- To takie dziwne, że mężczyźni tęskno do kobiety?

- Tyle trupów, bo ci Amma wpadła w oko?

- Nie ty ich zabiłeś, prawda. Boś nie dał rady.

- Bzdura! - Przez chwilę święcie w to wierzył. - Nikogo nie chciałem... - Zreflektował się. - To znaczy...

- Debren, jeśli już prowadzić wojny i zabijać... Nie ma lepszego powodu niż miłość.

Dziwnie brzmiało to słowo, padając z upstrzonej ludzką krwią, łuskowatej paszczy.

- Miłość? - Debren z trudem powstrzymał szydercze parsknięcie. - Chcesz powiedzieć, że ją kochasz?

- Ammę? - upewnił się Pirr.

- Nie, Dertudę... A niby kogo sobie zamówiłeś? Oświeć mnie, bo już się gubię. Nie, czekaj... Cofam pytanie. Dziewica miała być, obojętne jaka.

- Miała być Amma - zapewnił Pirr. Zawahał się, po czym dodał: - Najlepiej.

- Aha. Czyli jak nie Amma, to trudno, niech będzie inna. I to się u smoków nazywa miłością?

Pirr nie od razu odpowiedział.

- Jesteśmy inni niż wy. To znaczy... smoki. Bo my, mieszańcy... smokoludzie... Jeszcze z innej beczki. Ale pod tym względem bliżej mi do smoka, więc ci to na ich przykładzie wyjaśnię. Otóż smoki właściwe, duże i rozumne, nie mogą żyć stadnie. Wielki mięsożerca potrzebuje rozległego terenu łowieckiego, a istota rozumna, choćby czasami, towarzystwa... by myślami się powymieniać. Dlatego tam, gdzie mogą, smoki żyją w parach. On plus ona. Dwie istoty, będące dla siebie całym światem. Czasem dochodzą młode, ale w skali długiego smoczego życia to krótkie przerywniki. Tak było od zawsze. Potem pojawili się hominidzi. Liczni, przewrotnie rozumni, władający magią i techniką, agresywni. W Viplanie wyparli smoki z wielu miejsc, ograniczyli łowiska. Zawłaszczyli też większość dużych grot, naturalnych smoczych siedzib. Tradycyjny model smoczej rodziny uległ więc modyfikacji. Trudno było o jamę dla dwojga, o odpowiednio rozległe łowisko, zatem sporo par utworzyło luźne związki. On i ona żyli osobno i tylko wpadali z wizytą. To dlatego w viplańskiej świadomości utarł się obraz smoka samotnika. Ale w kwestii relacji między smokiem a smoczycą niczego to nie zmienia. Widują się rzadziej, nadal jednak tworzą parę. Są sobie wierni i kochają się.

- Kochają?

- Tak. I mam na myśli prawdziwe kochanie, nie to, co łączy większość ludzkich par. Bez urazy, ale mniej ceni się to, co łatwo dostępne. A smoków jest, zawsze było, bardzo mało. Żywności nie brakowało, nim się dwunożni rozplenili, ale jaskiń to od zarania

dziejów nie było zbyt wiele. Zaś o te, które były, przychodziło walczyć: z dinozaurami, potem ze stadami niedźwiedzi jaskiniowych, tygrysów szablozębnych, istot głębinowych, nieumarłych, demonów... Z półrozumnymi drakonidami też. Choć im zwykle ustępujemy, na zasadzie, że mądry głupiemu... A musisz wiedzieć, że smoki właściwe potrzebują dachu nad łbem, by żyć w komforcie psychicznym. Taki... atawizm. Zdaniem jednych pochodzi z epoki lodu, zdaniem innych z epoki kredy, gdy nasi przodkowie byli małymi chuchrami, na które polowały dużo większe gady. Mniejsza o powód, ważne, że brak własnej jaskini wyłącza smokom popęd płciowy. Przestają się mnożyć, by nie skazywać potomstwa na śmierć z zimna lub od kłów wroga.

- Żartujesz.

- Tak, wiem: jakież to nieludzkie podejście. Wy macie dokładnie odwrotny stosunek do potomstwa: jakoś to będzie. Dał Bóg dzieci, da i na dzieci. A jak nie, to co tam, wymrą. Mały problem, nowych się napłodzi.

- Teraz to przesadzasz.

- Trochę. Ale zauważ, ilu nędzarzy płodzi kupę nędzarzątek, które potem masowo wymierają. Smok tak nie umie. Lewitazyna choćby... Jeśli samiec nie jest w stanie wytworzyć jej tyle, by jego i samicę uniosła, i to na wznak...

- Na wznak? - zdziwił się Debren. - Znaczy... które niby na wznak ma latać? I po co?

Spojrzenie Pirra, choć gadzie, było na tyle wymowne, że poczerwieniał, nim jeszcze dobrze zrozumiał.

- Tym też się od was różnimy... smoki, znaczy. - Pirr, jeśli się czerwienił, to pod łuską. - Tradycyjnie to samica górą się znajduje... no, w trakcie.

- A... aha.

- U ludzi niby też czasem ona górá... Ale Kościół to zwalcza. Zresztą u was bez znaczenia, kto, gdzie... - Pirr odchrząknął. - My natomiast... to znaczy smoki... Cóż, to jedyny sposób. Nie będę cię nudził opisem smoczej prokreacji, organów i uwarunkowań. Wystarczy, byś wiedział, że nic z tego nie wyjdzie, jeśli on się w locie na wznak nie położy, a ona nie może na nim zalec i całej swej lewitazyny do innych celów spożytkować. Co w praktyce znaczy, że smok za dwoje lata, i to bez pomocy skrzydeł, a smoczyca wcale. Gdy ją upuści, spadnie i się zabije.

Debren popatrzył na niego z niedowierzaniem.

- Trochę... ryzykowne - bąknął.

- Miłość - uśmiechnął się Pirr - to jedno wielkie ryzyko. Wasza też, przyznasz.

- No... niby tak... Ale... Dziwna metoda.

- Natura zna dziwniejsze. Modliszkę weźmy. A smocza metoda się sprawdza. To jeden z najstarszych gatunków. Nieliczny, nie tak zręczny jak wasz, nie umiejący dostosowywać się do nowych warunków i w dodatku, daruj górnolotność, przyzwoity. A jednak trwa. Dlaczego? Także dlatego, że nie narodzi się młode smoczę, jeśli matka nie jest odważna, ufna w partnera, a ojciec słabuje i za mało matki pożąda. Oboje muszą mocno siebie pragnąć, by się w takim locie skutecznie połączyć. A praktycznie, od strony doboru naturalnego działa to tak, że tylko najwartościowsze osobniki doczekują się potomstwa. Silne, lojalne, odważne, potrafiące kochać. U ludzi akurat te cechy zwykle na dno ciągną, społeczne przynajmniej, jeśli nie dno grobu. Ale smokom pomagają w przetrwać. Istoty, które z definicji żyją w miłości, wspierają się nawzajem, nigdy nie zdradzą i zawsze staną murem. To pomaga, wierz mi.

Minęli zwłoki Hadgolda, ale Debren ledwie to zauważył. Jego

wyobraźnię zaprzątęła wizja pary smoków, szybujących wysoko po niebie i...

Dżuma i syfilis. Nawet ptaki tak tego nie robią.

- Nie wiadomo, kiedy i jak doszło do mutacji - sprowadził go na ziemię głos Pirra. - Podejrzewamy czary elfów. Raz, że ludzie nie zadaliby sobie takiego trudu, by znaleźć wspólny język z innymi rozumnymi. Silić się na tworzenie hybrydy i hodowanie tłumacza? Po co? Wolą eksterminować, jeśli tylko się da. A dwa, że z kobietami elfów dużo łatwiej... no, skuteczność jest większa.

- Skuteczność? - zapytał ostrożnie Debren.

- Urodzenia mieszańca. - Pirr zatrzymał się. - Smoków jest mało, ale tych zmutowanych, mogących spłodzić potomstwo z kobietą, już zupełnie garstka. Jestem ślepym zaułkiem nawet nie ewolucji, a czyjegoś zapomnianego eksperymentu. I jestem... - Musiał głęboko odetchnąć, by to wyznać - bezpłodny. Jak wszyscy smokoludzie.

Debren wolały już chyba iść dalej, po owczych kościach i czaszkach, choćby do samej smoczej jamy.

- Po co mi to mówisz?

- Chcę, byś to wiedział. I powtórzył Ammie. Gdyby pytała. - Westchnął. - Nie jestem smokiem, niestety. W tym bliżej mi do was. Nie muszę na wznak, w locie... Nie udowodnię swojej partnerce miłości samym faktem współżycia z nią. Nie zyska pewności, że jest kochana, bo nie spadła i nie roztrzaskała się o ziemię. Ale... będę ją kochał. Tak jak każdy smok swoją smoczycę, choć przedtem zwykle żaden żadnej na oczy nie widział.

- Nie widział? To jak...?

- To cecha gatunkowa smoków. I tę na szczęście dziedziczę. A że zaocznie... Bo niby jak? Jaskinia od jaskini dziesiątki mil, a młody samotny smok od wolnej smoczycy często o setki. Jak by się mieli spotykać, poznawać, stopniowo zakochiwać? Teraz to jeszcze, ale w

czasach, gdy się gatunek kształtował? Tych, co lubili latać w zaloty, pterodaktyle wybiły. Do dziś ich stada po nocach nam się śnią, w koszarach. Więc inaczej to działa niż u ludzi. Sąsiedzi pary kojarzą, przesyłają wieść, że gdzieś nie bardzo daleko jest ktoś, kto pasuje. I już. Młodzi spotykają się i wystarcza im świadomość, że już to jest cudem, że w całym królestwie drugi wolny partner może nie pojawić się przez najbliższe pół wieku. Więc zakochują się w tym, który jest. Wiem: to prozaiczne, pragmatyczne i przyziemne. Ale... działa. Nie masz wyboru, więc lokujesz wszystkie emocje w tym, kto się trafił, on je odwzajemnia... i jesteście szczęśliwi.

Debren nie wiedział, co powiedzieć.

- Jestem smokiem - ciągnął Pirr - i potrzebuję miłości. Jestem też człowiekiem, więc ciężko mi wytrzymać w pustym łożu. Mam czterdzieści jeden lat. To niewiele dla smoka, ale dla smokoluda... Czas, bym kogoś znalazł.

- To znaczy... kogo? - zapytał ostrożnie Debren. Pogubił się trochę. - Myślałem, że Amma... że stryjowi ją...

- Stryjowi. Nie słyszałeś? Ma być moją ciotką.

Prawda, mówił coś takiego baronowi. Ale wtedy wszyscy myśleli o walce i... Zaraz...! Powiedział też...

- I teściową - uzupełnił Pirr. - Urodzi stryjowi córkę. Śliczną smokoludkę. Wychowam ją i się z nią ożenię.

Więc jednak. To nie figiel spleatany przez pamięć. Po prostu... Świat oszalał. A przynajmniej Pirr.

- Amma urodzi dziecko? Smokowi? A ty je...?

Pirr przyjrzał mu się jakby zaskoczony.

- To cię dziwi?

- Nie, dżuma i syfilis! No skąd?! A cóż jest dziwnego w porywaniu dziewczyn przez gady, krzyżowaniu ich z rodzonymi stryjami, hodowaniu gadziej kuzynki i żenieniu się z nią potem?! Normalność

do kubicznej potęgi!

- Myślałem, że wiesz... Czytałeś o Tęgim Dratwie.

- Ale nie to! Nie, że porwana dziewczka urodziła skrzydlatą żonę dla smoczego bratanka! Tego nie doczytałem, daruj! Żle księga upadła!

- Debren, matek nikt nie porywa. Ani tamtej, ani Ammy, ani w ogóle żadnej.

- A tak, wybacz, zapomniałem! Tylko gród albo hrabia dostają propozycję nie do odrzucenia! Dziewica albo masakra! Fakt, to nie porwanie! Porywa się skrycie!

Pirr poruszał zuchwą, to w lewo, to w prawo. Nie wyglądało to przyjaźnie. Głos też nie okazał się miły.

- Jak się ma ludzkie geny, to się dziedziczy ludzkie wady. Daruj. Nie mówię, że jesteśmy aniołami. Tłumaczyłem to Ammie. Brzytwa w rękawie, to już prędzej. Nigdy nie dorównamy wam stopniem łajdactwa, ale... Owszem, pierwszy nabór bywa wymuszony. Choć też nie zawsze. Tu, w Trickley, to kwestia zbyt długiej przerwy, no i wojny wywołanej przez Dedetusa. Zabagniała relacje smoczo-ludzkie. Są kraje, gdzie na ogłoszenie smoka, że dziewicy szuka, same się panny schodzą. Nie mówię, że tłumnie, że z najlepszych domów. Ale same, bez przymusu. Co najwyżej pod presją rodzin. Albo sytuacji. Ekonomicznej lub obyczajowej. Albo losowej. Nie moja wina, że stryj jest staromodny. Uparł się, że córka pana ziemi. Bo z byle kim...

- Amma nie jest... To znaczy... właśnie jest byle kim!

- Łajno tam. Ma elfią krew. Bez urazy, ale dla smoka najmarniejszy elf bardziej się liczy niż ludzki szlachcic. Bo to starsza od waszej rasa, mądrzejsza i mentalnie bliższa smokom. A poza tym... Nie herbem rycerskość mierzymy. Widziałeś: osłoniła rannego stryja własną pierś. Broniła. Jak smoczyca smoka. Nie mówię, że ją pokocha. Ale zaimponowała mu. Zrobi, o co go

poprosimy.

- Wy? - Debrenowi coś uwięzło w gardle.

- Ja i Amma. A coś myślał? No tak, prawda: nic, bo ci wiedzy brak.

- Pirr dobierał przez chwilę odpowiednie słowa. - Otóż nie da się nic na siłę. Nie urodzi się żywy smokoludek, jeśli matka nad tym nie popracuje. Zapłodnić kobietę nie sztuka, zdarzały się takie przypadki. W dawnych, okrutnych i barbarzyńskich czasach celowo nawet odsyłano takie nieszczęsne branki rodzinom. Rodzina brzuch im rozcinała, szczypcami wyciągała straszliwego potworka i groza taka szła po okolicy, że smok miał parę lat spokoju. Ale to przeszłość i wojenne patologie. A nam o zdrowe dziecko chodzi. By się narodziło, Amma musi się mocno, mocno postarać.

- Ma... w locie...? To problem? Mniej waży niż...

- Nie o spółkowanie idzie. Owszem, stryj musi wzlecieć, by... no wiesz. Zadziałało mu jak należy. Więc ona też poleci. Ale nie o tym mówię, jeno o donoszeniu ciąży.

- To będzie...? - Znów się pocił. - Rozumiem, że nie złoży... Dżuma i syfilis... Nie, to jakieś chore!

- Nie, nie złoży jaja. Ale lepsze by było, uwierz mi. Zresztą... poniekąd jest. Płód dojrzewa w łonie matki, jak ssak, ale do pewnego momentu właśnie w wielkim jajku.

- Nie... nie chcę tego słuchać.

Nie uciekł tylko dlatego, że mogła patrzeć.

Wiedziała? Godziła się na to? Pirr nie opowiadałby mu tych potworności, gdyby podejrzewał, że skoczy na ratunek okrutnie zniewalanej lub okłamywanej dziewczynie.

Ale, swoją drogą, i tak dziwne, że tyle mówił.

Tamten jakby odczytał jego myśli.

- Elixir na podświadomość nie wpływa. Nie chcę, byś potem instynktownie nienawidził smoków. Więc wyjaśniam. By twoja

podświadomość sprawiedliwą ocenę sobie wyrobiła. Ale mogę milczeć. Ostatecznie nie wiem, czy zgodzisz się wypić eliksir. Jeśli nie, to faktycznie szkoda gadania. Będę musiał... rozumiesz.

- Dzięki za szczerze stawianie sprawy.

- Powiem jeszcze bardziej szczerze: podświadomie cię lubię. Nie twoja wina, ale skrzywdziłeś Ammę. Zapadłeś jej w serce. Odeszłaby z tobą, gdyby... no, gdybyście byli sobie bardziej pisani. Zabrałbyś mi ją. I tak poniekąd zabrałeś. Mogła być teraz bardziej szczęśliwa, a będzie mniej. Bo cię poznała, zaczęła marzyć i łajno z tego wyszło. Zabeta będzie o nią pytać, a ja...

- Zabeta?

- Jej córka. - Tym razem skrzywienie smoczego pyska zamaskowało emocje; Debren nie wiedział, czy to kwaśny uśmiech, czy na odwrót, próba ukrycia wzruszenia. - Chce, by tak małą nazwać. Na cześć siostry. Tamtą skrzywdziła, tej chce w zamian szczęście podarować. Obiecałem, że Zabetka będzie szczęśliwa. I będzie, jeśli miłością można podarować szczęście. Ale obiecałem też Ammie, że mała pozna całą prawdę o matce. Że będzie tak, jakby się znały. Mamy rok na rozmowy. Zawieszam praktykę, będę cały czas przy niej. Wszystko mi zdąży opowiedzieć. O swym życiu, marzeniach, lękach... Wszystko. Bym mógł usiąść z małą na kolanach i powiedzieć jej to, co matka chciałaby i powinna, a czego nie będzie mogła.

- Rok?

- Cięża trwa dłużej. To jeden z powodów... - Pirr westchnął ciężko.
- Ona umrze, Debren. Wiesz? Umrze. Wszystkie umierają. To dlatego... takie to trudne.

Szli tu po śmierć Ammy. Nawet gdy mówiła o walce, dla Debrena, realisty przecież, było oczywiste, czym się to skończy. Po drodze też wciąż ktoś próbował ich zabić. Więc oswoił się z łączeniem tych

dwóch słów: „Amma” i „Śmierć”. A mimo to...

- Jak to: umrze?! - zaprotestował.

- Jajo gada jest po to, by młode miało co jeść, nim się wykluje. U hybrydy... - Jeszcze jeden ciężki oddech. - Początek jest gadzi, końcówka... trochę też. Tyle że jajo wcześniej pęka. Jeszcze w ciele matki. - Pirr mówił coraz wolniej. - I młode zaczyna się żywić... Rozumiesz.

Debren wpatrywał się w niego ze zgrozą.

- Chcesz... chcesz jej coś takiego...? Ty...

- To mało boli. Choć o to elfy zadbały. Wydzielina płodu znieczula matkę, chwilami nawet prowadzi do stanu euforii... Ale matka musi mocno chcieć podtrzymać dziecko w łonie. Rozumiesz? Nie da się wbrew woli kobiety uczynić ją matką. Gdy tej woli i wysiłków zabraknie, organizm odrzuca płód.

- I ją zjadacie, tak? - warknął Debren. - Za karę?

- Wiesz, czemu nas tak mało? Nie dlatego, że o ojców trudno, choć to też. Ale o matki trudniej. Niewiele jest młodych kobiet, zdolnych przetrwać trudy ciąży, a zarazem godzących się wymienić życie na życie dziecka. I to jeszcze takiego.

- Właśnie! Bo się nie godzą! Oszukujecie je, mamicie, może zastraszacie! Nie wmawiaj mi...

Coś trzasnęło go w łydkę. Kość, odbita od innych kości. Nadleciała od strony jaskini i podskoczyłyby z wrażenia, gdyby nie wściekłość na Pirra. Obrócił się na pięcie, gotów przywalić smokowi jakąś połówką baraniej czaszki. Ale to nie smok rzucił.

Osloniła twarz... poduszką? Jaskinię najwyraźniej przygotowano na przyjęcie gościa. Ale Debren nie na poduszkę patrzył, a na drugą rękę Ammy. Dziewczyna trzasnęła się nią parę razy po głowie, wskazała ucho i gniewnie tupnęła nogą. Po czym znikła.

- Chyba - ocenił Pirr - masz się nie wygłupiać i słuchać, co mówię.

Debren odebrał to identycznie, więc zasznurował usta. Miał ochotę powtórzyć całą gestykulację. Był na nią wściekły, rozżalony. Ale właśnie dlatego, że najchętniej rozładowałyby tę złość, gniotąc ją w uścisku, pokornie stał i słuchał. Bo czuł, że także pod tym względem są zgodni.

Też by go objęła. Mocno, z całych sił. Gdyby mogła. Gdyby nie było to głupie i szkodliwe.

- Jest dumna, dzielna i niezależna - dochodził go głos Pirra. - Ma wszelkie cechy rasowej smoczy. Jak tylko ją zobaczyłem... Słyszałeś pewnie. Myśli, że to jej cycki tak na mnie podziały. Głuptas. Ludzkie kobiety... Cóż, mamy inne kryteria urody. Dlatego nie możemy sobie ułożyć życia z ludzkimi partnerami i tak rozpaczliwie potrzebujemy kogoś podobnego do siebie. Ale, choć fizycznie mnie nie pociąga, a przed tą historią z baronem miała pstro w głowie, jest w niej coś takiego... Od razu pomyślałem, że byłaby idealną matką dla mojej... A potem to nieszczęście jej się przytrafiło.

- Nie... nie miałaś z tym...?

- Za kogo ty mnie masz? - Pirr nie był urażony, raczej smutny. - Szukamy życiowych rozbitków. Potencjalnych samobójczyń. Oszepeconych, kalekich, z sercem połamanym w drobne kawałki. Trwale pozbawionych nadziei. Nie ma takich wiele, ale my je znajdujemy. Nas też niewielu, żyjemy długo, mamy czas. Możemy poczekać. Więc nie musimy pakować nikogo w nieszczęścia. Pomyśl zresztą logicznie. To wszystko ma służyć narodzinom partnera. Żony lub męża. Kogoś na całe życie, jedyne, ukochanego. Jak u smoków. Ale przy tym sieroty, która przychodzi na świat, bo przyczyniliśmy się do śmierci jej matki. To i tak trudna sytuacja. Tylko debil utrudniałby ją, krzywdząc kobietę, która świadomie umiera, by dać mu szczęście. - Nutka smętnego rozbawienia

zabrzmiała w jego głosie. - Nie, Debren. Nikt tak nie kocha swych teściowych, jak smokoludy. I wcale nie dlatego, że teściowe już martwe.

- Chcesz zabić Ammę. - Debren czarodziej rozumiał wszystko, ale Debren siedemnastolatek nie potrafił pogodzić się z tym koszmarem. - Jej własne dziecko ma żreć ją od środka. Żywcem. Tygodniami. I nawet nie urodzi człowieka, tylko jakieś...

- Chcę jej dać coś, czego nie da nikt inny - przerwał mu Pirr. - Pewność urodzenia córki, która przeżyje. I będzie silna, zdrowa, zamożna. Kochana przez mężczyznę wiernego jej jak pies. Córki, której nikt nie oberznie nożem ust, nie pohańbi, nie obrazi bezkarnie, nie skaże na życie w głodzie, brudzie i poniewierce. Która w potrzebie może liczyć na pomoc każdego smoka świata. Albo po prostu odlecieć gdzieś, gdzie nic nie grozi. Nie znasz kobiet, Debren. Nie wiesz, jak cholernie potrafi im zależeć na szczęściu dziecka. Za samą nadzieję gotowe są oddać życie, a ja jej daję niemal pewność. Mało nas, ale jak się już urodzimy i przescholimy pod okiem mistrza, okrutnie trudno nas skrzywdzić. Żywotne z nas bestie.

- Chcesz zabić Ammę - powtórzył Debren.

- Nie ja. To ona sama szuka śmierci. Nikt jej nigdy nie pocałuje, żaden mężczyzna. Jest odrażająca. I jako taka nie zostanie matką. Co najwyżej bękarta, poczętego z pijackiego gwałtu. Bękarta, który tygodnia nie przeżyje, bo go w rynsztoku urodzi. A dzięki mnie wyda na świat dumną, szczęśliwą, długowieczną istotę, która będzie nosić w sercu jej wspomnienie. I wiem - zastrzegł się - o czym mówię. Mnie moja mama do dziś śni się po nocach. Siadam przy jej grobie i gadamy, całymi klepsydrami. Nigdy jej nie widziałem, ale nauczyli mnie ją kochać. A ją, nim zmarła, nauczyli wierzyć, że właśnie tak będzie. - Uśmiechnął się, na tyle łagodnie, na ile

potrafią ludożercze potwory. - Zabiorę Ammę do moich krewnych. Pomówi z takimi jak ja, przekona się, ile znaczą dla nas nasze matki. Nie bój się, nie będę poganiał. Sama musi dojrzeć do decyzji... Tyle lat czekałem, więc jeszcze trochę poczekam. I będę przy niej. Do końca.

Debren próbował nie słuchać, nie wierzyć i nie przyznawać w duchu racji. Odjąc sobie dziesięć lat i tupać gniewnie nogami, wyrzaskując: „Nieeee!” i mając w nosie głupie argumenty dorosłych. Tyle że już jako siedmiolatek odstawał od rówieśników, już wtedy obrywał za chodzenie własnymi ścieżkami i myślenie po swojemu.

Nie miał więc siły tupać. Ani stać. Usiadł parę kroków od owczych kości, przy smoczego łajna. Nie wykrzyczał jednego słowa. Nie spojrzał na odchodzącego Pirra.

Siedział, zmagając się z myślami, nie patrzył za siebie. Gdyby Pirr wrócił z jaskini z pałą i użył jej zamiast eliksiru, mało by go to obeszło.

Potem usłyszał kroki. Lekkie, ostrożne. Smokolud z pałą nie byłby tak ostrożny. Nie odwrócił się jednak.

Usiadła obok, jak on ze skrzyżowanymi nogami, po temmozańsku. Jak on patrzyła na zachód, w stronę Trickleley i wozu, którego, choć stał bliżej, też pewnie, jak Debren, nie zauważała.

Pachniała dymem ogniska, baranią pieczenią i Sianelem Numer Pięć. Wszystkim, czego nie miała w swej skleconej z odpadków budzie, parę kroków od miejskiego rynsztoka. Dobrobytem, o jakim dawno przestała marzyć.

Na głowę, zamiast spalonego kwefu i kaptura, nałożyła poszewkę z krzywo wyciętymi otworami. Wyglądało to głupio, ale to była Amma, jego Amma, i na podobne drobiazgi nie zwracał uwagi.

„Tak będzie lepiej.”

Rozkoszy pisania inkaustem po papierze też nie zaznała od lat. Patrzył, jak starannie kaligrafuje runy, i był pewien, że gdzieś tam, pod poszewką, przygryzła koniuszek języka, niczym przejęta sześciolatka.

Tyle że jej język nie wystawał z różowych ust. Dookoła lśniły pewnie wilgocią obnażone zęby i dziąsła.

- Umrzesz - powiedział cicho.

„Fszyscy umżemy. Jedni s sensem inni bes. I tak nie pszerzyje zimy. Wiem, czóje. A tu jeszcze lata doczekam. I moje dziecko bendzie latać. Masz pojencie, Debren? Latać! Jak anioł! I nigdy głodu nie zazna. Jak zgłodnieje, to sfrónie i sobie zajonca złapie.” - Odłożyła pióro, strzeliła palcami i dopisała: - *„Ot tak!”*

Co miał powiedzieć? „Życie przed tobą”? Na jej miejscu nie wybrałby takiego życia.

To może: „Zabiorę cię stąd”?

Po pierwsze, Pirr ich nie puści. Po drugie, dokąd? Do izdebki w dormitorium? Akademia to nie zamtuz, nic z tego. Więc do rodziców. Siedem lat mieliby czekać, aż syn skończy naukę i zabierze taką, pozał się Boże, synową? Po trzecie, nie synową, bo nie ożeni się z kimś, kogo nie może całować. Po czwarte, w końcu, choćby przypadkiem, ujrzy jej twarz i pewnie ona skoczy do najbliższej studni, a on zaraz za nią. Dlatego, po piąte, nie rzuci studiów, by iść do pracy i utrzymywać żonę.

„Nie smóć sie. Pirr muwi, rze fszystko zapomnisz. A nie boli jak człowiek nie pamienta.”

- Nie chcę o tobie zapominać.

Dżuma i syfilis. Ten głos... I łzy mu stały w oczach. Nie spływały jeszcze, ale... Może nie zobaczy?

„Ja bym o tobie hciała. Ale z drógiej strony nie. Koham cie, Debren. I jusz wiem jak to jest, kohać.”

Łajno tam: zobaczyła. Niby obróciła głowę, udając pochłoniętą pisaniem, ale runy stawiała dużo większe, świadoma, że przez tyle łez kiepsko widać. Choć łez akurat zrobiło się mniej. Popłynęły dalej, po policzkach.

Nawet nie próbował wycierać.

- Amma... Boże, Ammula, co ja ci zrobiłem...?

„Pomogłeś. Wiem teras, jakie to szczęście. I jaka ona bendzie szczęśliwa. Bo Pirr jom koha. Jusz teras. Alesz mu ślepiea błyszczom jak o niej...” - Cofnęła pióro, zamazała „ślepiea” i zastąpiła „oczami”. - *„...muwi. Wiem, rze to smok. Ale dobry, mondry i zabawny. Ma sfoisty órok. I hłop na shwał. Każda by takiego hciała. Widziałeś, jak barona kijem obił? Rzeby nie zbroja...”*

- Zabiję go - rzucił desperacko, sam nie wierząc, że opowiada takie bzdury. - Jest jeden czar... Zabiorę cię i...

„Głupiś. To muj zienć. Lepszego sobie nie mogłam wymodlić. W łep cie palne, jak czarować sprubujesz.”

- Urodzisz jakąś jaszczurkę, nie rozumiesz?! - Nigdy nie myślał, że powie kobiecie coś tak podłego. Ale przecież nie mógł pozwolić...

„E tam. Nie muw, rze rasista jesteś. To jak kto wyglonda, ważne dla tyh jeno, co sie z nim całujom i dudkajom. A dla Pirra ona bendzie cudnie śliczna.”

Dżuma i syfilis, jak po kaczce spłynęło.

- Nie mogę cię tu zostawić! W smoczej jamie?! Samą?! I oni chcą cię...

Urwał. Słoneczny promień odbił się od flakonu tuż przed jego nosem, nie sposób było przegapić. To w środku wyglądało niepozornie, ot, jak woda. Smak też pewnie miało wodnisty: eliksir gwałtu nie powinien odróżniać się od piwa czy wina, do których go dyskretnie dolano.

Czekała. Nie sięgnął po naczynko, więc odstawiła je ostrożnie na

ziemię, jedyną sprawną ręką ujęła pióro.

„Nie kohasz mnie, Debren. Tylko troche. Ale i tak najwięcej w świecie, bo inni nic a nic. I dobry jesteś. Wiem, rze by cie bardzo bolało, całe lata. Wienc sam Bug nam zesłał tom miksture. Zapomnisz o mnie i...”

- Nigdy o tobie nie zapomnę!!!

„Ale ja hce. Hce twojego szczęścia. Tak jak Zabetki i Pirra. Najwarzniejsi dla mnie jesteście. Nie pozwole, by kturęś z was cierpiało. Spotkasz innom, pokohasz, bendzie wam dobrze. Biesz to i pij, to roskas.”

- Nie!

„Pirr cie nie wypuści z pamienciom, głupku! I tak cód, rze puszcza żywego. Tylko dla mnie to robi, wbreń ich prawu. Czytałeś formóle latania na lewitacji. To jusz nie tylko zguba dla garstki smokoludóf. Same smoki tesz by były zagrorzone. Bes formóły lewitazyna psu na bóde, ale z niom ludzie by latali. Jak jom poznajom, zacznom polować na smoki, dla lewitazyny. I je wytempiom.”

- Przecież słowem nie... Nie cierpię sukinsyna, ale to nie znaczy... Zresztą ani jednej runy nie pamiętam! Raz to z kartki odczytałem!

„Moja curka bendzie smokiem. Nie, Debren. Tobie wieże, ale za Drewnianom Kurtyne wracasz. A jak cie zacznom badać? Czy szpiega z ciebie w feudalnyh krajah nie zrobili? I pod hipnozom sie wygadasz? Moja jedyna curka. I istnieje telepatia. Gadanie pszes sen. Nie bende ryzykować. Wypij to.”

W końcu spojrzeli sobie w oczy. Jej były parą niewyraźnych plam. Łzy łąły się z Debrena jak z siedmiolatka.

- To... to tak, jakbym cię zabił!

„To tak jakbym ci dała nowe życie” - napisała wielgachnymi runami, zużywając obie strony kartki. - *„Lepsze. Bez bulu i złych*

fspomnień."

- Mam się ciebie wyrzec?! Zostawić smokowi?! Samą, na śmierć?!
I jeszcze wymazać z pamięci?!

Siedziała obok, dotykała kolanem jego kolana. Taka żywa, ciepła i pachnąca. Taka... rzeczywista.

Miał ją unicestwić? Ot, tak? Jednym łykiem eliksiru? Sprawić, że nigdy nie istniała?

„Musisz.” - Sięgnęła po nową kartkę. Wyczuł, że się uśmiecha. Czort wie jak, bo i bez jego łez niemal wszystko przesłaniała poszewka. - *„Bo cie Pirr zabije, a ftedy ja jego zabije a potem siebie. Straszna jatka bendzie.”*

Nie mógł nie odwzajemnić uśmiechu.

- Głupoty gadasz - pociągnął nosem.

A wtedy ona przestała się uśmiechać.

„Wypij to, Debren. Albo mnie zabijesz. Muwie powarźnie. Pszysiegnam rze tak bendzie. Na wszystkie świentości. Na głowe mojej curki. Umre. Pszez ciebie. Zabierzesz mi jedyny szczęśliwy rok rzycia. Fszystko dobre, co mam. Nie rub tego komuś kto cie koha.”

Odłożyła pióro, przesunęła się, objęła go, przytuliła. Najpierw oburącz, mimo poharatanego bełtem ramienia. A potem to właśnie tą ręką, mniej sprawną, obolałą, która nie mogła ścisnąć z całych sił i żegnać jak należy, sięgnęła w dół, po mały flakon z wodnistą cieczą.

Pomyślał, że może rozleje, przynajmniej część. Pozostawi mu parę klepsydr więcej, choć kawałek Ammy.

Zamknął zażawione oczy i rozchylił usta.

Jej były miękkie, ciepłe, tak delikatne...

Nie można całować palcami, ale ten jeden raz, tej jednej dziewczynie, udał się taki cud.

A potem...



Lało. Jak z cebra. Jak to w Anvaszu. Skulony pod przydrożnym dębem, dostrzegł dwukólkę dopiero, gdy zatrzymała się obok. Łoskot wody zagłuszył stukot kopyt. Skrzypienia kół chyba nie musiał: aż lśniły nowością.

- Hej, zmokły koguciku!

Dobrze, że dąb stał samotnie, pośrodku wrzosowiska, bo spotkać taką w puszczy... Strasznie stara, okrutnie szpetna, no i te łajdackie błyski w oczach. Wypisz, wymaluj: leśna wiedźma, wypatrująca dwunożnej przekąski.

Zeżre go? A na zdrowie, babo. Dygotał z zimna, łeb mu pękał, gdzie nie zerknął pod poszarpane ubranie, znajdował siniaki i zadrapania. Za to ksiąg i różdżki ani śladu... To już chyba lepiej skończyć jako posiłek czarownicy. Bo Factorby... strach pomyśleć.

Choć tak naprawdę i mistrza się nie bał. Czuł tylko smutek. Dziwne.

- Wi... witajcie, pani - wyszcząkał zębami.

- To lełoński akcent? - Był zbyt otępiały, by się zdziwić, że poznała. - Ha, i wszystko jasne. Pół mili od karczmy. Popiło się, co? I pobłądziło?

- Chyba nie... - powiedział niepewnie. Chuchnął w dłoń, powąchał. Czort wie po co, bo tuzin podobnych prób miał już za sobą. - Nie czuć. I... guza mam. Znaczy... kilka. Chyba coś mnie w głowę... Nic nie pamiętam - poskarżył się. - Wsiadłem na wóz, taki z opałem, ruszyliśmy... I obudziłem się pod tym drzewem.

- To wsiadaj. Podwiozę.

Rozejrzał się bezradnie. Szara pustka, wrzosa, ani śladu ludzkich

siedzib, słońca, które wskazałoby kierunek. Tylko błotnista droga, znikąd donikąd.

Jak ludzkie życie.

Machrusie... Co mu po łbie chodzi?

- Jenó że ja... do Trickley miałem...

- Po co?

- No... nie wiem. Burmistrz iluzjonisty potrzebował i...

- Iluzjonista? Toś pewnie od Factorby'ego? A to ci się udało: akurat do niego jadę! Z listem od jednego jurysty. O przysługę prosi. - Sięgnęła pod chustę, zadzwoniła sakiewką. - A że załącznik ciężki, mistrz humorem będzie tryskał. I ci łba za mocno nie urwie. No, włącz.

- Ale tam klient czeka... - Zawahał się. Nie miał ochoty gadać z klientami, nawet takimi. Chłopaki z Akademii oddaliby po palcu, niekoniecznie małym, by móc się pochwalić zleceniem dla burmistrza, i to feudalnego grodu. A on, zamiast skakać z radości, miał ochotę zagrzebać się pod pierzyną, spać i nic nie czuć. Niczego. A najbardziej tej pustki, która go wypełniała. - Może to coś pilnego i...

- Klient nie czeka. Cały gród z radości pije, a burmistrz najbardziej. Tydzień świętowania zaplanowali, więc i tak nie ma z kim gadać.

Święto? Radość? Jemu się ten kraj kojarzył wyłącznie ze smutkiem. Z deszczem, chłodem, szarówką wokół...

Pewnie to przez te pogubione księgi. Głupie.

Ale nie lubił już Anvasu.

- Co to za okazja? - zapytał apatycznie.

- Szajka oszustów pod smoka się podszyła i listy z groźbami słała. Ale się z leśną strażą posiekli, wyginęli, sprawa się wyjaśniła i gród jest już bezpieczny.

- To dobrze - powiedział, czując, że wypada. - Taki smok... brr, ze strachu bym umarł na sam widok.

- Ano dobrze. - Zrobiła mu miejsce na koźle. - Choć parę trickleyskich bab przy tym zginęło. Ale że na ulicy żyły i zarabiały, nikt po nich płakać nie będzie.

- Tak. - Po twarzy spływał mu deszcz i to, co nagle szczypnęło w oczy, też musiało być deszczem. Bo niby czym innym? - Kto by płakał po takiej z ulicy...